

Numer 1 na liście bestsellerów New York Timesa

JIM BUTCHER

AKTA DRESDENA

ZDRAJCA

*Magia.
Potrafi zabić.*

**JIM
BUTCHER**
AKTA DRESDENA
ZDRAJCA

PRZEŁOŻYŁA ANNA RESZKA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2017

Tytuł oryginału:
The Dresden Files – Book Eleven. Turn Coat

Copyright © 2009 by Jim Butcher

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Chris McGarth

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-928-3
Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 213 000
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Bobowi. Śpij dobrze.

1

Letnie słońce prażyło asfalt chicagowskich ulic, nieznośne łupanie w głowie zmuszało mnie do spędzenia połowy dnia w pozycji horyzontalnej, a jakiś idiota bębnił do drzwi mojego mieszkania.

Otworzyłem. W progu stał Morgan z zakrwawioną połową twarzy.

– Idą Strażnicy! – wysapał. – Ukryj mnie, proszę.

Oczy mu się wywróciły i runął na podłogę.

O!

Super.

Aż do tej chwili trwałem w błędnym mniemaniu, że rozdzierający ból w czaszce jest najgorszą rzeczą, która mi się dzisiaj przytrafiła.

– Na cholerne dzwony piekieł! – zakląłem, patrząc na nieruchomą postać.
– Chyba sobie żartujesz!

Naprawdę bardzo mnie korciło, żeby trzasnąć drzwiami i zostawić go leżącego bezwładnie na korytarzu. Zasłużył sobie na to bez dwóch zdań.

Ale nie mogłem tak po prostu stać i nic nie robić.

– Każ sobie zbadać głowę – mruknąłem do siebie.

Dezaktywowałem osłony – magiczny system bezpieczeństwa, który założyłem w mieszkaniu – chwyciłem Morgana pod ramiona i wciągnąłem go do środka. Był roslym mężczyzną – ponad sześć stóp wzrostu i mnóstwo mięśni – a do tego zupełnie bezwładnym. Nieźle się z nim namęczyłem, choć sam nie jestem chuchrem.

Zamknąłem za sobą drzwi i z powrotem uruchomiłem alarm. Następnie wykonałem ręką szeroki gest, skoncentrowałem wolę i wymamrotałem:

– *Flickum bicus!*

Kiedy wymówiłem to proste zaklęcie, rozbłysło dwanaście świec rozmieszczonych w całym pokoju. Ukląłem obok nieprzytomnego Morgana

i zbadałem go pobieżnie.

Naliczyłem z pół tuzina paskudnych cięć, sączących się i chyba bolesnych, ale nie śmiertelnych. Skóra na żebrach pod lewym ramieniem była poparzona i cała w pęcherzach, prosta biała koszula nadpalona. Miał również głęboką ranę na udzie, niezdarnie przewiazaną czymś, co wyglądało na kuchenny fartuch. Nie odważyłem się rozwinąć opatrunku. Noga mogła zacząć krwawić, a nie chciałem ryzykować życia, polegając na swoich medycznych umiejętnościach.

Nawet życia Morgana.

On potrzebował lekarza.

Niestety, jeśli ścigali go Strażnicy Białej Rady, prawdopodobnie wiedzieli, że jest ranny. Pewnie już obserwowali szpitale. Gdybym zawiózł go na ostry dyżur, Rada dowiedziałyby się o tym w ciągu paru godzin.

Tak więc zadzwoniłem do przyjaciela.

* * *

Waldo Butters długo i w milczeniu badał Morgana. Ubrany w szpitalny strój i adidasowe buty z czarnymi włosami, bezładnie sterczącymi na wszystkie strony niczym futro wystraszonego kota, miał zwinne i szybkie ręce. Jego oczy ukryte za okularami w drucianych oprawkach były czarne i bardzo inteligentne. Wyglądał, jakby nie spał od dwóch tygodni.

– Nie jestem lekarzem – uprzedził.

Już kilka razy wykonywaliśmy ten taniec.

– Wielki Butters wszystko potrafi – stwierdziłem.

– Jestem ekspertem medycyny sądowej. Kroję trupy.

– Więc pomyśl o tym jako o prewencyjnej autopsji.

Butters zmierzył mnie spokojnym wzrokiem.

– Nie można go zawieźć do szpitala, co?

– Właśnie.

Waldo pokręcił głową i zapytał:

– Czy to nie ten sam gość, który próbował cię zabić w Halloween?

– I kilka razy wcześniej.

Butters otworzył torbę i zaczął w niej grzebać.

– Nigdy nie rozumiałem dlaczego.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiedy byłem jeszcze dzieciakiem, zabiłem człowieka przy użyciu magii. Złapali mnie Strażnicy, a Biała Rada osądziła.

– Wygląda na to, że się wykpiłeś – zauważył Waldo.

– Uznali, że ponieważ tylko próbowałem ratować się przed gościem, który chciał mnie zabić magią, może zasłużyłem na drugą szansę. Dostałem coś w rodzaju wyroku w zawieszeniu. Morgan był moim kuratorem.

– Kuratorem?

– Gdybym znowu coś schrzanił, miał mi uciąć głowę – wyjaśniłem. – Krążył wokół mnie i tylko szukał pretekstu, żeby to zrobić.

Butters wytrzeszczył oczy.

– Przez kilka pierwszych lat dorosłego życia oglądałem się przez ramię ze strachu przed tym człowiekiem. Prześladował mnie i nękał. Przez jakiś czas miałem koszmary, w których on się pojawiał. – Prawdę mówiąc, nadal od czasu do czasu śniło mi się, że ściga mnie nieustępliwy zabójca w szarym płaszczu, z groźnym, zimnym mieczem w ręce.

Butters zaczął zwilżać bandaż na nodze rannego.

– I teraz mu pomagasz?

Wzruszyłem ramionami.

– Uważał, że jestem niebezpiecznym zwierzęciem i trzeba mnie zlikwidować. Naprawdę w to wierzył i dlatego tak się zachowywał.

Waldo zerknął na mnie bez słowa.

– Mylił się – dodałem. – Nie jest łotrem, tylko po prostu dupkiem. To niewystarczający powód, żeby go zabić.

– Pojednanie?

– Niezupełnie.

Butters uniósł brwi.

– Więc dlaczego przyszedł akurat do ciebie po pomoc?

– Bo to chyba ostatnie miejsce, gdzie można by go szukać.

– Jezu Chryste – mruknął Waldo. Zdjął prowizoryczny bandaż i obnażył

ranę długą na jakieś trzy cale, ale głęboką, o brzegach spuchniętych jak małe usta. Zaczęła się z niej sączyć krew. – Wygląda jak cięcie od noża, tyle że jest większa.

– Pewnie dlatego, że została zadana czymś podobnym do noża, tyle że większym.

– Mieczem? – rzucił Butters. – Chyba żartujesz.

– Stara szkoła Rady – powiedziałem. – Naprawdę stara szkoła.

Waldo pokręcił głową.

– Umyj dłonie, tak jak ja to zrobiłem. Starannie, szoruj dwie albo trzy minuty. Potem włóż rękawiczki i wracaj tutaj. Potrzebuję dodatkowej pary rąk.

Przełknąłem ślinę.

– Eee, nie wiem, czy jestem właściwą osobą...

– Zamknij się, czarowniku! – rzucił z irytacją Butters. – Nie masz żadnego usprawiedliwienia. Skoro tobie nie przeszkadza, że nie jestem lekarzem, mnie nie będzie przeszkadzało, że ty nie jesteś pielęgniarką. Idź więc wyszoruj te cholerne łapska i pomóż mi, zanim go stracimy.

Przez chwilę gapiłem się na niego bezradnie. Potem ruszyłem się i wyszorowałem cholerne łapska.

Tak między nami, operacje nie są ładne. Człowiek ma paskudne uczucie bardzo niestosownego podglądactwa, prawie jakby się natknął na swojego gołego rodzica. Tylko że wszystko jest bardziej krwawe. Wyeksponowane zostają części, które nie powinny się znaleźć na widoku, w dodatku całe umazane krwią. To krępujące, niesmaczne i jednocześnie niepokojące.

– No, gotowe – powiedział Butters po nieskończeniu długim czasie. – Zabieraj łapy.

– Tętnica była przecięta? – zapytałem.

– Do diabła, nie. Ktokolwiek go dźgnął, ledwo ją drasnął. Inaczej facet już byłby martwy.

– Ale wszystko naprawione, tak?

– Zależy, co rozumieć przez „naprawione”, Harry. To jak chirurgia w warunkach polowych, ale rana nie powinna się otworzyć. Pod warunkiem, że gość nie będzie chodził. I jak najszybciej powinien go obejrzeć prawdziwy

lekarz. – Zmarszczył brwi. – Daj mi chwilę na zaszycie tego.

– Nie śpiesz się.

Butters milczał w czasie pracy i odezwał się dopiero, kiedy założył szwy i obandażował nogę. Następnie zajął się mniejszymi obrażeniami. Większość jedynie opatrzył, a zeszył tylko najpaskudniejsze cięcie. Nałożył również antybiotyk na oparzenie i starannie przykrył je gazą.

– W porządku – rzekł w końcu. – Zrobiłem, co mogłem, ale nie zdziwiłbym się, gdyby jednak wdała się infekcja. Jeśli pojawi się gorączka albo zbyt duża opuchlizna, będziesz musiał go zawieźć do jednego z dwóch miejsc: szpitala albo kostnicy.

– Rozumiem.

– Trzeba zapakować go do łóżka. I ogrzać.

– Dobrze.

Przetransportowaliśmy Morgana w prosty sposób: razem z dywanem, na którym leżał. Umieściliśmy go na jedynym łóżku znajdującym się w moim mieszkaniu, w sypialni wielkości szafy. Przykryliśmy go kocami.

– Naprawdę powinien dostać kroplówkę z soli fizjologicznej – stwierdził Butters. – A skoro już o tym mowa, nie zaszkodziłaby także jednostka krwi. I antybiotyki, ale ja nie mogę wypisać recepty.

– Zajmę się tym – obiecałem.

Butters się skrzywił. Jego ciemne oczy wyrażały zatroskanie. Chciał coś powiedzieć, ale tylko kilka razy otworzył i zamknął usta.

– Harry, jesteś w Białej Radzie, prawda? – wykrztusił w końcu.

– Tak.

– I jesteś Strażnikiem, tak?

– Tak.

Butters pokręcił głową.

– Zatem tego człowieka ścigają twoi koledzy. Nie sędzę, żeby byli zadowoleni, jeśli znajdą go u ciebie.

Wzruszyłem ramionami.

– Wciąż się denerwują z takiego czy innego powodu.

– Mówię poważnie. Czekają cię tylko kłopoty. Dlaczego mu pomagasz?

Milczałem przez chwilę, patrząc na bladą, nieruchomą twarz rannego.

– Bo Morgan nigdy nie złamałby Praw Magii – odparłem cicho. – Nawet gdyby to miało kosztować go życie.

– Wydajesz się bardzo pewny.

Pokiwałem głową.

– Bo jestem. Pomagam mu, bo wiem, jak to jest, kiedy Strażnicy siedzą ci na karku z powodu czegoś, czego nie zrobiłeś. – Odwróciłem wzrok od nieprzytomnego człowieka leżącego na moim łóżku. – Nikt tego nie wie lepiej ode mnie.

– Jesteś rzadkim okazem szaleńca, stary – stwierdził Butters, kręcąc głową.

– Dzięki.

Zaczął sprzątać po zaimprovizowanej operacji.

– Jak twoje bóle głowy? – spytał.

Od kilku miesięcy moim problemem były coraz bardziej bolesne migreny.

– Dobrze – odparłem.

– Jasne. Naprawdę bym chciał, żebyś znowu spróbował zrobić sobie rezonans.

Technika i magowie nie współdzystują ze sobą dobrze, a aparatura do wykonywania rezonansu magnetycznego jest szczególnie zagrożona.

– Jeden chrzest w pianie gaśniczej rocznie to mój limit – oświadczyłem.

– To może być coś poważnego – ostrzegł Butters. – Cokolwiek się dzieje w twojej głowie albo szyi, nie ryzykuj.

– Ataki są coraz słabsze – skłamałem.

– Akurat – zaburczał Waldo, świdrując mnie wzrokiem. – Teraz boli cię głowa, tak?

Przeniosłem wzrok z Buttersa na nieruchomą postać Morgana.

– Tak – przyznałem. – Jak cholera.

2

Morgan spał.

Bardzo dobrze pamiętałem swoje pierwsze wrażenie na widok tego faceta: wysokiego, umięśnionego, o szczupłej, zapadniętej twarzy, która zawsze kojarzyła mi się z religijnymi ascetami albo na pół szalonymi artystami. Brązowe włosy były nierówno przetykane siwizną, a broda, choć zawsze przystrzyżona, sprawiała wrażenie, jakby przydałoby się jej jeszcze parę tygodni, żeby się wypełnić. Morgan miał twarde, spokojne oczy i kojący urok wiertła dentystycznego.

Śpiąc, wyglądał... staro. I sprawiał wrażenie zmęczonego. Zauważyłem głębokie bruzdy między brwiami i w kącikach ust. Najbardziej zdradzały wiek duże dłonie o krótkich, grubych palcach. Wiedziałem, że Morgan ma ponad sto lat, czyli jak na maga jeszcze nawet nie osiągnął pełnej dojrzałości. Obie jego ręce szpeciły blizny – graffiti przemocy. Ostatnie dwa palce prawej ręki były sztywne i lekko skrzywione, jakby kiedyś źle się zrosły po złamaniu. Cienie pod zapadniętymi oczami przypominały siniaki. Może Morgan też miał złe sny.

Trudno było się go bać, kiedy spał.

Myszek, mój duży szary pies, wstał ze swojego legowiska we wnęce kuchennej i przyczłapał do mnie, dwieście funtów milczącego towarzystwa. Popatrzył smętnie na Morgana, a potem na mnie.

– Oddaj mi przysługę – poprosiłem. – Zostań z nim i przypilnuj, żeby nie stawał na chorej nodze, bo to mogłoby go zabić.

Myszek trącił mnie głową w biodro, cicho warknął basowym tonem i podszedł w stronę łóżka. Klapnął przy nim na podłogę, wyciągnął się i z powrotem zapadł w drzemkę.

Zamknąłem drzwi od sypialni i opadłem na stojący przy kominku głęboki fotel, żeby pomyśleć, masując skronie.

Biała Rada Magów była organem nadzorującym praktykowanie magii na świecie i składała się z najpotężniejszych adeptów tej sztuki. Wejście w jej skład można było porównać do zdobycia czarnego pasa w sztukach walki. Oznaczało potwierdzenie umiejętności przez kolegów magów. Rada pilnowała ścisłego przestrzegania Siedmiu Praw Magii.

Niech Bóg ma w opiece kiepskiego adepta, który by złamał jedno z Praw. Rada bezzwłocznie wysyłała Strażników, żeby wymierzyli sprawiedliwość, co zwykle przybierało formę bezlitosnego pościgu, szybkiego procesu i natychmiastowej egzekucji... o ile złoczyńca nie zginął w trakcie stawiania oporu przed aresztowaniem.

Brzmi to bezwzględnie i rzeczywiście takie jest, ale z czasem musiałem przyznać, że ten tryb postępowania bywa konieczny. Czarna magia niszczy umysł, serce i duszę stosującego ją maga. Nie dzieje się to od razu, tylko powoli i stopniowo, ale guz rośnie i ropieje, aż żądza władzy pochłania całą empatię i współczucie, które kiedyś mogły cechować daną osobę. Zanim mag ulegnie pokusie i zostanie czarnoksiężnikiem, giną ludzie albo jeszcze gorzej. Obowiązkiem Strażników było szybkie likwidowanie czarnoksiężników wszelkimi niezbędnymi sposobami.

Strażnicy pełnili również inne funkcje. Byli żołnierzami i obrońcami Białej Rady. W ostatniej wojnie z Dworami Wampirów wzięli na siebie lwią część walk; kobiety i mężczyźni, którzy potrafili szybko i skutecznie stosować gwałtowną magię. Do diabła, w większości bitew to Morgan robił najwięcej.

Ja też miałem swój udział w wojnie, ale spośród moich towarzyszy Strażników tylko najnowsi rekruci byli szczęśliwi, że ze mną pracują. Starsi widzieli zbyt wiele tragicznych skutków nadużycia magii i te doświadczenia głęboko ich naznaczyły. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, nie lubili mnie, nie ufali mi i nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego.

Co generalnie mi pasowało.

W ciągu kilku ostatnich lat Biała Rada zorientowała się, że ktoś z jej grona przekazuje informacje wampirom. Wielu ludzi zginęło przez zdrajcę, ale on – lub ona – nigdy nie został zidentyfikowany. Zważywszy na to, jak bardzo kochała mnie Rada w ogólności i Strażnicy w szczególności, paranoja

chroniła mnie przed nudą, zwłaszcza po tym, jak w ramach wysiłku wojennego musiałem wstąpić w ich szeregi.

Dlaczego więc Morgan zjawił się właśnie tutaj i poprosił mnie o pomoc?

Nazwijcie to obłędem, ale moja podejrzliwa natura natychmiast podsunęła myśl, że Morgan próbuje mnie w coś wrobić, żebym znowu naraził się Radzie. Do diabła, kilka lat temu sam próbował mnie zabić. Ale rozum od razu odrzucił ten pomysł. Gdyby Morgan naprawdę nie miał kłopotów z Radą, nie groziły mi żadne konsekwencje za ukrywanie go przed nieistniejącym pościgiem. Poza tym rany bardziej świadczyły o jego szczerości niż jakiegokolwiek słowa. Nie były udawane.

On rzeczywiście nawiał.

Nie śmiałem zwracać się do kogokolwiek o pomoc, póki lepiej nie rozeznam się w sytuacji. Nie mogłem zapytać swoich kolegów Strażników o Morgana, nie zdradzając się w oczywisty sposób, że go widziałem, a to wzbudziłoby ich zainteresowanie. Jeśli Rada ściagała Morgana, każdy, kto mu pomagał, stawał się współnikiem przestępstwa i sam ściągał na siebie kłopoty. Nie mogłem nikogo prosić o pomoc.

Nikogo więcej, poprawiłem siebie. Nie miałem innego wyjścia, jak wezwać Buttersa, i szczerze mówiąc, fakt, że nie był on w żaden sposób powiązany ze światem nadprzyrodzonym, chronił go w pewnym stopniu przed konsekwencjami współudziału. Poza tym Waldo zyskał sobie uznanie Białej Rady, kiedy pomógł mi udaremnić zamiar przemiany jednego z grupy nekromantów w pomniejszego boga. Uratował życie co najmniej jednemu Strażnikowi – dwóm, jeśli liczyć mnie – i groziło mu dużo mniejsze niebezpieczeństwo niż innym osobom zamieszany w ukrywanie zbiega.

Na przykład mnie.

Rany, ten ból głowy zabijał.

Nie mogłem podjąć żadnej akcji wywiadowczej, dopóki się nie zorientuję, co jest grane. Gdybym nierozważnie rozpoczął zadawanie pytań, tylko ściągnąłbym na siebie niepożądaną uwagę. Rozpoczęcie śledztwa na chybicka byłoby błędem, co oznaczało, że muszę zaczekać, aż uda mi się porozmawiać z Morganem.

Wyciągnąłem się na kanapie, żeby trochę pomyśleć. Skupiłem się na

oddychaniu, próbując pozbyć się bólu głowy i oczyścić umysł. Szło mi tak dobrze, że robiłem to przez następne sześć godzin, aż nad miastem zapadł późny zmierzch chicagowskiego lata.

Nie zasnąłem. Medytowałem. Musicie uwierzyć mi na słowo.

Obudziłem się, kiedy Myszek wydał gardłowy pomruk, który nie całkiem był szczeknięciem, ale odgłosem dużo krótszym i wyraźniejszym niż warknięcie. Wstałem i poszedłem do sypialni. Tam zobaczyłem, że Morgan się obudził.

Myszek stał obok łóżka i trzymał szeroki, ciężki łeb na piersi rannego. Morgan od niechcienia drapał go za uszami. Na mój widok spróbował usiąść.

Pies oparł się na nim mocniej, łagodnie zmuszając go do położenia się z powrotem.

Ranny z wyraźnym trudem nabrał powietrza i odezwał się zachrypłym głosem:

– Zdaje się, że mam obowiązkowe leżenie w łóżku.

– Tak – potwierdziłem. – Nieźle oberwałeś. Doktor mówi, że obciążanie tej nogi byłoby złym pomysłem.

Wzrok Morgana się wyostrzył.

– Doktor?

– Spokojnie. To była nieoficjalna wizyta. Znam tego gościa.

Morgan chrząknął, zwilżył wargi i spytał:

– Masz coś do picia?

Przyniosłem mu trochę zimnej wody w butelce z dużą słomką. Morgan miał dość rozsądku, żeby nie wyłopać jej duszkiem. Pił małymi łykami, a na koniec wziął głęboki oddech, skrzywił się jak człowiek, który zamierza włożyć rękę w ogień, i wykrztusił:

– Dziękuję...

– Och, zamknij się – przerwałem mu w pół słowa. – Żaden z nas nie chce tej rozmowy.

Może tylko sobie to wyobraziłem, ale Morgan chyba trochę się odprężył. Pokiwał głową i zamknął oczy.

– Jeszcze nie zasypiaj, bo muszę zmierzyć ci temperaturę – uprzedziłem go. – Inaczej byłoby niezręcznie.

– No tak – przyznał Morgan, otwierając oczy.

Poszedłem po termometr, jeden z tych staromodnych rtęciowych. Kiedy wróciłem, Morgan powiedział:

– Nie wydałeś mnie.

– Jeszcze nie. Chcę cię wysłuchać.

Morgan kiwnął głową, wziął ode mnie termometr i oznajmił:

– Aleron LaFortier nie żyje.

Wsadził sobie termometr w usta, pewnie specjalnie, żeby mnie zadrzeć oczekiwaniem. Ale ja po prostu zacząłem snuć rozważania.

LaFortier należał do Rady Starszych, siedmiu najbardziej dojrzałych i najzdolniejszych magów na planecie, którzy kierowali Białą Radą i dowodzili Strażnikami. Był chudym, łysym, świętoszkowatym palantem. W czasie procesu miałem wtedy na głowie kaptur, więc tylko mogłem podejrzewać, że to on jako pierwszy uznał mnie za winnego i głosował przeciwko łagodnemu wymiarowi kary ze moje zbrodnie. Twardo popierał Merlina, przewodniczącego Rady, zdecydowanie nastawionego przeciwko mnie.

Jednym słowem, gruba ryba.

Z drugiej strony należał do najlepiej chronionych magów na świecie. Wszyscy członkowie Rady Starszych nie tylko sami byli niebezpieczni, ale na dodatek jeszcze pilnowały ich oddziały Straży. W czasie wojny z wampirami często zdarzały się próby zabójstwa, tak że w rezultacie Strażnicy stali się bardzo dobrzy w zapewnianiu bezpieczeństwa starszyźnie Białej Rady.

Dokonałem w myślach pewnych kalkulacji.

– To była robota zdrajcy – stwierdziłem spokojnie. – Tak samo jak w przypadku Szymona Piotrowicza.

Morgan pokiwał głową.

– I obwinili ciebie?

Morgan powtórzył gest i wyjął termometr z ust. Zerknął na odczyt i oddał mi przyrząd. Ja też spojrzałem na podziałkę. Trzydzieści siedem z kreskami.

– Zrobiłeś to? – spytałem, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie.

Uwierzyłem mu.

– Dlaczego oskarżyli właśnie ciebie?

– Bo zastali mnie stojącego nad ciałem LaFortiera z bronią w ręce – odparł Morgan. – Znaleźli również nowo otwarty rachunek bankowy na moje nazwisko, z kilkoma milionami dolarów, i bilingi, które świadczyły, że utrzymywałem regularny kontakt ze szpiegiem Czerwonego Dworu.

Uniosłem brew.

– O rety! To naprawdę irracjonalne z ich strony, że wyciągnęli taki pochopny wniosek.

Usta Morgana wykrzywiły się w kwaśnym uśmiechu.

– A jak brzmi twoja historia? – zapytałem.

– Dwie noce temu poszedłem spać i obudziłem się w prywatnym gabinecie LaFortiera w Edynburgu, z guzem na potylicy i zakrwawionym sztyletem w ręce. Simmons i Thorsen wpadli do pokoju jakieś piętnaście sekund później.

– Zostałeś wrobiony.

– Właśnie.

Odetchnąłem głęboko.

– Masz jakiś dowód? Alibi? Cokolwiek?

– Gdybym miał, nie musiałbym uciekać z aresztu. Kiedy zrozumiałem, że ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby mnie wrobić, uznałem, że to moja jedyna szansa... – Urwał i zakaszłał.

– Na znalezienie prawdziwego zbrojcy – dokończyłem za niego.

Podąłem mu butelkę, a on wypił kilka łyków wody i powoli się odprężył. Kilka minut później skierował na mnie znużony wzrok.

– Zamierzasz mnie wydać?

Przez dłuższą chwilę patrzyłem na niego w milczeniu, aż wreszcie westchnąłem.

– Tak byłoby dużo łatwiej.

– Owszem – przyznał Morgan.

– Jesteś pewien, że zostałeś skazany?

Morgan pokiwał głową z wyrazem twarzy jeszcze bardziej nieobecny niż zwykle.

– Widywałem to dostatecznie często.

– Więc mógłbym zostawić cię na lodzie.

– Mógłbyś.

– Ale gdybym to zrobił, nie znaleźlibyśmy zdrajcy. I ponieważ ty zostałbyś ścięty zamiast niego, on mógłby nadal swobodnie działać. Zginęłoby jeszcze więcej ludzi, a kolejną osobą, którą on by wrobił...

– ...mógłbyś być ty – dokończył Morgan.

– Przy moim szczęściu? – rzuciłem posępnym tonem. – „Mógłbym” to niewłaściwe słowo.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Używają zaklęć tropiących, żeby cię śledzić – stwierdziłem. – Przypuszczam, że podjąłeś jakieś środki zaradcze, bo inaczej już staliby pod drzwiami.

Morgan kiwnął głową.

– Jak długo będą działać? – zapytałem.

– Czterdzieści osiem godzin. Najwyżej sześćdziesiąt.

Zacząłem myśleć.

– Masz gorączkę. Muszę kupić jakieś leki. Zdobędę je dla ciebie. Dzięki nim może ci się nie pogorszy.

Morgan ponownie skinął głową i zamknął oczy. Zabrakło mu paliwa. Obserwowałem go przez chwilę, a następnie sięgnąłem po swoje rzeczy.

– Miej na niego oko, chłopcze – rzuciłem do Myszka.

Pies wyciągnął się na podłodze obok łóżka.

Czterdzieści osiem godzin. Miałem jakieś dwa dni na znalezienie zdrajcy w Białej Radzie, czego w ciągu kilku ostatnich lat nie potrafił dokonać nikt. Potem Morgana znajdą, osądzą i zabiją, a jego współnik, wasz przyjazny sąsiad Harry Dresden, będzie następny w kolejce.

Nic tak nie motywuje do działania jak deadline.

Zwłaszcza w sensie dosłownym.

3

Wsiadłem do swojego sfatygowanego volkswagena, Niebieskiego Chrabąszcza, i ruszyłem do tajnego składu leków.

Problem z tropieniem zdrajcy w Białej Radzie wydawał się prosty: do specyficznych informacji, które wyciekły, miała dostęp ograniczona liczba osób. Pula podejrzanych była cholernie mała, głównie członkowie Rady Starszych, wszyscy bez zarzutu i najmniejszej skazy.

Gdyby ktoś rzucił podejrzenie na jednego z nich, sprawy potoczyłyby się szybko. Oskarżony i niewinny zareagowałby w taki sam sposób, jak Morgan. Wiedząc doskonale, że sprawiedliwość Rady jest ślepa, zwłaszcza na tak irytujące rzeczy jak fakty, ten ktoś nie miałby innego wyjścia. Musiałby stawić opór.

Niesforny młody mag walczący z systemem to jedno, ale gdyby to samo zrobił któryś z zawodników wagi ciężkiej z Rady Starszych, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Cała starszyzna miała rozległe kontakty w Białej Radzie, a za sobą wieki doświadczenia i umiejętność gromadzenia ogromnej ilości czystej siły. Gdyby jeden z nich przystąpił do walki, oznaczałoby to coś więcej niż tylko opór przed aresztowaniem.

Oznaczałoby konflikt wewnętrzny, jakiego Biała Rada jeszcze nigdy nie widziała.

Oznaczałoby wojnę domową.

Zważywszy na okoliczności, nie potrafiłem wyobrazić sobie czegoś bardziej katastrofalnego dla Białej Rady. Równowaga sił w nadprzyrodzonym świecie krucha i niepewna, a nam ledwo udało się ostatnio przetrwać wojnę z Dworami Wampirów. Obie strony dochodziły teraz do siebie, ale wampiry mogły uzupełnić straty dużo szybciej niż my. Gdyby teraz w Radzie zaczęły się tarcia, nasi wrogowie z pewnością wykorzystaliby sytuację.

Morgan miał rację, że uciekł. Znałem Merlina dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że bez mrugnięcia okiem poświęciłby niewinnego człowieka, gdyby dzięki temu mógł ochronić Radę. Nie zawahałby się tym bardziej, gdyby chodziło o kogoś, kto rzeczywiście mógł być winny.

Tymczasem prawdziwy zdrajca zacierałby z radości ręce. Jeden ze starszyzny już nie żył i nawet gdyby Rada jako całość nie implodowała w ciągu kilku następnych dni, zaczęłyby się w niej szerzyć paranoja i nieufność. Potem nastąpiłaby egzekucja najzdolniejszego i najlepiej wyszkolonego spośród polowych dowódców Strażników. Wystarczyłoby teraz, żeby zdrajca powtórzył manewr, może z drobnymi wariacjami, a wcześniej czy później coś by pękło.

Miałem tylko jeden strzał. Musiałem znaleźć winnego, od razu bezbłędnie i bez najmniejszych wątpliwości.

Pułkownik Musztarda, w piwnicy, glinianą fajką.

Potrzebowałem jedynie jakiegoś śladu.

Bez pośpiechu, Harry.

* * *

Mój przyrodni brat mieszkał w drogim apartamencie na samym skraju Gold Coast, czyli tam, gdzie w Chicago żyje mnóstwo ludzi z mnóstwem pieniędzy. Thomas prowadzi drogi butik nastawiony na klientelę z wyższych sfer, która chętnie płaci po kilkaset dolarów za ścięcie włosów i suszenie. On sam też dobrze sobie radzi, czego świadectwem jest adres.

Zaparkowałem kilka przecznic na zachód od jego mieszkania, gdzie czynsze są niezupełnie takie jak w Gold Coast, i poszedłem dalej na piechotę. Nacisnąłem domofon. Żadnej reakcji. Spojrzałem na zegar wiszący w holu, po czym skrzyżowałem ręce na piersi i oparłem się o ścianę, żeby poczekać, aż Thomas wróci z pracy.

Jego samochód wjechał na parking kilka minut później. Thomas zamienił ogromnego Hummera, którego udało się nam rozbić, na nowiutki, nedorzecznie drogi samochód: jaguara z mnóstwem chromu i złocień. Nie

muszę dodawać, że w kolorze białym.

Czekałem, aż brat podejdzie do drzwi. Zjawił się minutę później. Miał niecałe sześć stóp wzrostu, był ubrany w ciemnogranatowe skórzane spodnie i białą jedwabną koszulę z szerokimi rękawami. Kruczoczarne włosy pasowały odcieniem do spodni i opadały falami poniżej ramion. Thomas miał szare oczy, zęby bielsze niż śnieg, twarz stworzoną do magazynów z modą. I odpowiednią budowę ciała. Przy nim wszyscy Spartanie z tamtego filmu wyglądali na sflaczałych, a poza tym on nie stosował makijażu natryskowego.

Na mój widok uniósł czarne brwi.

– Arry – powiedział z przesadnym francuskim akcentem, którego używał w miejscach publicznych. – Dobry wieczór, *mon ami*.

Skinąłem mu głową.

– Cześć. Musimy pogadać.

Kiedy Thomas zobaczył wyraz mojej twarzy i mowę ciała, jego uśmiech zbladł.

– Ależ oczywiście.

Weszliśmy do jego apartamentu. Jak zawsze wewnątrz było nieskazitelne, umeblowanie drogie, nowoczesne i bardzo modne, z mnóstwem niklowanych elementów wykończenia. Wszedłem, oparłem laskę o framugę drzwi frontowych, a następnie opadłem na jedną z kanap. Przyjrzałem się jej i zapytałem:

– Ile za nią dałeś?

– Mniej więcej tyle, ile ty za Chrabąszcza. – Thomas zrezygnował z francuskiego akcentu.

Pokręciłem głową, wiercąc się, żeby znaleźć lepszą pozycję.

– Za tyle pieniędzy mogliby dać więcej poduszek – skomentowałem. – Siadywałem na wygodniejszych płotach.

– Bo ona wcale nie jest przeznaczona do siedzenia – poinformował mnie Thomas. – Ma pokazywać ludziom, jaki jesteś bogaty i stylowy.

– Ja kupiłem swoją kanapę za trzydzieści dolarów na wyprzedaży garażowej. Jest w pomarańczowo-zieloną kratę i na tyle twarda, żeby na niej nie zasnąć.

– To do ciebie podobne – rzucił z uśmiechem Thomas, przechodząc do kuchni. – A ta tutaj jest w moim stylu. Albo w każdym razie w stylu mojej postaci. Piwo?

– Jeśli jest zimne.

Wrócił z dwiema ciemnobrązowymi, oszronionymi butelkami i podał mi jedną. Zdjęliśmy kapsle, stuknęliśmy się, Thomas usiadł na fotelu naprzeciwko kanapy.

– No dobrze, o co chodzi? – zapytał.

– Kłopoty. – Opowiedziałem mu o Morganie.

Thomas sposepniał.

– Na pustą noc! Morgan? Morgan?! Co z twoją głową, Harry?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie sądzę, żeby to zrobił.

– A kogo to obchodzi? Morgan nie przeszedłby przez ulicę, żeby na ciebie nasikać, gdybyś się palił – zauważył Thomas gderliwym tonem. – Dlaczego ty miałbyś teraz choć kiwnąć palcem?

– Bo nie sądzę, żeby to zrobił – powtórzyłem. – Poza tym nie przemyślałeś sprawy.

Thomas rozparł się w fotelu i, sącząc piwo, popatrzył na mnie zmrużonymi oczami. Ja też uniosłem butelkę do ust i pozwoliłem mu dumać w milczeniu. Z jego mózgiem było wszystko w porządku.

– Okay – burknął w końcu. – Przychodzi mi na myśl kilka powodów, dlaczego chcesz kryć tego morderczego palanta.

– Potrzebuję apteczki, którą u ciebie zostawiłem.

Thomas wstał i poszedł do szafy w korytarzu, wyładowanej po brzegi najróżniejszymi rupieciami, które się gromadzą, kiedy człowiek mieszka w jednym miejscu przez jakiś czas. Mój brat wyjął z niej biały pojemnik z namalowanym na boku czerwonym krzyżem. Zręcznie złapał piłkę, która sturlała się z górnej półki, tak że nie zdążyła uderzyć go w głowę. Zamknął szafę, poszedł do chłodziarki po lodówkę turystyczną, a następnie postawił obie rzeczy na podłodze obok mnie.

– Proszę, tylko mi nie mów, że to wszystko, co mogę zrobić – uprzedził.

– Nie. Jest coś jeszcze.

Thomas rozłożył ręce.

– Tak?

– Chciałbym, żebyś wybadał, co Dwory Wampirów wiedzą o tym pościgu. I bardzo mi zależy, żeby zrobił to dyskretnie.

Brat gapił się na mnie przez chwilę, po czym westchnął przeciągle.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Muszę wiedzieć, co się dzieje, a nie mogę o to wprost zapytać moich ludzi. Ale jeśli pewna grupa dowie się, że zadajesz pytania, ktoś doda dwa do dwóch i uważniej przyjrzy się Chicago.

Mój brat wampir znieruchomiał na chwilę. Żadna ludzka istota nie potrafi tak zrobić. On po prostu się zawiesił. Miałem wrażenie, że patrzę na figurę woskową. Z łatwością można było nie zauważyć jego obecności w pokoju.

– Prosisz mnie, żebym wciągnął w to Justine – stwierdził w końcu.

Ta dziewczyna chętnie oddałaby życie za mojego brata. A on sam omal jej nie zabił, żeby ją chronić. Słowo „miłość” nie wystarczało na określenie tego, co ich łączyło. Podobnie jak „zakazana”.

Mój brat był wampirem z Białego Dworu, co oznaczało, że nigdy nie będą mogli być razem z Justine. Dla niego miłość równała się cierpieniu.

– Ona jest osobistą asystentką przywódczyni Białego Dworu – przypomniałem. – Jeśli ktokolwiek jest w stanie czegoś się dowiedzieć, to właśnie ona.

Thomas zerwał się z fotela ruchem trochę zbyt szybkim jak na człowieka i wzburzony zaczął krążyć po pokoju.

– Ona już za dużo ryzykuje, dostarczając ci informacji o działaniach Białego Dworu. Nie chcę, żeby jeszcze bardziej się narażała.

– Rozumiem – powiedziałem. – Ale przecież została tajną agentką, żeby działać w sytuacjach takich jak ta. Właśnie coś takiego chciała robić, kiedy w to wchodziła.

Thomas pokręcił głową.

Westchnąłem.

– Posłuchaj, nie proszę, żeby dezaktywowała promień tropiący, uratowała

księżniczkę, uciekła na czwarty księżyc Yavina. Muszę tylko wiedzieć, co w trawie piszczy. Niech po prostu ma oczy i uszy otwarte, ale uważa, żeby się nie zdradzić.

Thomas spacerował jeszcze przez chwilę, potem się zatrzymał i zmierzył mnie twardym spojrzeniem.

– Najpierw mi coś obiecaj – zażądał.

– Co?

– Obiecaj, że nie narazisz jej na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Obiecaj, że nie będziesz działał na podstawie informacji, po których mogliby do niej dotrzeć.

– Do diabła, Thomas. – Westchnąłem ze znużeniem. – To zwyczajnie nie jest możliwe. Nie ma sposobu, żeby odróżnić, którą informację można bezpiecznie wykorzystać, a która może być dezinformacją.

– Obiecaj mi – powtórzył brat z naciskiem.

Pokręciłem głową.

– Obiecuję, że zrobię absolutnie wszystko, co w mojej mocy, żeby Justine była bezpieczna.

Thomas kilka razy zacisnął zęby. Obietnica go nie usatysfakcjonowała, choć może celniejsze byłoby stwierdzenie, że nie satysfakcjonowała go cała sytuacja. Wiedział, że nie mogę zagwarantować Justine całkowitego bezpieczeństwa, ale zarazem miał pewność, że się postaram.

Wziął głęboki oddech. Następnie kiwnął głową i powiedział:

– Dobrze.

4

Pięć minut po wyjściu od Thomasa przyłapałem się na tym, że odruchowo zerkam co chwila w lusterko wsteczne. Rozpoznałem narastające we mnie ciche napięcie. Instynkt podpowiadał mi, że złapałem trop.

Oczywiście to było tylko przeczucie, ale... Hej, magu! Twoja intuicja zdobyła sobie dostateczną wiarygodność, żebyś jej słuchał. Skoro mówi, że ktoś cię śledzi, powinieneś zacząć się oglądać.

Jeśli ktoś za mną jechał, niekoniecznie wiązało się to z obecną sytuacją z Morganem. To znaczy nie musiało się wiązać, prawda? Jednak nie wykaraskałbym się z mnóstwa paskudnych sytuacji, gdybym przez cały czas zachowywał się jak głupiec. Może często, ale nie przez cały czas. A byłbym idiotą, gdybym zakładał, że moje niespodziewane towarzystwo nie ma związku z Morganem.

Skręciłem kilka razy dla zabawy, ale nie wypatrzyłem żadnego ogona. Co tak naprawdę nic nie znaczyło. Dobry, zgrany zespół mógł śledzić cel prawie niezauważalnie, zwłaszcza w nocy, kiedy wszystkie samochody na drodze wyglądają jak dwa poruszające się światła. Nikogo nie widziałem, ale to nie świadczyło, że nikt za mną nie jedzie.

Zjeżyły mi się włoski na karku, na kolejnych skrzyżowaniach coraz bardziej napinały mi się mięśnie pleców.

A jeśli mój prześladowca nie jechał samochodem?

Wyobraźnia natychmiast podsunęła mi wizje różnych maszkar sunących cicho na skrzydłach nietoperza tuż nad poziomem miejskich świateł i szykujących się do lotu nurkowego na Niebieskiego Chrabąszcza, żeby rozedrzeć go pazurami na pasy metalu. Jak prawie zawsze w tej części miasta ulice były zatłoczone. Miejsce wydawało się zbyt publiczne na atak, ale to nie wykluczało automatycznie jego możliwości. Coś takiego już mi się wcześniej przydarzyło.

Zagryzłem wargę, myśląc intensywnie. Nie mogłem wrócić do mieszkania, póki się nie upewnię, że zgubiłem ogon. A żeby to zrobić, musiałem najpierw go namierzyć.

Nie oczekiwałem, że przeżyję następne dwa dni bez podejmowania żadnego ryzyka. Uznałem więc, że równie dobrze mogę zacząć już teraz.

Wziąłem głęboki oddech, skupiłem się i na jedno mrugnięcie przymknąłem powieki. Kiedy otworzyłem oczy, uruchomiłem Wejrzenie.

Wzrok maga, zdolność postrzegania świata w znacznie poszerzonym spektrum, jest niebezpiecznym darem. Czy nazwiemy go duchowym widzeniem, wewnętrznym zmysłem czy Trzecim Okiem, pozwala ono widzieć rzeczy, których w inny sposób nie da się dostrzec. Wejrzenie ukazuje świat taki, jakim jest naprawdę, materię powiązaną z energią kosmosu, z magią. Może pokazać piękno, które wywołałoby łzy pokory u aniołów, i okropieństwa, których nawet Czarna Koza z Lasu z Tysiącem Potomstwa nie odważyłaby się wykorzystać do straszenia swoich dzieci na dobranoc.

Cokolwiek się zobaczy, dobrego, złego czy przyprawiającego o szaleństwo, zostaje z tobą na zawsze. Nie można tego zapomnieć, czas nie zaciera wspomnień. Są twoje. Na wieczność.

Magowie, którzy używają Wejrzenia gdzie popadnie, wariują.

Moje Trzecie Oko pokazało mi teraz Chicago w jego prawdziwej formie, a ja przez sekundę myślałem, że teleportowałem się do Vegas. Energia płynąca przez ulice, budynki i ludzi jawiła mi się jako cienkie promienie światła, które mknęły w różne strony, wbijały się w obiekty stałe i wychodziły bez szwanku po drugiej stronie. Energie krążące w starych, okazałych budowlach miały w sobie solidną i niewzruszoną stabilność, podobnie jak ulice miasta, ale reszta, przypadkowe siły generowane przez myśli i emocje ośmiu milionów ludzi łączyły się ze sobą bez ładu i składu, tworząc chaos jaskrawych kolorów.

Chmury uczuć były przetykane migotliwymi iskrami idei. Ciężkie strumienie głębokich myśli toczyły się wolno pod mieniącymi się i jarzącymi klejnotami radości. Błoto negatywnych emocji przywierało do różnych powierzchni i zostawiało na nich ciemniejsze plamy, a delikatne bąble

marzeń rozkosznie dryfowały ku kalejdoskopowi gwiazd.

Jasny gwint! Ledwo widziałem pasy na drodze.

Obejrzałem się przez ramię. Pasażerowie samochodów jadących za mną jawili mi się jako plamy bieli, która zmieniała się w inne kolory zależnie od myśli tych ludzi, ich nastrojów i osobowości. Gdybym znajdował się bliżej, mógłbym dojrzeć więcej szczegółów, choć stałyby się one przedmiotem mojej podświadomej interpretacji. Jednak nawet z tej odległości potrafiłem stwierdzić, że oni wszyscy są śmiertelnikami.

Poczułem ulgę. Dostrzegłbym każdego maga dostatecznie silnego, żeby zostać Strażnikiem. Jeśli ten, kto mnie śledził, był zwykłym człowiekiem, mogłem przyjąć, że Biała Rada jeszcze nie dopadła Morgana.

Spojrzałem w górę i...

Czas się zatrzymał.

Spróbujcie sobie przypomnieć odór zepsutego mięsa. Wyobraźcie sobie płynnego, nierytmicznie pulsującego trupa pełnego czerwi. Wyobraźcie sobie zastarzały smród ciała wymieszany z pleśnią, zgrzytem paznokci na tablicy, smakiem zepsutego mleka i zapachem zgniłego owocu. A na koniec wyobraźcie sobie, że wasze oczy są w stanie dostrzec to wszystko jednocześnie, z nieznośnymi szczegółami.

Bo ja właśnie to zobaczyłem: przyprawiającą o mdłości i koszmary bezkształtną masę, która świeciła jak latarnia morska na jednym z okolicznych budynków. Kryła się w jej wnętrzu jakaś fizyczna postać, ale równie dobrze mógłbym próbować dojrzeć coś w ściekach. Nie byłem w stanie odróżnić żadnych szczegółów przez mgłę absolutnego zła, która otaczała to coś, co skakało z jednego dachu na drugi na tyle szybko, żeby dotrzymać mi kroku.

Ktoś krzyknął. Prawdopodobnie ja. Samochód uderzył w jakąś przeszkodę i zaprotestował przeraźliwym zgrzytaniem. Podskoczył ciężko w górę i opadł z głuchym łupnięciem. Wjechałem na krawężnik. W dłoniach zaciśniętych na kierownicy poczułem telepanie przednich kół. Nadal wrzeszcząc, nadepnałem hamulec i jednocześnie próbowałem zamknąć Trzecie Oko.

Następną rzeczą, którą sobie uświadomiłem, była symfonia niecierpliwych klaksonów.

Ścisnąłem kierownicę, aż zbieleły mi kostki. Silnik zgasł. Sądząc po wilgoci na policzkach, musiałem płakać... chyba że zacząłem toczyć pianę z ust, czego też nie mogłem wykluczyć.

Gwiazdy i kamienie! Co to było, na litość boską?

Samo muśnięcie tej istoty myślami wystarczyło, żeby przywołać jej wspomnienie w całej jego potworności. Wzdrygnąłem się i zacisnąłem powieki. Czułem, że cały drzę. Nie wiem, ile czasu zabrało mi oczyszczenie pamięci. Ale kiedy wreszcie tego dokonałem, wszystko było takie samo, tyle że głośniejsze.

Ponieważ zegar tykał, nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby gliniarze aresztowali mnie za jazdę pod wpływem. A wiedziałem, że właśnie tak się stanie, jeśli zaraz stąd nie ruszę, oczywiście o ile nie rozbiłem samochodu. Wziąłem głęboki wdech, nakazałem sobie nie myśleć o zjawie...

I zobaczyłem ją znowu.

Kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że przygryzłem sobie język. W gardle mnie piekło. Dygotałem jeszcze mocniej.

Nie było mowy, żebym prowadził. Nie w takim stanie. Jedna nieopatrzna myśl i kogoś rozjadę. Ale nie mogłem również tutaj zostać.

Wjechałem na chodnik, żeby Chrabąszcz przynajmniej nie stał na jezdni. Potem wysiadłem i ruszyłem przed siebie. Zdawałem sobie sprawę, że miasto odholuje mój samochód w ciągu trzech milisekund, ale przynajmniej nie zostanę aresztowany.

Chwiejnie kroczyłem chodnikiem, mając nadzieję, że mój prześladowca, zjawa...

Kiedy oprzytomniałem, leżałem na ziemi zwinięty w kłębek, mięśnie miałem naprężone i obolałe. Ludzie obchodzili mnie szerokim łukiem, rzucając nerwowe spojrzenia z ukosa. Czułem się taki słaby, że nie byłem pewien, czy dam radę wstać.

Potrzebowałem pomocy.

Spojrzałem na najbliższą tabliczkę z nazwą ulicy i gapiłem się na nią długo, aż w końcu do mojego sponiewieranego mózgu dotarło, gdzie jestem.

Dźwignąłem się, opierając na lasce, i pokuśtykałem przed siebie najszybciej, jak mogłem. Idąc, zacząłem wymieniać liczby pierwsze,

skupiając się na tym zadaniu równie mocno jak przy rzucaniu czaru.

– Jeden – wymamrotałem przez zaciśnięte zęby. – Dwa. Trzy. Pięć. Siedem. Jedenaście. Trzynaście...

I tak, zataczając się, szedłem przez noc, zbyt przerażony, żeby myśleć o tym, co mogło za mną podążać.

5

Po liczbie dwa tysiące dwieście trzydzieści dziewięć dotarłem do mieszkania Billy'ego i Georgii.

Życie młodych wilkołaków zmieniło się, odkąd Billy skończył studia i zaczął zarabiać poważne pieniądze jako inżynier, ale nie wyprowadzili się z mieszkania, które zajmowali w czasach college'u. Georgia nadal się uczyła czegoś związanego z psychologią i razem oszczędzali pieniądze na dom. Dla mnie dobrze. Nie byłbym w stanie dojść na przedmieścia.

Drzwi otworzyła Georgia. Była wysoką kobietą, smukłą i wiotką, ubraną w T-shirt i luźne, długie spodnie, raczej bystrą niż ładną.

– Mój Boże! – wykrzyknęła na mój widok. – Harry.

– Cześć, Georgia. Dwa tysiące dwieście... czterdzieści trzy. Potrzebuję ciemnego, cichego pokoju.

Wytrzeszczyła oczy.

– Co?

– Dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt jeden. I wyślij wilczy sygnał. Lepiej, żebyś tu miała całe stado. Dwa tysiące dwieście... sześćdziesiąt... siedem.

Georgia szerzej otworzyła drzwi i odsunęła się na bok.

– Harry, o czym ty mówisz?

Wszedłem do środka.

– Dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt... niepodzielne przez trzy, sześćdziesiąt dziewięć. Potrzebuję ciemnego pokoju. Cichego. Ochrony.

– Ktoś cię ściga? – domyśliła się Georgia.

Kiedy zadała to pytanie, a mój mózg na nie odpowiedział, nawet z pomocą Eratostenesa nie zdołałem przepędzić obrazu tamtej istoty z moich myśli, tak że osunąłem się na kolana i runąłbym jak długi na podłogę, gdyby Billy mnie nie złapał. Był niskim facetem, mierzącym jakieś pięć stóp i sześć cali, ale górną połowę ciała miał rozbudowaną jak zapaśnik

i poruszał się z szybkością i precyzją drapieżcy.

– Ciemny pokój – wykrztusiłem. – Zwołajcie stado. Szybko.

– Zrób to, Billy – rzuciła Georgia głosem cichym i nagłym. Zamknęła drzwi na rygle i opuściła ciężką drewnianą belkę wielkości ławy piknikowej, którą sami zainstalowali. – Zaprowadź go do naszego pokoju. Ja podzwonię.

– Jasne – odparł Billy.

Nawet nie stęknął, kiedy wziął mnie na ręce jak dziecko i zaniósł do ciemnej sypialni. Położył mnie na łóżku i podszedł do okna. Ściągnął w dół ciężką stalową roletę, najwyraźniej kolejne udoskonalenie i środek bezpieczeństwa, który zamontowali razem z Georgią.

– Czego potrzebujesz, Harry? – spytał.

– Ciemności. Ciszy. Później wyjaśnię.

Billy położył dłoń na moim ramieniu i powiedział krótko:

– Dobrze.

Następnie wyszedł na palcach z sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Zostałem w ciemności sam ze swoimi myślami. Właśnie o to mi chodziło.

– No, dalej, Harry – mruknąłem do siebie. – Przywyknij do tego obrazu.

I pomyślałem o istocie, którą niedawno widziałem.

Zabolało. Ale kiedy oprzytomniałem, zrobiłem to znowu. I znowu. I jeszcze raz.

Tak, zobaczyłem coś strasznego. Tak, to było potworne i przerażające. Ale doświadczyłem też innych rzeczy.

Te wspomnienia również przywołałem, wszystkie równie ostre i świeże jak prześladowający mnie koszmar. Widywałem dobrych ludzi, którzy pod wpływem czarnej magii wrzeszczeli jak obłąkani. Widywałem prawdziwe ja mężczyzn i kobiet, dobrych i złych, widywałem, jak ludzie zabijają i sami umierają. Widywałem królowe fae, które przyciągały do siebie wszystkie okropne moce, szykując się do bitwy.

I niech mnie diabli, jeśli miałbym ześwirować z powodu jeszcze jednej potwornej istoty, która tylko skakała sobie po dachach.

– No, chodź, wypierdku – warknąłem do tego wspomnienia. – Przy innych jesteś tylko brzydkim zdjęciem ze szkolnego albumu.

I powtarzałem to sobie wciąż od nowa, napełniałem umysł wszystkimi

strasznymi i pięknymi rzeczami, które widziałem Trzecim Okiem. Skupiałem się na tym, co zrobiłem dobrze. Przypominałem sobie istoty, z którymi walczyłem i które zniszczyłem. Wspominałem zdobyte przez siebie twierdze pełne koszmarów i okropieństw, mroczne bramy, które rozwalilem. Wspominałem twarze więźniów, których uwolniłem, i pogrzeby tych, których nie zdążyłem uratować. Wspominałem głosy i śmiech, radość z ponownych spotkań ukochanych, łzy opuszczonych i pogrążonych w żałobie.

Istniały na świecie złe rzeczy. Nie było przed nimi ucieczki. Ale to nie znaczyło, że nic się nie da z nimi zrobić. Nie można porzucić życia tylko dlatego, że jest przerażające, i dlatego, że czasami ktoś cierpi.

Wspomnienie tamtej istoty bolało jak cholera, ale ten ból nie był niczym nowym ani szczególnym. Żyłem z nim już wcześniej i jeszcze pożyję. Nie była to pierwsza rzecz, którą zobaczyłem Trzecim Okiem, ani ostatnia.

Nie zamierzałem się położyć i umrzeć.

Młoty doskonałej pamięci pozbawiły mnie przytomności.

* * *

Kiedy się ocknąłem, siedziałem na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Dłonie trzymałem na kolanach. Oddychałem wolno, równomiernie i głęboko. Plecy miałem wyprostowane. W głowie łomotało mi boleśnie, ale już nie tak obezwładniająco.

Podniosłem wzrok i rozejrzałem się po pokoju. Był ciemny, ale przebywałem w nim dostatecznie długo, żeby mój wzrok przywykł do tej odrobiny światła, która sączyła się spod drzwi. Zobaczyłem siebie w lustrze toaletki. Siedziałem prosto, ale w swobodnej pozie. Zdjąłem wcześniej płaszcz, tak że teraz widziałem w lustrzanym odbiciu biały napis „Perfekcjonista” na moim T-shircie. Z obu nozdrzy wyciekły cienkie, czerwone strużki i teraz zasychały na górnej wardze. W ustach czułem smak krwi, pewnie od ugryzienia w język.

Znowu pomyślałem o swoim prześladowcy i wzdrygnąłem się mimo

woli... ale to wszystko. Nadal oddychałem wolno i równomiernie.

To właśnie było zaletą człowieczeństwa. Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy elastycznym gatunkiem. Z pewnością nigdy nie zdołałbym pozbyć się wspomnienia tej strasznej istoty, czy wielu innych, które widziałem w moim życiu, więc gdyby pamięć nie mogła się zmieniać, ja musiałbym się zmienić. Przyzwyczać się do widywania tego rodzaju okropieństw, ale pozostać istotą rozumną. Lepszym ode mnie się udawało.

Na przykład Morgan.

Zadrzałem znowu, ale nie z powodu wspomnień. Wiedziałem, że widok potworności zmienia człowieka. Może nie od razu, może nie w potwora. Ale było się naznaczonym już na zawsze.

Ile razy trzeba coś takiego przeżyć, żeby skutki stały się nieodwracalne? Byłem młody jak na maga. Gdzie znajdę się po dekadach albo wiekach nieodwracania wzroku?

Spytajcie Morgana.

Wstałem z łóżka i poszedłem do łazienki. Włączyłem światła i skrzywiłem się, kiedy blask poraził moje oczy. Zmyłem krew z twarzy i starannie wyczyściłem umywalkę. W moim biznesie nie zostawia się krwi tam, gdzie ktoś mógłby ją znaleźć.

Następnie włożyłem z powrotem płaszcz i opuściłem sypialnię.

Billy stał w salonie przy oknie prowadzącym na mały balkon, Georgia siedziała przy telefonie.

– Nic nie widzę – mówił Billy. – Jest pewien?

– Tak – odpowiedziała Georgia ze słuchawką przy uchu. – Jest pewien, że tamten skręcił w tę stronę. Powinieneś go dojrzeć ze swojego miejsca.

– Nie ma go. – Billy obejrzał się przez ramię i zapytał: – Harry, dobrze się czujesz?

– Przeżyję. – Zbliżyłem się do okna. – Przyszedł za mną aż tutaj?

– Coś jest na zewnątrz – potwierdził Billy. – Nigdy wcześniej z czymś takim się nie zetknęliśmy. Od godziny bawi się w ciuciubabkę z Kirbym i Andi. Nie mogą go złapać ani nawet mu się przyjrzeć.

Zmierzyłem go wzrokiem. Niewiele jest istot, które potrafią umknąć przed współpracującymi ze sobą wilkołakami. Wilki są na to o wiele za

czujne i za szybkie. Billy i jego stado działali w Chicago co najmniej tak długo jak ja i dobrze sobie radzili. W ciągu kilku ostatnich miesięcy wpołem swojej praktykantce trochę pokory. Pozwalałem jej wypróbować zaklęcia osłaniające i za każdym razem wilkołaki błyskawicznie ją dopadały.

– Cokolwiek tam się czai, nie jest człowiekiem, skoro potrafi umknąć przed Kirbym i Andi – stwierdziłem i też wyjrzałem przez okno. – I osłonić przed wzrokiem.

– Co to jest? – zapytał cicho Billy.

– Nie wiem. Ale jest naprawdę złe. – Zerknąłem na Georgię. – Jak długo leżałem nieprzytomny?

Georgia spojrzała na zegarek.

– Osiemdziesiąt dwie minuty.

Pokiwałem głową.

– Dużo czasu na próbowanie, jak się tu dostać, jeśli to coś tego właśnie chce. – Poczulem w brzuchu mdlący ucisk, ale moje usta rozciągnął wymuszony uśmiech. – Ten stwórz się ze mną bawi.

– W co?

– Tańczy przed nami za zasłoną. Wyzywa mnie, żebym użył Wejrzenia.

Nagle z zewnątrz dobiegł krzyk. Krótki, wysoki i tak głośny, że zadrżały szyby. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego dźwięku. Włoski zjeżyły mi się na karku w czysto odruchowej reakcji. Do tej pory moje instynkty dobrze wyczuwały tę istotę, więc im zaufałem, kiedy teraz mi powiedziały, że ten krzyk to deklaracja. Zaczęło się polowanie.

Chwilę później wszystkie latarnie w zasięgu wzroku wybuchły w fontannie iskier. Kilka kwartałów miasta pochłonęła ciemność.

– Powiedz Andi i Kirby'emu, żeby wracali do mieszkania – rzuciłem do Georgii i chwyciłem laskę opartą o ścianę przy drzwiach. – Billy, idziesz ze mną. Zmień się.

– Harry? – W głosie Georgii brzmiała nuta zaskoczenia.

– Szybko! – krzyknąłem, podnosząc sztabę na drzwiach.

Kiedy zbiegałem po schodach, usłyszałem donośne łupnięcie i obok mnie na podłodze wylądował wilk o sierści takiego samego ciemnego koloru jak włosy Billy'ego. Była to wielka bestia, potężna jak Myszek, ale wyższa od

niego i smuklejsza. Takie stworzenia świat rzadko widywał od ostatniej epoki lodowcowej. Otworzyłem drzwi i puściłem Billy'ego przodem, a on przeskoczył przez zaparkowany samochód – wzdłuż – i popędził na tyły kompleksu budynków.

Wcześniej przez cały czas utrzymywał kontakt z Andi i Kirbym, więc znał ich przybliżone pozycje. Podążyłem za nim z laską w ręce, gromadząc wolę. Nie byłem pewien, co mnie tam czeka, ale chciałem być gotowy.

Zza północnego narożnika jednego z budynków wyskoczył Kirby. Biegł z komórką przyciśniętą do ucha, tyczkowaty, ciemnowłosy, młody mężczyzna w spodniach od dresu i workowatym T-shircie. Włączony telefon oświetlał połowę jego twarzy niczym miniaturowa latarka. Natychmiast spojrzałem na południowy róg budynku i zobaczyłem wybiegające stamtąd ciemne, włochate stworzenie. Andi w wilczej postaci.

Chwileczkę.

Jeśli to coś zgasiło wszystkie światła w okolicy, jakim cudem komórka Kirby'ego uchroniła się przed złym zaklęciem? Magia i technika nie szły ze sobą w parze, a co bardziej skomplikowane urządzenia elektroniczne psuły się najszybciej. Telefony komórkowe były jak ci faceci w czerwonych koszulach ze starego „Star Treka”; kiedy tylko coś się działo, zawsze szli na pierwszy ogień.

Skoro ta istota, czymkolwiek była, zgasiła światła, mogła również wyłączyć telefony. Chyba że nie chciała tego robić.

Kirby był jedynym wyraźnie oświetlonym obiektem w okolicy... idealnym celem.

Atak nastąpił błyskawicznie.

Powietrze zafalowało, jakby coś poruszało się za zasłoną rozpiętą między mną a blaskiem telefonu. Rozległo się gwałtowne warknięcie, komórka pofrunęła szerokim łukiem, Kirby'ego otoczył mrok.

Billy puścił się biegiem w jego stronę, a ja zerwałem z szyi amulet ze srebrnym pentagramem i uniosłem go przed sobą, koncentrując siłę woli. Srebrzysto-niebieskie magiczne światło rozproszyło ciemność zalegającą między budynkami kompleksu.

Kirby leżał na plecach na środku czarnego rozbryzgu, który mógł być

tylko krwią. Billy pochylał się nad nim z obnażonymi zębami. Nagle dał susa do przodu, a jakaś zamazana sylwetka skoczyła w górę i trochę w bok. Wydawało mi się, że jego ataku uniknęło coś czworonożnego i kudłatego, a ja dostrzegłem to kątem oka, na samym skraju pola widzenia. Wyrwałem przed siebie, ale czułem się tak, jakbym biegł przez masło orzechowe sięgające bioder.

Billy leżał na plecach, kłapiąc zębiskami i tnąc na oślep wilczymi pazurami, podczas gdy jakiś masywny cień przyszpilał go do ziemi.

Andi, ruda wilczyca mniejsza i szybsza od Billy'ego, wyskoczyła w powietrze i spadła na plecy napastnika.

Istota wydała z siebie donośny ryk dobiegający z głębi piersi, odwróciła się do Andi z niewiarygodną szybkością i jednym uderzeniem kończyny posłała ją na ceglany mur. Wilczyca rąbnęła w ścianę ze straszliwym hukiem i zawyła z bólu.

Uniosłem laskę i, przelewając w nią cały swój gniew, przerażenie i determinację, wykrzyknąłem:

– *Forzare!*

Moja skoncentrowana wola trafiła w przeciwnika laną niewidzialnej energii. Następnie posłałem nad samochodami kolejne wiązki mocy, ale stwór tylko zatoczył się do tyłu, machając przednimi kończynami. Pociski odbiły się od niego prysznicem czerwonych iskier.

Strumienie energii rozerwały zasłonę tylko na sekundę, ale zdążyłem dojrzeć stworzenie przypominające skrzyżowanie pumy z niedźwiedziem, porośnięte rzadkim brudnożółtym futrem. Istota musiała ważyć kilkaset funtów. Miała ponadwymiarowe kły, zakrwawione pazury i błyszczące, obrzydliwie żółte oczy podobne do gadzich.

Jej paszcza wykrzywiła się w sposób, do którego nie byłoby zdolne żadne zwierzę, formułując jakieś słowa, których nie rozumiałem. Nagle istota rozmyła się, w ułamku sekundy zmieniła w olbrzymią pumę i skoczyła na mnie, znikając jednocześnie za zasłoną falujących kolorów.

Uniosłem lewą rękę i przesłałem siłę woli do bransolety. Metalowy opłot z amuletami w kształcie średniowiecznych tarcz był, podobnie jak laska, narzędziem, które pomagało skupić energię szybciej i skuteczniej.

Przede mną rozbłysła półkula białego światła i stwór zderzył się z nią jak z ceglany murem. No, dobrze, raczej jak z rozklekotaną ścianą z desek. Poczułem, że tarcza zaczyna słabnąć, ale przynajmniej na początku wyhamowała impet napastnika.

W tym momencie wielki ciemny wilk capnął go zębami. Zmiennokształtny zawył, tym razem bardziej z bólu niż wściekłości, i odwrócił się do napastnika. Ale przywódca chicagowskich wilkołaków już się wycofywał po ataku, tak że zdążył uskoczyć w bok.

Stwór okazał się szybszy. Dopadł Billy'ego, a ten, z zakrwawionym futrem, zgarbił się i przykucnął w pozycji obronnej.

Żeby Georgia mogła uderzyć nisko i mocno.

W wilczej postaci była szarobrazowa, wyższa i smuklejsza od partnera, a poruszała się ze śmiertelną precyzją. Natarła na przeciwnika, zmuszając go, żeby się do niej odwrócił... i w tym samym momencie z boku zaatakował go Billy.

Jednocześnie ja machnąłem laską i z okrzykiem wypuściłem kolejną magiczną lancę, celując w nogi stwora. Wiązka energii przeorała asfalt i powaliła prawie niewidoczną istotę na ziemię, rozrywając zasłonę. Oba wilkołaki skoczyły na wroga, a ja uniosłem laskę, wzywając więcej mocy. Mój następny strzał miał wbić przeciwnika jak kafar w ziemię do poziomu wód gruntowych.

Tyle że stwór znowu płynnie zmienił kształt... i nagle w powietrze wzbił się jastrząb o rozpiętości skrzydeł dłuższej od mojego samochodu, o gadzich błyszczących oczach. Majestatycznie poszybował w górę i zniknął na nocnym niebie.

Śledząc go wzrokiem, wykrztusiłem:

– O, cholera.

Rozejrzałem się i w dziko podskakującym świetle amuletu pobiegłem do Andi. Leżała nieprzytomna w swojej ludzkiej postaci, rudowłosej o zabójczej figurze. Cały jeden bok jej ciała był wielkim puchnącym siniakiem. Ponadto dziewczyna miała złamaną rękę, obojczyk i żebra, a twarz tak zmasakrowaną, że zacząłem się martwić o jej czaszkę. Oddychała. Ledwo.

Zmiennokształtny był silny.

Obok mnie pojawiła się Georgia w wilczej postaci. Wzrokiem, węchem i słuchem czujnie badała otoczenie.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że nagi Billy pochyla się nad Kirbym. Podeszedłem do niego i uniosłem światło, żeby lepiej widzieć.

Gardło Kirby'ego zniknęło. Po prostu zniknęło. Brakowało kawałka ciała wielkości mojej dłoni, w środku białął odsłonięty kręgosłup. Brzegi ziejącej rany były poszarpane i czarne, jakby zwęglone, oczy Kirby'ego szkliste i szeroko otwarte, wszędzie było mnóstwo krwi.

– Na dzwony piekieł – wyszeptałem, patrząc na martwego chłopaka. – Chodź, Billy. Andi żyje. Nie możemy jej tu zostawić. Musimy przenieść ją do twojego mieszkania i wezwać karetkę, natychmiast.

Billy nadal klęczał nad Kirbym z twarzą wykrzywioną gniewem i konsternacją.

– Will! – huknąłem.

Spojrzał na mnie.

– Andi – powiedziałem. – Pomóż mi wnieść ją do środka.

Gwałtownie pokiwał głową i wstał. Obaj podeszliśmy do rannej dziewczyny. Rozłożyliśmy mój płaszcz na ziemi i położyliśmy na nim Andi najdelikatniej, jak się dało. Następnie zanieśliśmy ją do budynku. Tymczasem z okien okolicznych domów zaczęli się wychylać ludzie. Błysnęły świece, latarki i świetliki. Nie miałem wątpliwości, że za kilka minut rozlegną się syreny.

Raptem gdzieś z góry dobiegł pogardliwy, ostry krzyk, taki sam, jaki słyszałem wcześniej, tylko inaczej modulowany, bo pochodzący z ptasiego gardła.

– Co to było? – zapytał Billy posępnym tonem. – Co to była za istota?

– Nie jestem pewien – wysapałem. Georgia szła za nami, niosąc w zębach moją laskę. – Ale jeśli to było to, co myślę, sprawa wygląda dużo gorzej.

Billy zerknął na mnie z ukosa. Na całej twarzy i rękach miał krew Kirby'ego.

– Co to jest, Harry?

– Indiański koszmar – odpowiedziałem, spoglądając na niego ponurym wzrokiem. – Skórozmienny.

Georgia powiedziała sanitariuszom, że jest siostrą Andi, co w duchowym sensie było chyba prawdą, i pojechała z nią karetką do szpitala. Ratownicy mieli poważne miny.

Tymczasem gliniarze zgromadzili się wokół ciała Kirby'ego i zajęli odgradzaniem miejsca zbrodni.

– Muszę tu być – oświadczył Billy.

– Wiem, ale ja nie mogę zostać. Czas mnie goni.

Billy pokiwał głową i zapytał:

– Co muszę wiedzieć o skórozmiennych?

– Oni są... oni są po prostu źli, stary. Lubią krzywdzić ludzi. Zmiennokształtni oczywiście. I im bardziej się ich boisz, tym silniejsi się stają. Dosłownie karmią się strachem.

Billy zmierzył mnie wzrokiem.

– To znaczy, że nie powiesz nic więcej. Bo to mi nie pomoże. Myślisz, że się przestraszę.

– Wiedzieliśmy, że on tu jest, byliśmy gotowi do walki, a sam widziałeś, co się stało – przypomniałem mu. – Gdyby zaatakował nas z zasadzki, byłoby o wiele gorzej.

Billy warknął, obnażając zęby.

– Pokonaliśmy go.

– Pokonaliśmy go dzięki chwilowej przewadze, a on to zauważył i okazał się dostatecznie sprytny, żeby uciec. Ale tylko po to, żeby wrócić później. Udowodniliśmy mu jedynie, że będzie musiał potraktować nas serio. Nie dostaniemy drugiej takiej szansy. – Położyłem dłoń na jego ramieniu. – Ty i Georgia pilnujcie Andi. Ten stwór lubi krzywdzić ludzi. I kręci go ściganie rannej zdobyczy. Nadal grozi jej niebezpieczeństwo.

– Rozumiem – powiedział cicho Billy. – Co zamierzasz zrobić?

– Dowiedzieć się, co ten stwór tutaj robi. W grę wchodzi interes Rady. Chryste, nie zamierzałem was w to wszystko wciągać. – Spojrzałem w stronę grupy funkcjonariuszy zebranych wokół martwego ciała. – Nie chciałem, żeby tak się stało.

– Kirby był dorosły, Dresden – pocieszył mnie Billy. – Wiedział, co się może stać. Sam dokonał wyboru.

Miał rację, ale to wcale nie pomagało. Kirby nadal nie żył. Nie wiedziałem, czym był wcześniej skórozmienny, poza tym, że czymś okropnym, jednak to również nic nie zmieniało.

Kirby nadal leżał tam martwy.

A Andi... Boże, nawet o tym nie pomyślałem. Andi i Kirby byli mocno ze sobą związani. Dziewczyna będzie miała złamane serce.

O ile sama też nie umrze.

Billy – po prostu nie mogłem myśleć o nim jako o Willu – mruganiem odpędził łzy i powiedział:

– Człowieku, przecież nie wiedziałeś, że on zaatakuje. Wszyscy jesteśmy ci winni życie, Harry. Cieszę się, że teraz mamy okazję ci pomóc. – Skinieniem głowy wskazał na policję. – Pogadam z nimi, a potem dołączę do Georgii. Ty już lepiej idź.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Billy'ego był zbyt mocny z powodu napięcia i smutku. Światła miasta już zaczynały się zapalać, kiedy tylnymi drzwiami wyszedłem z budynku Willa i ruszyłem zaułkiem biegnącym za starą księgarnią, w której już nie byłem mile widziany. Mijając miejsce, gdzie kiedyś omal nie zginąłem, zadrzałem. Tamtego dnia ledwo uciekłem spod kosa.

Dzisiaj Kirby'emu się nie udało.

Miałem wrażenie, że z moją głową jest coś nie tak. Powinienem czuć coś więcej. Powinienem być wściekły jak diabli. Powinienem trząść się ze strachu. Cokolwiek. Natomiast ja czułem się, jakbym obserwował wydarzenia z chłodnego miejsca znajdującego się gdzieś daleko. Tłumaczyłem sobie, że prawdopodobnie jest to skutek uboczny bliskiego spotkania ze skórozmiennym. Albo raczej konsekwencja tego, co musiałem zrobić, żeby się uporać ze wspomnieniem jego prawdziwej postaci.

Nie martwiłem się, że skórozmienny mnie zaatakuje. Jasne, że mógł to zrobić, ale nie znieca. Nadprzyrodzone istoty miały w sobie tyle mocy, że wpływały na otaczającą ich rzeczywistość, co powodowało różne skutki. Jednym z nich było coś w rodzaju psychicznego odoru, który moje instynkty wyczułyby dużo wcześniej, zanim skórozmienny wyrządziłby mi prawdziwą krzywdę.

Poczytajcie trochę bajek, rzeczy nieupięszonych przez Disneya i jemu podobnych. Zaczynicie od braci Grimm. Te bajki nie opowiedzą wam o skórozmiennych, ale dadzą wyobrazenie, jak mroczne potrafią być niektóre z tych opowieści.

W porównaniu z nimi skórozmienni są naprawdę mroczni. Trzeba usłyszeć prawdziwe historie od Nawahów, Ute i innych ludów z południowego zachodu, żeby zdobyć naprawdę soczysty materiał. Plemiona nie opowiadają ich często, ponieważ autentyczny i całkowicie racjonalny strach, jaki wzbudzają legendy, tylko wzmacnia te istoty. Szczepy rzadko rozmawiają o nich z obcymi, bo osobom postronnym brakuje tarczy ochronnej w postaci folkloru, a poza tym nigdy nie wiadomo, czy ich gość nie jest skórozmiennym, który pozwala sobie na makabryczne żarty. Ale ja działałam w tym biznesie już od jakiegoś czasu i znam ludzi, którzy znają te historie. Podzielili się ze mną kilkoma, w świetle dnia, rozglądając się nerwowo, jakby się bali, że przywoływanie mrocznych wspomnień ściągnie na nich uwagę zmiennokształtnych.

I czasami tak się zdarzało.

Oto jacy byli skórozmienni. Nawet ludzie, którzy znają związane z nimi zagrożenia i lepiej niż ktokolwiek na świecie wiedzą, jak się przed nimi bronić, nie chcą rozmawiać o tych istotach.

W pewnym sensie niepełna wiedza działała na moją korzyść. Spacer ciemnymi zaułkami w środku chicagowskiej nocy, przechodzenie obok miejsca, gdzie omal nie zostałem rozerwany na kawałki, nie były dostatecznie straszne w porównaniu z obecnością skórozmiennego. Gdyby rzeczy znane z „Opowieści z krypty” zaczęły budzić dreszcz grozy, wiedziałbym, że jestem w prawdziwym kłopotcie.

A tak noc była po prostu...

Zza rogu na końcu zaułka wyłoniła się drobna postać w lekkiej kurtce Cubsów. Blask znowu działających latarni oświetlał jej blond włosy.

– Dobry wieczór, Dresden – rzuciła sierżant Karrin Murphy.

...skomplikowana.

– Murph – powiedziałem sztywno.

Karrin była sierżantem w wydziale dochodzeń specjalnych chicagowskiej policji. Kiedy działo się coś nadprzyrodzonego i gliniarze zaczęli interesować się sprawą, Murphy często kontaktowała się ze mną, żeby poznać moje zdanie. Miasto nie chciało słyszeć o „zmyślonych” istotach takich jak zmiennokształtni albo wampiry, a jedynie pozbyć się kłopotu. I właśnie tym zajmowała się Murphy z resztą wydziału.

– Przekupiłam jednego gościa z parkingu policyjnego, żeby miał oko na niektóre wozy – zagała Murphy. – Płacę mu piwem. A tu on dzwoni do mnie i mówi, że właśnie przyholowano twój samochód.

– Uhm... – mruknąłem.

Murphy zrównała się ze mną, kiedy ruszyłem dalej chodnikiem. Była niskim chuchrem o blond włosach, które sięgały jej trochę poniżej ramion, i niebieskich oczach. Raczej miła niż ładna, wyglądała jak czyjaś ulubiona ciocia. Co wydawało się całkiem prawdopodobne, bo miała sporą irlandzką, katolicką rodzinę.

– Potem słyszę o awarii zasilania i poważnych zajściach w okolicy bloków, w których mieszkają twoi przyjaciele wilkołaki. Dowiaduję się też o dziewczynie, która może nie przeżyć, i chłopaku, który nie przeżył.

– Taa... – bąknąłem. Może zabrzmiało to trochę smutno.

– Kto to był? – spytała Murphy.

– Kirby.

– Jezu. Co się stało?

– Śledziło mnie coś szybkiego i podłego. Wilkołaki zaatakowały to coś. Sprawy źle się potoczyły.

Murphy pokiwała głową i zatrzymała się, a ja zobaczyłem, że stoimy przy jej saturnie – nowszej wersji tego, który jakiś czas temu wyleciał w powietrze – niefrasobliwie zaparkowanym przy hydrancie. Murphy podeszła do bagażnika i go otworzyła.

– Zerknęłam na tę kupę złomu, którą nazywasz samochodem. – Wyjęła z bagażnika apteczkę i lodówkę turystyczną. Uniosła je. – Leżały na siedzeniu pasażera. Pomyślałam, że są tam z jakiegoś powodu.

Na dzwony piekiel! W całym tym zamieszaniu z atakiem i jego następstwami niemal zapomniałem z jakiego powodu w ogóle wyszedłem z domu. Wziąłem apteczkę od Murphy.

– Tak. Na gwiazdy i kamienie, tak, Murph. Dziękuję.

– Potrzebujesz podwózki? – zapytała.

Zamierzałem złapać taksówkę, ale lepiej nie wydawać pieniędzy, jeśli nie ma takiej potrzeby. Magia może jest seksownym zajęciem, ale nie tak lukratywnym jak egzekwowanie prawa.

– Jasne – powiedziałem.

– Co za zbieg okoliczności. Bo ja potrzebuję odpowiedzi na parę pytań.

Murphy otworzyła drzwi normalnym kluczykiem, a nie tym czymś, gdzie się naciska guzik, a one otwierają się automatycznie. Przytrzymała mi je uprzejmym gestem, tak jak to robiłem dla niej milion razy. Pewnie myślała, że sobie ze mnie drwi tą parodią.

I prawdopodobnie miała rację.

Z każdą minutą sytuacja coraz bardziej się gmatwała, a ja nie chciałem wciągać Murphy w cały ten bałagan. Jezu, wilkołaki od dawna dobrze broniły swojego terytorium, a ja doprowadziłem do tego, że w ciągu kilku pierwszych godzin mojej nowej sprawy straciły połowę stada. Na wodach, po których teraz pływałem, Murphy wcale nie poradziłaby sobie lepiej.

Z drugiej strony ufałem Murph. Ufałem jej osądowi i zdolności rozumienia własnych ograniczeń. Widywała gliniarzy posiekanych na kawałki, kiedy chcieli przeskoczyć do innej kategorii wagowej, i miała dość rozsądku, żeby nie próbować tego samego. I gdyby zaczęła rzucać mi kłody pod nogi – a mogła ich rzucić wiele – moje życie stałoby się dużo trudniejsze. Choć już nie kierowała wydziałem specjalnym chicagowskiej policji, nadal miała w nim wpływy i wystarczyłoby jedno jej słowo, żeby porucznik Stallings zaczął mnie sabotować. Co najmniej.

Moglibyście więc powiedzieć, że Murphy groziła mi kłopotami, jeśli z nią nie porozmawiam, i mielibyście rację. Moglibyście powiedzieć, że Murphy

była gotowa zaryzykować życie, żeby mi pomóc, i też mielibyście rację. Moglibyście powiedzieć, że oddała mi przysługę z tą apteczką, żebym został jej dłużnikiem i musiał się zgodzić, gdyby zażądała włączenia jej w sprawę, i oczywiście mielibyście rację.

Wreszcie moglibyście powiedzieć, że przez swoje niezdecydowanie marnowałem cenny czas, i w tej kwestii również mielibyście rację.

W końcu Murphy należała do tych dobrych.

Wsiadłem do samochodu.

* * *

– Niech dobrze zrozumieć – powiedziała Murphy, kiedy zbliżaliśmy się do jej mieszkania. – Ukrywasz zbiega przed waszymi gliniarzami, bo uważasz, że ktoś faceta zrobił, żeby wszcząć wojnę domową w Białej Radzie. W dodatku po mieście grasuje jakieś straszdyło Nawahów, śledzi cię i próbuje zabić. A ty nie jesteś pewien, czy te dwie sprawy mają ze sobą związek.

– Raczej nie wiem, jak są powiązane – sprostowałem. – Na razie.

Murphy przygryzła wargę.

– Macie w Radzie kogoś, kto mógłby być blisko ze złymi duchami Nawahów?

– Trudno mi to sobie wyobrazić – odparłem cicho.

Indianin Joe Słuchający Wiatru, członek Rady Starszych, był lekarzem, uzdrowicielem, specjalistą od egzorcyzmów i magii przywracającej siły, kimś w rodzaju indiańskiego szamana. I porządnym gościem. Lubił zwierzęta.

– Ale ktoś jest zdrajcą – stwierdziła Murphy. – Mam rację?

– Tak – przyznałem. – Ktoś.

Murphy pokiwała głową, wpatrując się w drogę przed sobą.

– Zdrada jest tak piętnowana, bo zwykle dokonuje jej ktoś, o kim by się nie pomyślało, że jest do niej zdolny – zauważyła.

Nie odpowiedziałem. Minutę później samochód zatrzymał się

z chrzęstem na małym zwirowym parkingu przed moim mieszkaniem.

Wysiadłem, zabierając apteczkę, lodówkę i laskę.

– Zadzwoń do mnie, gdy tylko będziesz coś wiedział – poprosiła Murphy.

– Dobrze – obiecałem. – Jeśli zobaczysz, że coś się dzieje, nie ryzykuj.

Murphy pokręciła głową.

– Oni nie są twoimi dziećmi. Harry.

– To nie ma znaczenia. Zrób wszystko, co możesz, żeby ochronić ich w szpitalu...

– Spokojnie. Twoje wilkołaki nie będą same. Zadbam o to.

Kiwnąłem głową i na sekundę zamknąłem oczy.

– Harry?

– Tak?

– Nie wyglądasz dobrze – stwierdziła Murphy.

– To była długa noc.

– Tak. Wiem coś o nich.

Murphy rzeczywiście wiedziała. Miała za sobą wiele psychicznych traum. Widziała też, jak umierają przyjaciele. Pamięć podsunęła mi niechciane wspomnienie z minionych lat: jej były partner Carmichael z rozprutym brzuchem, wykrwawiający się na białej posadzce.

– Poradzę sobie – powiedziałem.

– Oczywiście, że tak. Tylko... jest wiele sposobów działania, Harry. Niektóre są lepsze od innych. Obchodzi mnie, co się z tobą dzieje. I zawsze możesz na mnie liczyć.

Nie otwierałem oczu, by mieć pewność, że nie rozplącę się jak mała dziewczynka albo coś. Bez słowa kiwnąłem głową, ponieważ bałem się, że nie zdołam wydobyć z siebie głosu.

– Uważaj na siebie, Harry – rzuciła Murphy.

– Ty też. – Mój głos zabrzmiał trochę ochryple. Pomachałem jej apteczką i ruszyłem do swojego mieszkania, żeby sprawdzić, co z Morganem.

Musiałem przyznać, że nienawidzę dźwięku odjeżdżającego samochodu mojej przyjaciółki.

Odepchnąłem od siebie te myśli. Mniejsza o psychiczną traumę. Na kawałki mogłem się rozpaść później.

Na razie miałem robotę do wykonania.

Morgan obudził się, kiedy otworzyłem drzwi sypialni. Wyglądał źle, ale nie gorzej niż do tej pory, nie licząc wypieków na policzkach.

– Teraz zadbam o współlokatorów – oznajmiłem. – Mam towar.

Postawiłem apteczkę lekarską na stoliku nocnym.

Morgan skinął głową i zamknął oczy.

Zabrałem Myszka na spacer do skrzynki pocztowej. Pies był niezwykle czujny, węszył wszędzie, ale nie przejawiał żadnych oznak niepokoju. Odwiedziliśmy na maleńkim podwórku miejsce przeznaczone na potrzeby Myszka i wróciliśmy do domu. Mister, mój szary kocur z krótkim, grubym ogonem, już czekał pod drzwiami i próbował czmychnąć na zewnątrz. Ledwo go złapałem. Mister waży prawie trzydzieści funtów. Posłał mi spojrzenie, które mogło wyrażać oburzenie, uniósł sztywno w powietrze kikut ogona i z godnością odmaszerował do swojego zwykłego schronienia na jednym z regałów na książki.

Myszek obserwował mnie z przekrzywioną głową, kiedy zamykałem drzwi.

– Tam grasuje coś złego – poinformowałem go. – Może to coś postanowiło wysłać mi wiadomość. Wolałbym, żeby w tym celu nie wykorzystało Mistera.

Z przepastnej piersi Myszka wydobyło się głucho warczenie.

– I ciebie również, skoro już o tym mowa – dodałem. – Nie wiem, czy wiesz, co to jest skórozmienny, ale sprawa jest poważna. Uważaj na siebie.

Pies zastanawiał się przez chwilę, po czym ziewnął szeroko.

Parsknąłem śmiechem.

– Pycha poprzedza upadek, chłopcze.

Myszek zamachał ogonem i otarł się o moją nogę, najwyraźniej zadowolony, że mnie rozweselił. Sprawdziłem, czy w obu zestawach misek jest jedzenie i woda, a następnie poszedłem do Morgana.

Jego temperatura znowu podskoczyła o pół stopnia. Wyraźnie cierpiał.

- To nie jest profesjonalny zestaw – uprzedziłem go, otwierając apteczkę.
- Po jej zawartość wyskoczyliśmy z Billym do Kanady. Mam tu trochę kodeiny na ból i sprzęt, żeby zrobić ci kroplówkę z soli fizjologicznej i podać dożylnie antybiotyki.

Morgan pokiwał głową. Potem zmarszczył brwi i z wyrazem twarzy, do którego byłem przyzwyczajony, spytał, świdrując mnie wzrokiem:

- Czy to krew od ciebie czuję?

Cholera! Jak na faceta, który został pobity prawie na śmierć, był całkiem spostrzegawczy. Andi właściwie nie krwawiła, kiedy nieśliśmy ją w moim płaszczu. Ale widać wystarczyła krew sącząca się z licznych ran i zadrapań.

- Tak – potwierdziłem.

- Co się stało?

Opowiedziałem mu o skórozmiennym i o tym, co spotkało Kirby'ego i Andi.

Morgan pokiwał ze znużeniem głową.

- Właśnie z tego powodu nie zachęcamy amatorów do odgrywania Strażników, Dresden.

Łypnąłem na niego spode łba, wziąłem miskę z ciepłą wodą i mydłem antybakteryjnym i zacząłem przemywać jego prawą rękę.

- Tak, pewnie. Tylko że nie widziałem w tamtej okolicy żadnych Strażników.

- Chicago to twój teren działania, Strażniku Dresden.

- I ja tam byłem. A gdyby oni mi nie pomogli, już bym nie żył.

– Więc zadzwoniłeś po wsparcie – stwierdził Morgan. – Strażnik nie zachowuje się jak cholerny superbohater i nie rzuca owiec wilkom na pożarcie. To tych ludzi właśnie masz chronić.

– Słuszna uwaga – powiedziałem, wieszając worek z solą fizjologiczną na haku wbitym w ścianę nad łóżkiem. Upewniłem się, że rurka jest drożna. Pęcherzyki powietrza, źle. – Właśnie tego potrzebujemy: więcej Strażników w Chicago.

Morgan chrząknął i umilkł z zamkniętymi oczami. Pomyślałem, że znowu zemdłał, ale najwyraźniej on tylko dumał.

– To musiało mnie śledzić – odezwał się po chwili.

– Hę?

– Skórozmienny – wyjaśnił Morgan. – Kiedy opuściłem Edynburg, dotarłem Ścieżką Tucson. Do Chicago przyjechałem pociągiem. Tamten musiał mnie wyczuć, kiedy przecinałem jego terytorium.

– Dlaczego miałby to robić? – zapytałem.

– Śledzić rannego maga? Bo skórozmienni stają się silniejsi, kiedy wchłaniają esencję zawodowców. Ja byłem łatwą zdobyczą.

– Oni żywią się magią?

Morgan pokiwał głową.

– Dodają moc swojej ofiary do własnej.

– Więc twierdzisz, że skórozmienny nie tylko nam uciekł, ale teraz jest silniejszy, bo zabił Kirby'ego.

Morgan wzruszył ramionami.

– Wątpię, żeby wilkołaki stanowiły łakomy kąsek przy tej mocy, którą skórozmienny już ma. Twoje albo moje umiejętności są bez porównania cenniejsze.

Wziąłem gumowy wąż i owiązałem nim ramię Morgana. Zaczekałem, aż żyły w zgięciu łokcia nabrzmieją.

– Przypadkowe spotkanie wygląda na bardzo mało prawdopodobne.

– Skórozmienni zamieszkują jedynie tereny plemienne na południowym zachodzie. Ten, kto mnie wrobił, nie mógł wiedzieć, że zamierzam uciec i że trafię do Tucson.

– Słusznie – przyznałem, wbijając igłę w jego ramię. – Kto by chciał jechać tam latem? – Zamyśliłem się. – Ale skórozmienny musi wrócić na swoje terytorium, tak?

Morgan pokiwał głową.

– Im dłużej tu zostanie, tym więcej mocy będzie go to kosztowało.

– Jak długo może tu siedzieć? – spytałem.

Morgan się skrzywił, kiedy nie trafiłem w żyłę i musiałem spróbować jeszcze raz.

– Dostatecznie długo.

– Jak go zabijemy? – Zmarszczyłem brwi, kiedy znowu chybiłem.

– Daj mi to – zażądał Morgan. Wziął ode mnie igłę i sam wbił ją sobie sprawnie za pierwszym razem.

Widać można czegoś się nauczyć przez dwanaście dekad.

– Prawdopodobnie nie zabijemy – powiedział. – Prawdziwi skórozmienni, naagloshii, liczą sobie tysiące lat. Wdawanie się z nimi w bójkę to robota głupiego. Dlatego ich unikamy.

Podłączyłem kroplówkę.

– Udawajmy przez minutę, że ten stwór nie będzie działać zgodnie z planem – zaproponowałem.

Morgan chrząknął i podrapał się w brodę drugą ręką.

– Niektórzy rdzenni czarownicy potrafią go okaleczyć albo zniszczyć. Prawdziwy szaman mógłby odprawić ceremonię przepędzania złego ducha. Dla nas jedynym sposobem jest trafienie go mnóstwem czystej mocy, ale on raczej nie będzie stał bez ruchu i z nami współpracował.

– To trudny cel – przyznałem. – Zna magię i wie, jak się przed nią bronić.

– Tak – potwierdził Morgan, obserwując, jak wyjmuję z lodówki strzykawkę z antybiotykiem. – A jego możliwości są większe niż nas obu razem wziętych.

– A to dopiero!

Wstrzyknąłem antybiotyk do rurki kroplówki. Następnie podałem Morganowi kodeinę i kubek wody. Połknął tabletki, ze znużeniem położył głowę na poduszce i zamknął oczy.

– Raz Wejrzałem w jednego – odezwał się po chwili.

Bez słowa zacząłem sprzątać.

– Nie są niezniszczalni – dodał. – Można ich zabić.

Wrzuciłem bandażę do pojemnika na śmieci i schowałem sprzęt do apteczki. Skrzywiłem się na widok zakrwawionego dywanu, na którym Morgan nadal leżał. Wkrótce musiałem go spod niego wydobyć. Ruszyłem do wyjścia, ale jeszcze zatrzymałem się w progu.

– Jak to zrobiłeś? – spytałem, nie patrząc za siebie.

Minęła chwila, zanim odpowiedział. Myślałem, że znowu zemdłał.

– To były lata pięćdziesiąte. Zaczął w Nowym Meksyku. Podążył za mną do Nevady, Zwabiłem go na rządowy poligon doświadczalny i przeszedłem

do Nigdynigdy tuż przed wybuchem bomby.

Zamrugalem i obejrzałem się na niego przez ramię.

– Wykończyłeś go bronią jądrową?

Morgan otworzył jedno oko i się uśmiechnął.

Wyglądało to trochę strasznie.

– Na gwiazdy i kamienie! To było... – musiałem nazwać rzecz po imieniu –
niezłe.

– Tamto wspomnienie usypia mnie w nocy – wymamrotał Morgan.
Z westchnieniem zamknął oczy i wkrótce głowa opadła mu lekko na bok.

Przez chwilę czuwałem nad jego snem, a potem zamknąłem za sobą
drzwi.

Sam byłem trochę zmęczony. Ale mruknąłem pod nosem:

– Mam obietnice do dotrzymania. – I westchnąłem ciężko.

* * *

Sięgnąłem po telefon i zacząłem dzwonić do swoich kontaktów z Paranetu.

Paranet było organizacją, którą pomagałem założyć parę lat temu. Właściwie jest to związek, którego członkowie ze sobą współpracują, żeby chronić się przed paranormalnymi zagrożeniami. W jego skład wchodził głównie praktycy o skromnych talentach. Mag musiał należeć do górnego procenta najlepszych, żeby Biała Rada w ogóle raczyła go uznać, a ci, którzy nie osiągnęli pułapu, zostawali na lodzie. W rezultacie byli narażeni na ataki wszelkich nadprzyrodzonych drapieżników.

Co, według mnie, jest do bani.

Dlatego moja stara przyjaciółka Elaine Mallory i ja wzięliśmy pieniądze nieżyjącej kobiety i zaczęliśmy nawiązywać kontakty z pomniejszych magami z różnych miast. Namawialiśmy ich, żeby się łączyli, dzielili informacjami, mieli kogoś, do kogo mogliby zadzwonić po pomoc. Jeśli działo się coś złego, można było wysłać sygnał alarmowy Paranetem, a wtedy wkraczałem ja albo któryś z pozostałych Strażników. Organizowaliśmy również seminaria poświęcone rozpoznawaniu magicznych zagrożeń,

uczylismy podstaw samoobrony, na wypadek gdyby w porę nie zjawili się panowie w szarych pelerynach.

Wszystko szło całkiem dobrze. Mieliśmy kilka nowych oddziałów w Meksyku i Kanadzie, Europa też nie pozostawała daleko w tyle.

Zacząłem więc dzwonić do moich kontaktów i pytać, czy słyszeli o dziwnych wydarzeniach. Nie mogłem sobie pozwolić na więcej szczegółów, ale jak się okazało, nie były potrzebne. Moi rozmówcy z czterech pierwszych miast zauważyli ożywienie w działaniach Strażników pojawiających się zawsze parami. Z następnych trzydziestu miejscowości tylko dwie miały podobne zgłoszenia, ale to wystarczyło, żebym zrozumiał, co się dzieje. Odbywało się ciche polowanie na zbiega.

Zastanawiało mnie tylko jedno. Dlaczego ze wszystkich miejsc, w których można było szukać Morgana, Strażnicy wybrali akurat Poughkeepsie? Albo Omahę?

Przyszły mi do głowy słowa: „szukanie wiatru w polu”. To, co robił Morgan, żeby zamaskować swoją obecność przed zakłęciami tropiącymi, sprawiło, że tamci miotali się bez sensu po całym kraju.

W końcu dokonałem jednej pozytywnej rzeczy. Plotki o wzmożonej aktywności Strażników oznaczały, że miałem dobry i niebudzący podejrzeń motyw, by rozpocząć zadawanie własnych pytań.

Potem zadzwoniłem do Strażników, z którymi byłem w dobrych stosunkach. Trzech z nich formalnie pracowało dla mnie w kilku miastach na wschodzie i środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Nie jestem doskonałym szefem. Głównie po prostu pozwalam im samym decydować, jak mają wykonywać swoją pracę, i staram się im pomagać, kiedy proszą mnie o pomoc. Musiałem zostawić wiadomość dla dwóch, ale Bill Meyers z Dallas odebrał po drugim sygnale.

– Siemasz! – rzucił na powitanie.

Mówię poważnie. Naprawdę tak się odezwał.

– Bill, tu Dresden.

– Harry. – Meyers zawsze był wobec mnie uprzejmy. Raz widział, jak zrobiłem coś przerażającego. – O wilku mowa.

– To dlatego swędział mnie nos?

– Możliwe. – Bill mówił, przeciągając sylaby. – Zamierzałem rano do ciebie zadzwonić.

– Tak? A o co chodzi?

– Plotki – odparł krótko Bill. – Zauważyłem dwóch Strażników wychodzących z miejscowej bramy do Ścieżki, ale kiedy zapytałem ich, co się dzieje, wymigali się od odpowiedzi. Pomyślałem, że może ty coś wiesz.

– Ni diabła. Zadzwoniłem, żeby o to samo spytać ciebie.

Meyers parsknął.

– Niezła z nas banda mądrali, co?

– Jeśli chodzi o Radę, amerykańscy Strażnicy to kolonia grzybów.

– Co?

– Trzyma się ich w ciemności i żywi gównem.

– Słyszałem – powiedział Meyers. – Co mam dla ciebie zrobić?

– Trzymaj ucho przy ziemi – poleciłem. – Kapitan Luccio wcześniej czy później da nam jakiś cynk. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko czegoś się dowiem. Ty zrób to samo.

– Zrozumiałem.

Rozłączyłem się i przez chwilę patrzyłem na telefon ze zmarszczonymi brwiami.

Rada nie rozmawiała ze mną o Morganie. Ani z żadnym ze Strażników pozostających pod moją komendą.

Spojrzałem na Mistera i powiedziałem:

– Zupełnie jakby chcieli trzymać mnie w niewiedzy. Jakby uważali, że mogę być zamieszany w sprawę.

To miało sens. Merlin nie zamierzał w najbliższym czasie zaprosić mnie na kolację wigilijną. Nie ufał mi. Mógł nakazać odcięcie mnie od informacji. Wcale bym się nie zdziwił.

Ale w takim razie Anastasia Luccio, kapitan Strażników, musiałaby to zaaprobować. Ona i ja chodziliśmy ze sobą przez jakiś czas. Wprawdzie Anastasia była ode mnie parę wieków starsza, ale starcie ze zmiennokształtnym psychopatą uwięziło ją w ciele studentki, tak że wyglądała teraz na góra dwadzieścia pięć lat. Dobrze się dogadywaliśmy. Potrafiliśmy się nawzajem rozśmieszyć. I od czasu do czasu uprawialiśmy

szalony seks ku wielkiej obopólnej satysfakcji.

Nigdy bym nie pomyślał, że Anastasia może toczyć ze mną taką grę.

Zadzwońłem do Ramireza z LA, drugiego regionalnego dowódcy Strażników, żeby sprawdzić, czy on coś słyszał, ale połączyłem się z automatyczną sekretarką.

W tej sytuacji musiałem po odpowiedzi udać się do świata duchów, a to było ryzykowne pod wieloma względami. Między innymi istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanę pożarty przez tę samą istotę, do której zwrócę się z pytaniami.

Niestety, powoli kończyły mi się możliwości.

Odsunąłem dywan zasłaniający klapę, która prowadziła do mojego laboratorium, i już miałem zejść na dół, żeby przygotować krąg, kiedy zabręczał telefon.

– Za pół godziny spotykam się z Justine – oznajmił mój brat.

– Okay. Przyjedź po mnie.

Scena klubowa Chicago jest duża i różnorodna. Chcecie posłuchać improwizowanego jazzu? Mamy taki. Wolicie tradycyjny irlandzki pub? Kawiarnię w tureckim stylu? Tancerki brzucha? Przyjęcie w japońskim ogrodzie? Swing? Tańce towarzyskie? Poezję bitników? Dostaniecie wszystko.

Nie trzeba intensywnie szukać, żeby znaleźć też inne kluby z rodzaju tych, do których turyści nie zabierają dzieci. Gejowskie, lesbijskie, ze striptizem, dla miłośników skór i dla ludzi o bardziej wyrafinowanych gustach.

A poza tym jest jeszcze Zero.

Stałem z Thomasem przed czymś, co wyglądało na drzwi przeciwpożarowe z boku śródmiejskiego budynku, piętro poniżej poziomu ulicy. Zainstalowany na nich czerwony owalny neon jarzył się upiornym blaskiem. Dudnienie basów odczuwało się niemal jako wibracje gruntu.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytałem.

Thomas, w dopasowanym białym T-shircie i starych niebieskich džinsach, spojrzał na mnie, unosząc ciemną brew.

– Zależy, czym według ciebie jest albo nie jest Zero.

Zero to jeden z tych klubów, o których większość ludzi tylko słyszała. Po mieście od czasu do czasu krążą o nim plotki, ale mimo swojej popularności to miejsce nocnej rozrywki w metropolii nadal pozostaje ekskluzywne. Jestem prywatnym detektywem w Chicago od ponad dziesięciu lat, a znam Zero tylko ze słyszenia. Chodzą się tam bawić piękni i bogaci.

– Znasz tu kogoś? – spytałem. – Bo nas nie wpuszczają...

Thomas wsadził klucz do zamka, przekręcił go i otworzył drzwi.

– ...do środka – dokończyłem.

Uderzyła mnie fala gorąca i dymu ciężkiego od różnych, zapewne

nielegalnych substancji. Zza kurtyny podświetlonego na czerwono oparu dobiegało łup-łup-łup muzyki techno.

– To rodzinny interes – wyjaśnił Thomas i z dziwnym wyrazem twarzy schował klucz do kieszeni. – W Zero poznałem Justine.

– Jest tu jeszcze ktoś z drugiej strony twojej rodziny? – spytałem.

Wampiry z Białego Dworu były najmniej niebezpieczne spośród wielu odmian tego gatunku istot... i najbardziej przerażające. Te uwodzicielskie stworzenia karmiły się emocjami i energią życiową tych, na których polowały. Zadawanie się z nimi, w każdym sensie tego słowa, było złym pomysłem. Ich ofiary uzależniały się od samego aktu i chętnie oddawały się wciąż od nowa, aż w końcu nie miały już nic do zaoferowania. Nieszczęśnicy oczarowani przez wampira z Białego Dworu stawali się prawdziwymi niewolnikami.

Thomas pokręcił głową.

– Wątpię. Inaczej Justine nie wybrałaby tego miejsca na spotkanie z nami.

Chyba że została do tego zmuszona, pomyślałem sobie, ale nic nie powiedziałem. Jestem przywiązany do swojej paranoi i nie lubię dzielić się nią z przyjaciółmi i rodziną.

– Ty pierwszy – rzekł Thomas i spokojnie zdjął T-shirt.

Zmierzyłem go wzrokiem.

– Klub ma pewien image i właściciele starają się go zachować – wyjaśnił.

Był trochę za bardzo zadowolony z siebie, drań. Jego mięśnie brzucha wyglądały, jakby zostały komputerowo wygenerowane. Moje sugerowały, że nie stać mnie na porządne odżywianie.

– Aha – mruknąłem. – Ja też muszę zdjąć koszulę?

– Masz na sobie czarny skórzany płaszcz. To wystarczający strój.

– Drobne łaski – wymamrotałem i wkroczyłem do środka.

Korytarz, którym szliśmy, z każdym naszym krokiem stawał się coraz mroczniejszy, głośniejszy i podejrzanie pachnący. Na jego końcu ujrzałem czarną zasłonę. Odsunąłem ją i zobaczyłem przedsionek, drzwi i dwóch groźnie wyglądających mężczyzn w ciemnych garniturach.

Jeden z nich uniósł rękę i powiedział:

– Przykro mi, proszę pana, ale to jest prywatny...

Thomas wystąpił przede mną i wbił w niego wzrok.

Ochroniarz opuścił rękę, a kiedy się odezwał, głos miał ochryply, jakby zaschło mu w ustach.

– Proszę mi wybaczyć, nie wiedziałem, że on jest z panem.

Thomas nadal na niego patrzył.

Mężczyzna odwrócił się do drzwi i otworzył je własnym kluczem.

– Będzie pan potrzebował stolika?

Mój brat w końcu oderwał od niego spojrzenie i minął go bez słowa jak powietrze.

Bramkarz posłał mi słaby uśmiech i powiedział:

– Przepraszam za tamto, proszę pana. Życzę dobrej zabawy w Zero.

– Dzięki – rzuciłem w przelocie i podążyłem za Thomasem.

Moim oczom ukazała się scena, która mogłaby być połączeniem dionizyjskich Bachanaliów i filmów Felliniego.

W Zero nie było białego światła. Dominowała czerwień z nielicznymi sadzawkami błękitu i ultrafiolet, tak że nawet w miejscach, gdzie zalegały najgłębsze cienie, pojawiała się niepokojąca kolorowa poświata. Nad całym dużym pomieszczeniem wisiała gęsta chmura dymu papierosowego, zniekształcająca odległości mgielka pod lampami czarnego światła.

Wyszliśmy na coś w rodzaju balkonu znajdującego się nad parkietem do tańca. Muzyka dudniła, basowe beaty czułem w brzuchu. Światła błyskały synchronicznie. W dole roiło się od spoconych tancerzy w najróżniejszych ubraniach: od pełnych skórzanych kombinezonów z kapturami po kreację składającą się z kilku pasów taśmy izolacyjnej. Przy parkiecie był bar, a wokół niego rozstawiono stoliki. Sufit znajdował się na wysokości trzydziestu stóp. Pięć stóp nad podłogą wisiało kilka klatek z młodymi mężczyznami albo kobietami w prowokacyjnych strojach.

Ze ścian wystawało kilkanaście platform, gdzie można było usiąść i obserwować scenę na dole, a jednocześnie miało się zapewnioną odrobinę prywatności. Prowadziły na nie schody albo chodniki. Na większości platform zamiast stolików i krzeseł ustawiono kanapy i szeslongi. Na innych znajdowały się również bardziej egzotyczne elementy wystroju: gigantyczny krzyż św. Andrzeja, do którego był przywiązany w kostkach i nadgarstkach

młody mężczyzna, zwrócony twarzą do drzewca, z włosami opadającymi na nagie plecy. Na kolejnej sterczała pośrodku lśniąca miedziana rura. Tańczyły wokół niej dwie dziewczyny otoczone kręgiem mężczyzn i kobiet leżących na szezlongach.

Wszędzie, gdzie spojrzałem, ludzie robili rzeczy, za które w każdym innym miejscu zostaliby aresztowani. Na kilku prywatnych platformach pary, trójki, czwórki i dziewiętnastki oddawały się różnego rodzaju seksualnej aktywności. Z miejsca, gdzie stałem, wypatrzyłem na dwóch stolikach gotowe do zażycia kreski białego proszku. Obok każdego kosza na śmieci wisiał na ścianie pojemnik na zużyte strzykawki oznaczony symbolem zagrożenia biologicznego. Gości chłostano biczami i pejciami. Innych krępowano sznurami w wymyślny sposób albo bardziej prozaicznie skuwano kajdankami. Wszędzie widać było piercingi i tatuaże. Od czasu do czasu ponad muzykę wybijały się wrzaski i krzyki: agonii, ekstazy, radości albo wściekłości – nie do odróżnienia od siebie.

Światła bezustannie się zmieniały i przesuwają, każdemu beatowi muzyki towarzyszyło kilkanaście nowych, zamrożonych w czasie obrazów sybaryckiego zatracenia.

Muzyka, światło, pot, dym, alkohol, narkotyki... wszystko to łączyło się w wilgotne, rozpaczliwe miazmaty pragnień, które nigdy nie mogły zostać zaspokojone.

Właśnie dlatego to miejsce nazywało się Zero, uświadomiłem sobie. Zero ograniczeń. Zero zahamowań. Zero powściągliwości. Klub całkowitego zatracenia się, folgowania sobie, intrygujący i straszny, przyprawiający o mdłości i wygłodniały.

Zero spełnienia.

Przeszedł mnie dreszcz. To był świat stworzony przez Biały Dwór. Oto jak by wyglądał, gdyby wampirom dano szansę. Planeta Zero.

Zerknąłem na Thomasa i zobaczyłem, że mój brat rozgląda się po klubie. Jego oczy zmieniły barwę ze zwykłej szarości na jasnosrebrną z plamkami metalicznego połysku. Śledził wzrokiem dwie młode kobiety, które obok nas przechodziły. Ubrane w czarną bieliznę pod długimi skórzanymi płaszczami trzymały się za ręce, splótłszy palce. Obie skierowały na niego spojrzenia,

jakby usłyszały, że woła je po imieniu, z wahaniem zwolniły kroku.

Thomas odwrócił głowę i znieruchomiał na swój nieludzki sposób. Kobiety ruszyły dalej z lekko zdziwionymi minami.

– Hej! – ryknąłem, przekrzykując muzykę. – Wszystko w porządku?

Mój brat skinął głową i wskazał brodą na najwyższą platformę znajdującą się po drugiej stronie sali.

– Tam.

Ja również kiwnąłem głową i ruszyłem za nim przez labirynt chodników i schodów. Celowo zaprojektowano je tak, że dwie osoby nie mogły się na nich wyminąć bez dotykania. Przekonałem się o tym, kiedy Thomas i ja przechodziliśmy obok dziewczyny w skórzanych szortach i gorsecie, ciasno dopasowanych do bujnych kształtów ciała, kuszącego w błyskach czerwonych świateł. Dziewczyna prześliznęła się obok Thomasa, wpatrując się w jego pierś, jakby zamierzała się nachylić i go ugryźć.

Zignorował ją, ale wtedy dziewczyna zrównała się ze mną, a ja zajmowałem więcej miejsca niż mój brat. Poczułem, że jej biodro ociera się o mnie. Wygięła plecy w łuk, kiedy mijalem ją, idąc odwrócony bokiem. Jej piersi przycisnęły się do mojego mostka – sprężyste ciepło. Usta miała rozchylone, oczy zbyt jasne. Ręka dziewczyny otarła się o moje udo ruchem, który mógł być przypadkowy, ale taki nie był. Moje ciało nagle zażądało, żebym zatrzymał się na chwilę i zobaczył, co będzie dalej.

Nie można ufać swojemu ciału, kiedy mówi takie rzeczy. Ono nie rozumie, co to są prawdziwe uczucia, interakcje, cięższe, choroby przenoszone drogą płciową. Ono po prostu chce. Próbowałem nie zwracać na nie uwagi, ale na chodnikach byli też inni ludzie, a w całym Zero nie znalazłbym chyba jednej kobiety, która nie wyglądałaby olśniewająco. Większość z nich, przechodząc obok mnie, robiła wszystko, żebym to zauważył.

Podobnie jak paru mężczyzn, skoro już o tym mowa, ale moje zainteresowania ich nie obejmowały.

Nie pomagało mi również to, że po drodze miałem okazję zobaczyć rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziałem, nawet na filmach. Jedna dziewczyna wyczyniała coś takiego językiem i kostką lodu, że...

Po prostu musicie mi uwierzyć. To wszystko rozpraszało jak diabli.

Thomas szedł coraz szybciej, w miarę jak zbliżaliśmy się do schodów prowadzących na najwyższą platformę, i ostatni odcinek pokonał, przeskakując po trzy stopnie. Szedłem za nim i rozglądałem się, wypatrując złych facetów. Miało to ten skutek uboczny, że przy okazji obmacywałem wzrokiem więcej ładnych dziewczyn, niż kiedykolwiek w życiu widziałem jednocześnie w jednym miejscu. Ale to było profesjonalne obmacywanie. Któraś z nich mogła ukrywać...

No cóż, byłem wstrząśnięty tym, co jedna z nich ukrywała.

Wszedłem na szczyt schodów w samą porę, by zobaczyć, że Thomas rzuca się w ramiona jakiejś kobiety.

Justine nie była szczególnie wysoka jak na dziewczynę, przynajmniej póki nie włożyła butów na pięciocalowych obcasach. Wyglądała tak, jak ją zapamiętałem: śliczna twarz, ale nadal jak u dziewczyny z sąsiedztwa, i uśmiech, który topił serce. Jej włosy były srebrnobiałe, zebrane w ciasny kok wysoko z tyłu głowy i spięte dwiema białymi szpilkami.

Oczywiście ostatnim razem, kiedy ją widziałem, nie miała na sobie dopasowanego kombinezonu z białego lateksu, łącznie z rękawiczkami, który podkreślał absolutnie wszystko i robił to dobrze.

Thomas padł na kolana, otoczył Justine ramionami w talii i przyciągnął do siebie. Ona oplótła lateksowymi rękami jego szyję i przytuliła go mocno. Oboje zamknęli oczy i stali tak przez długą minutę, tylko się obejmując.

Takie zachowanie było obce w tym miejscu.

Odwróciłem się, oparłem o poręcz i spojrzałem w dół na klub, dając mojemu bratu i kobiecie, którą kochał, odrobinę prywatności. Justine nosiła kombinezon nie ze względu na modę. Dotyk szczerej miłości, prawdziwej i nieegoistycznej, stanowił przekleństwo dla Białego Dworu. Thomas opowiadał mi o wampirach mocno poparzonych po samym muśnięciu obrączki ślubnej albo róży w rękę ukochanej. Ale najbardziej niebezpieczny był dla nich fizyczny kontakt z osobą, którą kochały z wzajemnością.

Widziałem u Thomasa oparzenia drugiego stopnia na wargach, po tym, jak ostatnio pocałował Justine.

Nie byli ze sobą od tamtej nocy, kiedy dziewczyna poświęciła się, żeby go ratować, zaspokoila jego głód, żeby mógł przeżyć wieczór. Thomas z kolei

okiełznał mroczniejszą stronę swojej natury i powstrzymał się przed pożarciem ukochanej. I tak omal jej nie zabił, przez co w ciągu dosłownie jednej nocy osiwiła. Całe lata zabrała jej walka z długotrwałym uzależnieniem od żywienia inkuba, ale w końcu je pokonała. Teraz była asystentką Lary, starszej siostry Thomasa, dzięki czemu znała wszelkiego rodzaju soczyste szczegóły na temat Białego Dworu. Chroniła ją miłość, a to oznaczało, że wampiry nie mogą się nią karmić, co Lara uważała za dużą zaletę u osobistej asystentki.

Oznaczało to również, że mój brat nie może tknąć kobiety, którą kochał. Gdyby, tak jak większość Białego Dworu, interesowało go tylko zaspokajanie własnego głodu, mógłby dać jej wszystko. Zamiast tego...

Czasami ironia jest jak potężny kopniak w jaja.

Przez chwilę obserwowałem parkiet, nie tyle się gapiąc, ile po prostu chłonąc światło i ruch, aż kątem oka dostrzegłem, że mój brat i jego dziewczyna odsunęli się od siebie. Wtedy się odwróciłem i podszedłem do nich, a Justine pokazała gestem, żebyśmy usiedli na dwóch kanapach ustawionych naprzeciwko siebie.

Thomas usiadł w rogu kanapy, Justine jak najbliżej niego, ale tak, żeby nie dotknąć go nawet skrawkiem gołej skóry, choć tych nie było wiele. Ja zająłem miejsce na wprost nich i oparłem łokcie na kolanach.

Z uśmiechem skinąłem głową Justine. Podłoga i murek odgradzający platformę musiały być wykonane z dźwiękoszczelnego materiału, bo gwar klubu dochodził tutaj znacznie przytłumiony.

– Justine, wyglądasz jak z mokrego snu ludzika Michelina – powiedziałem.

Roześmiała się, a jej policzki się zaróżowiły.

– Cóż, klub musi dbać o swój wizerunek. Co u ciebie, Harry?

– Jestem upalony tym całym dymem i w tarapatach. Thomas mówił, że masz jakieś informacje.

Justine pokiwała głową i wzięła do ręki leżącą obok niej na kanapie szarą teczkę na dokumenty.

– Chodzą słuchy o polowaniu na Strażnika zdrajcę. Nie ma dużo szczegółów, ale udało mi się zdobyć to.

Podsunięła mi teczkę, a ja wziąłem ją i otworzyłem. Pierwsza kartka była wydrukiem z jakiejś strony z Internetu.

– Co to, do diabła, jest Craigslist?

– Serwis internetowy – wyjaśniła Justine. – Rodzaj gigantycznego działu ogłoszeń drobnych, tyle że można się do niego dostać z każdego miejsca na świecie. Ludzie zgłaszają tam towary, które chcą kupić albo sprzedać.

– Towary i usługi – wtrącił Thomas. – Dam pracę i zawołany język dla mniej legalnych rzeczy. Dochodzi do zawarcia wielu niejasnych umów, bo stosunkowo łatwo zrobić to anonimowo. Osoby do towarzystwa, najemnicy, co tylko chcesz.

Jedno z ogłoszeń brzmiało:

POSZUKIWANY NA STAŁE,
DONALD MORGAN, 5 MLN ZNALEŻNEGO.
ŚWIADCZENIA.
LOSTANDFOUND@YAHOO.COM

– Jasny gwint! – zakląłem cicho.

Podąłem kartkę Thomasowi.

– List gończy – stwierdził.

Kiwnąłem głową.

– Bez „żywy albo martwy”. Po prostu chcą go martwego.

Każdy nadprzyrodzony kiler na tej cholernej planecie będzie teraz szukał Morgana. Nie tyle dla pieniędzy, ile prawdopodobnie dla innych profitów, które obiecywało ogłoszenie. W niezemskim świecie miały one dużo większą wagę niż gotówka. Pięć milionów było tylko po to, żeby pokazać skalę korzyści, które wiązały się z wypełnieniem zadania.

– Wszyscy cyngle na świecie – wymamrotałem. – Coraz lepiej.

– Dlaczego wasi ludzie mieliby to robić? – spytała Justine.

– Nie zrobili – powiedziałem.

Thomas zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz?

– Bo Rada załatwia takie sprawy po cichu, w swoim gronie. – I rzeczywiście tak było. W razie potrzeby mieli własnego zabójcę. Skrzywiłem się. – Poza tym, nawet gdyby dali zlecenie, na pewno nie użyliby do tego Internetu.

Thomas pokiwał głową, leniwie muskając palcami lateksowe ramię Justine.

– Więc kto to zrobił?

– Właśnie. Można jakoś się dowiedzieć, kto zamieścił ogłoszenie? Albo do kogo należy ten adres mailowy?

Justine pokręciła głową.

– Nie z całkowitą pewnością.

– No to będziemy musieli sami nawiązać kontakt – stwierdził Thomas. – Może wywabimy ich z kryjówki.

Podrapałem się w zadumie po brodzie.

– Jeśli mają choć odrobinę rozsądku, nie pokażą się nikomu, kto nie ma uznanej pozycji w tej branży. Ale warto spróbować. – Westchnąłem. – Muszę go przenieść.

– Dlaczego? – zapytał Thomas.

Postukałem palcem w wydruk.

– Kiedy niespodziewanie wyskakują takie rzeczy, szykują się kłopoty, a nade mną mieszkają starsi ludzie.

Thomas zmarszczył brwi i pokiwał głową.

– Gdzie?

Już miałem odpowiedzieć, kiedy nagle na dole zmienił się rytm muzyki i w górę podniosła się fala szalonych krzyków, ogłuszających mimo wyciszenia. Chwilę później wszystkie moje nerwy zadrżały, serce zabiło szybciej, raptem wróciły żądania, które niedawno stawiało moje ciało.

Justine też zadygotała i przymknęła oczy. Odetchnęła głęboko, a jej brodawki stwardniały pod lateksowym kombinezonem. Biodra drobnym, nieświadomym ruchem otarły się o udo Thomasa.

Oczy mojego brata na sekundę zmieniły kolor z jasnoszarego na srebrny, zimny i twardy. Potem Thomas wstał, ostrożnie odsuwając się od Justine. Skierował głowę w stronę parkietu. Ramiona miał napięte.

Poszedłem za jego spojrzeniem.

– Co się dzieje?

– Kłopoty – rzucił krótko i zerknął na mnie przez ramię. – Rodzina przyszła z wizytą.

Thomas przez chwilę wpatrywał się w parkiet do tańca, a potem kiwnął głową, jakby w geście rozpoznania.

– Trzymaj się z dala, Harry – ostrzegł spokojnym, cichym głosem.

– Z dala od czego? – zapytałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie z wyrazem nie ludzkiej obojętności na twarzy.

– To sprawa rodzinna. Ciebie nie dotyczy. Dom wydał rozkazy, żeby bez pozwolenia nie zaczepiać magów. Jeśli się nie wtrącis, nie będę musiał się o ciebie martwić.

– Co takiego? Thomasie...

– Pozwól, że ja się tym zajmę – przerwał mi twardym tonem.

Zamierzałem mu odpowiedzieć, ale wtedy do sali wszedł wampir.

Było to jedno z tych wrażeń, które później trudno sobie przypomnieć, jak ostatnie chwile snu tuż przed przebudzeniem. Wiesz, że nie będziesz pamiętał tego marzenia sennego, ale nie możesz uwierzyć, że mogłeś zapomnieć coś tak ważnego i namacalnego.

Odwróciłem się i spojrzałem w chwili, kiedy weszła. Tak jak wszyscy w sali.

Oczywiście była cała ubrana na białą. Prosta suknia z jakiegoś połyskującego, jedwabistego materiału sięgała górnej części ud. Co najmniej sześć stóp wzrostu, jeszcze więcej w częściowo przezroczystych butach, które miała na nogach. Skóra blada i nieskazitelna, włosy ciemne i lśniące od refleksów, które zmieniały kolor wraz ze stroboskopowymi światłami. Twarz doskonale piękna, tak że nie szpecił jej nawet arogancki wyraz. Ciało jak z plakatów reklamowych.

Weszła na parkiet taneczny i ruszyła do schodów lekkim krokiem drapieżnika. Przy każdym ruchu jej biodra i ramiona kołysały się do rytmu

muzyki, z większym wdziękiem niż u spoconych tancerzy, bardziej zmysłowo niż u kochanków.

U stóp pierwszych schodów zbliżyła się do młodego mężczyzny w skórzanych spodniach i koszuli, która wyglądała jak porwana na strzępy przez zagorzałe wielbicielki. Bez wahania pchnęła go na poręcz i przywarła do niego całym ciałem.

Oplotła rękami jego szyję i pocałowała go. To był tylko pocałunek, ale najwyraźniej nikt tego nie powiedział młodemu mężczyźnie. Sądząc po jego reakcji, można by pomyśleć, że właśnie tam i wtedy kobieta go posiadała. Przez jakąś minutę jej usta były przyspawane do jego ust, języki się splatały. Potem ona odwróciła się z gracją i powoli zaczęła wchodzić po schodach. Przy każdym kroku mięśnie zgrabnych nóg grały pod białą, delikatną skórą.

Mężczyzna po prostu osunął się na podłogę, cały rozdygotany, z zamkniętymi oczami. Chyba nawet nie był świadomy tego, że ona już odeszła.

Kobieta przyciągała wszystkie spojrzenia i dobrze o tym wiedziała.

Nie zwróciła na siebie uwagi obecnych jakimś spektakularnym czynem. Goście klubu nie obejrzeliby się gwałtownie i jednocześnie. Nie zapadła nagle cisza, nikt raptem nie zamarł w bezruchu. Taka reakcja też budziłaby wielki niepokój.

Mimo to wpływ kobiety był dużo bardziej przerażający.

Wszyscy obecni, mężczyźni i kobiety, podnosili wzrok, kątem oka śledzili jej ruchy albo na ułamek sekundy przerywali rozmowy. Większością z nich kierował całkowicie nieświadomy odruch. Nie mieli pojęcia, że ich umysły są już zniewolone.

Kiedy sobie to uświadomiłem, zrozumiałem, że ja też jestem w niebezpieczeństwie.

Z prawdziwym wysiłkiem zamknąłem oczy, żeby przypomnieć sobie, gdzie się znajduję. Czułem aurę sukuba niczym jedwabiste muśnięcie pajęczyn na rzęsach, coś łaskoczącego, rozkosznego i trzepotliwego przesunęło się po moich nogach w górę aż do mózgu.

To była tylko obietnica, podszept skierowany do ciała. Ale dobry szept. Musiałem uczynić spory wysiłek, żeby się od niego odgrodzić. I nagle wrócił

rozsądek, trzepotanie ustało i odplynęło w chłodnym podmuchu strachu.

Kiedy otworzyłem oczy, kobieta sunęła w naszą stronę ostatnim chodnikiem w swojej cienkiej białej sukni. Po kilku krokach zatrzymała się i pozwoliła nam sobie obejrzeć. Doskonale wiedziała, jakie robi wrażenie. Nawet zachowując ostrożność, czułem subtelną słodycz jej obecności, nieodparty zew. Słyszałem szept, że powinienem się odprężyć i przez jakiś czas poprzesuwać po niej wzrokiem.

Kobieta na chwilę skierowała na mnie chabrowe oczy, a jej usta się rozchyliły, powoli układając się w uśmiech, od którego moje spodnie natychmiast skurczyły się o trzy rozmiary.

– Kuzyn Thomas – zamruczała. – Nadal szlachetny i wyglodniały, jak widzę.

– Madeline. – Mój brat pokazał w nikłym uśmiechu białe, idealne zęby. – Nadal niezdyscyplinowana i bezwstydna, jak widzę.

Na tę uwagę oczy Madeline Raith zareagowały zupełnie inaczej niż usta. Uśmiech poszerzył się jak na konkursie piękności i zastygł, natomiast oczy się zmrużyły, a tęczęwki z bladoniebieskich zrobiły się całkiem białe. Wampirzyca przeniosła wzrok z Thomasa na Justine.

– Mała śmiertelniczka Lary – powiedziała. – Zastanawiałam się, gdzie uciekłaś. Teraz widzę, że spotykasz się z dawną miłością i... – przesunęła spojrzenie na mnie – z wrogiem.

– Nie bądź śmieszna. – Choć głos Justine był spokojny, jej policzki zrobiły się jasnorożowe, a źrenice się rozszerzyły. – Przyszłam tu, żeby przejrzeć księgi, jak co tydzień.

– Ale tym razem się wyperfumowałaś – zauważyła Madeline. – I włożyłaś dość prowokacyjny strój. Nie pomyśl, że go nie doceniam, kochanie. Uważam, że jest... – dotknęła językiem górnej wargi – interesujący.

– Madeline, odejdz, proszę – odezwał się Thomas przesadnie cierpliwym tonem.

– Mam wszelkie prawo tutaj być – oświadczyła wampirzyca.

Jej głos wybijał się ponad klubową muzykę, oszałamiająco zmysłowy. Madeline odwróciła się i zrobiła kilka kroków w moją stronę, skupiając na mnie całą uwagę.

Nagle poczułem się jak nastolatek, trochę przestraszony, bardzo podniecony i nabuzowany hormonami, które domagały się tak wielu różnych niewytłumaczalnych rzeczy, że omal nie straciłem zdolności używania rozumu.

Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki ode mnie.

– Mniejsza o okropne maniery mojego kuzyna. Niesławnego Harry'ego Dresdena raczej nie trzeba przedstawiać. – Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół i zaplotła na palcu kosmyk ciemnych włosów. – Jak mogłam tyle razy przyjeżdżać do Chicago i nigdy cię nie spotkać?

– Ja ciebie widziałem. – Głos miałem trochę zachrypnięty, ale działający.

– Tak? – Jej seksowny uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Należysz do tych, co lubią sobie popatrzeć, Harry?

– Jasne. Oglądałem wtedy „Kto wrobił królika Rogera?”.

Jej uśmiech odrobinę zbladł.

– Jesteś Jessica Rabbit, prawda? Cała uwodzicielska, przerysowana i oczywista?

Uśmiech całkiem zniknął.

– Bo, do licha, wiem, że gdzieś cię widziałem, i byłbym zakłopotany, gdyby się okazało, że grałaś złą księżniczkę w „Bucku Rogersie”.

– Co? W jakim Bucku?

Posłałem jej swój najlepszy wymuszony uśmiech.

– Hej, nie zrozum mnie źle. Przynosisz tamtej ekipie zaszczyt. Ale za bardzo się starasz. – Nachyliłem się i dodałem teatralnym szeptem: – Lara działa na mnie bardziej, siedząc po prostu na krześle, niż ty całym tym swoim wejściem.

Madeline Raith zastygła jak posąg wściekłej bogini, temperatura powietrza wokół nas spadła o kilka stopni.

Nagle wyczułem obok siebie obecność Thomasa i zobaczyłem, że mój brat opiera się łokciami o poręcz, trzymając dłonie swobodnie i luźno. Stał trochę bliżej wampirzycy niż ja.

– Idź stąd, Madeline – odezwał się dokładnie tym samym tonem co wcześniej – nim zatłukę cię na śmierć gołymi rękami.

Jego kuzynka gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu, jakby ją spoliczkował.

– Co?

– Słyszałaś – powiedział Thomas spokojnie. – To nie w porządku, kiedy rodzina się kłóci, wiem, ale jestem zmęczony i guzik mnie obchodzi, co myślisz o mnie ty albo ktokolwiek z Domu. Nie szanuję cię dostatecznie, żeby brać udział w twoich gierkach, nawet gdybym był w nastroju.

– Jak śmiesz? – obruszyła się Madeline. – Jak śmiesz tak mnie traktować? Lara każe cię za to obedrzeć ze skóry.

– Tak? – Thomas posłał jej lodowaty uśmiech. – Po tym, co zrobiłaś magowi, on miałby wszelkie prawo spalić cię aż po same, o wiele za drogie, buty.

– Ja nigdy...

– I to mimo rozkazów samego Króla – dorzucił Thomas, kręcąc głową. – Lara ma powoli dość sprzątanania po tobie, Mad. Pewnie kupiłaby mi nowy zestaw noży do steków, gdybym znalazł sposób, żeby uczynić jej życie trochę mniej dokuczliwym.

Madeline się roześmiała, co zabrzmiało jak brzęk tłuczonego szkła.

– I myślisz, że ona kocha cię bardziej, kuzynie? Odmawiasz chodzenia razem z Domem na spotkania Dworu, spędzasz czas z bydłem i przynosisz wstyd rodzinie. Przynajmniej powiedz mi, że zamierzasz wystawić zwierzęta na jakiejś aukcji.

– Nie jesteś w stanie zrozumieć, dlaczego robię to, co robię – stwierdził Thomas.

– A kto by chciał? – odparowała wamprzycą. – Jesteś takim samym degeneratem jak ci głupcy ze Skavis i Malvory.

Usta Thomasa zacisnęły się lekko, ale to była jego jedyna reakcja.

– Odejdź, Madeline. To ostatnie ostrzeżenie.

– Dwoje członków najstarszego rodu Raithów mordujących się nawzajem? – rzuciła Madeline szyderczo. – Biały Król nie mógłby takiego czynu puścić płazem i dobrze o tym wiesz. – Odwróciła się i ruszyła w stronę Justine, ale jeszcze rzuciła przez ramię: – Blefujesz. Poza tym jeszcze nic nie usłyszeliśmy od naszej małej różyczki.

Jej głos przeszedł w niskie mruczenie, a dziewczyna zadrżała, niezdolna do najmniejszego ruchu, kiedy Madeline się do niej zbliżała.

– Ładna Justine – powiedziała wampirzyca, kładąc dłoń na jej ramieniu i przesuwając opuszką palca po wzniesieniu piersi. – W przeciwieństwie do niektórych nie gustuję w takich łaniach, ale sama myśl o tobie jest dla mnie rozkoszna.

– Nie możesz mnie dotknąć – wyjąkała Justine, oddychając szybciej.

– Jeszcze nie, ale nie zostało tyle woli w twojej ładnej główce, żebyś długo mogła się kontrolować. – Madeline zsunęła dłoń na jej talię. – Którejś nocy może przyjdę do ciebie z jakimś pięknym młodym byczkiem i będę ci szeptać miłe rzeczy, aż w końcu oszalejesz i ulegniesz. A kiedy on już cię wykorzysta, sarenko, ja cię pochłonę jednym wielkim kęsem. – Oblizwała wargi. – Wezmę cię całą, a ty będziesz krzyczała, jak bardzo to kochasz...

Thomas rozbił krzesło na głowie kuzynki.

Akcja okazała się szczególnie widowiskowa, jako że krzesła stojące na balkonie były zrobione z metalu.

Wszystko odbyło się bardzo szybko, w mgnieniu oka. W jednej chwili brat stał obok mnie, gotując się z gniewu, a w następnej wszędzie ze świstem fruwały nity. Wampirzyca runęła na podłogę.

Powietrze zrobiło się zimne. Thomas cisnął na bok zniszczone krzesło. Madeline zerwała się z ziemi i wymierzyła cios w jego szczękę. Mój brat zrobił unik jak bokser i ze stęknieniem bólu przyjął uderzenie na ramię. Potem chwycił swoją przeciwniczkę za kostkę, zatoczył nią półkole i wybił w gipsowej ścianie działowej otwór o wymiarach 36-24-36.

Madeline krzyknęła i zwiotczała. Thomas zatoczył nią kolejny łuk i cisnął ją na niski stolik do kawy ustawiony między kanapami. Leżąc na nim, wampirzyca wydała z siebie zdławiony jęk. Wzrok miała błędny. Nie zatrzymując się, mój brat wyrwał szpilki z włosów Justine, tak że jej srebrzyste loki rozsypały się po plecach.

Potem dwoma szybkimi, ostrymi ruchami wkłuł szpilki w nadgarstki Madeline, przybijając ją do stolika jak motyla do kartki.

– Oczywiście masz rację – warknął. – Lara nie mogłaby zignorować tego, że jeden członek rodziny morduje drugiego, bo Król wyszedłby na słabeusza. – Zamknął dłoń na twarzy Madeline i przyciągnął ją do siebie za głowę, tak że jej ramiona wygięły się boleśnie. – Blefowałem. – Pchnął ją z powrotem na

stolik i dodał: – Oczywiście jesteś rodziną. Rodziny się nie mordują. – Spojrzał na Justine. – One się dzielą.

Dziewczyna popatrzyła mu w oczy. Jej rysy ożywił skąpy, ale twardy uśmiech.

– Chciałaś jej posmakować – powiedział Thomas, splatając palce z obleczonymi w lateks palcami ukochanej. – Ależ proszę, Mad, nie krępuj się.

Justine pochyliła się i pocałowała Madeline Raith w czoło, a jej srebrne jedwabiste włosy zasłoniły je obie.

Wampirzyca krzyknęła.

Dźwięk zginął pośród dudniącego rytmu i błyskających świateł.

Kilka sekund później Justine uniosła głowę i powoli zabrała włosy z ciała Madeline. Wampirzyca znowu wrzasnęła i zaczęła się wić, podczas gdy Thomas trzymał ją przyszpiloną do stolika. Tam gdzie srebrne pasma musnęły obnażone ciało, skóra skwierczała, płonęła i czerniała, w innych miejscach tworzyły się pęcherze i pręgi. Justine zostawiła szlak zniszczenia na nogach Madeline, a następnie wyprostowała się razem z Thomasem, dwa ciała w jednym płynnym ruchu.

Twarz Madeline Raith była cała poparzona, miękkie usta Justine wypaliły czarne piętno na bladej skórze pośrodku czoła. Wampirzyca leżała na stoliku, nadal przybita szpilkami, i drżała gwałtownie, jęcząc z bólu i nie mogąc złapać tchu.

Thomas i Justine ruszyli ręką w rękę do schodów prowadzących w dół. Ja podążyłem za nimi.

Gdy przechodzili pod wylotem klimatyzacji, kilka kosmyków Justine musnęło nagie ramię i pierś Thomasa. Na jego skórze natychmiast pojawiły się jaskrawe szkarłatne kreski. Mój brat nawet nie drgnął.

Zbliżyłem się do nich i podałem Justine dwa ołówki, które wyjąłem z kieszeni płaszcza. Przyjęła je, dziękując mi skinieniem głowy, i sprawnie upięła nimi włosy. Obejrzałem się przez ramię.

Madeline Raith leżała unieruchomiona i dysząca jak ryba bez wody... ale jej białe oczy płonęły nienawiścią.

Thomas wziął z szatni swój T-shirt i włożył go. Następnie objął Justine

i przytulił ją mocno.

– Wszystko będzie dobrze? – spytał.

Justine z zamkniętymi oczami pokiwała głową.

– Zadzwoń do Domu. Lara kogoś po nią przyśle.

– Jeśli ją teraz zostawisz, narobi ci kłopotów – ostrzegłem.

Brat wzruszył ramionami.

– Nie upiekłoby mi się, gdybym ją zabił. Ale nasz Dom ma raczej surowy pogląd na kłusownictwo. – W jego oczach pojawił się twardy błysk. – Justine jest moja. I należało to pokazać Madeline. Zasłużyła sobie na nauczkę.

Justine przytuliła się do niego mocniej. On też ją uściskał.

Wszyscy ruszyliśmy w dół po schodach, a ja byłem zadowolony, że opuszczamy Zero.

– Mimo wszystko, widząc ją w takim stanie, mam wrażenie, że ktoś chyba posunął się za daleko – wyznałem. – Czuję się trochę kiepsko z jej powodu.

Thomas zerknął na mnie, unosząc brew.

– Naprawdę?

– Tak. – Zacisnąłem wargi w zadumie. – Może nie powinienem był mówić tego o Jessica Rabbit.

Gorąca letnia noc wydawała się o dziesięć stopni chłodniejsza i milion razy czystsza od tego, co zostawiliśmy za sobą. Po wyjściu z Zero Thomas skręcił ostro w prawo i oddalił się szybkim krokiem. Kiedy znalazł miejsce w cieniu między latarniami ulicznymi, oparł się ramieniem o ścianę budynku i schylił głowę. Trwał w tej pozycji przez minutę. Potem dwie.

Czekałem. Nie musiałem go pytać, o co chodzi. Pokaz siły i władzy wobec Madeline kosztował go dużo energii. Energii, którą inne wampiry zdobywają, żywiąc się swoimi ofiarami, tak jak zrobiła Madeline z tym nieszczęśliwym w środku. Thomas nie był zdenerwowany tym, co się stało w Zero, tylko głodny.

Jego walka z głodem była skomplikowana, trudna i możliwe, że z góry przegrana. Jednak to wszystko nie zniechęcało go do starań. Cała rodzina Raith uważała, że Thomas jest szalony.

Ale ja go rozumiałem.

Podszedł do mnie minutę później. Wyraz jego twarzy był chłodny i nieprzystępny jak góry Antarktyki.

Wyrównał ze mną krok, kiedy ruszyliśmy ulicą w stronę parkingu, na którym zostawił samochód.

– Mogę ci zadać pytanie? – odezwałem się po chwili.

Kiwnął głową.

– Wampiry z Białego Dworu doznają poparzeń, kiedy próbują żywić się kimś, kto naprawdę kocha, tak?

– To nie jest takie proste – odparł Thomas cicho. – Wszystko zależy od tego, jaką władzę ma nad tobą głód.

– Ale kiedy się pożywiają, głód jest pod kontrolą.

Thomas wolno pokiwał głową.

– Więc dlaczego Madeline próbowała się pożywić Justine? – spytałem. –

Musiała wiedzieć, że to ją zaboli.

– Z tego samego powodu, co ja – odparł Thomas. – Nie mogła się oprzeć. To odruch.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie kapuję.

Już myślałem, że brat nic nie powie, bo tak długo milczał, ale w końcu jednak się odezwał.

– Justine i ja byliśmy razem przez lata. I ona... dużo dla mnie znaczy. Kiedy jestem blisko, nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o niej. A kiedy jej dotykam, wszystko we mnie pragnie być jeszcze bliżej.

– Łącznie z twoim głodem – dorzuciłem cicho.

Thomas pokiwał głową.

– W tym punkcie się zgadzamy, mój demon i ja. Dlatego nie mogę dotknąć Justine, żeby on nie zbliżył się do powierzchni, chyba tak można to ująć.

– I nie poparzył się.

– Właśnie. Madeline jest na drugim końcu skali. Uważa, że powinna mieć prawo żywić się każdym, na kogo ma ochotę, zawsze i wszędzie. Ona nie widzi ludzi, tylko jedzenie. Głód ma nad nią całkowitą władzę. – Thomas uśmiechnął się gorzko. – Dla niej to odruch, podobnie jak dla mnie.

– Ty jesteś inny. Dla niej atrakcją są wszyscy, nie tylko Justine.

Brat wzruszył ramionami.

– Nie obchodzą mnie wszyscy. Obchodzi mnie Justine.

– Ty jesteś inny – powtórzyłem.

Thomas odwrócił głowę w moją stronę. Wyraz jego twarzy był sztywny i zimny.

– Zamknij się, Harry.

– Ale...

– Zamknij. Się. – Jego głos przypominał ciche warknięcie.

Było to trochę przerażające.

Thomas patrzył na mnie twardo przez dłuższą chwilę, a następnie pokręcił głową i odetchnął powoli.

– Pójdę po samochód. Zaczekaj tutaj.

– Jasne.

Odszedł z rękami w kieszeniach i zwieszoną głową. Każda kobieta, którą mijał, odwracała głowę, żeby na niego popatrzeć. Niektórzy mężczyźni również. On ich wszystkich ignorował.

Na mnie też zerkano, ale tylko dlatego, że w gorącą letnią noc stałem na chodniku przed jednym z chicagowskich klubów w długim skórzanym płaszczu i z laską ozdobioną mistycznymi runami. Spojrzenia rzucane Thomasowi mówiły: „mniam”. Skierowane na mnie: „dziwak”.

Trudno uwierzyć, ale wcale źle na tym nie wychodziłem.

* * *

Kiedy czekałem na Thomasa, nagle zjeżyły mi się włoski na karku. Wyczułem, że ktoś mnie obserwuje. Moje instynkty były ostatnio na fali, więc ich posłuchałem. Przygotowałem swoją obronną bransoletę z tarcz i powolnym, niedbałym ruchem obróciłem głowę, spoglądając w górę i w dół ulicy. Nikogo nie zauważyłem, ale mój wzrok jakby się potknął, kiedy przesuwalem nim po alejce znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Wróciłem spojrzeniem w tamto miejsce i tym razem dostrzegłem niewyraźną ludzką sylwetkę.

Po chwili plama zmieniła się w postać kiwającej na mnie Anastasii Luccio.
Aj!

Przekroczyłem jezdnię w niedozwolonym miejscu, lawirując między nielicznymi samochodami, i wszedłem w zaułek.

– Dobry wieczór, Stacy – powiedziałem.

Luccio błyskawicznym ruchem wyciągnęła zakrzywioną szablę z futerału na biodrze. Jednocześnie w jej drugiej ręce pojawił się pistolet. Czubek ostrza znalazł się tuż przy mojej twarzy. Gwałtownie szarpnąłem głowę do tyłu, przez co straciłem równowagę i skończyłem przyciśnięty plecami do ściany.

Anastasia uniosła brew, a jej miękkie usta zacisnęły się w wąską kreskę.

– Ze względu na ciebie mam nadzieję, że jesteś prawdziwym Harrym

Dresdenem i użyłeś tego koszmarnego zdrobnienia tylko po to, żeby się upewnić, że jestem prawdziwą Anastasią – położyła lekki nacisk na to imię – Luccio.

– Tak, Anastasio. – Bardzo uważałem, żeby się nie poruszyć. – I sądząc po twojej reakcji, widzę, że to naprawdę ty.

Opuściła miecz i pistolet. Powoli się odprężyła.

– Oczywiście, że to ja. A któż by inny?

Pokręciłem głową.

– Miałem kiepską noc ze zmiennokształtnym.

Anastasia uniosła brew. Była kapitanem Strażników Białej Rady z parusetletnim doświadczeniem.

– Ja też takie miewałam. – Położyła dłoń na moim ramieniu. – Wszystko w porządku?

Zbliżyliśmy się do siebie i uściskaliśmy. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem spięty, dopóki nie wypuściłem powietrza z płuc i nie rozluźniłem mięśni. Anastasia była smukła i silna w moich ramionach.

– Na razie żyję – odpowiedziałem. – Przypuszczam, że użyłaś zaklęcia tropiącego, żeby mnie znaleźć, bo nie wyglądasz, jakbyś się martwiła, czy to naprawdę ja.

Anastasia lekko cmoknęła mnie w usta.

– Szczerze mówiąc, Harry – rzuciła z uśmiechem – kto by chciał ciebie udawać?

– Ktoś, kto by chciał, żeby w ciemnym zaułku pocałowała go uwodzicielska starsza kobieta.

Uśmiechnęła się szerzej i zaraz spoważniała.

– Myślałam, że będę musiała sforsować drzwi i wejść tam po ciebie. Co robiłeś w szambie Białego Dworu?

Nie sądzę, żebym jakoś to sprowokował, ale odsunęliśmy się od siebie.

– Szukałem informacji – wyjaśniłem. – Coś się dzieje, a ja znalazłem się poza kręgiem wtajemniczonych.

Anastasia zacisnęła wargi i odwróciła wzrok. Wyraz twarzy miała nieprzystępny, naznaczony gniewem.

– Tak. Rozkazy.

– Rozkazy – powtórzyłem. – Merlina, jak sądzę.

– Właściwie Ebenezara McCoya.

Oszupiałem. McCoy był kiedyś moim mentorem. Szanowałem go.

– Rozumiem. Bał się, że jeśli usłyszę o ucieczce Morgana, spróbuję poszukać zemsty.

Anastasia zerknęła na mnie, a potem przeniosła spojrzenie na klub Zero. Wzruszyła ramionami, nie patrząc mi w oczy.

– Bóg wie, że masz dość powodów, żeby to zrobić.

– Zgadzasz się z nim – stwierdziłem.

Wróciła do mnie spojrzeniem i zapytała:

– Skoro się zgadzam, to dlaczego tutaj stoję?

Zmarszczyłem brwi i podrapałem się w głowę.

– Okay. Tu mnie masz.

– Poza tym martwiłam się o ciebie.

– Martwiłaś się?

Anastasia pokiwała głową.

– Morgan tak się ukrył, że nawet Rada Starszych nie potrafi go znaleźć.

Przyszło mi na myśl, że mógł zjawić się tutaj.

Pokerowa twarzą, nie zawieź mnie teraz.

– To szaleństwo – powiedziałem. – Dlaczego miałby to robić?

Luccio rozprostowała ramiona i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Może dlatego, że jest niewinny.

– I?

– Pewni ludzie starali się o pozwolenie Rady Starszych na śledzenie cię i przesłuchanie w związku z podejrzeniem, że jesteś zdrajcą, który przekazuje informacje Czerwonemu Dworowi. – Znowu uciekła wzrokiem. – Najgłośniejszemu opowiadał się za tym Morgan.

Wziąłem głęboki wdech.

– Czyli, twoim zdaniem, Morgan wie, że nie jest zdrajcą, i sądzi, że ja nim jestem.

– Mógł wskazywać na ciebie, żeby udowodnić własną niewinność, albo, jeśli to zawiedzie...

– Zabić mnie – dokończyłem cicho. – Mówisz, że postanowił usunąć

prawdziwego zdrajcę, zanim sam pójdzie pod topór.

I nagle zacząłem się zastanawiać, czy Morgan zjawił się na moim progu z powodów, które mi podał. Anastasia była w swoim czasie jego mentorką. Znała go przez większość jego życia, dosłownie od pokoleń.

A potrafiła go ocenić trafniej niż ja?

Jasne, że Morgan nie był w stanie zabić mnie osobiście... ale nie musiałby tego robić. Wystarczyło, żeby zadzwonił do Strażników i powiedział im, gdzie jestem. Wielu ludzi w Radzie bardzo mnie nie lubiło. Poszedłbym na dno razem z nim za udzielanie pomocy zdrajcy.

I nagle poczułem się naiwny, bezradny i chyba trochę głupi.

– Był w areszcie – przypomniałem. – Jak się wydostał?

Lucio uśmiechnęła się słabo.

– Nie jesteśmy pewni. Wpadł na coś, o czym my nie pomyśleliśmy. I w czasie ucieczki ranił trzech Strażników, tak że wylądowali w szpitalu.

– Ale nie uważasz, że jest winny.

– Ja... – Anastasia zmarszczyła brwi. – Nie pozwalam, żeby strach nastawił mnie przeciwko człowiekowi, którego znam i któremu ufam. Ale nie ma znaczenia, co ja myślę. Jest dość dowodów, żeby go zabić.

– Jakich dowodów? – spytałem.

– Innych niż ten, że przyłapano go stojącego nad ciałem LaFortiera z zakrwawionym nożem w ręce?

– Tak, innych.

Anastasia przeczesła palcami kręcone włosy.

– Informacje, które dostawał Czerwony Dwór, były znane wyłącznie małej grupie podejrzanych, do których również on należał. Mamy listy jego częstych rozmów telefonicznych z agentem Czerwonego Dworu. Wytropiliśmy również zagraniczny rachunek bankowy, na który ostatnio wpłacono kilka milionów dolarów.

Prychnąłem pogardliwie.

– Tak, to na pewno on. Morgan najemnik, dla którego nie liczy się nic oprócz dolarów.

– Wiem – powiedziała Anastasia. – Właśnie to miałam na myśli, mówiąc o strachu zaciemniającym ludzki osąd. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że

Czerwony Dwór znowu nas napadnie. I jeśli nie wyeliminujemy zdrajcy, ich pierwszy cios może okazać się fatalny w skutkach. Merlin jest zdesperowany.

– Witamy w klubie – mruknąłem.

Potarłem oczy i westchnąłem. Anastasia znowu dotknęła mojego ramienia.

– Uznałam, że masz prawo wiedzieć. Przykro mi, że nie dałam rady dotrzeć tutaj szybciej.

Nakryłem jej dłoń swoją i ścisnąłem lekko.

– Tak. Dzięki.

– Wyglądasz okropnie.

– Milutka jesteś.

Uniosła rękę i dotknęła mojej twarzy.

– Mam kilka godzin, zanim będę musiała wrócić na służbę. Pomyślałam, że butelka wina i masaż chyba nie zaszkodziły.

Ledwo powstrzymałem jęk rozkoszy na samą myśl o masażach Anastasii. Jeśli ona czegoś nie wiedziała o sprawianiu bezlitosnej przyjemności męskiemu obolałemu ciału, jeszcze tego nie wynaleziono. Niestety, z całą pewnością nie mogłem zabrać jej do swojego mieszkania. Jeśli Morgan naprawdę zamierzał mnie zdradzić, jej głowa łatwo mogłaby wylądować na podłodze obok jego i mojej.

– Nie mogę – powiedziałem. – Muszę iść do szpitala.

Anastasia zmarszczyła brwi.

– Co się stało?

– Skórozmienny wpadł w nocy na mój trop, kiedy byłem u Billy'ego Bordena. Kirby nie żyje. Andi jest w szpitalu.

Luccio z sykiem nabrała powietrza i skrzywiła się ze współczuciem.

– Dio, Harry. Tak mi przykro.

Wzruszyłem ramionami. Poczułem, że oczy zachodzą mi mgłą, i uświadomiłem sobie, że nie chodziło tylko o wymówkę, żeby trzymać ją z dala od swojego mieszkania. Kirby nie był moim rodzonym ani nikim takim, ale przyjacielem tak, częścią mojego życia. Z naciskiem na „był”.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – spytała Anastasia.

W pierwszym odruchu pokręciłem głową, ale zaraz się zreflektowałem:

– A właściwie tak.

– Dobrze.

– Dowiedz się o skórozmiennych wszystkiego, co się da. Zamierzam zabić tego mojego.

– W porządku.

– A co ja mogę dla ciebie zrobić? – zapytałem.

– Dla mnie? Nic. Ale... Morganowi przydałaby się każda pomoc.

– Tak. Jakbym zamierzał pomagać Morganowi.

Anastasia uniosła rękę.

– Wiem, wiem. Ale sama niewiele mogę zrobić. Wszyscy wiedzą, że był moim uczniem. Obserwują mnie. Jeśli otwarcie spróbuję mu pomóc, odbiorą mi stopień kapitana Strażników. W najlepszym razie.

– Nie podoba ci się, kiedy sprawiedliwość nie zawraca sobie głowy takimi drobiazgami jak fakty?

– Harry, a jeśli on jest niewinny?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak jak ja przez te wszystkie lata? Jestem zbyt zajęty podziwianiem karmy, żeby pomagać draniowi.

Tymczasem ulicą nadjechał z cichym pomrukiem jaguar i zatrzymał się przy krawężniku.

– Jest moja podwózka – oznajmiłem.

Anastasia zmierzyła wzrokiem samochód i kierowcę.

– Wampir?

– Był mi winien przysługę.

– Hmm... – Spojrzenie, którym Anastasia obrzuciła Thomasa, nie mówiło „mniem”. Raczej oceniało, ile strzałów będzie potrzebnych, żeby trafić w ruchomy cel. – Jesteś pewien?

Skinąłem głową.

– Biały Król kazał mu odgrywać miłego. I on będzie to robił.

– Póki nie przestanie – zgasiła mnie Anastasia.

– Niezmotoryzowani mają niewielki wybór – stwierdziłem.

– Chrabąszcz znowu zdechł?

– Tak jakby.

– Dlaczego nie kupisz sobie innego pojazdu? – zainteresowała się Luccio.

– Bo Niebieski Chrabąszcz to mój samochód – odparłem.

Anastasia przewróciła oczami i uśmiechnęła się słabo.

– Teraz wracam do Edynburga, żeby koordynować poszukiwania. Jeśli coś mogę zrobić...

– Dziękuję.

Anastasia objęła dłońmi moje policzki.

– Przykro mi z powodu twojego przyjaciela. Kiedy będzie po wszystkim, znajdziemy jakieś spokojne miejsce i się zrelaksujemy.

Odwróciłem głowę w bok i musnąłem ustami puls na jej nadgarstku. Potem splotłem ręce z jej dłońmi.

– Posłuchaj, nie składałem żadnych obietnic, ale jeśli trafię na coś, co mogłoby pomóc Morganowi, dam ci znać.

– Dziękuję – powiedziała cicho Anastasia.

Stała na palcach i pocałowała mnie na pożegnanie. Następnie odwróciła się i zniknęła w mroku zaułka.

Odczekałem chwilę, a potem wsiadłem do białego jaguara.

– A niech mnie, ta dziewczyna jest niezła – skomentował Thomas, przeciągając słowa. – Dokąd?

– Przestań się gapić. Do mnie.

Jeśli Morgan zamierzał mnie wyrolować, równie dobrze mogłem się o tym przekonać już teraz.

Thomas zatrzymał jaguara przed dawnym pensjonatem, w którym znajdowało się moje mieszkanie, i powiedział:

– Będę miał przy sobie komórkę. Spróbuj do mnie zadzwonić, nim coś eksploduje.

– Może tym razem będzie inaczej. Załatwię wszystko rozsądkiem, dyplomacją, dialogiem i współpracą.

Brat bez słowa zmierzył mnie wzrokiem.

Przybrałem urażoną minę i oświadczyłem:

– Tak mogłoby się zdarzyć.

Thomas sięgnął do kieszeni dzinsów, wyjął prostą białą wizytówkę z numerem telefonu i podał mi ją, mówiąc:

– Użyj tego numeru. To klon.

Spojrzałem na niego pustym wzrokiem.

– Supertajny telefon – wyjaśnił. – Nikt nie wie, że go mam, a jeśli ktoś śledzi twoje połączenia i zacznie mnie szukać, znajdzie kogoś innego.

– Aha – mruknąłem. – Dobrze.

– Na pewno nie chcesz po prostu zapakować Morgana do samochodu i wyjechać?

Pokręciłem głową.

– Muszę dać mu czas. Zobaczy, że przychodzę z wampirem, i straci panowanie nad sobą. Spróbuje zabić nas obu. – Wysiadłem z jaguara i spojrzałem na dom. – Jeśli przez dwanaście dekad robi się to, co Morgan, paranoja staje się odruchem.

Thomas skrzywił się i powiedział:

– Daj mi jakąś godzinę, żebym zdobył to, czego potrzebujesz. Zadzwon do mnie, kiedy przygotujesz go do wyjazdu.

Zerknąłem na numer, powierzyłem go pamięci i schowałem wizytówkę

do kieszeni.

– Dzięki. Zwrócę ci koszty.

Thomas przewrócił oczami.

– Zamknij się, Harry.

Prychnąłem i kiwnąłem głową w podziękowaniu. Stuknęliśmy się kostkami, Thomas wyjechał na ulicę i zniknął w chicagowskiej nocy.

Ja rozejrzałem się powoli po znajomych zarysach ciemnych budynków, w których paliło się tylko kilka świateł. Mieszkałem w tej okolicy od lat. Można by pomyśleć, że na pewno od razu zauważę coś odbiegającego od normy. Ale, nazwijcie mnie wariatem, po prostu zbyt wielu graczy brało udział w tej grze, i Bóg tylko wiedział, jakimi umiejętnościami należałoby się posłużyć.

Nie dostrzegłem nikogo czającego się w mroku, żeby mnie zabić i dopaść Morgana. Ale to nie znaczyło, że nikogo tam nie ma.

– Jeśli to nie jest paranoiczny odruch, to nie wiem, co nim jest – wymamrotałem do siebie.

Zadrzałem i zszedłem po schodach do mojego mieszkania, rozbroiłem alarmy i znowu sobie przypominałem, że naprawdę muszę zrobić coś w sprawie głębokich wyłobień w stalowych drzwiach. Ostatnie, czego potrzebowałem, to żeby stara pani Spunkelcrief, prawie głucha gospodyni, zaczęła mnie wypytywać, dlaczego moje drzwi wyglądają, jakby ktoś w nie strzelił kilkanaście razy. Oczywiście zawsze mógłbym odpowiedzieć: „bo tak było”, ale nie takie rozmowy odbywa się z gospodynią, jeśli chce się zachować mieszkanie.

Otworzyłem drzwi zryte przez kule, wszedłem do środka, skręciłem w stronę sypialni i zobaczyłem dziwaczny żywy obraz.

Morgan siedział na podłodze oparty plecami o łóżko, z wyciągniętą przed siebie ranną nogą. Wyglądał okropnie, ale oczy miał zmrużone i jarzące się podejrziwością.

W drzwiach sypialni leżała moja praktykantka Molly Carpenter.

Molly była wysoką młodą kobietą o naprawdę kształtnych krągłościach i sięgających ramion włosach, które w tym miesiącu ufarbowała na jaskrawy odcień szafiru. Miała na sobie ucięte niebieskie džinsy i białą koszulkę, a jej

niebieskie oczy wyrażały irytację.

Leżała na podłodze, ponieważ przygniatał ją Myszek. Nie spoczywał na niej całym ciężarem, bo pewnie by ją zmiażdżył, ale, tak czy inaczej, dziewczyna nie była w stanie się ruszyć.

– Harry! – wykrzyknęła na mój widok.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Myszek oparł się o nią mocniej, tak że raptem zabrakło jej tchu.

– Dresden! – warknął Morgan i zrobił ruch, jakby zamierzał wstać.

Myszek odwrócił łeb w jego stronę i zmierzył go nieruchomym spojrzeniem, a jego wargi się rozchyliły, obnażając kły. Morgan opadł na podłogę.

– Rany – westchnąłem i zamknąłem za sobą drzwi, tak że mieszkanie pograżyło się w całkowitej ciemności. Uruchomiłem alarmy i wyszeptałem: – *Flickum bicus*.

Skupiłem minimalną ilość woli i machnąłem ręką. W pokoju zapaliło się pół tuzina świec.

Myszek odwrócił się i posłał mi, mógłbym przysiąc, spojrzenie pełne nagany. Potem wstał z Molly i poczłapał do niszy, która służyła mi za kuchnię. Ziewnął szeroko w moją stronę, opadł na podłogę i zasnął. Sens był jasny: teraz to twój problem.

– No tak – bąknąłem, przenosząc wzrok z Myszka na moją praktykantkę i gościa. – Co właściwie się tutaj stało?

– Ta czarownica próbowała się do mnie podkraść, kiedy spałem – wyrzucił z siebie Morgan.

Molly szybko wstała i łypnęła na niego spode łba, zaciskając dłonie w pięści.

– To niedorzeczne!

– Więc wyjaśnij, co tu robisz tak późno w nocy – zażądał Morgan. – Jaki mogłaś mieć powód, żeby się tu zjawić, hę?

– Robię eliksiry na poprawę koncentracji – wycodziła Molly przez zaciśnięte zęby tonem, który sugerował, że powtarza to po raz setny. – Jaśmin trzeba dodawać w nocy. Powiedz mu, Harry.

Cholera. W całym tym zamieszaniu całkiem wyleciało mi z głowy, że

nowicjuszka miała dzisiaj przyjść na nockę.

– Uhm... – mruknąłem. – Pytałem, jak to się stało, że Myszek na was siedział?

– Czarownica wezwała swoją wolę i szykowała się do ataku na mnie – powiedział lodowato Morgan. – Pies interweniował.

Molly przewróciła oczami i spiorunowała go wzrokiem.

– Och, błagam. Jesteś strasznym dupkiem.

Powietrze w pokoju chyba trochę stężało, kiedy wokół młodej kobiety zebrała się moc.

– Molly – skarciłem ją łagodnie.

Spojrzała na mnie spode łba.

– Czego?

Chrząknąłem i pokazałem na nią ręką.

Molly najpierw osłupiała, ale po chwili załapała. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Kiedy to zrobiła, zniknęło złowieszcze nagromadzenie burzliwej energii. Dziewczyna schyliła głowę, jej policzki płonęły.

– Przepraszam. Ale to nie było tak.

Morgan prychnął.

Zignorowała go.

– Mów dalej – zachęciłem ją. – Mów.

– On zwyczajnie... się wściekł – powiedziała Molly. – Bardzo mnie zdenerwował. Nic nie mogłam na to poradzić. – Wskazała na Myszkę. – A potem on po prostu mnie przewrócił. I nie chciał puścić. Morganowi też nie pozwalał się ruszyć.

– Zdaje się, że ten pies ma więcej rozsądku od ciebie – stwierdziłem i przeniosłem wzrok na Morgana. – Od was obojga. Miałeś leżeć spokojnie. Chcesz się zabić?

– To była reakcja na jej najście – oświadczył Morgan. – Na szczęście przeżyłem.

Pokręciłem głową.

– A ty – zwróciłem się do Molly. – Ile miesięcy pracowaliśmy nad emocjonalną kontrolą?

– Wiem, wiem – burknęła dziewczyna. – Nie jest dobrze używać magii w gniewie. Wiem, Harry.

– I lepiej, żebyś o tym pamiętała. Jeśli tak łatwo cię zdenerwować, jeśli jeden stary, zgorzkniały, wypalony Strażnik potrafi sprawić, że puszczają ci uszczelki, pierwszy twardogłowy koleś, który będzie szukał pretekstu, żeby się ciebie pozbyć, wpakuje cię do trumny, oświadczy, że to było w samoobronie, i mu się upiecze.

Morgan obnażył zęby w grymasie tylko mgliście przypominającym uśmiech.

– Już ty coś o tym wiesz, prawda, Dresden?

– Ty sukinsynu! – wrzasnęła Molly i skoczyła na Morgana, chwytając go za brodzę lichtarza i unosząc go jak maczugę. Świeca spadła na podłogę.

Morgan nawet nie drgnął. Siedział bez ruchu, z tym samym ponurym uśmiechem na twarzy.

Rzuciłem się do przodu i chwyciłem Molly za rękę, kiedy robiła zamach. Jeszcze chwila, a z impetem opuściłaby ciężki przedmiot na czaszkę Morgana. Była silna jak na kobietę, tak że musiałem mocno się wyteńczyć, żeby ją powstrzymać. Wbiłem palce w jej nadgarstek i objąłem w pasie drugim ramieniem. Dosłownie odciągnąłem ją od Morgana.

– Nie! – krzyknąłem. – Cholera, Molly, nie! – Wręcz musiałem ją podnieść, żeby wywlec z sypialni. Mocniej ścisnąłem ją w talii i rozkazałem: – Rzuć lichtarz! Natychmiast!

Dziewczyna wydała z siebie gniewny dźwięk z nutą bólu i świecznik z głuchym odgłosem spadł na beton zakryty dywanem. Powietrze wokół niej aż iskrzyło się od mocy, brzęczało na mojej skórze jak wyładowania elektryczne w czasie suchej zimy.

– On nie może tak do ciebie mówić – oburzyła się Molly.

– Myśl! – powiedziałem głosem twardym, ale spokojnym. – Przypomnij sobie lekcje. To tylko słowa. Szukaj kryjącej się za nimi myśli. On cię sprowokował do takiej reakcji. A ty mu na to pozwalasz i w ten sposób stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

Molly otworzyła usta, szykując się do gniewnej riposty, ale w ostatniej chwili nad sobą zapanowała i odwróciła ode mnie twarz, sztywna i spięta. Po

półminutowym piekieniu się w duchu wydukała spokojniejszym tonem:

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko bądź zdyscyplinowana. – Siłłem się na łagodność.

– Nie możesz pozwalać, żeby ktoś wyprowadzał cię z równowagi. Nigdy.

Molly wzięła kolejny głęboki oddech, a ja wyczułem, że zaczyna się uspokajać, że instynktownie zgromadzona przez nią moc słabnie.

– Okay. W porządku, Harry.

Puściłem ją powoli, a ona zaczęła rozmasowywać nadgarstek. Skrzywiłem się lekko na myśl, że chyba zrobiłem jej siniaki.

– Oddaj mi przysługę – poprosiłem. – Weź Myszka i idźcie po pocztę.

– Nic mi nie jest... – zaczęła Molly, ale zreflektowała się, pokręciła głową i spojrzała na psa.

Wielkie psisko dźwignęło się z legowiska, podeszło do koszyka stojącego przy drzwiach i chwyciło w zęby skórzaną smycz. Potem z przekrzywionym łbem łypnęło na dziewczynę, machając z nadzieją ogonem.

Molly zaśmiała się krótko, ukłękła i uściskała Myszka. Potem przypięła smycz do obroży i razem wyszli z mieszkania.

Wtedy odwróciłem się i spojrzałem na przewróconą świecę. Gorący wosk rozlał się po autentycznym dywanie Nawahów, ale nie wypalił w nim dziury. Schyliłem się i podniosłem ogarek, a następnie zabrałem się do czyszczenia plamy.

– Dlaczego? – zapytałem twardym tonem.

– To jeden ze sposobów, żeby ocenić człowieka – powiedział Morgan. – Przyjrzeć się jego uczniom.

– Ty się nie przyglądałeś – stwierdziłem. – Prowokowałaś ją, aż się załamała.

– Jest samozwańczą czarownicą, Dresden – odparł Morgan. – Winną jednej z najgorszych i autodestrukcyjnych zbrodni, jakie może popełnić mag. Uważasz, że nie należało poddawać jej próbie?

– To, co zrobiłeś, było okrutne – orzekłem.

– Czyżby? Pewnego dnia ona trafi na ludzi, którzy będą mniej łaskawi. Przygotowujesz ją do radzenia sobie z takimi osobami?

Spiorunowałem go wzrokiem.

Nie odwrócił wzroku.

– Nie oddajesz jej przysługi, będąc dla niej łagodnym, Dresden – ostrzegł spokojnym głosem. – Twoim zadaniem nie jest przygotowanie jej do egzaminów. Jeśli ona zawiedzie, nie skończy się na złych stopniach.

Milczałem przez dłuższą chwilę, a potem zapytałem:

– Uczyłeś się osłon jako uczeń?

– Oczywiście. To była jedna z moich pierwszych lekcji.

– W jaki sposób?

– Nauczycielka rzucała we mnie kamieniami.

Chrząknąłem, nie patrząc na niego.

– Ból to świetny bodziec – stwierdził Morgan. – Jednocześnie uczy człowieka panowania nad emocjami. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Molly mogła rozwalić ci głowę, wiesz.

Posłał mi ten sam niepokojący uśmiech.

– Nie pozwoliłbyś jej.

W tym momencie wróciła Molly z plikiem listów i między innymi jedną z tych głupich ulotek Circuit City, których nie przestają mi przysyłać. Zamknęła drzwi, aktywowała osłony i zdjęła smycz Myszki. Pies powłókł się do kuchni i klapnął na podłogę.

Molly położyła korespondencję na stoliku do kawy, posłała Morganowi zamyślane spojrzenie i wskazała na niego głową.

– Co się tutaj dzieje, szefie?

Patrzyłem na nią przez chwilę, następnie przeniósłem wzrok na Morgana.

– A ty jak myślisz? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Ona już tyle wie, że sama jest w to wszystko zamieszana. Poza tym, jeśli pójdziesz na dno razem ze mną, Dresden, nie zostanie nikt, kto by ją obronił. A ona nie dostanie wyroku w zawieszeniu.

Zacisnąłem zęby. Molly dokonała jakiś czas temu paru złych wyborów i złamała kilka Praw Magii. Biała Rada surowo podchodzi do takich rzeczy. Ich pierwsza reakcja to ścięcie głowy, a następne są coraz mniej tolerancyjne. Położyłem na szali własne życie, upierając się, że dziewczyna

nie jest do cna zepsuta i że potrafię ją uzdrowić. Wiedziałem, że dużo ryzykuję. Gdyby Molly znowu się potknęła, ja bym za nią odpowiadał i dostał wyrok śmierci jakieś dwadzieścia sekund po niej.

Tak naprawdę nie pomyślałem, że może również stać się na odwrót.

Założmy na chwilę, że Morgan chciał, żeby go złapali, i mnie razem z nim, co oznaczało, że Molly też trafiłaby do pudła. W ten sposób za jednym zamachem pozbyłby się dwojga byłych czarnoksiężników Rady. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Cholera!

– No dobrze. – Westchnąłem. – Chyba siedzisz w tym po uszy.

– Tak? – Molly spojrzała na mnie wielkimi oczami. – A w czym?

Wszystko jej opowiedziałem.

– Nie podoba mi się to – burczał Morgan, kiedy pchałem wózek po żwirze w stronę ulicy i furgonetki, którą wypożyczył Thomas. Nieźle musiałem się mozolić.

– Rany, to dopiero szok! Denerwuje cię mój sposób działania.

– On jest wampirem – powiedział Morgan. – Nie można mu ufać.

– Słyszę cię! – zawołał Thomas z siedzenia kierowcy.

– Wiem, wampirze. – Morgan nawet nie podniósł głosu. Znowu na mnie łypnął z ukosa.

– Jest mi winien przysługę po tej próbie zamachu w Białym Dworze – wyjaśniłem.

Morgan spiorunował mnie wzrokiem.

– Kłamiesz.

– Przysięgam, że to prawda.

– Nie – uciał krótko. – Okłamujesz mnie.

– No tak – przyznałem w końcu.

Morgan przeniósł wzrok ze mnie na furgonetkę.

– Ufasz mu.

– Do pewnego stopnia – potwierdziłem.

– Idiota – skomentował, choć bez wielkiego przekonania. – Nawet jeśli wampir z Białego Dworu jest szczery, nie można mu ufać. Wcześniej czy później jego demon przejmie kontrolę, a wtedy będziesz dla niego tylko pokarmem. Właśnie tacy oni są.

Poczułem lekki przyływ gniewu, ale stłumiłem go, zanim narobił szkód.

– Sam do mnie przyszedłeś, pamiętasz? Nie podoba ci się, w jaki sposób ci pomagam, możesz w każdej chwili wytoczyć się z mojego życia.

Morgan obrzucił mnie spojrzeniem pełnym niesmaku, skrzyżował ręce i... zamknął usta.

Thomas zostawił silnik na jałowym biegu, włączył światła awaryjne, obszedł pojazd i otworzył boczne drzwi. Następnie dźwignął wózek z takim samym wysiłkiem, z jakim ja przenosiłbym torbę zakupów ze sklepowego koszyka do bagażnika samochodu. Ostrożnie wstawił go do furgonetki, podczas gdy Morgan trzymał worek z kroplówką zawieszony na małym metalowym stojaku przytwierdzonym do poręczy.

Z niechęcią przyznałem się przed samym sobą, że podziwiam Morgana. Twardy sukinsyn. Wyraźnie cierpiał, gonił resztkami sił, pozostały mu jedynie resztki dumy, ale nadal był upartym paranoikiem i irytującym dupkiem. Gdyby nie wziął się akurat na mnie, chyba podziwiałbym go jeszcze bardziej.

Thomas zasunął drzwi, spojrzał na mnie i przewrócił oczami, po czym wsiadł z powrotem za kierownicę.

W tym czasie przybiegła Molly z dwoma plecakami i Myszkiem na smyczy. Kiedy wyciągnąłem rękę, rzuciła mi czarny nylonowy worek. Miałem w nim podstawowy ekwipunek do przetrwania: jedzenie, wodę, apteczkę, folię termiczną, światło chemiczne, taśmę klejącą, dwie zmiany odzieży, multinarzędzie, dwieście dolarów w gotówce, paszport i kilka ulubionych książek w miękkiej oprawie. Zawsze trzymałem ten zestaw w pogotowiu, na wypadek gdybym musiał wynosić się w pośpiechu. Zawierał wszystko, czego potrzebowałem, żeby przeżyć w większości miejsc na planecie przez co najmniej kilka dni.

Molly z własnej inicjatywy zaczęła kompletować dla siebie podobny pakiet tego samego dnia, kiedy dowiedziała się o moim. Z tym że jej plecak był różowy.

– Jesteś pewna? – zapytałem ścisłym głosem, żeby Morgan nie usłyszał.

– On nie może być tu sam. Ty nie możesz z nim zostać. Thomas również.

Chrząknąłem.

– Muszę przeszukać twoją torbę, czy nie ma w niej lichterzy?

Molly z urażoną miną pokręciła głową.

– Nie rób sobie wyrzutów, dzieciaku – pocieszyłem ją. – Morgan miał parę godzin, żeby cię wrobić. Poza tym ten facet omal nie ściał ci głowy po tamtej historii na konwencie SplatterCon.

– Nie chodzi o mnie – zaprotestowała Molly. – Tylko o to, co ci powiedział. Co ci zrobił.

Położyłem dłoń na jej ramieniu i ścisnąłem lekko.

Molly uśmiechnęła się do mnie słabo.

– Ja nigdy naprawdę nie czułam wcześniej... nienawiści. Takiej.

– Emocje biorą nad tobą górę, i tyle.

– Wcale nie – oświadczyła z uporem, składając ręce na brzuchu i lekko się garbiąc. – Harry, widziałam, jak prawie się zabijasz, żeby pomóc ludziom, którzy są w kłopotach. Ale dla Morgana to nie ma znaczenia. Jesteś tym człowiekiem, który raz kiedyś zrobił coś złego, i już nigdy, przenigdy nie będziesz dla niego nikim innym.

– Aha. Dziewczyno, może powinnaś się zastanowić, na kogo naprawdę byłaś wtedy zła.

– Co masz na myśli?

Wzruszyłem ramionami.

– Mam na myśli to, że nie bez powodu pękłaś, kiedy ktoś mnie zaatakował. I zwykły traf chciał, że zrobił to akurat Morgan.

Molly zamrugwała kilka razy, ale nie dość szybko, żeby powstrzymać łzę.

– Kiedyś zrobiłaś jedną złą rzecz – powiedziałem. – To nie czyni cię potworem.

Spadły jeszcze dwie łzy.

– A jeśli tak? – Wytarła policzki zniecierpliwionym gestem. – A jeśli tak, Harry?

– Bo jeśli Morgan ma rację i jestem tykającą bombą zegarową, a staram się zresocjalizować ciebie, to za diabła nie masz szansy. Rozumiem.

Molly ściągnęła wargi, tak że jej słowa zabrzmiały oschle.

– Zanim Myszek mnie powalił, chciałam... coś zrobić Morganowi. Jego umysłowi. Zmusić go, żeby zachowywał się inaczej. Byłam bardzo zła i to wydawało mi się słuszne.

– Chęci a działanie to dwie różne rzeczy.

Molly potrząsnęła głową.

– Ale kto miałby ochotę coś takiego zrobić, Harry? Chyba tylko potwór.

Zarzuciłem plecak na ramię, ująłem w dłoń jej twarz i obróciłem ją tak,

żeby na mnie spojrzała. Od łez jej oczy zrobiły się bardzo niebieskie.

– Ludzka istota. Molly, jesteś dobrą osobą. Nie pozwól, żeby ktoś ci to odebrał. Nawet ty sama.

Nawet nie próbowała powstrzymać łez. Jej wargi drżały, oczy były szeroko otwarte, policzki rozpalone.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Molly opuściła głowę. Jej ramiona się zatrzęsły. Pochyliłem się i dotknąłem czołem jej czoła. Staliśmy tak przez dłuższą chwilę.

– Jesteś w porządku – rzekłem z naciskiem. – Nie jesteś potworem. Wszystko będzie dobrze, nowicjuszek.

Przerwało nam głośnie stukanie w szybę. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że Morgan piorunuje mnie wzrokiem. Trzymał w górze zegarek kieszonkowy – najprawdziwszy złoty zegarek z dewizką – i niecierpliwie wskazywał na niego palcem.

– Palant – mruknęła Molly, pociągając nosem. – Gruby, zrzędlawy palant.

– Tak. Ale ma rację. Tik-tak.

Molly opanowała się i wytarła nos ręką.

– Okay, jedźmy.

* * *

Magazyn samoobsługowy znajdował się kilka przecznic od Deerfield Square w dość eleganckiej podmiejskiej okolicy na północ od Chicago. Budynki w sąsiedztwie były w większości mieszkalne, a po maksymalnie piętnastu minutach spaceru człowiek natykał się na wóz patrolowy.

Wybrałem to miejsce na swoją kryjówkę z jednego powodu: ciemne typy wyróżniałyby się na tle tutejszych mieszkańców z wyższej klasy średniej jak plamy od musztardy w ultrafiolecie.

Co prawda, wszystko działałoby jeszcze lepiej, gdybym ja nie był jednym z tych podejrzanych typów.

Użyłem własnego klucza i odsunąłem bramę, a Thomas podjechał pod

mój magazyn wielkości garażu na dwa samochody. Otworzyłem stalowe drzwi i podciągnąłem je do góry, a tymczasem mój brat wytaszczył Morgana z pojazdu. Na mój znak Molly wtoczyła wózek do środka. Myszek wyskoczył z furgonetki i ruszył za nami. Gdy tylko opuściłem drzwi, wezwałem magiczne światło, trzymając w górze amulet. Pomieszczenie wypełniła niebieskobiała poświata.

Wnętrze było prawie puste: mniej więcej na środku stało łóżko polowe ze śpiworem i poduszką, obok niego stanęły dwie szafki. Jedną zapełniłem jedzeniem, wodą w butelkach i świecami, w drugiej schowałem podstawowy ekwipunek maga: zapasową różdżkę bojową i wszelkiego rodzaju drobiazgi, które można było wykorzystać do najróżniejszych taumaturgicznych działań. Po drugiej stronie łóżka stała przenośna toaleta i kilka pojemników z płynem do czyszczenia.

Podłogę, ściany i sufit pokrywały sigile, runy i magiczne formuły. Nie były to właściwie zapory, takie jak w moim mieszkaniu, ale działały na tych samych zasadach. Żaden ze znaków nie miał szczególnej mocy, jednak było ich dużo. Już zaczynały połyskiwać srebrzyście w blasku mojego amuletu.

– O rany! – wyszeptała Molly, rozglądając się wokół siebie. – Co to za miejsce, Harry?

– Azyl, który urządziłem w zeszłym roku, na wypadek gdybym potrzebował ciszy i spokoju. Bez towarzystwa.

Morgan też omiatał wzrokiem pomieszczenie, ale twarz miał bladą i ściągniętą z bólu.

– Co to za miks? – spytał.

– Głównie maskowanie i odpychanie. Plus klatka Faradaya.

Morgan pokiwał głową.

– Wygląda należycie.

– Co to znaczy? – zainteresowała się Molly. – To coś Faradaya?

– Konstrukcja chroniąca sprzęt przed impulsami elektromagnetycznymi – wyjaśniłem. – Budujesz klatkę z materiału przewodzącego wokół rzeczy, którą chcesz osłonić, i jeśli trafi w nią impuls, energia zostanie skierowana w ziemię.

– Coś jakby piorunochron – stwierdziła Molly.

– Mniej więcej. Tylko że zamiast przed elektrycznością ta tutaj ma chronić przed wrogą magią.

– Jednorazowo – wtrącił Morgan.

Chrząknąłem.

– Tylko tyle mogłem zrobić. Po niespodziewanym ataku osłony wytrzymają tak długo, żebyś zdążył wydostać się tylnymi drzwiami i uciec.

Molly zerknęła w głąb magazynu i stwierdziła:

– Tam nie ma żadnych drzwi, Harry. Jest tylko ściana. Czyli raczej przeciwieństwo drzwi.

Morgan wskazał głową na róg pomieszczenia, gdzie na podłodze był wyraźnie widoczny duży prostokąt bez runów czy innych znaków.

– Tam – powiedział. – Dokąd prowadzi?

– Trzy kroki od jednego z oznakowanych szlaków, którym Rada ma prawo przechodzić przez terytorium Unseelie. – Wskazałem głową na karton stojący na prostokacie. – Tam jest zimno. W pudle są płaszcze.

– Przejście do Nigdynigdy – wyszeptała Molly. – O tym nie pomyślałam.

– Mam nadzieję, że ten, kto mnie ściga, również – powiedziałem.

Morgan zmierzył mnie wzrokiem.

– Trudno nie zauważyć, że to miejsce jest idealnie przystosowane do ukrywania zbiegów przed Strażnikami – stwierdził.

– Hm... Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, rzeczywiście to miejsce wydaje się wręcz stworzone do tego celu. – Posłałem Morganowi niewinne spojrzenie. – To tylko dziwny zbieg okoliczności, bo tak się składa, że sam jestem jednym z tych paranoicznych szaleńców.

Morgan spiorunował mnie wzrokiem.

– Przyszedłeś do mnie z jakiegoś powodu – przypomniałem mu. – Poza tym myślałem nie tyle o Strażnikach, ile o... – Pokręciłem głową i zamknąłem usta.

– O kim, Harry? – wtrąciła się Molly.

– Nie wiem, kim oni są, ale ostatnio byli zamieszani w parę spraw. Darkhallow, Arctis Tor, zamach w Białym Dworze. Aż za dobrze radzą sobie z magią. Nazwałem ich Czarną Radą.

– Nie ma żadnej Czarnej Rady – błyskawicznie zaprzeczył Morgan.

Molly i ja wymieniliśmy spojrzenia.

Morgan prychnął ze zniecierpliwieniem i powiedział:

– Tamte wszystkie akcje były dziełem pojedynczych renegatów. Nie ma żadnego zorganizowanego spisku przeciwko Białej Radzie.

– Rany, a ja myślałem, że właśnie ty zgodzisz się ze mną w kwestii zмовы.

– Rada nie jest podzielona – zapewnił Morgan twardym, zimnym głosem.

– W chwili kiedy zwrócimy się przeciwko sobie nawzajem, będziemy skończeni. Nie ma żadnej Czarnej Rady, Dresden.

Uniosłem brwi.

– Z mojej perspektywy Rada zwraca się przeciwko mnie, odkąd pamiętam – zauważyłem. – A jestem jej członkiem. Mam szatę i całą resztę.

– Ty... jesteś... – Morgan niemal się dławił, ale udało mu się dokończyć: – Wyjątkowo irytujący.

Rozpromieniłem się.

– To tekst Merlina, prawda? „Nie ma żadnego spisku przeciwko Radzie”.

– Takie jest stanowisko całej Rady Starszych – oświadczył Morgan.

– W porządku, spryciarzu. Wyjaśnij więc, co ci się przydarzyło.

Morgan spurpurowiał ze złości, a ja znacząco pokiwałem głową i zwróciłem się do Molly.

– To miejsce powinno was ochronić przed większością zaklęć tropiących. A zapory odpychające zniechęcą każdego do przechodzenia obok albo zadawania pytań.

Morgan wydał odgłos przypominający warczenie.

– To tylko sugestie, a nie przymus – powiedziałem, przewracając oczami. – Są w powszechnym użyciu i dobrze o tym wiesz.

– A co zrobię, jeśli ktoś przyjdzie? – spytała Molly.

– Zasłona i ucieczka.

Moja praktykantka pokręciła głową.

– Nie wiem, jak otworzyć przejście do Nigdyngdy, Harry. Jeszcze mi tego nie pokazywałeś.

– Ja mogę ją nauczyć – zaoferował się Morgan.

Oboje osłupieliśmy.

– Mogę to zrobić – powtórzył Morgan po chwili milczenia. – Jeśli będzie

mnie obserwować, może czegoś się nauczy. – Łypnął na mnie groźnie. – Ale drzwi otwierają się w obie strony, Dresden. Co będzie, jeśli ktoś przez nie wejdzie?

W tym momencie Myszek poczłapał do miejsca wolnego od magicznych znaków i ułożył się tuż obok niego. Westchnął głęboko, poprawił się i zasnął, ale uszy drgały mu przy każdym hałasie.

Podszedłem do pierwszej szafki, wyjąłem z niej napój owocowy i podałem go Morganowi.

– Obniża ci się poziom cukru we krwi. Robisz się przez to gderliwy. A w razie niespodziewanej wizyty z drugiej strony... – Otworzyłem drugą szafkę i wyciągnąłem z niej strzelbę z lufą uciętą dużo poniżej minimalnej dopuszczalnej długości. Sprawdziłem ją i podałem Molly. – Jest załadowana mieszaniną śrutu i soli kamiennej. Ta broń i Myszek powinny zniechęcić nieproszonych gości.

– Racja – powiedziała Molly.

Zajrzała do komory, wprowadziła do niej nabój, przeładowała strzelbę ruchomym łożem, dwukrotnie sprawdziła bezpiecznik i skinęła mi głową.

– Nauczyłeś ją posługiwania się bronią – stwierdził Morgan. – Ale otwierania przejść do Nigdynigdy nie.

– Jest dość kłopotów w prawdziwym świecie – powiedziałem.

Morgan chrząknął.

– To prawda. Dokąd się wybierasz?

– Mogę się udać tylko w jedno miejsce – odparłem.

– Do Edynburga.

Stojąc już w drzwiach, popatrzyłem na Morgana, który trzymał w ręce kartonik soku, i na Molly ze strzelbą.

– Tylko ładnie się bawcie – rzuciłem na odchodnym.

Magowie i technika nie idą ze sobą w parze, przez co podróże stają się dość skomplikowane. Niektórzy mają szczególnie zły wpływ na wszelkie urządzenia, ale jeśli któryś działa na nie bardziej destrukcyjnie niż ja, to go nie spotkałem. Parę razy leciałem samolotem i na szczęście miałem tylko jedną niebezpieczną sytuację. Po tym, jak zepsuły się komputery i system naprowadzający i musieliśmy awaryjnie lądować na małym prywatnym lotnisku, nie paliłem się do tego, żeby powtórzyć doświadczenie.

Autobusy były lepsze, zwłaszcza jeśli siedziało się z tyłu, ale nawet z nimi miałem kłopoty. Nigdy nie ujechałem więcej niż trzysta mil, bo zepsuty wehikuł zwykle kończył na poboczu drogi gdzieś na kompletnym pustkowiu. Samochody jako tako sobie radziły, zwłaszcza starsze modele; im mniej elektroniki, tym lepiej. Ale nawet na nich nie mogłem polegać. Przez całe dziewięć dni z dziesięciu nie jeździł żaden z moich wozów, a większość spisywała się jeszcze gorzej.

Najlepsze są pociągi i statki, zwłaszcza jeśli człowiek trzyma się z daleka od silników. Dlatego właśnie te środki transportu zwykle wybierają podróżujący magowie. Chyba że oszukują... tak jak ja teraz zamierzałem.

Na początku wojny z Dworami Wampirów Biała Rada z pomocą pewnego maga i prywatnego detektywa z Chicago, który pozostanie bezimienny, wynegocjowała możliwość korzystania ze Ścieżek przecinających terytoria kontrolowane przez Dwór Unseelie. Nigdynigdy, kraina duchów, zjaw i fantastycznych istot wszelkiego rodzaju, istnieje tuż obok naszej rzeczywistości, ale nie ma takiego samego kształtu. Oznacza to, że miejscami królestwo śmiertelników styka się z Nigdynigdy i punkty u nas bardzo od siebie oddalone tam mogą znajdować się blisko jeden drugiego. Krótko mówiąc, każdy, kto zdoła otworzyć przejście między światami, może skorzystać z dużego skrótu.

W tym przypadku mógłbym odbyć podróż z Chicago w Illinois do Edynburga w Szkocji w jakieś pół godziny.

Najbliższe wejście do Nigdynigdy znajdowało się w mrocznym zaułku za dawną pakownią mięsa. Wiele istot straciło życie w tym budynku, nie w cywilizowany sposób i nie wszystkie były krowami. Panuje w tym miejscu posępna atmosfera ostateczności i strachu, ale jest tak ulotna, że ktoś mało wrażliwy w ogóle jej nie wyczuje. W połowie uliczki betonowe schody prowadzą w dół do drzwi zabitych deskami i zabezpieczonych łańcuchami... e... jaka tam przesada.

Zszedłem po stopniach na sam dół, przymknąłem oczy i sięgnąłem pozaziemskimi zmysłami nie ku drzwiom, tylko ku fragmentowi betonu znajdującemu się obok nich. Wyczuwałem tam cienkość świata, energię pulsującą i szumiącą tuż pod powierzchnią rzeczywistości.

W Chicago noc była gorąca, ale wiedziałem, czego się spodziewać na Ścieżkach. Miałem na sobie koszulę z długimi rękawami, dżinsy, skarpety i buty turystyczne. Pociłem się w ciężkim skórzanym płaszczu. Zgromadziłem wolę, wyciągnąłem rękę i otworzyłem przejście między światami, szepcząc słowo: *Aparturum!*

Szczerze mówiąc, brzmi to trochę bardziej dramatycznie, niż jest w rzeczywistości. Powierzchnia ściany zafalowała i zaczęła jaśnieć słabą kolorową poświatą. Wziąłem głęboki oddech, chwyciłem laskę oburącz i wszedłem prosto w beton.

Moje ciało przeszło przez mur, a wyłoniło się po drugiej stronie w ciemnym lesie przyprószonym cienką warstwą śniegu. Przynajmniej tym razem teren w Chicago znajdował się mniej więcej na równym poziomie z gruntem w Nigdynigdy. Ostatnio trafiłem na trzycalowy spadek, którego się nie spodziewałem, i w rezultacie wylądowałem tyłkiem na śniegu. Nic mi się nie stało, ale ta część Nigdynigdy roiała się od istot, które nie powinny myśleć, że jest się niezdarnym albo słabym.

Rozejrzałem się szybko. Las wyglądał tak samo jak ostatnio, a szedłem przez niego już trzy razy. Na szczycie niewielkiego wzgórza, w którego połowie stałem, zaczynała się, jak mi powiedziano, wąska i bardzo zimna przełęcz prowadząca w głąb Gór Unseelie, do twierdzy Arctis Tor. Pode mną

teren opadał do podnóży i dalej przechodził w równiny, gdzie kończyła się władza Mab, a zaczynała Królowej Lata Tytanii.

Znajdowałem się na rozstajach, co było całkiem sensowne, jako że przybyłem z Chicago, jednego z największych skrzyżowań na świecie. W górę i w dół wzgórza prowadził jeden szlak. Drugi dochodził do niego pod niemal idealnie prostym kątem i przecinał stok. Wybrałem lewy i ruszyłem w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Droga biegła między drzewami, których gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu.

Maszerowałem żwawym krokiem, ale nie tak szybko, żeby się pośliznąć i zwichnąć kostkę albo zostawić głowę na nisko zwieszającym się konarze. Biała Rada miała pozwolenie Mab na przejście przez las, ale w żadnym razie nie był on bezpieczny.

Sam się o tym przekonałem, kiedy po piętnastu minutach marszu z drzew cicho osypał się śnieg i nagle otoczyły mnie ciemne sylwetki. Stało się to szybko i zupełnie bezszelestnie. Jakieś dwanaście pajaków wielkości kucyków zeskoczyło na zmarzniętą ziemię albo przywarło do pni i konarów. Były to gładkie stworzenia podobne do krzyżaków, o długich kończynach, pełne gracji i zarazem groźne. Poruszały się z delikatną precyzją. Ich ciała miały kolor szaroniebieskobiały, idealnie wtapiający się w śnieżną noc.

Pająk, który spadł na szlak bezpośrednio przede mną, uniósł dwie przednie kończyny i obnażył kły dłuższe niż moje przedramię, ociekające mlecznobiałym jadem.

– Stój, ludzka istoto! – przemówił.

Właściwie było to bardziej przerażające niż samo pojawienie się ponadwymiarowych pajęczaków. Między kłami widziałem poruszające się usta, które wyglądały niepokojąco ludzko. Liczne oczy iskrzyły się jak koraliki z obsydianu. Głos był trochę ćwierkający, trochę brzęczący.

– Stój, ty, którego krew nas ogrzeje. Stój, intruzie w Lesie Królowej Zimy.

Zatrzymałem się i rozejrzałem po pajęczym kręgu. Żaden ze stawonogów nie był wyraźnie większy ani mniejszy od pozostałych. Gdybym miał się przebić siłą, nie potrafiłbym wybrać najsłabszego ogniwa, żeby je zaatakować.

– Serwus! – powiedziałem. – Nie jestem intruzem, szanowni myśliwi.

Jestem Magiem Białej Rady. Królowa pozwoliła mojemu ludowi przemierzać te ścieżki.

Powietrze wokół mnie zadrżało od świergotów, syków i mlaśnieć.

– Ludzkie istoty często mówią fałszywymi językami – rzekł przywódca, wymachując z ożywieniem odnóżami.

Uniosłem laskę.

– I pewnie wszyscy mają coś takiego?

Pająk zasyczał, aż jad utworzył banieczki na czubkach kłów.

– Wiele ludzkich istot nosi taki długi kij, śmiertelniku.

– Ostrożnie, szcudlarzu – powiedziałem. – Osobiście znam królową Mab. Nie sądzę, żebyście tak chcieli to rozegrać.

Długaśne nogi wykonały falujący ruch i stwór przysunął się do mnie o jakieś dwie, trzy stopy. Jego towarzysze też się trochę zbliżyli. Wcale mi się to nie podobało. Gdyby jeden z nich skoczył, opadłyby mnie wszystkie... a było ich zbyt dużo, żebym mógł się przed nimi obronić.

Pająk zaśmiał się drwiąco i nieszczerze.

– Żaden śmiertelnik, który rozmawiał z Królową, nie mógłby przeżyć, żeby o tym opowiedzieć.

– On kłamie – wyszczały inne stwory, co zabrzmiało jak ciche brzęczenie.

– A jego krew jest ciepła.

Powiodłem wzrokiem po tych wszystkich ogromnych kłach i raptem naszło mnie nieprzyjemne wspomnienie Morgana przebijającego słomką cholerny kartonik z sokiem.

Dowódca przemieścił się płynnie trochę w lewo, a potem w prawo wdzięcznym ruchem, który miał odwrócić moją uwagę od tego, że zbliżył się do mnie o kolejną stopę.

– Skąd mamy wiedzieć, kim jesteś naprawdę, ludzka istoto?

W mojej zawodowej opinii człowiek rzadko otrzymuje równie czytelny komunikat.

Wyciągnąłem przed siebie laskę, całą zgromadzoną wolę skupiłem na obszarze wielkości mojej zaciśniętej pięści i krzyknąłem:

– *Forzare!*

Niewidzialna siła uderzyła prosto w denerwującą głębę przywódcy

pająków. Moc ścięła bestię ze wszystkich ośmiu nóg i cisnęła ją piętnaście stóp do tyłu, w sam pień ogromnego starego dębu. Stwór rąbnął w drzewo z paskudnym chlupnięciem niczym wielka butelka wody. Odbił się od dębu i wylądował na zamrożonej ziemi. Jego nogi drgały spazmatycznie. Pod wpływem uderzenia jakieś trzysta funtów śniegu runęło w dół z konarów i niemal przysypało pajęczy odwłok.

Wszystko umilkło i znieruchomiało.

Zmrużyłem oczy i przesunąłem wzrokiem po kręgu monstualnych krzyżaków. Nie odezwałem się ani słowem.

Pająk znajdujący się najbliżej swojego martwego towarzysza ostrożnie przestąpił z odnóży na odnóża i zaświergotał o wiele ciszej niż poprzednio:

– Przepuśćmy maga.

– Święta racja, przepuśćcie go – wymamrotałem.

I ruszyłem przed siebie pewnym krokiem, jakbym zamierzał zmieść wszystko, co stanie na mojej drodze.

Pająki się rozpierzchły. Ja szedłem dalej, nie zwalniając i nie oglądając się. Przeciwnicy nie wiedzieli, jak szybko bije moje serce ani jak bardzo drżą mi nogi ze strachu. I póki nie wiedzieli, wszystko było w porządku.

Po mniej więcej stu jardach obejrzałem się i zobaczyłem, że pająki zebrały się nad martwym ciałem swojego kompana i zaczęły oplatać go siecią. Ich kły drgały niecierpliwie. Wstrząsnął mną dreszcz, żołądek podszedł mi do gardła.

Na jedno można liczyć, kiedy odwiedza się tę krainę: człowiek nigdy się nie nudzi.

Z leśnego duktu na główny szlak skręciłem przy drzewie, na którego pniu wryto pentagram. Obie strony drogi gęsto porastały zimozielone rośliny. Między drzewami czmychały jakieś stworzenia, wydając ciche odgłosy, z otaczającego mnie lasu dochodziły ledwo słyszalne szepty, piski i syczące dźwięki. Odrobinę przerażające, ale typowe dla tego miejsca.

Ścieżka zaprowadziła mnie na polanę. Na jej środku wyrastał ziemny kopiec o średnicy dwunastu jardów i takiej samej wysokości, pełen kamieni i winorośli. Masywne skalne bloki tworzyły słupki i nadproże czarnej bramy. Obok niej stała samotna postać w szarej pelerynie: smukły mężczyzna

o kościach policzkowych tak ostrych, że mogłyby przeciąć chleb, i kobaltowych oczach. Pod wierzchnim okryciem miał drogi garnitur z granatowego kaszmiru, kremową koszulę i krawat w kolorze miedzi o metalicznym połysku. Stroju dopełniał czarny melonik, a zamiast pałki czy różdżki bojowej mężczyzna trzymał w prawej dłoni laseczkę ze srebrną gałką.

Wyciągnął ją teraz przed siebie na całą długość i wycelował we mnie, mrużąc w skupieniu oczy.

Zatrzymałem się i pomachałem mu ręką.

– Spokojnie, Steed.

Mężczyzna opuścił laseczkę, a na jego twarzy wykwitł uśmiech, który jeszcze go odmłodził o dziesięć lat.

– Chyba nie nazbyt oczywisty styl, mam nadzieję? – zagaił.

– Klasyczny. Jak leci, Chandler?

– Odmrażam sobie kształtny tyłek – odparł wesoło, z eleganckim akcentem prosto z Oxfordu. – Ale jakoś wytrzymuję dzięki doskonałemu wychowaniu, nauce w szkole z internatem i brytyjskiemu hartowi ducha. – Intensywnie niebieskie oczy przyjrzały mi się uważniej i choć wyraz twarzy się nie zmienił, głos zabarwiła nuta troski. – Jak się czujesz, Harry?

– To była długa noc – odparłem, podchodząc bliżej. – Nie miało was pięciu pilnować drzwi?

– Pięciu mnie strzegących wejścia? Oszalałeś?

– Nieproszonych gości zmiecie sam mój widok i czysta, skoncentrowana moc wyczucia stylu.

Parsknąłem śmiechem.

– Musisz używać swojej mocy tylko w dobrej sprawie?

– Otóż to. – Chandler w zadumie przekrzywił głowę. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz cię tutaj widziałem.

– Odwiedziłem to miejsce tylko raz – wyjaśniłem. – Kilka lat temu, tuż po tym, jak mnie zwerbowali.

Chandler pokiwał głową.

– Co cię sprowadza z Chicago?

– Usłyszałem o Morganie.

Twarz młodego Strażnika spochmurniała.

– Tak – powiedział cicho. – Trudno uwierzyć. Jesteś tutaj, żeby mu pomóc?

– Już znajdowałem zabójców. Chyba mogę zrobić to znowu. – Umilkłem na chwilę. Z jakiegoś powodu Chandler niemal zawsze pracował w pobliżu Rady Starszych. Jeśli ktokolwiek znał jakieś plotki, to właśnie on. – Jak myślisz, z kim powinienem o tym porozmawiać?

– Mag Liberty koordynuje poszukiwania – odparł Chandler. – Mag Słuchający Wiatru bada miejsce zbrodni. Pradawna Mai zwołuje resztę Rady na nadzwyczajne posiedzenie.

Pokiwałem głową.

– A co z magiem McCoyem? – spytałem.

– Kiedy ostatnio o nim słyszałem, czekał w pogotowiu z oddziałem szturmowym. Jest jednym z niewielu, którzy mają szansę pokonać Morgana.

– Tak, Morgan to prawdziwy wrzód na dupie. – Zadrżałem i zacząłem przytupywać, żeby się rozgrzać. – Mam pewne informacje, których mogą potrzebować. Gdzie ich znajdę?

Chandler się zastanowił.

– Pradawna Mai powinna być w Sali Kryształowej, Mag Liberty w biurze, mag McCoy gdzieś w pobliżu Sali Wojny, a mag Słuchający Wiatru i Merlin w komnatach LaFortiera.

– A co z Odźwiernym? – zapytałem.

Chandler wzruszył ramionami.

– Pewnie otwiera drzwi. Jedyne mag, którego widuję rzadziej, to ty.

Pokiwałem głową.

– Dzięki, Chandler. – Zgodnie z protokołami liczącymi sobie ponad pięćset lat stanąłem przed nim z poważną miną i rzekłem oficjalnym tonem:

– Proszę o wstęp do Ukrytych Sal, Strażniku. Czy mogę wejść?

Wartownik przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, a potem wolno, królewskim gestem skinął głową. Jego oczy się iskrzyły.

– Witaj w siedzibie Białej Rady. Wejdziesz w pokoju i oddal się w pokoju.

Ukloniłem mu się i wszedłem przez bramę.

Przybyłem w pokoju, jasne. Ale jeśli zabójca znajduje się właśnie tutaj i połapie się w tym, co robię, raczej nie odejdę w pokoju, cały i zdrowy.

Tylko w kawałkach.

Ukryte Sale Edynburga są redutą i fortecą Białej Rady Magii od niepamiętnych czasów. No cóż, właściwie to ostatnie nie jest prawdą. To nasza kwatery główna od niecałych pięciuset lat.

Biała Rada istniała już w czasach przedromańskich, w takiej czy innej formie, a jej siedziba przenosiła się z miejsca na miejsce. Aleksandria, Kartagina, Rzym – byliśmy w Watykanie w początkach Kościoła, wierzcie lub nie – Konstantynopol i Madryt. Ale pod koniec średniowiecza przywódców Rady ulokowano w tunelach i katakumbach wyciosanych w twardym kamieniu Szkocji.

Sieć tuneli w Edynburgu jest jeszcze rozleglejsza niż ta pod Chicago, a do tego nieskończenie bardziej stabilna i solidna. Cały kompleks kwatery głównej mieści się głęboko pod samą Auld Rock, zamkiem edynburskim, w którym królowie i królowe, damy i lordowie bronili się, byli oblegani, zdradzali i mordowali się nawzajem w czasach przedchrześcijańskich.

Nie bez powodu ta forteca istnieje, odkąd sięga ludzka pamięć: to jedno z miejsc, gdzie zbiegają się linie geomantyczne, czyli naturalne prądy magicznej energii przepływającej przez świat. Są to najpotężniejsze znane człowiekowi siły, a te linie, które przecinają się głęboko pod Auld Rock, oznaczają, że niewyobrażalna ilość czystej mocy czeka na wykorzystanie przez kogoś utalentowanego lub dostatecznie głupiego.

Przekroczyłem linię geomantyczną jakieś trzy kroki po wejściu do Ukrytych Sal i wyczułem pod stopami drżenie jej energii, płynącej niczym ogromna, cicha podziemna rzeka. Przyspieszyłem kroku z irracjonalnego lęku, że zostanę przez nią porwany. Po chwili docierała do mnie już tylko jako słabnąca, niewyraźna wibracja gruntu.

Nie musiałem przywoływać światła. Kryształy osadzone w ścianach jaśniały tęczą łagodnych kolorów, tak że mrok rozpraszała delikatna

poświata. Tunel był stary, chłodny, zniszczony i wilgotny. Para ludzkich oddechów skraplała się w zimną mgiełkę.

Tunel miał szerokość moich wyciągniętych ramion i jakieś osiem stóp wysokości. Na kamiennych ścianach były wyryte płaskorzeźby. Niektóre z nich przedstawiały najważniejsze chwile w historii Białej Rady. Nie rozpoznawałem nikogo uwiecznionego w tych dziełach, nie znałem ich kontekstu, tak że w większości postacie wyglądały dla mnie dość topornie i schematycznie, jak na tkaninie z Bayeux. Resztę reliefów stanowiły zaklęcia ochronne, czary wagi ciężkiej światowej klasy. Nie wiedziałem, jak działają, ale wyczuwałem kryjącą się za nimi śmiertelnie groźną moc. Stąpałem więc ostrożnie obok nich, zmierzając w głąb kompleksu.

Korytarz z Nigdy nigdy miał ponad ćwierć mili długości i przez cały czas łagodnie opadał w dół. Co kilkaset jardów przegradzały go metalowe kraty, każda pilnowana przez Strażnika i dwa świątynne psy starożytnych Majów.

Posągi miały wysokość trzech stóp i wyglądały jak uciekinierzy z filmów o Godzilli. Wyciosane z kamienia masywne psy siedziały bez ruchu, ale ja wiedziałem, że w jednej chwili potrafią ożyć i stać się niebezpieczne. Próbowałem sobie wyobrazić, jak to by było stanąć oko w oko z parą agresywnych bestii w wąskim korytarzu. Doszedłem do wniosku, że wolałbym zmierzyć się z pędzącą na mnie lokomotywą kolejki podziemnej. Przynajmniej wszystko rozegrałoby się szybko.

Wymieniałem uprzejme pozdrowienia z dyżurującymi Strażnikami, aż w końcu minąłem ostatni punkt kontrolny i wkroczyłem do właściwej kwatery głównej. Tam wyjąłem z kieszeni płaszcz mapę i zerknąłem na nią, żeby zorientować się w swoim położeniu. Łatwo było się zgubić w skomplikowanym układzie tuneli.

Od czego zacząć?

Gdybym miał pewność, że Odźwierny gdzieś tu jest, najpierw jego bym poszukał. Rashid był moim sojusznikiem przy więcej niż jednej okazji. Bóg tylko raczy wiedzieć dlaczego. Stosunków, które łączyły mnie z Merlinem, nikt nie nazwałby dobrymi. Marthę Liberty czy Słuchającego Wiatru ledwo znałem. Pradawną Mai uważałem za dość przerażającą osobę. Pozostawał więc Ebenezar.

Ruszyłem w stronę Sali Wojny.

Dotarcie na miejsce zajęło mi prawie pół godziny. Jak już wspomniałem, kompleks tuneli jest ogromny, a po tym, jak wojna przerzedziła szeregi Rady, wydawał się opustoszały bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Moje kroki odbijały się głuchym, zwielokrotnionym echem od kamiennych ścian i nie towarzyszył im żaden inny dźwięk.

Czułem się bardzo nieswojo, kiedy kroczyłem przez Ukryte Sale. Myślę, że chodziło o zapach. Kiedy jako młody człowiek miałem stanąć przed Radą, żeby zostać osądzonym za naruszenie Pierwszego Prawa Magii, przywieziono mnie do Edynburga. Stęchły, mokry, mineralny zapach tego miejsca był niemal wszystkim, co do mnie docierało, kiedy czekałem w celi przez cały dzień, związany i w kapturze na głowie. Pamiętam, że było mi strasznie zimno, a po wielu godzinach siedzenia ze skrępowanymi nogami i rękami łąpały mnie skurcze mięśni. Pamiętam, że tak samotnie jak wtedy nie czułem się jeszcze nigdy w życiu.

Byłem przerażony. Bardzo przerażony. Dopiero skończyłem szesnaście lat.

Teraz rozpoznałem ten zapach. I miał on moc ożywiania trupów najmroczniejszych wspomnień. Psychiczna nekromancja.

– Bystrzak – wymamrotałem.

Jeśli nie da się powstrzymać złych myśli, przynajmniej można się nimi zabawić, póki człowieka nawiedzają.

W przeblysku osobliwej logiki Salę Wojny umieszczono między komnatami Rady Starszych a pokojami Strażników, przy których znajdowała się również mała kuchnia. Zapach pieczonego chleba wdarł się w stęchlą wilgoć tunelu. Poczułem, że bezwiednie przyśpieszam kroku.

Minąłem koszary, teraz bez wątpienia opustoszałe. Większość Strażników ścigała Morgana, o czym świadczyła samotna służba Chandlera na posterunku przy bramie. Skręciłem w następny korytarz po lewej, kiwnąłem głową bardzo młodemu wartownikowi, otworzyłem drzwi i wszedłem do Sali Wojny Białej Rady.

Była to obszerna pieczara o powierzchni stu stóp kwadratowych, ale ciężkie łuki i kolumny podtrzymujące sklepienie wyraźnie zmniejszały tę

przestrzeń. Kryształy iluminacyjne jaśniały tutaj mocno, żeby łatwiej dawało się czytać. Między filarami stały ruchome tablice ogłoszeń pełne map, pinezek i notatek. Przy większości z nich znajdowały się tablice szkolne pokryte wykresami, tajemniczymi zapiskami i mniej dokładnymi planami. Drugą część pieczary, podzieloną na boksy, zajmowały całkiem zwyczajne meble biurowe.

Maszyny do pisania stukwały i dzwoniły. Mężczyźni i kobiety z personelu administracyjnego, sami magowie, kręcili się po pomieszczeniu, rozmawiali cicho, pisali, archiwizowali. Wzdłuż frontowej ściany ciągnął się rząd lad z dzbankami kawy umieszczonymi na gazowych podgrzewaczach, obok stało kilka sfatygowanych kanap i krzesel.

Kilku Strażników weteranów drzemało na sofach, siedziało na krzesłach i czytało książki albo grało w szachy przy stoliku do kawy. Peleryny i laski mieli pod ręką, w każdej chwili gotowe do użycia. Byli niebezpieczni i twardzi, stara gwardia ocalała z tragicznych pierwszych dni wojny z wampirami. Nie chciałbym wejść w drogę żadnemu z nich.

Na krześle trochę oddalonym od pozostałych, wpatrzony w płomienie trzaskające w kamiennym kominku, siedział mój stary mentor Ebenazar McCoy. W grubych palcach poznaczonych bliznami trzymał kubek kawy. Wielu starszych członków Rady zbyt poważnie traktowało konwenanse. Zawsze byli ubrani jak spod igły, zawsze porządni i nieskazitelni. Ebeneazar miał na sobie stare dżinsowe ogrodniczki, flanelową koszulę i skórzane buty robocze, chyba te same od trzydziestu albo czterdziestu lat. Jego rzadkie siwe włosy były rozczochrane, jakby dopiero wstał po niespokojnym śnie. Starzał się, nawet jak na standardy magów, ale barki nadal miał szerokie, mięśnie przedramion napięte i wyraźnie zarysowane pod skórą pokrytą starczymi plamami. Patrzył w ogień przez okulary w drucianych oprawkach, ale jego ciemne oczy nie wyglądały na skupione. Jedną stopą wolno stukał w podłogę.

Oparłem laskę o ścianę, przyniosłem sobie kawę i usiadłem na krześle obok Ebenezara. Wypiłem łyk napoju i cierpliwie czekałem, aż ciepło kominka przepędzi trochę wilgotnego chłodu z moich kości.

– Zawsze mają tutaj dobrą kawę – odezwał się po dłuższej chwili

Ebenezar.

– I nie nadają jej śmiesznych nazw – dodałem. – To po prostu kawa, a nie jakieś frappelattegrandeniewiadomoco.

Ebenezar prychnął i podniósł kubek do ust.

– Miła podróż? – zapytał.

– Trafiłem na zbirów na zimowym szlaku.

Mój mentor się skrzywił.

– Tak. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nasi ludzie parę razy zostali napadnięci. Co u ciebie, Hoss?

– Niedoinformowany, sir.

McCoy zmierzył mnie z ukosa wzrokiem.

– Hmm. Zrobiłem to, co uważałem za słuszne, chłopcze. I nie będę za to przepraszał.

– Wcale tego nie oczekuję – zapewniłem.

Ebenezar pokiwał głową.

– Co tu robisz?

– A jak pan myśli?

– Nie wezmę cię do grupy uderzeniowej, Hoss.

– Myśli pan, że nie potrafię przyłożyć się do pracy?

Popatrzył na mnie.

– Za dużo cię łączy z Morganem. Tu trzeba być obiektywnym, a ty jesteś chyba najmniej bezstronną osobą, jaką znam.

Chrząknąłem.

– Jest pan pewien, że to Morgan załatwił LaFortiera?

McCoy wrócił spojrzeniem do ognia.

– Nigdy bym się tego nie spodziewał, ale zbyt wiele rzeczy się zgadza.

– Nie ma szansy, że ktoś go wrobił?

Ebenezar rzucił mi czujne spojrzenie.

– Dlaczego pytasz?

– Bo jeśli ten dupek w końcu dostanie to, na co zasłużył, chcę mieć pewność, że to będzie uczciwe – wyjaśniłem.

McCoy kilka razy pokiwał głową.

– Nie rozumiem, jak można by to zrobić – stwierdził w końcu. – Jeśli coś

wygląda jak kaczką, chodzi jak kaczką i kwacze jak kaczką, to pewnie jest cholerna kaczką. Brzytwa Ockhama, Hoss.

– Ktoś mógł się dostać do jego głowy – podsunąłem.

– W jego wieku? – rzucił z powątpiewaniem Ebenezar. – Mało prawdopodobne.

Zmarszczyłem brwi.

– Co masz na myśli?

– W miarę jak mózg się starzeje, robi się coraz bardziej skostniały. Jest jak wierzba. Giętka, kiedy młoda, ale z wiekiem coraz bardziej krucha i łamliwa. Gdy ktoś ma sto lat, na ogół nie da się nagiąć jego umysłu, nie łamiąc go.

– Na ogół?

– Nie można go tak łatwo podporządkować – rzekł Ebenezar. – Zmusić lojalnego człowieka, żeby zdradził wszystko, w co wierzy? Prędzej doprowadzisz go do szaleństwa. Co oznacza, że Morgan sam dokonał wyboru.

– Jeśli to zrobił. – Pokręciłem głową. – Ja tylko wciąż zadaję sobie pytanie, kto najbardziej na tym skorzysta, kiedy zetniemy Morgana.

McCoy się skrzywił.

– To paskudne, ale tak już jest – powiedział. – Przypuszczam, że w niego Wejrzałeś, Hoss, ale to nie jest wykrywacz kłamstw. Dobrze o tym wiesz.

Milczałem przez jakiś czas i popijałem kawę. W końcu zapytałem:

– Tak z ciekawości, kto będzie trzymał miecz, kiedy go złapiecie? To zwykle Morgan ścinał głowy.

– Chyba kapitan Luccio – odparł Ebenezar. – Albo ktoś przez nią wyznaczony. Ale ona nie należy do tych, co zrzucają takie rzeczy na podwładnych.

W mojej głowie wyświetlił się obraz Anastasii dekapituującej swojego dawnego ucznia. A potem mnie samego ścinającego głowę Molly. Zadrzałem.

– Do bani – mruknąłem.

Ebenezar nadal wpatrywał się w ogień. Oczy zapadły mu się w głęb czaszki, jakby na moich oczach postarzał się o dwadzieścia lat.

– O, tak.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do Sali Wojny wszedł niski i wiotki jak trzcina mag w tweedowym garniturze, targając dużą teczkę. Jego krótkie białe włosy mocno się kręciły, palce były poplamione atramentem. Za jednym uchem miał zatknięty ołówek, za drugim pióro wieczne. Zatrzymał się i rozejrzał po pokoju. Kiedy dostrzegł Ebenezara, ruszył pośpiesznie w jego stronę.

– Przepraszam, magu McCoy – powiedział. – Jeśli ma pan chwilę, chciałbym, żeby pan podpisał kilka rzeczy.

Ebenazar odstawił kubek na podłogę, wziął od małego facecika manilową teczkę i pióro.

– Co tym razem, Peabody?

– Po pierwsze, pełnomocnictwo dla biura w Dżakarcie do zakupu nowego bezpiecznego domu. – Peabody podsunął Ebenezarowi odpowiednią stronę, a ten przebiegł po niej wzrokiem i złożył podpis. – Bardzo dobrze. Teraz zmiana wynagrodzeń Strażników, tutaj proszę o parafkę. Dziękuję. I jeszcze zgoda na przekazanie mienia maga LaFortiera spadkobiercom.

– Tylko trzy dokumenty? – upewnił się McCoy.

– Reszta jest poufna, sir.

Ebenazar westchnął.

– Wpadnę do biura, kiedy będę wolny, i je podpiszę.

– Im wcześniej, tym lepiej. – Peabody chyba dopiero teraz mnie zauważył.

– A, Strażnik Dresden. Co pana tutaj sprowadza?

– Pomyślałem, że sprawdzę, czy nie przyda się moja pomoc przy schwytaniu Morgana – odpowiedziałem, przeciągając słowa.

Peabody głośno przełknął ślinę.

– Ja... rozumiem...

– Indianin Joe coś odkrył? – spytał Ebenazar.

– Mag Słuchający Wiatru szykuje się do zasięgnięcia rady wyroczeni. – W głosie Peabody'ego pobrzmiwała nuta dezaprobaty.

– Czyli nic nie odkrył – wtrąciłem.

Peabody pociągnął nosem.

– Jeszcze nie. Ale jestem pewien, że razem z Merlinem wyjaśnią, jak Strażnikowi Morganowi udało się ominąć ochronę Rady Starszych. –

Zerknął na mnie i dodał uprzejmym tonem: – Obaj są przecież magami o wielkim doświadczeniu i umiejętnościach.

Sporunowałem go wzrokiem, ale nie potrafiłem wymyślić dobrej riposty. Tymczasem Peabody wziął od Ebenezara dokumenty i pióro, uklonił się i powiedział:

– Dziękuję, sir.

McCoy skinął mu z roztargnieniem głową i sięgnął po kubek z kawą. Peabody szybkim krokiem wyszedł z sali.

– Bałwan gryzpiórek – mruknąłem pod nosem.

– Nieoceniony gryzpiórek – poprawił mnie Ebenezar. – To, co robi, może nie jest spektakularne, ale jego talenty organizacyjne są naszym wielkim atutem od wybuchu wojny.

Prychnąłem.

– Biurokromanta.

Ebenezar uśmiechnął się słabo i dopił kawę; czubki palców prawej ręki miał poplamione atramentem. Potem wstał i przeciągnął się tak, że zatrzeszczało mu w stawach.

– Nie można toczyć wojny bez urzędników, Hoss.

Popatrzyłem na swój kubek.

– Sir, a tak hipotetycznie. Co, jeśli Morgan jest niewinny?

Mój mentor przez dłuższą chwilę przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami.

– Myślałem, że chcesz go dopaść.

– Mam taki feler, że nie lubię patrzeć, jak się ścina niesłusznie oskarżonego człowieka.

– Naturalnie, że tak masz, Hoss. Ale musisz zrozu...

Ebenezar raptem umilkł, a jego oczy się rozszerzyły. Przez chwilę wydawały się nieobecne, a ja niemal słyszałem trybiki obracające się w jego głowie. Potem mentor wrócił do mnie spojrzeniem i wziął głęboki oddech.

– A więc to tak. Jesteś pewien?

Potaknąłem bez słowa.

– Do diabła – westchnął starzec. – Radzę ci ostrożniej zadawać pytania, Hoss. – Opuścił brodę i zerknął na mnie znad oprawek okularów. – Dwie

głowy spadają równie szybko jak jedna. Rozumiesz?

– Tak.

– Nie wiem, co mogę dla ciebie zrobić – powiedział. – Jestem tutaj uwięzany, póki Morgan się nie znajdzie.

– Zakładając, że to nie kaczka, gdzie mam zacząć szukać? – spytałem.

McCoy na chwilę zacisnął wargi, a następnie pokiwał głową i rzucił krótko:

– Indianin Joe.

Okazało się, że członkowie Rady Starszych nie mieszkają jak nędzarze.

Gdy minąłem jeszcze więcej posterunków kontrolnych, kamienny tunel doprowadził mnie do holu wielkości sali balowej, który wyglądał jak część Wersalu. Biała marmurowa posadzka ze złotymi plamkami pasowała kolorem do eleganckich kolumn z białego marmuru. Z jednej ściany spływał wodospad, a wokół sadzawki rosły najróżniejsze rośliny, od trawy i róż po małe drzewka tworzące prawdziwy ogród. Ciszę mąciło tylko ciche pobrzękiwanie dzwonków wiatrowych i śpiew ptaków. Złoty blask bijący od kryształów osadzonych w suficie był nie do odróżnienia od światła słonecznego. W pewnym momencie dostrzegłem słowika, który śmignął między kolumnami i przysiadł na jednym z drzew.

W ogrodzie stało trochę drogich i na pierwszy rzut oka wygodnych mebli z rodzaju tych, jakie się widuje w droższych hotelach. Na małym stoliku pod jedną ze ścian przygotowano eklektyczny bufet, w którym było wszystko, od wędlin po smażone macki ośmiornicy. Obok stał barek z napojami, ratunek przed odwodnieniem grożącym Radzie Starszych.

Na wysokości dziesięciu stóp wokół całej komnaty biegł balkon. Na antresoli znajdowały się drzwi do prywatnych pokojów członków Rady Starszych. Przemierzyłem całą imponującą przestrzeń Ostentatorium, idąc w stronę szerokich schodów. Na górze rozejrzałem się i zauważyłem drzwi pilnowane przez dwa psy świątynne i zaspanego młodzieńca w szarej pelerynie, z gipsem na nodze.

Już miałem się do niego odezwać, kiedy dwa posągi się poruszyły i ze zgrzytliwym dźwiękiem kamienia trącego o kamień skierowały ku mnie łby.

Zatrzymałem się w pół kroku i uniosłem ręce.

– Miłe pieski.

Strażnik łypnął na mnie i powiedział coś w nieznanym mi języku.

Wyglądał, jakby pochodził ze wschodniej Azji, ale nie potrafiłem odgadnąć, z jakiego kraju. Patrzył na mnie przez chwilę, a ja raptem rozpoznałem w nim jednego z młodych ludzi z osobistego personelu Pradawnej Mai. Ostatnim razem, kiedy go widziałem, omal nie zamarzył na śmierć, kiedy próbował zanieść wiadomość królowej Mab. Teraz złamana kostka przypuszczalnie uniemożliwiła mu udział w polowaniu na Morgana.

Niektórzy ludzie po prostu rodzą się szczęściarzami.

– Dobry wieczór – powiedziałem po łacinie, która była oficjalnym językiem Białej Rady. – Jak się masz?

Szczęściarz gapił się na mnie jeszcze przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Znajdujemy się w Szkocji. I jest ranek, proszę pana.

Racja. W ciągu półgodzinnego marszu przekroczyłem sześć stref czasowych.

– Muszę porozmawiać z magiem Słuchającym Wiatru.

– Jest zajęty – oznajmił Szczęściarz. – Nie wolno mu przeszkadzać.

– Przysłał mnie mag McCoy – naciskałem. – Uznał, że to ważna sprawa.

Strażnik zmrużył oczy.

– Proszę tu zaczekać – ustąpił w końcu. – I się nie ruszać.

Świątynne psy nadal się we mnie wpatrywały. No dobrze, wiedziałem, że tak naprawdę wcale się nie gapią. Były z kamienia. Ale jak na bezmyślne konstrukty miały bardzo intensywny wzrok.

– Z tym nie będzie problemu – zapewniłem go.

Strażnik zniknął za drzwiami. Czekałem przez dziesięć nieprzyjemnych minut, zanim wrócił, położył dłonie na łbach obu psów i powiedział:

– Proszę wejść.

Zrobiłem ostrożny krok, czujnie obserwując konstrukty, ale one nie zareagowały. Przeszedłem obok nich, starając się nie wyglądać jak spłoszony kot.

Pierwszy pokój był gabinetem, biurem albo sklepem z osobliwościami. Znajdowało się w nim masywne biurko z jakiegoś drewna bez najmniejszej skazy, choć front, uchwyty szuflad i miejsca tuż przy nowoczesnym fotelu pociemniały od długiego użytkowania. Dokładnie pośrodku blatu leżała suszka, a obok niej rzędem cztery pióra z tego samego kompletu. Półki

uginały się pod ciężarem książek, bębnów, masek, skór, starej broni i mnóstwa innych przedmiotów, które wyglądały, jakby pochodziły z egzotycznych krajów. Ściany między półkami były obwieszane tarczami i bronią: normandzką w kształcie migdała ze skrzyżowanymi mieczami dwuręcznymi, zuluską z bawolej skóry z assagajami, okrągłą perską z bułatami i długim kolcem pośrodku oraz wieloma innymi. Znałem muzea, które ogłosiłyby Mardi Gras, gdyby mogły wejść w posiadanie kolekcji nawet dużo skromniejszej i nie tak różnorodnej.

Drzwi w drugim końcu gabinetu prowadziły do pokoju, który chyba był sypialnią. Ze swojego miejsca widziałem komodę i nogi łoża wielkości połowy wagonu kolejowego.

Dostrzegłem również ciemnoczerwone krople krwi na ścianach.

– Wejdz, Dresden! – dobiegł z sypialni cichy, chropowaty głos. – Czekamy na ciebie.

W ten sposób znalazłem się na miejscu zbrodni.

Najpierw uderzył mnie odór. LaFortier nie żył od paru dni, więc kiedy przekroczyłem próg, moje nozdrza i usta zaatakował smród rozkładu i śmierci. Zwłoki leżały na podłodze obok łóżka. Wszystko wokół pokrywały czerwone rozbryzgi. Zabity miał rozplątane gardło. Na jego rękach widniały rany obronne, miniaturowe wersje cięcia na szyi. Na torsie mogły się znajdować rany klute, ale nie było ich widać pod ciemnobrązową skorupą zakrzepłej krwi.

Na sekundę zamknąłem oczy i zwalczyłem odruch wymiotny. Potem rozejrzałem się po sypialni.

Ciało otaczał idealny krąg złotej farby, w pięciu równo oddalonych od siebie punktach paliły się białe świece. Między nimi tliło się pięć kadzidełek. I właśnie one mnie dobiły. Zapach drzewa sandałowego niezbyt pasuje do odoru gnijącego trupa. Po prostu czyni go jeszcze bardziej nieprzyjemnym.

Stałem i patrzyłem na nieboszczyka. LaFortier był łysy, trochę powyżej średniego wzrostu i chudy jak szkielet, ale teraz jego ciało już zaczynało puchnąć. Guziki od koszuli ledwo się trzymały, plecy były wygięte w łuk, dłonie zastygłe w szpony, zęby obnażone w grymasie.

– Nie poddał się łatwo – usłyszałem chropowaty głos.

Z łazienki wyszedł „Indianin Joe” Słuchający Wiatru, wycierając dłonie w ręcznik. W jego długich siwych włosach zachowało się parę nitek czerni. Szorstka, pobrużdżona skóra była czerwonobrazowa jak u rdzennego mieszkańca Ameryki dużo przebywającego na słońcu, oczy miał ciemne i błyszczące pod białymi brwiami. Był ubrany w wyblakłe niebieskie dzinsy, mokasyny i stary T-shirt z Aerosmith. Na pasie przewieszonym przez pierś wisiał skórzany woreczek z frędzlami, podobny, ale mniejszy – na szyi.

– Cześć, Harry Dresdenie.

Ukloniłem się z szacunkiem. Indianin Joe był powszechnie uważany za najlepszego uzdrowiacza w Białej Radzie, a może i na świecie. Przez lata zdobył wiele stopni doktorskich z medycyny na dwudziestu uniwersytetach i wracał do szkoły co dekadę albo dwie, żeby być na bieżąco ze współczesną praktyką lekarską.

– Poległ w walce – stwierdziłem, wskazując głową na LaFortiera.

Indianin Joe przez chwilę przyglądał się ciału ze smutkiem w oczach. W końcu powiedział:

– Wolałbym odejść we śnie. – Zerknął na mnie. – A ty?

– Ja chcę, żeby stratował mnie słoń, kiedy będę uprawiał seks z trzema identycznymi cheerleaderkami.

Słuchający Wiatru posłał mi uśmiech, który na chwilę odjął z jego twarzy ze dwieście lat trosk i zmartwień.

– Znałem wielu smarkaczy, którzy chcieli żyć wiecznie. – Indianin Joe spoważniał, wracając spojrzeniem do martwego człowieka. – Może kiedyś tak będzie. A może nie. Umieranie to część życia.

Niewiele mogłem na to odpowiedzieć. Milczałem przez dłuższą chwilę, a potem spytałem:

– Co pan tutaj robi?

– Jego śmierć zostawiła psychiczne ślady – odparł stary mag. – Zbieramy je, żeby uzyskać pełen obraz.

Uniosłem brew.

– Czy... to możliwe?

– Normalnie nie – odparł Indianin Joe. – Ale ten pokój jest ze wszystkich stron chroniony przez zaklęcia. Wiemy, jak one powinny wyglądać, a to

oznacza, że możemy dokonać ekstrapolacji i odkryć, skąd pochodziła energia, która zaatakowała osłony. Dlatego jeszcze nie usunęliśmy ciała.

Zastanawiałem się przez chwilę nad jego słowami. Doszedłem do wniosku, że plan Słuchającego Wiatru jest możliwy, ale bardzo trudny do zrealizowania. Zupełnie jakby usiłować odtworzyć obraz oświetlony przez jeden błysk światła, śledząc wstecz, w jaki sposób ten promień odbijał się w pomieszczeniu. Sama próba wyobrażenia sobie niezbędnej do tego celu siły koncentracji i mentalnej mocy przyprawiała o zawrót głowy.

– Myślałem, że sprawa jest już zamknięta – powiedziałem.

– Dowody są rozstrzygające – przyznał Indianin Joe.

– Więc dlaczego zadaje sobie pan tyle trudu?

Słuchający Wiatru bez słowa zmierzył mnie wzrokiem.

– Merlin – domyśliłem się. – On uważa, że Morgan tego nie zrobił.

– Zrobił to czy nie, był prawą ręką Merlina – przypomniał Indianin Joe. – Jeśli zostanie osądzony i uznany za winnego, osłabi to wpływy, wiarygodność i władzę Merlina.

Pokręciłem głową.

– Musi naprawdę kochać politykę.

– Nie bądź dzieckiem – skarcił mnie stary mag. – Obecną równowagę sił zawdzięczamy w głównej mierze Merlinowi. Jeśli on będzie skończony jako przywódca Rady, spowoduje to niestabilność i chaos w całym świecie nadprzyrodzonym.

Myślałem przez jakąś minutę, a potem spytałem:

– Myśli pan, że on zdecyduje się na jakieś fałszerstwo?

Indianin Joe dopiero po dłuższej chwili zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie pozwolę mu na to.

– Dlaczego?

– Bo śmierć LaFortiera wszystko zmieniła.

– Dlaczego?

Słuchający Wiatru wskazał skinieniem głowy na gabinet.

– LaFortier miał spośród nas najwięcej kontaktów z mniejszymi i słabszymi krajami. Bardzo wielu członków Rady pochodzi z Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Uważają oni, że Biała Rada lekceważy ich potrzeby

i opinie. LaFortier był ich sojusznikiem, jedynym członkiem Rady Starszych, który podobno traktował ich sprawiedliwie.

– I zabił go człowiek Merlina.

– Czy Morgan jest winny, czy nie, oni uważają, że to zrobił, możliwe, że na rozkaz Merlina – odparł Indianin Joe. – Jeśli zostanie uznany za niewinnego i uwolniony, sprawy mogą przybrać zły obrót. Bardzo zły.

Znowu poczułem skurcz w żołądku.

– Wojna domowa – wyszeptałem.

Słuchający Wiatru pokiwał z westchnieniem głową.

Fantastycznie.

– A jakie jest pańskie stanowisko? – zapytałem.

– Chciałbym odpowiedzieć, że chodzi mi wyłącznie o prawdę, ale nie mogę. Rada przetrwa utratę Morgana i nie rozpadnie się, nawet jeśli na jakiś czas zapanuje chaos. Natomiast wojna domowa z pewnością by nas zniszczyła.

– A więc Morgan to zrobił i koniec – stwierdziłem.

– Jeśli Biała Rada upadnie, kto obroni ludzi przed tymi, którzy na nich czyhają? – Słuchający Wiatru potrząsnął głową, tak że jego długi warkocz podskoczył na plecach. – Szanuję Morgana, ale nie mogę pozwolić, żeby tak się stało. Z jednej strony jest on, z drugiej cała ludzkość.

– Zatem na koniec okaże się, że jednak zabił Morgan – podsumowałem. – Nieważne, kto naprawdę to zrobił.

Indianin Joe opuścił głowę.

– Wątpię, czy to się uda. Nawet przy doświadczeniu Merlina.

– A jeśli tak? – spytałem. – Jeśli znajdziecie innego zabójcę? Będziecie wybierać, kto przeżyje, a kto umrze, i do diabła z prawdą?

Indianin Joe wbił we mnie spojrzenie ciemnych oczu.

– Kiedyś patrzyłem, jak ginie plemię, które miałem chronić i prowadzić. – Jego głos był cichy i twardy jak kamień. – Zrobiłem to, bo uważałem, że Rada i jej członkowie nie mogą się mieszać w politykę śmiertelników. Obserwowałem i powstrzymałem się od działania, aż było za późno, żebym jeszcze mógł coś zrobić. Czyli wybrałem, kto przeżyje, a kto umrze. Mój lud zginął przez moje zasady. – Pokręcił głową. – Nie popełnię więcej

tego błędu.

Odwróciłem od niego wzrok i milczałem.

– Wybacz – rzucił Słuchający Wiatru i wyszedł z pokoju.

Na dzwony piekieł!

Miałem nadzieję, że zyskam sobie poparcie Indianina Joe, ale nie wziąłem pod uwagę czynników politycznych. Raczej nie próbowałby mnie powstrzymać, gdyby wiedział, co zamierzam, ale z pewnością nie miał zamiaru mi pomóc. Im głębiej kopałem, tym bardziej wszystko się komplikowało. Jeśli Morgan zostanie oczyszczony z zarzutów, katastrofa. Jeśli nie zostanie oczyszczony, katastrofa.

Katastrofa, katastrofa, katastrofa.

Cholera.

Nie mogłem nawet być zły na Słuchającego Wiatru. Rozumiałem jego stanowisko. Do diabła, gdybym to ja należał do Rady Starszych i musiał podjąć decyzję, nie wiem, czy nie zareagowałbym w taki sam sposób.

Znowu zaczynała boleć mnie głowa.

Jak, do diabła, miałem postąpić właściwie, skoro żadne postępowanie nie było właściwe?

Popatrzyłem jeszcze przez chwilę na trupa LaFortiera, a następnie wyjąłem z kieszeni płaszcz jeden z tych jednorazowych aparatów fotograficznych, które można kupić w automacie. Obszedłem pokój, robiąc zdjęcia ciała, rozbryzgów krwi i połamanych mebli. Zużyłem całą rolkę filmu na jak najbardziej kompletną dokumentację miejsca zbrodni, po czym schowałem aparat i ruszyłem do drzwi.

Gdy znalazłem się z powrotem w Ostentatorium, usłyszałem głosy płynące z dołu. Ukłoniłem się Szczęściarzowi, a on rzucił mi nieodgadnione spojrzenie. Podszedłem do poręczy balkonu.

Słuchający Wiatru i Merlin stali przy bufecie i rozmawiali cicho. Peabody kręcił się obok nich z najróżniejszymi teczkami, księgami i piórami.

Zatrzymałem się na chwilę, żeby Posłuchać. W którymś momencie nauczyłem się tej sztuczki, niezupełnie magicznej per se, jako że wszystkie siły mentalne koncentrują się wtedy całkowicie na zmyśle słuchu.

– ...odkryć prawdę – mówił Merlin, nakładając sobie na talerz małe kanapki, kawałki sera i świeże zielone winogrona. – Z pewnością nie masz obiekcji.

– Myślę, że prawda jest już ustalona – odparł spokojnie Słuchający Wiatru. – Tylko tracimy tutaj czas. Powinniśmy skupić się na następstwach.

Merlin był wysokim mężczyzną o królewskim wyglądzie, z długą białą brodą i pasującymi do niej długimi białymi włosami. Mag nad magami w każdym calu. Miał na sobie niebieską szatę i srebrny diadem na czole, a jego laska była elegancka, z białego drewna, bez żadnych znaków. Przestał napełniać talerz przekąskami i zmierzył rozmówcę spokojnym wzrokiem.

– Wezmę to pod rozwagę.

Słuchający Wiatru westchnął i podniósł ręce w ugodowym geście.

– Jesteśmy gotowi, żeby zaczynać.

– Pozwól, że coś zjem, i zaraz przyjdę.

– Ehm... – chrząknął nieśmiało Peabody. – Właściwie, magu Słuchający Wiatru, gdyby mógł pan najpierw podpisać kilka dokumentów, byłbym bardzo wdzięczny. Na pańskim biurku leżą dwie teczki, które wymagają pańskiej aprobaty, a tutaj mam trzy... – Zaczął zonglować stosem papierzysk, aż w końcu udało mu się odnaleźć właściwe akta. – Nie, cztery.

Indianin Joe westchnął z rezygnacją.

– Dobrze, chodźmy.

Razem ruszyli do schodów prowadzących na balkon. Na górze skręcili w stronę przeciwną, niż ja wcześniej, i weszli do komnaty znajdującej się w drugim końcu antresoli.

Tymczasem Merlin usiadł na krześle i zaczął jeść. Znieruchomiał na sekundę, kiedy mnie zobaczył, po czym spokojnie wrócił do swoich przekąsek. Zabawne. Lubiłem Merlina mniej więcej jak atak biegunki, ale nigdy wcześniej nie widziałem go w podobnej sytuacji. Zawsze widywałem go jako przewodniczącego Rady, jako daleką, nieprzystępną postać o niewątpliwym autorytecie i mocy.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że on też może jadać kanapki.

Już miałem go minąć i pójść dalej, ale w ostatniej chwili skręciłem i stanąłem obok krzesła.

Merlin, na pozór nieporuszony, spokojnie dokończył kanapkę i dopiero wtedy się odezwał:

– Przyszedłeś triumfować, Dresden?

– Nie – odparłem. – Jestem tutaj, żeby panu pomóc.

Przewodniczący Rady upuścił na podłogę kawałek sera, który akurat niósł do ust, zmrużył oczy i łypnął na mnie podejrzliwie.

– Słucham?

Obnażyłem zęby w zimnym uśmiechu.

– Wiem. Mówiąc te słowa, mam wrażenie, że ktoś przeciągnął mi po dziąsłach tarką do sera.

Merlin przez dłuższą chwilę patrzył na mnie swymi niebieskimi oczami, a następnie wziął głęboki wdech i rozparł się wygodnie na krześle.

– Dlaczego miałbym uwierzyć, że zrobiłbyś coś takiego?

– Bo trzymam pańskie jaja w imadle i tylko ja mogę je uwolnić – wyjaśniłem obrazowo.

Merlin uniósł siwą brew.

– No dobrze – przyznałem. – Zabrzmiało to trochę bardziej homoerotycznie, niż chciałem.

– Istotnie.

– Ale Morgan nie może wiecznie się ukrywać i pan o tym wie. Znajdą go. Jego proces potrwa jakieś dwie sekundy. Potem jego głowa spadnie na ziemię, a w jej ślady pójdzie pańska kariera polityczna.

Wydawało się, że Merlin rozważa moje słowa. Po chwili wzruszył ramionami.

– Jest dużo bardziej prawdopodobne, że będziesz bardzo, bardzo się starał, żeby on zginął.

– Lubię myśleć, że pracuję mądrze, a nie ciężko – odparłem. – Gdybym chciał, żeby Morgan był martwy, wystarczyłoby, żebym trzymał się z boku i bił brawo. Raczej nie mogę pogorszyć jego sytuacji.

– Hm, nie jestem taki pewien – stwierdził Merlin. – Akurat w tej dziedzinie masz duże możliwości.

– On już jest ścigany. Połowa Rady domaga się jego krwi. Słyszałem, że wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu, a te uzyskane przeze mnie byłyby skazone przez nasze dawne antagonizmy. – Wzruszyłem ramionami. – To oznacza, że nie mogę wyrządzić mu większej szkody. Co ma pan do stracenia?

W kącikach ust Merlina pojawił się drobny uśmiezek.

– Załóżmy na chwilę, że się zgadzam. Czego w takim razie ode mnie oczekujesz?

– Chcę dostać kopię jego akt – powiedziałem bez wahania. – Wszystkie szczegóły związane ze śmiercią LaFortiera, łącznie z wyjaśnieniem, jak Morgan dokonał zabójstwa.

– I co zrobisz z tymi informacjami? – spytał Merlin.

– Pomyślałem, że wykorzystam je, żeby odkryć, kto zabił LaFortiera.

– Tak po prostu.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Tak. Mniej więcej.

Merlin odgryzł kawałek sera i zaczął go nieśpiesznie przeżuwać.

– Jeśli moje własne śledztwo przyniesie owoce, nie będę potrzebował twojej pomocy – stwierdził w końcu.

– Ależ owszem. Wiadomo, że w waszym interesie jest kłamać, żeby chronić Morgana. Wszystko, co zrobicie, żeby go oczyścić, zostanie potraktowane z podejrzliwością.

– Natomiast wasza wzajemna niechęć z Morganem jest powszechnie znana – myślał na głos Merlin. – Cokolwiek znajdziesz na jego korzyść, zostanie uznane za niemal boskie świadectwo. – Przekrzywił głowę i wbił we mnie wzrok. – Dlaczego miałbyś coś takiego zrobić?

– Może uważam, że jest niewinny.

Brwi Merlina uniosły się. Na jego twarz wypłynął lekki grymas rozbawienia, który jednak nie przerodził się w uśmiech.

– I fakt, że zamordowany był jednym z tych, którzy głosowali przeciwko tobie, kiedy sam stałeś się podejrzany, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

– Otóż to. – Przewróciłem oczami. – Właśnie z takich egoistycznych, małostkowych i mściwych pobudek chcę pomóc Morganowi. Już ja pokażę temu martwemu łotrowi LaFortierowi.

Merlin zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a następnie potrząsnął głową.

– Jest pewien warunek.

– Warunek? Zanim pozwoli mi pan uratować z ognia pański tyłek.

Merlin uśmiechnął się blado.

– Mój tyłek ma się całkiem dobrze, dziękuję. I nie jest to mój pierwszy kryzys, Strażniku.

– A jednak nie kazał mi pan spadać.

Przewodniczący Rady uniosł palec gestem przypominającym salut szermierza i powiedział:

– *Touché*. Teoretycznie jest możliwe, żebyś okazał się użyteczny.

– Rany, jak się cieszę, że postanowiłem być miłosierny i zaproponować pomoc. Prawdę mówiąc, czuję się taki miłosierny, że jestem nawet gotów

wysłuchać pańskiego warunku.

– Nie wystarczy udowodnić niewinność Morgana – rzekł Merlin. – W naszych szeregach naprawdę jest zdrajca. Trzeba go znaleźć. Zabójcę LaFortiera należy ukarać. Nie tylko ze względu na pozostałych członków Rady. Nasi wrogowie muszą wiedzieć, że nie puścimy płazem tego rodzaju działań.

Pokiwałem głową.

– Więc nie tylko mam udowodnić, że Morgan jest niewinny, ale też znaleźć faceta, który zabił. Może jeszcze do tego skomponuję muzykę i zatańczę.

– Jestem zmuszony zauważyć, że to ty do mnie przyszedłeś, Dresden. – Merlin posłał mi nikły uśmiech. – Sytuację należy opanować, działając szybko i zdecydowanie, jeśli mamy uniknąć chaosu. – Rozłożył ręce. – Jeśli nie jesteś w stanie rozwiązać problemu, ta rozmowa nigdy się nie odbyła. – Jego wzrok stwardniał. – I oczekuję dyskrecji.

– Oskarżylibyście swojego własnego człowieka, chociaż wiecie, że jest niewinny.

W oczach Merlina nagle rozbłysnął zimny ogień.

– Zrobię wszystko, co konieczne. Miej to na uwadze, kiedy będziesz mi „pomagał”.

Nagle na górze otworzyły się drzwi i chwilę później Peabody zaczął schodzić po schodach niebezpiecznie objuczony plikami dokumentów.

– Samuelu, bądź tak dobry i dostarcz Strażnikowi Dresdenowi kompletną kopię akt sprawy morderstwa LaFortiera – polecił Merlin, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Peabody zatrzymał się przed nim i wytrzeszczył oczy.

– A... Tak, oczywiście, sir. Natychmiast. – Zerknął na mnie. – Pozwolisz ze mną, Strażniku?

– Jeśli to jakiś podstęp, lepiej zadbaj, żebym nigdy się o tym nie dowiedział, Dresden – powiedział Merlin łagodnym tonem. – Moja cierpliwość do ciebie się kończy.

Przewodniczącego Białej Rady powszechnie uważano za najzdolniejszego maga na planecie. Ta zawołowana groźba niemal zmroziła mi krew

w żyłach.

Niemal.

– Na pewno wytrzyma pan dostatecznie długo, żebym panu pomógł z tym bałaganem, Merlin. – Uśmiechnąłem się do niego i uniosłem rękę z rozpostartymi palcami, jakbym trzymał w nich pomarańczę. – Jaja. Imadło. Chodźmy, Peabody.

Sekretarz łypał na mnie, kiedy mijalem go w drodze do drzwi, i kilka razy bezgłośnie zamknął i otworzył usta. Potem wydał z siebie kilka niewyraźnych, zdławionych dźwięków i ruszył w moje ślady.

W progu obejrzałem się na Merlina.

Wyraźnie zobaczyłem, że jego zimne, bladoniebieskie oczy płoną z wściekłości, choć on sam siedział w swobodnej pozie. Palce jego prawej ręki nagle drgnęły w gwałtownym skurczu, który jednak nie objął reszty ciała. Przez chwilę zastanawiałem się, jak bardzo musiał być zdesperowany, skoro przyjął moją pomoc. I czy to mądre z mojej strony tak go prowokować.

I musiałem zadać sobie pytanie, czy jego pozorny spokój i powściągliwość to mistrzowskie panowanie nad emocjami, czy w coś w rodzaju cichego, śmiertelnie groźnego szaleństwa zrodzonego z presji.

Do diabła z Morganem! Że też musiał przyjść akurat pod moje drzwi.

I do diabła ze mną, że byłem na tyle głupi, by je otworzyć.

Peabody wszedł do nieskazitelnego biura pełnego regałów z książkami ułożonymi według kolorów i wielkości. Wiele półek ugięło się od segregatorów, pełnych akt i dokumentów, zorganizowanych w podobny sposób i w całej gamie barw. Prawdziwa biurokratyczna tęcza.

Gdy ruszyłem za nim do środka, on odwrócił się gwałtownie i spiorunował mnie wzrokiem.

– Moje biuro to bastion porządku, Strażniku Dresden. Nie ma w nim miejsca dla ciebie.

Gapilem się na niego przez chwilę.

– Gdybym był wrażliwym facetem, zraniłbyś moje uczucia – oświadczyłem w końcu.

Peabody posłał mi ostre spojrzenie znad okularów i stwierdził takim tonem, jakby myślał, że słowa to śmiertelna trucizna i mogą mnie zabić:

– Jesteś nieporządną osobą.

Położyłem dłoń na sercu i uśmiechnąłem się szeroko.

– Au!

Koniuszki jego uszu zrobiły się czerwone. Peabody odwrócił się sztywno i wkroczył do biura. Szarpnięciem otworzył szufladę i zaczął wyciągać z niej segregatory z większą energią, niż to było konieczne.

– Tak przy okazji, czytałem twoją książkę – powiedziałem.

Spojrzał na mnie i pośpiesznie opuścił wzrok. Otworzył segregator.

– Tę o królu olch – dodałem. – Poezje zebrane i eseje?

Peabody wyjął teczkę z segregatora. Plecy miał sztywne.

– Strażnik z Bremy twierdzi, że w niemieckiej wersji jest błąd w tytule – ciągnąłem. – To musi być dość zawstydzające, co? Książka została opublikowana ze sto lat temu. Tyle udręki.

– Niemiecki też jest nieporządny – odparł ostro Peabody. Podszedł do

mnie z teczką, blokiem papieru, kałamarzem i piórem gęsim. – Podpisz tutaj.

Sięgnąłem po pióro prawą ręką, akta wziąłem lewą.

– Przykro mi. Żadnych autografów.

Peabody omal nie upuścił atramentu. Łypnął na mnie spode łba.

– Strażniku Dresden...

– No, no, Simonie – powiedziałem, mszcząc się w imieniu wszystkich niemieckojęzycznych osób na świecie. – Nie chcemy pozbawić się możliwości wiarygodnego zaprzeczenia, prawda?

– Mam na imię Samuel – oświadczył sztywno kancelista. – Ty, Strażniku Dresden, możesz zwracać się do mnie „magu Peabody”.

Otworzyłem teczkę i przekartkowałem akta. Zobaczyłem, że są sporządzone na wzór współczesnych raportów policyjnych, łącznie z zeznaniami, zdjęciami i notatkami z miejsca przestępstwa spisanyymi przez Strażników prowadzących dochodzenie. Policyjne ramię Białej Rady wydawało się mniej zacofane niż reszta z nas, dinozaurów. Była to głównie zasługa Anastasii.

– To całe akta, Sam?

Peabody zazgrzytał zębami.

– Tak.

Z trzaskiem zamknąłem teczkę.

– Dzięki.

– Te akta to oficjalna własność Rady Starszych – zaprotestował Peabody, wymachując papierem i kałamarzem. – Muszę nalegać, żebyś natychmiast to podpisał.

– Stój! – krzyknąłem. – Stój, złodzieju! – Przyłożyłem rękę do ucha, z poważną miną nasłuchiwałem przez kilka sekund, aż wreszcie pokręciłem głową. – Nigdy nie ma pod ręką żadnego Strażnika, kiedy jest potrzebny, prawda, Sam?

Następnie wyszedłem, zostawiając za sobą małego piekającego się maga.

Pod presją robię się wredny.

Droga powrotna okazała się spokojna. Żadni uciekinierzy z filmu klasy B nie próbowali przerazić mnie na śmierć, choć w lesie, gdzie niedawno ustaliłem porządek dziobania, wisiało na drzewach kilka niezidentyfikowanych obiektów oplecionych pajęczą siecią, najwyraźniej wszystko, co zostało ze stwora, którego zabiłem.

Wyszedłem z Nigdynigdy i znalazłem się z powrotem w zaułku za starą pakownią mięsa, nie natknąwszy się na nic gorszego niż upiorna okolica. W Chicago była akurat najczarniejsza godzina nocy, między trzecią a czwartą nad ranem. Ból głowy mnie zabijał, a z powodu psychicznej traumy po spotkaniu ze skórozmiennym, wydatku mocy z poprzedniego dnia i dwóch wędrówek przez zimową krainę czarów, byłem śmiertelnie zmęczony.

Przeszedłem pięć przecznic do najbliższego hotelu, wsiadłem do jednej ze stojących przed nim taksówek i wróciłem do swojego mieszkania. Gdy zaczynałem karierę w tym biznesie, w ogóle nie myślałem o śnie, jeśli sytuacja tego wymagała. Niestety, już nie miałem dwudziestu lat. Nauczyłem się działać bez pośpiechu. Nie pomógłbym nikomu, gdybym popełnił fatalny błąd, bo byłem zbyt zmęczony, żeby myśleć.

Mister, mój szary kocur z krótkim ogonem, wypadł z ciemności, kiedy otworzyłem drzwi. Wbił się w moje golenie, wystraszył mnie prawie na śmierć i omal nie przewrócił na podłogę. Waży blisko trzydzieści funtów i kiedy rzuca się mnie witać, nie mogę tego nie zauważyć.

Złapałem go, żeby mi nie uciekł, i ociężale wszedłem do domu. Bez Myszka mieszkanie wydawało się ciche i puste. Nie zrozumcie mnie źle: ja i Mister żyliśmy zgodnie obok siebie przez wiele lat, zanim napatoczył się tamten kundel. Musieliśmy pójść na wiele ustępstw, żeby nauczyć się dzielić naszą małą przestrzeń z ogromnym, przyjaznym mopem, tak że jego nagła nieobecność była zauważalna i przykra.

Mister leniwym krokiem podszedł do psiej miski, zjadł trochę suchej karmy, a następnie spokojnie przewrócił naczynie, tak że żarcie rozsypało się po całej wnęce kuchennej. Następnie wyciągnął się jak długi na podłodze na zwykłym miejscu Myszka. Widać tylko ja czułem się nieswojo.

Usiadłem na kanapie, wybrałem numer pewnego telefonu, zostawiłem

wiadomość, po czym stwierdziłem, że brak mi ambicji, żeby dojść aż do sypialni, zwlec zakrwawioną pościel Morgana i powlec świeżą.

Tak więc położyłem się na kanapie i zamknąłem oczy. Sen przyszedł natychmiast.

Nawet nie drgnąłem, kiedy frontowe drzwi się otworzyły i weszła Murphy, trzymając w ręce amulet, który przepuścił ją przez moje osłony. Był ranek, wesołe letnie słońce świeciło w okna.

– Harry, dostałam twoją wiadomość – powiedziała Murphy.

Albo przynajmniej wydawało mi się, że tak powiedziała. Dopiero po kilku próbach udało mi się otworzyć oczy. Usiadłem.

– Nie śpiesz się, Harry. Spokojnie.

Powłokłem się do łazienki, załatwiłem swoje sprawy, obmyłem twarz zimną wodą i wróciłem do salonu.

– Wydaje mi się, że już rozumiem angielski – oznajmiłem.

Murphy posłała mi krzywy uśmiech.

– Rano wyglądasz beznadziejnie – stwierdziła.

– Zawsze tak wyglądam, zanim zrobię makijaż – wymamrotałem.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś na moją komórkę? Od razu bym przyjechała.

– Potrzebowałem snu. Wystarczyło, że zjawisz się rano.

– Domyśliłam się. – Murphy wyjęła z za pleców papierową torbę i postawiła ją na stole.

Zajrzałem do środka. Kawa i pączki.

– Policyjne laski są naprawdę gorące – orzekłem.

Pchnąłem dokumenty Peabody'ego przez stół w jej stronę, po czym, zacząłem się opychać i żłopać.

Murphy przejrzała zawartość teczki, marszcząc brwi, i kilka minut później spytała:

– Co to jest?

– Akta sprawy Strażnika, których w życiu nie widziałaś.

– Przebrała się miarka. – Murphy była wyraźnie zdeprimowana. – Dlaczego ich nie widziałam?

– Bo tu jest wszystko, co Rada zgromadziła na temat śmierci LaFortiera – wyjaśniłem. – Mam nadzieję, że znajdę tu jakiś trop prowadzący do

naprawdę złego człowieka. Co dwie głowy, to nie jedna.

– Rozumiem. – Murphy wyjęła z kieszeni pióro i notes i położyła je w zasięgu ręki. – Czego mam szukać?

– Wszystkiego, co nie pasuje.

Moja przyjaciółka sięgnęła po pierwszą kartkę.

– Tu coś jest – rzuciła ironicznym tonem. – Ofiara miała w chwili śmierci dwieście siedemdziesiąt dziewięć lat.

Westchnąłem.

– Po prostu szukaj nielogiczności.

– Aha! – bąknęła z mądrą miną.

Oboje umilkliśmy i zaczęliśmy czytać dokumentację.

Morgan wszystko mi opowiedział. Przed kilkoma dniami Strażniczka pełniąca służbę w Edynburgu usłyszała hałasy dochodzące z komnat LaFortiera. Wezwała pomoc, a kiedy oddział wpadł do pokoju, zastał Morgana stojącego z bronią w ręce nad jeszcze ciepłym trupem LaFortiera. Mag udawał dezorientację i twierdził, że nie wie, co się stało. Wszystko się zgadzało: narzędzie zbrodni, rany, plamy krwi. Morgana aresztowano, a drobiazgowo śledztwo wykazało, że na tajny rachunek bankowy założony na jego nazwisko wpłynęła niedawno pokaźna sumka. Skonfrontowany z tym faktem domniemany zabójca uciekł z więzienia, ciężko raniąc trzech Strażników.

– Mogę o coś zapytać? – odezwała się Murphy.

– Jasne.

– Jedną z rzeczy, która powstrzymuje ludzi przed zabiciem maga, jest śmiertelna klątwa, prawda?

– Uhm. Jeśli jesteś gotowa zginąć, możesz wyrządzić poważną krzywdę swojemu zabójcy.

Murphy pokiwała głową i spytała:

– Czy to dzieje się natychmiast?

– Niezupełnie.

– Minuty? Sekundy?

– Tyle czasu, ile trzeba, żeby wyjąć pistolet i kogoś zastrzelić – odparłem. – Niektórzy są szybsi od innych.

– A więc dwie sekundy albo trzy.

– Tak.

– Czy Morgana dopadła klątwa LaFortiera?

Uniosłem brew.

– Hm. Trudno powiedzieć. Nie zawsze efekt jest natychmiastowy.

– Jakież domysły?

Wysączyłem resztkę kawy.

– LaFortier był członkiem Rady Starszych. Ich nie da się załatwić bez poważnych konsekwencji. Śmiertelna klątwa kogoś takiego mogłaby obrócić w ruinę cały kwartał miasta. Więc gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że nie. LaFortier jej nie rzucił.

– Dlaczego?

Zmarszczyłem brwi jeszcze mocniej.

– Miał dość czasu – zauważyła Murphy. – Najwyraźniej stoczono tam walkę. Ofiara miała rany obronne na całych rękach... a wykrwawiła się na śmierć. Było dość czasu na rzucenie klątwy.

– Skoro już o tym mowa, dlaczego żaden z nich nie użył magii? – zacząłem się zastanawiać. – Walczyli zwyczajnie. Fizycznie.

– Czy ich moce mogły się nawzajem skasować?

– Teoretycznie tak – powiedziałem. – Ale cała rzecz pozostaje w idealnej synchronizacji, a ta nieczęsto zdarza się przypadkiem.

– To już coś – stwierdziła Murphy. – Obaj walczący albo postanowili nie używać magii, albo nie byli w stanie jej użyć. To samo dotyczy klątwy. Albo LaFortier postanowił jej nie rzucić, albo nie był zdolny jej rzucić. Nasuwa się pytanie: dlaczego?

Pokiwałem głową.

– Brzmi logicznie, ale czy pomaga nam zbliżyć się do zabójcy?

Murphy wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Oto jak przeważnie wygląda śledztwo. Gliniarze, detektywi i idealistyczni magowie nie wiedzą, która informacja jest istotna, póki lepiej nie zrozumieją sprawy. Mogą jedynie gromadzić wszelkie dane i mieć nadzieję, że te w końcu ułożą się w jakiś rozpoznawalny wzór.

– Dobry trop, ale na razie nam nie pomoże – oceniłem. – Co jeszcze mamy?

Murphy potrząsnęła głową.

– Nic innego nie widzę. Ale chcesz usłyszeć sugestię?

– Jasne.

Murphy wzięła do ręki kartkę z numerem konta bankowego.

– Idź za pieniędzmi.

– Za pieniędzmi?

– Świadkowie mogą się mylić albo zostać kupieni. Wszelkie hipotezy mogą wziąć w łeb. – Rzuciła papier na stolik do kawy. – Ale pieniądze zawsze coś ci powiedzą. O ile potrafisz je znaleźć.

Sięgnąłem po kartkę i ponownie przyjrzałem się danym.

– Zagraniczny bank – stwierdziłem. – Amsterdam. Można ich zmusić do wyjawienia, skąd pochodziła wpłata?

– Chyba żartujesz. Zdobycie informacji od amerykańskiego banku drogą oficjalną zajęłoby całe dni, tygodnie albo miesiące, jeśli w ogóle bym je dostała. A od zagranicznego specjalizującego się w poufności? Mam większą szansę wygrać pojedynek na wsady z Michealem Jordanem.

Wyjąłem jednorazowy aparat fotograficzny z kieszeni płaszcza i podałem go Murphy.

– Strzeliłem kilka fotek w miejscu zbrodni, a dużo więcej jest ich w aktach Strażników. Chciałbym, żebyś na nie zerknęła.

Murphy wzięła ode mnie aparat i pokiwała głową.

– Dobrze. Zaniosem je technikom i...

Przerwał jej dzwonek mojego starego telefonu z tarczą. Uciszyłem Murphy gestem ręki i odebrałem.

– Harry, potrzebujemy cię tutaj – odezwał się Thomas ściśniętym głosem.
– Natychmiast.

Poczułem, że ogarnia mnie napięcie.

– Co się dzieje?

– Pośpiesz się! – rzucił mój brat. – Nie poradzę sobie z nimi sa...

Telefon zamilkł.

O Boże!

Spojrzałem na Murphy, a ona rzuciła tylko jedno spojrzenie na moją twarz i wstała. Z kluczykami od samochodu w ręce ruszyła do drzwi.

– Kłopoty?

– Kłopoty.

– Gdzie?

Sięgnąłem po laskę i różdżkę.

– Magazyn samoobsługowy przy Deerfield Square.

– Znam go – powiedziała Murphy. – Chodźmy.

Jeżdżenie z gliniarzem ma tę dobrą stronę, że jego zabawki pozwalają szybciej dotrzeć na miejsce, nawet w pełen korków chicagowski poranek. Samochód jeszcze podskakiwał po zjechaniu na ulicę z małego parkingu obok mojego domu, kiedy Murphy włączyła syrenę i niebieskie światło na dachu. To również mi się spodobało.

Reszta jazdy nie była nawet w przybliżeniu tak zabawna. Poruszanie się po zatłoczonym mieście „szybko” to względne określenie, a w Chicago oznacza dużo gwałtownych przyśpieszeń i nagłego hamowania. Przejechaliśmy z pół tuzina bocznych uliczek, przeskoczyliśmy jedno skrzyżowanie, jadąc po krawężnikach, lawirowaliśmy wśród pojazdów w takim tempie, że świeżo wypita przeze mnie kawa zaczęła w niemiły sposób przelewać mi się w brzuchu razem ze zjedzonymi pączkami.

– Wyłącz hałas i światło – powiedziałem kilka przecznic od magazynu.

Murphy to zrobiła, ale spytała:

– Dlaczego?

– Bo cokolwiek tam się dzieje, jest ich kilku, a Thomas uważa, że sam sobie z nimi nie poradzi. – Wyjąłem z kieszeni płaszcz i sprawdziłem moją czterdziestkę czwórkę. – Nie pali się. Miejmy nadzieję, że jeszcze nic się nie stało. Podjedziemy cicho, żeby zorientować się w sytuacji.

– Nadal rewolwer – zauważyła Murphy, kręcąc głową. Minęła ulicę prowadzącą do magazynów i przejechała jeszcze jedną przecznicę, zanim zaparkowała. – Kiedy zamierzasz sprawić sobie prawdziwą broń?

– Tylko dlatego, że masz dwa razy więcej kul niż ja...

– Trzy razy więcej – sprostowała Murphy. – W sigu mieści się dwadzieścia.

– Dwadzieścia? Posłuchaj, chodzi o to, że...

– I przeładowuje się dużo sprawniej. Ty zwyczajnie nosisz w kieszeni parę

pocisków luzem, mam rację? Żadnej szybkoładowarki?

Schowałem rewolwer z powrotem do kieszeni, uważając, żeby nie wypadła mi żadna kula, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

– Nie w tym rzecz.

Murphy pokręciła głową.

– Cholera, Dresden.

– Po prostu mam pewność, że rewolwer zadziała – powiedziałem, ruszając w stronę magazynu. – Już widziałem zacinające się automaty.

– Nowe?

– No, nie...

Murphy schowała swój pistolet do kieszeni lekkiej sportowej kurtki.

– Ja tylko mówię, że dobrze jest mieć wybór.

– Skoro rewolwer był wystarczająco dobry dla Indiany Jonesa, jest dobry również dla mnie – oświadczyłem.

– To była postać fikcyjna, Harry. – Usta Murphy wykrzywił uśmiezek. – Poza tym on miał bat.

Zmierzyłem ją wzrokiem. Jej oczy się zaiskrzyły.

– Masz bat, Dresden?

Łypnąłem na nią z ukosa.

– Murphy... ty się do mnie przystawiasz?

Roześmiała się głośno, pokazując białe zęby. Kiedy skręciliśmy za róg, zobaczyliśmy białą wynajętą furgonetkę Thomasa zaparkowaną po drugiej stronie ulicy naprzeciwko magazynów.

Na chodniku obok niej stali w nonszalanckiej pozie, w słońcu letniego poranka dwaj mężczyźni w podobnych szarych garniturach i szarych kapeluszach z rondem.

Przyjrząwszy się uważniej, stwierdziłem, że szare garnitury i szare fedory są identyczne.

– Federalni? – zapytałem cicho, kiedy ruszyliśmy chodnikiem.

– Nawet federalni ubierają się w różnych sklepach – powiedziała Murphy.

– Odbieram tutaj dziwne vibracje, Harry.

Powiodłem wzrokiem po terenie magazynów przez czarne metalowe ogrodzenie o wysokości dziesięciu stóp.

Zobaczyłem dwóch mężczyzn w szarych garniturach idących wzdłuż jednego z rzędów przechowalni. Jeszcze jedna para szła następną alejką. I dwaj inni kolejnym przejściem.

– Razem dwunastu – szepnęła do mnie Murphy. Nawet nie odwróciła głowy; miała zdolności obserwacyjne prawdziwego gliniarza. – Wszyscy w takich samych garniturach.

– Tak, są spoza miasta – stwierdziłem. – Kiedy istoty w Nigdy nigdy chcą się wtopić w otoczenie, zwykle wybierają sobie jakiś określony image i się go trzymają. – Przez kilka następnych kroków myślałem. – Fakt, że ci wszyscy tutaj wyglądają tak samo, może oznaczać, że kwestia indywidualności niewiele dla nich znaczy.

– Czyli że wystarczyłoby pójść na randkę tylko z jednym, żeby poznać resztę? – zapytała Murphy.

– Czyli że niezbędne jest poczucie własnego ja, żeby mieć instynkt samozachowawczy.

Murphy wolno wypuściła powietrze.

– Po prostu świetnie. – Przesunęła rękę w stronę drugiej kieszeni, w której, jak wiedziałem, trzymała komórkę. – Może się nam przydać wsparcie.

– I może ich również sprowokować – dorzuciłem. – Ja tylko mówię, że kiedy zagra muzyka, nie musisz być miękka i strzelać w nogi czy coś w tym rodzaju.

– Naoglądałeś się za dużo filmów, Harry. Jeśli gliniarz pociąga za spust, robi to, żeby zabić. Sztuczki zostawiamy snajperom ze Swatu i Indianie Jonesowi.

Spojrzałem na budkę stojącą przy wejściu na teren magazynów. Normalnie w ciągu dnia siedział w niej ktoś z obsługi. Teraz nie było w niej nikogo... zresztą na ulicy również.

– Gdzie jest twój moduł? – spytała Murphy.

Poruszyłem brwiami.

– Tam, gdzie zawsze był, laleczko.

Murphy udała, że zbiera się jej na wymioty.

– Pierwszy rząd za środkowym przejściem – powiedziałem. – W drugim

końcu kompleksu.

– Musimy przejść obok tych dwóch gości przy furgonetce, żeby go zobaczyć.

– Tak. Ale nie sądzę, żeby garnitury już go znalazły. Nadal tu są i nadal szukają. Gdyby zlokalizowali Morgana, już by sobie poszli. – W miarę jak się zbliżaliśmy, zauważyłem, że dwie opony furgonetki od strony chodnika są sflaczałe. – Obawiają się ucieczki.

– Jesteś pewien, że to nie ludzie? – zapytała Murphy.

– Hm. Umiarkowanie?

Pokręciła głową.

– To za mało. Są ze świata duchów czy nie?

– Może nie da się tego stwierdzić, póki nie podejdziemy bliżej – odparłem.

– Może nawet trzeba będzie któregoś dotknąć.

Murphy zaczerpnęła głęboko tchu.

– Daj mi znak, kiedy będziesz pewien. Pokręć głową, jeśli to nie ludzie. Soki, jeśli nie potrafisz tego stwierdzić albo jeśli są ludźmi.

Znajdowaliśmy się niecałe dwadzieścia stóp od furgonetki i nie było czasu na spieranie się czy zadawanie pytań.

– Okay.

Zrobiłem kilka następnych kroków i trafiłem na kurtynę energii, tak gęstą, ciężką i przyprawiającą o mdłości, że włosy stanęły mi dęba; pewne świadectwo wrogiej nadprzyrodzonej obecności. Krótco pokręciłem głową, kiedy dwaj mężczyźni w szarych garniturach odwrócili się w moją stronę zsynchronizowanym ruchem. Obaj otworzyli usta.

Zanim wydobył się z nich jakikolwiek dźwięk, Murphy wyjęła broń i strzeliła im obu w głowy.

Po dwa razy.

Podwójne trafienie celu to sposób postępowania zawodowego zabójcy. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że kula trafi pod kątem i odbije się od czaszki. I choć jest ono duże, dwa strzały zmieniają „bardzo mało prawdopodobne” w „praktycznie niemożliwe”.

Murphy była gliniarzem, świetnym strzelcem i znajdowała się niecałe pięć stóp od celów. Całą akcję przeprowadziła jednym płynnym ruchem,

a wystrzały zabrzmiały jak pojedynczy huk.

Mężczyźni w szarych garniturach nie zdążyli nawet zauważyć jej obecności, nie mówiąc o jakiegokolwiek reakcji, żeby uniknąć przeznaczenia. Z ich potylic eksplodował przezroczysty płyn, obaj padli na chodnik jak szmaciane lalki. Ubrania i ciała zdeformowały się jak bałwan na wiosnę, a po chwili została po nich jedynie ektoplazma, przezroczysty, lepki żel, który był materią w Nigdynigdy.

– Na dzwony piekieł! – wykrztusiłem, czując po fakcie przyływ adrenaliny.

Murphy celowała w zabitych z pistoletu, aż stało się oczywiste, że nie wstaną i nie zrobią drugiej kariery jako bezgłowi jeźdźcy. Potem rozejrzała się po ulicy, wypatrując niebieskimi oczami następnych zagrożeń, a jednocześnie wyrzucając z sigy tylko częściowo opróżniony magazynek i ładując pełny na jego miejsce. Może i wyglądała jak czyjaś ulubiona ciocia, ale potrafiła działać, idąc po trupach.

Kilka sekund później powietrze rozdarły nieludzkie wrzaski. Przeciwników było dużo więcej niż dwunastu.

– Chodź! – krzyknąłem i puściłem się sprintem.

Te istoty nie były indywidualistami. Można by uznać, że miały coś w rodzaju wspólnej świadomości. Wyeliminowanie czujek zaalarmowało i rozwścieczyło pozostałych, a ja spodziewałem się, że zareagują jak kolonia, kiedy zostaje zaatakowany jeden z jej członków.

Szare garnitury nadbiegały, żeby nas zabić.

Nie mogliśmy pozwolić sobie na ucieczkę, póki zagrażali Morganowi i Molly, ale gdyby dopadli nas na ulicy, mielibyśmy przechłapanie. Naszą jedyną szansą było dostać się na teren magazynów, podczas gdy oni wybiegali stamtąd z wrzaskiem, żeby nas szukać. Najlepiej, gdyby udało się nam wejść do pomieszczenia, zgarnąć Morgana i razem z resztą towarzystwa ewakuować się do Nigdynigdy przez bramę w podłodze.

Murphy następowała mi na pięty, gdy pędziłem ulicą do wejścia. Udało mi się dotrzeć do środkowego rzędu, kiedy jazgot stał się głośniejszy i z innych alejek wypadło dwadzieścia albo dwadzieścia pięć szarych garniturów. Niektórzy z nich zauważyli nas i dali po hamulcach, sypiąc żwirem spod

drogich butów. Ich wycie zmieniło ton. Pozostali też zaczęli się odwracać, z opóźnieniem, podczas gdy my już gnaliśmy na złamanie karku środkowym przejściem między pomieszczeniami magazynowymi.

Szare garnitury rzuciły się za nami, ale Murphy i ja mieliśmy nad nimi przewagę dobrych czterdziestu jardów, a oni nie wydawali się jakoś nadludzko szybcy. Wyglądało na to, że nam się uda.

I wtedy przypomniałem sobie, że mój magazyn jest zamknięty na klucz.

W biegu zacząłem grzebać w kieszeni dzinsów. Ocenilem, że jeśli nie uda mi się otworzyć drzwi za pierwszym razem, szare garnitury dogonią nas i zabiją. I oczywiście upuściłem klucz.

Zakląłem i zatrzymałem się z poślizgiem, rozglądając się w popłochu za zgubą, boleśnie świadomy, że szary tłum garniturów pędzi prosto na nas, teraz w niesamowitej ciszy.

– Harry! – krzyknęła Murphy.

– Wiem!

Stała obok mnie w postawie strzeleckiej i wycelowała w najbliższego prześladowcę.

– Harry!

– Wiem!

Zobaczyłem na żwirze błysk metalu i schyliłem się, a w tym czasie Murphy otworzyła ogień. Precyzyjnymi strzałami posłała szary garnitur lotem koszącym na ziemię. Towarzysze po prostu go przeskoczyli i biegli dalej.

Znalazłem klucz, ale było już za późno.

Żadne z nas nie miało szansy dopaść kryjówki.

– Trzymaj się blisko! – krzyknąłem.

Wbiłem czubek laski w żwir i przeciągnąłem nim po kamyczkach. Szybko nakreśliłem krąg o średnicy czterech stóp wokół Murphy i mnie, wchodząc na sekundę między jej pistolet i szare garnitury.

– Cholera, Harry, padnij! – wrzasnęła.

Zrobiłem to, wyciągając rękę, żeby dotknąć linii i szybko przelać trochę woli w ten prosty wzór. Pistolet Murphy szczeknął dwa razy. Poczułem, że w kręgu gromadzi się energia i nagle tworzy wokół nas niewidzialną ścianę.

Najbliższy szary garnitur zachwiał się, po czym dał nurka do przodu. Murphy odskoczyła w tył, a ja chwyciłem ją mocno, zanim zdążyła przerwać krąg.

Napastnik uderzył w osłonę jak w lity mur i odbił się od niej w błysku niebieskobiałego światła, tak że w powietrzu jaśniał przez chwilę fantomowy cylinder. Chwilę później jego kompani, może ze dwudziestu, zrobili dokładnie to samo i każdy został odrzucony do tyłu przez pole kręgu.

– Spokojnie! – powiedziałem do Murphy, trzymając ją blisko siebie. – Spokojnie, spokojnie. – Poczułem, że moja przyjaciółka trochę się odprężyła i przestaje wrywać. – Wszystko w porządku. Póki nie przerwiemy kręgu, nie mogą się tu dostać.

Oboje drżeliśmy. Murphy kilka razy łapczywie zaczerpnęła tchu. Gdy tak staliśmy, szare garnitury rozstawiły się wokół nas i wyciągniętymi rękami próbowały namacać granice osłony. Miałem czas lepiej im się przyjrzeć.

Wszyscy byli takiego samego wzrostu i wagi. Rysy mieli nijakie i bardzo podobne, jeśli nie całkiem identyczne, oczy osobliwie szarzielonego koloru, twarze całkowicie pozbawione wyrazu. Wyglądali, jakby pochodzili z tej samej rodziny.

Jeden z nich wyciągnął rękę, jakby próbował mnie dotknąć, i rozpląszczył

ją na powierzchni osłony. Kiedy to zrobił, we wnętrzu dłoni, równoległe do palców, otworzyły się usta najeżone piłkowanymi zębami jak u rekina. Spomiędzy nich wysunął się wijący, ślimakowaty, fioletowoczarny język i zaczął smagać na oślep po kręgu, jakby szukał wejścia. Ściekała z niego gęsta, żółtawa wydzielina.

– No dobrze, to jest trochę niepokojące – przyznała Murphy cichym, bezbarwnym głosem.

– Będzie jeszcze lepiej – mruknąłem.

Oczywiście pozostałe szare garnitury zaczęły robić to samo, co ten pierwszy. Chwilę później byliśmy całkowicie otoczeni przez dziwaczne ręce-usta, węzowe języki i ciekący śluz.

Murphy się wzdrygnęła.

– Faj!

– Co ty powiesz?

– Jak długo ta rzecz ich zatrzyma? – spytała Murphy.

– To duchy – odparłem. – Póki ten krąg tu jest, one poza nim zostaną.

– A nie mogą po prostu go zetrzeć czy coś w tym rodzaju?

Pokręciłem głową.

– Przerwanie kręgu to nie jest tylko fizyczny proces. To wybór, akt woli, a te istoty jej nie mają.

Murphy zmarszczyła brwi.

– Więc dlaczego w ogóle robią to wszystko?

Omal nie uderzyłem się pięścią w czoło.

– Bo ktoś je wezwał z Nigdy nigdy. I ten ktoś wydaje im rozkazy.

– A czy on mógłby przerwać krąg? – zaniepokoiła się Murphy.

– Tak. Z łatwością.

– I to jest doskonały początek rozmowy – rozległ się męski głos z z silnym cockneyem. – Zróbcie przejście, chłopcy.

Garnitury z jednej strony kręgu opuściły ręce i cofnęły się, odsłaniając masywnego, buldogowatego mężczyznę w tanim rdzawobrązowym garniturze. Średniego wzrostu, ale zwały i umięśniony, nosił w pasie dowód, że wypił w życiu kilka piw za dużo. Rysy miał rozmyte, jakby z kamienia wygładzonego przez wodę. Siwiejące włosy były ścięte prawie

przy skórze, a małe oczy dokładnie takiego samego koloru jak u garniturów, niecodziennie szarozielone.

– Ach, miłość – powiedział mężczyzna z szerokim uśmiechem. – Dobrze widzieć pary, które nie boją się okazywać sobie uczuć.

W pierwszej chwili osłupiałem, ale potem spojrzałem na Murphy i uświadomiłem sobie, że nadal przyciskam ją do siebie. Sądząc po wyrazie jej twarzy, ona również nie zdawała sobie z tego sprawy. Chrząknęła i odsunęła się ode mnie o krok, uważając, żeby nie przekroczyć linii narysowanej na żwirze.

Mężczyzna pokiwał głową, nie przestając się uśmiechać.

– Hej, Dresden, może ułatwisz nam wszystkim sprawę i powiesz, w którym segmencie ukrywa się Donald Morgan?

Nagle rozpoznałem tego typka z akt, które na jego temat mieli Strażnicy.

– Binder. Tak się nazywasz, prawda?

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej i uklonił lekko.

– We własnej osobie.

Murphy łypnęła na niego spode łba i spytała:

– Kim jest ten dupek?

– To jeden z facetów, których Strażnicy najchętniej po prostu by skasowali – wyjaśniłem.

– Jest magiem?

– Mam pewne zdolności w tym kierunku, kochanie – pochwalił się Binder.

– Zna tylko jedną sztuczkę – sprostowałem, patrząc na niego. – Ma talent do wzywania istot z Nigdyngdy i narzucania im swojej woli.

– Aha. – Murphy pokiwała głową.

– To śmieć, który sprzedaje swój talent temu, kto da więcej, ale uważa, żeby nie łamać Praw Magii, więc Strażnicy jeszcze nie zdołali go dopaść.

– Wiem – powiedział wesoło Binder. – Właśnie dlatego w pełni doceniam ironię sytuacji, że to właśnie ja dopadnę słynnego Strażnika Donalda Morgana. To nadęty zarozumialec.

– Jeszcze go nie znalazłeś – zauważyłem.

– Kwestia czasu, chłopcze. – Binder mrugnął, schylił się i wziął do ręki grudkę żwiru. W zamyśleniu podrzucił ją w dłoń, mierząc nas wzrokiem. –

Wiecie, jest trochę konkurencji, jeśli chodzi o ten kontrakt, i sporo grosza do wzięcia. Zamierzam więc dać wam szansę, żebyście ułatwili mi pracę w zamian za pewne względy.

– Jakie względy? – spytałem.

Binder uniósł kamyk, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym.

– Nie rzucę nim i nie przerwę kręgu, dzięki czemu moi chłopcy nie będą musieli was zabijać. Czyż to nie miły gest?

Za jego plecami na końcu rzędu magazynów dostrzegłem obłoczek kurzu. Coś niewidzialnego poruszało się po żwirze. Zważywszy na moje dotychczasowe szczęście, raczej nie mogło to być nic dobrego. Chyba że...

– Daj spokój, Binder. – Próbowałem zyskać na czasie. – Nie bądź głupi. Dlaczego sądzisz, że nie poproszę tej damy, żeby wsadziła kulkę w puste miejsce w twojej głowie, gdzie powinien być mózg?

– Jeśli ona to zrobi, przerwie krąg, a wtedy moi chłopcy rozniosą was na strzępy – ostrzegł Binder.

– Wtedy to już nie będzie twój problem – odparowałem.

Spaślak uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Wszyscy zginiemy w krwawym rozbłysku, co?

Murphy spokojnie uniosła broń i wymierzyła ją w twarz Bindera. Ten nie przestał się szczerzyć.

– Hej, panienko, nie rób nic, czego mogłabyś pożałować. Bez mojego, hm, osobistego przewodnictwa ci chłopcy szybko rozerwą gardło temu miłemu dżentelmenowi. Ale wobec dam są dużo mniej... profesjonalni. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – I wolałabyś się nie dowiedzieć, jacy są, kiedy przestają być profesjonalni.

Palce, kły i śliskie języki nadal atakowały pole ochronne kręgu.

Murphy nic po sobie nie pokazała, ale ja wyczułem, że zadrzała w środku.

– Czas na decyzję, panienko – ponaglił ją Binder. – Albo naciśniesz spust i będziesz żyć z tym, co się wydarzy, albo zachowasz się grzecznie, jak na prawdziwą damę przystało, i odłożysz broń.

Murphy zmrużyła oczy.

– Zdaje się, że zamierzasz rzucić w nas tym kamykiem. Myślę więc, że

zatrzymam pistolet.

– Weź pod uwagę jeszcze jedno, Binder – wtrąciłem. – Wiem, że schowasz się za plecami swoich pupilków i stamtąd rzucisz kamieniem, ale pomyśl, co się z tobą stanie, jeśli mnie zabijesz.

– Chodzi o śmiertelną klątwę, tak? – Binder przyłożył dłonie płasko do policzków w geście udawanej zgrozy. – Ach, śmiertelna klątwa! Cóż ja pocznę?

Popatrzyłem na niego z chłodnym uśmiechem.

– Myślę, że spędzisz resztę życia niezdolny do używania magii – rzekłem, mam nadzieję, spokojnym i pewnie brzmiącym głosem. – Kiedy umrę, zabiorę ze sobą twoją moc. Na zawsze. Żadnego więcej wzywania. Żadnego wiązania.

Wyraz twarzy Bindera zaczął się zmieniać.

– Zawsze miałeś pracę, którą lubiłeś? Założę się, że nie. Czytałem twoje akta. Należysz do tych ludzi, którzy lubią spać do późna i wydawać dużo pieniędzy, żeby robić wrażenie na innych. Zawsze zamawiasz serwis hotelowy, zawsze szampana. I lubisz kobiety, które możesz kupić. – Pokręciłem głową. – Jak myślisz, na ile butelek szampana będziesz mógł sobie pozwolić, kiedy częścią twojego stroju roboczego stanie się papierowa czapka? Masz dość talentu, żeby prowadzić miłe, długie życie, człowieku. Jako nikt.

Binder przez chwilę gapił się na mnie w milczeniu.

– Nie możesz tego zrobić – stwierdził w końcu. – Zabrać mi talentu. To niemożliwe.

– Jestem magiem Białej Rady – przypomniałem mu. – Nie jakimś głupim patalaczem, który wykorzystuje swój dar, żeby krzywdzić ludzi. Myślisz, że chodzimy i ogłaszamy wszystkim, co potrafimy? Gdybyś wiedział o połowie rzeczy, które w życiu robiłem, a które ty uważasz za niemożliwe, już byś stąd wiał.

Binder patrzył na mnie bez słowa, a na jego obwisłe policzki wystąpił pot.

– Więc zastanów się dobrze, zanim rzucisz tym kamieniem. Naprawdę dobrze.

Gdzieś blisko rozbrzmiała syrena policyjna.

Uśmiechnąłem się, pokazując zęby.

– Gliniarze. To się robi interesujące.

– Ty? – zapytał Binder z niedowierzaniem. – Wmieszalbyś policję w prywatną sprawę?

Wskazałem palcem na Murphy, a ona wyjęła odznakę i zatknęła ją sobie za pasek.

– Już to zrobił – powiedziała.

– Poza tym znalazłem sobie metę akurat tutaj, bo w okolicy jest mnóstwo policji – dodałem. – Jeden wystrzał i nikt niczego nie zgłasza. Pół tuzina i ludzie robią się nerwowi.

Binder zmrużył oczy i przesunął wzrok w stronę wejścia na teren kompleksu.

– Tik-tak. – Starąłem się wywrzeć jak największy nacisk. – To tylko kwestia czasu, chłopcze.

Ściągacz obejrzał się znowu, a następnie z westchnieniem pokręcił głową.

– Cholera! Zawsze robi się bałagan, kiedy mam do czynienia z glinami. Idioci ginący masowo. Wiadra krwi. – Wskazał na swoich ludzi. – Identyczni podejrzani uciekający w różnych kierunkach. Wszyscy rzucają się w pościg, a kiedy udaje się ich złapać, umiera jeszcze więcej ludzi. – Popatrzył na mnie twardo. – Co ty na to, magu? Policjantko? Może macie dość jaj, żeby nie przestraszyć się gróźb. Podziwiam.

Żołądek podszedł mi do gardła. Liczyłem sekundy, mając nadzieję, że nerwy nie każą mi uciekać. Chyba minęło dość czasu.

– Ale co z tamtymi policjantami? Chcecie mieć ich śmierć na sumieniu? – Poruszył szyją jak rozgrzewający się zawodowy bokser. – Bo zdradzę wam teraz, że oni mnie nie powstrzymają.

Lekko dotknąłem nadgarstka Murphy, a ona zerknęła na mnie i opuściła broń.

– Tak lepiej – pochwalił Binder. Teraz w jego zachowaniu nie było śladu wesołkowatości. – Chcę tylko Strażnika. On już jest martwy i dobrze o tym wiecie. Jakie ma znaczenie, kto go zgarnie?

Coś poruszyło się na końcu alejki, a ja zacząłem się uśmiechać.

– Nie mam nic do ciebie ani do tego miasta – oświadczył Binder. –

Powiedz mi, gdzie on jest, a odejdę w pokoju, i po sprawie.

Murphy gwałtownie zaczerpnęła tchu.

– No, dobrze – powiedziałem. – Jest za tobą.

Uśmiech Bindera tym razem był wręcz lisi.

– Dresden, trochę się tu przekomarzamy. Obaj jesteście teraz w takiej sytuacji, że żaden z nas nie chce postąpić pochopnie. I to wszystko jest dobrą zabawą. Dzięki takim drobiazgom życie jest weselsze. – Jego głos stwardniał.

– Ale obrażasz mnie, sądząc, że jestem cholernym kretyńcem.

– Wcale tego nie robię – zapewniłem. – On jest jakieś czterdzieści stóp za tobą. Na wózku inwalidzkim.

Binder wbił we mnie świdrujący wzrok, potem przewrócił oczami i rzucił szybkie spojrzenie przez ramię...

A potem drugie.

Rozdziawił usta.

Morgan siedział na wózku inwalidzkim jakieś czterdzieści stóp od niego, ze strzelbą w rękach. Obok niego stał Myszek, wpatrując się w skupieniu w Bindera i jego pacholków, cały napięty i gotowy do skoku.

– Witaj, Binder – odezwał się Morgan beznamiętnym głosem. – Teraz, panno Carpenter.

Molly pojawiła się dosłownie znikąd. Opuściła zasłonę, za którą się ukrywała, kiedy zauważyłem jej ruch na początku rozmowy z Binderem. Trzymała w ręce moją zapasową różdżkę, której koniec był pokryty jasnym pyłem od przeciągania po żwirze. Uklękła obok długiej linii narysowanej na ziemi i dotknęła jej, marszcząc brwi w skupieniu.

Kręgi mocy to podstawy magii. Praktycznie wszyscy potrafią je tworzyć, bo od tego rozpoczyna się edukacja każdego ucznia. Kolisty obszar oddziela od magicznych sił zewnętrznego świata. To dlatego sługusi Bindera nie mogli przekroczyć granicy, którą narysowałem na ziemi. Ich ciała zbudowane z ektoplazmy utrzymywała w materialnej postaci nadprzyrodzona energia, a krąg ją odcinał.

Kiedy ten drugi teraz ożył pod wpływem woli mojej praktykantki, zadziałał tak samo jak mój, tyle że znaleźli się w nim nasi przeciwnicy. Kiedy energia pola wzrosła, odcięła ich od energii, której potrzebowali, żeby

zachować litą postać.

I nagle prawie czterdziestu demonicznych zbirów padło na ziemię w rozbryzgach przezroczystego paskudztwa.

Binder wrzasnął i odwrócił się w rozpacz, mamrocząc pod nosem jakieś zaklęcie. Ale mógł sobie oszczędzić wysiłku. Żeby z powrotem przywołać swoje sługi, musiałby najpierw wydostać się z izolującego pola ogromnego kręgu i zacząć wszystko od początku.

– Oj, Binder – powiedziałem z fałszywym współczuciem. – Nie widziałeś, co się święci, prawda?

– Erneście Armadzie Tinwhistle – zagrzemiał Morgan władczym tonem, unosząc broń do ramienia. – Poddaj się albo giń, ty bezwartościowy mały szurze.

Binder przeniósł spojrzenie intensywnie szarzielonych oczu ze Strażnika na naszą dwójkę i najwyraźniej podjął jakąś decyzję, bo zaszarżował na nas z opuszczoną głową jak byk, wymachując ramionami.

Kiedy mnie mijał, podstawilem mu nogę, ale pod wpływem jego rozpędzonego ciężaru straciłem równowagę. I chociaż wylądowałem na tyłku, przynajmniej wytrąciłem go z rytmu. Murphy przyjęła impet z płynną gracją. Padła na plecy, zwinnie przetoczyła się przez ramię i natychmiast poderwała się z ziemi.

– Zabierz ich stąd – warknęła i popędziła za Binderem.

Tymczasem z dudnieniem przybiegł Myszek, popatrzył zmartwionymi psimi oczami w ślad za Murphy, a następnie łypnął na mnie.

– Nie – rzuciłem krótko. – Siedź i patrz.

Binder biegł najszybciej, jak potrafił, ale wątpiłem, żeby był szybki w młodości, a tym bardziej dwadzieścia lat i czterdzieści funtów później. Murphy ćwiczyła praktycznie codziennie.

Dogoniła zbiega dziesięć stóp przed końcem alejki, zwolniła na chwilę, po czym mocno kopnęła go w nogę, kiedy unosił ją do następnego kroku. W rezultacie jego własna stopa trafiła go w tył łydki, tak że runął jak długi.

Wstał, warcząc z wściekłości, i odwrócił się do Murphy. Cisnął jej w twarz garścią żwiru i dorzucił do tego niezborne ciosy pięścią.

Murphy uchyliła głowę, tak że ochroniła oczy przed żwirem, zrobiła unik

przed pierwszym ciosem napastnika, a przy drugim złapała go za nadgarstek. Oboje zatoczyli się w półkolu. Binder wrzasnął i rąbnął łysą czaszką w stalowe drzwi magazynu. Musiałem oddać facetowi, że jest twardy. Odbił się od drzwi trochę zamroczony, ale zamierzył się łokciem, celując w głowę policjantki.

Murphy chwyciła go za ramię i kontynuowała ruch, wykorzystując własne ciało jako punkt podparcia w klasycznym rzucie przez biodro... tyle że Binder był zwrócony w innym kierunku, niż zwykle się dzieje przy tej technice.

Z odległości pięćdziesięciu stóp można było usłyszeć, jak jego ramię wyskakuje ze stawu. A potem runął twarzą na żwir.

Tym razem przyznałem mu dodatkowe punkty za rozsądek: leżał nieruchomo i nie podjął walki, kiedy Murphy wykręciła mu ręce na plecy i skuliła go kajdankami.

Wymieniłem spojrzenie z Myszkiem i powiedziałem mądrze:

– Hardcore.

Syreny policyjne zawyły głośniejsze. Murphy spojrzała na ulicę, potem na mnie i z irytacją machnęła ręką.

– Chodź – rzuciłem do Myszka.

Obaj pobiegliśmy alejką w stronę Morgana.

– Nie mogłem do niego strzelić, kiedy wy dwoje tam staliście – poskarżył się Morgan. – Dlaczego ty tego nie zrobiłeś?

– Oto dlaczego – powiedziałem, wskazując skinieniem głowy na wejście do kompleksu, gdzie z piskiem hamulców zatrzymał się radiowóz błyskający niebieskimi światłami. – Robią się nerwowi, kiedy znajdują ciała naszpikowane kulami. – Odwróciłem się i łypnąłem groźnie na Molly. – Mówiłem ci, żebyś wiała na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa.

Moja praktykantka chwyciła za rączki wózka inwalidzkiego i wszyscy ruszyliśmy w stronę mojej kryjówki.

– Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, póki nie usłyszeliśmy krzyków – zaprotestowała dziewczyna. – A potem Myszek oszalał i próbował się podkopać pod metalowymi drzwiami. Pomyślałam, że możesz być w kłopotach. I byłeś.

– Nie o to chodzi. – Zerknąłem na magiczne koło narysowane na żwirze, kiedy je przecinaliśmy, uwalniając jego moc. – Czyj to był pomysł z tym kręgiem?

– Mój – odparł spokojnie Morgan. – Takie pułapki to standardowa taktyka, gdy się ma do czynienia z samozwańczymi przywoływaczami.

– Przepraszam, że tak długo go rysowałam – wtrąciła Molly. – Ale musiał być duży, żeby objąć ich wszystkich.

– To żaden problem – pocieszył ją Morgan. – Twój mentor był szczęśliwy, że mógł zabijać czas, mieląc językiem.

Weszliśmy do magazynu, a ja zamknąłem za nami drzwi.

– Dobrze się spisałaś, nowicjuszko – pochwaliłem swoją praktykantkę. Molly się rozpromieniła.

– Hej, gdzie jest Thomas? – spytałem, rozglądając się po pustym wnętrzu.

– Wampir? – upewnił się Morgan.

– Kazałem mu pilnować magazynu na zewnątrz, tak na wszelki wypadek – wyjaśniłem.

Morgan posłał mi zdegustowane spojrzenie i potoczył się w stronę bramy do Nigdynigdy.

– Wampir znika tuż przed pojawieniem się łowcy nagród, który nie mógł wiedzieć, gdzie się ukrywam. I ty naprawdę jesteś zdziwiony, Dresden?

– Thomas zadzwonił do mnie i powiedział, że są kłopoty. – Mój głos był pełen napięcia. – Gdyby tego nie zrobił, do tej pory szare garnitury dosłownie by was zalały.

Molly przygryzła wargę i ze strapioną miną pokręciła głową.

– Harry... nie widziałam go, odkąd nas tutaj podrzucił.

Obejrzałem się w stronę wejścia, zaciskając zęby.

Gdzie on się podziewał?

Gdyby Thomas mógł postąpić inaczej, nigdy nie dopuściłby do tego, żebyśmy sami z Murphy walczyli z pachołkami Bindera. Stanąłby z nami ramię w ramię. A jednak go tam nie było.

Dlaczego? Czy okoliczności zmusiły go do odejścia, zanim ja się zjawiłem? Albo, co gorsza, ktoś inny zamieszany w obecny kryzys podjął przeciwko niemu kroki? Przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl o psycholce

Madeline. A skórozmienny już pokazał, że lubi mordować moich sojuszników, zamiast uderzyć bezpośrednio we mnie.

A może Thomas po prostu został pokonany przez tłum demonów w szarych garniturach. Może jego ciało już stygło w jakimś zakamarku kompleksu magazynowego. W ustach mi zaschło na tę myśl.

Na dzwony piekieł!

Co się stało z moim bratem?

Morgan cicho wypowiedział zakłęcie i w podłodze otworzył się migotliwy prostokątny otwór. Molly zbliżyła się do niego i spojrzała w dół, była wyraźnie pod wrażeniem.

– Dresden, nie możemy sobie pozwolić na kontakt z miejscowymi władzami – rzekł Morgan.

Chciałem na niego wrzasnąć, ale miał rację. Coraz więcej syren zbliżało się do kompleksu magazynów. Musieliśmy uciekać.

– Chodźmy, ludzie – powiedziałem, chwytając rączki wózka.

Cholera, Thomas! Gdzie, do diabła, jesteś?

Brama, do której weszliśmy w mojej kryjówce, otworzyła się trzy kroki od szlaku w Nigdynigdy, ale ten krótki odcinek nie był dostępny dla niepełnosprawnych. Molly i ja musieliśmy wziąć Morgana pod ramiona i dosłownie zanieść go na szlak. Potem zostawiłem z nim Molly i Myszka, a sam wróciłem po wózek. Zaciągnąłem go po zamrożonym stoku do ścieżki, prawie identycznej jak ta, na której niedawno wylądowałem.

Załadowaliśmy Morgana z powrotem na wózek. Był blady i cały się trząsał. Przyłożyłem dłoń do jego czoła i stwierdziłem, że jest rozpalone od gorączki.

Morgan szarpnął głową i łypnął na mnie spode łba.

– O co chodzi? – zapytała Molly.

Wcześniej pomyślała o tym, żeby zgarnąć oba płaszcze, które miałem przygotowane w magazynie, i teraz jeden narzuciła na siebie.

– On wręcz płonie – powiedziałem cicho. – Butters uprzedzał, że to może oznaczać infekcję rany.

– Nic mi nie jest – zapewnił Morgan, dygocząc.

Molly pomogła mu włożyć drugi płaszcz, rozglądając się nerwowym wzrokiem po nawiedzonym lesie.

– Nie powinniśmy go zabrać z tego zimna? – spytała.

– Tak – potwierdziłem, zapinając płaszcz. – Stąd do bramy w śródmieściu jest jakieś dziesięć minut drogi.

– Wampir też o niej wie? – zainteresował się Morgan.

– Co to miało znaczyć?

– Że wpadniesz w oczywistą pułapkę, Dresden.

– Dość tego! – warknąłem. – Jeszcze jedna uwaga na temat Thomasa, a urzęduję ci długą przejażdżkę na sankach.

– Thomasa? – Błada twarz Morgana zrobiła się trochę ciemniejsza, kiedy podniósł głos. – Ile trupów trzeba, żebyś odzyskał rozum, Dresden?

Molly przełknęła ślinę i bąknęła:

– Harry, przepraszam...

Obaj na nią łypnęliśmy, a ona się zarumieniła, unikając kontaktu wzrokowego.

– Czy to nie jest Nigdynigdy? – spytała.

– Jest – potwierdziłem.

– Oczywiście – dorzucił Morgan tym samym tonem.

Znowu popatrzyliśmy na siebie, niemal warcząc.

– Okay – powiedziała Molly. – Czy nie ostrzegałeś mnie, że jest tutaj trochę niebezpiecznie? – Wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić szybciej: – To znaczy... wiesz, czy to nie głupie stać tutaj i kłócić się głośno? Zważywszy na wszystko?

Nagle poczułem się jak dureń.

Morgan ze znużeniem opuścił głowę i złożył ręce na brzuchu. Z jego twarzy zniknął wściekły wyraz.

– Tak, prawdopodobnie tak – przyznałem, opanowując gniew.

– Również dlatego, że każdy idący Ścieżką z Edynburga do Chicago musi się na nas natknąć – dodał Morgan.

Molly pokiwała głową.

– Co byłoby dość... niezręczne?

Prychnąłem cicho. Wskazałem głową we właściwym kierunku i zacząłem pchać wózek.

– Tędy.

Molly ruszyła za mną, zerkając na prawo i lewo w reakcji na każdy dźwięk w otaczającym nas lesie fae. Zupełnie nieświadomym gestem położyła dłoń na grzbiecie Myszka, który szedł tuż obok niej.

Poruszaliśmy się równym tempem i w niemal całkowitej ciszy przez jakieś pięć minut, kiedy się odezwałem:

– Musimy wiedzieć, jak wpadli na twój trop.

– Wampir to najlepsze wyjaśnienie – odparł Morgan całkowicie neutralnym tonem.

– Mam o nim informacje, których ty nie masz – uciałem. – Załóżmy, że to nie on. Jak to zrobili?

Morgan zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Nie magią.

– Jesteś pewien?

– Tak. – I brzmiał przekonująco.

– Twoje środki zaradcze są aż takie dobre? – zapytałem.

– Tak.

Dumałem przez jakiś czas nad jego słowami, aż wreszcie zaświtało mi, w jaki sposób Morgan chronił się przed magicznym namierzeniem.

– Twój znak. Liść srebrnego dębu. Ten, który Tyta... – Ugryzłem się w język i rozejrzałem niespokojnie po lesie fae. – Ten, którym nagrodziła cię Królowa Lata.

Morgan lekko odwrócił głowę i zerknął na mnie przez ramię.

Zagwizdałem. Królową Lata widziałem raz swoim Wejrzeniem. Żywy obraz z Tytanią i jej odpowiedniczką Mab, które szykowały się do bitwy, nadal zaliczał się do budzących największą pokorę i lęk pokazów czystej mocy, jakich kiedykolwiek byłem świadkiem.

– To dlatego jesteś taki pewien, że nikt cię nie znajdzie – stwierdziłem. – Ona cię chroni.

– Przyznaję, że to nie pączek – powiedział Morgan, miażdżąc mnie wzrokiem.

Łypnąłem na niego spode łba.

– Skąd o tym wiesz?

– Powiedział mi sługa Tytanii. Cały Dwór Lata śmiał się z tego przez wiele miesięcy.

Molly wydała zdławiony dźwięk. Nie obejrzałem się. To tylko zmusiłoby ją do zasłonięcia ust ręką, żeby ukryć uśmiech.

– Ile czasu ci dała? – zapytałem.

– Do jutra do zachodu słońca.

Trzydzieści sześć godzin, plus minus. Kilka godzin więcej, niż sądziłem, ale i tak niewiele.

– Masz liść dębu przy sobie?

– Oczywiście.

– Mogę go zobaczyć?

Morgan wzruszył ramionami i zdjął z szyi rzemyk. Wisiała na nim nieduża skórzana sakiewka. Otworzył ją i wyjął ze środka małą, znakomicie wykonaną replikę dębowego liścia z prostą przypinką. Podał mi ją.

Wziąłem drobiazg i cisnąłem go w nawiedzony las.

Morgan tym razem naprawdę zawył:

– Dlaczego?

– Bo Królowa Lata zainstalowała w nich coś w rodzaju pluskiew. W zeszłym roku oddział jej zbirów posłużył się jedną, żeby tropić mnie przez całą drogę aż do Chicago.

Morgan spojrzał na mnie ponuro, po czym zerknął w stronę, gdzie wyrzuciłem amulet. Pokręcił głową i ze znużeniem potarł oczy ręką.

– Chyba się starzeję. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– Nie rozumiem – odezwała się Molly. – Czy mimo wszystko on nadal nie jest chroniony?

– Jest – odparłem. – Ale ten liść nie. Więc jeśli Królowa Lata chce, żeby go znaleziono, albo jeśli ktoś zorientuje się w sytuacji i zawrze z nią umowę, ona formalnie dotrzyma słowa danego Morganowi, ale wystarczy, że zadba o to, żeby ten ktoś dowiedział się o zaklętym dębowym liściu.

– Sidhe są związane jedynie literą umów – dodał Morgan, kiwając głową.
– To dlatego unika się dobijania z nimi targów, chyba że nie ma innego wyjścia.

– Więc Binder mógł śledzić dębowy liść? – spytała Molly.

Wzruszyłem ramionami.

– Mógł.

– Mimo to jest całkiem możliwe, że Królowa Lata działa w dobrej wierze – rzekł Morgan.

– W takim razie wracamy do pierwotnego pytania: jak Binder cię znalazł?
– zauważyłem.

– Prawdę mówiąc, nie znalazł – wtrąciła Molly.

– Znalazłby nas za chwilę – powiedział Morgan.

– Nie to miałam na myśli. Wiedział o kompleksie magazynów, ale nie miał pojęcia, w którym pomieszczeniu pan się ukrywa. Czy zakłęcie tropiące nie doprowadziłoby go prosto do pana? A jeśli sprzedał pana Thomas, czy nie

powiedziała by Binderowi, w którym dokładnie module jesteście?

Morgan już miał jej odpowiedzieć, ale zmarszczył brwi i mruknął jedynie:

– Uhm.

Zerknąłem przez ramię na swoją praktykantkę i z aprobatą pokiwałem głową.

Molly uśmiechnęła się promiennie.

– Ktoś nas śledził? – zastanowił się Morgan. – Obcy samochód nie mógłby wjechać na teren kompleksu bez klucza.

Przypomniałem sobie, jak poprzedniego wieczoru tropił mnie skórozmienny.

– To możliwe, jeśli są dobrzy – stwierdziłem. – Mało prawdopodobne, ale możliwe.

– Więc dokąd nas prowadzą te rozważania? – spytał Morgan.

– Donikąd – odparłem.

Morgan obnażył zęby w niewesołym uśmiechu.

– W takim razie co dalej?

– Jeśli zabiorę cię z powrotem do mnie, znowu nas namierzą. Jeśli stosują wyłącznie metody śmiertelników, mają kogoś, kto obserwuje moje mieszkanie.

Morgan obejrzał się na mnie.

– Przypuszczam, że nie zamierzasz krążyć ze mną po Chicago i czekać, aż znajdzie nas Rada.

– Nie. Zabieram cię do siebie.

Morgan zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Słusznie.

– Gdzie zauważą nas ci źli i przyślą kogoś, żeby nas zabił – odezwała się Molly. – Nic dziwnego, że jestem praktykantką, bo taka ze mnie ignorantka, że nie rozumiem, dlaczego to nie jest głupi pomysł.

– Patrz i ucz się, nowicjuszko. Patrz i ucz się.

Opuściliśmy szlak i po raz drugi tego samego dnia wyszedłem z Nigdynigdy prosto w zaułek za starą pakownią mięsa. Ruszyliśmy dalej na piechotę, z dwoma postojami, aż w końcu złapaliśmy taryfę. Taksówkarz nie wyglądał na zachwyconego Myszkiem albo wózkiem, albo tym, że wypełniliśmy cały jego samochód, a może po prostu nie znał na tyle dobrze angielskiego, żeby odpowiednio wyrazić entuzjazm. Nigdy nie wiadomo.

– One naprawdę nie są dla ciebie dobre – powiedziała Molly z pełnymi ustami, kiedy wysiadaliśmy z taksówki.

– To wina Morgana – zaprotestowałem. – To on zaczął mówić o pączkach. Zresztą ty również się nimi opychasz.

– Ja mam metabolizm młodej osoby – odparowała Molly, uśmiechając się słodko. – To ty musisz zacząć dbać o zdrowie, czcigodny mentorze. Ja będę niezwyciężona jeszcze przez jakiś rok albo dwa lata co najmniej.

Wspólnymi siłami posadziliśmy Morgana na wózku i zapłaciliśmy taksówkarzowi. Gdy dotarliśmy do schodów prowadzących w dół do mojego mieszkania, jakoś udało się nam obrócić wózek, sprowadzić go po stopniach i wtoczyć do mieszkania, nie upuszczając rannego. Potem wziąłem Myszkę i obaj udaliśmy się do skrzynki po listy, a następnie na małe podwórko na tyłach domu, gdzie pies miał na swój użytek wydzielony skrawek piaszczystej ziemi.

Dzisiaj jednak zaprowadziłem go w najdalszy koniec podwórka, do miniaturowej dżungli starych bzów, których nie przycinano, odkąd umarł pan Spunkelcrief. Krzewy były w pełnym rozkwicie, ich zapach wypełniał powietrze. Pracowicie uwijały się wokół nich pszczoły, a ściana budynku tłumiała odgłosy ruchu ulicznego.

To było jedyne na całej posesji miejsce niewidoczne z większości domów stojących wzdłuż ulicy.

Przedarłem się przez gałęzie bzów i znalazłem trochę wolnej przestrzeni w samym środku zarośli.

Po kilku sekundach czekania usłyszałem bzyczenie, jakby gdzieś w pobliżu krążyła szczególnie duża ważka, po czym z gęstwiny wypadł mały skrzydlaty fae i zawisł tuż przede mną.

Atletycznie zbudowany młodzieniec był wręcz ogromny jak na skrzata, choć miał nie więcej niż dwanaście cali wzrostu. Wystroił się w najróżniejszego rodzaju części zbroi wykonane z odpadów. Dotychczasowy hełm z plastikowej nakrętki od butelki zastąpił innym, zrobionym z połówki wydrążonej piłki golfowej. Była za duża na jego głowę, ale on najwyraźniej się tym nie przejmował. Jego kolczuga służyła pierwotnie jako butelka salicylanu, a na biodrze wisiało coś, co wyglądało jak ostrze laubzegi z jednym końcem owiniętym sprężyną i pełniącym funkcję rękojeści. Skrzydła jak u ważki poruszały się tak szybko, że tworzyły za jego plecami przezroczysty obłoczek.

Mały fae przyjął w powietrzu postawę na baczność, zasalutował krótko i zameldował:

– Misja wykonana, mój panie pizzy!

– Tak szybko? – zdziwiłem się. Nie minęło dwadzieścia minut, odkąd go wezwałem, czyli zanim wsiedliśmy do taksówki po kupieniu pączków. – Szybka robota, Toot-toot, nawet jak na ciebie.

Pochwała najwyraźniej sprawiła skrzatowi ogromną przyjemność, bo rozpromienił się i z radosnym bzyczeniem zatoczył wokół mnie kilka kółek.

– On jest w budynku po drugiej stronie ulicy, dwa domy w stronę jeziora.

O ile dobrze pamiętałem, znajdował się tam drugi pensjonat podzielony na mieszkania, taki jak mój.

– W tym białym z zielonymi okiennicami?

– Tak, właśnie tam szubrawiec urządził sobie kryjówkę! – Fae błyskawicznym ruchem sięgnął do pasa i wyciągnął z przezroczystej plastikowej pochwy miecz o ząbkowanym ostrzu, łypiąc groźnie. – Mam go zabić, panie?

Z dużym wysiłkiem pohamowałem uśmiech.

– Nie wiem, czy sprawy już eskalowały do tego poziomu – powiedziałem.

– Skąd wiesz, że ten gość obserwuje moje mieszkanie?

– Och, och! Nie mów tak! – Toot kilka razy w podnieceniu skoczył do tyłu i do przodu. – Bo ma zasłony na oknach, żeby nie można było zajrzeć, i jest tam jeszcze duża czarna plastikowa skrzynka z bardzo długim nosem, a na czubku tego nosa jest szklane oko! On przez cały czas patrzy z drugiego końca, a kiedy widzi, że ktoś wchodzi do twojego domu, wciska guzik i to pudło wtedy pika!

– Aparat fotograficzny? Tak, to chyba czyni z niego szpicla. – Mrużąc oczy, zerknąłem na letnie słońce i poprawiłem nieprzyjemnie ciepły skórzany płaszcz. Nie zdjęłem go jednak. Za dużo wrogów się tu kręciło. – Ilu twoich jest w okolicy, Toot?

– Setki! – oświadczył fae, wymachując mieczem. – Tysiące!

Uniosłem brew.

– Podzieliłeś pizzę na tysiąc kawałków?

– Na kilka tuzinów, panie – sprostował Toot.

Elfy są krnąbrnym i kapryśnym ludkiem, ale dowiedziałem się o nich paru rzeczy, o których chyba nikt inny nie wie. Po pierwsze, że są prawie wszędzie, a jeśli gdzieś ich nie ma, zwykle mogą szybko tam się znaleźć. Nie są zdolne do długotrwałego skupienia, ale do krótkich, prostych zadań nadają się wyjątkowo.

Po drugie, uwielbiają pizzę jak nikt inny na tym świecie. Regularnie od lat przekupuję ich tym smakołykiem w zamian za, dość niepewną, lojalność. Nazywają mnie Panem Pi i służą również w Gwardii Pana Pi, co oznacza przeważnie, że krążą wokół mojego domu, chroniąc go przed zagrożeniami i mając nadzieję na dodatkową pizzę.

Toot-toot był ich przywódcą i razem ze swoim ludkiem wykonał już dla mnie wiele bardzo przydatnych zadań. Przy niejednej okazji elfy uratowały mi życie. Nikt w nadprzyrodzonej społeczności nie znał w pełni ich możliwości. W rezultacie na ogół były lekceważone. Mogłem to potraktować jako lekcję życia: nie należy nie doceniać małych elfów.

Teraz miałem zadanie skrojone akurat na miarę Toota. Prawie dosłownie.

– Wiesz, który samochód jest jego? – zapytałem.

Toot odrzucił głowę do tyłu. W stylu Yula Brynnera.

– Oczywiście! Niebieski z takim czymś na masce. – Wyrzucił ramiona do góry pod pewnym kątem i przybrał sztywną postawę, układając ciało w literę Y.

– Niebieski mercedes, tak? Okay. Oto co masz zrobić...

* * *

Pięć minut później obszedłem dom, stanąłem od frontu twarzą do ulicy, spojrzałem w stronę budynku, w którym usadowił się szpieg, i przybrałem swoją najgroźniejszą minę. Wycelowałem rękę w zasłonięte okna na drugim piętrze i zrobiłem gest przywoływania, wskazując na ziemię tuż przed sobą.

Jedna z zasłon chyba drgnęła. Wolno policzyłem do pięciu, a następnie ruszyłem szybkim krokiem w stronę pensjonatu przerobionego na mieszkania.

Gdy przekraczałem ruchliwą ulicę, młody mężczyzna po dwudziestce w szortach khaki i zielonym T-shircie wybiegł z budynku i popędził w stronę niebieskiego mercedesa zaparkowanego na ulicy. Na jego szyi dyndał drogi aparat.

Szedłem dalej, nie zmieniając tempa.

Mężczyzna podbiegł do drzwi od strony kierowcy, celując w samochód urządzeniem trzymanym w ręce. Następnie chwycił za klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Uciekający rzucił mi spojrzenie, a następnie próbował włożyć kluczyk do zamka. Gdy mu się to nie udało, osłupiały zerknął na kawałek stali oblepiony ciągnącą się różową substancją. Gumą do żucia.

– Nie zawracałbym sobie głowy otwieraniem – rzuciłem, zbliżając się do mercedesa. – Spójrz na opony.

Młody człowiek przeniósł wzrok na samochód i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. Wszystkie cztery opony były sflaczałe.

– O! – bąknął szpieg, popatrzył na kluczyk i westchnął. – Cholera!

Zatrzymałem się po drugiej stronie samochodu i uśmiechnąłem półgębkiem.

– Nie przejmuj się, stary. Siedzę w tym interesie dłużej niż ty.

Posłał mi kwaśne spojrzenie i uniósł klucz.

– Guma do żucia?

– Dobrze, że nie kropelka. Powiedzmy, że z zawodowej solidarności. – Skinieniem głowy wskazałem na samochód. – Porozmawiajmy, ale włącz klimatyzację, na litość boską.

Mężczyzna przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym westchnął.

– Okay.

Obaj wsiedliśmy do samochodu. Młody człowiek zdrapał gumę z kluczyka i włożył go do stacyjki, ale kiedy go przekręcił, nic się nie wydarzyło.

– Podnieś maskę – rzuciłem.

Zmierzył mnie wzrokiem, ale posłuchał. Ja wysiadłem i podłączyłem luźne kable do akumulatora.

– Gotowe – powiedziałem.

Silnik zaczął gładko pracować.

Jak już wspomniałem, daję Toot-tootowi i jego ludkowi odpowiednie zadania, a oni je wykonują. I są w tym świetni jak diabli.

– Masz licencję? – spytałem, wsiadając do samochodu.

Mężczyzna wzruszył ramionami i ustawił klimatyzację na „głębokie mrożenie”.

– Tak.

Pokiwałem głową.

– Od jak dawna?

– Niedługo.

– Glina?

– W Joliet.

– Ale teraz już nie.

– Nie wyszło.

– Dlaczego obserwujesz moje mieszkanie?

Wzruszył ramionami.

– Mam hipotekę.

Skinałem głową i wyciągnąłem do niego rękę.

– Harry Dresden.

Słyszając to nazwisko, mężczyzna zmarszczył brwi.

– To ty kiedyś pracowałeś dla Nicka Christiana w Ragged Angel?

– Tak.

– Nick ma dobrą reputację. – Wydawało się, że doszedł do jakiegoś wniosku, bo ujął moją dłoń z pewną dozą rezygnacji. – Vince Graver.

– Zostałeś wynajęty, żeby mnie szpiclować?

Wzruszył ramionami.

– Śledziłeś mnie wczoraj?

– Wiesz, jak to jest, człowieku. Bierzesz czyjeś pieniądze i trzymasz gębę na kłódkę.

Uniosłem brwi. W podobnych okolicznościach niewielu prywatnych detektywów byłoby stać na taką powściągliwość. Przyjrzałem mu się uważniej. Chudy, zbudowany jak ktoś, kto w weekendy biega albo jeździ na rowerze. O miłej powierzchowności, ale niezbyt zapadającej w pamięć. Kasztanowe włosy i piwne oczy, średni wzrost. Jediną wyjątkową cechą w jego wyglądzie było to, że nie było w nim nic wyjątkowego.

– I trzymasz gębę na kłódkę – zgodziłem się. – Dopóki ludziom nie zaczyna się dziać krzywda. Wtedy wszystko się komplikuje.

Graver zmarszczył brwi.

– Krzywda?

– Były dwie próby zamachu na moje życie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – oznajmiłem. – Policz sobie.

Detektyw skierował wzrok w głąb ulicy i zacisnął usta.

– Cholera.

– Cholera?

Pokiwał głową z ponurą miną.

– Pieniądze na rachunki właśnie idą się przejść.

Popatrzyłem na niego, unosząc brwi.

– Zostawiasz swojego klienta? Tak po prostu?

– „Współsprawca” to brzydkie słowo. Podobnie jak „więzienie”.

Bystry dzieciak. Bystrzejszy, niż ja byłem, kiedy dostałem licencję prywatnego detektywa.

– Muszę wiedzieć, kto cię wynajął.

Graver myślał przez dłuższą chwilę. Potem powiedział krótko:

– Nie.

– Dlaczego?

– Mam taką zasadę, żeby nie działać na szkodę klienta ani nie wkurzać ludzi, którzy są skłonni do morderstwa.

– Straciłeś pracę – przypomniałem. – A gdybym ci to wynagrodził?

– Może nie przeczytałeś tej części książki. Prywatny detektyw to nie informator.

– Może zadzwonię do glin. Może powiem im, że jesteś zamieszany w te ataki.

– Może nie możesz nic udowodnić – odparował Graver. – Nie wchodzi się do tego interesu, jeśli nie potrafi się trzymać języka za zębami.

Odchyliłem się na oparcie fotela i skrzyżowałem ręce, mierząc go wzrokiem.

– Masz rację – przyznałem. – Nie mogę cię zmusić, więc cię proszę. Proszę.

Vince nadal patrzył przez przednią szybę.

– Dlaczego cię ścigają? – zapytał.

– Chronię klienta.

– Starszego gościa na wózku inwalidzkim.

– Tak.

Graver zerknął na mnie z ukosa.

– Wygląda na twardziela – stwierdził.

– Żebyś wiedział.

Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy i chłodzie. Potem Vince na mnie spojrzał i pokręcił głową.

– Wyglądasz na rozsądnego gościa. Mam nadzieję, że nie zginiesz. Koniec rozmowy.

Przyszło mi do głowy, żeby pchnąć sprawy naprzód, ale z niejednego pieca chleb jadłem i potrafiłem rozpoznać człowieka naprawdę upartego i bezkompromisowego.

– Masz wizytówkę? – spytałem.

Graver sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej prostą białą wizytówkę z nazwiskiem i numerem telefonu. Podał mi ją.

– Po co?

– Czasami szukam podwykonawcy.

Młody detektyw uniósł brwi.

– Kogoś, kto umie trzymać język za zębami. – Skinąłem mu głową i wysiadłem z samochodu. Potem jeszcze nachyliłem się do drzwi i zajrzałem do środka. – Znam pewnego mechanika. Zadzwonię do niego. Ma w furgonetce kompresor, może napompować ci opony. Ja zapłacę.

Graver przez chwilę przyglądał mi się, a potem lekko się uśmiechnął.

– Dzięki.

Zamknąłem drzwi i zabębniłem w dach pięścią. Potem wróciłem do domu. Myszek, który czekał cierpliwie na podwórku, przyczłapał mi na powitanie do ulicy i szedł obok mnie do samych drzwi.

Morgan znowu leżał na moim łóżku, a Molly właśnie kończyła zmieniać mu bandaż. Mister obserwował cały proces z kanapy, z nastawionymi uszami, najwyraźniej zafascynowany.

Morgan skinął mi głową i wychrypiął:

– Złapałeś go?

– Tak. Miejscowy detektyw, wynajęty, żeby mnie śledzić. Ale był pewien problem.

– Jaki?

Wzruszyłem ramionami.

– On jest uczciwy.

Morgan wziął głęboki oddech i pokiwał głową.

– Dość rzadki problem.

– Tak. Godny podziwu młody człowiek. Jakie jest prawdopodobieństwo?

Molly popatrzyła na nas obu i stwierdziła:

– Nie rozumiem.

– Rezygnuje ze zlecenia, ale nie powie nam nic o swoim kliencie, bo uważa, że to byłoby niewłaściwe – odpowiedziałem. – Nie chce również sprzedać informacji.

Molly zmarszczyła brwi.

– Więc jak się dowiemy, kto za tym wszystkim stoi?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem pewien. Ale obiecałem mu, że kogoś przyślę, żeby napompował koła. Wybaczcie.

– Chwileczkę. On nadal tam jest?

– Tak. Niebieski mercedes.

– To młody mężczyzna?

– Jasne. Trochę starszy od ciebie. Nazywa się Vince Graver.

Molly się rozpromieniła.

– W takim razie ja go skłonię, żeby mi powiedział.

Podeszła do lodówki, wyjęła z niej ciemnobrązową butelkę piwa z mikrobrowaru i ruszyła do drzwi.

– Jak zamierzasz tego dokonać? – spytałem.

– Zaufaj mi, Harry. Postaram się, żeby zmienił zdanie.

– Nie – gwałtownie wtrącił się Morgan i zakaszłał kilka razy. – Nie. Słyszysz, dziewczyno? Wolałbym raczej umrzeć, niż żebyś użyła czarnej magii z mojego powodu.

Molly wytrzeszczyła oczy i odstawiła piwo na półkę przy drzwiach.

– Masz rację – powiedziała do mnie. – On lubi dramatyzować. Czy ktoś tu wspominał o magii?

Włożyła rękę pod T-shirt i zaczęła pod nim gmerać. Chwilę później przez rękaw wyciągnęła stanik. Rzuciła go na półkę, wzięła butelkę i przyłożyła ją po kolei do obu piersi. Potem odwróciła się do mnie, wzięła głęboki oddech i rozprostowała plecy. Pod dość napiętym materiałem koszulki wyraźnie zarysowały się dwa guziczki.

– I co myślisz? – zapytała, posyłając mi szelmowski uśmiech.

Pomyślałem, że Vince jest zgubiony.

– Myślę, że twoja matka głośno by zaprotestowała.

Molly uśmiechnęła się z wyższością.

– Dzwon do mechanika. Ja dotrzymam mu towarzystwa, zanim przyjedzie pomoc.

Odwróciła się i wyszła z mieszkania, kołysząc biodrami.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Morgan gwizdnął cicho. Zmierzyłem go wzrokiem, a on przeniósł spojrzenie na mnie i powiedział:

– Jeszcze nie jestem martwy, Dresden. – Zamknął oczy. – Nie zaszkodzi

od czasu do czasu popodziwiać piękno kobiety.

– Może. Tylko że to było po prostu... niewłaściwe.

Morgan uśmiechnął się, choć z lekkim zakłopotaniem.

– Ale ona ma rację. Zwłaszcza jeśli chodzi o młodego mężczyznę. Kobieta może sprawić, że mężczyzna zobaczy wszystko w innym świetle.

– Niewłaściwe – powtórzyłem. – Po prostu złe.

I poszedłem zadzwonić do mechanika Mike'a.

* * *

Molly wróciła czterdzieści pięć minut później, cała w skowronkach.

Morgan, poddany wcześniej bolesnym zabiegom, teraz rzucał się w niespokojnym śnie. Ostrożnie zamknąłem drzwi sypialni, żebyśmy go nie obudzili.

– I co? – zapytałem.

– Jego samochód ma naprawdę dobrą klimatyzację – odparła Molly z zadowoleniem. – Nie miał szansy. – W dwóch palcach uniosła wizytówkę taką samą jak ta, którą ja dostałem.

Kiedy powtórzyłem jej gest, ona odwróciła swoją, pokazując mi kilka słów ręcznie napisanych na odwrocie.

– Jestem twoją asystentką i martwię się o swoją pracę. – Melodramatycznie przyłożyła grzbiet dłoni do czoła. – Jeśli coś ci się stanie, co ja pocznę? Dokąd pójdę?

– I?

Podawała mi wizytówkę.

– Vince zaproponował, że mogę się zastanowić nad posadą praktykantki adwokackiej. Nawet podpowiedział mi firmę prawniczą. Smith Cohen Mackleroy.

– Poradził ci, żebyś szukała pracy?

Molly uśmiechnęła się.

– Najwyraźniej nie mógł powiedzieć mi wprost, kto go wynajął. To byłoby niewłaściwe.

– Jesteś okrutną i przebiegłą młodą kobietą. – Wziąłem od niej wizytówkę. Smith Cohen Mackleroy, numer telefonu, a pod nim wydrukowane nazwisko Evelyn Derek. Spojrzałem wesoło na Molly. Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Cholera, jestem naprawdę dobra.

– Nie będę się sprzeczała. Teraz mamy nazwisko, zawsze to jakiś trop. Można go nawet nazwać wskazówką.

– Nie tylko. Mam randkę.

– Dobra robota, nowicjuszek. – Uśmiechnąłem się i przewróciłem oczami.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Smith Cohen i Mackleroy, jak się okazało, byli firmą prawniczą dla zamożniejszych klientów. Budynek w śródmieściu Chicago, w którym mieściła się ich siedziba, stał w cieniu Sears Tower i musiał mieć fantastyczny widok na jezioro. Od razu przyszło mi do głowy, że mógłbym dla nas kupić jakieś imponujące biuro. Wydlubawszy wrogowi oczy, że się tak wyrażę, bez Vince'a na ogonie, liczyłem na to, że Morgan odpocznie w spokoju choć przez kilka godzin.

Wymyśliłem, że przeniosę go w inne miejsce... jak tylko przyszpilę panią Evelyn Derek i dowiem się, komu przekazywała informacje zdobyte przez Vince'a.

Chyba wyglądałem dość niechlujnie, bo ochroniarz obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, kiedy wszedłem do biurowca w połowie pory obiadowej. Niemal widziałem, jak się zastanawia, czy mnie zatrzymać, czy nie.

Posłałem mu mój najbardziej przyjazny uśmiech – który zmęczenie i stres zapewne zredukowały do zaledwie uprzejmego – i powiedziałem:

– Przepraszam, mam spotkanie z prawnikiem ze Smith Cohen i Mackleroy. Są na dwudziestym drugim piętrze, prawda?

Mężczyzna się odprężył. I bardzo dobrze. Wyglądał, jakby pod garniturem miał dość mięśni, żeby wyrzucić mnie za drzwi.

– Na dwudziestym czwartym, proszę pana.

– Racja, dzięki.

Uśmiechnąłem się do niego i zdecydowanym krokiem pomaszerowałem dalej.

Pewność siebie jest kluczową rzeczą, jeśli człowiek chce przekonać innych, że ma prawo być w jakimś miejscu.

– Proszę pana! – zawołał za mną strażnik. – Byłbym wdzięczny, gdyby

zostawił pan tutaj swoją pałkę.

Zatrzymałem się i obejrzałem przez ramię.

Miał pistolet. Nie trzymał na nim dłoni, ale zatknął kciuk za pasek jakies pół cala od broni.

– To nie jest pałka, tylko laska – sprostowałem.

– Długa na sześć stóp.

– To tradycyjny wyrób sztuki ludowej Ozarków.

– Ze szczerbami i nacięciami na całej długości.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami.

– Jestem niebezpieczny?

Ochroniarz wyciągnął rękę. Z westchnieniem oddałem mu laskę.

– Dostanę jakieś pokwitowanie? – spytałem.

Mężczyzna wyjął notes z kieszeni i coś w nim nabazgrał. Podał mi kartkę. Było na niej napisane: „Otrzymałem jedną sześciostopową tradycyjną pałkę Ozarków od pana Przemądrzałego”.

– Od doktora Przemądrzałego – poprawiłem go. – Nie po to spędziłem osiem lat w college’u afrontów, żeby teraz tytułowali mnie panem.

Strażnik oparł laskę o ścianę za swoim biurkiem i usiadł z powrotem na krześle.

Ja poszedłem do windy i wjechałem na górę. Był to jeden z tych ekspresowych wynalazków, który porusza się tak szybko, że siła przyspieszenia zgniata człowiekowi kręgosłup i wysadza oczy na wierzch. Winda zatrzymała się na dwudziestym czwartym piętrze naprzeciwko recepcji. Firma prawnicza najwyraźniej zajmowała całe piętro.

Recepcjonistką była oczywiście młoda kobieta, oczywiście atrakcyjna. Pasowała do solidnych dębowych mebli, oryginalnych olejnych obrazów, robionego na zamówienie wyposażenia poczekalni i słabego zapachu cytrynowego środka do czyszczenia drewna – wariacji na temat pięknej funkcjonalności. Kobieta spojrzała na mnie z uprzejmym uśmiechem. Włosy miała długie i wypielęgnowane, bluzkę z wycięciem na tyle głębokim, że przyciągało uwagę, ale nie aż tak głębokim, żeby o niej źle pomyśleć. Spodobał mi się ten uśmiech. Może jednak nie prezentowałem się jak sponiewierany lump. Tylko jak zmęczony, ale zdeterminowany twardziel.

– Przepraszam, proszę pana, ale ośrodek leczenia uzależnień znajduje się na dwudziestym szóstym piętrze – poinformowała mnie recepcjonistka.

Westchnienie.

– Właściwie przyszedłem tutaj, żeby się z kimś zobaczyć. O ile jest to firma Smith Cohen i Mackleroy?

Kobieta spojrzała znacząco – choć nadal uprzejmie – na swoje biurko, na którym stała tabliczka z nazwą wygrawerowaną prostymi literami bez zdobników.

– Rozumiem, proszę pana. Kogo pan szuka?

– Pani Evelyn Derek.

– Ma pan umówione spotkanie?

– Nie, ale pani Derek będzie chciała ze mną rozmawiać.

Recepcjonistka popatrzyła na mnie, jakby miała gorzki, nieprzyjemny smak w ustach. Specjalnie wybrałem na wizytę akurat tę porę. Młoda dama czułaby się dużo bardziej komfortowo, gdyby mogła odesłać mnie do sekretarki, asystentki prezesa albo do kogo tam powinna teraz zadzwonić, żeby ktoś inny zdecydował, co robić. Niestety asystentka pani Derek najwyraźniej wyszła na lunch. Właśnie dlatego zjawiłem się tam w porze obiadowej.

– Kogo mam zapowiedzieć?

Wyjąłem z kieszeni wizytówkę Vince’a Gravera i podałem ją dziewczynie.

– Proszę jej powiedzieć, że Vince zdobył nieoczekiwane informacje i koniecznie musi je przekazać.

Recepcjonistka wcisnęła guzik, poprawiła słuchawki i sumiennie przekazała moją wiadomość temu, kto znajdował się na drugim końcu linii. Wysłuchała odpowiedzi i skinęła głową.

– Prosto korytarzem i drugie drzwi po lewej, proszę pana.

Ukloniłem się i wszedłem przez znajdujące się za nią drzwi. Dywan był tutaj jeszcze grubszy, a wystrój jeszcze droższy. W niszy między dwoma skórzanymi fotelami po dwa tysiące każdy stała mała kamienna fontanna. Kręciłem głową, idąc korytarzem, który pachniał sukcesem, władzą i pragnieniem, żeby wszyscy o nich wiedzieli.

Założyłbym się, że byliby piekielnie zazdrośni o Ostentatorium

w Edynburgu.

Gdy otworzyłem drugie drzwi po lewej, zobaczyłem biurko sekretarki, obecnie niezajęte, i otwarty gabinet dyrektorski, bez wątplenia odpowiadający statusowi prawniczki Evelyn Derek.

– Proszę wejść, panie Graver – dobiegł ze środka niecierpliwy kobiecy głos.

Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Gabinet okazał się duży, ale nie monstrualny. Pani Derek prawdopodobnie jeszcze nie została w firmie wspólnikiem. Meble były eleganckie i ultranowoczesne, z dużą ilością szkła i metalu. W pokoju znajdowała się tylko jedna mała szafka na akta, półka z rzędem książek prawniczych, cienki i delikatny z wyglądu laptop, a na ścianie oprawiony w ramki dyplom ukończenia drogiego studiów. Było też okno, ale o szybach tak matowych, że ledwo przepuszczały światło. Szklane biurko, stolik do kawy i barek z napojami całe lśniły, bez jednej plamki czy odcisku palca. Całość emanowała ciepłem sali operacyjnej.

Kobieta pisząca na laptopie mogłaby śmiało stanowić część wyposażenia gabinetu. Nosila okulary bez oprawek na najbardziej zielonych oczach, jakie w życiu widziałem. Kruczoczarne, krótko ścięte włosy podkreślały jej drobne, klasyczne rysy i smukłą linię szyi. Miała na sobie ciemny jedwabny żakiet z dopasowaną do niego spódnicą i białą bluzkę, a na długich nogach buty, które musiały kosztować więcej niż niejedna rata hipoteczna, ale żadnych pierścionków, kolczyków czy naszyjnika. Stukała w klawisze szybkimi, zdecydowanymi kadencjami jak wojskowy doboz, a w jej postawie było coś zimnego i pełnego rezerwy.

Nie odzywała się przez pełne dwie minuty, skupiona na swoim zajęciu. Oczywiście musiała coś udowodnić Vince'owi za to, że śmiał ją nachodzić w pracy.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan mnie przekonywać, żebym znowu pana zatrudniła, panie Graver – przemówiła w końcu, nie odrywając wzroku od klawiatury. – Co według pana jest takie ważne?

Aha. Zatem Vince już złożył rezygnację. Nie tracił chłopak czasu, trzeba przyznać.

Ta kobieta najwyraźniej była przyzwyczajona do poważnego traktowania.

Rozwahałem kilka odpowiedzi, ale postanowiłem zacząć od wyprowadzenia jej z równowagi.

Wiem. Ja. Szokujące, prawda?

Odpląciłem jej pięknym za nadobne. Długo milczałem, aż w końcu Evelyn Derek sapnęła ze zniecierpliwieniem i podniosła na mnie chłodne, pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Cześć, uściski – powiedziałem.

Muszę paniusi oddać, że zachowała pokerową twarz. Dezaprobata szybko ustąpiła miejsca neutralnej masce. Evelyn wyprostowała się lekko na krześle i położyła dłonie płasko na blacie biurka. Wyglądała bardziej na czujną niż zdenerwowaną.

– Zostawi pani ślady palców – ostrzegłem.

Pani Derek gapiła się na mnie przez kilka sekund, a potem zażądała:

– Proszę się wynosić z mojego gabinetu.

– Nie widzę tu żadnego płynu do szyb. – Zmartwiłem się, rozglądając się po gabinecie.

– Nie słyszał pan? – Jej głos stwardniał. – Proszę. Się. Wynosić.

Podrapałem się po brodzie.

– Może jest na biurku sekretarki. Mam go przynieść?

Na policzkach Evelyn wykwitły kolorowe plamy. Sięgnęła do telefonu stojącego na biurku.

Wycelowałem w niego palec, posłałem wiązkę mocy i syknąłem:

– *Hexus!*

Psucie urządzeń technicznych to dla maga bułka z masłem. Niestety dużym minusem jest brak chirurgicznej precyzji. Z telefonu posypały się iskry, a przy okazji również z komputera, ze świateł sufitowych i z czegoś, co znajdowało się w kieszeni płaszcza Evelyn. Towarzyszyło temu kilka ostrych wystrzałów.

Pani Derek wydała cichy okrzyk i próbowała zrobić unik w trzech kierunkach jednocześnie. W rezultacie krzesło potoczyło się do tyłu bez niej, a ona w mało dystyngowany sposób wylądowała jak długa na podłodze za szklanym biurkiem. Okulary wisiały jej na jednym uchu, intensywnie zielone oczy otworzyła tak szeroko, że widać było całe białka.

Dla samego efektu zbliżyłem się kilka kroków i stanąłem nad nią, patrząc w milczeniu przez dłuższą chwilę. W pokoju nie rozlegał się żaden dźwięk, bez świateł zrobiło się dużo ciemniej.

Odezwałem się bardzo, bardzo cicho:

– Między panią a resztą biura, które i tak jest prawie puste, są dwie pary zamkniętych drzwi. Do tego grube dywany, solidna dębowa podłoga i szmerząca woda w fontannie na korytarzu. – Uśmiechnąłem się lekko. – Nikt nie usłyszał tego, co się tutaj wydarzyło, bo inaczej ktoś by już przybiegł.

Evelyn przełknęła ślinę, ale się nie poruszyła.

– Proszę mi powiedzieć, kto pani kazał wynająć detektywa, żeby mnie szpiegował.

Prawniczka uczyniła widoczny wysiłek, żeby się opanować.

– Ja... ja nie wiem, o czym pan mówi.

Pokręciłem głową, uniosłem rękę i wykonałem przywołujący gest w stronę barku. Skupiłem odrobinę siły woli i wymamrotałem:

– *Forzare!*

Drzwi barku się otworzyły. Wybrałem pierwszą lepszą butelkę i powtórzyłem gest. Burbon wyskoczył z szafki i przeleciał przez pokój prosto do mojej ręki. Odkręciłem nakrętkę i pociągnąłem łyk. Alkohol miał bogaty smak i przyjemnie zapiekło mnie w gardle.

Evelyn Derek gapiała się na mnie z czystym osłupieniem, z otwartymi ustami i twarzą bielszą niż śnieg.

Popatrzyłem na nią spokojnie.

– Jest pani pewna?

– O Boże – wyszeptała.

– Evelyn, skup się – powiedziałem karcącym tonem. – Wynajęłaś Vince’a Gravera, żeby mnie śledził i meldował o moich ruchach. Ktoś kazał ci to zrobić. Kto?

– M... moi klienci – wyjąkała. – To poufne.

Źle się czułem, strasząc tę kobietę. Jej reakcja na magię była typowa dla normalnego człowieka, który jeszcze nigdy nie zetknął się ze światem nadprzyrodzonym, co oznaczało, że Evelyn prawdopodobnie nie ma pojęcia,

kogo naprawdę ochrania. Była przerażona. Ja wiedziałem, że nie zamierzam jej skrzywdzić.

Ale ona nie.

Sztuczka z blefem polega na tym, że trzeba go rozegrać go końca, nawet kiedy staje się to nieprzyjemne.

– Naprawdę nie chciałem, żeby zrobiło się niemiło – rzekłem ze smutkiem.

Zrobiłem krok i postawiłem butelkę na biurku. Następnie powoli, teatralnym gestem uniosłem lewą rękę. Kilka lat wcześniej została paskudnie poparzona i choć moja zdolność regeneracji była większa niż u innych ludzkich istot, przynajmniej na dłuższą metę, ręka nadal nie wyglądała ładnie. Już nie jak w horrorze z efektami specjalnymi, ale zgrubiałe blizny pokrywające palce, nadgarstek i większość dłoni nadal mogły budzić szok i odrazę, jeśli nie widziało się ich wcześniej.

– Nie, zaczekaj! – pisnęła Evelyn. Cofając się na pośladkach po dywanie, przywarła plecami do ściany i uniosła rękę. – Nie.

– Pomogłaś swojemu klientowi w próbie zabójstwa, Evelyn – uświadomiłem jej spokojnym głosem. – Powiedz mi, kto to jest.

Jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Co? Nie. Nie wiedziałam, że komuś stanie się krzywda.

Przysunąłem się bliżej i warknąłem:

– Mów.

– Dobrze, dobrze! – wybełkotała prawniczka. – Ona...

Umilkła tak nagle, jakby ktoś zaczął ją dusić.

– Powiedz mi – zażądałem łagodniejszym tonem.

Evelyn Derek potrząsnęła głową. Strach i dezorientacja pozbawiły ją zwykłej rezerwy. Zaczęła drżeć. Kilka razy otworzyła usta, ale wydobywały się z nich tylko ciche zdławione dźwięki. Wodziła wzrokiem po pokoju jak zwierzę schwyte w pułapkę i szukające drogi ucieczki.

To nie było normalne zachowanie. Ani trochę. Osoba taka jak Evelyn Derek mogła wpaść w panikę, mogła zostać zastraszona, mogła zostać przyparta do muru, ale w żadnym razie nie mogła zapomnieć języka w gębie.

– Aha – bąknąłem. – Nienawidzę tego gówna. – Westchnąłem, obszedłem

biurko i stanąłem nad przerażoną, kulącą się kobietą. – Do diabła, gdybym wiedział, że ktoś... – Pokręciłem głową.

Evelyn jakby mnie nie słyszała. Zaczęła płakać.

Jest to jedna z tysiąca reakcji, kiedy czyjaś wolna wola zostaje sparaliżowana przez jakiś rodzaj psychicznego zakazu. A ja właśnie stworzyłem sytuację, w której każda część jej logicznego, racjonalnego umysłu bardzo chciała mi powiedzieć, kto ją wynajął. Jej emocje ustawiły się w szeregu tuż za myślami.

Tylko że ktoś dostał się do głowy pani Derek. I umieścił w niej coś, co nie pozwalało jej mówić o zleceniodawcy. Do diabła, ona mogła nawet nie mieć świadomych wspomnień, kto ją zatrudnił... choć przecież nie wynajęłaby detektywa, żeby kogoś śledził bez powodu.

Wszyscy zawsze myślą, że takie oczywiste logiczne niekonsekwencje nie utrzymają się długo, że rozum jakoś uwolni się od nałożonych nań ograniczeń. Niestety ludzki umysł nie jest zbyt logiczny ani konsekwentny. Większość osób, gdy ma do wyboru straszliwą prawdę albo jej unikanie, wybierze komfort i spokój normalności. To nie czyni ich słabymi albo silnymi, dobrymi albo złymi, tylko po prostu ludzkimi.

Taka jest nasza natura. Wiele rzeczy może nas uchronić przed przykrymi prawdami, jeśli nie chcemy przyjąć ich do wiadomości.

– Evelyn Derek, spójrz na mnie – powiedziałem silnym, władcym głosem.

Prawniczka pokręciła głową, mocniej przyciskając się do ściany. Ukląknę przed nią, wyciągnąłem rękę i delikatnie uniosłem jej twarz, trzymając za podbródek.

– Evelyn Derek, spójrz na mnie – powtórzyłem łagodniejszym tonem.

Kobieta popatrzyła na mnie ciemnozielonymi oczami, a ja wytrzymałem jej wzrok przez jeden długi oddech, zanim rozpocząłem Wejrzenie.

Jeśli źrenice są oknami duszy, to magowie są jej podglądaczami. Kiedy mag patrzy w oczy innej osoby, widzi samą jej istotę. Wszyscy inaczej przechodzimy przez to doświadczenie, ale sprowadza się ono do jednego: daje nam pojęcie o najważniejszych cechach charakteru drugiego człowieka.

Niemal tonąc w głębokich zielonych oczach Evelyn, ujrzałem pokój

niemal identyczny jak jej gabinet. Meble były piękne i minimalistyczne. Wyglądało na to, że pani Derek nie jest osobą zbyt obciążającą swoją duszę wspomnieniami, które większość ludzi gromadzi w ciągu życia. Ona ceniła sobie rozum, porządek i dyscyplinę myśli, a sprawom osobistym nie poświęcała za dużo uwagi.

Ale w miarę jak patrzyłem na ten pokój, zobaczyłem samą Evelyn. Spodziewałbym się jej raczej w oficjalnym ubraniu do pracy albo w stroju studentki. Zamiast tego pani Derek miała na sobie...

Cóż, bardzo drogą i bardzo skąpą czarną bieliznę. Pończochy, pas, majtki i biustonosz, wszystko czarne. Nosiła je, hm... stosownie. Klęczała na podłodze, z rękami na plecach, naprzeciwko mnie, z rozchylonymi ustami i przyśpieszonym oddechem. Mogłem lekko zmienić kąt widzenia, jakbym ją obchodził. Zielone oczy o rozszerzonych źrenicach podążały za mną, a biodra wykonywały lekkie koliste ruchy, kiedy Evelyn starała się zachować równowagę.

Nadgarstki miała związane z tyłu długą, wąską wstążką z białego jedwabiu.

Nagle kątem oka wychwyciłem jakiś ruch i gwałtownie podniosłem wzrok. Zobaczyłem, że smukła kobieca postać znika w korytarzach pamięci Evelyn Derek, tak że dostrzegłem jedynie mignięcie bladej skóry...

...i blask srebrnych oczu.

Jasny gwint!

Ktoś spętał myśli pani Derek i te więzy połączył z jej naturalnymi seksualnymi pragnieniami, żeby nadać im trwałość i siłę. Sama metoda, ulotna wizja intruza i nieliczne przebłyski pamięci stanowiły mocne wskazówki co do tożsamości osoby za to wszystko odpowiedzialnej.

Wampira z Białego Dworu.

Ukląknę przed Evelyn Derek. Jej oczy były duże, na twarzy malowało się przerażenie wymieszane z respektem.

Tak właśnie jest z Wejrzeniem. Ten, na kogo patrzysz, odwzajemnia spojrzenie i zaczyna ciebie widzieć z takimi samymi szczegółami jak ty jego. Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto zajrzałby mi w duszę i nie był tym doświadczeniem wstrząśnięty.

Evelyn Derek wbiła we mnie wzrok i wyszeptała:

– Kim jesteś?

– Harry Dresden.

Kobieta zamrugnęła i powiedziała oszołomiona:

– Uciekła przed tobą. – W jej oczach zaczęły wzbierać łzy. – Co się ze mną dzieje?

Czary wdzierające się w myśli ludzkiej istoty stanowią bezpośrednie naruszenie Praw Magii, których bronią Strażnicy. Ale jak w każdym systemie prawnym tu również istnieje szara strefa i niepisane zwyczaje, co jest dozwolone w praktyce, a co nie.

Niewiele mogłem zrobić dla Evelyn. Naprawienie szkody wyrządzonej jej umysłowi wymagałoby ręki lżejszej i sprawniejszej niż moja, jeśli w ogóle było wykonalne. Ale jedno mogłem dla niej zrobić. Zastosować odrobinę szarej magii, którą nawet Biała Rada uznawała za pomoc wynikającą ze współczucia, zwłaszcza dla osób z taką psychiczną traumą jak u Evelyn.

Zebrałem wolę i wyciągnąłem prawą rękę. Najdelikatniej, jak umiałem, przesunąłem palcami po jej oczach, a kiedy je zamknęła, dotknąłem jej czoła, a potem podbródka i zaintonowałem cicho:

– *Dorme, dormius, Evelyn. Dorme, dormius.*

Prawniczka wydała z siebie cichy skamlący dźwięk ulgi i osunęła się na podłogę nagle całkowicie odprężona. Wzięła jeden głęboki oddech i zapadła w mocny sen bez marzeń sennych.

Ułożyłem ją w wygodnej pozycji. Przy odrobinie szczęścia, kiedy się obudzi, uzna większość naszego spotkania za zły sen. Następnie opuściłem gabinet. Z każdym krokiem narastał we mnie cichy gniew. Zaczął przeradzać się w furię, kiedy w drodze do drzwi mijałem ochroniarza. Rzuciłem pokwitowanie na jego biurko i wyszeptałem zaklęcie. Laska oparta o ścianę sama wskoczyła do mojej ręki.

Strażnik spadł z krzesła, a ja wyszedłem, nie oglądając się za siebie.

W sprawę był wmieszany Biały Dwór. Próbowali zabić Morgana – i mnie razem z nim – a co więcej, polowali na ludzi w moim mieście, wdzierali się do ich psychiki i powodowali szkody, które w niesprzyjających okolicznościach mogły przerodzić się w szaleństwo. Istniała wielka różnica

między zwykłym drapieżnictwem a tym, co zrobiono Evelyn Derek.
Ktoś musiał za to odpowiedzieć.

Wróciłem do swojego mieszkania, ramieniem otworzyłem drzwi i ujrzałem dziwny żywy obraz.

Znowu.

Morgan leżał na podłodze jakieś pięć stóp od drzwi sypialni. Najwyraźniej wziął moją laskę ze stojącej przy drzwiach blaszanej puszki, w której trzymałem ludowe rzeźbione pałki Ozarków, różdżki, parasole i tym podobne rzeczy. Laska była stara, w stylu wiktoriańskim, z mieczem ukrytym w drzewcu. Wystarczyło przekręcić rączkę i pociągnąć, żeby ze środka wysunęło się wąskie stalowe ostrze o długości trzydziestu cali. Morgan to zrobił. Teraz leżał na boku i ścisnął broń w ręce sterczącej w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Czubek miecza dotykał tętnicy szyjnej tuż pod lewym uchem Molly.

Z kolei moja praktykantka opierała się plecami o jeden z regałów na książki, stojąc z lekko ugiętymi kolanami i ramionami wyciągniętymi na boki, jakby się potknęła i, padając do tyłu, wystawiła ręce, żeby przytrzymać się półek.

Po lewej stronie drzwi siedział Myszek i obnażonymi zębami muskał szyję kapitan Luccio. Anastasia leżała na plecach, a pistolet na dywanie jakieś dwie stopy poza zasięgiem jej ręki. Ona sama wyglądała na dość zrelaksowaną, choć z miejsca, w którym stałem, nie widziałem jej twarzy.

Ciemnobrązowe oczy Myszka były skupione na Morganie, a stalowy wzrok Strażnika wbity w szczękę psa.

Oślupiały gapiłem się na nich wszystkich przez całą minutę. Nikt się nie poruszył. Z wyjątkiem Myszka. Kiedy na niego spojrzałem, z nadzieją zamierdał ogonem.

Wydałem z siebie ciężkie westchnienie, odstawiłem laskę i powlokłem się do wnętrza kuchennej, przechodząc po drodze nad nogą Anastasii.

Otworzyłem lodówkę, przez chwilę przyglądałem się zawartości, po czym wyjąłem zimną colę. Pociągnąłem długi łyk z butelki. Następnie wziąłem papierowy ręcznik, poszedłem na kanapę i usiadłem.

– Zapytałbym, co się, do diabła, stało – powiedziałem, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Tylko że jedyny świadek, który ma odrobinę rozumu, nie potrafi mówić. – Skierowałem wzrok na psa i dodałem: – Lepiej, żeby opowieść była dobra.

Myszek znowu na próbę pomachał ogonem.

– No dobrze, puść ją – rozkazałem.

Pies natychmiast odsunął się od Luccio, przyczłapał do kanapy i oparł się o mnie, łypiąc to na Anastasię, to na Morgana.

– Morgan, połóżnij chwyt duszący i odłóż miecz – zażądałem.

– Nie – wykrztusił Strażnik głosem zdławionym z wściekłości. – Nie, póki ta mała wiedźma nie będzie związana, zakneblowana i z opaską na oczach.

– Molly już dzisiaj wypełniła obowiązki dziewczyny z reklamy piwa – powiedziałem. – Nie będziemy jej teraz ubierać do sesji sadomaso.

Odstawiłem colę i zacząłem myśleć. Groźby nie zrobiłyby żadnego wrażenia na Morganie, tylko uczyniły go jeszcze bardziej zdeterminowanym. To był jeden z czarujących skutków ubocznych posiadania sztywnej osobowości starej daty. Zdecydowałem się na cios poniżej pasa.

– Morgan, jesteś gościem w moim domu.

Posłał mi szybkie spojrzenie pełne skruchy.

– Przyszedłeś do mnie po pomoc, a ja staram się, jak mogę. Do diabła, ten dzieciak naraża się na niebezpieczeństwo, próbując cię chronić. Zrobiłem dla ciebie wszystko, co zrobiłbym dla własnej rodziny, bo jesteś moim gościem. Są potwory, które lepiej by się zachowały, gdyby przyjęły moją gościnę. Co więcej, okazałyby mi wdzięczność.

Morgan jęknął. Potem gwałtownie odwrócił głowę od Molly i jednocześnie opuścił miecz. Stalowe ostrze z brzękiem opadło na cienki dywan.

Morgan rozciągnął się bezwładnie na podłodze, a Molly osunęła się, unosząc rękę do szyi.

Zaczekałem, aż Anastasia usiądzie, i rzuciłem jej ręcznik przyniesiony z kuchni. Ona złapała go i z obojętną miną zaczęła wycierać sobie szyję. Myszek jest dużym psem, ale musi mocno popracować nad niekontrolowanym wyciekami śliny.

– Zgaduję, że znowu omal nie doszło do przemocy – powiedziałem. – I Myszek musiał interweniować.

– Ona po prostu tu weszła i go zobaczyła – zaprotestowała Molly.

Skierowałem wzrok na Luccio.

– A ty co zrobiłaś?

– Oślepiła mnie, a potem uderzyła – zrelacjonowała spokojnie Anastasia. Wytarła ręcznikiem nos. Pod jedną dziurką miała zaschnięta krew, ale pocięło jeszcze trochę świeżej. A więc nie odstawiali tej scenki zbyt długo. Luccio zmierzyła Molly wzrokiem i dodała: – Uderzyła mnie jak dziewczyna. Na litość boską, dziecko, w ogóle nie przeszłaś szkolenia bojowego?

– Było dużo materiału do przerobienia – rzuciłem burkliwie. – Naprawdę cię oślepiła?

– Nie na stałe – odezwała się Molly, z ponurą miną masując lewą ręką kostki prawej. – Ja... tylko zasłoniłam wszystko, co nie było nią.

– Niepotrzebnie skomplikowany sposób – skomentowała Anastasia sztywno.

– Może dla ciebie – powiedziała Molly obronnym tonem. – Poza tym, kto wylądował na ziemi po ciosie?

– Jesteś czterdzieści funtów cięższa ode mnie – zauważyła Luccio.

– Jędzo, wiem, że powiedziałaś to specjalnie – najeżyła się Molly i z zaciśniętymi pięściami zrobiła krok do przodu.

Myszek westchnął i dźwignął się na nogi.

Molly zamarła, patrząc na niego czujnie.

– Dobry pies. – Podrapałem go za uchem.

Myszek zamerdał ogonem, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

– Musiałam ją powstrzymać – oświadczyła Molly. – Zamierzała donieść na Morgana Strażnikom.

– Dlatego zaatakowałaś ją magicznie i fizycznie – dopowiedziałem.

– A jaki miałam wybór?

Spojrzałem na Morgana.

– A ty zwlokłeś się z łóżka, w którym miałeś leżeć, chwyciłeś pierwszą ostrą rzecz, jaka ci się nawinęła, i obroniłeś Luccio.

Morgan popatrzył na mnie ze znużeniem.

– Oczywiście.

Westchnąłem i przeniosłem wzrok na Anastasię.

– Ty uznałaś, że twoje jedyne wyjście to najpierw załatwić ich oboje, a resztą zająć się później, ale Myszek cię powstrzymał.

Anastasia westchnęła.

– Trzeba było opanować sytuację, Harry.

Łypnąłem na Myszka.

– A ty wzięłaś Anastasię jako zakładniczkę, żeby Morgan nie skrzywdził Molly.

Pies zwiesił łeb.

– Nie mogę uwierzyć, że zaraz to powiem, więc naprawdę dobrze się nad sobą zastanówcie. Przyszło wam kiedyś do głowy, żeby porozmawiać, kiedy macie jakiś problem?

Te słowa nikomu nie sprawiły przyjemności, tak że posłali mi spojrzenia o różnym stopniu irytacji wymieszanej z zawstydzeniem.

Z wyjątkiem Myszka, który powiedział:

– Hau.

– Przepraszam – zreflektowałem się. – Uwaga nie dotyczy czworonożnego, niemówiącego towarzystwa.

– Ona zamierzała iść do Strażników – poskarżyła się Molly. – Gdyby to zrobiła, zanim udowodnimy, kto naprawdę zabił LaFortiera, wszyscy znaleźlibyśmy się w tarapatkach.

– Właściwie to prawda – przyznała Anastasia.

Popatrzyłem na nią. Luccio wstała i przeciągnęła się z lekkim grymasem bólu.

– Założyłam, że Morgan zwerbował twoją praktykantkę, żeby pomogła mu w ucieczce – wyjaśniła. – I że się ciebie pozbyli.

Sapnąłem z irytacją.

– Dlaczego, do diabła, coś takiego włożyłaś?

Anastasia zmierzyła mnie wzrokiem.

– A po co Morgan miałby uciekać do domu akurat tego maga z Rady, który miał najwięcej powodów, żeby go nie lubić? – odpowiedziała pytaniem. – Zdaje się, że twoje słowa brzmiały: „To byłoby szaleństwo”.

Skrzywiłem się.

– Hm. Tak, ja...

– Okłamałeś mnie – dodała Luccio.

Większość ludzi pewnie nie zwróciłaby uwagi na nutę gniewu i bólu w jej głosie ani na ledwo słyszalne pauzy między kolejnymi słowami. Ja widziałem w jej oczach dużo więcej. Odwróciłem wzrok.

Ciszę, która zapadła w pokoju, przerwał Morgan cichym, załamany głosem:

– Co?

Jego twarda, surowa twarz poszarzała. Wykrzywił ją grymas szoku i zaskoczenia jak u małego dziecka, które po raz pierwszy odkryło bolesne konsekwencje grawitacji.

– Ana, ty myślisz, że ja... – Niemal dławił się słowami. – Jak mogłaś pomyśleć, że ja...?

Odwrócił twarz. To nie mogła być łza. Morgan nie uroniłby łzy, nawet gdyby musiał wykonać egzekucję na własnej matce.

Ale przez ułamek sekundy coś zalśniło na jego policzku.

Anastasia wstała i podeszła do Morgana. Uklękła i położyła dłoń na jego głowie.

– Donaldzie, już byliśmy zdradzani przez tych, którym ufaliśmy – powiedziała łagodnie. – To nie byłby pierwszy raz.

– Oni to oni, a ja to ja – wyszeptał Morgan, nie patrząc na nią.

Luccio pogłaskała go po włosach.

– Ani przez chwilę nie sądziłam, że zrobiłeś to z własnej woli, Donaldzie. Pomyślałam, że ktoś dostał się do twojego umysłu. Albo wziął zakładnika, żeby zapewnić sobie twoją współpracę. Cokolwiek.

– Niby kogo wzięliby na zakładnika? – rzucił Morgan gorzkim tonem. – Nie ma takiej osoby. I dobrze o tym wiesz.

Anastasia westchnęła i zamknęła oczy.

– Znasz jego osłony – ciągnął Morgan. – Już przez nie przechodziłaś. Często. Teraz też otworzyłaś drzwi w ciągu sekundy. Masz klucz do jego mieszkania.

Luccio nie odpowiedziała.

– Jesteś związana z Dresdenem. – Ton Morgana był bezbarwny.

Anastasia zamrugła kilka razy.

– Donaldzie...

Spojrzał na nią oczami bez śladu łez czy bólu, ale bardzo zmęczonymi.

– Nie. Ani się waż.

Anastasia spojrzała mu w oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego cierpienia na jej twarzy.

– Masz gorączkę. Donaldzie. Powinieneś leżeć w łóżku. Proszę.

Morgan położył głowę na dywanie i zamknął oczy.

– To nie ma znaczenia.

– Donaldzie...

– To nie ma znaczenia – powtórzył apatycznie.

Anastasia zaczęła cicho płakać. Siedziała obok Morgana i głaskała go po skołtunionych srebrno-brązowych włosach.

* * *

Godzinę później Morgan leżał w łóżku znowu nieprzytomny. Molly zniknęła w laboratorium na dole i udawała, że pracuje nad miksturami. Ja siedziałem w tym samym miejscu z pustą puszką po coli w ręce.

Anastasia wyszła z sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie plecami.

– Kiedy go zobaczyłam, pomyślałam, że przyszedł tutaj, żeby zrobić ci krzywdę – wyznała. – Że dowiedział się o nas.

– Ty i Morgan? – zapytałem.

Anastasia milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– Nigdy nie pozwoliłam, żeby do czegoś między nami doszło. To byłoby nie fair wobec niego.

– Ale on tego chciał – stwierdziłem.

Anastasia potaknęła.

– Na dzwony piekiel! – rzuciłem z westchnieniem.

Luccio złożyła ręce na brzuchu, nie podnosząc wzroku.

– A z twoją praktykantką było inaczej, Harry?

Molly nie zawsze była nowicjuską. Kiedy zostałem jej mentorem, uznała, że będę ją uczył różnych rzeczy niemających nic wspólnego z magią, a wiążących się z nagością. I wcale by jej to nie przeszkadzało.

Mnie natomiast tak.

– Nie bardzo – przyznałem. – Ale on nie jest twoim uczniem już od bardzo, bardzo dawna.

– Zawsze uważałam, że romantyczne zaangażowanie to słabość, na którą nie mogę sobie pozwolić. Nie na moim stanowisku.

– Zdaje się, że nie zawsze tak było – skomentowałem.

Anastasia wolno wypuściła powietrze z płuc.

– Stosowanie tej zasady przychodziło mi łatwiej w moim dawnym ciele. Było starsze. Bardziej odporne na...

– Życia? – podsunąłem.

Wzruszyła ramionami.

– Pożądanie. Samotność. Radość. Ból.

– Życia – powtórzyłem.

– Może. – Na chwilę zamknęła oczy. – Kiedy byłam młoda, upajałam się miłością, Harry. Namiętnością. Nowymi odkryciami, eksperymentami i życiem. Nie zdawałam sobie sprawy, ile z tego zapomniałam. – Spojrzała na mnie zboląłym wzrokiem. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak mi tego brakowało, póki ty mi nie przypomniałeś. A wtedy Morgan jeszcze nie... Był taki jak ja kiedyś. Niezaangażowany.

– Innymi słowy, wzorował się na swojej mentorce. Upodobił się do ciebie i dlatego po twojej przemianie nie potrafił dać ci tego, czego pragnęłaś.

Anastasia pokiwała głową.

– Sto lat to dużo czasu, żeby kochać bez wzajemności – stwierdziłem.

– Wiem. I nigdy nie chciałam go zranić. Musisz mi uwierzyć.

– W takiej sytuacji mówi się: „Serce nie sługa”.

– Banał, ale mimo wszystko prawdziwy. – Anastasia oparła się prawym ramieniem o drzwi, stając twarzą do mnie. – Powinniśmy porozmawiać o nas.

Bawiłem się puszką coli.

– Najpierw musimy porozmawiać o Morganie i LaFortierze – powiedziałem.

Anastasia westchnęła.

– Tak.

– Co zamierzasz zrobić? – spytałem.

– On jest poszukiwany przez Radę, Harry – przypomniała Anastasia łagodnym głosem. – Nie wiem, jak udało mu się umknąć przed zakłęciami tropiącymi, ale wcześniej czy później go znajdą, za parę godzin albo dni. A wtedy ty i Molly też zostaniecie oskarżeni. Oboje umrzecie razem z nim. – Wzięła głęboki oddech. – A jeśli ja teraz nie pójdę do Rady z tym, co wiem, stanę obok was.

– Tak.

– Naprawdę uważasz, że on jest niewinny? – spytała Anastasia.

– Zabójstwa LaFortiera tak.

– Masz dowód?

– Znalazłem ich dość, by wiedzieć, że mam rację, ale nie dość, żeby go oczyścić.

– Jeśli to nie Morgan, zdrajca nadal chodzi wolno – zauważyła Anastasia.

– Tak.

– Prosisz mnie, Harry, żebym przestała ścigać podejrzanego, którego obciążają mocne dowody, a zaczęła się uganiać za jakimś cholernym duchem. Za człowiekiem, którego istnienia nawet nie potrafimy udowodnić, nie mówiąc o zidentyfikowaniu go. W dodatku ryzykuję twoje życie, życie twojej praktykantki i swoje własne, jeśli tego ducha nie znajdziemy w porę.

– Tak. Właśnie tak.

Anastasia pokręciła głową.

– Wszystko, czego nauczyłam się jako Strażniczka, przemawia za tym, że Morgan jest winny.

– Co prowadzi nas z powrotem do pytania: co zamierzasz zrobić?

Cisza się przedłużała.

Anastasia odsunęła się od drzwi i usiadła na krześle stojącym naprzeciwko kanapy.

– No dobrze – powiedziała. – Opowiedz mi wszystko.

– Nie na tym polega dyplomacja – stwierdziła Anastasia, kiedy podjeżdżaliśmy pod Château Raith.

– Teraz jesteś w Ameryce – przypomniałem. – Nasze wyobrazenie o dyplomacji to pistolet w jednej ręce, kanapka w drugiej i pytanie, co wolisz.

Anastasia skrzywiła się.

– Masz kanapkę?

– A do kogo ja jestem podobny, Kissingerze?

Byłem już wcześniej w Château Raith, ale zawsze w nocy albo co najmniej o zmierzchu. Ogromna posiadłość znajdowała się ponad godzinę jazdy od Chicago i stanowiła siedzibę klanu Raith, obecnego rodu panującego Białego Dworu. Samą rezydencję otaczało co najmniej pół mili starego lasu, przerobionego na niemal idylliczny ogród z rodzaju tych, jakie czasami widuje się w bardzo starych europejskich majątkach. Dominowały w nim ogromne drzewa i równo przystrzyżona trawa z kwitnącymi tu i ówdzie roślinami, podejrzenie symetrycznie rozmieszczonymi pośrodku złotych snopów słońca, które w regularnych odstępach przeświecało przez listowie.

Wysoki płot zwieńczony drutem kolczastym, z zewnątrz trudno widocznym, był podłączony do prądu i naszpikowany kamerami, które monitorowały każdy skrawek terenu.

Nocą posiadłość sprawiała upiorne wrażenie. W jasne słoneczne popołudnie wyglądała po prostu... ładnie. Bardzo, bardzo bogato i bardzo, bardzo ładnie. Podobnie jak sami Raithowie, Château budziło dreszcz grozy tylko w określonych porach.

Kiedy wysiedliśmy z taksówki, uprzejmy ochroniarz o wyglądzie byłego wojskowego wpuścił nas od razu. Przeszliśmy przez bramę i ruszyliśmy podjazdem przez mały Sherwood, aż dotarliśmy do właściwego Château.

– Jej ludzie są dobrzy? – zapytała Anastasia.

– Na pewno czytałaś akta.

– Tak – przyznała, kiedy zaczęliśmy wchodzić po schodach. – Ale wolałabym usłyszeć twoją własną ocenę.

– Są dużo lepsi, odkąd Lara zajęła się ich werbowaniem. Nie sądzę, żeby nadal się nimi karmiono i w ten sposób utrzymywano kontrolę.

– A na czym opierasz to spostrzeżenie?

Wzruszyłem ramionami.

– Na tym, co było przedtem i co jest teraz. Ostatni zaciąg mięśniaków był... zupełnie bez kontaktu. Gotowi umrzeć na rozkaz, ale niezbyt bystrzy. Ładni i puści. Bardzo puści. – Wskazałem za siebie. – Tamten gość przy bramie miał pod ręką gazetę. I jadł lunch, kiedy się zjawiliśmy. Jego poprzednicy po prostu stali jak napakowane manekiny. Założę się, że ci obecni to głównie byli wojskowi. Twardziele, a nie dzieciaki po elitarnych szkołach.

– Oficjalnie są niesprawdzeni – orzekła Anastasia.

– A może Lara jest dostatecznie sprytna, żeby się nimi nie chwalić, póki nie będzie musiała ich użyć.

– Oficjalnie ona też jest niesprawdzona – powiedziała Anastasia.

– Nie widziałaś, jak dwoma nożami zabija superghoule w czasie puczu w Białym Dworze. – Zastukałem laską w drzwi i poprawiłem szary płaszcz. – Wiem, że moje zdanie nie jest szanowane przez starą gwardię Strażników, ale uwierz mi, Lara Raith jest bystrą i groźną suką.

Anastasia pokręciła głową ze słabym uśmiechem.

– A jednak tu jesteś, żeby przystawić jej pistolet do głowy.

– Liczę na to, że jeśli zastosujemy pewną presję, coś z niej wydobędziemy. Nie mam dużego wyboru ani czasu na działanie inne niż bezpośrednie.

– Cóż, przynajmniej wykorzystujesz swoje zdolności – skomentowała Anastasia.

Drzwi otworzył mężczyzna po trzydziestce, krótko ostrzyżony, o kwadratowej szczęce. Miał na sobie beżowy sportowy garnitur, kaburę pod pachą i prawdopodobnie kevlarową kamizelkę pod białym podkoszulkiem. Jakby to nie wystarczało, na nylonowym pasie przewieszonym przez ramię dyndał groźnie wyglądający nieduży pistolet maszynowy.

– Proszę pana, proszę pani – powitał nas z uprzejmym ukłonem. – Mogę wziąć państwa płaszcze?

– Dziękuję, ale one są częścią umundurowania – powiedziała Anastasia. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby mógł pan zaprowadzić nas prosto do pani Raith.

Ochroniarz skinął głową.

– Zanim skorzystacie państwo z gościny, poproszę was o danie słowa, że przychodzicie w dobrej wierze i w czasie pobytu w tym domu nie dopuścicie się przemocy.

Anastasia już otwierała usta, jakby zamierzała się zgodzić, ale ja wystąpiłem krok przed nią i rzuciłem twardo:

– Do diabła, nie.

Ochroniarz zmrużył oczy. Wyglądał teraz na mniej zrelaksowanego.

– Słucham?

– Idź i powiedz Larze, że nadal pozostaje kwestią dyskusji, czy rozbijemy ten dom w drzazgi i drobny mak. Przekaż jej, że na podłodze już jest krew i na jej rękach również. Jeśli chce mieć szansę oczyścić atmosferę, niech ze mną porozmawia. Jeśli nie przyjdzie, wystarczy to za odpowiedź, że zgadza się na konsekwencje.

Strażnik gapił się na mnie przez kilka sekund.

– Ma pan o sobie wysokie mniemanie – stwierdził w końcu. – Wie pan, gdzie się pan znajduje?

– Tak. W strefie zero.

Cisza się przedłużała, ale on mrugnął pierwszy.

– Przekażę jej pańskie słowa. Proszę tu zaczekać.

Kiwnąłem głową, a on oddalił się w głąb rezydencji.

– Strefa zero? – szepnęła Anastasia kącikiem ust. – Trochę melodramatycznie, nie uważasz?

Odpowiedziałem jej w podobny sposób:

– Zamierzałem wyskoczyć z tekstem: „Trzy stopy od miejsca, gdzie znajdują twoje ciało”, ale uznałem, że byłoby to zbyt osobiste. On po prostu wykonuje swoją robotę.

Anastasia pokręciła głową i spytała:

– Z jakiego powodu nie może to być grzeczna wizyta?

– Lara jest najbardziej niebezpieczna, kiedy wszyscy są grzeczni – wyjaśniłem. – Ona to wie. Nie chcę, żeby czuła się swobodnie. Łatwiej będzie uzyskać od niej odpowiedzi, trzymając ją w napięciu, że w każdej chwili może się rozpętać piekło.

– A nam łatwiej byłoby ją wypytać, gdybyśmy nie martwili się o to samo – zauważyła Anastasia. – Ona ma tutaj przewagę. Na przykład na ścianach po obu naszych stronach widać świeżą farbę.

Sprawdziłem. Miała rację.

– I co z tego?

– Gdybym to ja szykowała się do obrony tego miejsca przed zagrożeniem zbyt dużym, żeby walczyć z nim bezpośrednio, rozmieściłabym w ścianach miny przeciwpiechotne podłączone do prostego detonatora i zamaskowała je tynkiem.

Na własne oczy widziałem, co potrafi zrobić z ludzkim ciałem mina przeciwpiechotna. Nie był to ładny obrazek. Wyobraźcie sobie, co zostałoby z wiewiórki skoszonej serią z pistoletu maszynowego. Podobnie się dzieje, kiedy człowiek trafia na minę wypełnioną stalowymi kulkami wielkości gumy do żucia.

Jeszcze raz przyjrzałem się ścianom.

– Przynajmniej miałem rację – stwierdziłem. – Strefa zero.

Anastasia uśmiechnęła się słabo.

– Po prostu sobie pomyślałam, że wspomnę o tej możliwości. Jest cienka linia między odwagą a głupotą.

– Jeśli Lara uzna, że grozi jej niebezpieczeństwo, może już teraz je zdetonować – powiedziałem. – Samoobrona wyprzedzająca.

– Hmm. Ulubiona metoda rozprawiania się z zawodowcami. Nakaz gościnności ochroniłby ją przed nami w takim samym stopniu jak nas przed nią.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jej słowami, a na koniec pokręciłem głową.

– Jeśli będziemy spokojni i uprzejmi, ona nic nam nie powie. I nie zabije nas. Póki nie zorientuje się, co wiemy.

Anastasia wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Ty miałeś do czynienia z tą bystrą, przerażającą suką częściej niż ja.

– Przekonamy się za minutę.

Minutę później wrócił ochroniarz.

– Tędy, proszę – powiedział.

Idąc za nim, wszędzie widzieliśmy bogactwo i przepych. Podłogi ze szlachetnego drewna. Rzeźbiona stolarka na zamówienie. Posągi. Fontanny. Zbroje. Oryginalne obrazy, w tym jeden Van Gogh. Witrażowe okna. Służba w liberiach. Przez cały czas się spodziewałem, że zaraz trafimy na stado pawi paradujących po salach albo oswojonego geparda w obroży wysadzonej diamentami.

Po solidnym marszu dotarliśmy do skrzydła domu, które najwyraźniej przerobiono na część biurową. W boksach pracowało kilka osób o profesjonalnym wyglądzie. W tle rozbrzmiewał dzwonek telefonu. Szumiały kopiarki. Radio grało soft rocka.

Minęliśmy biuro i pomieszczenie socjalne, w którym pachniało świeżą kawą. Na końcu krótkiego korytarza znajdowały się podwójne drzwi. Gdy strażnik otworzył jedną ich połowę, weszliśmy do poczekalni, w której siedziała za biurkiem młoda kobieta o oszałamiającej urodzie.

Justine miała na sobie konserwatywny szary kostium, a jej białe włosy były zebrane w koński ogon. Na nasz widok wstała z uprzejmym, bezosobowym uśmiechem uczestniczki konkursu piękności.

– Proszę pani, proszę pana. Pani Raith czeka.

Podeszła do drzwi znajdujących się za jej biurkiem, zapukała raz, uchyliła je odrobinę i zaanonsowała:

– Przyszli Strażnicy, pani Raith.

Ze środka dobiegł cichy kobiecy głos. Justine otworzyła drzwi szerzej i przytrzymała je nam z uśmiechem.

– Kawy? Coś innego do picia?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Anastasia.

Justine starannie zamknęła za nami drzwi.

Gabinet Lary Raith miał kilka rzeczy wspólnych z biurem Evelyn Derek.

Takie same drogie meble – choć tutaj styl był bardziej wystawny, raczej ciemne drewno niż szkło – taka sama klarowność funkcji. Ale na tym podobieństwa się kończyły. Gabinet Lary służył do pracy. W rogu biurka leżała starannie ułożona poczta. Swoje miejsce miały na nim teczki i koperty, pióro i zestaw atramentów. Przy ścianie znajdował się blat roboczy. Pomieszczeniu zagrażała papierowa anarchia, ale utrzymywano w nim wzorowy porządek.

Za biurkiem siedziała Lara Raith, faktyczna władczyni Białego Dworu. Miała na sobie biały jedwabny kostium. Elegancki i skrojony idealnie na jej figurę, ostro kontrastował z długimi granatowoczarnymi włosami, które falami opadały na plecy. Klasyczne rysy miały w sobie nieśmiertelne piękno greckich posągów, niezwykła uroda harmonijnie łączyła się z siłą, inteligencją i przenikliwością. Oczy o głębokim, ciepłym odcieniu szarości były okolone gęstymi, smolistymi rzęsami, a samo patrzenie na pełne, miękkie usta sprawiło, że moje wargi zadrżały i zaczęły mrowić, jakby domagały się przedstawienia wargom Lary.

– Strażnik Dresden, Strażnik Luccio – powiedziała gospodyni głosem kojącym i melodyjnym. – Siadajcie, proszę.

Nie musiałem nawet wymienić spojrzeń z Anastasią. Oboje po prostu staliśmy bez ruchu, z laskami w rękach.

Lara odchyliła się na oparcie krzesła, a na jej wargach zatańczył drobny, złośliwy uśmiezek, który nie dotarł do oczu.

– Rozumiem. Próbujecie mnie zastraszyć. Wyjaśnicie mi, o co chodzi, czy muszę zgadywać do trzech razy sztuka?

– Przestań udawać miłą, Laro – odezwałem się w końcu. – Twoja prawniczka Evelyn Derek wynajęła prywatnego detektywa, żeby mnie śledził i donosił o moich ruchach. Za każdym razem, kiedy się odwracałem, pojawiała się coś paskudnego i próbowało mnie atakować.

Uśmiech pozostał na miejscu.

– Prawniczka?

– Zajrzałem do jej głowy i znalazłem ślady Białego Dworu, łącznie z zakazem ujawniania, dla kogo pracuje.

– I sądzisz, że to moja sprawka? – zapytała Lara.

– W tych stronach? Dlaczego nie?

– Nie jestem jedynym członkiem Białego Dworu w tej części kraju, Dresden – przypomniała Lara. – I choć pochlebia mi, że masz o mnie takie wysokie mniemanie, inni z rodu nie kochają mnie aż tak bardzo, żeby radzić się w każdej kwestii.

W tym momencie do rozmowy włączyła się Anastasia.

– Ale bez pani zgody nie wciągaliby Białej Rady w tego rodzaju sprawę. – Uśmiechnęła się. – Zostałoby to uznane za podważanie autorytetu Białego Króla.

Lara przez chwilę przyglądała się jej badawczo.

– Widziałam, jak pani tańczyła w Neapolu, kapitan Luccio – wypaliła z uśmiechem. – To było... kiedy? Jakieś dwa wieki temu, plus minus kilka dekad? Była pani wyjątkowo utalentowana. Oczywiście przed... pani obecnym stanem.

Anastasia zmarszczyła brwi.

– Pani Raith, to nie ma związku z naszą sprawą.

– Ale mogłoby mieć – zamruczała Lara. – Po pani występie poszłyśmy na to samo przyjęcie. Wiem, jakim apetytom pani wtedy folgowała. – Jej usta ułożyły się w głodny uśmieszek, a pode mną raptem ugięły się kolana, kiedy zalała mnie fala czystego, irracjonalnego pożądania. – Może chciałaby pani przypomnieć sobie dawne czasy.

Równie szybko żądza zniknęła.

Anastasia wzięła głęboki wdech.

– Jestem za stara, żeby bawiły mnie takie wygłupy, pani Raith – odpowiedziała spokojnie. – I zbyt inteligentna, by uwierzyć, że pani nie wie, co się dzieje w Chicago.

Kilka sekund zajął mi powrót z miejsc, w które wysłała mnie Lara, ale udało mi się wykrztusić:

– Wiemy, że współpracujesz z kimś z Rady. Chcę, żebyś nam powiedziała, kto to jest. I chcę, żebyś uwolniła Thomasa.

Wzrok Lary w końcu przesunął się na mnie.

– Thomasa?

Oparłem się na lasce i przyjrzałem uważnie jej twarzy.

– Thomasowi udało się ostrzec mnie o płatnym zabójcy, którego wysłała Evelyn Derek, ale zaraz potem zniknął. Nie odpowiada na telefony, w salonie też nikt go nie widział.

Spojrzenie Lary na chwilę stało się nieobecne, a na jej gładkim czole pojawiła się zmarszczka.

– To wszystko, co masz, Dresden? Wyblakły psychiczny ślad, że ktoś z mojego rodu manipulował tą prawniczką, i rzekome zaginięcie mojego braciszka? Właśnie ten tok rozumowania cię tutaj przywiódł?

– W tej chwili tak. – Po sporej dawce prawdy wtrąciłem małe kłamstwo. – Ale kiedy pójdziemy tropem pieniędzy i dotrzemy do ich źródła, upewnimy się, że jesteś zamieszana w sprawę. A wtedy już nie będzie odwrotu.

Lara zmrużyła oczy.

– Nic nie znajdziecie – oświadczyła twardym, zimnym tonem. – Bo nic się nie dzieje.

Aha, więc trafiłem w czuły punkt. Zwiększyłem presję.

– Daj spokój, Laro. Ty wiesz i ja wiem, w jaki sposób ty i twoi ludzie prowadzicie interesy. Przez pełnomocników, pośredników i słupy. Nie możesz oczekiwać, że ci uwierzę, kiedy mówisz, że nie bierzesz w tym wszystkim udziału.

Lara wstała. Jej oczy zmieniły kolor z głębokiej szarości na jaśniejszy, bardziej metaliczny odcień.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, w co wierzysz, Dresden. Nie mam pojęcia, jakie dowody, twoim zdaniem, odkryłeś, ale nie jestem zamieszana w żadne wewnętrzne sprawy Białej Rady. – Uniosła brodę i posłała nam drwiący uśmiech. – W przeciwieństwie do tego, co się wam wydaje, świat jest dużo większy niż Biała Rada Magii. Nie jesteście znaczącą siłą w dzisiejszej rzeczywistości, tylko smętnym stadem żyjących iluzjami mamutów, których pyszałkowata gadanina dorównuje obłudnym działaniom.

Cóż, nie mogłem się sprzeczać z tą diagnozą, ale oczy Anastasii zmrużyły się niebezpiecznie.

Lara oparła dłonie na biurku i mówiła dalej, precyzyjnie odmierzając słowa:

– Myślicie, że możecie tak po prostu wejść do mego domu, wydawać rozkazy i grozić. Świat się zmienia, Strażnicy. Ale Rada nie zmienia się razem z nim. To tylko kwestia czasu, kiedy zawali się pod własnym ciężarem. Taka arogancja jedynie...

Urwała nagle i odwróciła się do okna z lekko przechyloną głową.

Wymieniłem spojrzenia z Anastasią.

Chwilę później zgasły światła.

Od razu włączyło się czerwone oświetlenie awaryjne, choć akurat w gabinecie nie było potrzebne. Kilka sekund później z głośników zamontowanych na ścianie dobiegło natarczywe dzwonienie.

Odwróciłem wzrok od jednego z nich i zobaczyłem, że Lara wpatruje się we mnie intensywnie.

– Co się dzieje? – spytałem.

Jej oczy rozszerzyły się lekko.

– Nie wiesz?

– Skąd, do diabła, miałbym wiedzieć? – wyburczałem zirytowany. – To twój głupi system alarmowy!

– A więc to nie twoja sprawka. – Lara zgrzytnęła zębami. – Cholera jasna!

Znowu odwróciła głowę do okna. Tym razem wszyscy usłyszeliśmy przenikliwy, agonalny krzyk człowieka.

W następnej chwili wyczułem przyprawiające o mdłości wibracje zła w powietrzu, straszliwe wrażenie obecności czegoś prastarego i nikczemnego. Skórozmiennego.

– Atakują nas – warknęła Lara. – Chodźcie ze mną.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju zajrzała Justine. Oczy miała szeroko otwarte.

– Pani Raith?

– Stan bezpieczeństwa? – zapytała Lara spokojnym głosem.

– Nieznany. – Justine oddychała trochę za szybko. – Włączył się alarm, zadzwoniłam do pana Jonesa, ale radio nie działa.

– Hexy – stwierdziłem. – Pewnie większość waszej elektroniki padła. To skórozmienny.

Lara odwróciła się i popatrzyła na mnie twardo.

– Jesteś pewien?

Anastasia pokiwała głową i dobyła miecza.

– Ja też to czuję.

– Co on potrafi? – spytała Lara.

– Wszystko to, co ja, tylko lepiej – odpowiedziałem. – To zmiennokształtny. Bardzo szybki, bardzo silny.

– Można go zabić?

– Tak. Ale pewnie jest na tyle bystry, żeby uciec.

Lara zmrużyła oczy.

– Ta istota napadła na mój dom i skrzywdziła moich ludzi. – Odwróciła się i z umiarkowaną siłą wbiła pięść w drewniany panel ścienny. Za nim w niszy wisiały na stojaku dwa ciężkie miecze z płomienistą główką i pistolet maszynowy, coś w rodzaju małego uzi. Lara zrzuciła drogie buty i żakiet i zaczęła przypasywać broń. – Justine, ilu naszych jest w domu?

– Cztery osoby, łącznie z panią – odpowiedziała bez wahania asystentka. – Pani siostry Elisa i Natalia i kuzynka Madeline.

Lara pokiwała głową.

– Strażnicy, jeśli nie macie nic przeciwko temu, żeby na razie odłożyć

nasz spór, uznam to za osobistą przysługę.

– Do diabła! – warknąłem. – Ta istota zabiła jednego z moich przyjaciół.

Lara spojrzała na naszą dwójkę.

– Proponuję czasowy sojusz przeciwko intruzowi.

– Zgoda – rzuciła krótko Anastasia.

– Chyba nie ma innego wyjścia – stwierdziłem.

Z korytarzy, z paru różnych miejsc dobiegły liczne wystrzały z broni maszynowej. Po nich nastąpiły kolejne wrzaski.

– Justine, idź za mną – powiedziałem, wyciągając rękę.

Dziewczyna mojego brata posłuchała mnie skwapliwie, z twarzą pełną napięcia, ale opanowaną.

Anastasia zajęła pozycję po mojej prawej stronie, a Lara tuż za mną po lewej. Kiedy poczułem zapach jej perfum, zalała mnie fala takiego pożądania, że miałem ochotę ją ugryźć.

– On jest szybki i twardy – uprzedziłem. – I sprytny. Ale nie niezniszczalny. Uderzymy z kilku stron jednocześnie i przepędzimy go.

Huknął wystrzał ze strzelby, znacznie bliżej nas niż wcześniejszy ogień maszynowy.

Zaraz potem rozległy się odgłosy, jakby coś ciężkiego rąbnęło kilka razy w ściany i podłogę.

Psychiczny odór skórozmiennego nagle zgęstniał.

– Nadchodzi! – ostrzegłem.

Ledwo skończyłem mówić, do pokoju sekretarki wpadł skórozmienny, poruszając się szybciej niż drzazgi z roztrzaskanych przez niego drzwi. Okryty zasłoną był jedynie zamazaną plamą w powietrzu.

Uniosłem tarczę, skupiłem się i wypełniłem drzwi do gabinetu Lary niewidzialną siłą. Skórozmienny uderzył w barierę z całym impetem. Tarcza wytrzymała – ledwo – ale w zderzenie poszło tyle energii, że z bransolety uniosły się smużki dymu, a skóra na nadgarstku się osmałiła. Odrzut przesunął mnie o stopę w tył.

Energia osłony skórozmiennego weszła w konflikt z energią mojej tarczy, tak że obie wykasowały się nawzajem i przez sekundę napastnik był widoczny jako niezwykle wysoki, chudy, kudłaty, z grubsza humanoidalny

stwór o skołtunionych złotych włosach i ponadwymiarowych przednich kończynach, zakończonych długimi pazurami.

Gdy zapora runęła, Anastasia wycelowała palec w skórozmiennego i wysyczała jakieś słowo. Z palca wystrzelił oślepiająco jasny promień światła nie grubszy od włosa. Był to magiczny ogień, podobny do mojego, ale dużo bardziej intensywny, skoncentrowany i skuteczny. Płomień musnął lewe ramię stwora i w tym miejscu futro się spaliło, ciało zagotowało, pokryło pęcherzami i szerniało.

Skórozmienny śmignął do wyjścia jak błyskawica i zniknął, zostawiając po sobie tylko dymiący punkcik w drogiej boazerii, którą był wyłożony pokój sekretarki.

Wycelowałem laskę w drzwi, Lara zrobiła to samo strzelbą. Przez jakieś dziesięć sekund panowała całkowita cisza.

– Gdzie to coś się podziało? – wysyczała Lara.

– Uciekł? – podsunęła Justine. – Może przestraszył się, kiedy Strażniczka Luccio go zraniła.

– Nie – powiedziałem. – On jest bystry. Teraz szuka lepszego sposobu, żeby nas dopaść.

Powiodłem wzrokiem po gabinecie, starając się myśleć jak wróg.

– Zastanówmy się. Gdybym ja był zmiennokształtną maszyną do zabijania, jak bym się tutaj dostał?

Wybór był ograniczony. Przed sobą mieliśmy drzwi, za sobą okno. Odwróciłem się do okna, nie przestając się rozglądać. Panowała cisza, nie licząc szumu klimatyzacji, tłoczącej powietrze z...

Z kanałów wentylacyjnych.

Wsunąłem laskę w duży nawiewnik zasłonięty zwykłą stalową kratą ze szczelkami, zebrałem siłę woli i krzyknąłem:

– *Fulminos!*

Niebieskobiąta włócznia oślepijącego blasku i żaru wystrzeliła z laski i uderzyła w przewód wentylacyjny. Metal wchłonął elektryczność, ze środka dobiegł dziwny, swiergotliwy wrzask, osłona wyleciała w powietrze, a za nią zamazany, niewyraźny kształt przypominający pytona. Pędząc na nas, węzowa postać rozmyła się i zmieniła w niskie, krępe, silne stworzenie,

które mogło być borsukiem albo rosomakiem.

To coś uderzyło Anastasię w pierś i powaliło ją na podłogę.

W przelocie dostrzegłem błysk żółtozłoty oczu rozjarzonych sadystyczną uciechą.

Odwróciłem się, żeby kopniakiem zrzucić napastnika z Anastasii, ale uprzedziła mnie Lara. Lufą pistoletu zdzieliła demona w bok, jakby wbijała szpunt w drewnianą beczkę, i jednocześnie nacisnęła spust.

Ogień i huk wypełniły pokój, skórozmienny pofrunął w bok. Odbił się od podłogi, przekręcił się w powietrzu i rozorał pazurami brzuch Justine. Spowolnwszy w ten sposób własny pęd, zręcznie wylądował na nogach i wyskoczył przez okno znajdujące się za biurkiem Lary.

Justine zachwiała się i wydała cichy okrzyk bólu.

Lara przez chwilę gapiła się na okno szeroko otwartymi oczami, a potem wyszeptała:

– Na puste niebo.

Odwróciłem się do Anastasii, ale ona odprawiła mnie z grymasem na twarzy. Chyba nie krwawiła. Podeszedłem więc do Justine, żeby ocenić jej rany. Na miękkiej skórze brzucha zobaczyłem sześć poziomych cięć, tak regularnych, jakby zrobiono je skalpelem. Leciąca z nich krew, ale nie sądziłem, żeby któreś uszkodziło narządy wewnętrzne albo tętnicę.

Chwyciłem porzucony żakiet Lary, złożyłem go pośpiesznie i przycisnąłem do brzucha Justine.

– Przytrzymaj go mocno – poleciłem. – Trzeba opanować krwawienie.

Justine zacisnęła i obnażyła z bólu zęby, ale kiwnęła głową i oburącz przycisnęła zaimprovizowany opatrunek do ran, a ja pomogłem jej wstać.

Lara przeniosła wzrok z Justine z powrotem na okno. Żrenice miała lekko rozszerzone.

– Pusta noc – powtórzyła. – Jeszcze nigdy nie widziałam tak szybkiej istoty.

Zważywszy na to, że sam byłem świadkiem, jak Lara pędzi na złamanie karku z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, uznałem, że wie, o czym mówi. Nigdy nie uda się nam dopaść tego stworzenia i przytrzymać na tyle długo, by je zabić.

Podszedłem do okna w nadziei, że gdzieś wypatrzę stwora, ale zobaczyłem jedynie nadlatującą kometa fioletowego ognia, przypuszczalnie dzięki uprzejmości skórozmiennego. Cofnąłem się, instynktownie zasłaniając lewą ręką, na której nosiłem bransoletę z tarcz. Ognisty młot eksplozji cisnął mnie na podłogę.

Usłyszałem ten sam co wcześniej niesamowity głos, drwiący i pełen jadu, a potem gdzieś pod nami coś huknęło.

– Znów jest w domu – stwierdziłem.

Podąłem rękę Anastasii, żeby pomóc jej wstać, ale kiedy zacząłem ciągnąć ją do góry, zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Natychmiast opuściłem ją z powrotem na podłogę.

– Nie mogę – wysapała, oddychając ciężko. – Mój obojczyk.

Zakląłem. Ze wszystkich prostych urazów, jakie istnieją, złamany obojczyk jest jednym z najbardziej bolesnych i osłabiających. Wiedziałem, że Anastasia już dzisiaj nie powalczy. Do diabła, nie mogła nawet wstać.

Podłoga pod moimi stopami nagle eksplodowała. Poczułem, że stalowy kabel owija mi się wokół kostki i ciągnie. Upadłem, a moje nozdrza wypełnił paskudny odór. Runąłem na coś, co złagodziło upadek, ale samo się rozpadło, tak że zjechałem jeszcze niżej. Hałas był ogłuszający. Potem nagle wyhamowałem, choć nie byłem pewien, gdzie jest góra, a gdzie dół. Uderzyło we mnie jednocześnie jakieś sto przedmiotów, wyciskając powietrze z płuc.

Leżałem oszołomiony przez kilka sekund, próbując sobie przypomnieć, jak się oddycha. Podłoga. Skórozmienny przebił się do mnie przez strop i ściągnął w dół... ale cały spadający gruz musiał z kolei przebić się przez podłogę, na której stał.

Raptem znalazłem się dwa piętra niżej, wśród tony rumowiska, i jakoś udało mi się przeżyć. Porozmawiajmy o szczęściu.

Nagle pod moimi plecami coś się poruszyło.

Gruz się przemieścił i zaczęło spod niego dochodzić ciche warczenie.

W panice próbowałem zmusić swoje skołowane ciało do ucieczki, ale zanim się zorientowałem, jak ono działa, z ruin wyskoczyło zdecydowanie za długie przedramię pokryte żółtym futrem. Szybciej, niż zdołalibyście powiedzieć „Harry Dresden”, palce zakończone pazurami zamknęły się ze

straszliwą siłą na moim gardle i odcięły mi powietrze.

Oto coś, czego nie wie mnóstwo ludzi: duszenie boli.

Najpierw jest potworny, miazdzący ból szyi, a po nim przychodzi fala gwałtownie rosnącego ciśnienia, którą się odbiera tak, jakby głowa rozpadała się od środka na małe kawałeczki. To wrażenie powoduje krew uwięziona w mózgu. Katusze wzmagają się i słabną wraz z biciem galopującego serca.

Nie ma znaczenia, czy jest się zabiedzoną supermodelką, czy napompowanym sterydami zawodowym zapaśnikiem, bo nie jest to kwestia siły ani woli, tylko zwykła fizjologia. Jeśli jesteś człowiekiem i musisz oddychać, wcześniej czy później mdlejesz. Właściwie zastosowany chwyt duszący zmieni cię z osobnika zadziornego w nieprzytomnego w ciągu czterech albo pięciu sekund.

Oczywiście, jeśli kat chce, żeby ofiara cierpiała bardziej, może ścisnąć słabiej i przedłużyć sprawę.

Pozwolę wam zgadnąć, co wołał skórozmienny.

Walczyłem, ale równie dobrze mogłem oszczędzić sobie wysiłku. Nie byłem w stanie się uwolnić. Stos gruzu uniósł się i zafalował, a skórozmienny wy dostał się z niego równie łatwo, jak arktyczny wilk wygrzebuje się ze swojego legowiska pod śniegiem. Koszmarnie długie ramiona zwisały mu poniżej kolan, więc kiedy ruszył korytarzem, starałem się opierać na rękach i kolanach, żeby uchronić kark przed pęknięciem pod moim własnym ciężarem.

Usłyszałem buty stukające o drewnianą podłogę. Skórozmienny wydał z siebie chichotliwe warczenie i niedbale uderzył moją głowę o ścianę. W oczach stanęły mi gwiazdy, świeży ból zaatakował moje zmysły. Poczułem, że frunę w powietrzu i ląduję w płątaniu rąk i nóg, które wydawały się połączone ze mną tylko w sensie technicznym.

Uniosłem zamroczony wzrok i zobaczyłem, że zza rogu wychodzi facet z budki przy bramie wjazdowej, trzymając przy ramieniu mały pistolet maszynowy. Policzek opierał się o kolbę, tak że lufa wskazywała na to, na czym był skupiony wzrok. Kiedy ujrzał skórozmiennego nieokrytego zasłoną, stanął jak wryty. Trzeba mu oddać, że nie zawahał się więcej niż ułamek sekundy, zanim otworzył ogień.

Kule pomknęły korytarzem, tak blisko mnie, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym ich dotknąć. Skórozmienny, plama złotego futra, rzucił się w bok, odbił od ściany i skoczył w górę, w locie zmieniając postać. I nagle po suficie w stronę ochroniarza sunął pajak wielkości średniego samochodu.

W tym momencie strażnik ponownie zrobił na mnie wrażenie. Odwrócił się błyskawicznie i uciekł za róg ścigany przez skórozmiennego.

– Teraz! – rozległ się okrzyk, kiedy pajak dotarł do skrzyżowania dwóch korytarzy.

Nagle ciszę rozdarł huk pioruna, błysnęło jaskrawe światło. Kule wbiły się w podłogę, ściany i sufit, w powietrzu zaczęły fruwać drzazgi z roztrzaskanego drewna.

Skórozmienny miauknął przeraźliwe z bólu i bezgranicznej wściekłości. Ogień maszynowy osiągnął grzmiące, szaleńcze crescendo.

Potem zaczęli krzyczeć ludzie.

Próbowałem dźwignąć się na nogi, ale ktoś przełączył korytarz na funkcję wirowania, tak że znowu upadłem. Nie poddawałem się jednak. Temu, kto sprawił, że hol zaczął się zachowywać jak suszarka w pralni samoobsługowej, musiało w końcu zabraknąć żetonów. Jakoś zdołałem uklęknąć, przytrzymując się ściany.

Usłyszałem za sobą ciche dźwięki. Nadal zamroczony odwróciłem głowę w stronę ich źródła i zobaczyłem trzy blade, smukłe postacie zeskakujące z dziury w stropie wybitej przez skórozmiennego. Pierwsza była Lara Raith. Zadarła spódnicę prawie do bioder i bezszelestnie wylądowała na podłodze w przysiadzie. Choć całkiem spokojna, wyglądała dziko i niebezpiecznie z mieczem w jednej ręce i pistoletem maszynowym w drugiej.

Pozostałe dwie kobiety też były wampirzycami. Ich blada skóra jaśniała niesamowitym pięknem, oczy błyszcząły jak wypolerowane srebrne monety.

Przypuszczałem, że to siostry, o których wspomniała Justine. Chyba zjawiłem się w środku nocy według czasu wampirów i wyrwałem parę osób z łóżek. Pierwsza siostra nie miała na sobie nic oprócz broni i srebrnych kolczyków, które lśniły w jednej brwi, jednym nozdrzu, dolnej wardze i sutkach. Jej ciemne włosy były ostrzyżone krótko przy skórze z wyjątkiem długiej grzywki, która zasłaniała jedno oko. Wampirzyca niosła dwa miecze o płomienistych głowniach, takie same jak ten Lary.

Druga była najwyższa z nich trzech i najbardziej umięśniona. Długie włosy miała potargane jak po śnie, a na sobie chyba męską koszulę zapiętą tylko na jeden guzik. W rękach ścisnęła siekiere o egzotycznym wyglądzie, naostrzoną od wklęsłej strony zamiast od wypukłej.

Bez widocznego sygnału wszystkie jednocześnie zaczęły się skradać. I było to prawdziwe, atawistyczne skradanie się, kocie ruchy urodzonych drapieżców. Kiedy Lara do mnie dotarła, zatrzymała się, spojrzała na moje obrażenia zimnymi srebrnymi oczami i wyszeptła:

– Zostań tu.

Nie ma problemu. To całkiem łatwe.

Krzyki ucichły wraz z ostatnią serią wystrzałów. Zza rogu, zataczając się, wyszedł ochroniarz. Krew zalała mu pół twarzy i skleiła włosy. W kurtce po lewej stronie było długie rozdarcie. Lewe ramię wisiało bezużyteczne, ale w prawej ręce mężczyzna nadal ścisnął broń maszynową. Kiedy dostrzegł trzy wampirzyce, zachwiał się i opadł na jedno kolano.

Lara zrobiła gest ręką i jej dwie siostry pobiegły dalej, a ona zbliżyła się do rannego.

– Co się stało?

– Trafiliśmy go – wybełkotał ochroniarz. – Trafiliśmy wiele razy, ale to nawet go nie spowolniło. Tamci nie żyją. Wszyscy nie żyją.

– Ty krwawisz – stwierdziła Lara. – Zostań tu i chroń maga.

– Dobrze.

Człowiek Lary albo miał niewiarygodne szczęście, albo był naprawdę dobry, skoro przeżył bezpośrednie starcie ze skórozmiennym. Przez chwilę gapiłem się na niego tępo, zanim mój otumaniony mózg wysłał sygnał ostrzegawczy. Nikt nie ma aż takiego szczęścia.

– Lara! – wykrztusiłem.

Ochroniarz odwrócił się błyskawicznie i zamachnął pistoletem maszynowym jak maczugą, celując w głowę Lary... ale ona ruszyła się w tej samej chwili, w której usłyszała moje ostrzeżenie, tak że zabrakło mu ułamka cala, żeby zdekapitować ją jednym ciosem. Wampirzyca rzuciła się w bok i przetoczyła po podłodze, kiedy drugie ramię napastnika wystrzeliło do przodu, jednocześnie wydłużając się i obrastając żółtym futrem. Jednak pazury zostawiły na jej kształtnym udzie potrójną linię cięć, a te od razu wezbrały krwią zbyt jasną i perłową jak na ludzką.

Skórozmienny rzucił się za nią w pościg. W biegu jego ciało rozrosło się, zmieniając w coś w rodzaju wielkiego niedźwiedzia z ogromnymi kłami. Bestia przytłoczyła Larę samą masą, zaczęła ją orać pazurami i kasać stalowymi zębiskami. Usłyszałem trzask łamanych kości, a potem wściekły wrzask. Wampirzyca przetoczyła się na plecy i nogami odepchnęła od siebie stwora z taką siłą, że pofrunął pod sufit i przebił go na wylot głową i barkami.

Lara opuściła nogi, długie, umięśnione i bardzo atrakcyjne, i wstała zgrabnie, trzymając jedną rękę przy boku. Jej skóra lśniła zimną, obcą mocą, oczy przybrały barwę czystej bieli. Przez chwilę patrzyła w sufit, powoli unosząc i prostując ramię.

Było złamane. Ale na moich oczach stercząca kość schowała się pod skórą, a zrobiona przez nią dziura powoli się zasklepiła, tak że dziesięć sekund później nikt by nie powiedział, że Lara została ranna.

Teraz skierowała na mnie puste białe oczy, wyrażające skoncentrowany, nagi głód. Choć nadal byłem otępiaty, przez chwilę czułem, że moje ciało odruchowo reaguje na jej żądze, ale silniejsza okazała się fala mdłości. Zwymiotowałem na elegancką podłogę, a moja głowa i szyja krzyczały przy tym z bólu.

Kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że wampirzyca podnosi upuszczoną broń. Niestety po ciosach skórozmiennego pistolet maszynowy był w stanie śpiączki. Lara odrzuciła go na bok i schyliła się po miecz. Zza pasa wyjęła drugi. Oddychała szybko, nie z wysiłku, tylko z czystego podniecenia, koniuszki jej piersi rysowały się wyraźnie pod przybrudzoną

bluzką. Powoli oblizwała wargi i powiedziała ewidentnie na mój użytek:

– Czasami rozumiem Madeline.

Gdzieś w pobliżu rozległ się kobiecy wrzask. Odpowiedział mu grzmiący lwi ryk. Krótkowłosa siostra wpadła na ścianę na przecięciu korytarzy i osunęła się po niej jak szmaciana lalka. Zza rogu dobiegły odgłosy walki i głośnie sapanie.

Potem zapadła cisza.

Chwilę później zza zakrętu wyłoniła się niewyraźna istota, wlokąca za włosy bezwładne ciało wampirzycy z siekierą. Zastona osłabła, tak że kiedy skórozmienny się zbliżył, mogliśmy dokładniej sobie obejrzeć jego raczej zwierzęcą niż ludzką postać. Zatrzymał się przed nami w odległości może dziesięciu stóp, po czym niedbale uniósł rękę nieprzytomnej kobiety do paszczy najeżonej kłami i, nie odrywając wzroku od Lary, spokojnie odgryzł jeden palec i go połknął.

Lara zmrużyła oczy, a jej pełne usta rozciągnęły się w szerokim, głodnym uśmiechu.

– Potrzebowałeś przerwy na odpoczynek?

– Przerwy? – powtórzył skórozmienny dziwnie modulowanym głosem, jakby kilka różnych stworzeń jednocześnie próbowało naśladować ludzką mowę.

Następnie spokojnie odgryzł rękę wampirzycy w połowie kości ramiennej. Na dzwony piekieł!

– Zabiję cię – zapowiedziała beznamiętnym tonem Lara.

Skórozmienny się roześmiał. Był to straszliwy dźwięk.

– Mały fagu, nawet tutaj w ośrodku twojej władzy nie możesz mnie powstrzymać. Twoi wojownicy leżą zabici. Twoje współfagi padły. Nawet głupi pretendenci do władzy odwiedzający twój dom nie zdołali mnie powstrzymać.

W tym czasie na tyle odzyskałem siły, że dźwignąłem się na nogi. Lara nawet na mnie nie spojrzała, ale czułem na sobie jej uwagę. Nie miałem czasu zebrać woli do magicznego ataku. Zresztą skórozmienny dużo wcześniej by się zorientował, co knuję.

Na szczęście zawsze mam plan na takie nieprzewidziane okoliczności.

Osiem srebrnych pierścieni, które noszę na palcach, służy kilku celom. Potrójne obrączki z metalu były dość ciężkie, tak że mogły śmiało posłużyć jako kastety, gdybym musiał kogoś uderzyć. Jednak ich główne zadanie polegało na gromadzeniu energii kinetycznej przy każdym ruchu moich rąk. Zebranie odpowiedniego ładunku wymagało trochę czasu, ale każdy pasek z osobna, precyzyjnie użyty, potrafił zbić z nóg dużego mężczyznę i zniechęcić go do dalszej walki. Pierścienie składały się z trzech obręczy, co oznaczało, że wszystkie razem miały dużą siłę rażenia.

Nie zadałem sobie trudu, żeby uprzedzić Larę. Po prostu wyciągnąłem przed siebie prawą rękę, aktywowałem wszystkie pierścienie i uderzyłem w skórozmiennego kofarem energii kinetycznej. W tej samej sekundzie wampirzyca skoczyła do przodu, wymachując mieczami.

Ale skórozmienny uniósł lewą rękę z palcami zakrzywionymi w znajomym obronnym geście i falą mocy, która powinna zwalić go z nóg, odbiła się od niego jak światło od lustra... i z całą siłą uderzyła w Larę.

Zaskoczona wampirzyca wydała z siebie głuche stęknienie, kiedy uderzył w nią odpowiednik rozpędzonego samochodu, odrzucił do tyłu i rozpląszczył na stosie gruzu.

Usta skórozmiennego wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu. Zanucił zwierzęcym głosem:

– Połam się, mały fagu, połam.

Lara gwałtownie zaczerpnęła tchu i podniosła się na rękach. Spjrzenie jej białych oczu było utkwione w przeciwniku, z gardła wydobył się groźny pomruk.

Ja stałem i gapiłem się na skórozmiennego. Musiałem opierać się o ścianę, żeby utrzymać równowagę. W końcu wziąłem głęboki oddech i bardzo ostrożnie ruszyłem do przodu, aż stanąłem między stworem a Larą. Odwróciłem się do niego twarzą.

– No dobrze – powiedziałem. – Gadaj!

– O czym, samozwańcu? – zawarczał skórozmienny.

– Nie zjawileś się tutaj, żeby nas zabić – stwierdziłem. – Już dawno mógłbyś to zrobić.

– O tak, to prawda – potwierdził demon ze złośliwą radością w oczach.

– Nie musisz się przechwalać, kutasie – wymamrotałem pod nosem i dodałem głośniejszym głosem: – Na pewno chcesz pogadać. Więc może po prostu powiesz, co masz do powiedzenia?

Skórozmienny zmierzył mnie wzrokiem i od niechcienia odgryzł kolejny palec nieprzytomnej wampirzycy. Przeżuł go wolno, z nieprzyjemnym chrupaniem, przełknął i wybełkotał:

– Potargujmy się.

Zmarszczyłem brwi.

– Potargujmy?

Skórozmienny wyszczerzył się i jedynym pazurem zdjął coś z szyi. Rzucił mi ten przedmiot, a ja odruchowo go złapałem. To był srebrny naszyjnik z pentagramem, bliźniak mojego, jednak o wiele mniej zużyty.

Należał do Thomasa.

W żołądku poczułem chłód.

– Targuj się – zażądał skórozmienny. – Thomas Raith za potępionego wojownika.

Przeszyłem go wzrokiem. Więc on też chciał dopaść Morgana.

– Chyba odpowiem: pieprz się.

– Wkrótce nie będę w nastroju do zabawy – ostrzegł demon. – Przyjdę i cię zabiję. Zabiję twoją rodzinę, przyjaciół, zwierzęta. Uśmiercę kwiaty w twoim domu i drzewa na małym poletku. Wszystkiemu zadam śmierć, tak że twoje imię będzie pamiętane tylko w przekleństwach i opowieściach grozy.

Uwierzyłem mu.

Nie przyszła mi do głowy żadna błyskawiczna riposta. Zważywszy na moc, którą do tej pory zademonstrował skórozmienny, musiałem przyznać jego słowom pięć punktów na skali gróźb.

– A na zachętę... – Jego wzrok powędrował ku Larze. – Jeśli mag mnie nie posłucha, ciebie też zniszczę. Zrobię to z równą łatwością jak wszystko, czego dzisiaj dokonałem. I sprawi mi to ogromną przyjemność.

Lara wpatrywała się w niego białymi oczami, z wyrazem nienawiści zastygłym na twarzy.

– Rozumiesz mnie, mały fagu? Ty i ten gnijący worek mięsa, do którego się przyczepiłaś?

– Rozumiem – wysyczała Lara.

Skórozmienny uśmiechnął się szerzej.

– Jeśli wojownik nie zostanie mi dostarczony jutro do zachodu słońca, rozpocznę polowanie.

– To może nam zająć więcej czasu – zaprotestowałem.

– Dla twojego dobra, uzurpatorze, módl się, żeby tak nie było. – Niedbale odrzucił od siebie nieprzytomną wampirzycę, tak że wylądowała na swojej siostrze. – Możesz się ze mną skontaktować przez to mówiące urządzenie.

Podskoczył lekko i zniknął w jednej z dziur w suficie.

Ja osunąłem się na ścianę. Omal nie upadłem.

– Thomas – wyszeptałem.

Ten koszmar miał mojego brata.

Lara zajęła się oceną strat.

Nie żyło dwunastu ochroniarzy, kilkunastu innych odniosło poważne rany. Ściany korytarza, gdzie strażnicy wpadli w zasadzkę, były tak umazane krwią, że wyglądały, jakby pomalowano je na czerwono. Wszystko rozegrało się tak szybko, że co najmniej dwanaście osób kadry nie zdążyło wziąć udziału w bitwie. Dzięki temu było komu zająć się rannymi i usuwaniem ciał.

Zakłęcie skórozmiennego skutecznie zniszczyło wszystkie radia i komórki w Château Raith, ale tradycyjne, naziemne linie telefoniczne nadal działały. Lara wezwała małą armię swoich pracowników, w tym personel medyczny, który zatrudniali Raithowie.

Tymczasem ja siedziałem oparty plecami o ścianę, z dala od całej tej aktywności. Bolała mnie głowa. Drapiąc się, stwierdziłem, że od mojego lewego ucha aż po szyję ciągnie się szeroki pas głównie zaschniętej krwi. Musiałem mieć zdarty kawałek skóry z czaszki. Takie rany zwykle mocno krwawią.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że Lara Raith stoi przy swoich dwóch rannych siostrach. Obie wampirzyce były nieprzytomne i całe we krwi. Kiedy zabrano je na noszach, medycy zajęli się rannymi ochroniarzami, a Lara podeszła do mnie.

Jej jasnoszare oczy nie zdradzały żadnych myśli.

– Możesz wstać, magu? – spytała.

– Mogę, ale nie chcę.

Wampirzyca lekko uniosła brodę i zmierzyła mnie wzrokiem, trzymając jedną rękę na biodrze.

– W co wplątałeś mojego brata?

– Sam chciałbym wiedzieć. Nadal próbuję się zorientować, skąd nadlatują

kule.

Lara skrzyżowała ramiona.

– Potępiony wojownik. Przypuszczam, że skórozmienny miał na myśli zbiegłego Strażnika.

– To jedna z interpretacji.

Lara przyjrzała mi się uważnie i nagle się uśmiechnęła, pokazując równe, białe zęby.

– Ty go ukrywasz – stwierdziła. – Przyszedł do ciebie po pomoc.

– Skąd, do diabła, ten pomysł?

– Bo ludzie w beznadziejnej sytuacji wciąż przychodzą do ciebie po pomoc. A ty im pomagasz. – Postukała palcem w brodę. – Teraz trzeba zdecydować, co jest korzystniejsze. Spełnić żądania skórozmiennego czy spisać Thomasa na straty, odebrać ci Strażnika i zbić polityczny kapitał, oddając zbiega tym, którzy go ścigają. Jest spora nagroda za jego schwytanie albo zabicie.

Popatrzyłem na nią tępym wzrokiem.

– Zamierzasz prowadzić grę. Będziesz udawać niechętną, żeby uzyskać ode mnie pewne ustępstwa w zamian za współpracę, ale i tak się zgodzisz.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo po próbie zamachu w Czeluści Thomas jest celebrytą Białego Dworu. Jeśli pozwolisz, żeby zabił go wielki, zły potwór, który najpierw otwarcie zaatakował cię w twoim własnym domu, wyjdiesz na słabą. A oboje wiemy, że nie mogłabyś z tym żyć.

– I spełniając jego żądania, nie wyjdę na słabą, tak? – rzuciła Lara sceptycznym tonem. – Nie, Dresden.

– Święta racja. Ustąpisz, a potem załatwisz Kudłacza zgodnie ze zradziecką tradycją Białego Dworu. Odzyskasz Thomasa. Pokonasz zawodnika wagi ciężkiej. Zdobędziesz pozycję wśród swoich.

Lara zmrużyła oczy, ale wyraz jej twarzy pozostał nieprzenikniony.

– A co będzie, jeśli później sama dopadnę Strażnika i przekażę go Białej Radzie? To byłaby świetna karta przetargowa w przyszłych rozmowach z magami.

– Jasne, że tak. Ale ty tego nie zrobisz.

– Nie? A co mnie powstrzyma?

– Ja.

– Lubię mieć do czynienia z mężczyznami o dobrze rozwiniętym poczuciu własnej wartości.

Teraz przyszła moja kolej, żeby pokazać zęby w uśmiechu.

– Pojedynki siłowe to nie twój styl, Laro. Jeśli właściwie rozegrasz sprawę, poprawisz swoją reputację i zwiększysz wpływy. Po co ryzykować, bijąc się ze mną?

– Hm...

Przesunęła po mnie wzrokiem. Od niechcienia wygładziła spódnicę, natychmiast przyciągając moje spojrzenie do bladego uda, które ukazało się w rozdarciu. Strużki krwi z ran płynęły po gładkiej skórze.

– Zastanawiam się czasami, jak to by było z tobą walczyć, Dresden? Pójść na matę. Ciekawe, co mogłoby się wydarzyć.

Obliziałem wargi i z wysiłkiem uciekłem od niej wzrokiem niezdolny do mówienia.

– Wiesz, jak naprawdę można kimś sterować, Harry? – zamruczała Lara.

Odchrząknąłem i wychrypiałem:

– Jak?

Jej jasne oczy były wielkie i głębokie.

– Dać mu to, czego pragnie. Dać mu to, czego potrzebuje. Dać mu to, czego nikt inny nie może mu dać. Jeśli potrafisz tego dokonać, wciąż będą do ciebie wracać. – Nachyliła się i wyszeptała mi do ucha: – Ja wiem, co mogę ci dać, Harry. Mam powiedzieć?

Przełknąłem ślinę i kiwnąłem głową, nie śmiać na nią spojrzeć.

– Mogę sprawić, że przestanie cię boleć, magu – znowu wyszeptała mi do ucha. – Mogę ukoić wszystkie cierpienia twojego ciała. Umysłu. Serca. Mogłabym dać ci coś, czego nikt inny nie zdoła: wolność od ciężaru odpowiedzialności i sumienia. – Nachyliła się jeszcze bardziej, aż poczułem chłód powietrza tchnącego z jej ust. – Słodki Dresden. Mogłabym dać ci spokój. Wyobraź sobie, że zamykasz oczy bez żadnych zmartwień, żadnych trosk, lęków, żalów, apetytów, żadnego poczucia winy. Tylko cisza, ciemność, ukojenie i moje ciało przy twoim.

Zadrzałem. Nie dałem rady się powstrzymać.

– Mogę ci to dać. – Usta Lary rozciągnęły się w uśmiechu. – Nosisz swój ból jak pancerz. Ale pewnego dnia ta zbroja będzie zbyt ciężka, żeby ją unieść. Wtedy przypomnisz sobie tę chwilę. I będziesz wiedział, kto może ci dać to, czego potrzebujesz. – Westchnęła zmysłowo. – Nie potrzebuję więcej jedzenia, Dresden. Mam go mnóstwo. Ale partner... Ty i ja moglibyśmy razem dokonać tego, czego nie możemy zrobić osobno.

– Brzmi słodko – wychrypiałem, z trudem formułując słowa. – Może zaczniemy od odzyskania Thomasa.

Lara wyprostowała się i odsunęła ode mnie z wyrazem głodu i pożądania na bladej, pięknej twarzy. Zamknęła oczy i przeciągnęła się lekko jak kot, w oszalamiającym pokazie gibkiej kobiecości. Wolno pokiwała głową, a potem zmierzyła mnie swoim zwykłym wzrokiem, chłodnym i obojętnym.

– Masz rację, oczywiście. Najpierw interesy. Chcesz, żebym ci pomogła.

– Chcę, żebyś ty sama sobie pomogła – sprostowałem. – Oboje mamy ten sam problem.

– A jakież to? – zapytała.

– Zdraycy wewnątrz organizacji. Wywołujący konflikty i destabilizujący równowagę władzy.

Lara uniosła kruczoczarną brew.

– Strażnik jest niewinny?

– Tylko jeśli zdołam znaleźć faceta, który go zrobił.

– Myślisz, że istnieje związek między twoim zdrajcą a skórozmiennym?

– A kolejny związek doprowadził mnie tutaj – powiedziałem. – Jeden z twoich ludzi zapłacił tamtej prawnicze, a wymienił jej instalację w głowie.

Usta Lary wykrzywiły się z niesmakiem.

– Jeśli to prawda, ten ktoś jest strasznie nieporadny. Nie zostawia się za sobą tak oczywistych śladów, zwłaszcza jeśli chodzi o kontakt oddalony tylko o jedno ogniwo. Takie rzeczy budzą zbyt duże zainteresowanie.

– Czyli to wampir z Białego Dworu, niezręczny, otwarty, niecierpliwy – stwierdziłem. – A, w dodatku ten ktoś nie zjawił się, żeby bronić domu, kiedy włamał się do niego skórozmienny. I tego kogoś Thomas ostatnio pobił i upokorzył publicznie.

– Madeline – wyszeptała Lara.

– Madeline – powtórzyłem. – Myślę, że ten, kto w tej operacji pociąga za sznurki, wykorzystuje ją. Uważam, że powinniśmy ją znaleźć i podążyć za sznurkami do lalkarza.

– Jak?

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyjąłem z niej świstek z numerem rzekomego rachunku bankowego Morgana oraz fotokopię potwierdzenia przelewu ogromnego depozytu.

– Dowiedz się, kto założył ten rachunek i skąd przyszły pieniądze. – Podałem jej kartki. – Potem spróbuj wysledzić komórkę Thomasa.

– Jego komórkę?

– Kudłacz powiedział, że możemy się z nim skontaktować, dzwoniąc na komórkę Thomasa. Nie ma jakiegoś sposobu, żeby wysledzić, gdzie znajdują się takie urządzenia?

– To zależy od różnych czynników.

– Założę się, że skórozmienny nie ma subskrypcji na „Świat Nauki”. Pewnie jakoś się chroni przed zaklęciem tropiącym, ale może nawet nie zdawać sobie sprawy, że jest możliwe fizyczne wysledzenie komórki.

– Zobaczą, co uda mi się znaleźć – powiedziała Lara i odwróciła się do medyka, który do niej podszedł i z szacunkiem czekał, aż ona go zauważy. – Tak?

Młody człowiek uniósł podkładkę do pisania.

– To raport z selekcji rannych, o który pani prosiła.

Lara wyciągnęła rękę, a on podał jej notatnik ostrożnym gestem, jakby nie chciał za bardzo się do niej zbliżyć. Wampirzyca przebiegła listę wzrokiem i spytała:

– Hennesy i Callo mają złamane kręgosłupy?

– Konieczne będzie prześwietlenie, żeby to potwierdzić – odparł nerwowo medyk. – Ale zdaje się, że... eee, napastnik po prostu przełamał ich na kolanie i rzucił na ziemię. Obaj są sparaliżowani. Prawdopodobnie na stałe.

– A Wilson stracił oczy – wymamrotała Lara.

Medyk starał się na nią nie patrzeć.

– Tak, proszę pani.

– Dobrze – powiedziała Lara. – Zanieście Hennesy’ego do komnat Natalii, a Callo do Elisy.

– Tak, proszę pani. Mam wysłać Wilsona do infirmerii?

Lara przez chwilę patrzyła na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W końcu zadecydowała:

– Nie, Andrew. Zaraz do niego przyjdę.

Oddała mu podkładkę, a medyk wziął ją pośpiesznie i oddalił się szybkim krokiem.

– Zamierzasz zabić tych ludzi – stwierdziłem, obserwując Larę. – Kiedy Elisa i Natalia się obudzą...

– Pożywią się i uratują życie. Choć to irytujące, że inwestycje się zmarnują, ale najemników łatwo można zastąpić. W przeciwieństwie do członków mojej rodziny i Dworu. Jako jego przywódczyni mam obowiązek zapewnić im właściwą opiekę i utrzymanie w razie potrzeby, zwłaszcza jeśli ta potrzeba wynika z lojalności wobec Dworu.

– To twoi ludzie – zauważyłem.

– Byli, zanim stali się bezużyteczni dla Dworu – odparła Lara. – Wiedzą za dużo o naszych wewnętrznych sprawach, żeby pozwolić im odejść. Trzeba czasem poświęcić czyjeś życie, żeby mój ród mógł przetrwać. Przy okazji dbam o to, żeby ci ludzie przysłużyli się nam po raz ostatni.

– Naprawdę jesteś humanitarna. Normalnie Matka Teresa.

Lara skierowała na mnie pusty wzrok.

– W którym momencie zapomniałeś, że jestem wampirem, Dresden? Potworem. Na ogół miłym, uprzejmym, cywilizowanym i skutecznym potworem. – Jej spojrzenie powędrowało w głąb korytarza, gdzie medyk bandażował głowę młodemu umięśnionemu mężczyźnie. Lara wpatrywała się w niego intensywnie. Kolor jej oczu zmienił się na srebrny, usta się lekko rozchyliły. – Jestem, jaka jestem.

Ogarnęły mnie mdłości. Dźwignąłem się z podłogi i powiedziałem:

– Ja też.

Lara zerknęła na mnie z ukosa.

– Czy to groźba, Dresden?

Pokręciłem głową.

– Tylko fakt. Pewnego dnia cię zniszczę.

Wróciła spojrzeniem do rannego, wykrzywiając usta w uśmiešku wyższości.

– Pewnego dnia – wyszeptała. – Ale nie dzisiaj.

– Nie. Nie dzisiaj.

– Jeszcze coś mogę dla ciebie zrobić, mój magu?

– Tak.

Zerknęła na mnie, unosząc brew.

– Potrzebuję samochodu.

Jakoś wtarabaniłem się na piętro i doczłapałem do skrzydła rezydencji, gdzie znajdowała się izba chorych, eskortowany przez strażnika, który bardzo starał się nie kuśtykać na rannej nodze. Skórozmienny rąbnął moim czerepem o podłogę i coś w nim obluzował. Byłem pewny, że gdybym podskoczył i potrząsnął głową, mój mózg zachlupotałby w środku jak gąbka.

Zresztą i tak nie zamierzałem tego robić. Chodzenie sprawiało mi wystarczająco dużo trudności.

W infirmerii zastałem ubraną na biało młodą kobietę opiekującą się rannymi. Ruchy miała szybkie i profesjonalne jak lekarz. Właśnie kończyła opatrywać rany Justine, która leżała na łóżku z brzuchem owiniętym bandażami, z oczami szklistymi i nieobecnymi jak po dobrym towarze.

Obok niej siedziała Anastasia z wyprostowanymi plecami i spokojem na twarzy. Prawą rękę trzymała blisko ciała zawieszoną na czarnej chuście. Wstała na mój widok. Była blada i wyraźnie osłabiona, ale nie opierała się na cienkiej drewnianej lasce.

– Wyjeżdżamy? – spytała.

– Tak. – Zbliżyłem się, żeby jej pomóc. – Możesz chodzić?

Przechyliła laskę w moją stronę, zagradzając mi drogę, i uśmiechnęła się lekko.

– Wynoszę się stąd w cholere. – Powiedziała to z udawanym szkockim akcentem.

Zaskoczony uniosłem brew.

– Mówiłaś, że „Nieśmiertelnego” przespałaś.

Jej ciemne oczy zaiskrzyły się wesołością.

– Zawsze tak mówię, kiedy w towarzystwie mężczyzny młodszego o dwa wieki trafiam na stary film wyświetlany w kinie samochodowym.

– A nie dlatego, że nie chciałaś zranić moich uczuć swoją zawodową

opinią na temat szermierczych pojedynków w tym filmie?

– Młodzi mężczyźni potrafią być tacy delikatni – skomentowała Anastasia. W jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Moglibyśmy pojechać do szpitala – zaproponowałem, patrząc na jej rękę.

Pokręciła głową.

– Kość nastawiona. Teraz pozostaje jedynie nosić temblak i czekać, aż przestanie boleć.

Skrzywiłem się.

– Mam u siebie parę leków.

Anastasia znowu się uśmiechnęła, ale tym razem zauważyłem, jak bardzo się wysiła, żeby zachować pozory.

– Byłoby cudownie.

– Harry – usłyszałem za plecami cichy głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że ranna Justine patrzy na mnie sennymi oczami. Z uśmiechem pochyliłem się nad jej łóżkiem.

– Cześć.

– Słyszeliśmy, że ta istota mówi. – Wszystkie twarde głoski były niewyraźne, zaokrąglone. – Słyszeliśmy, jak rozmawia z tobą i Larą.

Zerknąłem na Anastasię, a ona krótko skinęła głową.

– Tak. – Bardzo nie chciałem, żeby dziewczyna powiedziała coś, czego nie powinna mówić. – Zajmę się tym.

Justine uśmiechnęła się do mnie, choć ledwo trzymała oczy otwarte.

– Wiem, że tak zrobisz. On cię kocha, wiesz.

Nie spojrzałem na Anastasię.

– Hm. Tak.

Justine ujęła moją rękę i spojrzała mi w oczy.

– Zawsze się martwił, że nie potrafi z tobą rozmawiać. Że świat, z którego pochodzi, jest zupełnie inny od twojego. Że za mało wie o byciu człowiekiem, żeby się z tobą dogadać. Że nie umie być br...

– Że jest wrzodem na tyłku – dokończyłem pośpiesznie. – Na tym akurat dobrze się zna. – Unikałem jej wzroku. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałem, było kolejne Wejrzenie w duszę. – Justine, musisz odpocząć.

Odnajdę go. Nie martw się.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

– Jesteś dla mnie jak rodzina, Harry. Zawsze się troszczysz.

Zakłopotany spuściłem głowę i odłożyłem dłonie Justine na pościel. Potem naciągnąłem na nią cienkie szpitalne koce.

Anastasia obserwowała mnie w zadumie.

* * *

Wróciliśmy do frontowej części domu, minęliśmy świeżo położony tynk, który mógł zasłaniać śmiertelne pułapki, dotarliśmy na zewnętrzny ganek wielkości kortu tenisowego i zeszliśmy kilka stopni w dół. Na kolistym podjeździe czekał na mnie samochód pożyczony przez Larę.

Zatrzymałem się tak raptownie, że Anastasia omal na mnie nie wpadła. Z syknięciem niezadowolenia złapała równowagę i... wstrzymała oddech.

– O rany!

Przed rezydencją stały na jałowym biegu prawie dwie tony brytyjskiej stali i chromu. Mruczący silnik brzmiał jak maszyna do szycia. Biała limuzyna, stary model rolls-royce'a jakby prosto z filmu przygodowego, była w idealnym stanie. Maski lśniły, świeżo nawoskowane i bez najmniejszej skazy, chrom błyszczał w słońcu zachodzącym nad Château.

Podszedłem do rollsa i zajrzałem do środka. Tylne siedzenie było większe od mojego cholernego mieszkania. Albo przynajmniej tak wyglądało. We wnętrzu dominowała srebrno-szara i biała skóra, drewniane elementy utrzymane w podobnej kolorystyce i wykończone srebrnymi akcentami wypolerowano do połysku. Do tego wszystkiego wykładzina na podłodze, grubsza i bardziej luksusowa niż dobrze utrzymany trawnik.

– Rety! – wymamrotałem.

– To cholerne dzieło sztuki – wyszeptała stojąca obok mnie Anastasia.

– Rety – powtórzyłem cicho.

– Spójrz na filigran.

Kiwnąłem głową.

– Rety!

Anastasia zerknęła na mnie z ukosa i dodała:

– I jest dużo miejsca z tyłu.

Łypnąłem na nią czujnie, ale minę miała obojętną i niewinną.

– Ja tylko mówię, że teraz w twoim mieszkaniu jest dość tłoczno...

– Anastasio. – Poczujęm, że moja twarz robi się ciepła.

Znowu pojawiły się dołeczki w jej policzkach. Anastasia oczywiście tylko się ze mną drażniła. Zważywszy na jej stan, z tymi rzeczami na razie musiała się wstrzymać.

– Jaki to model? – zapytała.

– Hm... no, rolls-royce... chyba sprzed drugiej wojny światowej...

– To oczywiście rolls-royce silver wraith – rozległ się za mną głos Lary. – Jaki inny mógłby być w tym domu?

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że Lara Raith stoi w mrocznym holu wejściowym.

– Masz szczególne wymagania, więc podstawiałam ci odpowiedni rocznik – dodała. – Tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. – Z zadowoleniem skrzyżowała ręce na piersi. – Oddaj go z pełnym bakiem.

Przekrzywiłem głowę gestem, co nie do końca miało być potwierdzeniem, i otworzyłem drzwi od strony pasażera.

– Doradca kredytowy musi najpierw sprawdzić moją wiarygodność – rzuciłem. – Ile to żre? Dwa galony na milę?

Anastasia wsiadła do samochodu z cichym stęknieniem. Skrzywiłem się i wyciągnąłem ręce, żeby ratować ją przed upadkiem, ale jakoś sobie poradziła. Gdy zamykałem drzwi, dostrzegłem, że Lara raptownie robi krok do przodu.

Na chwilę skupiła wzrok na Anastasii, a potem na mnie.

Jej oczy zrobiły się o kilka odcieni bledsze, pełne usta się rozchyliły, a potem bardzo wolno wypęzł na nie uśmiech.

Odwróciłem się pośpiesznie, wsiadłem do rollsa i ruszyłem. Obejrzałem się dopiero wtedy, gdy dom wampirów został pięć mil za nami.

* * *

Anastasia spojrzała na mnie, kiedy pokonaliśmy większą część drogi do miasta.

– Harry?

– Hmm? – mruknąłem.

Prowadzenie rollsa był jak kierowanie czołgiem. Miał dużą siłę bezwładności, żadnego wspomaganie kierownicy i hamulców. Taki pojazd wymagał szanowania praw fizyki i myślenia z wyprzedzeniem jeszcze bardziej niż zwykle.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytała Anastasia.

– Cholera – mruknąłem.

Patrzyła na mnie oczami dużo starszymi niż reszta twarzy.

– Miałaś nadzieję, że nie słyszałam, co mówi Justine.

– Tak.

– Ale ja słyszałam.

Prowadziłem przez następną minutę albo dwie, zanim spytałem:

– Jesteś pewna?

Anastasia zastanawiała się przez chwilę.

– Jesteś pewien, że nie chcesz mi nic powiedzieć? – zapytała trochę łagodniejszym tonem.

– Kapitan Luccio nie mam nic do powiedzenia. – Nie zamierzałem być aż taki oschły.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na mojej, spoczywającej na dźwigni biegów.

– A Anastasii?

Poczułem, że moje zęby się zaciskają. Minęła chwila, nim je rozluźniłem i spytałem:

– Masz jakąś rodzinę?

– Tak. Formalnie rzecz biorąc.

– Formalnie?

– Mężczyzn i kobiety, z którymi dorastałam, których znałam? Nie żyją od pokoleń. Ich potomkowie są rozrzućeni po całych Włoszech, po Grecji. Kilku mieszka w Algierii, ale nie jest tak, że zapraszają swoją praprapraprapraciotkę na święta. To obcy ludzie.

Spojrzałem na nią, marszcząc brwi.

– Obcy – powtórzyłem.

Anastasia pokiwała głową.

– Większość ludzi nie chce zaakceptować tego podstawowego faktu, którym jest długość życia naszego gatunku, Harry. Są też wyjątki. Na przykład Martha Liberty mieszka z jedną ze swoich praprawnuczek i jej dziećmi. Ale kiedy magowie starają się trzymać blisko swoich rodzin, zwykle kończy się to źle. – Opuściła głowę i wbiła wzrok w temblak. – Co pięć albo sześć lat sprawdzam, co słychać u moich krewnych, ale tak, że oni o tym nie wiedzą. Mam oko na dzieci, u których może się rozwinąć talent.

– Ale kiedyś miałaś prawdziwą rodzinę – powiedziałem.

Anastasia westchnęła i wyjrzała przez okno.

– O, tak. Bardzo dawno temu.

– Ja pamiętam swojego ojca. Trochę. Ale wychowałem się jako sierota.

– *Dio*, Harry. – Ze współczuciem uściśniła moje palce. – Nigdy nie miałeś nikogo bliskiego?

– Gdybym kogoś takiego odnalazł, zrobiłbym wszystko, żeby go chronić – oświadczyłem ze ściśniętym gardłem. – Wszystko.

– Margaret, ty samolubna dziwko – wysyczała z nutą gniewu w głosie, patrząc przez okno.

Zerknąłem na nią osłupiały. I omal nas nie zabiłem, kiedy jakiś samochód zajechał mi drogę, a ja ledwo zdążyłem przyhamować potwora rollsa.

– Ty... znałaś moją matkę?

– Wszyscy Strażnicy ją znali.

– Była Strażniczką?

Anastasia chwilę milczała, a następnie pokręciła głową.

– Uznano, że stanowi zagrożenie dla Praw Magii.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że postawiła sobie za punkt honoru balansowanie na samej krawędzi prawa, kiedy tylko miała ku temu okazję – odpowiedziała Anastasia. – Niecały rok po przyjęciu do Rady zaczęła agitować za zmianami.

Musiałem skupić się na drodze. Jeszcze nigdy od żadnego członka Rady nie usłyszałem aż tyle o tajemniczej postaci, która dała mi życie. Ręce mi się spociły, serce dudniło.

– Jakimi zmianami?

– Była wściekła, że „Prawa Magii nie mają nic wspólnego z dobrem i złem”. Wskazywała, w jaki sposób magowie mogą wykorzystywać swoje umiejętności, żeby wyłudzać od ludzi pieniądze, zastraszać ich, manipulować nimi, okradać albo wprost niszczyć, ale póki Prawa są przestrzegane, Rada nie robi zupełnie nic, żeby ich powstrzymać albo zniechęcić innych do brania z nich przykładu. Chciała tak zreformować prawo, żeby włączyć do niego pojęcie sprawiedliwości i ograniczyć używanie magii w niecnym celach.

Zmarszczyłem brwi.

– Rany! Prawdziwy z niej potwór.

Anastasia odetchnęła głęboko.

– Potrafisz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby dopięła swego?

– Nie byłbym przez całe lata niesłusznie prześladowany przez Strażników?

Anastasia zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Od nakazu kierowania się sprawiedliwością byłby tylko krótki krok do wciągnięcia Rady w wydarzenia w świecie zewnętrznym.

– O rany. Masz rację. Banda magów próbująca zaprowadzać dobro na świecie to byłoby straszne.

– Czyje dobro? – zapytała Anastasia. – Nikt we własnym mniemaniu nie jest niesprawiedliwym łotrem, Harry. Nawet najgorsi z nas, a może nawet szczególnie oni. Najokrutniejsi tyrani w historii powoływali się na szlachetne idee albo dokonywali wyborów, które nazywali „twardymi, ale koniecznymi krokami” dla dobra swoich narodów. Wszyscy jesteśmy bohaterami naszej własnej opowieści.

– Tak. Zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej trudno było stwierdzić, którzy są ci dobrzy, a którzy źli.

Anastasia przewróciła oczami.

– Czytałeś historie napisane przez zwycięzców tamtej wojny, Harry. Jako ktoś, kto ją przeżył, mogę ci powiedzieć, że wtedy było dużo mniej pewności. Opowiadano o potwornościach dziejących się w Niemczech, ale na każdą prawdziwą opowieść przypadało pięć albo sześć nieprawdziwych. Jak można

odróżnić prawdziwe relacje od propagandy, zwykłych zmyśleń i mitów tworzonych przez narody zaatakowane przez Niemcy?

– Może byłoby łatwiej, gdyby w pobliżu znalazł się do pomocy chociaż jeden mag – podsunąłem.

Anastasia łypnęła na mnie z ukosa.

– Wtedy Biała Rada musiałaby zniszczyć Stany Zjednoczone.

– Co?

– Twój rząd też nurzał ręce w krwi niewinnych. – Nadal mówiła spokojnym tonem. – Chyba że rdzennych Indian, których ziemię podbiliśmy, uważasz za łotrów w tej sztuce.

Zmarszczyłem brwi.

– Trochę oddaliliśmy się od mojej matki.

– I tak, i nie. To, co proponowała, w nieunikniony sposób przysporzyłoby Radzie moralnych rozterek, a co za tym idzie, wplątałoby ją w politykę śmiertelników. Powiedz mi prawdę. Czy gdyby dzisiaj Rada wypowiedziała Ameryce wojnę z powodu dawnych zbrodni i obecnych idiotyzmów, posłuchałbyś rozkazu do ataku?

– Do diabła, nie. USA nie są idealnym miejscem, ale lepszego na razie nie wymyśliła większość narodów. I mam tu wszystkie moje rzeczy.

Anastasia uśmiechnęła się słabo.

– Właśnie. A ponieważ Rada składa się z ludzi pochodzących z całego świata, prawie na pewno spotkalibyśmy się z oporem i dezercją tych jej członków, którzy uznaliby, że ich kraje ojczyste są pokrzywdzone. – Wzruszyła ramionami i skrzywiła się, kiedy ten ruch spowodował ból. – Ja sama miałabym zastrzeżenia, gdyby Rada postanowiła działać przeciwko krajom, w których osiedliła się moja rodzina. Może oni mnie nie pamiętają, ale ja ich owszem.

Przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad jej słowami.

– Twierdzisz, że Rada musiałaby się zwrócić przeciwko niektórym swoim członkom.

– I ile razy tak by się stało, zanim Rada przestałaby istnieć? Wojny i zatargi mogą przetrwać całe pokolenia, nawet kiedy nie angażuje się w nie grupa magów. Łagodzenie konfliktów wymagałoby jeszcze większego

zaangażowania w sprawy śmiertelników.

– Masz na myśli kontrolę – stwierdziłem. – Dążenie Rady do przejęcia władzy politycznej.

Anastasia zmierzyła mnie wzrokiem.

– Szanuję cię bardziej niż większość młodych ludzi między innymi za to, że doceniasz historię. A jeśli chodzi o przejmowanie kontroli nad innymi i zdobywanie ogromnej władzy, nie ma lepszego narzędzia niż czarna magia.

– Prawa Magii już regulują tę kwestię.

Anastasia pokiwała głową.

– Dlatego Rada sama się ogranicza. Każdy mag ma prawo robić ze swoją mocą, co chce, pod warunkiem że nie łamie żadnego Prawa. Wielkość szkód, jakie jednostka może wyrządzić społeczeństwu śmiertelników bez uciekania się do czarnej magii, jest ograniczona. Choć dla ciebie było to trudne doświadczenie, Harry, w Prawach Magii nie chodzi o sprawiedliwość. Białej Radzie nie chodzi o sprawiedliwość, tylko o ograniczanie władzy. – Uśmiechnęła się słabo. – I od czasu do czasu o ochronę ludzkości przed nadnaturalnymi zagrożeniami.

– I to ci odpowiada? – zapytałem.

– Te zasady nie są doskonałe, ale najlepsze, jakie do tej pory wymyśliliśmy. I ich stosowaniu poświęciłam życie.

– Touché.

– Dziękuję.

Pogłaskałem kciukiem jej palce.

– Więc twierdzisz, że moja matka była krótkowzroczna.

– Była skomplikowaną kobietą – powiedziała Anastasia. – Błyskotliwą, nieobliczalną, żarliwą, oddaną, idealistyczną, utalentowaną, czarującą, wzdarczną, śmiałą, nieostrożną, arogancką... i krótkowzroczną, tak. Między innymi. Uwielbiała demaskować obszary „szarej magii”, jak je nazywała, i wciąż kwestionować ich legalność. – Wzruszyła ramionami. – Rada Starszych poleciła Strażnikom mieć na nią oko. Co było zadaniem prawie niewykonalnym.

– Dlaczego?

– Ta kobieta miała mnóstwo kontaktów wśród fae. Dlatego nazywano ją Margaret LaFey. Znała więcej Ścieżek przez Nigdynigdy niż ktokolwiek inny wcześniej czy później. Potrafiła być na śniadaniu w Pekinie, na lunchu w Rzymie, w Seattle na kolacji, a po drodze wpaść na kawę do Sydney i Kapsztadu. – Anastasia westchnęła. – Raz zniknęła na cztery albo pięć lat. Wszyscy przypuszczali, że w końcu natknęła się na coś paskudnego w Faerie. Nigdy nie potrafiła pohamować języka, nawet kiedy wiedziała, że powinna to zrobić.

– Ciekawe, jak to jest.

Anastasia posłała mi znużony, dość smutny uśmiech.

– Ale ona nie spędziła tego czasu w Faerie, prawda?

Spojrzałem w lusterko wsteczne, w stronę Château Raith.

– A Thomas jest synem samego Białego Króla.

Nie odpowiedziałem.

– Wyglądasz inaczej niż on – stwierdziła Anastasia. – Może z wyjątkiem zarysu szczęki. I kształtu oczu.

Nic nie mówiłem, póki nie dotarliśmy do mieszkania. Rolls pasował do zwirowego parkingu jak szampan do chipsów. Wyłączyłem silnik i przez chwilę słuchałem, jak stygnie. Słońce już zaszło za horyzont, włączyły się latarnie uliczne.

– Zamierzasz komuś powiedzieć? – spytałem cicho.

Anastasia wyjrzała przez okno.

– Nie, póki nie uznam, że to istotne.

Odwróciłem do niej głowę.

– Wiesz, co się stanie, jeśli się dowiedzą. Wykorzystają go.

Luccio popatrzyła przez przednią szybę.

– Wiem.

– Po. Moim. Trupie. – Mówiłem cicho, żeby każde słowo miało odpowiednią wagę.

Anastasia na chwilę zamknęła oczy. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Powoli, niechętnie zabrała rękę z mojej dłoni i położyła ją na swoich kolanach.

– Modłę się do Boga, żeby nigdy do tego nie doszło – wyszeptała.

Siedzieliśmy w samochodzie, każde pogrążone w swoim milczeniu. Z jakiegoś powodu rolls wydawał się teraz większy i zimniejszy. A cisza głębsza.

W końcu Luccio uniosła brodę i spojrzała na mnie.

– Co teraz zrobisz?

– A jak myślisz? – Zacisnąłem pięści, aż strzeliły stawy, poruszyłem szyją i otworzyłem drzwi. – Pójdę szukać brata.

Dwie godziny i pół tuzina prób z zaklęciami tropiącymi później warknąłem i zrzuciłem ze stołu plik notatek w moim piwnicznym laboratorium. Kartki uderzyły w ścianę pod Bobem Czaszką i spadły na betonową posadzkę.

– Tego należało się spodziewać – odezwał się cicho Bob. Pomarańczowe światelka niczym błyski dalekich ognisk obozowych rozjarzyły się w oczodołach zbielełej ludzkiej czaszki stojącej na półce na jednej ze ścian, w otoczeniu ogarków stopionych świec i kilku romansideł w papierowych okładkach. – Wiąż krwi między rodzicem a dzieckiem jest dużo silniejsza niż ta między przyrodnim rodzeństwem.

Spiorunowałem czerep wzrokiem i rzuciłem ściszone głosem:

– Nie możesz przeżyć dnia bez mówienia „a nie mówiłem”.

– Nie mogę się powstrzymać, skoro mylisz się przez cały czas, ale wciąż lekceważysz moje rady, sahibie. Ja jestem tylko pokornym sługą.

Nie mogłem wrzasnąć na mojego niematerialnego asystenta, kiedy nad nami w mieszkaniu byli inni ludzie, więc chwyciłem ołówek z pobliskiego blatu roboczego i rzuciłem nim w czaszkę. Koniec z gumką trafił Boba między oczy.

– O, zazdrości, twoje imię Dresden – powiedział Bob z obłudnym westchnieniem.

Zacząłem chodzić w tę i z powrotem po moim laboratorium, żeby pozbyć się nagromadzonej frustracji i energii. Nie był to długi spacer. Pięć kroków, obrót, pięć kroków, obrót. Znajdowałem się w małym, wilgotnym betonowym pomieszczeniu. Pod trzema ścianami ciągnęły się ławy robocze, a nad nimi tanie metalowe regały. Blaty i półki były zastawione najróżniejszymi rupieciami, książkami, odczytnikami, narzędziami, akcesoriami potrzebnymi w alchemii i mnóstwem notatników.

Długi stół ustawiony pośrodku był obecnie zakryty brezentem,

a w podłodze w jednym końcu pomieszczenia znajdował się idealny krąg z czystej miedzi. Wokół niego na podłodze leżały rozrzucone pozostałości po kilkunastu próbach zaklęć tropiących, a w środku rekwizyty i ślady ostatniej porażki.

– Któraś z nich powinna zadziałać – poskarżyłem się asystentowi. – Może nie wskazać dokładnej pozycji Thomasa, ale chociaż właściwy kierunek.

– Chyba że nie żyje, a w takim razie tylko marnujesz czas.

– On żyje – rzekłem z przekonaniem. – Kudłacz chce negocjować.

– Uhm! – mruknął kpiąco Bob. – Wszyscy wiedzą, jakie honorowe są naagloshii.

– On żyje – powtórzyłem. – I zamierzam dalej działać, opierając się na tym założeniu.

Bobowi jakoś udało się zrobić zdumioną minę.

– Ale dlaczego?

Bo chcesz, żeby z twoim bratem było wszystko w porządku, wyszeptał głos w mojej głowie.

– Bo żadne inne podejście nie doprowadzi do rozwiązania problemu – powiedziałem. – Ten, kto chowa się za kurtyną, wykorzystuje skórozmiennego i prawdopodobnie również Madeline Raith. Więc jeśli znajdę Thomasa, dopadnę również Kudłacza i Madeline i będę mógł pociągnąć za nitki, żeby rozplątać kłębek.

– Tak. – Bob przeciągnął to słowo. – Myślisz, że to pociąganie za nitki zajmie dużo czasu? Bo naagloshii zaczną robić coś podobnego z twoimi wnętrznościami.

Wydałem z siebie gardłowy dźwięk.

– Tak. Chyba już trochę go znam.

– Naprawdę?

– Próbuję załatwić Kudłacza, ale jego obrona jest zbyt dobra, a on jest szybki jak diabli.

– To nieśmiertelna półboska istota – przypomniał Bob. – Oczywiście, że jest dobry.

Machnąłem ręką.

– Chodzi mi o to, że sam próbowałem spuścić mu lanie. Następnym

razem, kiedy go zobaczę, zacznę rzucać na niego zaklęcia wiążące, żeby go spowolnić i wystawić na czysty strzał temu, kto będzie ze mną.

– To może zadziałać... – przyznał Bob.

– Dziękuję.

– ...jeśli jest idiotą i nauczył się tylko obrony przed atakami wrogiej energii – ciągnął Bob, jakbym w ogóle się nie odezwał. – Co, jak myślę, jest równie prawdopodobne jak to, że w końcu któreś z twoich zaklęć tropiących zadziała. On będzie wiedział, jak się bronić przed wiązaniem, Harry.

Westchnąłem.

– Mam problem z płcią.

Bob zamrugął.

– O rety. Chciałbym powiedzieć coś, co wprowadziłoby cię w jeszcze większe zakłopotanie, szefie, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

– Nie z moją płcią... cholera! – Rzuciłem następnym ołówkiem, ale ten nie trafił w Boba, tylko odbił się od ściany za nim. – Skórozmiennego. To mężczyzna? Mam mówić „on”?

Bob przewrócił światułkami w oczach.

– To półboski nieśmiertelnik, Harry. On się nie rozmnaża. Nie ma potrzeby rekombinować DNA. To oznacza, że pojęcie płci po prostu się do niego nie stosuje. To jedynie wy, worki mięsa, się tym przejmujecie.

– Więc dlaczego gapisz się na nagie dziewczyny, kiedy tylko trafi ci się okazja, a nie na nagich mężczyzn? – zapytałem.

– To kwestia estetyki – odparł Bob wyniośle. – Jako płć kobiety górują nad mężczyznami, jeśli chodzi o artystyczny aspekt ich zewnętrznego piękna.

– I mają cycki – dorzuciłem.

– I mają cycki! – zgodził się Bob, łypiąc oczodołem.

Westchnąłem i pomasaowałem skronie, zamykając oczy.

– Mówiłeś, że skórozmienni to półboskie istoty?

– Używasz słowa, które nie opisuje ich zbyt precyzyjnie. Większość skórozmiennych to tylko ludzie: potężni, niebezpieczni i często psychotyczni, ale ludzie. Są spadkobiercami tradycji i umiejętności wpajanych nielicznym śmiertelnikom przez oryginały. Naagloshii.

– Oryginały takie jak Kudłacz – dopowiedziałem.

– On jest autentyczny, racja – przyznał Bob poważniejszym tonem. – Według niektórych legend Nawahów naagloshii byli pierwotnie posłańcami Świętych, kiedy ci uczyli ludzi Błogosławieństw.

– Posłańcami? Jak aniołowie?

– Albo jak ci faceci na rowerach w Nowym Jorku. Nie wszyscy kurierzy są identyczni, panie Najniższy Wspólny Mianownik. W każdym razie oryginalni posłańcy, naagloshii, mieli odejść razem ze Świętymi, kiedy ci opuszczali świat śmiertelników. Ale niektórzy tego nie zrobili. Zostali tutaj, a ich egoizm skaził moc, którą dali im Święci. Voilà, Kudłacz.

Odchrząknąłem. Opowieść Boba była anegdotyczna, co oznaczało, że mogła zostać zniekształcona przez czas i kolejne przekazy. Poznanie obiektywnej prawdy wydawało się mało prawdopodobne, ale zaskakująco dużo tego rodzaju wierzeń przetrwało w ustnej tradycji społeczeństw Południowego Zachodu.

– Kiedy to się stało? – zapytałem.

– Trudno powiedzieć. Nawahowie nie postrzegają czasu tak, jak większość śmiertelników, co zapewne czyni ich bystrzejszymi od reszty z was, małp. Ale bezpiecznie jest założyć, że w prehistorii. Kilka tysięcy temu.

Aj! Tysiące lat przetrwania oznaczało tysiące lat nagromadzonego doświadczenia. To oznaczało, że Kudłacz jest bystry i łatwo się przystosowuje. W przeciwnym razie już by go tu nie było. W myślach awansowałem tę istotę z „bardzo twardej” na „prawie niemożliwie cholernie twardą”.

Ale ponieważ ona nadal miała mojego brata, niczego to nie zmieniało.

– Pewnie żadna srebrna kula na niego nie podziała? – musiałem się upewnić.

– Nie, szefie – odparł Bob. – Przykro mi.

Skrzywiłem się i wziąłem za sprzątanie bałaganu, który sam zrobiłem w laboratorium. Potem ruszyłem do wyjścia. Po dwóch krokach zatrzymałem się i odwróciłem.

– Hej, Bob.

– Tak?

– Jakieś pomysły, dlaczego nikt znajdujący się w pobliżu nie rzucił żadnego zaklęcia, kiedy LaFortier był mordowany przez maga?

– Ludzie to idioci?

– To cholernie dziwne – stwierdziłem.

– Irracjonalność nie jest dziwna – powiedział Bob. – Poza tym magowie wcale nie są tacy stabilni.

Zważywszy na to, co wyczyniałem ostatnio ze swoim życiem, nie mogłem się z nim spierać.

– To musi coś oznaczać – nie ustępowałem.

– Tak? Co?

Pokręciłem głową.

– Powiem ci, kiedy coś wymyślę.

* * *

Wróciłem do salonu przez właz w podłodze. Drzwi były grube, więc dźwięk z laboratorium nie przenosił się tak łatwo. Luccio spała na mojej kanapie nafaszerowana narkotykami, leżąc płasko na plecach, bez poduszki, przykryta lekkim kocem. Twarz miała odprężoną, usta lekko rozchylone. Wyglądała bezbrinnie i jeszcze młodziej niż zwykle. Molly siedziała w jednym z foteli, obok niej paliło się kilka świec. Czytała książkę w miękkiej oprawie, uważając, żeby nie otwierać jej do końca i nie pognieść grzbietu. Dziewczyńskie.

Poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie kanapkę. Szykując ją, uświadomiłem sobie, że zaczynam mieć dość takiego żarcia. Może powinienem nauczyć się gotować albo co.

Kiedy jadłem na stojąco, przyszła do mnie Molly.

– Hej, jak się czujesz? – zapytała ściszym głosem.

Kiedy wróciłem do domu, pomogła mi zabandażować drobne skaleczenie. Biała gaza owinięta wokół mojej głowy tworzyła coś w rodzaju zwichrowanej przepaski. Czuję się jak człowiek grający na piszczałce na znanym obrazie

Willarda „Duch roku ‘76”.

– Nadal w jednym kawałku – odpowiedziałem. – A jak reszta?

– Naszprycowani i śpiący. Morganowi gorączka podskoczyła o następne pół stopnia. Ostatni worek z antybiotykiem jest prawie pusty.

Zacisnąłem zęby. Jeśli wkrótce nie zawiozę Morgana do szpitala, będzie martwy tak samo jak wtedy, gdy dopadnie go Rada albo Kudłacz.

– Mam mu zrobić okłady z lodu? – zapytała Molly z niepokojem.

– Nie. Dopiero kiedy gorączka skoczy do stu czterech i utrzyma się na tym poziomie, zacznie mu zagrażać. Do tego czasu robi to, co ma robić, czyli spowalnia infekcję. – Dokończyłem kanapkę. – Jakies telefony?

Molly podała mi kartkę z notesu.

– Dzwoniła Georgia. Andi jest tutaj. Oni nadal przy niej siedzą.

Wziąłem świstek z kwaśną miną. Gdybym całą wieczność temu nie wpuścił Morgana do mojego mieszkania, nie byłoby go w Chicago, Paskudny Kudłacz nie śledziłby mnie, żeby go dopaść, Andi nie zostałaby ranna, Kirby nadal by żył. A ja nie próbowałbym dowiadywać się o jej stan. – Co z nią?

– Wciąż nie są pewni – odpowiedziała Molly.

Pokiwałem głową.

– Okay.

– Znalazłeś Thomasa?

Pokręciłem głową.

– Całkowita klapa.

Do kuchni przyczłapał Myszek, usiadł i spojrzał na mnie z zatroskaną miną.

Molly przygryzła wargę.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała.

– Ja... – Zawiesiłem głos i westchnąłem. – Nie mam pojęcia.

Myszek dotknął łapą mojej nogi. Nachyliłem się i podrapałem go za uszami. Natychmiast tego pożałowałem, bo ktoś zacisnął imadło na moich skroniach. Z grymasem bólu na twarzy wyprostowałem się pośpiesznie i przez chwilę zabawiałem dzikimi fantazjami, żeby położyć się na podłodze i spać przez tydzień.

Molly obserwowała mnie z troską na twarzy.

Właśnie, Harry. Ona nadal jest twoją praktykantką. Pokaż jej, co powinien zrobić mag.

Spojrzałem na kartkę.

– Odpowiedź nie jest oczywista, co oznacza, że muszę nad nią trochę pomyśleć. I w tym czasie pójdę odwiedzić Andi.

Molly pokiwała głową.

– A co ja mam robić?

– Utrzymuj fort. Jeśli ktoś zadzwoni albo jeśli Morganowi się pogorszy, spróbuj złapać mnie w szpitalu.

Molly z powagą pokiwała głową.

– Poradzę sobie.

Zgarnąłem swój sprzęt i kluczyki do rollsa. Już miałem wychodzić, ale zatrzymałem się w progu i odwróciłem do swojej praktykantki, która podeszła do drzwi, żeby je za mną zamknąć.

– Hej.

– Tak?

– Dziękuję.

Molly zamrugnęła.

– Za co?

– Zrobiłaś więcej, niż cię prosiłem. Więcej, niż to było dla ciebie dobre. – Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. – Dziękuję, Molly.

Dziewczyna uśmiechnęła się i uniosła brodę.

– Żałosny jesteś. Jak mogłabym cię zostawić?

Jej słowa mnie rozśmieszyły, choćby tylko na chwilę, a uśmiech Molly stał się promienny.

– Znasz procedurę – powiedziałem.

Molly pokiwała głową.

– Mieć oczy otwarte, być superostrożną, nie ryzykować.

Mrugnąłem do niej.

– Mądrzejesz, nowicjuszeko.

Molly już miała coś odpowiedzieć, ale powstrzymała się i po krótkim wahaniu objęła mnie i mocno uściskała.

– Bądź ostrożny, dobrze?

Odwzajemniłem uścisk i lekko cmoknąłem ją w czubek głowy.

– Trzymaj się, dzieciaku. Wszystko wyprostujemy.

– Okay – powiedziała Molly. – Tak zrobimy.

Ruszyłem w chicagowską noc, zastanawiając się, czy to w ogóle możliwe.

Nie lubię szpitali, ale z drugiej strony, kto lubi?

Nie cierpię czystych, zimnych korytarzy. Nie cierpię ostrego fluorescencyjnego światła. Nie cierpię dzwonek telefonów. Nie cierpię pastelowych fartuchów pielęgniarek i salowych. Nie cierpię wind i kojących kolorów ścian. Nie cierpię sposobu, w jaki wszyscy mówią: odmierzonym, spokojnym głosem.

Ale przede wszystkim nie lubię związanych z nimi wspomnień.

Andi nadal leżała na intensywnej terapii. Nie mógłbym do niej wejść – podobnie jak do Billy'ego i Georgii, gdyby kilka lat wcześniej nie załatwili sobie pełnomocnika medycznego. Było długo po normalnych godzinach wizyt, jednak większość personelu szpitalnego nagina zasady i idzie na rękę tym, których bliscy przebywają na tym oddziale. Świat bardzo się zmienił w ciągu wieków, ale czuwanie przy umierających nadal jest powszechnie respektowane.

Billy chciał, żebym został jego pełnomocnikiem na wypadek, gdyby go hospitalizowano, a Georgii akurat nie było pod ręką. Choć żaden z nas tego nie powiedział, obaj wiedzieliśmy, dlaczego naprawdę to zrobił. Jedynym powodem nieobecności Georgii mogła być śmierć, a gdyby nawet Billy nie był w stanie sam podejmować decyzji, na pewno nie chciałby zostać i przekonać się, jak wyglądałby świat bez niej. Potrzebował kogoś, kto to zrozumie.

Billy i Georgia są jednością.

Spędziłem wiele niekończących się godzin w poczekalni oddziału intensywnej terapii w Strogerze i teraz stwierdziłem, że ta nic się nie zmieniła, odkąd byłem tu ostatnio. Była pusta, nie licząc Georgii, która spała na kanapie, w okularach na nosie. Na jej brzuchu leżała otwarta książka napisana przypuszczalnie przez jakiegoś wybitnego psychologa. Georgia

wyglądała na wyczerpaną.

Minąłem poczekalnię i ruszyłem w stronę dyżurki pielęgniarek. Zmęczona kobieta w wieku trzydziestu paru lat spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– Już dawno po godzinach odwiedzin, proszę pana – powiedziała.

– Wiem. – Wyjąłem z kieszeni notes i szybko napisałem liścik. – Wrócę do poczekalni. Kiedy następnym razem pójdzie pani do panny Macklin, mogłaby pani to dać dżentelmenowi siedzącemu przy niej?

Pielęgniarka odprężyła się odrobinę i posłała mi znużony uśmiech.

– Oczywiście. To będzie dosłownie za kilka minut.

– Dzięki.

Wróciłem do poczekalni i usiadłem na krześle. Zamknąłem oczy i oparłem głowę o ścianę. Drzemałem do chwili, kiedy usłyszałem kroki.

Billy ze zrolowanym kocem pod pachą rozejrzał się po poczekalni i skinął mi głową. Ruszył w stronę Georgii, bardzo delikatnie zdjął jej okulary i zabrał książkę. Odłożył je na niski stolik i narzucił koc na śpiącą dziewczynę. Ona nawet się nie poruszyła, tylko zamruczała i poprawiła się na kanapie, ale Billy uciszył ją, głaszcząc po włosach. Georgia westchnęła i wygodniej ułożyła się pod przykryciem.

Sięgnąłem do wyłącznika znajdującego się obok mojej głowy i zgasilem światło. Pokój pogrążył się w mroku.

Billy uśmiechnął się do mnie z wdzięcznością i wskazał głową na drzwi. Wstałem z krzesła i razem wyszliśmy na korytarz.

– Powinienem był zadzwonić do ciebie wcześniej – powiedziałem. – Przepraszam.

Billy pokręcił głową.

– Wiem, jak jest, stary. Nie trzeba żadnych przeprosin.

– Okay – rzuciłem, choć się z nim nie zgadzałem. – Jak z nią?

– Niedobrze. Miała wewnętrzny krwotok. Potrzebne były dwie operacje, żeby go zatamować. – Billy wsadził ręce w kieszenie dżinsów. – Powiedzieli nam, że jeśli przeżyje noc, najgorsze będzie miała za sobą.

– Jak się trzymasz?

– Sam nie wiem, stary. Zadzwoniłem do rodziny Kirby'ego. Byłem jego

przyjacielem. Musiałem. Policja już się z nimi skontaktowała, ale to nie to samo.

– Nie.

– Kiepsko to przyjęli. Kirby był ich jedynym dzieckiem.

Westchnąłem.

– Przykro mi.

Billy wzruszył ramionami.

– Kirby znał ryzyko. Wolałby zginąć, niż stać bezczynnie.

– A Georgia?

– Bez niej nie dałbym rady. Bez jej siły i spokoju. – Billy zerknął w stronę poczekalni i w kącikach jego oczu pojawił się uśmiech. – Jest dobra w odkładaniu spraw na bok, aż przyjdzie pora, żeby się nimi zająć. Kiedy sytuacja się unormuje, będzie moja kolej, żeby podtrzymywać ją na duchu.

Jak wspomniałem.

Jedność.

– Ta istota, która załatwiła Kirby'ego, teraz porwała Thomasa Raitha – oznajmiłem.

– Wampira, z którym czasem pracujesz?

– Tak. Zabiję tego stwora, kiedy tylko wymyślę, jak go znaleźć. Prawdopodobnie pomogą mi wampiry, ale mogę potrzebować wsparcia, któremu ufam.

Oczy Billy'ego nagle rozbłysły płomieniem wściekłości i głodu.

– Tak?

Pokiwałem głową.

– To grubsza sprawa. Nie mogę rozmawiać z tobą o wszystkim, co się dzieje. I wiem, że Andi cię tutaj potrzebuje. Zrozumiem, jeśli nie...

Billy skierował na mnie spojrzenie; niebezpieczne ognie teraz jedynie się tliły.

– Harry, nie zamierzam więcej działać na oślep.

– Co masz na myśli?

– To, że przez lata chętnie ci pomagałem, choć nigdy nie raczyłeś mi powiedzieć, co jest grane. Trzymałeś karty przy orderach. I wiem, że miałeś swoje powody. – Popatrzył na mnie spokojnie. – Kirby nie żyje. Może Andi

też umrze.

Sumienie nie pozwalało mi spojrzeć mu w oczy, nawet na chwilę.

– Wiem.

Billy pokiwał głową.

– Gdybym wcześniej odbył z tobą tę rozmowę, może by żyli. Może gdybyśmy mieli lepsze pojęcie o tym, co naprawdę dzieje się na świecie, zmieniliby to nasze podejście do różnych spraw. Oni mnie słuchają, Harry. Mam obowiązek zadbać o to, żeby byli świadomi i bezpieczni.

– Tak – powiedziałem. – Rozumiem twój punkt widzenia.

– Więc jeśli chcesz mojej pomocy, wszystko musi się zmienić. Nie zamierzam znowu atakować na oślep. Nigdy więcej.

– Billy, tych rzeczy nie da się wyrzucić z pamięci. Strzegę was przed najgorszym, bo... nie chcę was obrazić, ale jesteście bandą amatorów bez pojęcia o prawdziwym zagrożeniu.

Jego oczy pociemniały.

– Strzeżesz przed najgorszym – powtórzył cichym, groźnym tonem. – Powiedz to Kirby'emu. Powiedz to Andi.

Odsunąłem się o kilka kroków, ścisnąłem mostek nosa palcami i zamknąłem oczy. Billy oczywiście miał rację. Dawkowałem informacje, bo chciałem ich chronić. I to działało... przez jakiś czas.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Przyczyniła się do tego śmierć Kirby'ego.

– Jesteś pewien, że nie chcesz się wycofać? – zapytałem. – Gdy już wkroczysz na scenę, łatwo z niej nie zejdziesz. – Zacisnąłem zęby. – I wierz mi albo nie, ale owszem, byliście izolowani od najgorszego.

– Nie cofnę się w tej sprawie, Harry. Nie mogę. – Kątem oka zobaczyłem, że Billy zaplata ręce. – To ty chcesz naszej pomocy.

Wycelowałem w niego palec.

– Nie chcę wciągać cię w to, co się dzieje. Nie chcę, żebyś narażał się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. – Westchnąłem. – Ale... stawka jest wysoka i myślę, że mogę was potrzebować.

– W takim razie w porządku – rzekł Billy. – Wiesz, ile to będzie kosztowało.

Stał naprzeciwko mnie bez ruchu, patrząc na mnie zmęczonymi oczami,

a ja uświadomiłem sobie coś, co do tej pory nie przybrało formy uchwytnej myśli: że Billy już nie jest dzieciakiem. Nie dlatego, że skończył studia ani że był zdolny. On widział najgorsze: śmierć, bezlitosną i brzydką, niszczącą wszystko. Wiedział w głębi serca, ponad wszelką wątpliwość, że ona może przyjść również po niego, zabrać go tak łatwo, jak zabrała Kirby'ego. Ale postanowił stawić jej czoło.

Billy Borden, młody wilkołak, zniknął.

Will zdecydował się trwać przy mnie.

Nie mogłem dłużej traktować go jak smarkacza. Will prawie nic nie wiedział o nadprzyrodzonym świecie, nie licząc drobnych zagrożeń, które czaiły się wokół Uniwersytetu Chicagowskiego. On i inne wilkołaki były dzieciakami, które przed niemal dziesięciu laty nauczyły się jednej naprawdę sprytnej sztuczki magicznej. Nie podzieliłem się z nimi niczym więcej, a paranormalna społeczność na ogół jest ostrożna, jeśli chodzi o to, co mówi obcym. Billy w najlepszym razie miał mgliste pojęcie o nadnaturalnych sprawach i zupełnie nie zdawał sobie sprawy, jak gorąco się teraz wokół mnie zrobiło.

Will dokonał wyboru. Nie mogłem dalej trzymać go w niewiedzy i wmawiać sobie, że go chronię.

Wskazałem głową na kilka krzeseł stojących pod ścianą na najbliższym skrzyżowaniu korytarzy.

– Usiądźmy. Mam mało czasu, a jest dużo do omówienia. Powiem ci wszystko przy okazji, ale na razie streszczę to, co najważniejsze.

* * *

Kiedy skończyłem przekazywać Willowi skrócony wstęp do świata nadprzyrodzonego, nadal nie miałem wymyślonego żadnego planu. Dlatego, stosując w praktyce teorię, że właściwe rozwiązania po prostu potrzebują czasu, żeby się wykrystalizować, a dzieje się to, kiedy jestem w ruchu, wróciłem do pożyczonego samochodu i ruszyłem do następnego miejsca, które powinienem odwiedzić już wcześniej.

Murphy miała kiedyś gabinet w siedzibie wydziału dochodzeń specjalnych policji chicagowskiej. Potem zaprzepaściła karierę szefowej wydziału, żeby mnie kryć w czasie pewnej gigantycznej rozróby. Omal nie straciła pracy, ale że była trzecim pokoleniem gliniarskiego klanu, udało się jej zatrzymać odznakę, choć została zdegradowana do stopnia detektywa sierżanta i usunięta z wysokiego stanowiska.

Teraz jej dawny gabinet zajmował John Stallings, a Murphy miała biurko w dużej ogólnej sali. Pod jedną nogę nienowego mebla wsunięto mały plik formularzy złożonych na trzy. Wszystkie biurka w tym pomieszczeniu – co najmniej dwa razy więcej, niż przewidziano na nie miejsca – były stare i poobtłukiwane, ściany i podłoga zniszczone. Wydział dochodzeń specjalnych stanowił zsymp dla gliniarzy, którzy ściągnęli na siebie gniew przełożonych albo, co gorsza, zrobili niewłaściwy krok w bezwzględny świat chicagowskiej polityki miejskiej.

O tej późnej porze budynek był prawie opustoszały i cichy. Dyżurny najwyraźniej musiał pojechać na jakieś wezwanie. Z trzech gliniarzy obecnych w sali, tylko jednego znałem z nazwiska: obecnego partnera Murphy, masywnego mężczyznę po pięćdziesiątce, z lekką nadwagą i siwiejącymi włosami, które mocno kontrastowały z ciemnokawowym odcieniem skóry.

– Rawlins – powiedziałem.

Odwrócił się do mnie i uprzejmie skinął głową.

– Wieczór.

– Co tutaj robisz tak późno?

– Daję swojej żonie amunicję, kiedy przywlecze moją dupę do sądu, żeby się rozwieść – odpowiedział wesoło. – Cieszę się, że przyszedłeś.

– Jest Murph? – zapytałem.

Chrząknął.

– Sala przesłuchań numer dwa, brytyjski podejrzany. Dalej korytarzem.

– Dzięki, stary.

Za rogiem po lewej stronie bramka bezpieczeństwa broniła dostępu do aresztu. Po prawej znajdował się krótki korytarzyk z czworgiem drzwi: od łazienek i od pokoiw przesłuchań. Zbliżyłem się do tych drugich

i zapukałem.

Otworzyła Murphy, nadal w tym samym ubraniu, w którym była w magazynie. Wyglądała na zmęczoną i zirytowaną. Mimo kompletnego braku chromosomu Y omal nie chrząknęła tak samo jak wcześniej Rawlins. Wyszła do holu, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę przyglądała się mojej głowie.

– Co, do diabła, Harry?

– Wizyta Kudłacza, kiedy pojechałem porozmawiać z Larą Raith. Jakies kłopoty z Binderem?

Murphy pokręciła głową.

– Chyba miałby trudności z robieniem swoich sztuczek, skoro nie może wstać z krzesła ani użyć rąk. Siedziałam z nim, na wypadek gdyby próbował wykręcić jakiś numer.

Uniosłem brew. Byłem pod wrażeniem. Nie zdążyłem wcześniej poradzić jej, jak bezpiecznie postępować z Binderem, ale ona sama to wymyśliła.

– Niezła metoda – pochwaliłem. – Za co oficjalnie jest zatrzymany?

– Oficjalnie jeszcze nie postawiłam mu zarzutów. Jeśli będę musiała, mogę go oskarżyć o naruszenie terenu prywatnego, niszczenie mienia i napaść na funkcjonariusza. – Pokręciła głową. – Ale nie możemy trzymać go w nieskończoność. Jeśli wysunę oskarżenia, wkrótce znajdzie się pod lżejszym dozorem. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby udało mu się wezwać tamte stwory w areszcie albo w więzieniu.

– Tak. – Pokiwałem głową. – Nie sądzę, żebyś mogła dłużej go przetrzymywać.

Murphy wykrzywiła z goryczą usta.

– Nienawidzę puszczać wolno takich kutasów.

– Często się to zdarza? – spytałem.

– Przez cały czas. Luki w przepisach, niewłaściwe procedury, odrzucenie kluczowych dowodów. Wielu osobników, którzy są winni jak diabli, wychodzi nawet bez reprimendy. – Murphy z westchnieniem wzruszyła ramionami. – Cóż, świat jest popieprzony.

– Podobno. Chcesz porównać notatki?

– Jasne. Co masz?

Zdałem jej krótką relację z ostatnich wydarzeń. Kiedy skończyłem, Murphy chrząknęła i spytała:

– Czy to nie jest niebezpieczne? Angażowanie wampirów?

– Owszem, ale tu chodzi o Thomasa. Myślę, że Lara naprawdę chce go odnaleźć. Zresztą po co martwić się paleniem w łóżku, skoro budynek już płonie?

– Racja – przyznała Murphy. – Ja mam zdjęcia, ale one nie wnoszą nic nowego. Poza tym wrzuciłam do systemu numery rachunków bankowych, które mi dałeś, i nic.

– Cholera! – zakląłem.

– I tak to był strzał w ciemno.

– Binder coś powiedział?

Murphy wykrzywiła usta, jakby chciała wypluć coś paskudnego.

– Nie. To twarda sztuka. Zawodowy przestępca. Już nieraz był przesłuchiwany.

– Tak. On wie, że nic nie możesz mu zrobić. Najwyżej jeszcze trochę go potrzymać. Jeśli da nam coś na swojego pracodawcę, straci wiarygodność u klientów, o ile pożyje tak długo.

Murphy oparła się plecami o ścianę.

– Mówisz, że Kudłacz ma komórkę Thomasa?

– Tak. Sądzisz, że da się ją namierzyć?

– W ramach jakiego dochodzenia? Nie mam już takiej swobody działania, do jakiej przywykłam. Gdybym chciała zastawić pułapkę, musiałabym uzyskać zgodę sędziego, a nie wiem, czy któryś kupiłby takie uzasadnienie, że „brat mojego przyjaciela maga, wampir, został porwany przez demonicznego skórozmiennego Nawahów”.

– Właściwie nie myślałem o tym w ten sposób – przyznałem.

Murphy wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, środki i kontakty Lary są pewnie lepsze niż moje, zważywszy na ograniczenie czasowe.

Nie zdołałem pohamować burknięcia frustracji.

– Jeśli coś odkryje – powiedziałem. – I jeśli uczciwie podzieli się tym, co odkryje.

Murphy zmarszczyła brwi.

– Skąd został porwany Thomas?

– Nie jestem pewien, ale chyba z magazynu. Jego wypożyczony samochód nadal tam stoi, a on zaczął mówić przez telefon, że nie da sobie rady ze wszystkimi.

– Wszystkimi? Z szarymi garniturami?

Kiwnąłem głową.

– Najprawdopodobniej. Ponieważ nie przyłączył się do walki, pewnie Kudłacz go dorwał, kiedy uwagę Thomasa odwrócili Binder i jego pupile.

– A ty nie możesz wytropić go magią.

– Nie mogę – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Kudłacz w jakiś sposób jej przeciwdziała.

– Jak to możliwe?

Przez chwilę zbierałem myśli.

– Zaklęcia tropiące są jak inne rodzaje celowanej taumaturgii. Ustanawiasz połączenie z danym obiektem i przelewasz w nie energię. W wypadku zaklęcia tropiącego wytwarzasz stały strumień energii i podążasz za nim do celu. Jakbyś wylewała ciecz na jakąś powierzchnię, żeby sprawdzić, gdzie jest spadek.

– Okay – powiedziała Murphy. – Rozumiem, mniej więcej.

– Jeśli chcesz udaremnić zaklęcie tropiące, musisz zapobiec utworzeniu tego kanału. Jeśli on nie powstanie, nie ma znaczenia, kiedy i gdzie wyleje się wodę, bo nic nie skłoni jej do płynięcia. A żeby zapobiec utworzeniu kanału, wystarczy osłonić cel przed tym, czego używasz, żeby nawiązać połączenie.

– Na przykład?

– Na przykład, gdybym miał twój włos i chciał go użyć do zaklęcia tropiącego, mogłabyś temu zapobiec, goląc głowę. Podobnie, jeśli nie będę miał twojego włosa, najlepiej wyrwanego z cebulką, i to niedawno, połączenie również nie powstanie, więc będziesz ukryta.

– I to jedyny sposób, żeby pokonać zaklęcie tropiące?

– Nie. Dobry krąg mocy mógłby cię osłonić, gdybyś miała czas i pieniądze, żeby był wystarczająco silny. Teoretycznie mogłabyś również przejść do

Nigdynigdy. Zaklęcia taumaturgiczne powstające tutaj nie działają zbyt skutecznie w świecie duchów. I zanim spytasz, tak, próbowałem tego również od strony Nigdynigdy. To był nieudany czar numer trzy.

Murphy zmarszczyła brwi.

– A co z Justine? – zapytała. – Już raz udało się jej go znaleźć.

Skrzywiłem się.

– Była w stanie podać nam niepewną wskazówkę kilka godzin po tym, jak Thomas wysłał z niej prawie całe życie. Teraz jest inaczej.

– Dlaczego?

– Bo ona już nie odbiera Thomasa jako brakującej części jej własnej siły życiowej. Nie byli razem w ten sposób od lat. Thomas, można powiedzieć, zużył tę energię dawno temu.

Murphy westchnęła.

– Widziałam, jak robisz fajne rzeczy, Harry. Ale magia chyba nie naprawia wszystkiego.

– Magia niczego nie naprawia – sprostowałem. – Po to właśnie są stosujące ją osoby.

– Skoro już o tym mowa. Jakies pomysły, dlaczego tamci magowie najwyraźniej nie stosują magii?

– Jeszcze nie.

– Jakies pomysły co do naszego sprawcy? – naciskała Murphy.

– Parę. W tej grze są osobne elementy: Kudłacz, Binder, Madeline Raith. A w tle poważne pieniądze. Jeśli nie znajdziemy karalucha i nie wyciągniemy go na światło, cała sprawa źle się dla wszystkich skończy. Nie wiem, co nam to o nim mówi.

– Że jest naprawdę sprytny – podsunęła Murphy. – Albo naprawdę zdesperowany.

Uniosłem brew.

– Jak do tego doszłaś?

– Skoro jest taki superbystry, możliwe, że jeszcze nie dostrzegliśmy zarysu jego planu. Wszystko to mogło być jedną wielką zmyłką, a prawdziwy cios dopiero na nas spadnie.

– Nie wydaje mi się, żebyś naprawdę tak myślała.

Murphy posłała mi słaby uśmiech.

– Przestępcy zwykle nie są zbyt lotni. I musisz pamiętać, że nawet jeśli się miotamy, szukając odpowiedzi, sprawca jest w podobnej sytuacji. Nie może być pewien, co wiemy ani co zamierzamy.

– Mgła wojny – powiedziałem w zamyśleniu.

Murphy wzruszyła ramionami.

– Myślę, że to bardziej prawdopodobne wytłumaczenie niż pomysł, że nasz sprawca jest supergeniuszem zła jak z Bonda i powoli realizuje swój straszliwy plan. Zrobił wokół siebie za dużo zamieszania.

– Na przykład?

– Kudłacz śledził cię parę nocy temu, tak?

– Tak.

– Podobnie jak ten prywatny detektyw, o którym mi mówiłeś. Po co aż dwa ogony? Może dlatego, że prawa ręka nie wie, co robi lewa.

– Racja – zgodziłem się.

– Z tego, co mówisz, wynika, że Kudłacz właściwie nie jest chłopcem na posyłki.

– Nie jest.

– Ale najwyraźniej współpracuje ze sprawcą, przyjmuje od niego rozkazy. Nie musiał osobiście przekazywać żądań. To oczywiste, że wdarł się do Château, żeby Madeline mogła się wymknąć, korzystając z zamieszania.

Zamrugalem. Gdybym ostrzegł Larę o możliwości zdrady Madeline, z pewnością podjęłaby kroki, żeby ją zatrzymać. Próbowałem sobie przypomnieć, ile czasu upłynęło między naszym przybyciem do rezydencji Raithów a atakiem naagloshii. Wystarczająco dużo, żeby Madeline usłyszała o naszej obecności, założyła, że stało się najgorsze, i wezwała pomoc?

Może.

Murphy na mnie zerknęła.

– To chyba oczywiste, prawda?

– Dostałem obuchem w głowę.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się złośliwie.

– Na dzwony piekieł – mruknąłem. – Tak, to oczywiste. Ale niekoniecznie głupie.

– Głupie nie, ale chyba można śmiało nazwać ten krok desperackim. Sądzę, że Kudłacz był asem w rękawie. Kiedy Morgan uciekł, sprawca domyślił się dokąd i działając pod presją, zagrał kartą atutową. Tylko że kiedy Kudłacz cię znalazł, nie byłeś z Morganem. Spanikował, kiedy ty i wilkołaki niemal go dopadliście, i uciekł.

– Wtedy sprawca wykorzystuje inne ze swoich narzędzi – ciągnąłem, kiwając głową. – Madeline. Mówi jej, żeby mnie znalazła i wyciągnęła na rozmowę albo coś w tym rodzaju. Ale zamiast tego Thomas bije ją do nieprzytomności.

– To ma sens – przyznała Murphy.

– Co nie oznacza, że właśnie się stało.

– Jakoś musiało się stać. Załóżmy, że jesteśmy na właściwym torze. Co to oznacza?

– Niewiele – stwierdziłem. – Że działa paru bardzo złych ludzi. Są twardzi. Jedyny gość, którego udało się nam złapać, nie powie nam ani słowa. Możemy być pewni jedynie tego, że nic nie mamy.

Zamierzałem mówić dalej, ale umilkłem, bo wpadła mi do głowy pewna myśl.

Dałem jej sekundę na skryzalizowanie się.

Potem zacząłem się uśmiechać.

Murphy obserwowała mnie z przekrzywioną głową.

– Nic nie mamy? – powtórzyła.

Przeniosłem wzrok z niej na drzwi sali przesłuchań.

– Zapomnij – powiedziała Murphy. – On do nikogo nas nie doprowadzi.

– Naprawdę? – Przeciągnąłem to słowo. – Nie jestem pewien...

Murphy wróciła do pokoju przesłuchań.

Dwadzieścia minut później ja też tam wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Pomieszczenie było małe i prosto urządzone: stół na środku i dwa krzesła po bokach. Żadnego lustra weneckiego na ścianie, tylko wysoko w rogu pod sufitem niewielka kamera.

Binder siedział w dalszym końcu stołu. Na twarzy miał kilka siniaków, a do tego cały asortyment małych cięć pokrytych ciemnymi strupami. Z irytacją mrużył osobliwie zielone oczy. Przed nim na stole leżała długa kanapka w częściowo odwiniętym papierze. Z łatwością by ją dosięgnął... gdyby mógł poruszać rękami. Ale te były przykute kajdankami do poręczy krzesła. Kluczyk do nich znajdował się po drugiej stronie stołu, przed Murphy.

Z trudem pohamowałem uśmiech.

– Świetnie! – warknął Binder. – Teraz sprowadziłaś tego palanta. To policyjna tortura, ot co. Mój adwokat połknie cię i wypluje kości.

Murphy siedziała naprzeciwko niego z założonymi rękami, w całkowitym milczeniu, i tylko przeszywała go nieprzyjaznym spojrzeniem.

Binder popatrzył szyderczo najpierw na nią, a potem na mnie, chyba po to, żebym nie poczuł się wykluczony.

– A, teraz rozumiem – powiedział. – Dobry glina i zły glina? – Zmierzył mnie wzrokiem. – Ta zimna suka zmusza mnie do siedzenia godzinami na krześle, żeby mnie zmiękczyć. Potem ty wchodzisz, uprzejmy i współczujący, a ja załamuję się pod presją, co? – Usadowił się wygodniej na krześle, samym tym ruchem wyrażając zniewagę. – Śmiało, Dresden. Zaczynaj. Rób za dobrego gliniarza.

Patrzyłem na niego przez chwilę.

Potem zacisnąłem pięść i rąbnąłem go w zadowoloną twarz tak mocno, że przewrócił się do tyłu razem z krzesłem.

Przez jakąś minutę leżał na boku, odpędzając mruganiem łzy z oczu. Przy upadku spadł mu z nogi but, z jednego nozdrza ciekła krew. Stałem nad nim i popatrzyłem na swoją rękę. Bicie ludzi po twarzy boli. Nie tak bardzo jak cios w szczękę, ale człowiek wie, że kogoś uderzył. Moje kostki musiały otrzeć się o jego zęby. Straciły trochę skóry.

– Nie wciskaj mi tego prawniczego kitu, Binder – powiedziałem. – Obaj wiemy, że gliniarze nie mogą długo cię trzymać. Ale obaj również wiemy, że nie możesz wykorzystać systemu przeciwko nam. Nie jesteś wyróżniającym się członkiem społeczności, tylko płatnym zabójcą, poszukiwanym w kilkunastu krajach.

– Myślisz, że jesteś twardzielem, co? – rzucił szyderczo, przeszywając mnie wzrokiem.

Zerknąłem na Murphy.

– Mam odpowiedzieć na pytanie czy kopnąć go w jaja?

– Zobaczyć to uwierzyć – mruknęła Murphy.

– Prawda. – Wróciłem spojrzeniem do leżącego i zrobiłem zamach stopą.

– Cholera jasna! – warknął Binder. – Ta przeklęta kamera obserwuje każdy twój ruch. Myślisz, że za to nie bekniesz?

Interkom zamontowany na ścianie obok kamery przemówił nagle głosem Rawlinsa:

– On ma rację. Nie widzę stąd wszystkiego. Przesuń go parę stóp w lewo i daj mi jakieś trzydzieści sekund, zanim weźmiesz się za jego jaja. Zrobię sobie popcorn.

– Jasne – powiedziałem, unosząc kciuki do kamery.

Istniała duża szansa, że sprzęt się zepsuje, jeśli zostanę w pokoju, ale przekaz chyba dotarł.

Usiadłem na brzegu stołu jakąś stopę od Bindera i sięgnąłem po kanapkę. Ugryzłem kawałek i zacząłem go żuć w zamyśleniu.

– Mmm. – Zerknąłem na Murphy. – Jaki to ser?

– Gouda.

– Wołowina też smakuje świetnie.

– Teriyaki – poinformowała mnie Murphy, nadal wpatrując się w Bindera.
– Byłem naprawdę głodny – wyznałem szczerym tonem. – Nie jadłem od rana. Wyśmienie.

Binder wymamrotał coś pod nosem. Ja zrozumiałem tylko dwa słowa: „pieprzony drań”.

Zjadłem pół kanapki i odłożyłem resztę na stół. Zlizalem sos z palców i spojrzałem na Bindera.

– Okay, twardzielu. Gliniarze nie mogą cię trzymać, więc obecnej tutaj pani sierżant pozostaje tylko kilka opcji. Albo cię wypuszczą...

Murphy wydała z siebie głuchy warczący dźwięk, równie imponujący jak jej chrząknięcia.

– Jednak bardzo jej się nie podoba ten pomysł. – Wstałem ze stołu i ukucnąłem przy Binderze. – Albo zrobimy inaczej.

Gość zmrużył oczy.

– Zabijesz mnie, tak?

– Nikt za tobą nie będzie tęsknił – skomentowałem.

– Błefujesz – stwierdził Binder. – Ona jest cholernym gliną.

– Tak. Ale zastanów się chwilę. Sądzisz, że policyjny detektyw nie potrafi sprawić, żebyś zniknął bez śladu?

Binder przeniósł wzrok ze mnie na Murphy. Jego twarz zachowała chłodny wyraz.

– Czego chcecie?

– Twojego szefa – oznajmiłem. – Daj mi go i możesz sobie iść.

Facet gapił się na mnie przez pół minuty, a potem zażądał:

– Postaw moje krzesło.

Przewróciłem oczami i spełniłem jego życzenie. Był ciężki.

– Na dzwony piekieł, Binder. Jak dostanę przepukliny, z umowy będą nici.

Tamten łypnął na Murphy i poruszył nadgarstkami.

Policjantka ziewnęła.

– Cholera jasna! – warknął Binder. – Tylko jedną. Nie jadłem od wczoraj.

Murphy prychnęła.

– Nie wyglądasz, jakby groziła ci śmierć głodowa.

– Chcesz mojej współpracy, musisz okazać dobrą wolę – oświadczył

Binder. – Daj mi tę cholerną kanapkę.

Murphy rzuciła mi kluczyk od kajdanek, a ja uwolniłem lewą rękę aresztanta. Binder chwycił kanapkę i zaczął łapczywie ją pochłaniać.

– No dobrze – powiedziałem po chwili. – Mów.

– Co? – wymamrotał z pełnymi ustami. – Żadnej wody do popicia?

Wyrwałem mu z ręki ostatni kawałek kanapki, lypiąc groźnie.

Binder obserwował mnie niewzruszony. Oblizął palce do czysta i wydłubał sałatę z zębów.

– W porządku. Chcecie prawdy?

– Tak.

Binder nachylił się i wycelował we mnie palec.

– Prawda jest taka, że nikogo nie zabijesz, ważniaku. Ani ty, ani ta blond ptaszyna. A jeśli spróbowacie mnie zatrzymać, sprowadzę tu całą masę paskudnych istot. – Rozparł się na krześle i uśmiechnął szeroko wyraźnie zadowolony z siebie. – Więc równie dobrze możecie przestać marnować mój cenny czas i od razu mnie wypuścić. Oto wasza prawda.

Odwróciłem się do Murphy, marszcząc brwi.

Karrin wstała, obeszła stół i chwyciła Bindera za krótko ostrzyżoną głowę. Twardo przycisnęła ją do blatu, po czym wzięła ode mnie kluczyki i rozpięła drugą część kajdanek.

– Wynoś się – powiedziała cicho.

Binder wstał bez pośpiechu i wygładził na sobie ubranie. Potem zerknął szyderczo na policjantkę.

– Jestem zawodowcem, więc nie ma w tym nic osobistego, skarbie. Może następnym razem zostawimy interesy i pozwolimy sobie na odrobinę przyjemności.

– Może następnym razem złamiesz sobie kark, stawiając opór przy aresztowaniu – odparowała Murphy. – Wynoś się.

Binder uśmiechnął się do nas z wyższością i wolnym krokiem wyszedł z pokoju.

– I co? – zapytałem.

Murphy wyciągnęła do mnie rękę. Do jej palców przywarło kilka krótkich włosów, ciemnych i siwych. Uśmiechnąłem się do niej szeroko i schowałem

włosy do białej koperty, którą wcześniej zabrałem z biurka Rawlinsa.

– Daj mi chwilę – poprosiłem.

– Super – dobiegł z interkomu głos Rawlinsa. – Podoba mi się ten kanał.

* * *

– To świetny sposób na ściganie złych facetów – stwierdziła Murphy pół godziny później. – Nic nie robić, tylko czekać.

Siedziałem na krześle przy jej biurku i w wyciągniętej dłoni trzymałem skórzany rzemyk, na którego końcu wisiał zwykły kawałek kwarcu osadzony w miedzianej oprawce. Moje ramię zaczynało się męczyć, podtrzymywałem je więc drugą ręką. Kryształ nie wisiał jak pion, tylko przechylał się lekko na jedną stronę, jakby dał na niego stały, niesłyszalny wiatr.

– Cierpliwości – rzuciłem. – Binder może nie jest bystrzakiem, ale siedzi w tym interesie od kilku dekad. Wie, dlaczego chwyciłaś go za głowę. Nauczył się bronić przed takimi rzeczami.

Murphy posłała mi niewesołe spojrzenie. Zerknęła na swojego partnera, który siedział naprzeciwko niej przy swoim biurku.

– Nie patrz na mnie – ostrzegł Rawlins, nie odrywając wzroku od sudoku.
– Nie biegam już tak szybko jak kiedyś. Mógłbym przyzwycząć się do takiego ścigania złych facetów.

Kryształ nagle zaczął się kołysać w tę i z powrotem.

– A! Jest, widzicie? – Pozwoliłem im popatrzeć i opuściłem rękę. Przez chwilę masowałem obolałe mięśnie. – Co wam mówiłem? Wymknął się.

– Świetnie – skomentowała Murphy. – Teraz nie mamy pojęcia, gdzie on jest.

Schowałem kryształ do kieszeni i sięgnąłem po telefon Murphy.

– Na razie.

Wybrałem numer, ale stwierdziłem, że muszę dodać na początku dziewiątkę, żeby wyjść na miasto. Zacząłem od nowa. Tym razem się udało.

– Graver – odezwał się Vince.

– Tu Dresden. Powiedz mi, co robił jakieś trzydzieści sekund temu.

– Bądź cierpliwy. – Vince się rozłączył.

Zamrugalem, patrząc na aparat.

Murphy patrzyła na mnie przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

– Po prostu uwielbiam sytuacje, kiedy nie znam całego planu, a facet, który go zna, jest cały zadowolony z siebie i bardzo tajemniczy. Ty też tak masz?

Spiorunowałem ją wzrokiem i odłożyłem słuchawkę.

– Oddzwoni.

– Kto?

– Prywatny detektyw, który śledzi Bindera. Facet o nazwisku Vince Graver.

Murphy uniosła brwi.

– Żartujesz.

Rawlins zaczął rechotać, nadal skupiony na swojej łamigłówce.

– O co chodzi? – spytałem, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

– Parę lat temu był zastępcą szefa w Joliet – wyjaśniła Murphy. – Dostał cynk, że ktoś bije pewną call girl. Przyjrzał się sprawie. Z góry przyszło polecenie, żeby się wycofał, ale on poszedł i przyłapał radnego, który lubił tłuc swoje kobiety w ramach gry wstępnej. Jak on się nazywał?

– Dornan – podsunął Rawlins.

– Właśnie. Ricardo Dornan.

– Hm... – mruknąłem. – To wymagało odwagi.

– Jak diabli – zgodził się Rawlins. – I trochę głupoty.

– Granica jest cienka – zauważyła Murphy. – W każdym razie wkurzył parę osób i wkrótce się dowiedział, że zgłosił chęć przeniesienia do CPD.

– Możesz trzy razy zgadywać, do jakiego wydziału – wtrącił Rawlins.

– Więc złożył rezygnację – dokończyła Murphy.

– Więc nawet nie dał nam szansy, żebyśmy go poznali – dorzucił jej partner.

Murphy pokręciła głową.

– Został prywatnym detektywem. To facet, który uwielbia kary.

Rawlins się wyszczerzył.

– Jeździ mercedesem – powiedziałem. – I ma dom.

Rawlins odłożył ołówek i oboje z Murphy na mnie spojrzeli. Wzruszyłem ramionami.

– Ja tylko mówię, że chyba dobrze sobie radzi.

– Nie ma sprawiedliwości na świecie – mruknął Rawlins. Wziął z powrotem do ręki ołówek i wrócił do układanki.

Karrin chrząknęła po męsku.

Kilka minut później zadzwonił telefon. Murphy odebrała i przekazała mi słuchawkę.

– Twój gość to świr – oznajmił Vince.

– Wiem. Co robi?

– Wziął taksówkę i pojechał do motelu przy autostradzie na północ od miasta. Po drodze zatrzymuje się przy sklepie całodobowym. Potem idzie do swojego pokoju, goli się na łyso, wychodzi w bieliźnie i skacze do cholernej rzeki. Wraca do środka, bierze prysznic...

– Skąd wiesz? – przerwałem mu.

– Włamałem się do jego pokoju, kiedy to robił. Mógłbyś darować sobie pytania do końca mojego raportu.

– Trudno sobie wyobrazić, że nie nadajesz się na glinę – skomentowałem. Vince zignorował moją uwagę.

– Bierze prysznic i dzwoni po następną taksówkę.

– Powiedz mi, że za nią pojechałeś – nie wytrzymałem.

– Powiedz mi, że twój czek ma pokrycie – odparował Vince.

– Jasne.

– Taa... Teraz śledzę taksówkę. Chociaż nie muszę. Facet jedzie do hotelu Sax.

– Kim ty jesteś? Mentalistą?

– Usłyszałem przez CB – wyjaśnił Graver. – Przewidywany czas przybycia za osiemnaście minut.

– Osiemnaście? – powtórzyłem.

– To taka liczba między siedemnaście a dziewiętnaście. Nie mogę gwarantować, że w hotelu go nie zgubię, zwłaszcza jeśli facet zauważy ogon. Za dużo wyjść.

– Ja go tam przejmę – zapowiedziałem. – Nie zbliżaj się do niego, stary.

Jeśli zauważysz, że patrzy w twoją stronę, od razu się zmywaj. Ten gość jest niebezpieczny.

– Do licha, mam szczęście, że jeszcze nie zmoczyłem spodni.

– Mówię poważnie.

– Wiem. To miłe. Siedemnaście minut.

– Będę.

– Z czekiem. Biorę za dwa dni minimum. Wiesz o tym, prawda?

– Prawda, prawda. Będę.

– Co jest? – zapytała Murphy, kiedy odłożyłem słuchawkę.

– Binder myśli, że mi uciekł. Jedzie na spotkanie do hotelu Sax.

Murphy wstała i chwyciła kluczyki od samochodu.

– Skąd wiesz, że na spotkanie?

– Bo gdyby był sam, już wyjeżdżałby z miasta. – Pokiwałem głową. – On wraca do tego, kto go wynajął.

– Kto to jest? – zapytała Murphy.

– Przekonajmy się.

Sax jest typowym przedstawicielem tej klasy hoteli w bijącym sercu śródmieścia Chicago. Mieści się przy Dearborn, naprzeciwko House of Blues, i jeśli spojrzy się na niego z zewnątrz, wygląda, jakby ktoś wycelował w niebo aparat typu rybie oko. Budynki szybują w górę, pod kątami, które wydają się geometrycznie niemożliwe.

W wielu miejscach ulice Chicago są szersze niż w innych metropoliach, dzięki czemu wydają się mniej klaustrofobiczne, ale ta przed Saxem miała zaledwie trzy pasy od krawężnika do krawężnika. Kiedy Murphy i ja spojrzeliśmy w górę, odniosłem wrażenie, że idę ciemnym wąwozem.

– Coś cię dręczy? – zapytała Murphy.

Weszliśmy w krąg światła latarni ulicznej i długość naszych cieni na krótko się wyrównała.

– Co?

– Te duże istoty majaczące nad tobą.

– Nie powiedziałbym, że mnie to dręczy. Ja po prostu... jestem świadomy ich obecności.

Murphy spokojnie patrzyła przed siebie.

– Witaj w moim życiu – powiedziała.

Zerknąłem na nią i prychnąłem cicho.

Weszliśmy do lobby hotelowego, pomieszczenia z dużą ilością szkła i białej farby z czerwonymi akcentami. Zważywszy na późną porę, nie zdziwiłem się, gdy zobaczyłem tylko jedną osobę z personelu: młodą kobietę stojącą za jednym z kontuarów o szklanych frontach. Niedaleko siedział w fotelu samotny gość i czytał gazetę. Choć był jedynym facetem obecnym w holu, minęła sekunda, zanim się zorientowałem, że to Vince.

Graver odłożył czasopismo i podszedł do nas nieśpiesznym krokiem. Przesunął wzrokiem po Murphy, po czym skinął jej głową, a mnie podał

rękę.

Potrząsnąłem ją, a lewą wręczyłem mu czek. Vince zerknął na niego od niechcienia i schował go do kieszeni.

– Pojechał windą na dwunaste piętro – poinformował mnie. – Ma pokój tysiąc dwieście trzydzieści trzy.

Zamrugalem.

– Jak, do diabła, się tego dowiedziałeś? Pojechałeś z nim?

– Dobry sposób, żeby oberwać. Zostałem na dole. – Wzruszył ramionami.

– Mówiłeś, że ten facet oznacza kłopoty.

– Tak. Jak to zrobiłeś?

Posłał mi puste spojrzenie.

– Jestem w tym dobry. Chcesz wiedzieć, w którym siedzi fotelu?

– Nie. Wystarczy.

Vince zerknął na Murphy, zmarszczył brwi i przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Jezu, wyglądacie naprawdę poważnie – stwierdził.

– Tak. Mówiłem ci, że ten facet jest niebezpieczny. Ma kogoś u siebie?

– Jedną osobę. Chyba kobietę.

Murphy nagle się uśmiechnęła.

– Skąd, do diabła, to wiesz? – zapytałem.

– Obsługa hotelowa – wtrąciła Murphy.

Vince uśmiechnął się do niej z aprobatą i pokiwał głową.

– Może to ktoś inny na dwunastym piętrze zamówił szampana i dwa kieliszki dwie minuty po tym, jak nasz facet wysiadł z windy. Ale tak późno w nocy, wątpię. – Vince na mnie popatrzył. – Pokryję rachunek dla stewarda z mojego honorarium.

– Doceniam – powiedziałem.

Graver wzruszył ramionami.

– To wszystko?

– Tak. Dzięki, Vince.

– Póki twoje czeki mają pokrycie, jesteś u mnie mile widziany. – Skinął nam obojgu głową i wyszedł z hotelu.

Po jego odejściu Murphy z uśmiechem zmierzyła mnie wzrokiem.

- Wielki Harry Dresden zatrudnia detektywa.
- Oczekują, że będę robił sztuczki magiczne. I dałem im to, co spodziewali się zobaczyć. Kogoś takiego jak Vince Binder by nie wypatrywał.
- Jesteś po prostu wkurzony, że wywinęli ci numer – stwierdziła Murphy.
- I teraz się mścisz.

Prychnąłem.

- Lubię myśleć o tym jako o słusznej odpłacie.
- Brzmi szlachetniej – przyznała. – Oczywiście nie możemy pójść na górę i zawlec ich na przesłuchanie. Jaki jest plan?
- Zdobyć więcej informacji. Zamierzam posłuchać, o czym sobie gawędzą.
- Murphy rozejrzała się i pokiwała głową.
- Hotelowa ochrona będzie miała z tobą problem, kiedy zaczniesz się skradać po korytarzach. Pójdę zamienić z nimi słowo.
- Będę na dwunastym.
- Tylko nie wyważaj kopniakiem żadnych drzwi, jeśli nie będzie kogoś, kto przypilnuje twoich pleców – ostrzegła.
- Żadnego wykopywania – obiecałem. – Póki nie dowiem się wystarczająco dużo, żeby kopnąć ich tam, gdzie najbardziej zaboli.

Wjechałem na dwunaste piętro i wyjąłem z kieszeni płaszcza puszkę Silly String. Potrząsnąłem nią, idąc holem. Gdy znalazłem pokój tysiąc dwieście trzydzięści trzy, bez żadnych wstępów psiknąłem trochę Silly String na drzwi. Płyn radośnie trysnął z pojemnika i przykleił się do drewna.

Wtedy wróciłem korytarzem, aż trafiłem na otwarte maleńkie pomieszczenie z kostkarką do lodu i paroma automatami. Usiadłem, zmywalnym markerem szybko narysowałem wokół siebie krąg na wykafelkowanej podłodze i wziąłem się do roboty.

Gdy siłą woli zamknąłem krąg, otoczył mnie niewidzialny ekran. Nie był to trwały magiczny konstrukt, ale mógł skutecznie odgrodzić mnie od zewnętrznych energii i pozwolić na zgromadzenia moich własnych oraz spokojne uformowanie ich w określonym celu. Wziąłem puszkę i wylałem sporo płynu na lewą dłoń, tak że utworzył się na niej pagórek jak z pianki do golenia. Odstawiłem puszkę, wyciągnąłem rękę przed siebie, zamknąłem oczy i zebrałem wolę.

W magii chodzi o tworzenie połączeń. Wcześniej wziąłem włosy Bindera, żeby wykorzystać je do zaklęcia tropiącego. Mogłem zrobić mnóstwo rzeczy z tego rodzaju więzią, w tym również bardzo paskudnych i niebezpiecznych. Już je widywałem, zwykle od strony odbiorcy.

Tym razem wykorzystałem związek między gumą w sprayu na mojej ręce a odrobiną przyklejoną do drzwi pokoju. Obie części pochodziły z tej samej puszkii i z jednej określonej ilości substancji, co oznaczało, że mogę wykorzystać tę identyczność i stworzyć między nimi połączenie.

Skoncentrowałem wolę na pożądanym rezultacie i uwolniłem ją, szepcząc: *Finiculus sonitus*. Następnie zamazałem część narysowanego wcześniej kręgu i w ten sposób go przerwałem.

Od razu poczułem wibrację w lewej dłoni.

Przykleiłem garść gumowej serpentyny do lewego ucha.

– Nie próbujcie tego robić w domu, ludzie – wymamrotałem. – Ja jestem zawodowcem.

Pierwszą rzeczą, którą usłyszałem, była szaleńcza, gorączkowa muzyka. Piosenkarz krzyczał niemelodyjnie, bębny dudniły, ktoś grał na gitarze elektrycznej albo powoli zanurzał we wrzącym oleju koty cierpiące na zapalenie krtani. Żaden z domniemanych muzyków nie zwracał uwagi na to, co robią koledzy z zespołu.

– Chryste – usłyszałem głos Bindera. – Nawet ty nie potrafiłabyś tańczyć do tego łomotu.

Najpierw rozległ się zachrypnięty kobiecy śmiech, a potem bardzo szczęśliwa Madeline Raith odpowiedziała bełkotliwie:

– W tej muzyce nie chodzi o umiejętność i precyzję, kochanie. Chodzi o głód i pasję. I potrafiłabym do niej tak zatańczyć, że oczy by ci wyszły na wierzch.

– Nie jestem twoim „kochaniem” – burknął z irytacją Binder. – Nie jestem twoim nikim, złotko, tylko wynajętym pracownikiem.

– Nie jestem pewna, czy na twoim miejscu bym to podkreślała, Binder – powiedziała Madeline. – Odkąd okazałeś się wielkim rozczarowaniem jako najemnik.

– Od początku uprzedzałem, że nie mogę nic obiecać, jeśli wmiesza się

ktoś z Białej Rady – odparował ze złością Binder. – No i co? Zjawia się Harry Dresden ze swoim wsparciem, w dodatku z miejscowej policji.

– Zaczynam mieć tego dość – ostrzegła Madeline. – To tylko jeden człowiek.

– Jeden cholerny członek Białej cholernej Rady – zaczął się pieklić Binder.
– Ktoś taki potrafi zrobić wszystko to, co ja, i jeszcze dużo więcej. Nawet ludzie z cholernej Rady robią się nerwowi, kiedy mają z nim do czynienia.

– Mam go dość – fuknęła Madeline. – Dowiedziałeś się, gdzie ukrył Morgana?

– Może nie słyszałaś, skarbie, ale spędziłem cały dzień przykuty do krzesła w policyjnym areszcie.

Wampirzyca parsknęła w odpowiedzi zimnym, drwiącym śmiechem.

– Są miejsca, gdzie musiałbyś za to zapłacić.

– Ni diabła!

– Znalazłeś Morgana?

– Dresden ukrył go na jakiś czas w magazynie do wynajęcia, ale przeniósł go stamtąd, zanim zjawily się gliny – odburknął Binder. – Pewnie zabrał go do Nigdynigdy. Mogą być wszędzie.

– Nie, skoro Dresden jest z powrotem w Chicago – stwierdziła Madeline. – On nie pozwala sobie na to, żeby za bardzo oddalać się od Morgana.

– Więc sprawdź jego cholerne mieszkanie – doradził Binder.

– Nie bądź durniem – zbeształa go Madeline. – To pierwsze miejsce, do którego każdy zajrzy. On nie jest kompletnym idiotą.

Taa. Nie byłem idiotą. Jasne.

– Ty jesteś nadziana – rzucił drwiąco Bonder. – Nigdy tego nie zrozumiesz.

– Co to miało znaczyć? – W głosie Madeline pobrzmiwała irytacja.

– Że nie wszyscy mają cholerne rezydencje rozrzucone po całym świecie, ekstra samochody, którymi nigdy nie jeżdżą, albo dość gotówki, żeby nie myśleć dwa razy, zanim wyda się cholerne dwieście dolarów na butelkę szampana plus czterdzieści za room service.

– Więc?

– Więc Dresden to cholerny dzieciak według standardów Rady. Mieszka

w gównianej norze, a oprócz tego płaci za biuro. Nie ma stu albo dwustu lat odsetek od kapitału, żeby opłacić rachunki. A kiedy szukał awaryjnej kryjówki, kupił sobie umeblowane mieszkanie w innym mieście? Nie. Wynajmuje wszawy mały magazyn i trzyma w nim trochę sprzętu turystycznego.

– W porządku – rzuciła Madeline niecierpliwym tonem. – Przypuśćmy, że masz rację. Przypuśćmy, że ukrywa Morgana w swoim mieszkaniu. Nie zostawiłby go bez ochrony.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Binder. – Ma prawdziwe pole minowe z osłon. I do tego być może jeszcze paru wyczarowanych strażników albo coś w tym rodzaju.

– Potrafiłbyś się tam dostać?

– Daj mi tylko trochę czasu i moich chłopaków – odparł Binder. – To nie będzie szybkie, ciche ani czyste wejście. Ale jest prostszy sposób.

– Jaki?

– Spalić całą chatę. Mieszkanie ma tylko jedno drzwi. Jeśli Morgan będzie uciekał, złapiemy go. Jeśli nie, zgarniemy jego kości, jak już popioły ostygną. Zidentyfikują go na podstawie karty dentystycznej albo czegoś takiego, a my zgłosimy się po nagrodę.

Poczułem chłód w żołądku. Binder był zbyt spostrzegawczy jak na mój gust. Może nie grzeszył mądrością, ale okazał się nadzwyczaj przebiegły. Rzeczywiście wymyślił najlepszy plan ataku na moje mieszkanie chronione przez magiczne zabezpieczenia. Co więcej, wiedziałem, że jest zdolny go przeprowadzić. Przy okazji zabiłby moich starych sąsiadów i innych mieszkańców budynku, ale ktoś taki jak Binder nie zawahałby się nawet pół sekundy.

– Nie – zdecydowała Madeline po chwili ciszy pełnej napięcia. – Mam swoje instrukcje. Jeśli nie potrafimy sami dopaść Morgana, możemy przynajmniej zadbać o to, żeby znaleźli go Strażnicy.

– Strażnicy już go znaleźli – zauważył Binder. – Dresden jest cholernym Strażnikiem. Twój szef powinien nam zapłacić.

W pokoju zapadła złowieszcza cisza.

– W przeszłości byłeś dla niego umiarkowanie przydatny, Binder –

odezwała się po chwili Madeline. – Ale nie myśl, że przetrwasz, mówiąc mu, co powinien robić. W chwili kiedy staniesz się bardziej irytujący niż użyteczny, będziesz martwy.

– To nie grzech domagać się pieniędzy – odrzekł ponuro Binder. – Zrobiłem swoje i powinienem je dostać.

– Nie. Przegrałeś walkę z jednym przerośniętym skautem i jedną kieszonkową śmiertelniczką, a najśmieszniejsze, że dałeś się zgarnąć policji. W ten sposób straciłeś szansę na zdobycie nagrody.

Rozległ się szelest pościeli, potem ciche kroki na dywanie i trzask zapalniczki. Madeline paliła papierosa.

– Zamierzasz posprzątać? – spytał po chwili Binder innym tonem.

– Właśnie po to tutaj jestem. – Madeline zaciągnęła się i dodała: – Szkoda, że nie zjawileś się pięć minut wcześniej.

– Dlaczego?

– Bo pewnie zaczekałabym z telefonem.

Przyłapałem się na tym, że wstrzymuję oddech.

– Jakim telefonem? – zapytał Binder.

– Oczywiście do Strażników. Powiedziałam im, że Morgan jest w mieście i że Dresden go chroni. Powinni przybyć tutaj za godzinę.

Poczułem, że opada mi szczeka, a żołądek wykonuje salto w tył połączone z poczwórnym axlem.

O cholera!

Murphy spojrzała na rollsa i powiedziała:

– Chyba żartujesz.

Jechaliśmy do Saxa osobno, tak że wcześniej nie widziała mojej nowej bryki.

– Pożyczony – wyjaśniłem krótko. – Wskakuj.

– Nie jestem materialistką – oświadczyła Murphy, przesuwając dłonią po błotniku. – Ale... Cholera!

– Możemy się skupić? – przywołałem ją do rzeczywistości. – Świat się kończy.

Murphy pokręciła głową i wsiadła do samochodu.

– Przynajmniej odejdziesz z klasą.

Uruchomiłem silnik.

Rolls miał niezły wygląd, nawet w środku nocy, tak że inni zmotoryzowani, którzy byli na mieście o tak późnej porze, zostawiali mu dużo miejsca, jakby onieśmieleni czystym artyzmem silver wraitha.

– Stwierdzam, że ten rolls daje mi irracjonalną pociechę – wyznałem.

Murphy łypnęła na mnie z ukosa.

– Dlaczego?

– Wiem, jak umrę. Wkrótce, może naprawdę niedługo, przekonam się, że ugryzłem więcej, niż mogę połknąć. Po prostu nie potrafię się powstrzymać przed wściubianiem nosa, gdzie nie trzeba. Zawsze uważałem, że to Rada mnie załatwi, niezależnie od tego, co kto o mnie sądzi. Jest w niej wielu dupków, a ja nie mogę pozwolić, żeby się panoszyli, udając szlachetność.

Murphy spochmurniała, słuchając w milczeniu.

– Rada właśnie wkracza do gry. I ma dobre powody, żeby mnie załatwić. Albo tak jej się wydaje, co oznacza to samo. – Przełknąłem ślinę. W ustach mi zaschło. – Ale... po prostu mam przeczucie, że jednak nie odejdę z klasą. –

Wskazałem na rollsa. – To nie jest samochód, którym pojedę na śmierć. Rozumiesz?

Usta Murphy wykrzywiły się w kąciку, uśmiechnęły się przede wszystkim jej oczy. Ujęła moją rękę i przytrzymała. Jej dłonie wydawały się bardzo ciepłe. A może po prostu moje były zimne.

– Oczywiście masz rację, Harry.

– Tak myślisz?

– Zdecydowanie. Ten samochód to nie ty. Ty umrzesz w kiepsko odmalowanym gruchocie, który jeździ wbrew prawom fizyki, bo powinien już dawno pójść na złom.

– Rany! Wydawało mi się, że tylko ja jeden tak uważam.

Jej palce na chwilę zacisnęły się na moich. Odwzajemniłem gest.

Rada się zbliżała.

A ja nie miałem jak z nimi walczyć.

Jasne, mógłbym uderzyć kogoś w nos i uciec. Ale złapaliby mnie wcześniej czy później. Ich było więcej, niektórzy równie silni jak ja, a wszyscy niebezpieczni. Pościg mógłby potrwać dzień, tydzień albo parę tygodni, jednak musiałbym kiedyś spać. W końcu by mnie zmęczyli.

I to mnie wkurzało. Czysta bezradność była naprawdę wpieniająca.

Nie chodzi o to, że znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Na przykład Mab zawsze miała dla mnie ofertę pracy. Lara Raith mogłaby mnie ochronić albo złożyć lepszą propozycję niż ta, którą Rada trzymała w zanadrzu. Kiedy pomyślałem, jakie to wszystko jest niesprawiedliwe, ogarnęło mnie silne pragnienie, żeby zrobić porządek w taki czy inny sposób.

Brzmiało to prawie racjonalnie. Nawet szlachetnie. Broniłbym przecież niesłusznie oskarżonych ofiar Rady, co raczej wykluczało wchodzenie w układy sprzeczne z tym, w co wierzyłem.

Znałem prawdę. Ale pokusa, żeby siłą narzucić swoją wolę tym, którzy przeciwko mnie występowali, i tak była wielka.

Co, do diabła, powinienem zrobić? Moja kryjówka była spalona, bezpieczniejszego miejsca niż moje mieszkanie nie znałem, a wiedziałem, że Strażnicy właśnie tam będą szukać Morgana. Na domiar złego nadal nie miałem najmniejszego pojęcia, kto jest naszym tajemniczym lalkarzem.

Może nadeszła pora, żeby się do tego przyznać.

Ta sprawa mnie przerastała. Od samego początku.

– Murph – odezwałem się cicho. – Nie wiem, jak z tego wszystkiego wybrnąć.

Piękny stary samochód wypełniła głęboka cisza.

– Kiedy ostatnio spałeś? – zapytała Murphy po dłuższej chwili.

Zabrałem rękę z jej dłoni i wskazałem na swoją zabandażowaną głowę.

– Ledwo pamiętam, jaki jest dzień tygodnia. Chyba dziś rano zdrzemnąłem się parę godzin.

Moja przyjaciółka pokiwała głową.

– Wiesz, na czym polega twój problem?

Zmierzyłem ją wzrokiem, a potem zacząłem się śmiać. Albo przynajmniej wydałem z siebie charczący odgłos rozbawienia. Nie mogłem się powstrzymać.

– Tylko jeden? – wykrztusiłem w końcu. – Jaki?

– Lubisz udawać nieprzewidywalnego, ale w rzeczywistości masz obsesję na punkcie tego, żeby wszystko uporządkować po swojej myśli.

– Widziałaś moje laboratorium?

– Nie zgrywaj luzaka – zbeształa mnie Murphy. – Mówię poważnie, Harry.

– Znam paru ludzi, którzy by się z tobą nie zgodzili. Na przykład ten... jak mu tam, Peabody.

– Jest w Radzie?

– Tak. Mówi, że nie ma dla mnie miejsca w jego bastionie porządku.

Murphy uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Problem w tym, że w twoim bastionie porządku trudno jest koegzystować.

– Ja nie mam żadnych bastionów. Żadnych twierdz.

– Ha! Jesteś przywiązany do swojego samochodu, mieszkania, restauracji. Wolisz nie odpowiadać przed nikim. Lubisz wykonywać pracę, którą dyktuje ci sumienie, bez martwienia się o konsekwencje. Robisz, co chcesz, jesteś całkiem szczęśliwy, nie dbasz o rzeczy materialne, słuchasz instynktu, i do diabła ze wszystkimi, którzy mówią ci co innego. To jest twój porządek.

Zmierzyłem ją wzrokiem.

– A jak inaczej powinno być?

Murphy przewróciła oczami.

– Poddaję się.

– I niby dlaczego to ma być mój problem?

– Ty nigdy naprawdę nie zaryzykowałeś swojego uporządkowanego życia dla kogoś innego i właśnie dlatego doprowadzasz Strażników do szału. Oni mają swoje procedury, formularze, raporty, a ty je lekceważysz, chyba że ktoś wykręci ci rękę, żeby cię do czegoś zmusić. Mam rację?

– Nadal nie rozumiem, dlaczego to jest problem?

Murphy otworzyła okno od strony pasażera i wystawiła rękę na zewnątrz.

– To jest problem, bo nigdy nie nauczyłeś się dostosować do czyjegoś porządku – wyjaśniła. – Gdybyś to zrobił, uświadomiłbyś sobie, jak niewiarygodną siłę mógłbyś mieć po swojej stronie.

– Drużynę A?

– Biurokrację.

– Wolałbym Drużynę A.

– Słuchaj i ucz się, indywidualisto – powiedziała Murphy. – Strażnicy są organizacją, tak?

– Tak.

– Liczącą wielu członków.

– Coraz więcej. Teraz prawie trzystu.

– Wielu członków, którzy mają liczne obowiązki, mieszkają w różnych miejscach, mówią różnymi językami, ale muszą się komunikować i ze sobą współpracować?

– Tak.

– Teraz uważaj. Biurokracja. Organizacja do zwalczania entropii, która z natury rzeczy jest obecna w tego rodzaju wspólnocie.

– Później będzie quiz czy...

Murphy mnie zignorowała i mówiła dalej:

– Biurokracje są do siebie podobne, dlatego uważam, że masz więcej czasu do dyspozycji, niż sądzisz. Gdybyś nie był zmęczony, cierpiący i uparty jak muł, żeby nie słuchać niczyich rozkazów oprócz swoich, sam byś się zorientował.

Zmarszczyłem brwi.

– Jak to?

– Myślisz, że Madeline Raith zadzwoniła do Białej Rady ze swojego domowego telefonu i zwyczajnie poinformowała ich, że ukrywasz Morgana?

– Murphy pokręciła głową. – Halo! Jestem wrogiem. Pozwólcie, że pomogę wam bezinteresownie.

W zamyśleniu przygryzłem dolną wargę.

– Strażnicy pewnie uznaliby, że ona próbuje rozdzielić ich siły w krytycznej sytuacji.

Murphy pokiwała głową.

– Nigdy by jej nie uwierzyli i sprawa znalazłaby się na samym dole ich listy priorytetów.

– Więc anonimowy donos zamiast telefonu. I co z tego?

– Jak myślisz, ile donosów dostają Strażnicy? – zapytała Murphy. – Gliniarze przechodzą przez to samo. Po każdej widowiskowej zbrodni mamy kilkunastu świrów, którzy się do niej przyznają albo twierdzą, że zrobił to sąsiad, kolejnych parunastu, którzy chcą wpakować sąsiada w kłopoty, i trzy razy tylu ludzi o dobrych intencjach, którzy nie mają o niczym pojęcia, ale wydaje im się, że pomagają.

Przez chwilę przetrawiałem jej wywód. Murphy chyba trafiła w sedno. Było wiele organizacji i tylko Bóg wie ile osób, które chciałyby wesprzeć Strażników, zrobić na nich wrażenie albo po prostu mieć pretekst, żeby nawiązać z nimi kontakt. Donosy prawdopodobnie napływały z całego świata.

– Oczywiście sprawdzą to zgłoszenie, ale chętnie założę się o prawdziwe pieniądze, że zależnie od stanu osobowego, dopiero kilka godzin po tym, jak cynk trafi do rąk ludzi kierujących przedstawieniem, a przy odrobinie szczęścia, zważywszy na kłopoty Rady z techniką i komunikacją, to też trochę potrwa.

Zastanawiałem się przez minutę.

– Co chcesz powiedzieć?

Murphy położyła dłoń na moim ramieniu.

– Mówię, żebyś się nie poddawał. Jeszcze zostało trochę czasu.

Odwrociłem głowę i przez chwilę obserwowałem jej profil.

– Naprawdę? – zapytałem cicho.

Murphy pokiwała głową.

– Tak.

„Nadzieja”, podobnie jak „miłość”, jest jednym z tych niedorzecznie zwięzłych słów, które powinny być dłuższe.

Mocniej ścisnąłem kierownicę.

– Murph?

– Mmm?

– Świetna z ciebie babka.

– Seksistowska świnia – odparowała Murphy, ale na jej ustach błąkał się uśmiech. – Nie zmuszaj mnie, żebym zrobiła ci krzywdę.

– To rzeczywiście nie byłoby godne damy.

– Jeśli chcesz, zawieźć go do mnie – zaproponowała Murphy, kiedy zbliżaliśmy się do mojego mieszkania. – Tam możecie się ukryć.

Nie uśmiechnąłem się, ale jej słowa sprawiły, że miałem ochotę to zrobić.

– Nie tym razem. Strażnicy wiedzą, gdzie mieszkasz. Jeśli na poważnie zaczną mnie szukać...

– ...u mnie też sprawdzą – dokończyła Murphy. – Ale nie możesz zatrzymać go u siebie.

– Wiem. I wiem również, że nie mogę nikogo wciągać w ten cały... bałagan.

– Musi być jakiś miejsce – nie rezygnowała Murphy. – Spokojne i niezbyt dobrze znane. Z dala od tłumów. Gdzie mógłbyś chronić Morgana przed zakłębieniem tropiącym. I gdzie miałbyś przewagę, gdyby doszło do walki.

Nie odpowiedziałem.

– No dobrze – poddała się Murphy. – Chyba jednak nie ma żadnego takiego miejsca.

Gwałtownie uniosłem głowę.

– Na dzwony piekiel! – wykrztusiłem i tym razem uśmiechnąłem się szeroko. – Chyba jednak jest.

Wszedłem do swojego mieszkania, obrzuciłem spojrzeniem pokój oświetlony blaskiem świec i niemal krzyknąłem:

– Na dzwony piekiel! Co jest z wami, ludzie?

Morgan siedział oparty o ścianę przy kominku, ze świeżymi plamami krwi na bandażach. Oczy miał półprzymknięte, jego ręka spoczywała na podłodze, bezwładna, z podkurczonymi palcami. Na podłodze obok niej leżał mały półautomatyczny pistolet. Nie należał do mnie. Nie miałem pojęcia, skąd się tam wziął.

Na plecach Molly rozciągniętej na podłodze przed kanapą siedział Myszek. Dziewczyna oddychała ciężko, tak że wielkie psisko unosiło się wraz z nią i opadało.

Luccio leżała na kanapie w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłem, z zamkniętymi oczami, najwyraźniej nadal nieprzytomna. Myszek lekko opierał jedną łapę na jej mostku. Zważywszy na charakter obrażeń Anastasii, wystarczyłby minimalny nacisk, żeby ją unieruchomić, gdyby się obudziła.

W powietrzu pachniało kordytem. Futro Myszka na całej przedniej nodze było zmierzwione i pozlepiane krwią.

Kiedy to zobaczyłem, ruszyłem z wściekłością na Morgana i gdyby Murphy nie chwyciła mnie oburącz za ramię, wymierzyłbym kopniaka w jego głowę i rozplaszczyl ją na ścianie. Zamiast tego ograniczyłem się do kopnięcia pistoletu. Gdybym przy okazji zahaczył o kilka jego palców, wcale bym się nie zmartwił.

Strażnik obserwował mnie tępym, półprzytomnym wzrokiem.

– Przysięgam na Boga, Morgan, że jeśli zaraz się nie wytłumaczysz, uduszę cię na śmierć własnymi rękami i za jaja zawlokę twojego trupa do Edynburga!

– Harry! – krzyknęła Murphy, zasłaniając przede mną rannego własnym

ciałem i opierając się o mnie całym ciężarem.

Morgan obnażył zęby, ale jego uśmiech bardziej przypominał grymas.

– Twoja czarownica znowu próbowała wejść do głowy kapitan Luccio bez jej wiedzy – oznajmił chropawym głosem.

Chciałem się na niego rzucić, jednak Murphy znowu mnie powstrzymała. Ważyłem dwa razy więcej niż ona, ale ona miała dobrą technikę i refleks.

– Więc dlatego strzeliłeś do mojego psa! – wrzasnąłem.

– Stanął na linii strzału. – Morgan zakaszłał słabo i przymknął oczy. Jego twarz poszarzała. – Nie zamierzałem... go trafić...

– Dość tego! – warknąłem. – Molly i ja narażamy się dla ciebie, a ty tak nam odpłacasz? Wypchnę twoją paranoiczną dupę za drzwi i zacznę obstawiać, kto pierwszy po ciebie przyjdzie: Czarna Rada, Strażnicy czy cholerne sępy.

– H... Harry – odezwała się Molly zawstydzonym głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Mój gniew nagle ostygł. Zastąpiło go niedowierzanie i z wolna ogarniające mnie przerażenie. Odwróciłem się i spojrzałem na Molly.

– On miał rację – wykrztusiła, nie patrząc na mnie. W jej głosie usłyszałem łzy. – Przepraszam. Tak mi przykro, Harry. On miał rację.

Oparłem się plecami o ścianę i popatrzyłem na Myszka. Pies odwzajemnił moje spojrzenie, nie ruszając się z miejsca. Unieruchamiał Molly i jednocześnie osłaniał ją własnym ciałem. Jego oczy wyrażały ból.

* * *

Kiedy zapakowaliśmy Morgana z powrotem do łóżka, podszedłem do Myszka.

– Już dobrze – powiedziałem. – Możesz wstać.

Myszek posłusznie dźwignął się z pleców Molly, a ja ukląknę i obejrzałem jego ranę. Pies położył uszy po sobie i odsunął się ode mnie.

– Nie ruszaj się – rozkazałem ostrym tonem.

Myszek westchnął i zrobił nieszczęśliwą minę, ale pozwolił mi zbadać

nogę. Blisko łopatki wymacałem pod skórą twardą grudkę.

– Wstawaj – spokojnie powiedziałem do Molly. – Idź do laboratorium. Wyjmij spod stołu torbę lekarską. Potem przynieś małe nożyczki i świeżą żyłkę z szafki w łazience.

Molly podniosła się wolno.

– Ruszaj się – ponagliłem ją głosem cichym, ale nieustępliwym.

Dziewczyna najwyraźniej jeszcze nie doszła do siebie po przyszpileniu do podłogi, ale w miarę zwawym krokiem pokuśtykała na dół do laboratorium.

Tymczasem obok mnie uklękała Murphy i potarła uszy Myszka, a on posłał jej żalosne spojrzenie.

– Kaliber dwadzieścia pięć – stwierdziła Murphy, biorąc do ręki pistolet Morgana. – Sporo, ale nie byłoby łatwo zabić nim psa, nawet celowo. – Pokręciła głową. – Albo Molly, jeśli już o tym mowa.

– Co to oznacza? – spytałem.

– Może Morgan nie chciał, żeby atak był śmiertelny. I dlatego użył broni mniejszego kalibru.

– Użył jej, bo tylko taką miał – powiedziałem ochryplym głosem. – Zabiłby Molly, gdyby mógł.

Murphy milczała przez chwilę, a potem stwierdziła:

– To była próba morderstwa.

Zerknąłem na nią.

– Chcesz go aresztować.

– Nie chodzi o to, czego chcę. Jestem funkcjonariuszem prawa, Harry.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Rada mogłaby... mogliby to uszanować. Właściwie jestem pewien, że tak by było. Decyzja należałaby do Merlina, a on niczego nie pragnąłby bardziej niż zyskać trochę czasu, żeby wymyślić, jak wydostać Morgana z tego bałaganu.

– Ale inni nie – zauważyła Murphy.

– Madeline i Kudłacz nie – przyznałem. – A gdyby Morgan trafił do więzienia, nie dałoby się zmusić Kudłacza do konfrontacji, żebym miał szansę odzyskać Thomasa. – Spojrzałem na ranę Myszka. – Albo go przehandlować.

– Zrobiłbyś to? – spytała Murphy.

– Morgana za Thomasa? – Pokręciłem głową. – Ja... Na dzwony piekieł, to dopiero byłby bałagan. Rada wpadłaby we wściekłość. Ale...

Ale Thomas jest moim bratem. Nie powiedziałem tego. Nie musiałem. Murphy pokiwała głową.

W tym momencie wróciła Molly z rzeczami, po które ją wysłałem, a oprócz tego z miską i parą ostrych szczypiec. Bystra dziewczyna. Włała do naczynia spirytus i zaczęła sterylizować igłę, nić, skalpel i szczypce. Jej ręce poruszały się, jakby same wiedziały, co mają robić. Raczej nie powinno mnie to zaskoczyć. Najstarsza córka Michaela i Charity Carpenterów na pewno od małego uczyła się opatrywania ran.

– Myszek, masz w sobie kulę – powiedziałem. – Wiesz, co to jest? Rzecz, która wylatuje z pistoletu, a potem boli.

Pies popatrzył na mnie niepewnie. Drżał.

Położyłem rękę na jego głowie i ciągnąłem spokojnym tonem:

– Musimy ją wyjąć, bo inaczej ona cię zabije. Będzie bolało, bardzo. Ale obiecuję, że to nie potrwa długo i że wszystko skończy cię dobrze. Okay?

Myszek wydał bardzo cichy dźwięk, który tylko niewdzięczny świat mógłby nazwać skomleniem. Na chwilę przytulił łeb do mojej ręki, a potem ją polizał.

Uśmiechnąłem się i przytknąłem głowę do jego łba.

– Wszystko będzie dobrze. Połóż się, chłopcze.

Myszek wyciągnął się powoli i ostrożnie na boku, ranną łopatką do góry.

– Proszę, Harry – powiedziała cicho Molly, wskazując na narzędzia.

Spojrzałem na nią twardym wzrokiem.

– Ty to zrobisz.

Moja praktykantka wytrzeszczyła oczy.

– Co? Ale to, co zrobiłam... ja nawet nie...

– Ja? Ja? Myszek przyjął za ciebie kulę, panno Carpenter. Nie myślał o sobie, kiedy to robił. Narażał życie, żeby cię ratować. Jeśli chcesz pozostać moją praktykantką, przestaniesz powtarzać zdania, które zaczynają się od „ja”, i nagrodzisz go za odwagę, łagodząc jego ból.

Molly pobladała.

– Harry...

Zignorowałem ją, ukląknęłam przy głowie Myszka, przytrzymałem go delikatnie i pogłaskałem gęste futro.

Moja praktykantka z niepewną miną przeniosła wzrok ze mnie na Murphy. Karrin odwzajemniła spojrzenie ze stoicyzmem gliniarza. Molly pośpiesznie odwróciła głowę, popatrzyła na własne ręce, potem na Myszka i zaczęła płakać.

Po chwili wstała, podeszła do kuchennego zlewu, nalała wody do garnka i postawiła go na kuchni. Następnie starannie umyła ręce aż do łokci. Kiedy wróciła z gorącą wodą, wzięła głęboki oddech i sięgnęła po instrumenty.

Najpierw ogoliła obszar wokół rany, a Myszek wzdrygnął się i zadrżał kilka razy. Zobaczyłem, że Molly aż się kuli po każdej reakcji psa. Ale jej dłonie pozostawały spokojne. Musiała skalpelem powiększyć pole operacyjne, a Myszek niemal krzyknął, kiedy ostrze nacięło jego skórę. Dziewczyna zacisnęła powieki na trzy długie sekundy, zanim wróciła do pracy. Wsunęła szczypce w płytkie draśnięcie i wyciągnęła kulę, mniejszą od paznokcia małego palca, zniekształconą, podłużną, ze lśniącego metalu. Pies jęknął.

Następnie Molly ponownie oczyściła ranę gorącą wodą i środkiem dezynfekującym. Myszek zaskomlał. Był to najżałośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek się z niego wydobył.

– Przepraszam – wyszeptała Molly, mruganiem odpędzając łzy. – Przepraszam.

Rana była na tyle duża, że wymagała założenia trzech szwów. Molly uporała się z tym zadaniem najszybciej, jak potrafiła, a Myszek kilka razy zadrżał z bólu. Na koniec moja praktykantka nakryła ranę małym opatrunkiem, który wcześniej przycięła do odpowiedniej wielkości, i przymocowała go plastrem do wygolonej skóry.

– Gotowe – powiedziała cicho i zanurzyła twarz w gęstym futrze na szyi Myszka. – Gotowe. Wszystko będzie dobrze.

Pies bardzo ostrożnie trącił łbem jej rękę i kilka razy uderzył ogonem o podłogę.

– Murph, dasz nam minutę? – zapytałem.

– Jasne. I tak muszę wykonać telefon.

Skinęła mi głową i cicho ruszyła do wyjścia, po drodze zamykając drzwi do mojej małej sypialni, w której spał Morgan.

Usiadłem przy Myszku i delikatnie pogłaskałem go po głowie.

– No dobrze – zwróciłem się do Molly. – Co się stało?

Moja praktykantka miała minę, jakby dręczyły ją mdłości. Z nosa jej ciekło.

– Harry, dotarło do mnie, że gdyby zdrajca naprawdę chciał, żeby członkowie Rady rzucili się sobie nawzajem do gardeł, zmusiłby jednego z nich do zrobienia czegoś niewybaczalnego – powiedziała. – Na przykład Morgana do zabicia maga LaFortiera.

– Jezu. Coś takiego nie przyszło mi do głowy, choć jestem starszy i mądrzejszy od ciebie, a w dodatku ty jesteś w tym biznesie dopiero od niecałych czterech lat.

Molly się zarumieniła.

– No tak. A potem pomyślałam, że najlepiej byłoby wykorzystać w ten sposób nie Morgana, tylko ludzi, którzy by go ścigali.

Uniosłem brwi.

– Okay. W tym momencie muszę cię zapytać, czy wiesz, jak trudno jest manipulować umysłem i wolą osoby w słusznym wieku. Większość magów mających osiemdziesiąt albo sto lat na ogół uważa się za mniej lub bardziej odpornych na tego rodzaju toporną manipulację.

– Tego nie wiedziałam – przyznała Molly. – Ale... to, o czym mówię, nie byłoby oczywiste. Nie zmieniliby nikogo w bredzącego szaleńca ani mordercę. Tylko... zachęciłoby ludzi ścigających Morgana, żeby byli sobą.

Zmrużyłem oczy. To był interesujący tok rozumowania.

– Na przykład?

– Cóż... Jeśli ktoś z natury szybko wpada w gniew i jest skłonny do walki, wzmacniasz tę część jego osobowości. Nadajesz jej większą ważność, niż miałyby bez takiej interwencji. Jeśli ktoś jest skłonny do politycznych manipulacji, wysuwasz tę cechę na pierwszy plan. Jeśli ktoś żywi urazę, kierujesz na nią reflektor w jego myślach i emocjach.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jej słowami.

– Ja tak właśnie bym zrobiła – dodała Molly cicho, spuszczaając wzrok.

Spojrzałem na młodą kobietę, którą uczyłem. Patrząc na nią, zawsze widziałem jej uśmiech, poczucie humoru, młodość i radość. Była córką mojego bliskiego przyjaciela. Znałem jej rodzinę i często gościłem w ich domu. Widziałem jej frustracje i triumfy, wysiłek, który wkładała w naukę.

Aż do tej chwili nigdy nie myślałem o niej jako o osobie, która pewnego dnia może stać się bardzo, bardzo przerażająca.

Stwierdziłem, że uśmiecham się z goryczą.

Kim byłem, żeby pierwszy rzucić kamieniem?

– Może – odezwałem się w końcu. – To byłaby piekielnie trudna rzecz do udowodnienia.

Molly pokiwała głową.

– Ale gdyby można zastosować ten sposób, jest jedna osoba, która bez wątpienia byłaby celem.

Zerknąłem na Luccio. Miała usta lekko otwarte we śnie. Trochę się śliniła. Był to zabawny i uroczy widok.

– Właśnie – potwierdziła Molly. – Ale ona nigdy nie pozwoliłaby mi w siebie Wejrzeć.

– Z dobrego powodu.

Dziewczyna na chwilę zacisnęła zęby.

– Wiem.

– Więc pomyślałaś, że tylko zerkniesz, kiedy będzie nieprzytomna – stwierdziłem. – Wtedy nie zostaniesz przyłapana.

Molly wzruszyła ramionami.

– Wytłumaczyłaś sobie, że robisz właściwą rzecz. Jedno krótkie spojrzenie.

Moja praktykantka zamknęła oczy.

– Ja... a co jeśli ona nie jest z tobą szczerą, Harry? Jeśli zbliżyła się do ciebie, bo ci nie ufała. Jeśli jest taka jak Morgan... tylko trochę lepiej to ukrywa.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Nie? – Spojrzała mi w oczy. – Czyim on był uczniem, Harry? Kto nauczył go wszystkiego? Kogo Morgan idealizował tak bardzo, że starał się do niej

upodobnić?

Siedziałem bez słowa.

– Szczerze myślisz, że ona nie wiedziała, jak traktował cię Morgan? – naciskała Molly.

Wzięłem głęboki oddech.

– Tak. Właśnie tak myślę.

Molly pokręciła głową.

– Przecież wiesz.

– Nie, nie wiem.

– A powinieneś – rzuciła Molly gwałtownym tonem. – Nie mogłam ryzykować, że ona pozwoli ci iść na dno razem z Morganem. Musiałam wiedzieć.

Gapiałem się na nią przez minutę.

– Zawsze wiem, kiedy mnie kusi, żeby zrobić coś bardzo, bardzo złego – oświadczyłem cicho. – Kiedy zaczynam mówić: „nigdy bym tego nie zrobił, ale...” albo „wiem, że to złe, ale”. Właśnie to „ale” jest ostrzeżeniem.

– Harry...

– Złamałaś jedno z Praw Magii. Z własnej woli. Choć wiedziałaś, że to może kosztować cię życie. I moje życie również. – Pokręciłem głową i odwróciłem od niej wzrok. – Na dzwony piekieł, dzieciaku. Postanowiłem ufać Anastasii Luccio, bo tak właśnie robią ludzie. Nigdy nie dowiesz się na pewno, co ktoś o tobie myśli. Co naprawdę czuje.

– Ale mogłabym...

– Nie – przerwałem jej łagodnie. – Nawet psychomancja nie da ci wszystkiego. Nie musimy wiedzieć, co w kim siedzi. Po to właśnie jest rozmowa. Po to jest zaufanie.

– Harry, przepro...

Uniosłem rękę.

– Nie przepraszaj. Może to ja cię zawiodłem. Może powinienem lepiej cię uczyć. – Poklepałem delikatnie Myszka po łbie, nie patrząc na Molly. – W tym momencie to nieistotne. Ludzie zginęli, bo starałem się ratować życie Morgana. Thomas może umrzeć. A teraz w dodatku, jeśli uda się nam uratować starą, pomarszczoną dupę Morgana, on doniesie, że nie

dotrzymałaś słowa. Rada cię zabije. I mnie również.

Molly patrzyła na mnie bezradnie.

– Nie chciałam...

– Zostać przyłapana – dokończyłem. – Jezu Chryste, dzieciaku. Ufałem ci.

Rozpłakała się bardziej. Schyliła głowę.

– Jeśli dopadną Morgana, zaczną się kłopoty, o jakich nawet nie śniłaś. I zginie jeszcze więcej ludzi. – Wstałem powoli. – Dlatego zamierzam zrobić wszystko, żeby go uratować.

Dziewczyna pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

– Masz więc wybór, nowicjuszko. Możesz iść ze mną, znając cenę, albo odejść.

– Odejść? – wyszeptała Molly.

– Odejść. Teraz. Uciec jak najdalej. Do licha, wygląda na to, że zostaną zabity. Morgan prawdopodobnie też. Wszystko diabli wezmą, ale Strażnicy będą zbyt zajęci, żeby cię ścigać. Będziesz mogła robić, co chcesz, póki nie dasz się złapać.

Molly zacisnęła ręce na brzuchu, szlochając.

Położyłem dłoń na jej głowie i dodałem:

– Albo możesz pójść ze mną. Zrobić właściwą rzecz. Coś, co ma znaczenie.

Molly na mnie spojrzała. Jej ładna, młoda twarz pobladła z udręki.

– Wszyscy umierają, skarbie – powiedziałem cicho. – Wszyscy. Nie ma żadnego „jeśli”. Jest tylko „kiedy”. – Poczekaj, aż te słowa do niej dotrą. – Kiedy będziesz umierać, chcesz czuć wstyd z powodu tego, co zrobiłaś ze swoim życiem? Ile ono znaczyło?

Patrzyła mi w oczy przez minutę, a ciszę panującą w pokoju zakłócał jedynie jej stłumiony płacz. Potem raz krótko skinęła głową.

– Obiecuję, że będę przy tobie, bo niczego innego obiecać nie mogę. Będę cię chronił, jak długo dam radę.

– Dobrze – wyszeptała Molly i nachyliła się do mnie.

Przez chwilę trzymałem dłoń na jej włosach.

– Kończy się nam czas – powiedziałem łagodnie. – Najdalej za kilka godzin Strażnicy odkryją, że Morgan jest w Chicago. Może już są w drodze.

– Okay. C... co zrobimy?

Wzięłam głęboki oddech.

– Zamierzam, między innymi, spróbować inwokacji sanktuarium.

Jej oczy się rozszerzyły.

– Ale... sam mówiłeś, że takie rzeczy są niebezpieczne. Że tylko głupiec w ten sposób ryzykuje.

– Zgodziłem się pomóc cholernemu Donaldowi Morganowi, kiedy pojawił się w moich drzwiach. – Westchnąłem. – Więc się kwalifikuję.

Molly wytarła oczy i nos.

– Co mam robić?

– Przynieś moją rytualną szkatułkę. Włóż ją do samochodu, przy którym stoi Murphy.

– Okay. – Po dwóch krokach Molly zatrzymała się i obejrzała na mnie przez ramię. – Harry?

– Tak?

– Wiem, że to było złe, ale...

Spojrzałem na nią surowo, marszcząc brwi.

Molly potrząsnęła głową i uniosła ręce.

– Wysłuchaj mnie. Wiem, że to było złe, i niewiele zobaczyłam, ale przysięgam ci, że ktoś manipulował kapitan Luccio. Stawiam na to moje życie.

Zignorowałem dreszcz, który przebiegł mi po plecach.

– Możliwe, że już to zrobiłaś – powiedziałem. – Przy okazji moje również. Idź po kuferek.

Molly wyszła pośpiesznie.

Czekałem, aż moja praktykantka znajdzie się na zewnątrz, i wtedy spojrzałem na Myszkę. Pies usiadł z zatroskanym wzrokiem. Wcale nie oszczędzał łopatkę, a jego ruchy były dość swobodne.

Kiedyś został potrącony przez kierowcę furgonetki. Podniósł się wtedy z ziemi, dogonił samochód i się zrewanżował. Psy Fo są bardzo, bardzo twarde. Wątpiłem, czy Myszek naprawdę potrzebował pomocy medycznej, żeby odzyskać siły, choć operacja prawdopodobnie przyspieszyła zdrowienie. Nie miałem jednak pewności, czy rana rzeczywiście była tak poważna, jak się wydawało.

Innymi słowy, cholerny pies nas oszukał.

– Udawałeś? – zapytałem. – Żeby do Molly mocniej dotarło?

Jego ogon poruszył się z dumą w tę i z powrotem.

– Cholera! – Byłem pod wrażeniem. – Może powinienem nazwać cię Denzel.

Szczęki Myszka rozchyliły się w psim uśmiechu.

– Przerwałeś mi, kiedy się zastanawiałem, jak odnaleźć Thomasa. Wcześniej o tym nie myślałem, ale pomogłeś mu mnie wysledzić, kiedy Madrigal Raith wystawił mnie na aukcji na eBayu.

Ogon poruszył się mocniej.

– Potrafiłbyś znaleźć Thomasa?

– Hau! – szczeknął Myszek, a jego przednia łapa oderwała się na kilka cali od podłogi.

Pokiwałem głową w zadumie.

– Mam dla ciebie inną misję – oznajmiłem. – Może nawet ważniejszą. Wchodzisz?

Pies otrząsnął się i poczłapał do drzwi. Stanął przy nich i obejrzał się na mnie.

– W takim razie posłuchaj. – Ruszyłem do wyjścia. – Sytuacja staje się ryzykowna.

Spojrzałem na nadal nieprzytomną Luccio. Stres związany z koordynacją poszukiwań Morgana, w połączeniu z ranami i usypiającym działaniem środków przeciwbólowych, sprawił, że Anastasia nawet się nie poruszyła. Ani wtedy, gdy wystrzelił pistolet, ani wtedy, gdy rozmawialiśmy, ani wtedy, gdy wszyscy musieliśmy przenieść Morgana do rollsa.

Kiedy poprawiłem koc, którym była przykryta, Mister zeskoczył ze swojego miejsca na jednym z regałów na książki i ułożył się na jej nogach, mruczając leniwie.

Podrapałem go za uchem i przykazałem:

– Dotrzymaj jej towarzystwa.

Mister posłał mi nieodgadnione spojrzenie, mówiące, że może to zrobić, a może nie. Jak to kot, uważał pewnie, że obowiązkiem całego świata jest zapewnienie mu schronienia, stawy i rozrywki. I nie zamierzał się zniżyć do planowania przyszłości.

Anastasio, zaczyna brakować mi czasu, a goście są w drodze. Wybieram się tam, gdzie chyba znajdę nowe możliwości. Wkrótce zrozumiesz.

Przepraszam, że Cię nie zabrałem. W twoim stanie niewiele mogłabym pomóc. Wiem, że Ci się to nie spodoba, ale Ty też wiesz, że mam rację.

Czuj się jak u siebie. Mam nadzieję, że niebawem porozmawiamy.

Harry

Złożyłem liścik i zostawiłem na stoliku do kawy, gdzie Anastasia go zobaczy po obudzeniu. Potem się nachyliłem, pocałowałem jej włosy i zostawiłem ją śpiącą bezpiecznie w moim domu.

* * *

Zaparkowałem rollsa na parkingu przy marinie. Jeszcze mogliśmy dotrzeć na miejsce przed godziną duchów, najlepszą porą na inwokację.

Wiedziałem wprawdzie, że taka próba, kiedy się jest rannym i zmęczonym, w dodatku bez żadnych wstępnych czynności, prawdopodobnie zakłóci rytuał niezależnie od pory, ale czas się kurczył, więc miałem niewiele możliwości wyboru.

– Pozwól, że powtórzę – odezwała się Murphy. – Uważam, że to zły pomysł.

– Odnotowane. Ale to zrobisz?

Spojrzała przez przednią szybę rollsa na bezmiar jeziora Michigan, rozległą czerń na tle świateł Chicago.

– Tak.

– Gdybyś mogła zrobić coś innego, poprosiłbym cię o to, przysięgam.

– Wiem. Po prostu mnie wkurza, że nic więcej nie mogę zrobić.

– Jeśli przez to poczujesz się lepiej, powiem ci, że tobie też będzie grozić niebezpieczeństwo. Ktoś może spróbować wykorzystać cię przeciwko mnie. A jeśli Rada się zorientuje, ile wiesz, wpadnie we wściekłość.

Murphy uśmiechnęła się lekko.

– Dziękuję. Od razu czuję się mniej wykluczona, kiedy wiem, że ktoś i tak może mnie zabić. – Poprawiła pas na broń. – Jestem świadoma własnych ograniczeń. To nie znaczy, że je lubię. – Spojrzała na mnie. – Co zamierzasz?

– Ja... naprawdę wolałbym nie mówić. Im mniej wiesz...

– Tym jestem bezpieczniejsza?

– Niezupełnie – przyznałem. – Im mniej wiesz, tym ja jestem bezpieczniejszy. Nie zapominaj, że możemy mieć do czynienia z ludźmi, którzy potrafią wydobyć informacje z twojej głowy, chcesz tego czy nie.

Murphy skrzyżowała ręce i zadrżała.

– Nienawidzę czuć się bezradna.

– Tak. Ja też. Co z nim, Molly?

– Nadal śpi – zameldowała dziewczyna z tylnego siedzenia limuzyny. – Ale nie sądzę, żeby gorączka wzrosła.

Dotknęła czoła rannego wierzchem dłoni.

Morgan mocno odtrącił jej rękę, choć się nie obudził ani nawet nie zmienił rytmu oddechu. Chryste! To był zwykły odruch. Pokręciłem głową.

– Ruszajmy – powiedziałem.

Razem z moją praktykantką znowu przenieśliśmy rannego Strażnika na wózek inwalidzki. On sam próbował nam pomagać, a potem od razu zapadł z powrotem w sen. Molly przerzuciła przez ramię pasek mojej rytualnej szkatułki i zaczęła pchać wózek przez parking w stronę nabrzeża. Ja chwyciłem dwie ciężkie nylonowe torby.

– Co w nich mamy? – zainteresowała się Murphy.

– Upominki na przyjęcie.

– Wydajesz przyjęcie?

Skierowałem wzrok na wschód. Z Chicago nie widać wyspy, nawet w pogodny dzień, ale ja wiedziałem, że ona tam jest, ponura i groźna.

– Tak.

Prawdziwe przyjęcie. Będą na nim wszyscy, którzy ostatnio chcieli mnie zabić.

Murphy pokręciła głową.

– I to wszystko z powodu jednego człowieka – skomentowała.

– Z powodu bohatera Rady. Z powodu Strażnika budzącego największy strach. Morgan omal nie sprzątnął samego Czerwonego Króla, wampira, który ma chyba ze cztery tysiące lat, a otacza go paru bardzo nieprzyjemnych i potężnych dworzan. Gdyby się nie ewakuował, Morgan by go zabił.

– Prawie powiedziałeś o nim coś miłego – zauważyła Murphy.

– Nie jestem miły, tylko po prostu go doceniam. Przez lata Morgan uratował więcej ludzi, niż potrafisz zliczyć. Z pewnością zabijał również niewinnych. Działa jako egzekutor Rady od co najmniej dwudziestu albo trzydziestu lat. Jest obsesyjny, nietaktowny, bezlitosny i nieufny. Nienawidzi ze świętą pasją. Jest wielkim, brzydkim, złym psem.

Murphy uśmiechnęła się słabo.

– Ale twoim psem.

– Naszym psem. Bez wahania oddałby życie, gdyby uznał, że to konieczne.

Murphy przez chwilę obserwowała Molly pchającą wózek z Morganem.

– Boże, to okropne. Wiedzieć, że jest się zdolnym do takiego pogardzania życiem, nieważne, cudzym czy własnym. Świadomość, że jest się zdolnym do odebrania życia ludzkiej istocie, musi go zżerać.

– Przez tyle czasu pewnie niewiele z niego zostało. Myślę, że masz rację co do zabójcy działającego w desperacji. Jak na planowe działanie, ta sytuacja stała się zbyt zagmatwana i skomplikowana. Po prostu błędy się mszczą.

– Może dzięki temu łatwiej będzie z niej wybrnąć.

– Z pierwszą wojną światową było podobnie – zauważyłem. – Ale z drugiej strony nie dało się wskazać palcem jednego człowieka i powiedzieć: „Ten facet to zrobił”. Pod tym względem z drugą wojną światową sprawa jest łatwiejsza.

– Założyłeś, że jest kogo obwinić – stwierdziła Murphy.

– Gdybym tylko potrafił go dopaść. – Pokręciłem głową. – Jeśli nie... cóż.

Murphy odwróciła się do mnie, objęła dłońmi moją głowę i lekko pociągnęła ją w dół. Pocałowała mnie w czoło i usta, ani szybko, ani namiętnie. Gdy się odsunęła, popatrzyła na mnie zmartwionymi, ale spokojnymi oczami.

– Wiesz, że cię kocham, Harry. Jesteś dobrym człowiekiem. Dobrym przyjacielem.

Posłałem jej krzywy uśmiech.

– Tylko bez egzaltacji, Murph.

– Mówię poważnie. Nie daj się zabić. Skop tyłek, komu trzeba, żeby tak się stało. – Opuściła wzrok. – Bez ciebie mój świat byłby strasznym miejscem.

Przygryzłem wargę. Czuję się bardzo skrępowany.

– Wolałbym, żebyś właśnie ty strzegła moich pleców, Karrin. – Odchrząknąłem. – Możliwe, że jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałem.

Murphy zamrugnęła szybko kilka razy i potrząsnęła głową.

– Chyba robi się trochę niezręcznie.

– Może powinniśmy zacząć od początku – zaproponowałem.

– Znajdź go i skop mu tyłek.

– Taki jest plan. – Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło i usta,

delikatnie. Potem przytknąłem czoło do jej czoła. – Ja też cię kocham.

– Palant. – Głos miała zdławiony. – Powodzenia.

– Tobie też. Kluczyki są w stacyjce.

Wyprostowałem się, dźwignąłem ciężkie torby i ruszyłem w stronę nabrzeża. Odchodząc, nie spojrzałem na Murphy. Potem też nie obejrzałem się ani razu.

W ten sposób oboje mogliśmy udawać, że nie widziałem jej łez.

* * *

Mój brat miał starą, poobijaną łódź rybacką. Mówił, że to trawler. A może powiedział: kuter. Albo szkuner. Jedna z tych rzeczy... chyba żeby nie. Podobno żeglarze są bardzo zasadniczy, jeśli chodzi o dokładne rozróżnianie typów statków, ale ponieważ ja nie jestem żeglarzem, nie cierpię na bezsenność z powodu niewłaściwego używania terminów.

Łódź miała czterdzieści dwie stopy długości i mogłaby być dublerem kutra Quinta ze „Szczęk”. Rozpaczliwie potrzebowała odmalowania, ponieważ biel kadłuba już dawno zbladła do szarości i osmalonej czerni. Jedyna świeża farba znajdowała się na rzędzie liter układających się w nazwę „Chrząszcz Wodny” namalowaną na dziobie.

Załadowanie Morgana na pokład było koszmarem. W końcu położyliśmy go na łóżku w małej kabinie i wnieśliśmy na Chrząszcza cały sprzęt. Potem wspiąłem się na mostek i uruchomiłem silniki, ale natychmiast się zorientowałem, że nie odczepiłem cum. Musiałem zejść na pokład, żeby je odwiązać.

Już wspomniałem, że nie jestem żeglarzem.

Wyłynięcie z portu nie było trudne. Thomas miał miejsce bardzo blisko otwartych wód jeziora. Niewiele brakowało, żebym zapomniał włączyć światła, ale zapaliłem je, zanim opuściliśmy marinę. Potem sprawdziłem kompas, skręciłem o dwa stopnie na południowy wschód i przyspieszyłem.

Ruszyliśmy przez czerń jeziora ze stłumionym, głuchym dudnieniem silników. Łódź zbudowano do żeglowania po otwartym morzu, tak że miała

trochę pary. Woda była tej nocy spokojna, tak że płynęliśmy gładko, nabierając szybkości.

Trochę się denerwowałam tą podróżą. W zeszłym roku Thomas i ja kilka razy wyprawiliśmy się na wyspę, żebym mógł ją zwiedzić. Poza tym brat uczył mnie, jak radzić sobie z łodzią, ale to był mój pierwszy samodzielny rejs.

Po kilku minutach Molly weszła po krótkiej drabince na mostek.

– Muszę prosić o pozwolenie na wejście czy jak?

– Dlaczego miałabyś prosić?

Molly się zastanowiła.

– A tak nie robią w „Star Treku”?

– Słuszna uwaga. Pozwolenie udzielone, chorąży.

– Tak jest – odpowiedziała służbiście Molly i podeszła do mnie. Zmarszczyła brwi, patrząc w ciemność na wschodzie, a potem rzucając ostrożne spojrzenie w tył na szybko oddalające się światła miasta. – Płyniemy na tę dziwną wyspę, przez którą przebiega wielka linia geomantyczna?

– Tak.

– Gdzie mój tata został...

Starałam się nie pamiętać, jak bardzo ucierpiał Michael Carpenter, kiedy tam ze mną popłynął.

– Okaleczony. Tak.

Molly sposepniała.

– Słyszałam, jak rozmawiał z mamą o wyspie. Ale kiedy próbowałam ją odszukać, nie mogłam jej znaleźć na żadnej mapie. Nawet w bibliotekach.

– Tak. Z tego, co słyszałam, każdemu, kto do niej dopłynął, przytrafiały się złe rzeczy. Kiedyś był tam duży port dla statków rybackich i handlowych, ale został opuszczony. Chyba w dziewiętnastym wieku miasto całkiem wykreśliło tamto miejsce ze swoich archiwów.

– Dlaczego?

– Nie chcieli, żeby ludzie zawijali na wyspę – odpowiedziałem. – Gdyby ograniczyli się do samego zakazu, prędzej czy później jakiś idiota popłynąłby tam z czystej przekory. Zatem po prostu wymazali to miejsce z map,

przynajmniej oficjalnie.

– I nie widział go nikt od ponad wieku?

– Mroczna linia geomantyczna wytwarza bardzo silne pole energii. Ludzie w jej pobliżu robią się nerwowi. Nie wariują ani nic takiego, ale jakby podświadomie unikają tamtego miejsca, o ile nie podejmują specjalnego wysiłku, żeby się do niego dostać. Poza tym prawie całą wyspę otaczają rafy i jakoś tak się dzieje, że ludzie je szeroko omijają.

Molly zmarszczyła brwi.

– Czy to może być dla nas problem?

– Jestem całkiem pewien, że potrafię się przez nie przedostać.

– Całkiem pewien?

– Całkiem.

Moja praktykantka chyba lekko zbladła.

– Aha. To dobrze. A po co tam płyniemy?

– Żeby odprawić inwokację sanktuarium. Wyspa ma coś w rodzaju duszy, świadomość.

– *Genius loci* – podpowiedziała Molly.

Pokiwałem głową.

– Właśnie. Tamtejszy, zasilany przez linię geomantyczną, jest duży i potężny. I niezbyt troszczy się o gości. Sporo ich zabił.

Molly zamrugła.

– I ty chcesz odprawić inwokację. Akurat tam?

– Nie, do diabła. Nie chcę. Ale musimy znaleźć sposób, żebym jutro miał jakąś przewagę, bo inaczej zostanie nam tylko płacz.

Molly wolno pokręciła głową. Następnie zapadła w milczenie, aż do chwili gdy dotarliśmy do wyspy. Było ciemno, ale wystarczył mi blask księżyca i gwiazd, żebym znalazł boję, którą umieściliśmy z Thomasem obok przejścia przez rafy. Zacząłem zbliżać się do brzegu. Gdy minąłem drugą boję, skierowałem łódź do małego pływającego pomostu, który razem zbudowaliśmy. Udało mi się do niego przybić, nie niszcząc niczego. Wyskoczyłem na deski z cumami w ręce.

Gdy uporałem się z tym zadaniem, zobaczyłem, że Molly stoi na pomoście z moją rytualną szkatułką. Podała mi ją, a ja podziękowałem jej skinieniem

głowy.

– Wszystko powinno mi zabrać jakąś godzinę – uprzedziłem ją. – Zostań z Morganem. Jeśli nie wrócę przed świtem, odcumuj łódź, uruchom silnik i wróć do mariny. To nie jest trudniejsze od jazdy samochodem.

Molly przygryzła wargę i pokiwała głową.

– A co potem? – spytała.

– Idź to swojego taty. Powiedz mu, że kazałem ci zniknąć. On będzie wiedział, co robić.

– A co z tobą? Co ty zrobisz?

Przełożyłem pas szkatułki przez ramię, wziąłem laskę i ruszyłem w głąb wyspy.

– Niewiele – rzuciłem przez ramię. – Będę martwy.

W baśniach braci Grimm, zbiorze najbardziej znanych na świecie strasznych opowieści z zachodniej Europy, prawie zawsze miejscem akcji jest las, groźny, zamieszkały przez monstrualne i przerażające istoty. Prawdziwa twierdza ciemności... nie bez powodu.

Spacer przez mroczny las może być nie tylko cholernie straszny, ale na dodatek bardzo niebezpieczny.

Niewiele można dojrzeć. Otaczają cię najróżniejsze dźwięki, od westchnień wiatru w drzewach do szelestu krzaków wywoływanego przez zwierzęta. Niewidzialne rzeczy dotykają nagle i bez ostrzeżenia: gałęzie, pajęczyny, liście, krzewy. Teren zmienia się bezustannie, raptownie wznosi się albo opada, zmuszając do wytężonej uwagi przy każdym kroku. Potykasz się na kamieniach. Na pnączach, kolcach, gałęziach i korzeniach. Ciemność skrywa dziury, leje, skarpy i skalne półki, z których można spaść o sześć cali albo sześć stóp.

W bajkach czyta się o bohaterach biegnących nocą przez las. To kompletna bzdura. Możliwa najwyżej w bardzo starych lasach sosnowych, gdzie ziemia przeważnie jest czysta, albo w widnych dąbrowach, w których uwielbiają kręcić filmy o Robin Hoodzie i adaptacje sztuk Szekspira. Ale jeśli trafisz do gęstej amerykańskiej puszczy, lepiej znajdź sobie gruby kij, zamiast pędzić przez nią na oślep.

Szedłem ostrożnie w górę zbocza, mijając zrujnowane budynki miasteczka, które niegdyś wznosiło się nad portem. Od tamtego czasu drzewa odzyskały teren, wyrastając przez podłogi i ze starych okien.

Na wyspie żyły jelenie, choć Bóg jeden wie, jak się tam dostały. Znajdowałem również ślady lisów, szopów pracy, skunksów i żbików, nie wspominając już o pospolitych zającach, wiewiórkach i świstakach. Było też kilka dzikich kóz, zapewne potomków uciekinierów z dawnych ludzkich

osad.

Po dwudziestu krokach zacząłem wyczuwać wrogą obecność. Zaczęło się od nieokreślonego, lekkiego niepokoju, ledwo wyczuwalnego na tle całkiem uzasadnionego strachu, który mnie mroził. Ale w miarę jak podążałem pod górę, robiło się coraz gorzej. Trzepotliwy niepokój przerodził się niemal w panikę, od której serce mi przyśpieszyło, a w ustach zaschło.

Przygotowałem się na psychiczną presję i szedłem dalej tym samym równym krokiem. Gdybym dopuścił do siebie strach i w popłochu rzucił się przed siebie, mógłbym skończyć jako ofiara normalnych zagrożeń nocnego lasu. Prawdopodobnie wyspa właśnie to miała dla mnie w zanadrzu, że się tak wyrażę.

Zacisnąłem zęby i nie zwalniałem kroku, podczas gdy moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności, tak że teraz widziałem zarysy drzew, skał i krzaków, dzięki czemu mogłem poruszać się bezpieczniej.

Droga na szczyt wzgórza była krótka, choć na ostatnim odcinku nachylona pod kątem większym niż czterdzieści pięć stopni, tak że musiałem skorzystać ze starych stopni wyciosanych kiedyś w skalnym zboczu. Kiedy pierwszy raz po nich szedłem, wydawały się dziwnie znajome i wygodne. Podczas następnych wizyt nie zmieniły się znacząco. Nawet teraz mogłem wspinać się po nich w mroku, a moje stopy automatycznie dostosowywały się do trochę nieregularnych odstępów.

Gdy pokonałem schody, znalazłem się na łysym wierzchołku góry. Stała na nim stara latarnia morska, właściwie dwie trzecie wieży. Część się zawaliła, a kamienie zostały użyte do zbudowania małego domku u jej stóp.

Cicha obecność wyspy była tutaj silniejsza, obecność złowrogiej i niebezpiecznej istoty, która nie lubiła gości.

Rozejrzałem się po wierzchołku oblanym światłem księżyca i poszedłem w stronę chaty, przed którą znajdował się kawałek płaskiego terenu. Postawiłem szkatułkę na ziemi.

To, co zamierzałem, miało swoje początki w starożytnych szamańskich praktykach. Plemienny czarownik, mędrzec albo przywoływacz duchów wyprawiali się na pustkowiu i szukali miejsca, w którym czuć moc, taką jak tutaj. Następnie, zależnie od kultury, szaman wzywał ducha miejsca. Kolejny

rytuał nie całkiem był prezentacją, wyzwaniem, roszczeniem prawa do ziemi czy pojedynkiem woli, ale zawierał elementy wszystkich tych rzeczy. Jeśli obrzęd kończył się pomyślnie, powstawało coś w rodzaju partnerstwa między szamanem a *genius loci*.

Jeśli rytuał nie był udany, cóż... Nie jest dobrze skupiać na sobie pełną uwagę niebezpiecznego ducha, który potrafi wywierać wpływ na otoczenie. Tutejszy duch, zasilany mroczną energią linii geomantycznej biegnącej pod wieżą, bez trudu doprowadziłby mnie do obłądu albo zmienił w pożywienie dla zwierząt i drzew.

– A jednak tutaj jestem, żeby dać ci przytyczka w nos – wymamrotałem. – Czyżbym był odważny?

Odłożyłem laskę i otworzyłem szkatułkę.

Najpierw krąg. Używając krótkiej miotełki, szybko oczyściłem skalną półkę z ziemi i kurzu w promieniu trzech stóp. Następnie za pomocą drewnianego cyrkla jak z lekcji geometrii narysowałem koło kredą lekko świecącą w ciemności. Krąg nie musiał być idealny, żeby zadziałać, ale modelowy bywał skuteczniejszy, a ja potrzebowałem choćby najdrobniejszej przewagi.

Potem wyjąłem z pudełka pięć białych świec i spojrzałem na kompas, żeby właściwie je ustawić. Igła kręciła się dziko i bez sensu. Jej działanie musiały zakłócać turbulencje pobliskiej linii geomantycznej. Odłożyłem kompas i poszukałem na niebie Gwiazdy Polarnej. Ustawiłem świece w pięciu wierzchołkach pentagramu, którego jeden czubek wycelowałem dokładnie na północ.

Następnie wziąłem stary, autentyczny nóż bojowy amerykańskich marines Ka-Bar, prosty, srebrny kielich i srebrny dzwonek Armii Zbawienia z czarną drewnianą rączką.

Dokładnie sprawdziłem wszystkie przedmioty i krąg, po czym oddaliłem się od niego o kilka kroków i całkiem rozebrałem. Straciłem pierścienie, bransoletę i cały swój magiczny sprzęt z wyjątkiem srebrnego amuletu z pentagramem zawieszzonego na szyi. Nie musiałem dokonywać rytualnego obnażenia, ale zmniejszyła ono zagrożenie, że jakieś czary obecne w moim ubraniu spowodują choćby niewielkie, ale istotne zakłócenia.

Przez cały czas presja ze strony świadomości wyspy się nasilała. Zaczęło mnie łupać w głowie, co stanowiło cudowną kombinację ze świeżymi guzami. Zjeżyły mi się włoski na karku. Wokół mnie zaczęły krążyć z bzyczeniem komary. Zadrzałem na myśl o miejscach, które zostaną pogryzione, kiedy będę zajęty.

Wszedłem do kręgu, sprawdziłem wszystko jeszcze raz, wyjąłem z kuferka pudełko zapalek i ukląknęłam. Tak, mogłem zapalić świecę zaklęciem, ale pozostałby na nich ślad energii zakłócający rytuał. Dlatego zrobiłem to w staroświecki sposób. Kiedy przystawiłem płomyk pierwszej zapalniczki do świecy znajdującej się od strony północnej, sowa siedząca na pobliskim drzewie wydała tak niesamowity dźwięk, że omal nie wyskoczyłem ze skóry. Tylko cudem uratowałem się przed utratą równowagi i zamazaniem kręgu.

– Tani chwyt – skomentowałem.

Sięgnąłem po świeżą zapalniczkę, zapaliłem wszystkie pięć świec, po czym odwróciłem się twarzą na północ i ostrożnie dotknąłem kredowego kręgu. Zamknąłem go umiarkowanym wysiłkiem woli i psychiczna presja, którą odczuwałem przez ostatnie pół godziny, nagle zniknęła.

Zamknąłem oczy i wyregulowałem oddech. Rozluźniłem kolejne grupy mięśni, skupiając myśli na tym zadaniu. Powoli gromadziłem wolę. Na zewnątrz kręgu znowu krzyknęła sowa. Żbik wydał rozdzierający wrzask. Dwa lisy zaczęły chóralnie zawodzić w krzakach.

Ignorowałem wszystkie dźwięki, aż poczułem, że zebrałem całą swoją moc. Wtedy otworzyłem oczy i sięgnąłem po dzwonek. Potrząsnąłem nim mocno i przelałem siłę woli we własny głos.

– Nie jestem ciemnym śmiertelnikiem, którego możesz wystraszyć – oświadczyłem, zwracając się do szczytu wzgórza. – Jestem magiem, jednym z Mądrych, i zasługuję na twój szacunek.

Od strony jeziora zerwał się wiatr. Drzewa westchnęły i zaszumiały niczym gniewna fala, ogromna i wszechobecna.

Znowu potrząsnąłem dzwonkiem.

– Wysłuchaj mnie! – zawołałem. – Jestem magiem, jednym z Mądrych, znam twoją naturę i siłę.

Wiatr tak się wzmógł, że świece zaczęły migotać. Wysiłkiem woli ustabilizowałem ich płomienie i poczułem, że temperatura mojego ciała spada o kilka stopni.

Odłożyłem dzwonek, wziąłem nóż i przeciągnąłem nim po kostkach lewej dłoni. Na cienkim nacięciu od razu zebrała się krew. Schowałem nóż do szkatułki i sięgnąłem po kielich. Podstawiłem go pod ściekające czerwone krople.

I wtedy wykorzystałem jedyną rzecz, która, jak sądziłem, jest w stanie przyciągnąć tę istotę.

Ogień duszy.

W czasie jednej ze spraw sprzed ponad roku pewien archanioł postanowił zainwestować w moją przyszłość. Uriel zastąpił moc, którą utraciłem, kiedy oparłem się pokusie przyjęcia oferty jednej z Upadłych. Demoniczny Żar Piekieł miał prawdziwie destrukcyjną moc. Płomień duszy był anielskim odpowiednikiem tej samej siły, drugą stroną monety, ogniem tworzenia, a nie destrukcji. Nie eksperymentowałem z nim wiele, ponieważ źródłem jego energii była moja własna siła życiowa. Gdybym zużył jej zbyt dużo, mogłoby mnie to zabić.

Podczas gdy krew skapywała do kielicha, sięgnąłem do miejsca w umyśle, gdzie mieścił się ten dar, i przelałem w nią ogień duszy. Z nacięcia posypały się srebrno-białe iskry i razem z krwią wpadły do naczynia, napędzając je nadprzyrodzoną mocą w ilości większej niż ta, którą zawierało zwykłe źródło mojej magicznej energii.

Uniosłem kielich w prawej ręce, a w lewej dzwonek. Krople krwi i migoczące iskry ognia duszy padły na srebro, tak że kiedy ponownie zadzwoniłem, dźwięk był przenikliwy, ton tak doskonały i czysty, że mogłoby roztrzaskać szkło.

– Wysłuchaj mnie! – zawołałem, a mój głos wzmocniony przez ogień duszy zabrzmiał podobnie jak dzwonek, ostro, precyzyjnie i donośnie. Z zawalonej części wieży spadły na ziemię drobne kamienie. – Jestem magiem, jednym z Mądrych! Ofiaruję ci dar z mojej krwi, żeby uczcić twoją siłę i okazać szacunek! Wyjdź! – Przygotowałem się do przerwania kręgu i rzucenia zaklęcia. – Wyjdź! – ryknąłem jeszcze głośniejszym głosem. – Wyjdź!

Jednocześnie przerwałem krąg, uwolniłem wolę i wylałem szkarłatno-srebrny ogień mojej wzmocnionej krwi na kamienie.

Leśne zwierzęta zaczęły wyc i wrzeszczeć. Ptaki zerwały się z drzew. Gałęzie zderzyły się ze sobą na porywistym wietrze, a ich skrzypienie poniosło się nad skalistym zboczem jak huk wystrzałów.

Chwilę później z pogodnego nieba spadła niebieskozielona błyskawica i uderzyła w ziemię wewnątrz pustej skorupy starej latarni morskiej.

W wieży pozostało niewiele do spalenia, ale rosło w niej trochę krzaków i trawy. Na murach zatańczyło migotliwe światło, ale po kilku sekundach zgasło, a w środku nagle ukazał się niewyraźny kształt.

Odetchnąłem głęboko i stanąłem twarzą do latarni. Rzadko się zdarzało, żeby taka istota przybierała materialną postać. Uznałem to wydarzenie za tak nieprawdopodobne, że nie zadałem sobie trudu, żeby się do niego przygotować.

Las wokół mnie zaszeleścił, a ja pomknąłem wzrokiem w lewo i w prawo, nie ruszając się z miejsca.

Wokół mnie pojawiły się zwierzęta. Największy był jelen; jego rogi wyglądały groźnie w blasku księżyca. Zobaczyłem również lisy, szopy, zające, wiewiórki i najróżniejsze leśne stworzenia, drapieżniki i ich ofiary. Wpatrywały się we mnie nazbyt rozumnym wzrokiem. Wszystkie były niesamowicie ciche i całkiem nieruchome.

Odpędziłem od siebie myśli, co by było, gdyby mnie dopadły i pożarły setki małych dzikich zwierząt. Skierowałem wzrok z powrotem na wieżę i czekałem.

Ciemna postać, niewyraźna w gęstym cieniu, poruszyła się i zbliżyła. Wyglądała jak... coś niezupełnie ludzkiego. Ramiona miała za szerokie i krzywą postawę. Szła powolnym, kulejącym krokiem. Okrywało ją coś w rodzaju obszernego czarnego płaszcza... Aha, i miała jedenaście albo dwanaście stóp wysokości.

Aj!

W mroku kaptura płonęły zielone oczy takiego samego koloru jak nienaturalna błyskawica. Popatrzyły na mnie i rozbłyły jaśniej, a silny podmuch wiatru omal nie zwałił mnie z nóg.

Zacisnąłem zęby i wytrzymałem napór. Chwilę później wicher ucichł. Patrzyłem przez chwilę na ciemną postać, a potem skinąłem głową.

– No dobrze – powiedziałem. – Mam cię.

Sięgnąłem do swojej woli, przelałem w nią skromną porcję ognia duszy i wyrzuciłem prawą rękę do przodu, wołając:

– *Ventas servitas!*

Z mojej ręki wystrzeliły wstęgi srebrnego światła i trafiły w wysoką postać. Istota się nie poruszyła – była na to zbyt masywna – ale wiatr szarpnął jej płaszczem, tak że materiał załopotał jak bandera statku.

Gdy mój okrzyk przebrzmiał, płaszcz z powrotem okrył mroczną istotę. Jej oczy znowu rozbłysły. Lita skała pod moimi stopami i za mną pękła z trzaskiem, w górę pofrunęły ostre odłamki. Na nogach i plecach poczułem kilka gorących, piekących smagnięć.

– Au! – syknąłem. – Dobrze, że nie trafiły w czułe miejsca. – Ponownie wezwałem wolę i ogień duszy. – *Geodas!* – wykrzyknąłem, tym razem skupiając się na ziemi w pobliżu ducha.

Skała pod nim nagle otworzyła się z hukiem, tak że powstał wielki lej.

Istota nawet nie drgnęła. Po prostu stała w powietrzu, jakby właśnie nie straciła gruntu pod nogami.

Jej oczy znowu rozjarzyły się życiem, ale tym razem to przewidziałem. Popędził ku mnie płomień uformowany w lancę, zostawiając za sobą pas szronu i lodu. Ale ja sięgnąłem wolą w głąb ziemi i znalazłem strumień, który zasilał małą studnię wykopaną przy chacie. Wyciągnąłem wodę przez szczeliny, które duch wcześniej zrobił w skale, i krzyknąłem:

– *Aquilevitas!*

Na spotkanie nadciągającego płomienia uniosła się wodna kurtyna i oba żywioły pochłonęły się nawzajem, tak że zostały po nich tylko ciemność i chmura pary.

Uniosłem rękę, zebrałem wolę wzmocnioną przez ogień duszy i wykrzyknąłem:

– *Fuego!*

Kolumna srebrno-niebieskiego płomienia pomknęła z rykiem nad ziemią i trafiła istotę w sam środek jej masy.

Duch zachwiał się do tyłu pod wpływem potężnego uderzenia. Cofnął się jakieś pół cala, choć ognisty słup o takiej grubości rozbiłby ceglany mur. Ale najważniejsze, że przesunąłem go o te pół cala. Co do tego nie było wątpliwości.

Istota wpatrywała się we mnie bez ruchu, a w moje ciało z wolna wsączało się zmęczenie. Robiłem wszystko, żeby stać prosto, nie mrugać... i nie wyglądać słabo.

– Chcesz to dalej ciągnąć? – spytałem. – Mogę tak się zabawiać przez całą noc.

Istota nadal się na mnie gapiała. Potem ruszyła w moją stronę. Szur-łup. Szur-szur-łup.

Wcale nie byłem przestraszony. Ani trochę. W ustach miałem zupełnie sucho, tylko dlatego, że wokół szalały płomienie.

Istota zatrzymała się pięć stóp ode mnie. Właściwie nade mną.

A ja po chwili uświadomiłem sobie, że ona czeka.

Czekała, aż coś zrobię.

Moje serce dudniło, kiedy z szacunkiem skłoniłem głowę. Nie wiem, dlaczego powiedziałem to, co powiedziałem. Po prostu krzyknęły za mnie moje instynkty, ale głos brzmiał pewnie.

– Jestem Harry Dresden i nadaję ci imię, szanowny duchu. Od tego dnia będziesz się nazywał Demonreach.

Jego oczy zapłonęły jaśniej, a macki i strumienie zielonkawego ognia utworzyły nimb wokół głowy.

Demonreach powtórzył mój gest, składając mi ukłon. Następnie szybko odwrócił głowę w stronę kamiennego domku. Wtedy znowu zerwał się wiatr i nad wzgórzem zapadła ciemność.

Zostałem sam. Na szczycie już nie było ducha ani zwierząt. Marzłem.

Chwiejnym krokiem podszedłem do swoich ubrań i schyliłem się po nie, dygocząc tak mocno, że omal nie runąłem na ziemię. Kiedy wyprostowałem się z rzeczami w rękach, zobaczyłem światło migoczące w chacie.

Marszcząc brwi, powlokłem się w jej stronę. Drzwi, podobnie jak okna, już dawno przegniły, z dachu prawie nic nie zostało, ale w środku nadal działała jedna rzecz.

Kominek.

Palila się w nim zgrabnie ułożona sverta chrustu, wydzielając przyjemne ciepło. Złote płomienie były na brzegach zabarwione na zielono.

Przez chwilę gapiłem się na ogień, a potem zbliżyłem się do niego, rozkoszując żarem. Już ubrany, rozejrzałem się, szukając wrogiej obecności. Znalazłem ją natychmiast, nadal obcą, nadal niebezpieczną, choć już nie tak zdeterminowaną, żeby mnie przepędzić.

Tchnąłem wolę w swój głos i powiedziałem po prostu:

– Dziękuję.

Łagodny wiatr, który westchnął wśród drzew Demonreach, mógł być odpowiedzią.

A może nie.

Nie wróciłem do przystani tą samą trasą, którą szedłem do wieży. Istniała dużo krótsza i łatwiejsza droga w dół urwistego zbocza. Okazało się, że jest w niej stary, ciasny wąwóz wyłobiony w skale, niemal całkowicie zasłonięty przez krzaki. Jego dno pokrywała cienka warstwa szlamu, w którym rośliny nie mogły się rozwijać, tak że szło się nim łatwo jak chodnikiem, nawet w ciemności. Na brzeg dotarłem o połowę szybciej, niż wcześniej wspinałem się na górę.

Dopiero kiedy wyszedłem z lasu i zobaczyłem pomost, zadałem sobie pytanie, skąd wiedziałem o tej ścieżce. Nigdy wcześniej nią nie szedłem. Nie miałem pojęcia o jej istnieniu. Ale kiedy postanowiłem pójść nowym szlakiem, znałem go tak dobrze, jakbym mieszkał tam od lat.

Zatrzymałem się i rozejrzałem. Wiedziałem, że z miejsca, gdzie stoję, nie powinienem iść prosto do przystani. Pod zwałonym pniem było gniazdo szerszeni, więc ryzykowałbym, że je rozdrażnię, przechodząc za blisko. Wiedziałem również, że trzydzieści jardów ode mnie złośliwy stary skunks drepcze z powrotem do swojej nory i że chętnie zrosiłby mnie piżmem, gdybym przeciął mu drogę.

Spojrzałem przez ramię w stronę zrujnowanej latarni morskiej, wyteżając nadprzyrodzone zmysły. Duch wyspy nadal był tą samą stałą obecnością, którą czułem, odkąd opuściłem wieżę. Zastanawiałem się, czy nie wrócić tam schodami, żeby zobaczyć, co się stanie, ale od razu wyczułem, że w dużej szczelinie na dwudziestym szóstym stopniu zagnieździł się mokasyn błotny. Gdybym ruszył w drogę o poranku, wąż zdążyłby wypełznąć na kamienie, żeby powygrzewać się na słońcu.

Zbliżał się świt, niebo zaczynało zmieniać barwę z czarnej na niebieską. Widziałem wieżę, samotną i okaleczoną, ale nieugiętą, ciemny kształt na tle firmamentu. Demonreach zaczął się budzić wraz z pierwszymi ptasimi

trelami.

Pograżony w myślach zszedłem na dół do portu i przycumowanego w nim „Chrząszcza Wodnego”.

– Molly! – zawołałem.

Na deskach zadudniły stopy i z kabiny wypadła Molly. Przebiegła dzielący nas dystans i entuzjastycznym uściskiemomal nie zepchnęła mnie do wody z drugiej strony pomostu. Córka dwojga zawziętych wojowników nie była wiodącym fiołkiem. Moje żebra zatrzeszczały.

– Wróciłeś! – wykrzyknęła. – Tak się martwiłam. Wróciłeś!

– Hej, klatka piersiowa będzie mi jeszcze potrzebna, dzieciaku. – Uścisnąłem ją krótko i na wszelki wypadek się odsunąłem.

– Zadziało? – spytała Molly.

– Nie jestem pewien. Boże, muszę się napić.

Od razu po wejściu na pokład łodzi sięgnąłem do szafki po colę. Była ciepła, ale płynna, no i przede wszystkim cola. Wydudliłem ją do dna i cisnąłem puszkę do kosza na śmieci.

– Jak Morgan?

– Obudził się – zagrzemiał Morgan. – Gdzie jesteśmy?

– Na Demonreach – odparłem. – To wyspa na jeziorze Michigan.

– Luccio mi o niej opowiadała.

– Aha. To dobrze.

– Panna Carpenter mówi, że próbowałeś inwokacji sanktuarium.

– Tak.

Morgan chrząknął.

– Jesteś tu, więc się udała.

– Chyba tak. Nie jestem pewien.

– Dlaczego?

Pokręciłem głową.

– Myślałem, że kiedy powstaje więź z jakimś lądem, zyskuje się dostęp do jego uśpionej energii.

– Tak.

Co oznaczało, że moja magia zostanie wzmocniona przez wyspę, kiedy się na niej znajdę. Czyli można powiedzieć, że w stosunku do nakładów

osiągnę dużo większy zysk, niż się spodziewałem.

– Sądziłem, że to wszystko.

– Na ogół. – W ciemnej kabinie Morgan odwrócił głowę w moją stronę. – A co jeszcze się stało?

Wziąłem głęboki wdech i opowiedziałem mu o ukrytym szlaku, o szerszeniach i skunksie.

Morgan usiadł na koi, zanim dotarłem do końca swojej relacji. Pochylił się w skupieniu.

– Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś? Konfrontacja z *genius loci* potrafi wywołać dziwne następstwa.

– Zaczekaj – powiedziałem.

Szybko wróciłem do lasu i od razu znalazłem gniazdo szerszeni. Wycofałem się ostrożnie, nie deptając niczego, i wróciłem na łódź.

– Tak. Jestem pewien.

Morgan opadł na koję, jakby nagle zeszło z niego powietrze.

– Boże miłosierny – wyszeptał. – Intellectus.

Uniosłem brwi.

– Żartujesz.

Molly zapaliła kilka świec, żebyśmy mogli lepiej widzieć się nawzajem.

– Intel... co? – spytała.

– Intellectus. To forma istnienia pewnych bardzo rzadkich i potężnych istot nadprzyrodzonych. Mają ją anioły. I założę się, że stara Matka Zima i Matka Lato również. Dla istot obdarzonych intellectusem cała rzeczywistość istnieje w jednym kawałku, w jednym miejscu, w jednej chwili, tak że od razu widzą całość. Nie szukają ani nie zdobywają wiedzy. One po prostu wiedzą. Postrzegają cały obraz.

– Nie jestem pewna, czy to łapię – wyznała Molly.

– Istota z intellectusem nie rozumie, na przykład, jak wykonać skomplikowane działanie matematyczne, bo nie potrzebuje tego procesu – wtrącił Morgan. – Jeśli przedstawiś jej jakiś problem i równanie, ona po prostu je zrozumie i od razu poda odpowiedź bez konieczności przechodzenia przez kolejne logiczne etapy rozwiązywania tego problemu.

– Jest wszechwiedząca? – Molly wytrzeszczyła oczy.

Morgan pokręcił głową.

– To nie to samo. Istota z intellectusem musi się na czymś skupić i zastanowić, żeby wiedzieć, podczas gdy istota wszechwiedząca wie wszystko przez cały czas.

– A to prawie nie to samo? – zdziwiła się Molly.

– Intellectus nie uratowałby cię przed kulą zabójcy, gdybyś nie wiedziała, że ktoś chce cię zabić – wyjaśniłem. – Najpierw musiałabyś rozważyć kwestię, czy zabójca może się czaić w ciemnych drzwiach na szczycie dzwonnicy.

Morgan mruknął twierdząco i dodał:

– A ponieważ istoty z intellectusem rzadko rozumieją szersze pojęcia przyczyny i skutku, mogą nie być w stanie uświadomić sobie, że jakieś wydarzenie świadczy o zbliżającej się próbie zabójstwa. – Odwrócił się do mnie. – Choć to okropne, Dresden, większość takich istot jest nieśmiertelna. Miałyby trudności z zauważeniem kul, nie mówiąc o strachu przed nimi.

– Więc tak czy inaczej temu czemuś trzeba najpierw zadać właściwe pytania – zauważyła Molly. – Co zawsze jest trudniejsze, niż ludzie sądzą.

– Tak – przyznałem. – Właśnie.

– I teraz masz tego intellectusa?

Pokręciłem głową.

– Demonreach go ma. Mój zasnął, kiedy opuściłem wyspę. – Postukałem się palcem w czoło. – W tym momencie nic się tam nie dzieje.

Uświadomiłem sobie sens własnych słów dopiero kiedy wyszły z moich ust. Zerknąłem na Morgana.

Leżał na koi z zamkniętymi oczami. Jego usta wykrzywił lekki uśmiezek.

– Za łatwe.

Molly starała się nie uśmiechnąć zbyt szeroko.

Morgan zacisnął usta w skupieniu.

– Czy ta istota podała ci jakieś inne informacje, Dresden? Tożsamość tych, którzy stoją za morderstwem LaFortiera, na przykład?

Omam nie stuknąłem się pięścią w głowę. Powinienem być o tym pomyśleć.

– Dam ci znać.

I ruszyłem z powrotem na brzeg.

Demonreach wyczuł mnie w tym samym momencie, co ja jego. Wrażenie było dziwne, jakby machnął mi ręką na powitanie. Zmarszczyłem brwi i rozejrzałem się po wyspie, skupiając się na kwestii zabójcy LaFortiera.

Nic nie przyszło mi do głowy. Spróbowałem kilku innych rzeczy. Kto wygra w następnych finałowych meczach ligi baseballu? Czy mogę odebrać Niebieskiego Chrabąszcza z parkingu policyjnego? Ile książek zrzucił z półek Mister w czasie mojej nieobecności?

Nic.

Pomyślałem o gniazdach szerszeni i od razu zyskałem pewność, że jest ich trzydzieści dwa, rozrzuconych na stu pięćdziesięciu akrach wyspy, szczególnie dużo w jabłoniowym sadzie w jej północnej części.

Wróciłem na łódź i złożyłem raport.

– Więc on istnieje tylko na wyspie – stwierdził Morgan. – Podobnie jak inne *genius loci*. Ten musi być cholernie stary, skoro osiągnął stan intellectusa, nawet jeśli ograniczonego tylko do linii brzegowej.

– To mogłoby być przydatne – zauważyłem.

Morgan nie otworzył oczu, tylko obnażył zęby w wilczym uśmiechu.

– Oczywiście. Gdyby twoi wrogowie byli na tyle uprzejmi, żeby się tu zjawić.

– Mogłoby być przydatne – powtórzyłem twardo.

Morgan uniósł brew i posłał mi ostre spojrzenie.

– Chodź, nowicjuszko – rzuciłem do Molly. – Odwiąż cumy. Zaraz nauczysz się sterować łodzią.

* * *

Zanim dotarliśmy z powrotem do mariny, wzeszło słońce. Pokazałem Molly kolejne etapy bezpiecznego wejścia do portu, choć sam raczej nie byłem Hornblowerem. Udało się nam niczego nie zniszczyć ani nie zatopić, co też się liczy. Przycumowałem łódź i wyskoczyłem na nabrzeże. Molly podeszła do relingu z nietęgą miną.

– Żadnego problemu, nowicjuszko. Płyn przez jakieś dziesięć minut w dowolnie wybranym przez siebie kierunku. Następnie wyłącz silnik i czekaj. Dam ci znak, kiedy będę gotowy, żebyś mnie zabrała.

– Na pewno nie powinniśmy trzymać się razem albo co? – spytała wyraźnie zdenerwowana.

Pokręciłem głową.

– Zakłęcia tropiące nie działają zbyt dobrze na wodzie – wyjaśniłem. – Poza tym z odległości mili będziesz widziała, czy coś się zbliża. Dosłownie. Trzymaj Morgana pod pokładem, a będziecie bezpieczni jak nigdzie indziej.

Molly zmarszczyła brwi.

– A jeśli mu się pogorszy?

– Użyj głowy, dzieciaku. Zrób, co uznasz za stosowne, żebyście oboje przeżyli. – Zacząłem odwiązywać cumę. – To nie powinno potrwać więcej niż parę godzin. Jeśli się nie zjawię, plan jest taki sam jak wtedy, gdy szedłem do wieży. Wiej.

Molly przełknęła ślinę.

– A Morgan?

– Postaraj się, żeby mu było jak najwygodniej, i zostaw go.

Gapła się na mnie przez minutę.

– Naprawdę?

– Jeśli mnie zabiją, nie sądzę, żebyś była w stanie sama go ochronić – powiedziałem, siląc się na rzeczowy ton. – Albo złapać naprawdę złego faceta. Więc uciekaj, aż się będzie kurzyło, a on niech sam o siebie zadba.

Zobaczyłem, że Molly się zastanawia. Po chwili uśmiechnęła się lekko.

– To by go naprawdę upokorzyło, gdyby znalazł się pod ochroną dziewczyny. Praktykantki. I w dodatku możliwe, że czarownicy.

Pokiwałem głową.

– To prawda.

Molly zacisnęła wargi.

– Może dla tego samego warto zostać.

– Dzieciaku, jeśli coś pójdzie źle, najmądrzejszą dla ciebie rzeczą będzie ucieczka.

– Mądrą. Ale niewłaściwą.

Przyjrzałem się jej z powagą.

– Jesteś pewna? Bo świat właśnie czeka, żeby się zawalić.

Molly pokiwała głową, trochę zbladła na twarzy.

– Spróbuję.

I widziałem w jej oczach, że tak zrobi. Wiedziała lepiej niż inni, jakie grozi jej niebezpieczeństwo, i najwyraźniej ją to przerażało. Ale mimo to zamierzała spróbować.

– Jeśli mnie skasują, spotkaj się z Murphy – poradziłem. – Ona zna sprawę. Posłuchaj jej. Jest bystra i można jej ufać.

– Dobrze.

Rzuciłem cumy z powrotem na molo i ruszyłem przed siebie.

– Harry! – zawołała za mną Molly. – Jakiego sygnału użyjesz?

– Będiesz wiedziała! – odkrzyknąłem.

Opuściłem przystań w poszukiwaniu narzędzia, które mogłoby rozerwać spletaną sieć podejrzeń, morderstw i kłamstw.

I znalazłem je na parkingu mariny.

Budkę telefoniczną.

* * *

Lara odebrała po drugim sygnale.

– Raith.

– Dresden. Co dla mnie masz?

– Chciałabym częściej słyszeć takie bezpośrednie teksty – rzuciła kwaśnym tonem. – Dlaczego sądzisz, że cokolwiek dla ciebie mam?

– Bo ja mam coś na wymianę.

– Mężczyźni na ogół rozumują właśnie w ten sposób. Większość z nich ma skłonność do przeceniania wartości swojego towaru.

– Feromonowa Dziewczyno, możemy przenieść resztę tej rozmowy w rejon powyżej pasa?

Zareagowała tym swoim głębokim, gardłowym śmiechem, a moje hormony dały sygnał do ataku. Zignorowałem je. Głupie hormony.

– No dobrze – powiedziała Lara. – Powinno cię zainteresować, że pieniądze zdeponowane na rachunku Strażnika Morgana pochodziły od firmy wydmuszki o nazwie Windfall.

– Fikcyjna firma? Kto jest jej właścicielem?

– Ja – odparła Lara.

Oślupiałem.

– Ponieważ dzielisz się ze mną tą informacją, zgaduję, że stało się to bez twojej wiedzy.

– Masz rację – przyznała Lara. – A dyrektorem firmy jest pan Kevin Aramis. Tylko on, nie licząc mnie, ma prawo przelewać takie sumy.

Myślałem gorączkowo. Ktokolwiek załatwił LaFortiera, nie miał na celu jedynie implozji Rady. On albo oni zadali sobie również wiele trudu, żeby nastawić ją przeciwko Białemu Dworowi.

Na dzwony piekieł.

Wyobraźnia podsunęła mi proroczy koszmar. Morgan walczy z niesłusznym oskarżeniem. Wrogość narasta, powstają napięcia między różnymi frakcjami magów. Rada w końcu idzie śladem pieniędzy, odkrywa na drugim końcu Larę i korzysta z okazji, żeby na powrót zjednoczyć frakcje dzięki wspólnemu wrogowi. Wojna z wampirami zaczyna się od nowa. Czerwony Dwór widzi, jak skonfliktowana jest Rada, atakuje i łamie jej kark. A potem już tylko ostatnie heroiczne boje na śmierć i życie.

Na dzwony piekieł!

– Jesteśmy rozgrywani przeciwko sobie nawzajem – stwierdziłem.

– Taki był również mój wniosek – przyznała Lara.

Kilka więcej elementów układanki trafiło na swoje miejsce.

– Madeline – powiedziałem. – Ona poszła do tego Aramisa i nakłoniła go, żeby cię zdradził.

– Tak – zasyczała Lara. Ledwo hamowany, całkowicie nieludzki gniew zabarwił jej spokojny, kontrolowany głos. – Kiedy ją dorwę, wyrwę jej flaki gołymi rękami.

To załatwiło mój problem z hormonami. Zadrzałem.

Widywałem Larę w akcji. Nigdy nie potrafiłem się zdecydować, czy to była jedna z najpiękniejszych przerażających rzeczy, jakie widziałem, czy

najbardziej przerażająca z pięknych rzeczy, jakie widziałem.

– Możesz spróbować poszukać w hotelu Sax, pokój tysiąc dwieście trzydzięci trzy – poradziłem. – Jeśli mam rację, znajdziesz tam ciało pana Aramisa. Madelina dla kogoś pracuje, dla jakiegoś mężczyzny. Nie wymknęło się jej nic, co pomogłoby go zidentyfikować. Powinnaś również wiedzieć, że zatrudniła najemnika, niejakiego Bindera. Niezupełnie naukowiec od rakiet, ale dostatecznie bystry, żeby być niebezpiecznym.

Lara milczała przez chwilę.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Szokujące, ale za pomocą magii.

Usłyszałem, jak Lara rozmawia z kimś, kto znajdował się razem z nią w pokoju. Po chwili wróciła do telefonu i powiedziała:

– Jeśli Aramis nie żyje, Madeline zrealizowała swój plan. Niemożliwe będzie dostarczenie wiarygodnych dowodów, że to nie ja zapłaciłam za morderstwo LaFortiera.

– Tak. Dlatego właśnie to zrobiła.

Lara wydała z siebie odgłos niezadowolenia, jeszcze w miarę kobiecy.

– Co zamierzamy z tym zrobić, Harry?

– Masz ładną sukienkę?

– Słucham?

Stwierdziłem, że uśmiecham się jak szaleniec.

– Wydaję przyjęcie.

* * *

Telefon zadzwonił cztery razy, zanim urywanym i ochrypłym głosem odezwał się Thomas.

– Harry?

Moje serce niemal przestało bić.

– Thomas. Jak leci?

– A, tak się objam.

Już widywałem wcześniej swojego brata w agonii. Brzmiał dokładnie tak

samo.

Telefon wyemitował przypadkowe hałasy, a potem z drugiej strony dobiegł miaukliwy głos skórozmiennego.

– On jest tutaj. Żyje. Na razie. Oddaj mi przeklętego wojownika.

– Dobrze – zgodziłem się.

Po drugiej stronie zapadła cisza pełna konsternacji.

– Przyrowadź go do mnie.

– Nie – powiedziałem krótko. – Tak się nie stanie.

– Co?

– Ty przyjdiesz do mnie.

– Chcesz, żebym w tej chwili zakończył jego życie?

– Szczerze mówiąc, Kosmaty, nic mnie to nie obchodzi – powiedziałem znudzonym tonem. – Byłoby miło zwrócić wampira swoim, zdobyć dla siebie punkt, żeby go potem wykorzystać, ale wcale tego nie potrzebuję. Ty natomiast potrzebujesz żywego Thomasa, jeśli spodziewasz się, że oddam za niego Morgana. Więc będzie tak: o zmierzchu ktoś skontaktuje się z tobą telefonicznie. Powie ci, gdzie odbędzie się spotkanie. Kiedy się zjawisz, pokażesz mi wampira, żywego i całego, a kiedy mi go przekażesz, weźmiesz sobie Morgana bez walki.

– Nie jestem jakąś śmiertelną łachudrą, której możesz rozkazywać, guślarzu – wysyczał Kudłacz.

– Istotnie. Jesteś nieśmiertelną łachudrą.

– Ty ślepy, żywiący się mięsem robalu – zawarczał skórozmienny. – Kim jesteś, żeby tak do mnie mówić?

– Robalem, który ma to, czego potrzebujesz. O zmierzchu. Miej telefon pod ręką.

Rozłączyłem się.

Moje serce tłuło się o zebra, na skórę wystąpił zimny pot. Czułem, że trzęsę się ze strachu o Thomasa, ze zmęczenia, z napięcia po konwersacji z Kudłaczem. Oparłem bolącą głowę o słuchawkę. Miałem nadzieję, że właśnie nie zakończyłem życia swojego brata.

Jeszcze jedna rozmowa.

Biała Rada Magów korzysta z aparatów telefonicznych jak wszyscy inni,

tyle że o wiele częściej wzywa serwis. Zadzwoiłem do kwatery głównej, podałem hasło i zostałem przekierowany do jednego z pracowników administracyjnych, sumiennej młodej kobiety, która jeszcze nie skończyła nauki.

– Muszę przekazać wiadomość wszystkim członkom Rady Starszych – oznajmiłem.

– Dobrze, proszę pana. Jaką wiadomość?

– Musi pani przekazać ją słowo w słowo, dobrze?

– Tak, proszę pana.

Odchrząknąłem i zacząłem dyktować:

– Informuję, że przez ostatnie dwa dni ukrywałem Strażnika Donalda Morgana i chroniłem go przed aresztowaniem. Przyszedł do mnie pewien informator i szczegółowo wyjaśnił, w jaki sposób Strażnik Morgan został uwikłany w zabójstwo członka Rady Starszych LaFortiera. Strażnik Morgan jest niewinny, a ja potrafię to udowodnić. Jestem gotowy spotkać się z wami dzisiaj o zachodzie słońca na nieoznaczonej na mapie wyspie na jeziorze Michigan, na wschód od Chicago. Informator również będzie obecny i dostarczy dowód, który oczyści Strażnika Morgana i wskaże prawdziwego sprawcę zbrodni. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie oddam Strażnika Morgana w ręce domniemanej sprawiedliwości. Przybądźcie w pokoju i razem rozwiążmy sprawę. Ale jeśli zjawicie się, żeby walczyć, będę do dyspozycji.

Pracownica zaczęła wydawać zdławione dźwięki już po pierwszym zdaniu.

– Podpis: Harry Dresden – dokończyłem.

– Hm. Tak, proszę pana. Cz... czy mam to panu przeczytać?

– Poproszę.

Wcześniej słyszałem w tle jakieś dźwięki, ale kiedy kobieta zaczęła czytać, wszystkie ucichły. Gdy skończyła, spytała cienkim, piskliwym głosem:

– Dobrze wszystko zapisałam, proszę pana?

W tle wybuchły podniecone szepty.

– Tak. Doskonale.

Oceniłem, że mam jakąś godzinę, zanim zjawi się ktoś z Edynburga. Czasu było dość, żeby złapać taksówkę i pojechać do szpitala.

Will nadal drzemał w poczekalni i tylko Georgia siedziała przy Andi. Była z nią para w średnim wieku, która wyglądała, jakby niewiele spała. Zapukałem w szybę. Georgia powiedziała coś do swoich towarzyszy i wyszła do mnie na korytarz. Była zmęczona, ale czujna, długie, mocno kręcone włosy miała związane w koński ogon.

– Harry. – Uściskała mnie na powitanie.

Odwzajemniłem uścisk i zbyt szybko się odsunąłem.

– Co z nią?

Georgia przyglądała mi się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– W kiepskim stanie. Lekarze nie chcą mówić, czy wyzdrowieje.

– Tak jest lepiej – stwierdziłem. – Gdyby jeden powiedział, że będzie dobrze, a potem stało się inaczej...

Georgia zerknęła na parę, która siedziała przy łóżku Andi i trzymała się za ręce.

– Wiem. To byłoby okrutne dawać fałszywą nadzieję, ale...

– Ale ty nadal jesteś irracjonalnie zła, że lekarze jej jeszcze nie uratowali.

Wiesz, jak wygląda sytuacja, ale i tak się denerwujesz.

– Tak – przyznała Georgia. – Niezbyt dobrze się czuję z irracjonalnością.

– To nie jest irracjonalne, tylko ludzkie – powiedziałem.

Georgia posłała mi nikły uśmiech.

– Rozmawiałam z Willem. A ty się śpieszysz.

Pokiwałem głową.

– Potrzebuję was oboje, i to teraz.

– Pójdę po niego.

* * *

Wzięliśmy suwa Georgii i pojechaliśmy do mariny. Przybyliśmy na miejsce dziesięć minut przed czasem, który sobie wyznaczyłem. Zdecydowanie chciałem znaleźć się na jeziorze, zanim przybędą członkowie Rady. Woda nie stanowiła idealnej ochrony przed magią, ale utrudniała namierzenie, a to dużo lepsze niż nic.

– Okay – powiedziałem. – Zaczekacie tutaj minutę.

Will zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Muszę porozmawiać z kimś, kto bywa trochę nieśmiały przy obcych. Jedna minuta.

Wyskoczyłem z suwa i ruszyłem wzdłuż rzędu samochodów, aż znalazłem dwie furgonetki zaparkowane obok siebie. Wśliznąłem się między nie, przyłożyłem palce do ust i zagwizdałem.

Po chwili rozległ się furkot. Z góry śmignął Toot-toot i zawisł przede mną. Wyciągnął swój mały mieczyk i zasalutował.

– Tak, panie!

– Toot, mam dla ciebie dwie misje.

– Już się robi, panie!

– Chcę, żebyś wykonał je po kolei.

Wyraźnie strapiiony Toot opuścił mieczyk.

– Aha.

– Najpierw chcę, żebyś znalazł na jeziorze łódź, na której jest moja praktykantka. Powinna znajdować się nie dalej niż jakąś milę albo dwie od brzegu. – Zdjąłem srebrny amulet z pentagramem, owinąłem wokół niego łańcuszek i podałem elfowi. – Powinien być w takim miejscu, żeby ona od razu go zauważyła.

Toot z powagą przyjął amulet i wsadził pod pachę.

– Zrobi się.

– Dziękuję.

Pierś Toot-toota napęczniała, a on sam wyprostował się z dumą.

– Po drugie, muszę wiedzieć, ilu małych ludzików mógłbyś przekonać,

żeby wstąpili do Gwardii na jedną noc.

Toot zmarszczył brwi i zrobił powątpiewającą minę.

– Nie wiem, lordzie Harry. Przydział pizzy już jest reglamentowany.

Machnąłem ręką.

– Płaca Gwardii się nie zmieni. Zamówię dodatkową pizzę, żeby zapłacić za służbę nowych ludzi. Nazwiemy ich Milicją Lorda Za. Będziemy ich potrzebować tylko czasami. Jak myślisz, ilu się zgodzi?

Toot okrążył mnie z podekscytowanym bzycczeniem.

– Dla ciebie? Każdy skrzat, elf i wróżka w promieniu stu mil wie, że uratowałeś nasz rodzaj przed uwięzieniem przez Panią Zimne Oczy! Wszyscy mają kogoś bliskiego, kto zmarniał w niewoli!

Oślupiałem.

– Aha. Dobrze. Powiedz im, że może być bardzo niebezpiecznie. Uprzedź, że jeśli chcą wstąpić do Milicji, muszą słuchać rozkazów w czasie służby. Zapłacę im po jednej dużej pizzy na osiemdziesięciu ochotników.

– To mniej, niż płacisz Gwardii, Harry – zauważył Toot z wyższością.

– Cóż, oni są amatorami, a nie pełnoetatowymi weteranami jak ty i twoi ludzie, prawda?

– Tak, panie!

Spojrzałem na niego z powagą.

– Jeśli potrafisz stworzyć Milicję, a ona sprawi się, jak należy, dostaniesz awans, Toot.

Oczy elfa się rozszerzyły.

– Z zapieczonym serem i ekstra dodatkami?

– Nie chodzi o pizzę – sprostowałem. – To będzie prawdziwy awans. Jak wykonasz zadanie, będziesz... – Zrobiłem teatralną pauzę. – Generałem majorem Toot-tootem Minimusem, dowodzącym Elitą Lorda Za.

Z podniecenia ciało Toota zadrżało spazmatycznie. Gdyby w powietrzu nad jego głową nagle pojawił się gigantyczny żółty wykrzyknik, nie byłbym zaskoczony.

– Generał major?

Nie mogłem się oprzeć.

– Tak – zapewniłem uroczyście. – Generał major.

Toot wydał z siebie okrzyk radości i śmignął w jedną i drugą stronę wąskiej przestrzeni między furgonetkami.

– Co tylko rozkażesz, panie!

– Oto, co zrobimy...

* * *

Wróciłem do Willa i Georgii, a dziesięć minut później Chrząszcz Wodny ze stłumionym warkotem silnika wpłynął do portu. Nowicjuszka przybiła do nabrzeża z umiarkowanym impetem. Przycumowałem łódź i oba wilkołaki wskoczyły na pokład. Potem szybko odwiązałem liny i wsiadłem tuż za nimi. Tymczasem Molly przełączyła na wsteczny.

– Co teraz?! – zawołała do mnie od steru.

– Użyj kompasu. Jest na desce rozdzielczej. Jeden, dwa stopnie na południowy wschód. Daj mi znać, kiedy zauważysz wyspę.

– Tak jest!

Will zerknął na Molly, a potem na mnie.

– „Tak jest”?

Pokręciłem głową i rzuciłem z politowaniem:

– Szczury lądowe. Niech mnie kule biją czy jakoś tak. Od dawna nie spałem.

– Śmiało, Harry – powiedziała Georgia. – Obudzimy cię, jeśli coś się wydarzy.

Podziękowałem jej skinieniem głowy, padłem na koję i natychmiast odpłynąłem.

Ktoś potrząsnął mną dwie sekundy później.

– Odejdź – warknąłem.

– Przepraszam, Harry, ale jesteśmy na miejscu – oznajmił Will.

Wymamrotałem kilka nieokrzesanych i bezmyślnych rzeczy, a potem zebrałem się w sobie i otworzyłem oczy, co zawsze było dla mnie najtrudniejszą częścią budzenia się. Usiadłem, a Will wycofał się z ciasnej kabiny, rzucając spojrzenie na nieruchomą postać Morgana. Siedziałem na

koi z takim smakiem w ustach, jakbym się napił syntetycznego wosku w płynie. Minęła chwila, zanim zidentyfikowałem nowy dźwięk.

Deszcz.

Krople bębniły o pokład łodzi i dach kabiny.

Wygramoliłem się na pokład, nie przejmując się tym, że deszcz zniszczy mój skórzany płaszcz. Korzystnym skutkiem ubocznym rytuału czarowania, który miał na celu takie wzmocnienie okrycia, żeby wytrzymało wszelkie ataki, jakby zrobiono je ze stalowych płyt, było to, że przy okazji stało się wodoodporne i plamoodporne. Mimo to nadal przepuszczało powietrze. Sprawdźcie, czy bermany albo wilsony to potrafią.

Zaawansowana technologia, a co.

Wspiąłem się na mostek i przyjrzałem niebu. Zasnuwały je groźne ciemnoszare chmury. Zanosilo się na to, że deszcz będzie solidną, długą ulewą, prawdziwą rzadkością w czasie chicagowskiego lata, które zwykle charakteryzowało się gwałtownymi burzami. Upał zbytnio nie zelżał, tak że w rezultacie powietrze było ciężkie i gęste jak zupa.

Przejąłem ster od Molly, spojrzałem na kompas, żeby się zorientować w położeniu łodzi i wyspy, teraz odległej o zaledwie kilka minut drogi, po czym ziewnąłem głośno i stwierdziłem:

– Robi się mniej przyjemnie.

– Przez deszcz? – zapytała Molly i oddała mi pentagram.

Włożyłem go na szyję i pokiwałem głową.

– Planowałem poczekać niedaleko brzegu, aż się ściemni.

– Dlaczego?

– Głównie dlatego, że wezwałem Radę Starszych na rozróbę o zachodzie słońca.

Molly zadławiła się gumą.

– Nie chciałem, żeby było im łatwo się do mnie podkraść. Aha, i załatwiłem ze skórozmiennym wymianę Thomasa za Morgana. Ale Kudłacz dopiero w ostatniej chwili dowie się, gdzie ma przyplłynąć. Inaczej by nas oszukał i zjawił się wcześniej. Wygląda mi na zmiennego osobnika.

Kalambur umknął Molly albo może dziewczyna też potrafiła zachować kamienną twarz.

– Wymieniasz Morgana na Thomasa?

– Nie. Po prostu chcę, żeby Kudłacz przywiózł Thomasa w jednym kawałku, a wtedy Biały Dwór go załatwi.

Molly wytrzeszczyła oczy.

– Jeszcze na dokładkę Biały Dwór?

Z rozradowaną miną pokiwałem głową.

– Oni też mają w tym swój interes.

– Uhm. Dlaczego sądzisz, że Rada Starszych podejmie wyzwanie?

– Bo powiedziałem im, że mam informatora, który ujawni, kto naprawdę zabił LaFortiera.

– A masz kogoś takiego? – zainteresowała się Molly.

Posłałem jej promienny uśmiech.

– Nie.

Gapiała się na mnie przez chwilę i myślała. Potem stwierdziła:

– Ale zabójca o tym nie wie.

Mój uśmiech stał się szerszy.

– Właśnie, panno Carpenter. Nie wie. Zadbalem o to, żeby po kwaterze głównej rozniosła się wieść o moim wyzwaniu. Zabójca nie ma innego wyjścia, jak pojawić się tutaj, skoro istnieje szansa, że naprawdę znalazłem informatora gotowego zdradzić jego tożsamość, co, tak przy okazji, również mogłoby dostarczyć mocny dowód na istnienie Czarnej Rady.

Molly uniosła złote brwi.

– A jeśli nie ma szansy, żeby taki informator istniał?

Prychnąłem.

– Dzieciaku, faceci, którzy okaleczają, zabijają, knują i zdradzają, robią to, bo kochają władzę. A kiedy zbierze się razem ludzi, którzy kochają władzę, w jednej ręce trzymają dar, podczas gdy w drugiej za plecami ukrywają sztylet. Odslonięte plecy uważają za zwykłą prowokację, żeby wbić w nie nóż. Szansa, że w tej grupie nie ma nikogo, kto próbuje się wycofać, targując się z Radą dla osobistych korzyści, jest mniejsza niż zero.

Molly pokręciła głową.

– Więc on... albo ona wezwie Czarną Radę na pomoc?

Pokręciłem głową.

– Myślę, że zabójca popełnił błąd i zdradził się przed LaFortierem. Musiał go wyeliminować, ale przy wszystkich tych zabezpieczeniach w Edynburgu istniało duże ryzyko, że coś pójdzie źle, i tak się stało. Wszystko, co zrobił później, cuchnie desperacją. Sądzę, że kiedy Czarna Rada odkryje, że ich kret schrzanił wszystko dokumentnie, sami go zabiją, żeby zatrzeć wskazujące na nich ślady. – Spojrzałem na groźną sylwetkę Demonreach. – Jego jedyną szansą jest przeciąć wszystkie nici, które mogą do niego doprowadzić. On tu dzisiaj będzie, Molly. I musi wygrać. Nie ma nic do stracenia.

– Ale ty zamykasz ich wszystkich razem na niewielkiej przestrzeni, Harry – zauważyła Molly. – Wyjdzie z tego wielki bałagan.

– Szybkowar – powiedziałem. – Sprawca już jest dostatecznie zdesperowany, żeby działać pośpiesznie i popełniać błędy. Zwłaszcza taki błąd, że robi o jeden krok za daleko i spróbuje obciążyć Białą Radę winą za śmierć LaFortiera.

Molly popatrzyła w zamyśleniu na wodę.

– Więc ty zamkniesz go na niewielkiej przestrzeni razem z dwiema potężnymi grupami, które chcą go zabić. Jego największym koszmarem musi być ściślejszy sojusz magów z Białym Dworem z powodu tego, co zrobił. A przy takiej mocy, jaką mają tamci, nie będzie w stanie z nimi wszystkimi walczyć.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Tak. Bezradność jest do bani. Zwłaszcza dla magów, którzy zwykle jej nie czują. Albo przynajmniej potrafią sobie wmówić, że nie są bezradni.

– Myślisz, że on się załamie.

– Myślę, że się tu zjawi. Myślę, że przy dostatecznej presji coś gdzieś wystrzeli. Myślę, że on spróbuje czegoś głupiego. Może zaklęcia wyprzedzającego, które wszystkich zabije, zanim się zorientują, że toczy się walka.

– Atak z zaskoczenia – powiedziała Molly. – Który nie będzie atakiem z zaskoczenia, skoro będziesz wiedział, gdzie on jest i co robi. Intellectus!

Postukałem się palcem w skroń.

– Główka pracuje, nowicjuszek.

W oddali rozbrzmiał grzmot.

Westchnąłem.

– Thomas potrafi żeglować przy brzydkiej pogodzie, ale ja nie bardzo. Sytuacja może szybko wymknąć się spod kontroli. Będziemy musieli zaryzykować i skierować się do przystani.

Przejąłem nawigację. Tylko posłuchajcie: „nawigację”. Łódź miała ster i manetkę do przyśpieszania. Pilotowanie jej było równie skomplikowane jak kierowanie samochodziem w wesołym miasteczku. Wprawdzie proste nie oznacza łatwe, ale mimo wszystko. Cały proces ustawienia łodzi i wprowadzenia jej w ruch nie był aż tak skomplikowany, żeby zasługiwał na miano nawigowania.

Wprowadziłem Chrzążcza Wodnego do bezpiecznego przejścia między rafami i dopłynąłem do przystani, tym razem dość gładko. Will już czekał w pogotowiu przy relingu. Zeskoczył na pomost, a Georgia rzuciła mu cumy.

– Nie wychodźcie na ląd, póki ja tego nie zrobię! – zawołałem do nich. – Chcę... was przedstawić.

Billy łypnął na mnie z ukosa.

– OK, Harry.

Zszedłem z mostka i już miałem zeskoczyć na molo, kiedy na jego drugim końcu wyłoniła się zza osłony wysoka, smukła postać w czarnej szacie i czarnej pelerynie z kapturem. Przybysz uniósł starą laskę ozdobioną runami i wymamrotał jakieś słowo, a następnie uderzył nią w deski.

Z pomostu wystrzelił dysk migoczącego niebieskiego światła. Ledwo zdążyłem przyłożyć do piersi ręce skrzyżowane w nadgarstkach, przelać wolę do bransolety z tarcz i wzmocnić swoją mentalną osłonę.

W miejscu, gdzie rozszerzający się dysk trafił w Molly, Willa i Georgię, pojawiły się kłęby dymu w kolorze intensywnego błękitu, fioletu i ciemnej zieleni, po czym wszyscy troje po prostu upadli bezwładnie na molo i pokład łodzi. W oczach mi pociemniało i przez moment czułem się nieznośnie zmęczony, ale kiedy w panice wykrzesalem więcej energii na osłony, chwila słabości minęła.

Postać w pelerynie patrzyła na mnie przez kilka sekund, a potem odezwała się głębokim głosem:

– Odłóż łaskę, Dresden. – Sam wycelował we mnie swoją łaskę niczym strzelbę. Wokół niej zawirowały psychodeliczne kolory. – To już koniec.

Deszcz nadal padał. Zaryzykowałem spojrzenie na swoich towarzyszy. Wszyscy leżeli bez ruchu, ale oddychali. Głowa i ręce Molly zwisały poza burtę. Mokre włosy ufarbowane na szafirowo były znacznie ciemniejsze niż zwykle. Przy każdym ruchu łodzi ramiona dziewczyny się kołysały. Groziło jej wpadnięcie do wody.

Odwróciłem się z powrotem do zakapturzonej postaci. Obszerne płaszcze i szaty prezentują się bardzo teatralnie, zwłaszcza na wietrze, ale w równym, uporczywym deszczu wyglądają po prostu na przemoczone. Strój przyklejał się do ciała przybysza, co sprawiało dość żalodne wrażenie.

Poza tym mokra szata wydawała się ciemniejsza niż w rzeczywistości. Widziałem cień koloru na tkaninie, która właściwie nie była czarna, tylko tak ciemnofioletowa, że wyglądała na czarną.

– Mag Rashid?

Laska nawet nie drgnęła. Przybysz uniósł rękę i odrzucił kaptur. Zobaczyłem długą twarz o ostrych rysach i grubej, jakby wygarbowanej skórze, okoloną krótką brodą przetykaną siwizną. Srebrne włosy też były krótkie i sztywne jak szczotka. Odźwierny miał jedno oko ciemne, przez drugie biegły dwie straszliwe, zbiegające blizny, od linii włosów aż do szczęki. W okaleczonym oczodole połyskiwało coś w rodzaju kulki z nierdzewnej stali.

– Istotnie – rzekł Odźwierny.

– Powinienem domyślić się wcześniej. Niewielu jest magów wyższych ode mnie.

– Odłóż laskę, magu Dresden. Zanim komuś stanie się krzywda.

– Nie mogę tego zrobić.

– A ja nie mogę pozwolić, żebyś otwarcie rzucał wyzwanie Białej Radzie.

– Naprawdę? – Wysunąłem żuchwę do przodu. – Dlaczego?

– To jeszcze nie jest twoja godzina. – Głęboki, donośny głos wyrażał troskę.

Uniosłem brwi.

– Jeszcze nie...?

Mag Rahid potrząsnął głową.

– Miejsce w czasie. To nie jest ten czas ani miejsce. To, co zamierzasz zrobić, będzie kosztowało życie wielu ludzi, między innymi twoje. Nie chcę, żeby stała ci się krzywda, młody magu. Ale jeśli się nie poddasz, trudno.

Zmrużyłem oczy.

– A jeśli się poddam, umrze niewinny człowiek. Nie chcę z tobą walczyć. Ale nie zamierzam stać z boku i pozwolić, żeby Czarna Rada zabiła Morgana, a potem tanecznym krokiem oddaliła się za kurtynę, żeby w przyszłości zrobić to samo.

Odźwierny lekko przekrzywił głowę.

– Czarna Rada?

– Jakkolwiek chcesz ich nazwać. Ludzie, dla których pracuje zdrajca. Ci, którzy wciąż mącą, knują i sieją zamieszanie. Zmieniają rzeczy.

Twarz Rashida pozostała nieprzenikniona.

– Jakie rzeczy?

– Tajemnicze postacie wręczają wilcze pasy agentom FBI. Wampiry z Czerwonego Dworu pojawiają się, żeby walczyć z Outsiderami. Królowe fae stają się idealistyczne i próbują dokonać przewrotu na Dworach Faerie. Unseelie nie reagują, kiedy wampiry dopuszczają się zniewagi, wkraczając na ich terytorium. Atak na Arctis Tor. Mogę wymienić jeszcze kilka innych spraw, i to wyłącznie tych, w które byłem osobiście zaangażowany. – Wykonałem ręką szeroki gest w stronę Chicago. – Świat staje się coraz dziwniejszy i straszniejszy, a my jesteśmy tacy zajęci własnymi rozgrywkami, że nawet tego nie dostrzegamy. Ktoś za tym wszystkim stoi.

Odźwierny obserwował mnie w milczeniu przez dłuższą chwilę. Potem mruknął:

– Tak.

Z niewielkim opóźnieniem zrozumiałem, co się dzieje.

– Sądysz, że jestem z nimi.

Rahid nie odpowiedział od razu... ale z drugiej strony on prawie zawsze tak robił.

– Może nie bez powodu. Dodaj do swojej listy naruszonej równowagi takie rzeczy jak wybuch otwartej wojny między Czerwonym Dworem i Białą Radą. Korona Seelie odebrana jednej młodej królowej przez inną w wyniku krwawej rewolty, a nie z woli Tytanii. Strażnicy regularnie zadają się z wampirami z Białego Dworu. Studenci college'u są nauczani podstaw magii, które pozwalają im stać się wilkołakami. Mały Ludek, wolne elfy, łączą się i organizują. Najpotężniejsze artefakty Kościoła znikają ze świata i, o czym świadczą niektóre znaki, są przetrzymywane przez maga, który nawet nie składa głośnych deklaracji, nie mówiąc o autentycznej wierze.

Spochmurniałem.

– Rzeczywiście. Kiedy tak to przedstawiasz.

Odźwierny uśmiechnął się słabo.

Wyciągnąłem rękę.

– Przysięgam na swoją magię, że nie jestem związany z tymi szaleńcami, a jedynie staram się gasić wybuchające pożary. Jeśli wokół mnie dzieją się podejrzane rzeczy, to dlatego, że tak bywa, kiedy się jest zdeklasowanym magiem. Trzeba znaleźć rozwiązanie tam, gdzie można, a nie, gdzie jest wygodnie.

Rashid zacisnął usta i obserwował mnie w zadumie.

– Posłuchaj, możemy się zgodzić na krótki rozejm, żeby wszystko obgadać? – zaproponowałem. – I żebym mógł uratować swoją praktykantkę przed utonięciem?

Odźwierny przesunął wzrok ze mnie na Molly. Zmarszczył brwi i natychmiast opuścił laskę.

– Pięć minut – powiedział.

– Dzięki.

Wciągnąłem Molly na łódź. Nawet się nie poruszyła. Kiedy już bezpiecznie drzemała na pokładzie, zszedłem na molo i stanąłem przed Odźwiernym. Rashid obserwował mnie spokojnie, trzymając laskę oburącz i opierając się na niej lekko.

– A więc, gdzie jest reszta Rady Starszych? – spytałem.

– Chyba w drodze. Będą musieli znaleźć w Chicago transport i potem drogę na wyspę.

– Ale ty przyszedłeś przez Nigdynigdy?

Odźwierny pokiwał głową, nie spuszczając ze mnie czujnego wzroku.

– Znam Ścieżkę. Już tu kiedyś byłem.

– Tak? Myślałem o tym, żeby spróbować znaleźć Ścieżkę, ale nie chciałem ryzykować. To niezupełnie jest Mayberry. Wątpię, czy łączy się z czymś miłym w Nigdynigdy.

Odźwierny wymamrotał coś do siebie w języku, którego nie zrozumiałem, i pokręcił głową.

– Nie potrafię się zdecydować, czy jesteś największym kłamcą, jakiego w życiu spotkałem, czy naprawdę takim ignorantem, na jakiego wyglądasz.

Patrzyłem na niego przez minutę. Następnie zatknąłem kciuki za śmieszny bandaż na głowie.

– Picuś-glancuś.

Odźwierny parsknął śmiechem, równie głębokim i mocnym jak jego głos, ale... jeszcze bardziej. Nie bardzo potrafię to wyjaśnić. Ten śmiech był tak czysty i pełen ciepła, że wprawiał powietrze w drgania, jakby pochodził z niewyczerpanego źródła skoncentrowanej, niepoahamowanej radości.

Sądzę, że chyba minęło trochę czasu, odkąd Rashid ostatnio się roześmiał.

– Ty – wykrztusił z trudem. – Na tamtym drzewie. Cały ubłocony.

Przyłapałem się na szerokim uśmiechu.

– Tak. Pamiętam.

Odźwierny pokręcił głową i wytarł łzy z policzka. Minęła następna chwila albo dwie, zanim się opanował, ale kiedy się odezwał, w zdrowym oku nadal błyskały iskierki humoru.

– Przeżyłeś więcej niż inni młodzi ludzie – stwierdził. – I posmakowałeś więcej triumfów niż inni. To bardzo pocrzepiający znak, że nadal potrafisz się z siebie śmiać.

– Rany. Jestem takim ignorantem, że nie wiem, co innego mógłbym robić. Rashid wpatrywał się we mnie intensywnie.

– Nie wiesz, co to za miejsce.

– Jest poza zasięgiem postronnych obserwatorów – powiedziałem. – I znam je lepiej niż większość tych ludzi, którzy są w drodze.

Odźwierny pokiwał głową, marszcząc brwi.

– Chyba to logiczne.

– A więc?

Westchnąłem. Magowie.

– Więc? Co to za miejsce?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu spytał:

– A jak myślisz?

– Cóż, wiem, że przebiega tędy linia geomantyczna. Bardzo mroczna i niebezpieczna energia. Wiem, że jest tu obecny *genius loci*, naprawdę silny i niezbyt przyjazny. Wiem, że próbowano założyć tutaj małe miasto, związane z żeglugą na Wielkich Jeziorach, ale nic z tego nie wyszło. Demonreach ich przepędził. Albo doprowadził do szaleństwa.

– Demonreach?

– Nie mogłem znaleźć nazwy w książkach, więc wymyśliłem własną.

– Demonreach – powtórzył Odźwierny w zamyśleniu. – To... z pewnością pasuje.

– Więc?

Posłał mi skąpy uśmiech.

– Nic, co jeszcze mógłbym dodać, już bardziej by ci nie pomogło. Z jednym wyjątkiem. Linia geomantyczna, o której wspomniałeś, nie przebiega przez wyspę. Ona tutaj się zaczyna. Wyspa jest źródłem energii.

– Aha – bąknąłem. – A z czego się bierze ta energia?

– Według mnie to bardzo ważne pytanie.

Zmrużyłem oczy.

– I nie zamierzasz dodać nic więcej.

Odźwierny wzruszył ramionami.

– Mamy inne sprawy do omówienia.

Obejrzałem się na moich nieprzytomnych przyjaciół.

– Tak. Mamy.

– Chętnie uznam, że twoje intencje są szlachetne – rzekł Rashid. – Ale

twoje działania mogły zapoczątkować katastrofalny ciąg wydarzeń.

Wzruszyłem ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem natomiast, że nie zabija się człowieka za zbrodnię, której nie popełnił. A kiedy ktoś próbuje to zrobić, powstrzymuje się go.

– I myślisz, że w ten sposób ich powstrzymasz? – zapytał Rashid.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Nie uda ci się – ostrzegł Rashid. – Jeśli nadal będziesz taki uparty, skończy się przemocą. Zginą ludzie, między innymi ty.

– Nawet nie wiesz, co zamierzam – powiedziałem.

– Zastawiasz pułapkę na zdrajcę. Próbujesz go zmusić, żeby się ujawnił.

Człowiek mniejszego formatu mógłby się poczuć nie taki znowu bystry jak jeszcze chwilę wcześniej.

– Aha.

– A skoro ja potrafię rozszyfrować twój plan, potrafi to również zdrajca – zauważył Odźwierny.

– Ba. Ale i tak się zjawi. Nie może tego nie zrobić.

– I zjawi się gotowy – uprzedził Rashid. – Sam wybierze moment.

– Niech wybiera. Ja mam inne atuty.

Wtedy Odźwierny zrobił coś dziwnego. Wolno wypuścił powietrze z płuc i zamknął zdrowe oko. Stalowe poruszało się, jakby na coś patrzył, choć potrafiłem to stwierdzić tylko po drganiach powieki. Chwilę później Rashid otworzył oko i rzekł:

– Szanse, że przeżyjesz, są minimalne.

– Tak?

Wyminąłem go, zeskoczyłem z pomostu na wyspę i natychmiast poczułem znajomą więź z Demonreach. Odwróciłem się do Raszida.

– A teraz?

Zmarszczył brwi i powtórzył swój mały rytuał.

I wydał z siebie zduszony dźwięk.

– Na krew proroka! – Łypnął na mnie zdrowym okiem. – Ty... objąłeś to miejsce w posiadanie jako sanktuarium.

– Zgadza się.

– Jak?

– Zdzieliłem je pięścią w nos. Teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Odźwierny wolno pokiwał głową.

– Harry – powiedział znużonym tonem. – Harry, nie wiesz, co zrobiłeś.

– Zwiększyłem swoje szanse w walce.

– Tak – przyznał Rashid. – Dzisiaj. Ale wiedza ma swoją cenę. Zawsze.

Jego lewa powieka drgała, tak że blizny otaczające stalową gałkę oczną się pomarszczyły.

– Ale to ja zapłacę tę cenę. Nikt więcej.

– Tak – przyznał Rashid cichym głosem.

Obaj milczeliśmy przez chwilę, moknąc na deszczu.

– Minęło więcej niż pięć minut – odezwałem się w końcu. – Co teraz zrobisz?

– Mogę udzielić ci dwóch rad? – zapytał Odźwierny.

Kiwnąłem głową.

– Po pierwsze, nie czerp z tutejszej studni mocy. Jeszcze lata dzielą cię od chwili, kiedy będziesz w stanie poradzić sobie z czymś takim i się nie zmienić.

– Wcale tego nie planowałem – wtrąciłem.

– Po drugie, musisz zrozumieć, że niezależnie od wyniku tej konfrontacji ktoś umrze. Najlepiej, żeby to był zdrajca, ale jeśli on zginie przed zdemaskowaniem, nikt nie będzie gotów przyjąć twoich wyjaśnień, nawet najbardziej wiarygodnych. Morgan zostanie stracony. Jest bardzo prawdopodobne, że ty również.

– Pewnie tak.

Odźwierny tylko pokiwał głową.

– Raczej nie jesteś skłonny mi pomóc? – zapytałem.

– Nie mogę postawić stopy na wyspie – odparł Rashid.

– Dlaczego?

– Bo to miejsce żywi do mnie urazę.

I nagle przypomniałem sobie kuśtykający krok ducha wyspy. Szur-łup.

Cholera!

Rashid odwrócił się w stronę pomostu i machnął ręką. Bez szmeru czy

choćby błysku zmarnowanej mocy pojawiła się w powietrzu zgrabna, idealnie okrągła brama do Nigdynigdy. Odźwierny skinął mi głową.

– Twoi przyjaciele obudzą się za chwilę. Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc.

– Dziękuję.

Pokręcił głową.

– Nie dziękuj. Możliwe, że oddałbym ci największą przysługę, gdybym cię dzisiaj zabił.

Następnie wszedł w bramę i zniknął. Sam portal rozplynął się w powietrzu chwilę później. Ja stałem w deszczu i patrzyłem, jak moi towarzysze zaczynają się ruszać. W końcu westchnąłem i poszedłem do nich, żeby pomóc im wstać i wyjaśnić, co się stało.

Musielśmy ruszać. Dzień nie robił się młodszy, a było dużo rzeczy do zrobienia przed zapadnięciem nocy.

Po trzech godzinach pracy zacząłem upuszczać różne rzeczy, potykać się na płaskim terenie i wpadać na innych.

– Dość tego, Harry – nie wytrzymała w końcu Georgia. – Twój śpiwór jest w chacie. Idź się prześpij.

– Nic mi nie będzie – zaprotestowałem.

– Harry, jeśli coś ci się stanie, nie będzie miał kto nad nami czuwać. Musisz być w stanie się skupić. Idź odpocznij.

Brzmiało to wręcz rozkosznie, ale moje usta same wypowiedziały słowa:

– Musimy jeszcze zaplanować...

Will podszedł do mnie od tyłu bez najmniejszego szelestu i wykręcił mi ramię zręcznym, silnym ruchem. Nie zabołało, dopóki nie pochylił się w moją stronę, tak że musiałem przesunąć się do przodu, żeby zmniejszyć nacisk.

– Słyszałeś, co powiedziała dama. Możemy dokończyć resztę sami. Obudzimy cię, jeśli coś się wydarzy.

Prychnąłem, zgiąłem się w pasie, uderzyłem go biodrem i wyrwałem się z uścisku. Will mógłby bez trudu mnie utrzymać, łamiąc przy tym rękę, ale puścił mnie, zanim tak się stało.

– Dobrze, dobrze – wyburczałem. – Idę.

Powlokłem się do chaty i zwałem na śpiwór rozłożony na karimacie.

Cztery godziny później, kiedy Will mnie obudził, leżałem w tej samej pozycji. Światło późnego popołudnia wpadało ukośnie do na pół zrujnowanego kamiennego domku. Morgan leżał na swojej pryczy z materaca piankowego ściągniętego z koi Chrząszcza Wodnego. Oczy miał zamknięte, oddychał równomiernie. Will musiał przytaszczyć go z łodzi.

– Okay – wymamrotałem. – Już wstaję. Wstaję.

– Georgia patrolowała brzeg – powiedział Will. – Mówi, że zbliża się jakaś

łódź.

Moje serce zaczęło bić trochę szybciej, żołądek zrobił fikołka. Przełknąłem ślinę, na chwilę zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie tropikalną plażę, żeby uspokoić myśli. Ale na piasek wbiegły zmiennokształtne wampiry zombie z ustami na dłoniach.

– Nic z tego – stwierdziłem z niesmakiem. Wstałem z barłogu i zebrałem swoje rzeczy. – Skąd nadpływa?

– Z zachodu.

– Będzie musiała opłynąć jedną trzecią wyspy, żeby przedostać się przez rafy. – Ziewnąłem. – Gdzie jest Georgia?

W tym momencie rozległo się skrobanie pazurów o ubitą ziemię i w drzwiach pojawił się duży płowy wilk. Usiadł w progu i na mnie spojrzał. Uszy miał postawione.

– Dobra robota – pochwalilem. – A Molly?

– Tutaj jestem, Harry! – zawołała dziewczyna i wbiegła do chaty. W rękach trzymała kryształ białego kwarcu gruby na dwa cale i długi na stopę.

– Bierz się do pracy, nowicjuszko. Nie zawahaj się użyć kryształu, jeśli sytuacja stanie się niepokojąca. I powodzenia.

Molly z powagą kiwnęła głową i podeszła do Morgana. Ujęła jego bezwładną dłoń, zmarszczyła brwi w skupieniu i po chwili oboje zniknęli za czarodziejską zasłoną.

– Bóg z tobą, Harry – dobiegł nie wiadomo skąd jej głos.

– Will, przebieraj się. – Gdy się odwróciłem, stwierdziłem, że młody mężczyzna zniknął, a na jego miejscu obok kupki ubrań siedzi mocno zbudowany wilk o ciemnym futrze. – A, dobrze.

Sprawdziłem swój sprzęt, kieszenie, sznurowadła i uświadomiłem sobie, że przekroczyłem linię między upewnianiem się, że jestem gotowy, a próbą odwołania nieuniknionego. Wyprostowałem plecy, pokiwałem głową i ruszyłem do drzwi.

– Chodźmy, ludzie. Czas na przyjęcie.

* * *

Nad bezmiarem jeziora robiło się ciemniej. Zmierzch wygląda zupełnie inaczej, kiedy jest się daleko od świateł miasta. Współczesne cywilizacje kąpią nas w blasku przez wszystkie godziny od zmierzchu do świtu: podświetlane billboardy, latarnie uliczne, reflektory, światła samolotów, neony, wewnętrzne oświetlenie domów i biur, halogeny, iluminacje. Stanowią one taką część naszego życia, że w codziennym myśleniu w ogóle nie bierzemy pod uwagę nocnego mroku. Wyśmiewamy się nawzajem za strach przed ciemnością, a jednocześnie staramy się, żeby energia była coraz wydajniejsza, tańsza i trwalsza.

Noc jest w porządku. Mrok budzi przerażenie. Mimo całej nagromadzonej wiedzy i doświadczenia, nauki i historii pamiętamy czasy, kiedy byliśmy za mali, żeby dosięgnąć włącznika na ścianie, i kiedy sama ciemność wystarczała, żeby doprowadzić nas do płaczu.

Wystarczy oddalić się od cywilizacji – powiedzmy o parę mil na nieoświetlonym jeziorze – i jest ciemność. Ona czeka. Zmierzch oznacza coś więcej niż tylko wołanie dzieci z podwórek. Gasnące światło oznacza coś więcej niż tylko koniec kolejnego dnia. Noc jest wtedy, gdy budzą się straszne istoty, szukające miękkiego ciała i gorącej krwi. Noc jest wtedy, gdy niewidzialne stworzenia pozbawione szacunku dla tego, co ludzie zbudowali, i swojego miejsca w naturalnym porządku rzeczy, patrzą na nasz świat z zewnątrz i snują mroczne, obce myśli.

A czasami, tylko czasami, robią różne rzeczy.

Szedłem w dół po starych zboczach Demonreach, boleśnie świadomy, że noc nie zapada, tylko ostrzy pazury.

Sam dotarłem do końca pływającego pomostu. Billy i Georgia zostali z tyłu, w lesie. Nie uwierzycie, jakie przebiegłe potrafią być wilki, póki nie zobaczycie ich w akcji. Jeśli zechcą, potrafią być prawie niewidzialne i działają z ludzką inteligencją, w dodatku wyjątkową ludzką inteligencją.

Łódź właśnie okrążyła boję, która wyznaczała przerwę w rafie. Biała jednostka z wypożyczalni, z tych dostępnych w okolicy dla turystów, długa na jakieś dwadzieścia stóp, ze sprzętem do holowania narciarza wodnego. Akurat zerwał się wiatr z południowego zachodu i jezioro trochę się wzburzyło. Łódź zanurzała się i podskakiwała nieregularnie na falach,

wyrzucając w górę małe rozbryzgi wody.

Obserwowałem ją przez ostatnie kilkaset jardów, żeby się zorientować, kto jest na pokładzie. Stateczek był dość nowy, ale jego silnik wydawał dziwny, klekoczący dźwięk, co pomogło mi zidentyfikować tych, którzy nim płynęli. Wyglądało na to, że Biała Rada przybyła punktualnie.

Przy sterze stał Ebenezar McCoy. Jego łysa czaszka lśniła w deszczu. Słuchający Wiatru siedział na miejscu pasażera w przeciwdeszczowym ponczo, z jedną ręką na burcie, drugą na desce rozdzielczej. Jego pobrużdżona twarz była posępna.

Środek tylnej ławki zajmowała drobna postać w białej szacie z jedwabiu wyhaftowanego w czerwone kwiaty. Pradawna Mai była Chinką i wyglądała delikatnie i krucho jak porcelanowa filiżanka. Włosy miała zupełnie białe i długie, upięte kilkoma jadeitowymi grzebieniami. Choć bardzo stara nawet jak na standardy Białej Rady, zachowała sporo dawnej urody, eterycznej i niegdyś na pewno zachwycającej. Na jej twarzy malował się pogodny wyraz, ale spojrzenie ciemnych, bezlitosnych oczu przeszywało na wylot.

Budziła we mnie przerażenie.

Po obu stronach Pradawnej Mai siedzieli weterani Strażnicy, groźni i posępni w swoich szarych płaszczach. Trzej kolejni stali albo kucali w innych miejscach łodzi. Wszyscy należeli do zaprawionego w bojach oddziału, który zawsze czekał w Edynburgu na rozkazy. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby, a twarze mieli śmiertelnie poważne. Najwyraźniej Mai przerażała ich tak samo jak mnie; jeden z nich trzymał nad nią parasol.

Czekałem na końcu pomostu, pokazując Ebenezarowi gestem, żeby przybił do mola po przeciwnej stronie niż Chrząszcz Wodny. McCoy sterował łodzią z dużo większą wprawą niż ja i wyłączył cherlawy silnik, kiedy nadal byli w ruchu. Potem cisnął mi linę, a ja złapałem ją i przycumowałem łódź do pomostu, nie odrywając wzroku od pasażerów. Nikt się nie odezwał. Gdy silnik umilkł, ciszę mącił jedynie szum deszczu i wiatru.

– Dobry wieczór – zaryzykowałem, kiwając głową Ebenezarowi.

Popatrzył na mnie twardo, marszcząc brwi. Zobaczyłem, że jego oczy przeczesują brzeg i wracają do mnie.

– Hoss – powiedział.

Zszedł na pomost, a kiedy jeden ze Strażników rzucił mu drugą linę, Ebenezar przycumował rufę. Następnie podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Uścisnąłem ją.

– Rashid? – wyszeptał tak cicho, że ledwo go usłyszałem przez szum ulewy.

– Z nami – odpowiedziałem równie cicho, starając się nie poruszać ustami.

McCoy ledwo zauważalnie skinął mi głową, a następnie odwrócił się i gestem przywołał pozostałych. Strażnicy i członkowie Rady Starszych zaczęli wysiadać z łodzi. Ja ruszyłem pomostem obok Ebenezara, zerkając przez ramię na Strażników. Ci ludzie nie mieli złudzeń co do przemocy, magicznej czy innej. Gdyby doszli do wniosku, że najlepiej rozprawić się ze mną, strzelając mi w plecy, nie zawahaliby się ani sekundy.

Zszedłem z pomostu na wyspę i natychmiast poczułem obecność Demonreach. W tym momencie jedynymi osobami na wyspie były te, które ze sobą przywiozłem.

Ebenezar podążył za mną, a ja zarejestrowałem to w chwili, kiedy zszedł na brzeg. Nie było tak, jakby ktoś szepnął mi do ucha. Po prostu wiedziałem, tak jak się wie, że po ramieniu pełźnie mrówka. McCoy zatrzymał się, a ja szedłem dalej, aż oddaliłem się o jakieś dziesięć stóp. Odwróciłem się, kiedy cała grupa wysiadła na ląd. Śledziłem ich uważnie dzięki więzi z wyspą, sprawdzałem, czy żaden Strażnik nie ukrywa się za zasłoną, żeby podkraść się do mnie i kantem dłoni wymierzyć cios w kark.

Ebenezar, Pradawna Mai i Słuchający Wiatru, zielonkawy na twarzy, stanęli ramię w ramię naprzeciwko mnie. Strażnicy ustawili się za nimi w wachlarz, czujnymi oczami wypatrując możliwych dróg dostępu, łącznie z tą przez jezioro.

– Strażnik Dresden. – Ebenezar opierał się na lasce i patrzył na mnie obojętnym wzrokiem. – Dostaliśmy twój liścik.

– Domyśliłem się. Przeczytaliście tę część, gdzie mówię, że jeśli chcecie walki, jestem do dyspozycji?

Strażnicy nie obnażyli zębów i nie zaczęli warczeć, ale niewiele

brakowało.

– Tak, tak. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli najpierw porozmawiamy.

– Istotnie – przemówiła Pradawna Mai głosem spokojnym i zbyt pewnym siebie, żeby pasował do takiej kruchej osobki. – Zawsze możemy zabić cię później.

Nie oblałem się potem, ale niewiele brakowało.

– Oczywiście brak szacunku, który okazałeś Białej Radzie, wymaga jakiejś reakcji – ciągnęła Chinka. – Nie pochlebiaj sobie, myśląc, że przyjechaliśmy tutaj, bo brakuje nam innych możliwości.

Ebenazar rzucił jej łagodne spojrzenie.

– Jednocześnie twoja reputacja jako detektywa nie ma sobie równej w Radzie – powiedział. – Co w połączeniu z charakterem twojej relacji z domniemanym mordercą jest wystarczającym powodem, żeby cię wysłuchać.

– Magu Dresden – odezwał się Słuchający Wiatru. – Twierdzisz, że masz dowód niewinności Morgana. Że masz świadka.

– I nie tylko – odparłem.

– Gdzie oni są?

– Musimy chwilę zaczekać, aż wszyscy przybędą.

Pradawna Mai zmrużyła oczy. Strażnicy zrobili się jeszcze bardziej czujni i zwiększyli odległości między sobą, trzymając ręce na broni.

– Jacy inni, Hoss? – zapytał Ebenazar.

– Wszyscy bezpośrednio zamieszani w tę intrygę. Strażnik Morgan nie jest jedynym kozłem ofiarnym. Kiedy uda się wam wytropić źródło pieniędzy znalezionych na rachunku Morgana, dowiedcie się, że pochodzą one z korporacji, której właścicielem jest Biały Dwór.

Słuchający Wiatru zmarszczył brwi.

– Skąd to wiesz?

– Przeprowadziłem śledztwo. Po kolejnym dochodzeniu wyciągnąłem wniosek, że pieniądze najprawdopodobniej przelano bez wiedzy przywódców Białego Dworu. Winni chcieli nie tylko, żeby LaFortier był martwy, a Strażnik Morgan został obwiniony o jego śmierć, ale zamierzali również na nowo podsyć wrogość między Radą a Dworami Wampirów.

Strażnicy wymienili spojrzenia. Robiło się coraz ciemniej, tak że miałem kłopoty z odczytaniem wyrazu ich twarzy. Słuchający Wiatru był skupiony.

– I jest na to dowód? – zapytał.

– Sądzę, że będzie – odparłem. – Ale jego znalezienie może trochę potrwać. W każdym razie na pewno dłużej niż niesprawiedliwy proces Morgana i niezasłużona egzekucja.

Pradawna Mai nagle się uśmiechnęła z radością i ożywieniem lodowej rzeźby.

– Innymi słowy, jakiegokolwiek kroki zostały podjęte, żeby ukryć Morgana przed naszymi zakłęciami tropiącymi, skończyły się ich możliwości, co zmusiło cię do starań o to spotkanie.

Musiałem bardzo się postarać, żeby nie drgnąć. Gorsza od osoby przerażającej jest osoba bystra i przerażająca.

Mai odwróciła się do Ebenezara.

– Wydaje się oczywiste, że ten Dresden był tak czy inaczej zamieszany w tę całą intrygę, a skoro on tutaj jest, Morgan prawdopodobnie znajduje się w pobliżu. Aresztujcie Dresdena i natychmiast podejmijcie na nowo próby wytropienia Morgana. Możemy przystąpić do dalszych rozmów po powrocie do Edynburga.

McCoy zmierzył ją wzrokiem. Potem spojrzał na Słuchającego Wiatru.

Stary szaman patrzył na mnie przez jakiś czas, a następnie palcami poplamionymi atramentem odgarnął kilka kosmyków przyklejonych do twarzy przez deszcz. Oparł się na lasce i rozejrzał po wyspie z nieobecną miną.

– Nie wspomniano o obecności innych stron – rzekł w końcu. – To jest sprawa Rady i niczyja inna. Włączanie przedstawicieli Białego Dworu do tego... spotkania może się okazać równie katastrofalne jak wojna, której, jak twierdzisz, starasz się uniknąć, Strażniku Dresden.

Ebenazar zacisnął zęby.

– To nie to samo co domaganie się, żeby go aresztować.

Słuchający Wiatru posłał mu twarde spojrzenie.

– Jeśli jest tak, jak mówi, prawda wyjdzie na jaw. Możemy odłożyć proces, żeby znaleźć dowód, jeśli taki istnieje.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że prawda nie może zmienić wyniku procesu – przypomniał Ebenezar.

– Istnieje świat, który powinien być, i świat, który jest. My żyjemy w jednym z nich. – Głos Słuchającego Wiatru był mocny i szorstki. Brzmiał w nim głęboki, płonący gniew, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem.

– I musimy stworzyć ten drugi, jeśli on kiedykolwiek ma zaistnieć – odparował McCoy.

Słuchający Wiatru spojrział w dół i potrząsnął głową. Wyglądał na bardzo starego i bardzo zmęczonego.

– Nie ma dobrych dróg do wyboru, przyjacielu – rzekł cicho. – Jedyne, co możemy zrobić, to wybrać, czy umrze wielu, czy niewielu. – Popatrzył na mnie z twardą miną. – Przykro mi, Hossie Dresden, ale muszę się zgodzić. Aresztujcie go.

Dzięki Demonreach wyczułem skradających się Billy'ego i Georgię oraz niejasne podniecenie, które od nich płynęło, a które mogło być napięciem, strachem albo gniewem. Wyspa miała dużo słabsze pojęcie o emocjach Strażników, ale ja potrafiłem stwierdzić, że nie palą się do walki ze mną.

To mnie rozśmieszyło. Serio. W walce jeden na jednego może byłbym dla nich twardym orzechem do zgryzienia, ale oni mieli nade mną pięciokrotną przewagę liczebną. Poza tym każdy z trzech obecnych tutaj członków Rady Starszych mógłby powiązać mnie w supełki.

I wtedy do mnie dotarło. Mieli do czynienia z czymś dużo bardziej niebezpiecznym niż Harry Dresden, którego poobijany stary volkswagen stał obecnie na policyjnym parkingu. Mieli do czynienia z demonicznym, mrocznym koszmarem, czarownikiem, którego się bali, odkąd skończyłem szesnaście lat. Mieli do czynienia z magiem, który stawiał czoło spadkobiercom Kemmlera, dosiadając dinozaura zombie, i wyszedł zwycięsko z walki, która rozłożyła na łopatki Morgana i kapitan Luccio, zanim jeszcze do niej przystąpili. Mieli do czynienia z człowiekiem, który rzucił wyzwanie całej Radzie Starszych i rzeczywiście stawiał się gotowy do walki na brzegach niesamowitej wyspy pośrodku słodkowodnego morza.

Prawda, że formalnie rzecz biorąc, byłem tą osobą, ale oni nie mieli pojęcia, z jak wielu tamtych sytuacji wyszedłem cało tylko cudem. Nie wiedzieli o drobnych szczegółach, zrzędzeniach losu czy pomocy sojuszników, na których prawdopodobnie nie zasłużyłem, ale dzięki którym wydostałem się z tych odmętów szaleństwa w mniej więcej jednym kawałku.

Widzieli, że tylko ja zostałem na placu boju, i ten fakt budził w nich zdrowy i racjonalny strach. Ponadto obawiali się, że mógłbym zrobić coś nieprzewidywalnego. I żadne z nich nawet nie podejrzewało, że wołałbym siedzieć w swoim mieszkaniu, czytać dobrą książkę i pić zimne piwo.

Nie poruszyłem się, kiedy Słuchający Wiatru wydał rozkaz. Po prostu stałem, jakby ten drobiazg nie zrobił na mnie wrażenia. Rada wysłała swoich trzech najstarszych członków jako coś w rodzaju kworum, a słowo co najmniej dwojga z nich zadecydowałoby o dalszym postępowaniu, ale najstarszy z obecnych Strażników, duży mężczyzna z wielką czarną brodą, który miał na imię Beorg albo Yorg, a może Bjorn – zdecydowanie Skandynaw – spojrzał na Ebenezara.

Mag Ozarków patrzył na mnie z nikłym uśmiechem na twarzy. Rozpoznałem ten uśmiech. Kiedy pierwszy raz pojechałem, żeby z nim zamieszkać, po tym, jak zabiłem swojego ojczyma, co tydzień wybieraliśmy się do miasteczka na zakupy. Kiedyś banda nastolatków zareagowała na obecność nowego chłopaka z typową bezmyślnością znudzonych smarkaczy. Jeden z nich próbował sprowokować mnie do bójki.

Pamiętam, że ta odmiana od rutyny tylko mnie zirytowała. Dopiero co pokonałem silnego demona i byłego Strażnika Białej Rady w dwóch uczciwych walkach, więc miejscowe łobuziaki naprawdę nie zasługiwały na moją uwagę. Oni się tylko bawili jak dzieci, a ja bardzo szybko dorosłem. Mógłbym ich wszystkich zabić bez wielkiego trudu, ale sam pomysł był śmiechu wart. Zupełnie jakby użyć miotacza płomieni, żeby usunąć z domu pajęczyny.

Stałem tam i tylko na nich patrzyłem, podczas gdy oni usiłowali mnie sprowokować. Nie poruszyłem się, nic nie powiedziałem i nic nie zrobiłem. Po prostu oddzieliłem się od nich murem milczenia i bezruchu, a cisza stawała się coraz cięższa. Tamci w końcu zostali przez nią odepchnięci, a ja zwyczajnie ich wyminąłem.

Teraz znowu to robiłem. Pozwalałem, żeby cisza potęgowała ich niepewność.

Napotkałem wzrok Ebenezara i obaj uśmiechnęliśmy się lekko na tamto wspomnienie.

– Cóż, panowie – rzekł McCoy, odwracając się do Strażników. – Słyszeliście, jaka jest wola Rady. Ale muszę uprzedzić, że ponieważ będziecie robić coś głupiego na rozkaz kogoś zachowującego się głupio, nie będę wam pomagał.

Mai gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę.

– McCoy!

Ebenazar złożył jej ukłon.

– Mag Mai. Radziłbym nie zadzierać z tym młodym człowiekiem. On jest niezły w walce.

Stara kobieta wyniośle zadarła brodę.

– Tak naprawdę nie był twoim uczniem. Opiekowałeś się nim zaledwie dwa lata.

– I dobrze go poznałem – powiedział Ebenazar, kierując wzrok na Słuchającego Wiatru. – Co sądził o nim ten szop pracz, którego miałeś? Wciąż powtarzasz, jakimi dobrymi znawcami charakterów potrafią być młode zwierzęta. Czy to jest człowiek, który wplątałby się w taką intrygę? Chyba znasz odpowiedź.

Słuchający Wiatru pokręcił ze znużeniem głową.

– Dobrze wiesz, że nie o to chodzi.

– Jeśli nam nie pomożesz, zostanie to uznane za zdradę, magu McCoy – ostrzegła Mai głosem szorstkim i pełnym napięcia.

– Pomagam wam, radząc, żebyście unikali konfliktu – odparował Ebenazar. Po krótkiej pauzie dodał: – Moglibyście spróbować go poprosić.

– Słucham?

– Poprosić go. – Ebenazar założył kciuk za szelkę farmerek. – Poprosić uprzejmie, żeby udał się z wami do Edynburga. Może będzie współpracował.

– Proszę się nie trudzić, sir – rzuciłem. – Nie zrobię tego.

– Pradawna Mai, gdyby zechciała pani wrócić na łódź, my byśmy się tym zajęli – zagrzemiał Strażnik Bjork.

Zostałem na swoim miejscu i liczyłem na to, że pozostali wkrótce się zjawią. Nie chciałem puszczać muzyki tanecznej, póki wszyscy nie wyjdą na parkiet, ale gdyby Strażnicy naciskali, musiałbym to zrobić.

– Pradawna Mai – powtórzył Strażnik Yorgi. – Chce pani, żebyśmy...

Nie udało mu się skończyć zdania, bo rozległ się ogłuszający łoskot i nad wzgórzem przeleciał helikopter, jakieś półtora cala na czubkami drzew. Wykonał zwrot nad jeziorem, po czym zawrócił i zawisł nad brzegiem w odległości około stu jardów od nas.

Na filmach faceci z sił specjalnych zjeżdżają na linach. Ja też kiedyś byłem takim facetem, choć bardziej jako worek mięsa niż koleś z Navy Seal. Ale kiedy ludzie skaczący z helikoptera są wampirami, nie muszą zawracać sobie głowy linami.

Jakimikolwiek. W ogóle.

Z helikoptera wiszącego w powietrzu wyskoczyły trzy postacie w bieli, w locie zgrabnie wykonały jeden przewrót i wylądowały na ziemi w tanecznym przysiadzie. Potem wszystkie wstały ruchem tak pięknym, płynnym i skoordynowanym jak na pokazach w Cirque du Soleil.

Siostry Raith ruszyły w naszą stronę, a wiedziały, jak robić wrażenie. Lara miała na sobie białą letnią sukienkę na ramiączkach, podkreślającą krągłości, i dwa czarne skórzane pasy na biodrach. U jednego wisiał pistolet w olstrach, u drugiego miecz, prawdziwy rapier, którego zniszczona rękojeść świadczyła, że naprawdę go używano. Długie czarne włosy wampirzycy były zebrane w siatkę, a głowę nakryła białym płótnem, co nadawało jej bardzo cygański wygląd. Stroju dopełniał naszyjnik-obroża z czystej platyny, ozdobiony dużym krwistym rubinem. Nawet w gasnącym świetle metal lśnił własnym blaskiem.

Kiedy Lara szła, nie sposób było nie zauważyć jej kobiecych kształtów i swobodnego kołysania bioder. Każdy ich ruch zwracał uwagę na noszoną przez nią zabójczą broń. A ponieważ białą suknię moczył deszcz, nie sposób było nie zauważyć mnóstwa innych szczegółów, na przykład tego, że oprócz broni i butów panna Raith nie miała na sobie nic więcej.

Skupiłem się na tym, żeby język nie wypadł mi na brodę, i zmusiłem oczy, żeby spojrzwały w inną stronę.

Jej siostry miały zupełnie inne stroje, choć również białe. Obie włożyły coś, co wyglądało na motocyklowe skóry, ale nie takie jak u archetypicznych amerykańskich ridersów, tylko bardziej przypominające rynsztunek zawodowców biorących udział w wyścigach. Supernowoczesne. I oczywiście wzmocnione jak w tradycyjnych kombinezonach, które chroniły w razie kolizji albo upadku. Chętnie bym się założył, że stroje sióstr Raith zyskały również innego rodzaju ochronę. One też miały przy pasach broń, dawną i współczesną. Ich włosy były związane z tyłu, skórę miały bladą jak Lara,

oczy duże i szare, usta ciemne i kuszące.

Obserwowałem trzy siostry Raith i myślałem sobie, że gdyby we wszechświecie istniała sprawiedliwość, zobaczyłbym tę scenę w zwolnionym tempie.

Niestety.

Kątem oka dostrzegłem, że Mai spokojnie unosi rękę i daje znak Strażnikom Berserkerom, żeby zostali na miejscach. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Pradawna Mai miała własne pojęcie o stosownym zachowaniu. Nigdy nie dopuściłaby do tego, żeby osoby postronne zauważyły rozdźwięk wśród członków Rady.

Lara zatrzymała się dwadzieścia jardów od nas, a jej siostry kilka stóp za nią. Wszystkie trzy popatrzyły na Strażników, a oni odwzajemnili ich spojrzenia z beznamiętną czujnością.

– Harry – odezwała się Lara Raith ciepłym głosem, jakbyśmy właśnie wpadli na siebie na przyjęciu. – Jesteś bardzo złym człowiekiem. Nie uprzedziłeś mnie, że będę dzisiaj musiała dzielić się tobą z innymi.

– Cóż mogę powiedzieć? – Uśmiechnąłem się i ukloniłem, nie odrywając od niej wzroku. Moja paranoja była dużo przyjemniejsza niż ta, którą zaobserwowałem u Strażników, ale czujność taka sama. – Kiedyś byłem ufną i łagodną duszą, ale okrutny świat uczynił mnie cynicznym i ostrożnym.

Z namysłem na twarzy Lara przeniosła wzrok ze Strażników na mnie. Posłała mi uśmiech, który mógłby stopić stalową płytę, i ruszyła w moją stronę dumnym krokiem, który mimo wszystko wyglądał bardzo kobieco. Idąc, wyciągnęła rękę.

Odwzajemniłem uśmiech – choć mój był dużo bardziej sztuczny – i syknąłem przez wyszczerzone zęby:

– Chyba żartujesz.

Lara skromnie opuściła wzrok i wyszeptała:

– Bądź dla mnie miły, mój magu, to się odwdzięczę.

Chyba nie wahałem się długo z serdecznym powitaniem. Spletliśmy dłonie. Jej palce były jedwabiście gładkie i bardzo zimne. Lara uśmiechnęła się promiennie i skinęła mi głową oficjalnym, ale wdzięcznym gestem.

Potem, szybciej niż zdołałem mrugnąć powieką, strzeliła mi w pysk.

Zrobiła to otwartą dłonią, dzięki czemu cios nie okazał się śmiertelny. Mimo to cofnąłem się o kilka kroków jak zdzielony maczugą i okręciłem jak pijany korkociąg, co zakończyło się upadkiem na tylek dziesięć stóp dalej.

– Znowu nas okłamałeś – warknęła Lara. – Wykorzystałeś. Mam już dość twoich oszustw, magu.

Siedziałem z otwartymi ustami, zastanawiając się, czy moja szczęka nie zacznie kłapać na wzmagającym się wietrze.

Furia promieniująca z wampirzycy tworzyła wokół niej zimną sferę, każdy nerw jej ciała świadczył o gotowości do przemocy. Stała twarzą do mnie, tak że Radę miała po lewej stronie, a po prawej ciemny las. Skupiłem się na bransolecie z tarcz przygotowany na to, że Lara zaraz wyciągnie broń i wpakuje we mnie kulkę.

– Jeśli mój brat nie wróci do nas dzisiejszej nocy – ciągnęła głosem zimnym i śmiertelnie groźnym – będziemy walczyć, póki jedno z nas nie padnie martwe. – Mrugnęła do mnie prawym okiem. – Rozumiesz?

– Tak... – wymamrotałem, ostrożnie poruszając szczęką. Najwyraźniej nie była złamana. – Wiadomość przyjęta.

– Arogancki dzieciak.

Splunęła na ziemię w moim kierunku, po czym odwróciła się i z determinacją ruszyła prosto do członków Rady Starszych. Zatrzymała się jakieś dziesięć stóp przed Pradawną Mai, zanim stojący za nią Strażnicy otrząsnęli się z zaskoczenia. Z wdziękiem przybrała postawę na baczność i ukłoniła się jej głęboko.

Mai odwzajemniła gest, kłaniając się nie tak głęboko. Jej twarz niczego nie zdradzała.

– Miło poznać panią osobiście – rzekła Lara. – Pani zapewne jest Pradawną Mai.

– Lara Raith. Nie spodziewałam się pani obecności na tym spotkaniu.

– Ani ja pani. – Lara posłała mi zde gustowane spojrzenie. – Grzeczność, zdaje się, jest zdewaluowanym towarem na tym świecie. – Ukłoniła się McCoyowi i Słuchającemu Wiatru. – Wasza reputacja was poprzedza, panowie.

Indianin Joe bez słowa skinął jej głową.

– Lady Raith, niech pani tknie tego chłopca jeszcze raz, a jedyne, co rodzinie zostanie do pochowania, to buty za pięćset dolarów – ostrzegł spokojnie Ebenezar.

– *Ai ya* – skwitowała Pradawna Mai beznamiętnym tonem.

Lara milczała przez chwilę. Oświadczenie McCoya właściwie jej nie zdenerwowało, ale posłała mu kolejne spojrzenie i dała znak skinieniem głowy.

– Panowie, pani – zabrał głos Ebenezar. – Mamy pilne sprawy, którymi musimy się zająć. Oczywiście jest również, że nie przewidzieliśmy nawzajem swojej obecności tutaj, a gwałtowny incydent nie przyniósłby korzyści nikomu. W imieniu Białej Rady proponuję zawrzeć umowę o nieagresji w czasie tego spotkania.

Pradawna Mai posłała mu twarde spojrzenie, po czym lekko uniosła brodę i odwróciła się, dając do zrozumienia, że niniejszym oficjalnie usunęła go z rzeczywistości.

– Zgoda – powiedziała. – W imieniu Rady przyjmuję propozycję.

Udało mi się chwiejnie wrócić do pozycji pionowej. Odnosiłem wrażenie, że Lara rozłupała mi czaszkę. Wiedziałem, że zrobi mi się na twarzy siniak w kształcie dłoni, ale nie zamierzałem siedzieć i jęczeć, że zostałem spoliczkowany przez dziewczynę. Wprawdzie ta dziewczyna liczyła sobie setki wiosen i mogłaby bez lewarka zmienić opony w ciężarówce, ale chodziło o zasadę. Dźwignąłem się na nogi i zrobiłem kilka ostrożnych kroków. Stałem obok Ebenezara, twarzą do wampirów. Jeden ze Strażników zrobił mi trochę miejsca, cały skoncentrowany na siostrach Raith.

Ha! Czuli się ze mną dużo swobodniej, kiedy mieliśmy wspólnego wroga. Spróbowałem skupić jeszcze działającą część świadomości na Demonreach. Udało mi się zebrać tu całą grupę. Teraz liczyłem na zdemaskowanie zabójcy, ale musiałem trochę pozwodzić Larę i Radę, póki ten się nie pokaże.

Na razie najlepszym wyjściem było milczeć i pozwolić im mówić.

– Uważam, że najpierw powinniśmy podzielić się wiedzą – oświadczyła Lara, zwracając się do Pradawnej Mai. – Wołałaby pani, żebyśmy zaczęła pierwsza?

Chinka zastanawiała się przez chwilę, a następnie lekko skinęła głową na znak zgody.

– Mój brat Thomas Raith został porwany przez jednego ze starożytnych naagloshii – oznajmiła Lara bez zbędnych wstępów. – Skórozmienny zaproponował jego wymianę na Strażnika Donalda Morgana.

Mai przekrzywiła głowę.

– W jaki sposób Dresden jest zamieszany w tę sprawę?

– Twierdzi, że próbuje udowodnić niewinność Strażnika Morgana w jakiejś wewnętrznej sprawie Rady. Na znak dobrej woli i żeby utrzymać pokój w Chicago, poleciłam mojemu bratu, by zaproponował Dresdenowi pomoc w rozsądnych granicach. – Lara zerknęła na mnie. – Mag już kilka razy mnie zawiódł, wykorzystując moje dobre intencje. Tym razem udało mu się wciągnąć mojego brata w swoje dochodzenie i Thomas wpadł w zasadzkę zastawioną przez skórozmiennego.

– To wszystko? – zapytała Pradawna Mai.

Lara znowu spiorunowała mnie wzrokiem i udała, że się namyśla.

– Twierdzi, że za kłopotliwe położenie Strażnika Morgana odpowiada trzecia strona i jej próby nastawienia Dworu przeciwko Radzie. Rozpoczęłam własne śledztwo i ku mojemu zaskoczeniu nie zdemaskowało ono od razu jego twierdzeń jako kłamstw. Wydaje się możliwe, że ktoś nakłonił jednego z moich dyrektorów finansowych do zdefraudowania sporych środków. Dresden twierdzi, że pieniądze zostały przelane na konto, które rzekomo należy do Strażnika Morgana.

Mai pokiwała głową.

– A należy?

Lara elegancko wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Moi ludzie starają się teraz znaleźć dowody, które pomogą ustalić, co dokładnie się wydarzyło.

Mai znowu skinęła głową i milczała przez kilka sekund, zanim stwierdziła:

– Mimo że usilnie stara się pani krążyć wokół tematu, dobrze pani wie, po co tutaj jesteśmy.

Lara uśmiechnęła się leciutko.

– Opowieści Dresdena brakuje wiarygodności wynikającej z prostoty – ciągnęła Pradawna Mai. – Mimo swojej ostrożności najwyraźniej chce nas pani przekonać, że Biały Dwór nie był zamieszany w śmierć LaFortiera. W ten sposób pani opowieści również brakuje wiarygodności wynikającej z prostoty.

– Z mojego doświadczenia wynika, że sprawy dużej wagi rzadko są proste – odparowała Lara.

Mai wykonała dłonią drobny gest wyrażający zgodę.

– Jednak biorąc pod uwagę nieodległą przeszłość, działanie znanego wroga wydaje się dużo bardziej prawdopodobną przyczyną zabójstwa LaFortiera niż knowania jakiejś tajemniczej i bezimiennej trzeciej strony.

– Oczywiście, przecież jesteście magami i to wy ukrywacie wielkie sekrety – powiedziała Lara bez cienia ironii. – Gdyby taka grupa istniała, z pewnością byście o niej wiedzieli.

– Możliwe, że niesprawiedliwie oceniam pani ród, oskarżając go o uknuć śmierci LaFortiera – przyznała Mai całkowicie spokojnym głosem. – Przecież jesteście wampirami, powszechnie znanymi ze swojej szczerości i łagodnej natury.

Lara skłoniła głowę z lekkim uśmiechem.

– Tak czy inaczej, jesteśmy tutaj.

– To niezaprzeczalny fakt – zgodziła się Chinka.

– Zależy mi na bezpiecznym powrocie mojego brata.

Mai zdecydowanie pokręciła głową.

– Biała Rada nie wymieni jednego z nas.

– Wydaje mi się, że Strażnik Morgan nie należy do waszej drużyny.

– To przejściowa sytuacja. – Pradawna Mai nawet nie spojrzała w moim kierunku, ale czułem, że stalowa nuta w jej głosie jest przeznaczona dla mnie.

– Więc może wspólny wysiłek – zaproponowała Lara. – Nie możemy pozwolić, żeby skórozmienny zabrał Strażnika.

– Ci, którzy wchodzą w sojusze z Białym Dworem, później tego żałują – stwierdziła Mai. – Rada nie ma obowiązku pomagać wam ani waszemu bratu.

– Mimo ostatnich wysiłków Króla i jego Dworu na waszą rzecz? – zapytała Lara.

Mai popatrzyła na nią bez mrugnięcia okiem i nic więcej nie powiedziała.

– On jest moim krewnym i odzyskam go – oświadczyła Lara spokojnie.

– Doceniam pani lojalność – rzekła Pradawna Mai tonem, który sugerował, że wcale tak nie jest. – Jednakże ta historia ze skórozmiennym żądającym wymiany nie jest istotna w obecnej sytuacji.

– Właściwie to jest, Pradawna Mai – odezwałem się niepytany. – Kazałem komuś, żeby powiedział Kudłaczowi, gdzie się dzisiaj spotykamy. Niedługo tu będzie, zależnie od tego, w jaki sposób pokona wodę.

Ebenazar osłupiał. Jego mina wyrażała pytanie, czy przypadkiem, do cholery, nie zwariowałem.

– Wiluś E. Kojot – wyjaśniłem z powagą. – Suuupergeniusz.

Obserwując Ebenezara, zauważyłem moment, kiedy stary mentor przejrzał mój plan. Miał ten sam wyraz twarzy, który widywałem tylko wtedy, gdy wiedział, że coś pójdzie źle, a on chciał być na to przygotowany. Przycisnął laskę do piersi i sięgnął do kieszeni, jednocześnie przeczesując wzrokiem las wokół siebie.

Nie wiem, nad czym zastanawiała się Mai i czy w ogóle coś zrozumiała. Odnosiłem wrażenie, że nie. Ponieważ jej procesy myślowe musiałyby rozpocząć się od przyznania do błędu, nie miała szansy dojść do właściwego wniosku.

– Wszystko to oznacza, że byłoby mądrze zakończyć sprawę i wycofać się z tego miejsca – stwierdziła.

– Niestety dochodzę do podobnego wniosku – zgodziła się Lara. – Może czas odłożyć nasze spotkanie.

Jedna z sióstr stojących za nią ledwo dostrzegalnie przesunęła rękę.

Nad naszymi głowami rozjarzyła się błyskawica, grzmot wymusił pauzę w rozmowie. Znowu zerwał się wicher. Słuchający Wiatru nagle uniósł głowę. Pomknął wzrokiem ku północy i zmrużył oczy.

Chwilę później wyczułem nową obecność na wyspie. Liczne stopy dotknęły jej po drugiej stronie nagiego wzgórza, na którym wznosiła się wieża Demonreach. Było ich dwunastu. Z nadludzką szybkością zaczęli się

przemieszczać w stronę wierzchołka. To musiały być wampiry z Białego Dworu.

Niewiele później kolejna para istot podobnych do człowieka raptem pojawiła się w lesie czterysta jardów od nas. Jakby to nie wystarczyło, jeszcze dwaj ludzie wylądowali na północnym brzegu wyspy.

Mai natychmiast zauważyła wyraz twarzy Indianina Joe i spojrzała twardo na Larę.

– Co pani zrobiła?

– Wezwałam swoją rodzinę – spokojnie odparła Lara. – Nie przybyłam tutaj, żeby z panią walczyć, Pradawna Mai. Ale odzyskam brata.

Skupiłem się na dwóch mniejszych grupach nowo przybyłych i stwierdziłem, że ich liczba rośnie. Na plaży dużo więcej stóp zaczęło ubijać piasek Demonreach. Co najmniej trzydzieści. W pobliskim lesie, który takich istot nigdy wcześniej nie gościł, było ich coraz więcej, identycznych.

Istniało tylko jedno wyjaśnienie: posiłki z Nigdynigdy. Założyłbym się, że para na plaży to Madeline i Binder i że ten ostatni zaczął wzywać swoje szare garnitury w chwili, kiedy dotknął lądu. Dwie istoty znajdujące się teraz w lesie musiały przybyć bezpośrednio z Nigdynigdy. Możliwe, że one również zostały przywołane w taki sam sposób jak tamci, ale po namyśle stwierdziłem, że najprawdopodobniej ktoś przyprowadził je ze sobą Ścieżką.

Tymczasem Mai i Lara zaczynały obnażać pazury.

– Czy to groźba, wampirzyco? – rzuciła Mai bezbarwnym tonem.

– Wolalabym, żeby uznać to za prawdę. – Z głosu Lary całkowicie zniknęły czar i serdeczność, które pobrzmiwały w nim na początku rozmowy.

Strażnicy stojący za mną zaczęli robić się nerwowi. Wyczuwałem to sam i również poprzez Demonreach. Słyszałem skrzypienie skóry, kiedy ręce zaciskały się na pistoletach i rękojeściach mieczy.

Lara lekko dotknęła swojej broni. Jej dwie siostry zrobiły to samo.

– Zaczekajcie! – warknąłem. – Zaczekajcie!

Wszyscy na mnie spojrzeli. Musiałem wyglądać jak bredzący szaleniec, gdy tak stałem z mało przytomnym wzrokiem, strzelając oczami na boki, w miarę jak intellectus wyspy informował mnie o szybko zmieniającej się sytuacji. Posiłki z Białego Dworu ominęły wzgórze z wieżą i kierowały się na

plażę, żeby wesprzeć Larę. To przynajmniej było coś. Helikopter nie podrzucił ich tam po to, żeby szukali Morgana. Musiał nadlecieć nisko, z północy, i wykorzystać szczyt jako osłonę.

Wróciłem do rzeczywistości.

– Jasny gwint! Wiedziałem, że to zadziała. Ale ten facet wybiera się na wojnę.

– Co? – zapytał Słuchający Wiatru. – O czym ty mówisz?

– Przestańcie skakać sobie do oczu! – rzuciłem ostrym tonem. – Laro, musimy działać razem albo wszyscy zginiemy.

Wampirzyca odwróciła głowę i zmierzyła mnie wzrokiem.

– Dlaczego?

– Bo ponad sto... teraz już sto dziesięć, istot właśnie przybyło w różne punkty wyspy, i to wcale nie po to, żeby obsłużyć naszą małą imprezkę. Nas jest tylko dziewięcioro, a was piętnascioro. Tamci mają nad nami pięciokrotną przewagę. Teraz już sześciokrotną.

Mai osłupiała.

– Co takiego?

Powietrze nagle przeszły wycia, stłumione przez padający deszcz, ale potęgujące nastrój zagrożenia i niesamowitości. Rozpoznałem je od razu: szarzy ludzie Bindera. Nadchodzili z bezmyślną zawziętością, nie zważając na niebezpieczeństwa, które czyhały w mrocznym lesie.

Druga grupa znajdowała się bliżej. Przestała rosnąć liczebnie i składała się teraz ze stu dwudziestu pięciu istot zmierzających w naszym kierunku. Te istoty nie były tak szybkie jak szarzy ludzie, ale poruszały się równym tempem, rozpraszając się stopniowo w ogromną półkolistą linię, która miała zamknąć się wokół zdobyczy, kiedy już ją znajdą. Między drzewami pojawiło się czerwone światło nadając deszczowi krwiste zabarwienie. Poruszały się w nim czarne cienie.

Zmusiłem się do myślenia, żeby zadać Demonreach właściwe pytania. Po chwili wiedziałem, że obie siły dotrą do nas dokładnie w tym samym czasie. Działy wspólnie.

Przewaga liczebna była zbyt duża. Strażnicy mogliby odpalić parę czarów, a członkowie Rady Starszych pewnie zostawiliby wokół siebie stosy trupów,

ale przy przewadze sześć do jednego, w ciemną noc, kiedy mieliby kłopoty z rozpoznaniem celów z odległości większej niż kilka kroków, nie wygraliby walki. Duża horda zaatakowałaby ich z jednej strony, a mniejsza nadciągnęła z drugiej, zamykając pułapkę.

Chyba że...

Chyba że my dotarlibyśmy pierwsi do jednej z dwóch grup i wyeliminowali ją, nim druga zaatakuje nas od tyłu.

Przy takiej przewadze liczebnej przeciwnika najmądrzej byłoby uciec co sił w nogach... ale wiedziałem, że nikt tego nie zrobi. Rada musiała odzyskać Morgana. Lara musiała odzyskać Thomasa. Żadne z nich nie wiedziało tego, co ja. Dla nich było to tylko niejasne zagrożenie, wycie w ciemności, i miało takie pozostać, aż będzie za późno na ucieczkę.

Pozostawało nam tylko jedno wyjście.

Musieliśmy zaatakować.

Szarzy ludzie znowu zawyli, w dużo mniejszej odległości.

Posłałem Ebenezarowi zdesperowane spojrzenie i wystąpiłem do przodu, unosząc laskę.

– Okrążają nas! Musimy się przebić, walcząc! Wszyscy za mną!

Lara i jej siostry wpatrywały się we mnie z konsternacją. Strażnicy również. Ale strach w moim głosie i na twarzy wyglądały na bardzo prawdziwe, a kiedy jeden człowiek zdradza oznaki paniki, szybko udziela się ona wszystkim, którzy blisko niego się znajdują. Spojrzenia Strażników natychmiast pobiegły ku Pradawnej Mai.

Zacząłem biec, dając tym sygnał pozostałym. Ebenezar natychmiast podążył za mną.

– Słyszeliście go! – ryknął. – Strażnicy, ruszać!

Na jego okrzyk tama pękła. Magowie ruszyli za nami.

Lara patrzyła na mnie przez pół sekundy, a potem krzyknęła do swoich sióstr:

– Idziemy!

Wszystkie trzy pobiegły razem z nami, bez najmniejszego wysiłku, z takim wdziękiem i lekkością, że wydawało się niemożliwe, by zostawiały za sobą ślady stóp.

Zerknąłem przez ramię i trochę przyspieszyłem kroku. Pradawna Mai odwróciła głowę i spokojnie przyjrzała się złowieszczej czerwonej poświacie, która wypełniała las od południa.

– Magu Słuchający Wiatru, zobaczmy, czy uda się nam spowolnić przeciwnika.

Indianin Joe podszedł do niej bez wahania. Oboje stanęli ramię w ramię, gromadząc siłę woli i szepcząc coś do siebie.

Skonsultowałem się z Demonreach w kwestii najlepszej trasy prowadzącej do wroga, opuściłem głowę i ze Strażnikami i wampirami u boku ruszyłem w stronę demonów, które nadchodziły, żeby nas zabić.

Adrenalina wyczynia z głową dziwne rzeczy. Ludzie opowiadają, że wszystko wtedy zwalnia. Nie w tym rzecz. Nic nie dzieje się wolniej. Po prostu człowiekowi wydaje się, że jest w stanie zmieścić dużo więcej myśli w czasie, który ma do dyspozycji. Może wtedy odnosić wrażenie, że czas staje w miejscu, ale to tylko przejściowe złudzenie.

Ja, na przykład, oddawałem się refleksjom o naturze czasu i działaniu adrenaliny, podczas gdy pędziłem nocą przez las. Ale wcale nie biegłem szybciej. Chociaż, skoro nie poruszałem rękami i nogami zwawiej niż zwykle, to dlaczego o dwadzieścia stóp wyprzedzałem wszystkich, łącznie z wampirami?

Usłyszałem, jak za mną ktoś klnie w ciemności, potknąwszy się o sterczący korzeń. Ja się nie potknąłem. I to nie dlatego, że raptem nabrałem gracji. Po prostu wiedziałem, gdzie stawiać stopy. Zupełnie jakbym przemierzył tę ścieżkę tyle razy, że każdy jej szczegół wrył się w moją pamięć mięśniową. Czułem, kiedy uchylić się przed zwisającą nisko gałęzią, kiedy skręcić w bok, żeby ominąć stary pniak, o ile skrócić krok, żeby odbić się z silniejszej nogi i przeskoczyć jamę. Nawet Lara Raith z pewnym trudem trzymała się za mną w stałej odległości trzech albo czterech jardów. Jej blada skóra niemal jaśniała w mroku.

Przez cały czas starałem się śledzić pozycję wroga. Nie była to łatwa sprawa. Nie miałem w głowie dużej mapy wyspy ze świetlnymi punkcikami oznaczającymi pozycje przeciwników. Po prostu wiedziałem, gdzie są, ale ich liczba wciąż rosła, tak że coraz trudniej było mi ich śledzić.

Najbliższe wrogie istoty znajdowały się jakieś czterdzieści jardów przed nami, kiedy uniosłem palce do ust i zagwizdałem ostro.

– Przede mną! – krzyknąłem. – Teraz, Toot!

Strasznie uciążliwe było owijanie fajerwerków w plastik, żeby ochronić je

przed deszczem, a jeszcze gorsze dołączanie do każdej racy i rzymskiej świecy wodoodpornej zapalki i miniaturowego krzesiwa. Kiedy kazałem Molly i Willowi rozmieścić je w lesie w dwudziestu różnych miejscach, zobaczyłem spojrzenia pytające: „Oszalałeś?”.

Fajerwerki nie są skuteczną bronią zdolną spowodować poważne uszkodzenia i zniszczenia. Po prostu są głośne, oślepiają i rozpraszają.

Co w tych okolicznościach było mniej więcej tym, czego potrzebowałem.

Toot-toot i pół tuzina członków Gwardii pojawili się znikąd, miniaturowe komety śmigające między pionowymi cieniami drzew. Pomknęły w górę, usiadły na niskich gałęziach i po chwili rozbłysły małe ogniki, kiedy do zapalników przystawiono wodoodporne zapalki. Sekundę później gdzieś przed nami zapiszczała trąbka i dwanaście rzymskich świec wystrzeliło w ciemność kule płonących chemikaliów, oświetlając przygarbione w biegu sylwetki co najmniej dziesięciu ludzi Bindera w tanich szarych garniturach. Znajdujący się niecałe pięćdziesiąt jardów od nas napastnicy zamarli po niespodziewanym pokazie pirotechnicznym, próbując ocenić zagrożenie.

Doskonale.

Opadłem na kolano i uniosłem różdżkę bojową, kiedy człekokształtne demony wrzasnęły po nagłych rozbłyskach. Wycelowałem w najbliższego znieruchomiałego przeciwnika, skupiłem wolę w drewnianym uchwycie i warknąłem:

– *Fuego!*

Byłoby łatwiej, gdyby nie ulewa, ale i tak ognisty czerwono-złoty oszczep pomknął z sykiem przez deszcz, zostawiając za sobą smugę białej pary. Gdy trafił najbliższego szarego człowieka stojącego na flance, jego tani garnitur zajął się z taką łatwością, jakby miał podszewkę ze smoły, a nie z wiskozy.

Szary człowiek wrzasnął i zaczął wściekle się miotać. Ogień pochłonął go całego, oświetlając wszystko w promieniu dobrych trzydziestu jardów, łącznie z jego kompanami.

Padłem płasko na ziemię, a chwilę później las za mną buchnął mocą i śmiercią.

Huknęły pistolety automatyczne nastawione na ogień ciągły. Możliwe, że broń siostr Raith została przerobiona z półautomatycznej i dodano do niej

większy magazynek. Zważywszy na nadludzką siłę, zmysły i koordynację ruchową wampirów, nie miały one takich trudności jak człowiek ze strzelaniem w ciemności w pełnym pędzie. Kule wbiły się w trzech napastników, po dziesięć albo jedenaście na każdego, u wszystkich między szyją a skronią, zmieniając demony z powrotem w ekto plazmę.

Potem przyszła kolej na Strażników.

Ogień stanowił główną broń w magicznej walce. Choć jej źródłem były wola i fizyczna wytrzymałość maga, do zalet należała duża ilość energii skoncentrowanej na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Płomienie rozświetlały ciemność, co prawie zawsze działało na korzyść maga... i bolaty. Każda żywa istota odczuwała co najmniej zdrowy respekt przed ogniem, jeśli nie wręcz strach. Poza tym miał on oczyszczającą moc w swoim niefizycznym aspekcie. Mógł zniszczyć czarną magię, jeśli użyło się go w tym celu.

Strażnicy wykorzystali świszczące ogniste kule z rzymskich świec oraz mój improwizowany stos pogrzebowy do własnych zaklęć i dopiero wtedy zaczęły się prawdziwe fajerwerki.

Każdy mag ma swoje nawyki i dziwactwa, jeśli chodzi o korzystanie z mocy. Nie istnieje żadna określona zasada, jak przywoływać ogień w czasie bitwy. Jeden ze Strażników wysłał strumień małych gwiazdek, a te pomknęły przez noc jak seria z karabinu maszynowego i bez trudu, z jednakową pogardą, wypaliły dziury w drzewach, kamieniach i szarych demonach. Płomień wystrzelony przez jego kolegę poleciał w górę wysokim łukiem, po czym spadł między kilku wrogów, rozbryzgując się i przywierając do każdej żywej istoty jak napalm. Szkarłatne, niebieskie i zielone lance przecięły powietrze, przypominając mi szaloną scenę z „Gwiezdných wojen”. Połąc lasu o średnicy czterdziestu jardów zniknęła w jaskrawym blasku i furii. Wszędzie snuła się i syczała para.

Na dzwony piekieł! Nieraz widywałem Strażników w akcji, ale wtedy była to precyzyjna, kontrolowana praca. Tutaj odchodziła czysta destrukcja na przemysłową skalę, a intensywny żar wysysał powietrze z moich płuc.

Jednakże na szarych ludziach pożoga najwyraźniej nie robiła wrażenia. Albo nie byli dostatecznie bystrzy, żeby próbować ratować życie, albo po

prostu im nie zależało. Rozdzielili się, nadbiegając. Niektórzy popędzili dalej, nisko przy ziemi, na pół ukryci przez krzaki. Inni wskoczyli na drzewa i poruszali się po nich, skacząc z gałęzi na gałąź. Większość rozpięzła się na boki, z dala od ostrego blasku płomieni.

– Toot! – krzyknąłem pośród tego pandemonium. – Bierz flankowych!

Dźwięk małej trąbki przyłączył się do ogólnego hałasu i Patrol Pizzy pomknął w las. Dwa lub trzy małe elfy niosły wspólnie nowe rzymskie świece. Z radością zabawiały się fajerwerkami, wysyłając małe siarkowe kule, żeby zaznaczyć pozycje szarych ludzi, którzy próbowali wymknąć się nam w mroku.

Lara wydała przenikliwy okrzyk i podbiegła do mnie z pistoletem w ręce, strzelając terkotliwymi seriami za każdym razem, kiedy dostrzegła cel. Wskazałem wokół siebie i ryknąłem:

– Otaczają nas! Musimy ich powstrzymać, żeby nie zaszli Mai i Indianina Joe od tyłu!

Lara obejrzała się na swoje siostry i powiedziała coś do nich w starożytnym etruskim języku używanym w Białym Dworze. Obie pobiegły w różnych kierunkach i zniknęły w ciemności.

Dwadzieścia stóp ode mnie jakiś szary garnitur wypadł spomiędzy drzew, płonął jak pochodnia. Nie wykazywał absolutnie żadnego strachu przed ogniem. Po prostu popędził dalej przed siebie i skoczył na mnie z szeroko rozpostartymi rękami. Opadłem na kolana i wbiłem jeden koniec swojej ćwierćpałki w ziemię, a drugi wycelowałem w środek masy przeciwnika. Kij nie trafił precyzyjnie w cel. Po uderzeniu demon skręcił w bok, odbił się od ziemi i ułamek sekundy później znowu się na mnie rzucił...

I wybuchł w chmurze ektoplazmy, kiedy seria z karabinu Lary roztrzaskała mu głowę.

Tymczasem z ciemności wypadł następny atakujący. Zerwałem się na nogi i instynktownie wystrzeliłem płomień jakieś dziesięć stóp w górę i dwadzieścia za Larą. W momencie strzału wiedziałem, że niczego tam nie ma, ale kiedy ogień zasyczał w padającym deszczu, oświetlił postać szarego człowieka w trakcie widowiskowego skoku, który skończyłby się na plecach wampirzycy. Trafiony napastnik runął na ziemię jak płonący odrzutowiec

i przeorał dwanaście jardów gruntu, zanim rozpuścił się w tłące kupki przezroczystej galarety.

Lara nie widziała napastnika, dopóki ten obok niej nie wylądował.

– O, to było uprzejme z twojej strony, Dresden – powiedziała konwersacyjnym tonem.

– Jestem znany z tego, że podsuwam krzesła i otwieram drzwi.

– Jakie to staroświeckie – skomentowała Lara. Jej jasne oczy błyszczały. – I urocze.

W tym momencie przykuśtykał do nas Ebenezar z laską w ręce. Zmrużonymi oczami strzelał na boki, podczas gdy Strażnicy nadal posyłali w cele wiązki mocy. W lesie za nami trajkotały karabiny maszynowe. Najwyraźniej siostry Lary nadal polowały na szarych ludzi, którzy rozpierzchli się wokół nas.

– Straciliśmy jedną Strażniczkę – poinformował McCoy.

– Jak? – spytałem.

– Jedna z tych istot skoczyła z gałęzi i oderwała jej głowę.

Wyśledziłem drobny ruch na pobliskim drzewie i wskazałem na nie palcem.

– Tam, sir!

Ebenezar zrobił ręką gwałtowny, przyciągający ruch i wymówił przy tym jakieś słowo. Szary demon, który się do nas skradał, został pochwycony przez niewidzialną siłę, ściągnięty z drzewa i wysłany w powietrze szerokim łukiem, który zakończył się w jeziorze Michigan ćwierć mili od najbliższego brzegu.

– Gdzie jest druga grupa? – spytał Ebenezar.

Po chwili skupienia odpowiedziałem:

– W porcie. Na skraju drzew. Zbliżają się do Mai i Indianina Joe. – Zerknąłem na Larę. – Myślę, że wampiry ich powstrzymały.

McCoy zaklął.

– Binder nadal gdzieś tam jest. Jego słudzy nie przetrwają długo w tym deszczu, ale nie możemy dać mu czasu, żeby wezwał ich więcej. Potrafisz go znaleźć?

Sprawdziłem. Na wyspie było tyle zamieszania, że Demonreach miał

kłopoty z odróżnieniem jednej istoty od drugiej, ale zyskałem mocne, choć niekonkretne wyobrażenie, gdzie jest Binder.

– Tak. – Wyczułem jakiś ruch i wskazałem za siebie. Trzem szarym ludziom udało się zbliżyć do dwóch Strażników, którzy stali po obu stronach nieruchomej, zbryzganej krwią postaci leżącej na ziemi. – Tam!

Ebenezar wykonał następny szybki gest, wypowiedział zaklęcie i jeden ze zbliżających się szarych garniturów nagle i dosłownie został zmiażdżony na placek przez niewidzialny młot. Po ziemi rozlała się ektoplazmatyczna posoka. Dwaj ostrzeżeni Strażnicy, mający teraz równe szanse, szybko uporali się z pozostałymi dwoma napastnikami.

McCoy odwrócił się do mnie i powiedział:

– Ucisz tego Bindera, Hoss. Ja zabieram Strażników, żeby wsparli Indianina Joe i Mai. Chodźmy, wampirze.

– Nie – sprzeciwiła się Lara. – Jeśli Binder tu jest, w pobliżu znajduje się również moja słodka kuzynka Madeline. Zostanę z Dresdenem.

Ebenezar nie kłócił się z nią, tylko po prostu warknął jakieś słowo i uniósł zaciśniętą pięść, a Lara wydała krótki, zdławiony okrzyk i zawisła w powietrzu dziesięć stóp nad ziemią, z wyprostowanymi nogami i rękami, sztywna jak deska.

– Zaczekaj! – powiedziałem, kładąc dłoń na piersi McCoya. – Puść ją.

Ebenezar spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi. Nie miał pojęcia, że nie jestem sam. Georgia i Will czaili się w pobliżu i w razie potrzeby mogli znaleźć się u mojego boku w ciągu paru sekund. Poza tym każde z nich było warte tyle co trzech szarych ludzi. Próbowałem przekazać tę informację z lekkim naciskiem w głosie:

– Poradzę sobie.

McCoy zerknął na las i niechętnie kiwnął głową. Potem odwrócił się do Lary i wypuścił ją z uścisku swojej woli. Nie udało się jej upaść z wdziękiem, tak że wylądowała na ziemi jak długa, dzięki czemu mogłem przez chwilę podziwiać jej intrygujące nogi. Starzec zmierzył ją wzrokiem i powiedział:

– Pamiętaj, co ci mówiłem, panienko.

Lara wstała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale ja znałem ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest wściekła. Mój stary mentor właśnie znieważył ją

na wielu poziomach, między innymi wykazując, jak łatwo byłoby mu spełnić groźbę.

– Zapamiętam – rzuciła wampirzyca lodowatym tonem.

– Strażnicy, do mnie! – rozkazał Ebenezar.

Ruszył przed siebie krokiem człowieka lasu, szurając stopami, na ugiętych kolanach, dzięki czemu dobrze sobie radził w nieznanym terenie i pokonywał trasę ze zwodniczą szybkością. Czterech pozostałych Strażników uformowało za nim klin i razem skierowali się na południe, do przystani, na konfrontację z wrogiem nadciągającym z Nigdy nigdy ze swoją armią.

Lara odwróciła się do mnie i skinieniem głowy pokazała, że bym prowadził. Spróbowałem wyraźniej zaznaczyć w umyśle pozycję Bindera i upewniłem się, że jest gdzieś przed nami, na północy, i prawdopodobnie stara się okrążyć szerokim łukiem miejsce bitwy razem ze swoimi sługami. Wszedłem w las i zacząłem biec.

Tym razem Lara trzymała się blisko za mną. Naśladowała moje ruchy, łącznie z długością kroku, korzystając z mojej instynktownej wiedzy o Demonreach.

– Nie obchodzi mnie ten najemnik – powiedziała bez śladu zadyszki. – Zrób z nim, co chcesz. Ale Madeline jest moja.

– Ona może coś wiedzieć – zauważyłem.

– Nie wierzę, żeby ktoś obdarzony choć połową mózgu mógł powierzyć jej jakiegokolwiek ważne informacje.

– A ja nie wierzę, że ta zdradliwa suka nie wykorzysta każdej okazji, żeby ukraść choć strzęp informacji i wykorzystać go przeciwko temu, z kim akurat współpracuje – odparowałem, oglądając się za siebie.

Lara nie dyskutowała z tą opinią, ale jej oczy stwardniały jak srebrne lustra, odbijające płomienie, które nadal tu i ówdzie tańczyły, kiedy biegnęliśmy przez pole bitwy.

– Madeline zdradziła mnie, mój Dom i mój Dwór. Ona jest moja. Wolę, żebyś pozostał żywym, oddychającym sojusznikiem. Nie będziesz się wtrącał.

Co się odpowiada na takie dictum? Zamknąłem usta i skupiłem się na

szukaniu Bindera.

Dotarcie na ten odcinek brzegu, do którego przybili Binder i jego towarzyszka, zabrało nam jakieś pięć minut. Na plaży leżały porzucone dwa skutery wodne. A więc tak tutaj dotarli. Małe pojazdy nie miały problemów z prześlizgnięciem się nad rafami otaczającymi wyspę, choć jazda po wzburzonej wodzie musiała być koszmarem.

Minęliśmy porzucony sprzęt i ruszyliśmy dalej ścieżką wydeptaną przez jelenie. Wiedziałem, że zbliżamy się do celu. Nagle Lara przyśpieszyła kroku i z nadludzką szybkością pomknęła po równym terenie.

Nie wiem, co spowodowało eksplozję. Może przez szlak był przeciągnięty drut. Możliwe, że ładunek zdetonowano ręcznie. W każdym razie nastąpił błysk i coś uderzyło mnie w pierś z taką siłą, że upadłem. Na mojej siatkówce wypalił się brzydki, asymetryczny kształt. Przez dłuższą chwilę leżałem na plecach, próbując zrozumieć, co się stało.

Potem poczułem świerzbienie na całym ciele i ujrzałem nad sobą Madeline Raith. Uświadomiłem sobie, że wampirzyca siedzi na mnie okrakiem. Oświetlał ją blask ognia, który płonął gdzieś w pobliżu. Miała na sobie czarny mokry kombinezon z krótkimi rękawami i nogawkami rozpięty aż do pępka. W jednej ręce trzymała prawie pustą butelkę tequili. Jej oczy były duże i błyszczące, kiedy się nachyliła, pocałowała mnie w czoło i...

Na cholerne dzwony piekieł!

Rozkosz, która mnie ogarnęła od zwykłego muśnięcia, była silna aż do granicy bólu. Wszystkie nerwy w moim ciele rozjarzyły się, jakby ktoś podłączył prąd do ośrodków przyjemności albo wstrzyknął do nich azot. Poczułem, że moje ciało wygina się w łuk i drży w czysto seksualnej reakcji na fizyczne doznanie, które z seksem niewiele miało wspólnego. Zastygłem w drżącym łuku ekstazy na całe dziesięć albo piętnaście sekund.

Od jednego pocałunku w czoło.

Boże. Nic dziwnego, że ludzie wracają do wampirów po więcej.

Ledwo rejestrowałem, co się dzieje wokół mnie. Jak przez mgłę zobaczyłem, że Madeline wyjmuje pistolet, drugi ulubiony model obdarzonych siłą trochę większą niż ludzka: desert eagle.

– Dobranoc, słodki magu – zamruczała wampirzyca, ocierając się powoli

biodrami o moje biodra.

Wylotem lufy o średnicy pół cala przesunęła po moim policzku, pociągnęła duży łyk tequili, po czym delikatnie przytknęła stal do miejsca, które przed chwilą pocałowała. Wrażenie było obscenicznie miłe, niczym pieszczota na skórze świeżo ogolonej, ale jeszcze niedotykanej. Wiedziałem, że Madeline zaraz mnie zabije, ale nie mogłem przestać myśleć o tym, jak mi jest dobrze.

– I anielskie zastępy – wyszeptała, oddychając szybciej, z oczami jarzącymi się podnieceniem – niech ukołyszają cię do snu.

Nadal porządkowałem sobie wszystko po gigantycznym wstrząsie, który eksplozja wywołała w mojej czaszce, kiedy z nocnego mroku wyłonił się ciemny wilk i uderzył w Madeline Raith jak rozpędzony wóz pancerny. Usłyszałem trzask pękających kości. Samą wampirzycę wręcz porwał ze mnie impet wilczego ataku.

Will na tym nie poprzestał. Już kiedyś miał styczność z panną Raith i wiedział, że lepiej nie próbować swoich sił w walce z wampirem, nawet jeśli członkowie Białego Dworu byli najsłabsi z całego gatunku. Skoczył na ziemię i pobiegł z powrotem w mrok.

Madeline wrzasnęła z zaskoczenia i wściekłości, a jej pistolet wypalił kilka razy, ale nie jestem pewien, czy można to nazwać strzelaniem. Wampirzyca klęczała, trzymając w jednej dłoni wielki stary desert eagle, a w drugiej roztrzaskaną butelkę tequili, kiedy wilk o piaskowej sierści podkradł się do niej bezszelestnie i chwycił kłami rękę z bronią. Wbił zęby głęboko w mięśnie i ścięgna przedramienia. Był to atak przeprowadzony z niemal chirurgiczną precyzją. Pistolet wypadł z dłoni Madeline, a ona sama okrzykiem się błyskawicznie i cisnęła rozbitą butelką w wilczycę, lecz Georgia również nie paliła się do walki i odbiegła, podobnie jak wcześniej Will. Tymczasem on wrócił niezauważony.

Błysnęły kły, popłynęła jasna krew Raithów. Dwa wilki atakowały i wycofywały się w zgranym rytmie, nie dając wampirzycy szansy na kontratak. Kiedy Madeline w końcu zrozumiała, w jaki sposób współpracują przeciwnicy, próbowała odeprzeć napaść Willa w tej samej chwili, kiedy Georgia zaczęła się wycofywać, ale tamci dwoje uczyli się walki od prawdziwego wilka i mieli za sobą osiem lat niezbyt intensywnej, ale uczciwej ochrony kilku przecznic wokół uniwersytetu przed atakami zarówno nadprzyrodzonych, jak i śmiertelnych drapieżców.

Madeline wrzasnęła w bezsilnej furii. Była wściekła... i coraz wolniejsza. Członkowie Białego Dworu, jako istoty z krwi i kości, mogli umrzeć z wykrwawienia.

Twardo postanowiłem znowu zacząć używać głowy i wreszcie otrząsnąć się ze skutków psychotycznie rozkosznego pocałunku Madeline oraz wcześniejszej eksplozji. Uświadomiłem sobie, że jestem cały w drobnych zadrapaniach i skaleczeniach, ale poza tym nic mi nie dolega, a Binder znajduje się niecałe dwadzieścia stóp od nas.

– Will, Georgia! – krzyknąłem. – Broń!

Wilki błyskawicznie zniknęły w gęstwinie, tak że nie poruszył się nawet liść, a pół sekundy później z lasu wyszedł Binder z półautomatycznym pistoletem przystawionym do ramienia. Najemnik też miał na sobie mokry kombinezon surfingowy, ale na nim kamizelkę bojową i pas na ekwipunek, a na nogach wysokie buty.

Wycelował broń w ślad za wilkami i zaczął młócić gąszcz pociskami, bardziej lub mniej na oślep.

Wszyscy myślą, że pociski z karabinu mają ogromny rozrzut i jeśli wyceluje się w drzwi garażu i pociągnie za spust, będzie można przez powstałą dziurę wyjechać samochodem. Tak nie jest, nawet jeśli strzela się z broni o bardzo krótkiej lufie. Pistolet taki jak Bindera z odległości stu albo stu pięćdziesięciu jardów ma promień rażenia wielkości moich rozstawionych palców. Były duże szanse, że przywoływacz w nic nie trafi, a zważywszy na jego doświadczenie, pewnie sam o tym wiedział. Musiał jednak oddać salwę, żeby zmusić wilki do ucieczki.

W gorączce bitewnej trudno policzyć strzały, ale ja wiedziałem, że Binder wypalił osiem razy. Dzięki Demonreach czułem osiem mosiężnych i plastikowych łusek leżących na ziemi wokół niego. Stojąc nad Madeline, Binder sięgnął do kamizelki, pewnie po to, żeby naładować broń.

Nie dałem mu szansy. Wyjąłem z kieszeni płaszcz czterdziestkę czwórkę, usiadłem i wycelowałem w środek jego ciała. Starając się nie trząść, pociągnąłem za spust.

Rewolwer huknął i lewa noga ugięła się pod Binderem, jakby ktoś uderzył ją dwudziestofuntowym młotem. Najemnik wydał okrzyk, bardziej

zaskoczenia niż bólu, i runął twardo na ziemię. W krótkiej chwili ciszy, która zapadła po strzale, niemal poczułem dla niego litość. Gość miał za sobą kilka trudnych dni. Słyszałem, jak oddycha szybko i zaciska zęby, żeby nie wyc z bólu.

Madeline odwróciła się do mnie gwałtownie. Jej ciemne włosy zbiły się w strąki i zmatowiały od deszczu. Oczy rozjarzyły się czystą bielą, kiedy tkwiący w niej demon głodu przejmował władzę. Mokry kombinezon był rozdarty w kilku miejscach, jaśniejsza od ludzkiej krew plamiła blade ciało. Wampirzyca nie poruszała się ze zwykłą swobodą, ale zmierzała ku mnie krokiem myśliwego, równym i zdecydowanym.

W głowie nadal mi dzwoniło. Nie miałem czasu ani wystarczającej zdolności koncentracji, żeby rzucić zaklęcie. Poza tym już trzymałem w ręce rewolwer. Żal było go nie użyć.

Wycelowałem w miejsce, gdzie powinno się znajdować serce, ale trafiłem ją w brzuch, co, zważywszy na okoliczności, nie świadczyło o fatalnej celności. Madeline krzyknęła i opadła na jedno kolano. Jej puste białe oczy wyrażały wściekłość, kiedy wstała i znowu na mnie ruszyła.

Strzeliłem ponownie, chybiłem, spróbowałem jeszcze raz. Chwytiłem broń oburącz i zacisnąłem zęby, świadomy, że zostały mi już tylko dwa pociski. Następna kula wyrwała z bicepsa wampirzycy kawał mięsa wielkości piłki tenisowej. Madeline wrzasnęła i znowu opadła na kolano.

Zanim się dźwignęła, wycelowałem i posłałem jej ostatnią kulę.

Trafiłem w mostek, niemal dokładnie między piersi rysujące się pod kombinezonem. Madeline sapnęła i zachwiała się, a jej powieki zatrzepotały. Pomyślałem, że zaraz upadnie.

Ale nie upadła.

Spojrzenie białych oczu skupiło się na mnie, usta rozciągnęły się w szyderym, obłąkańczym uśmiechu. Madeline schyliła się i podniosła swój desert eagle. Musiała to zrobić lewą ręką. Prawa zwisała bezwładnie, ociekając krwią.

W desperacji cisnąłem w nią pustym rewolwerem. Wampirzyca odbiła go pistoletem.

– Jesteś jak paskudny liszaj, magu – powiedziała świszczącym głosem. –

Uciążliwy i żenujący. Nie stanowisz prawdziwego zagrożenia. I tym razem ci się nie uda.

– Suka – odparowałem błyskotliwie. Nadal nie odzyskałem pełni władz umysłowych. – Wszystko jest względne, prawda?

– Nie zabijaj go – wychrypiał Binder.

Madeline posłała mu spojrzenie, które mógłby zamrozić wódkę.

– Co?

Binder siedział na ziemi. Pistolet leżał poza jego zasięgiem. Musiał go tam odrzucić, bo kiedy padał, trzymał go w rękach. Od razu zrozumiał, w jak kiepskiej znalazł się sytuacji. Wiedział, że ranny nie zdoła uciec, więc postarał się, żeby nikt nie zobaczył go jako uzbrojonego i niebezpiecznego osobnika.

– Klątwa śmierci – przypomniał, oddychając ciężko. – On mógłby nią zmieść całą wyspę.

Nabrałem powietrza i zrobiłem groźną minę.

– Bum!

Madeline wyglądała źle. Któraś z kul mogła przebić jej tętnicę. Trudno to było stwierdzić w prawie całkowitej ciemności.

– Może masz rację, Binder – przyznała. – Gdyby był lepszym strzelcem, mogłabym znaleźć się w kłopotach, a tak jedynie czuję się niekomfortowo. – Jej oczy lekko się rozszerzyły, język szybko przesunął się po wargach. – Muszę się pożywić, jeśli mam dojść do siebie. – Opuściła karabin, jakby nagle stał się zbyt ciężki. – Nie martw się, Binder. Kiedy będzie wykrzykiwał moje imię, na nikogo nie rzuci klątwy. A nawet jeśli spróbuje... – zadrżała – na pewno będzie smakował niewiarygodnie.

Podeszła bliżej, blada i sponiewierana, a moje ciało nagle oszalało z żądy. Głupie ciało. Miało w tym momencie dużo większą siłę przebicia niż zwykle, bo w głowie nadal mi się mąciło od wybuchu.

Wymierzyłem cios pięścią w twarz Madeline, ale ona chwyciła moją rękę i pocałowała wewnątrz nadgarstka. Słodka srebrna błyskawica eksplodowała w moim ramieniu i powędrowała w dół kręgosłupa. Nędzne resztki mojego umysłu całkiem odmówiły posłuszeństwa i następną rzeczą, którą sobie uświadomiłem, było to, że Madeline przyciska pierś do mojej piersi, usta do

moich ust, i powoli, zmysłowo przejmuję nade mną władzę.

I wtedy z lasu wyskoczył spalony trup.

Tylko w ten sposób mogłem go opisać. Połowa jego ciała była czarna jak hamburger, który spadł przez kraty grilla, a reszta czerwona i fioletowa, spuchnięta od siniaków i krwawych pęcherzy, z bardzo nielicznymi skrawkami bladego ciała. Do jej czaszki przywierało kilka ciemnych kosmyków. Mówię „jej”, bo formalnie rzecz biorąc, trup był płci żeńskiej, choć ten aspekt zupełnie się nie liczył w tym zwęglonym kawałku mięsa cuchnącego tequilą.

Jedyne, co rozpoznałem, to zimne srebrne oczy.

Oczy Lary Raith jarzyły się szaloną furią i straszliwym głodem, kiedy posiniaczonym, spuchniętym lewym ramieniem oplotła szyję swojej kuzynki i zacisnęła je z potworną siłą.

Madeline krzyknęła, kiedy jej głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Potem nie wydała już żadnego dźwięku, bo powietrze utknęło w jej płucach. Czerniały trup, który kiedyś był Larą Raith, wbił zniszczone przez ogień biodro w plecy Madeline i użył jej kręgosłupa jako punktu podparcia.

Gdy Lara się odezwała, jej głos brzmiał, jakby pochodził z samego piekła. Był niższy i bardziej matowy, ale piękny jak zawsze.

– Madeline, chciałam to zrobić, kiedy jeszcze byłyśmy małymi dziewczynkami.

Prawa ręka Lary, spalona prawie do kości i ścięgien, powoli i zmysłowo objęła napięty brzuch drugiej wampirzycy. Palce jeszcze wolniej wbiły się w ciało tuż pod lewym zębem. Madeline próbowała krzyknąć, ale tylko wykrzywiła twarz.

Lara zadrżała i gwałtownym szarpnięciem wyrwała w bladym brzuchu Madeline bruzdę szeroką na cztery palce. Na zewnątrz wysliznęły się czerwonoszare zwoje.

Z ust Lary wysunął się jasnorożowy język i dotknął płatka ucha Madeline.

– Posłuchaj mnie. – Zwęglona dłoń nadal wyciągała różne rzeczy z ciała wampirzycy przerażająco intymnym gestem. – Posłuchaj mnie.

Na dźwięk tego głosu ogarnęło mnie szalone pragnienie, żeby podbiec do Lary i oddać jej swoje uszy, oderwane własnym rękami, jeśli będzie trzeba.

Madeline zadrżała, siły szybko opuszczały jej ciało. Usta nadal próbowały coś powiedzieć, ale oczy zamglily się pod wpływem szeptu Lary.

– Choć raz w życiu – mówiła dalej Lara, całując szyję kuzynki czarnymi, popękkanymi wargami – będziesz użyteczna.

Oczy Madeline uciekły w głąb czaszki, ciało zwisło bezwładnie w uścisku Lary.

Mój umysł w końcu wrócił na służbę. Oderwałem wzrok od wywołującego mdłości widoku dwóch wampirzyc. Binder siedział na ziemi i zatykał uszy rękami. Powieki miał mocno zaciśnięte. Chwyciłem go pod pachy i odciągnąłem od splecionych ze sobą kuzynek Raith. Powlokłem go z pięćdziesiąt jardów w dół zbocza, przez jakieś gęste krzaki, wokół pnia dużej, starej hikory. Binder wyraźnie cierpiał, ale odpychał się zdrową nogą, starając się mi pomóc.

– Cholera jasna – wysapał, kiedy go położyłem na ziemi. – Cholera jasna i siarka.

Zachwiałem się i klapnąłem naprzeciwko niego, łapiąc oddech i starając się przepędzić z głowy obraz Lary pożerającej Madeline.

– Serio?

– Paru cholernych głupców, których znam, nie może przestać gadać, jakie to tragiczne istoty – powiedział Binder. – Biedne, samotne wampiry. Że są takie jak my. Cholerni idioci!

– Jasne – wychrypiałem.

Siedzieliśmy tak przez kilka sekund, aż z góry dobiegł niski, cichy, podekscytowany krzyk.

Zadrżeliśmy obaj, ale udawaliśmy, że nikt nic nie słyszał.

Binder gapił się na mnie przez chwilę, a potem rzucił krótko:

– Dlaczego?

– Kiedy Lara już zaczęła, mogłaby się nie powstrzymać. Ciebie też by pożarła.

– Racja – skwapliwie przyznał Binder. – Ale nie o to pytałem. Dlaczego?

– Ktoś musi być człowiekiem.

Binder spojrzał na mnie, jakbym mówił językiem, którego on nigdy dobrze nie znał i w dodatku nie słyszał go od lat. Szybko odwrócił wzrok,

pokiwał głową i, nie patrząc na mnie, wymamrotał:

– Dzięki, kolego.

– Wal się – odburknąłem ze znużeniem. – Mocno dostałeś?

– Chyba mam złamaną kość. Pewnie w nic ważnego nie trafiłeś, bo inaczej już by mnie nie było.

Wcześniej obwiązał sobie ranę kawałkiem płótna. Mokry kombinezon zadziałał pewnie jak bandaż uciskowy.

– Dla kogo pracowała Madeline? – spytałem.

Binder pokręcił głową.

– Nie powiedziała mi.

– Myśl. Zastanów się dobrze.

– Wiem tylko, że to był jakiś gość z mnóstwem pieniędzy. Nigdy z nim nie gadałem. Przez telefon rozmawiali po angielsku, ale to nie był jego język ojczysty. Facet mówił, jakby nauczył się go z telewizji.

Zmarszczyłem brwi. Telewizja utwierdza ludzi w przekonaniu, że potrafią określić narodowość każdej osoby mówiącej po angielsku, ale w prawdziwym świecie akcenty mogą być mylące jak diabli, zwłaszcza kiedy nauczyciel nie jest rodzimym użytkownikiem języka. Spróbujcie sobie wyobrazić rezultat, kiedy, na przykład, Polak uczy się angielskiego od Niemca wykładającego na belgijskim uniwersytecie. Jego akcent zamąci w głowie najlepszemu lingwiście.

Zmierzyłem Bindera wzrokiem.

– Dasz radę sam się stąd wydostać?

Najemnik zadrżał.

– Z tego miejsca? W te pędy.

Pokiwałem głową. Binder był odpowiedzialny za śmierć Strażnika, ale nie osobiście. Rachunek mogłem wystawić trupowi Madeline Raith.

– Rób interesy w moim mieście albo wystąp znowu przeciwko Radze, to cię zabiję. Jasne?

– Jak słońce, kolego. Jak słońce.

Dźwignąłem się z ziemi. Nie miałem laski, różdżki bojowej ani rewolweru. Zostały na wzgórzu. Zamierzałem wrócić po nie później.

– Poczekaj. – Binder ze stęknieniem zdjął pas, a ja omal nie kopnąłem go

w głowę, sądząc, że sięga po broń. Zamiast tego wręczył mi całkiem zwyczajną czarną torbę.

– Co to jest? – spytałem.

– Dwa granaty zaczepne.

Dodałem dwa do dwóch. Mój mózg na serio wziął się do roboty.

– Wolisz nie mieć przy sobie takich samych jak ten, który trafił Larę, co?

– Właśnie.

Zacząłem się odwracać, ale on dotknął mojej nogi, nachylił się i powiedział bardzo cicho:

– W wodoodpornej kieszeni jest telefon. Szefowa dała mi go na przechowanie. Rozładowany, ale może pani gliniarz znajdzie w nim coś ciekawego.

Gapiałem się na niego przez chwilę i między nami nawiązała się nic porozumienia.

– Jeśli się uda, może zapomnę powiedzieć Strażnikom, że przeżyłeś.

Binder pokiwał głową i opadł z powrotem na ziemię.

– Nigdy więcej nie chcę cię widzieć, koleś – rzucił na pożegnanie. – Naprawdę nie chcę.

Zapiąłem pas i przewiesiłem go przez ramię, żeby w razie potrzeby móc szybko sięgnąć do saszetki. Potem ruszyłem na poszukiwanie Willa i Georgii.

Oboje leżeli jakieś sześćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie ostatnio ich widziałem. Wyglądało to tak, jakby okrążyli miejsce bitwy z Madeline, żeby na nie wrócić z drugiej strony. Poruszając się z łatwością i bezszelestnie przez las, znalazłem ich na ziemi, z powrotem w ludzkich postaciach.

– Will – syknąłem.

Wilkołak uniósł głowę i rozejrzał się nieprzytomnie.

– E... Co?

– Tu Harry – powiedziałem, klękając obok niego. Wziąłem do ręki swój amulet z pentagramem i przelałem w niego odrobinę woli. Talizman zajaśniał słabym blaskiem. – Jesteś ranny?

Georgia coś wymamrotała z niezadowoleniem. Oboje byli spleceni ze sobą dość intymnie, a ja nagle poczułem się... hm, niezręcznie. Zgasilem światło.

– Przepraszam – bąknął Will. – Mieliśmy wrócić, ale było tu... naprawdę miło. I myląco.

– Zgubiłam drogę – dodała Georgia. – I się przewróciłam.

Ich źrenice były rozszerzone do wielkości ćwierćdolarówek, a ja nagle zrozumiałem, co im się przydarzyło. Madeline. Niechcący się odurzyli, kiedy szarpali sukuba kłami. Słyszałem różne historie o krwi Białego Dworu, ale nie potrafiłem znaleźć żadnych twardych dowodów, a Thomas nigdy nie chciał rozmawiać o takich rzeczach.

– Na dzwony piekiel – mruknąłem sfrustrowany.

Madeline najwyraźniej miała skłonność do wyrządzania większych szkód przez przypadek niż celowo.

Usłyszałem krótki, ekstatyczny krzyk dobiegający z kierunku, gdzie, jak wiedziałem, leżały obie wampirzyce. Potem zapadła cisza.

I Madeline już nie było na wyspie.

Zagwizdałem cicho na palcach. Rozległ się trzepot i w powietrzu obok mnie zawisł mały elf, przygaszając światło, które podczas latania wytwarzało się wokół fae. Słyszałem bzyczenie jego skrzydeł i wyczuwałem obecność dzięki intellectusowi wyspy. To nie był Toot-toot, tylko jeden z jego podwładnych.

– Rozstaw strażę wokół tych dwojga – rozkazałem, wskazując na Willa i Georgię. – Ukryj ich i postaraj się nie dopuszczać tutaj nikogo.

Elf błysnął niebiesko dwoma machnięciami skrzydełek na znak, że przyjął rozkaz, i pomknął w mrok. Chwilę później dwa tuziny członków Milicji znajdowały się już w drodze, dowodzone przez małego gwardzistę.

Toot i jego drużyna byli na ogół godni zaufania... w granicach ich możliwości. To zadanie mogło ich przerosnąć, ale w tym momencie w żaden inny sposób nie potrafiłem pomóc Willowi i Georgii, a szaleństwo nadal trwało. Postawienie Małego Ludku na straży nie zapewniało im całkowitej ochrony, ale tylko tyle miałem. I mogłem jedynie mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy sięgnąłem do Demonreach, żeby dowiedzieć się, co z Ebenezairem i resztą, w moim mózgu powstało wrażenie, że dzieje się coś bardzo złego. Po plecach przebiegły mi dreszcze nie mojego strachu i wściekłości.

Skupiłem się na źródle tych odczuć i nagle zrozumiałem oburzenie wyspy na obecność gościa, którym gardziła. Przybił do brzegu po drugiej stronie lądu i teraz poruszał się szybko między drzewami, ciągnąc za sobą na pół martwą istotę.

Mojego brata.

Na Demonreach przybił naagloshii.

Stałem w lesie bez sojuszników, bez broni. Zrobiło mi się niedobrze z przerażenia, kiedy skórozmienny ominął bitwę rozgrywającą się w porcie i ruszył prosto do wieży.

W stronę Molly. W stronę Donalda Morgana. Poruszał się szybko.

Opuściłem głowę, znalazłem najszybszą drogę na wzgórze i puściłem się przed siebie sprintem, modląc się, żeby wyprzedzić skórozmiennego.

Biegając, próbowałem śledzić bitwę między Białą Radą a siłami, które zdrajca sprowadził na wyspę. Nawet w przybliżeniu nie byli to ludzie i mieli ogromną przewagę liczebną. Rada i Biały Dwór uformowali półokrąg na brzegu, stojąc plecami do jeziora. Wrogowie zgromadzili się na linii drzew, wśród których mogli się schronić, i przypuszczali szybkie ataki w nieregularnych odstępach czasu. Dwie ludzkie istoty, które przybyły jako pierwsze, stały teraz razem w lesie, z dala od pola bitwy, a ja przez chwilę czułem silną frustrację.

Gdybym jakoś zdołał przekazać Strażnikom, gdzie jest zdrajca, mogliby zmontować skuteczny atak, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Gdybym miał jeszcze bardziej wykorzystać Mały Ludek, musiałbym się zatrzymać, wezwać gwizdem kilkoro z nich i wyznaczyć im kolejne zadanie.

Z drugiej strony, mag stanowiłby dla nich zupełnie inne zagrożenie niż wampir albo szary garnitur. Czarownik, zwłaszcza na tyle bystry, że latami ukrywał się wewnątrz Rady, nie zdradzając się ze swoimi niecnymi celami, mógłby dziesiątkami wytluc elfy jak owady. Nie zamierzałem ich narażać.

Ale powinienem coś wymyślić. Walka nie szła dobrze drużynie gospodarzy: na błotnistej ziemi pośrodku ich pozycji obronnej krew mieszała się z deszczem.

Zazgrzytałem zębami z frustracji. Ze względu na brata musiałem skupić się na swoim zadaniu. Gdybym teraz się zatrzymał i próbował wybawić Radę i rodzinę Lary z trudnej sytuacji, mogłoby to kosztować życie Thomasa. Poza tym, skro Ebenezar, Słuchający Wiatru i Pradawna Mai nie potrafili odeprzeć atakujących, ja z pewnością nie spisałbym się lepiej.

Musieli radzić sobie beze mnie.

Nie udało mi się dotrzeć do wieży przed skórozmiennym. Najwyraźniej bycie dziewięciostopowym zmiennokształtnym obdarzonym zmysłami

nocnego drapieżnika i nadludzką siłą biło na głowę nawet mój sojusz z duchem wyspy.

Gdyby wziąć to za omen, reszta nocy nie zapowiadała się dobrze, ale gdybym robił mądrą rzecz za każdym razem, kiedy sprawy przybierały niebezpieczny obrót, prawdopodobnie już dawno nastąpiłby koniec świata.

Stwierdziłem, że bieg przez las, gdy się wie, gdzie stawiać stopy, oznacza poruszanie się w idealnej ciszy. Kiedy dotarłem na skraj drzew, zobaczyłem, że skórozmienny nadchodzi z drugiej strony łysego wzgórza. Zamarłem w miejscu za osłoną krzaków i ciemności.

Wiatr nadal się wzmaczał. Coraz zimniejszy, nadlatywał z północnego wschodu, czyli wiał skórozmiennemu w plecy. Dawało mi to pewną drobną przewagę: Kudłacz nie mógł wyczuć mojego zapachu.

Wszedł na szczyt, same żylaste kończyny i sztywne żółte futro, na którym nie widać było żadnych śladów długiego pływania ani ulewnego deszczu. Chmury pędzące po niebie rozstały się na chwilę, odsłaniając księżyc bliski pełni. Po szczycie wzgórza przesunął się pas srebrnego blasku.

I oświetlił Thomasa.

Naagloshii ciągnął go za kostkę. Mój brat nie miał na sobie koszuli. Górną część jego ciała pokrywała taka ilość zadrapań i skaleczeń, że wyglądały jak drogi zaznaczone w bardzo szczegółowym atlasie. I był zmasakrowany. Jedno oko miał tak zapuchnięte, że wyglądało, jakby ktoś wsadził w oczodół połówkę brzoskwini. Szyję okalały ciemne siniaki. Duszono go wiele razy, być może dla zabawy.

Jego głowa, ramiona i plecy szorowały po ziemi, ręce ciągnęły się po niej bezwładnie. Kiedy naagloshii się zatrzymał, zobaczyłem, że Thomas lekko porusza głową, jakby próbował wypatrzeć jakąś drogę ucieczki. Jego włosy, przyklejone do głowy, ociekały wodą. Usłyszałem słaby, mokry kaszel.

Żył. Pobity, torturowany, na pół utopiony w lodowatej wodzie jeziora Michigan, ale żył.

Bezwiednie zacisnąłem pięści, gdy nagle zapłonął we mnie wściekły gniew. Nie planowałem, że sam spróbuję dopaść naagloshii. Chciałem, żeby byli przy tym obecni Lara, jej ludzie i wszyscy członkowie Rady. Chodziło o pokazanie im, że mają wspólnego wroga. Wtedy rzucilibyśmy się na

skórozmiennego przeważającymi siłami i co najmniej zmusili go do ucieczki, żeby odzyskać Thomasa. Nie przewidziałem tylko, że zdrajca zjawi się z tak liczną armią.

Atakowanie Kudłacza samotnie byłoby głupim błędem. Gniew czasami dodawał człowiekowi odwagi i mógłbym go nawet wykorzystać, żeby wspomóc swoją magię, ale sama wściekłość nie przysparzała umiejętności ani siły i nie gwarantowała śmiertelnemu magowi niezwykłej mocy.

Ta wściekłość mogła mnie co najwyżej zabić, gdybym pozwolił jej przejąć nade mną władzę. Przełknąłem furję i zmusiłem się do obserwowania naagloshii chłodnym, beznamiętnym wzrokiem. Kiedy będę miał lepszą okazję, kiedy zauważę coś, co da mi realną szansę na zwycięstwo, uderzę, obiecałem swojemu gniewowi. Uderzę go najlepszym niespodziewanym ciosem w życiu, wzmocnionym przez energię Demonreach.

Skoncentrowałem się całkowicie na skórozmiennym i czekałem.

Chwilę później zrozumiałem, że naagloshii jest niezwykle potężny. Oczywiście już wcześniej to wiedziałem, ale nie byłem w stanie docenić zagrożenia, poza czysto fizycznym, choć w niego Wejrzałem.

(Znowu dopadło mnie to wspomnienie, żeby, tak jak poprzednio, pozbawić mnie zmysłów. Z wielkim trudem odepchnąłem je i zignorowałem.)

Dzięki Demonreach mogłem lepiej go ocenić. Skórozmienny był dosłownie swoją własną linią geomantyczną, studnią mocy. Stanowił taką metafizyczną masę, że sama jego obecność zaburzała przepływ mrocznej rzeki energii pod wieżą w taki sam sposób, w jaki księżyc powoduje pływy morskie. Na wyspie to zakłócenie przejawiało się na wiele sposobów. Zwierzęta uciekały przed naagloshii jak przed zapachem pożaru lasu. Owady umilkły. Wydawało się, że nawet drzewa przycichły, choć dał zimny wiatr, który powinien szarpać ich gałęziami i zmuszać liście do szeptu.

Skórozmienny ruszył w stronę chaty, w której ukrywali się Morgan i moja praktykantka. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Ściany domu zaczęły migotać serpentynami poświaty, niezbyt silnej, ale zauważalnej w ciemności, ale kiedy naagloshii zrobił kolejny krok naprzód, refleksy pojaśniały i ułożyły się w symbole, zapisane na kamieniach

łagodnym ogniem. Nie miałem pojęcia, co to za pismo. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem.

Naagloshii zatrzymał się raptownie, a kiedy spomiędzy chmur znowu wychynał księżyc, zobaczyłem, że demon obnażył zęby. Postąpił krok naprzód i symbole rozjarzyły się jeszcze bardziej. Skórozmienny wydał z siebie niski, warczący głos i próbował iść dalej.

Nagle strąkowate futro przykleiło się do skóry na przodzie ciała, a on sam najwyraźniej nie mógł zrobić następnego kroku. Stojąc z uniesioną jedną nogą, wyrzucił z siebie przekleństwo w języku, którego nie znałem. Następnie cofnął się trochę, warcząc, i skierował w stronę wieży. Kiedy zbliżył się do ruiny na odległość ośmiu czy dziesięciu stóp, trochę ostrożniej niż wcześniej do chaty, na kamieniach znowu pojawiły się płynne sigile i go odepchnęły.

Skórozmienny zawarczał gniewnie, wymamrotał coś i wyciągnął przed siebie rękę, posyłając w stronę wieży niewidzialne wstęgi mocy. Symbole zajaśniały mocniej, jakby wchłonęły magię, którą demon najwyraźniej zamierzał je wymazać.

Naagloshii znowu zaklął, po czym niedbale podniósł Thomasa, jakby zamierzał utorować sobie drogę do wieży, rozbijając kamienny mur jego czaszką. Spojrzał na mojego brata, wyrzucił z siebie jeszcze kilka przekleństw i potrząsnął głową, mamrocząc coś pod nosem. Następnie odsunął się od latarni, wyraźnie sfrustrowany i już dobrze zaznajomiony z symbolami, które pozwalały kamieniom odbijać jego moc równie szybko i łatwo jak krople deszczu.

Demonreach rzadko zdradzał coś zrozumiałego o sobie, ale kiedy skórozmienny się wycofał, duch wyspy pozwolił sobie na krótką chwilę satysfakcji.

Co to, do diabła, było?

Nieistotne. To nie miało znaczenia. Albo raczej wyjaśnienie mogło na razie poczekać. Najważniejsze, że właśnie zmieniła się sytuacja.

Już nie musiałem odbierać Thomasa skórozmiennemu, a potem szukać sposobu, żeby pokonać demona. Mogłem się skupić na odzyskaniu brata. Gdyby udało mi się zaciągnąć go do kręgu zwalonej wieży albo w ochronne

mury chaty, chyba bylibyśmy uratowani. Skoro same kamienie odpychały demona, wystarczyło, żeby Molly aktywowała kryształ i potem tylko czekała, aż naagloshii sobie pójdzie. Niezależnie od wyniku nocnej bitwy Rada w końcu zwycięży i wtedy najgorsza wymierzona przez nią kara i tak będzie lepszym losem niż ten, który szykował dla nas skórozmienny.

W przeblysku racjonalności przyznałem przed sobą, że jest co najmniej milion rzeczy, które mogą pójść źle w moim planie. Z drugiej strony miał on tę istotną zaletę, że co najmniej jedna rzecz mogła pójść dobrze, czyli o jedną więcej niż w poprzednim: samodzielnie „odzyskać brata i pokonać demona”.

Naprawdę istniała szansa, że się uda.

– Magu! – zawołał skórozmienny. Stojąc twarzą do chaty, zaczął powoli ją okręzać. – Magu, wyjdź. Daj mi przekłętą wojownika.

Oczywiście nie odpowiedziałem. Zajmowałem pozycję. Jeśli naagloshi nadal będzie chodził wokół domku, musi przejść między mną a pustym otworem po drzwiach. Gdybym dobrze wyliczył moment, mógłbym wypuścić kinetyczny strzał, który wyrwałby Thomasa z jego rąk i wrzucił go do chaty.

Niestety było też możliwe, że podmuch energii nie uwolni Thomasa z ręki skórozmiennego, a jedynie smagnie jego bezwładne ciało dostatecznie mocno, żeby złamać mu kark. Albo zatrzymać jego serce czy spowodować zapadnięcie płuca. A gdybym nie trafił w otwór, Thomas wpadłby prosto na kamienną ścianę. Zważywszy na to, jak źle w tej chwili wyglądał, równie dobrze mógłbym go zabić.

Oczywiście demon i tak go zabije, jeśli nic nie zrobię.

Więc po prostu musiałem być precyzyjny.

Zająłem pozycję i nerwowo oblizałem wargi. Trudniej pracować z czystą, surową energią kinetyczną niż z innymi magicznymi mocami. W przeciwieństwie do ognia albo błyskawicy wezwanie czystej siły wymagało, żeby całe zaklęcie pochodziło z umysłu i woli maga. Ogień, raz wezwany, zachowywał się dokładnie jak ogień, chyba że mag się postarał, żeby było inaczej. To samo dotyczyło błyskawicy. Ale surowa wola nie miała oparcia w naturalnym porządku, więc jej wizualizacja musiała być szczególnie żywa i dokładna.

Właśnie dlatego zwykle używałem laski albo innego przedmiotu, żeby skupić wolę, kiedy pracowałem z czystą siłą. Ale teraz mój rekwizyt znajdował się kilka minut drogi od tego miejsca, a pierścienie, choć wystarczająco potężne, były przeznaczone do tego, żeby wysyłać lance niszczycielskiej energii. W dodatku nie zaprojektowałem podtrzymujących je zaklęć z myślą o pośpiesznych modyfikacjach. Gdybym się nimi posłużył, nie zdołałbym osłabić ciosu, że się tak wyrażę. I mógłbym niechcący zabić Thomasa.

– Magu! – zawył naagloshii. – Zaczynam mieć tego dość! Przyszedłem, żeby dokonać wymiany jeńców! Nie zmuszaj mnie, bym sam wziął to, czego chcę!

Jeszcze tylko kilka kroków i znajdzie się w odpowiednim miejscu.

Nogi mi się trzęsły. Ręce drżały.

Przez sekundę gapiłem się na nie ze zdumieniem i uświadomiłem sobie, że jestem przerażony. Zjawy dobijała się do drzwi moich myśli, brutalnie atakowała moją koncentrację. Pamiętałem, jakich spustoszeń już dokonał skórozmienny i jak łatwo unikał wszelkich zagrożeń stojących na jego drodze albo je usuwał.

Rzucenie zaklęcia z choćby najmniejszym błędem mogło kosztować życie mojego brata. A jeśli skórozmienny był na tyle dobry, żeby je wyczuć? Jeśli źle oceniłem ilość potrzebnej siły? Jeśli chybię? Nie miałem przy sobie narzędzi, które pomogłyby mi skupić moc, a nawet w najlepsze dni nie do końca nad nią panowałem.

I co z chwilami tuż po zaklęciu? Nawet gdyby udało mi się wykonać je prawidłowo, znajdowałbym się na otwartej przestrzeni z mściwym i rozwścieczonym demonem do towarzystwa. Obraz na pół ugotowanej Lary wyrywającej wnętrzności Madeline zapłonął w moich myślach. Miałem silne przeczucie, że naagloshii ze mną zrobiłby coś gorszego. Dużo gorszego.

I wtedy opadła mnie najgorsza wątpliwość. A jeśli to wszystko było na nic? Jeśli zdrajca uciekł, podczas gdy ja się tutaj miotalem? Jeśli Rada postanowi, że mimo wszystko Morgan zapłaci cenę za śmierć LaFortiera?

Boże! Naprawdę potrzebowałem tego zimnego piwa i dobrej książki.

– Tylko nie schrzań – wyszeptałem do siebie. – Nie schrzań.

Skórozmienny przeszedł przed pustym wejściem do chaty.

Sekundę później przeciągnął Thomasa przez linię między drzwiami a mną.

Uniosłem prawą rękę, skupiłem i wycelowałem wolę, podczas gdy przez moją głowę przebiegały stale zmieniające się liczby i wzory.

Nagłym gestem rozpostarłem palce i wykrzyknąłem:

– *Forzare!*

Coś mniej więcej takiego kształtu i wielkości jak łyżka buldożera pomknęło tuż przy gruncie między mną a domem, wrywając po drodze glebę, żwir, korzenie i rośliny. Niewidzialna siła wbiła się w ziemię cał pod Thomasem i wyszarpnęła jego nieruchome ciało z uścisku naagloshii. Mój brat pofrunął dziesięć stóp do drzwi... i mocno rąbnął czaszką w kamienną ścianę tuż przy framudze, kiedy wlatywał do środka chaty.

Czy po uderzeniu jego głowa odskoczyła i zachwiała się bezwładnie jak u gumowej lalki? Czy właśnie złamałem kark swojemu bratu?

Wydałem okrzyk rozpaczny. W tym samym momencie skórozmienny odwrócił się do mnie, przykucnął i zawył z wściekłości. Jego głos wstrząsnął powietrzem, tak że krople deszczu spadły z liści na ziemię rześistą ulewą. Ryk wyrażał całą furję śmiertelnie obrażonego, maniakałnego ego i zapowiadał śmierć, którą można opisać jedynie z pomocą encyklopedii tortur, słownika synonimów i paru odcinków „Chirurgów”.

Naagloshii z mojego krystalicznego wspomnienia z niedawnej przeszłości i ten stojący przede mną tu i teraz rzucili się na mnie jednocześnie, ogromni i niepowstrzymani, żeby rozerwać mnie na strzępy.

I nagle przestało mnie obchodzić, że ten stwór jest wrogiem dorównującym koszmarom, z którymi nigdy nie odważyłbym się zmierzyć. Nie obchodziło mnie, że prawdopodobnie zginę.

Zobaczyłem nieruchomą postać Kirby'ego. Zobaczyłem drobne, połamane ciało Andi w szpitalnej sali. Zobaczyłem rany mojego brata. Przypomniałem sobie ból, który sprawił mi demon, kiedy w niego Wejrzałem. Dla tej istoty nie było tutaj miejsca. I jeśli miałem zginąć, nie zamierzałem odejść, bełkocząc i kuląc się z przerażenia. Jeśli mam umrzeć, nie stanie się to dlatego, że sparaliżował mnie strach i trauma po Wejrzeniu. Jeśli mam

umrzeć, będzie to krwawa i widowiskowa rzeź.

– Dawaj! – krzyknąłem do Naagloshii głosem ostrym, wysokim i chrapliwym ze strachu i wściekłości. Stuliłem rękę w kształt muszli, jakbym szykował się do rzutu piłką baseballową, zebrałem siłę woli i nappełniłem dłoń szkarłatnym ogniem. Wyciągnąłem lewe ramię i przelałem wolę w bransoletę z tarcz, szykując obronę, a kiedy to zrobiłem, poczułem moc ziemi pod stopami, jej kojącą, pomocną energię. – Dawaj! No już, ty dziwolągu bez jaj!

Naagloshii w jednej chwili zmienił postać z prawie ludzkiej na taką, która bardziej przypominała goryla. Jego ręce się wydłużyły, nogi skróciły. Z wyciem ruszył do przodu małpimi skokami, pokonując dystans między nami z przerażającą szybkością, gracją i siłą. I raptem zniknął, stapiając się z ciemnością, otoczony zasłoną, całkowicie niewidoczny dla ludzkiego oka.

Ale Demonreach wiedział, gdzie jest Kudłacz. I ja też wiedziałem.

W odległym zakamarku umysłu, gdzie mój rozsądek najwyraźniej urządził sobie wakacje, mózg zauważył z przerażeniem, że puściłem się przed siebie sprintem. Nie pamiętam, żebym podejmował taką decyzję, ale najwyraźniej przypuściłem szarżę na skórozmiennego, wyrzaskując obelgi. Biegłem z furją, która niemal graniczyła z szaleństwem, nappełniałem ogień w dłoni coraz większą mocą, rosnącą z każdym uderzeniem moich stóp o ziemię, aż zapłonął jasno jak palnik acetylenowy.

Naagloshii skoczył na mnie z wyciągniętymi pazurami. Jego straszne oczy, widoczne wewnątrz zasłony, płonęły.

Przykucnąłem na prawej nodze jak baseballista i uniosłem tarczę pod kątem, tak że demon uderzył w nią jak wór cegieł i odbił się w tym samym kierunku, w którym wcześniej skakał. Potem błyskawicznie opuściłem tarczę, krzycząc:

– Andi!

I cisnąłem miniaturowe słońce w brzuch skórozmiennego.

Ognista eksplozja wyrzuciła demona dwanaście stóp w powietrze, obracając go do góry nogami. Moje nozdrza wypełnił straszliwy odór płonących włosów i zwęglonego mięsa. Naagloshii zawył w dzikiej ekstazie albo agonii, runął w dół, kilka razy odbił się twardo od ziemi i, jak gdyby

nigdy nic, stanął na własnych nogach.

Rzucił się na mnie ponownie, jednocześnie zmieniając za zasłoną postać, tym razem chyba na kocią. Nie miało to dla mnie znaczenia. Sięgnąłem po wiatr, deszcz i grzmoty, zarekwirowałem błyskawicę. Ale zamiast czekać na wyładowanie, obróciłem lewą rękę i odpaliłem naładowane energią pierścienie, uwalniając ich śmiertelną moc w pojedynczej salwie.

Naagloshii coś zawył w języku, którego nie znałem, i lance mocy odbiły się od jego zasłony. Od miejsca uderzenia rozprzestrzeniły się koncentryczne pierścienie kolorów. Sekundę później uniosłem stuloną dłoń i krzyknąłem:

– Thomas! *Fulminas!*

Grzmot był tak głośny, że strącił kilka luźnych kamieni z wieży i wstrząsnął wzgórzem, a niebiesko-biały rozbłysk aż zakłuł w oczy. Sieć rozwidlonych wyładowań pomknęła w stronę naagloshi, którego zasłona jeszcze nie odzyskała mocy po ataku pierścieni mocy. Delikatny ażur błyskawic uderzył go w sam środek piersi, zatrzymując w połowie szarży. Mniejsze odgałęzienia głównego pioruna trafiły w kamienistą ziemię w kilkunastu miejscach i wyrwały z niej rozżarzone do czerwoności kawałki darni wielkości czaszki, odsłaniając granit i łupek.

Wyczerpanie spadło na mnie jak młot, przed oczami zawirowały mi gwiazdy. Nigdy wcześniej nie rzucałem tak potężnych pocisków i nawet z pomocą Demonreach wydatek energii dosłownie zbił z nóg. Wiedziałem, że gdybym uderzył zbyt mocno, po prostu runąłbym na ziemię. Natomiast skórozmienny nadal stał o własnych siłach.

Gdy się zachwiał, zasłona na moment opadła, a ja w jego oczach dostrzegłem zaskoczenie. Niemal zobaczyłem, jak przez jego głowę przebiega myśl: jakim cudem trafiłem go tak celnie, skoro był prawie całkowicie niewidzialny?

W jego oczach mignął strach, a w moim zmęczonym ciele furia wydała triumfalny ryk.

Skórozmienny natychmiast się otrząsnął i ponownie zmienił. Przykucnął i, niezbyt się wysilając, oderwał kawał skalnej półki wielkości płyty chodnikowej. Cisnął nią we mnie. Trzysta albo czterysta funtów popędziło na mnie jak prosta, szybka piłka na pierwszoligowym meczu.

Rzuciłem się w bok, wolno z powodu wyczerpania, ale dostatecznie szybko, żeby zejść z drogi pociskowi. Jednocześnie zebrałem wolę. Tym razem wokół mojej prawej ręki zatańczyły migotliwe srebrno-białe wstęgi Ognia Duszy. Leżałem na ziemi, zbyt zmęczony, żeby wstać, i zgrzytałem zębami, kiedy skórozmienny mnie zaatakował, pewnie po raz ostatni.

Nie miałem siły krzyżeć, ale wycharczałem, uwalniając moc:

– A to... za Kirby'ego, ty sukinsynu. *Laqueus!*

Sznur utkany z czystej siły, jaśniejący Ogniem Duszy, poleciał w stronę demona. Naagloshii próbował odchylić jego tor, ale najwyraźniej nie spodziewał się po mnie zaklęcia z turbodoładowaniem. Jedynie trochę spowolniona lina okręciła się trzy razy wokół jego szyi i zacisnęła brutalnie.

Skórozmienny gwałtownie zatoczył się w bok, a jego osłona stopniowo rozpadła się na strzępy. Demon zaczął błyskawicznie zmieniać postacie, próbując się uwolnić od nadprzyrodzonej garoty. Bezskutecznie. Moje pole widzenia było na brzegach zamazane i coraz ciemniejsze, ale trzymałem przeciwnika całą siłą woli, coraz mocniej zaciskając pętlę.

Naagloshii wierzgał i walczył jak szalony, aż raptem zmienił taktykę. Ukucnął, zwinął się w kłębek i jednym pazurem zatoczył wokół siebie koło, wycinając bruzdę w kamieniu. Gdy dotknął kręgu swoją wolą, prosty magiczny konstrukt skoczył w górę i odciął zaklęcie stryczka od jego źródła: ode mnie. Srebrny sznur zamigotał i zniknął.

Z trudem uniosłem głowę, leżąc na ziemi. Spojrzałem w stronę domku. Bezpieczne schronienie stało zaledwie czterdzieści stóp ode mnie, ale równie dobrze mogłoby się znajdować czterdzieści mil stąd.

Skórozmienny przeciągnął pazurami po futrze na szyi i wydał z siebie pomruk zadowolenia. Następnie przesunął wzrok na mnie i jego usta rozciągnęły się w krwiożerczym uśmiechu. Wszedł z kręgu i zaczął się do mnie zbliżać.

Szykowała się krwawa, widowiskowa rzeź.

Naagloshii stanął nade mną, uśmiechając się szeroko. Jego nie ludzkie rysy zniekształciły się i zmieniły ze zwierzęcych na bardziej ludzkie.

– Żałosne – wybełkotał. – Kto podarował ci ogień życia, mały śmiertelniku?

– Wątpię, czy go znasz. – Mówienie było prawdziwym wysiłkiem, ale przywykłem do radzenia sobie z surowymi wymaganiami egzystencji bystrzaka obdarzonego refleksem. – On by cię załatwił.

Skórozmienny uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zadziwiające, że zdołałeś wezwać same ognie stworzenia, choć nie masz wiary, dzięki której mógłbyś je wykorzystać.

– Na dzwony piekieł – mruknąłem. – Mam dość takich sadystycznych cymbałów jak ty.

Demon przekrzywił głowę i leniwie przesunął pazurami po kamieniu, jakby je ostrzył.

– Tak?

– Lubisz patrzeć, jak ryba dynda na haczyku – stwierdziłem. – To cię rajcuje. A kiedy będę martwy, zabawa się skończy. Dlatego przedłużasz sprawę rozmową.

– Tak ci się śpieszy, żeby stracić życie, śmiertelniku? – odparował skórozmienny.

– Jeśli alternatywą jest spędzanie czasu z tobą, to jasne, że tak, do cholery. Kończ albo się odwal.

Jego pazury poruszyły się z wężową szybkością i moja twarz nagle stanęła w ogniu. Bolało za bardzo, żebym mógł choć krzyknąć. Zgiąłem się w pół, przyciskając ręce do policzków, i zazgrzytałem zębami.

– Jak sobie życzysz. – Naagloshii pochylił się nade mną. – Ale najpierw coś ci powiem, przywoływaczu duchów. Myślisz, że odniosłeś zwycięstwo,

wyrywając faga z moich rąk. On był dla mnie wiszącym kawałkiem mięsa przez cały dzień. Nic z niego nie zostało. Nie ma słów na opisanie rzeczy, które mu robiłem. – Wyszczерzył się w szerokim uśmiechu. – On umiera z głodu. Oszał z głodu. A ja wyczuwam w lepiance twoją młodą przywoływaczkę. Rozważałem wrzucenie faga do środka razem z nią, zanim łaskawie wybawiłeś mnie z kłopotu. Porozmyślaj o tym w drodze do wieczności.

Mimo bólu i strachu mój żołądek ścisnął się w lodowate supły.

O Boże.

Molly.

Nie widziałem na prawe oko i nie czułem nic oprócz bólu. Odwróciłem głowę daleko w prawo, tak że lewe oko mogłem skupić na kucającym nade mną naagloshii, na jego długich palcach i zakrwawionych czarnych pazurach, drgających w niemal seksualnym oczekiwaniu.

Nie wiedziałem, czy ktoś kiedyś rzucił śmiertelną klątwę wzmocnioną przez Ogień Duszy. Nie miałem pojęcia, czy wykorzystanie własnej duszy jako paliwa do ostatecznego pożaru oznaczałoby, że nigdy nie pójde tam, dokąd idą inne, kiedy tutaj kończy się ich czas. Wiedziałem tylko, że nieważne, co się stanie, nie będzie już dłużej bolało, i że zanim odejdę, chcę zetrzeć z twarzy demona ten szkaradny uśmiech.

Nie byłem pewien, do jakiego stopnia można wyzywająco patrzeć jednym okiem, ale bardzo się postarałem, jednocześnie szykując uderzenie, które miało zakończyć moje życie.

Wtedy błysnęło małe światełko i coś przemknęło za plecami naagloshii. Demon znieruchomiał i warknął zaskoczony. Odwrócił się, rozglądając się za źródłem blasku. Jego zgarbione plecy przecinała długa, płytka rana, wąska i cienka jak zrobiona skalpelem.

Albo scyzorykiem.

W powietrzu krążył Toot-toot, dzierżąc w ręce jak włócznię zakrwawiony nóż uniwersalny. Przytknął do ust miniaturową trąbkę i zagrał na niej piskliwy sygnał do szarzy kawaleryjskiej.

– Giń, łotrze! – wykrzyknął ostrym, pełnym napięcia głosem i znowu zaatakował skórozmiennego.

Naagloshii ryknął i machnął łapą, ale Toot uniknął ciosu i zrobił długie na dziewięć cali nacięcie na ramieniu demona.

Ten z furją odwrócił się do elfa, zmieniając postać na bardziej kocią, jednak zachowując długie przednie kończyny. Rzucił się za małym napastnikiem, wyciągając pazury, ale mój miniaturowy kapitan gwardii wciąż był o włos szybszy.

– Toot! – zawołałem najgłośniejszym głosem, jak mogłem. – Uciekaj!

Kiedy elf znowu umknął przed jego szponami, naagloshii rzucił zjadliwie brzmiące przekleństwo, a potem wysyczał jakieś słowa w obcym języku. Nagle zerwał się wiatr i gwałtowny podmuch trafił w maleńkie ciało. Toot wpadł w kępę jeżyn rosnących na skraju polany, otaczająca go kula światła zamigotała i zgasła ze straszliwą ostatecznością.

Skórozmienny odwrócił się i tylnymi nogami kopnął ziemię w stronę zabitego elfa. Następnie ruszył na mnie, ziejąc wściekłością. Patrzyłem, jak nadchodzi, i miałem świadomość, że nic nie mogę zrobić.

Przynajmniej odebrałem Thomasa temu draniowi.

Żółte oczy naagloshii płonęły nienawiścią, kiedy zbliżył się i uniósł łapy.

– Hej, brzydalu – odezwał się nagle cichy głos.

Spojrzałem na małą polanę w tej samej chwili, co skórozmienny.

Nie wiem, jak Indianinowi Joe udało się przedostać przez krąg atakujących i dotrzeć na szczyt wzgórza, ale tego dokonał. Jak zwykle był w mokasynach, dzinsach i koszuli z miękkiej skóry ozdobionej koralikami z kości i kawałkami turkus. Długie siwe włosy miał zaplecione w warkocz, kościany naszyjnik połyskiwał blado w nocnym mroku.

Naagloshii stał nieruchomo, patrząc na szamana.

Na szczycie wzgórza panowały cisza i bezruch.

Nagle Słuchający Wiatru uśmiechnął się i schylił. Potarł błoto i glebę, która cienką warstwą pokrywała skaliste wzniesienie, po czym uniósł złożone dłonie do twarzy i wciągnął nosem woń ziemi. Następnie powoli zatarł ręce gestem człowieka, który szykuje się do ciężkiej, nudnej pracy.

Wyprostował się i rzekł spokojnie:

– Matka mówi, że nie ma tu dla ciebie miejsca.

Naagloshii obnażył kły. Z jego gardła wydobyło się warczenie jak ryk

dzikiej bestii.

W górze rozbłysła błyskawica bez towarzyszącego jej grzmotu. Rzuciła ostre, niesamowite światło na skórozmiennego. Słuchający Wiatru zwrócił twarz ku niebu i lekko przekrzywił głowę.

– Ojciec mówi, że jesteś brzydki – zameldował. Rozprostował ramiona, patrząc prosto na skórozmiennego. Kiedy nad wyspą przetoczył się grzmot, głos starca zabrzmiał jak groźny pomruk. – Daję ci szansę. Odejdź. Natychmiast.

– Stary przywoływacz duchów – zawarczał demon. – Nieudany strażnik martwych ludzi. Nie boję się ciebie.

– Może powinieneś – odparował Słuchający Wiatru. – Chłopak omal cię nie zabił, a on nawet nie zna Diné ani tym bardziej Starych Obyczajów. Zniknij. To twoja ostatnia szansa.

Naagloshii wydał z siebie głuchy warkot, a jego ciało się zmieniło. Było teraz grubsze, potężniejsze.

– Nie jesteś świętym człowiekiem. Nie podążasz Błogosławioną Drogą. Nie masz władzy nade mną.

– Nie zamierzam cię wiązać ani przepędzać, stary duchu – oświadczył Indianin Joe, zaciskając pięści. – Tylko wkopię ci tyłek między uszy. Zaczynamy.

Skórozmienny zawył i wyciągnął ręce przed siebie. Do przodu skoczyły dwie bliźniacze wstęgi ciemności, rozdzielając się po drodze na dziesiątki węży, wijących się całą chmarą w stronę Słuchającego Wiatru. Szaman nawet nie drgnął. Uniósł ramiona do nieba, odrzucił głowę do tyłu i zaśpiewał drżącym, wysokim głosem charakterystycznym dla rdzennych plemion. Deszcz, który prawie całkiem ustał, spadł znowu niemal litą ścianą wody na pięćdziesiąt jardów wzgórza, w jednej chwili zatapiając magiczne rojowisko.

Indianin Joe spojrzał na naagloshii.

– To najlepsze, na co cię stać?

Skórozmienny warknął kilka słów w nieznanym języku i zaczął oburącz miotać pociski mocy. Po ognistych kulach takich jak w Château Raith poleciały trzaskające kręgi niebieskich iskier i trzęsące się pacyny zielonej

galarety, które cuchnęły kwasem siarkowym. Był to imponujący pokaz ewokacji. Gdyby w stronę Słuchającego Wiatru pofrunął zlew kuchenny, wyczarowany nie wiadomo skąd, wcale by mnie to nie zaskoczyło. Naagloshii dał z siebie wszystko, ciskając w starego szamana dość czystej energii, żeby przeorać szczyt wzgórza do gołej skały.

Nie mam pojęcia, jak Słuchający Wiatru odparł te wszystkie ataki, choć widziałem, jak to robi. Znowu zaśpiewał i tym razem szurał stopami do taktu, pochylał stare ciało do przodu i do tyłu ruchami wyraźnie spowolnionymi przez wiek, ale stanowiącymi część tańca. Miał na kostkach pasy z dzwoneczkami i jeszcze jeden na biodrach, tak że wszystkie pobrzękiwały jako akompaniament do jego pieśni.

Cała nadlatująca magia jakoś nie mogła go trafić. Podczas gdy starzec dreptał w miejscu i kołysał ciałem, wokół niego rozbłysnął ogień, ale nie osmalił mu włosów. Skwierczące kule światła zniknęły kilka stóp przed nim i podejmowały lot kilka stóp za nim. Siarkowe pecyny chwiały się w locie i z sykiem roztrzaskiwały się na ziemi w chmurze duszących oparów, ale nie robiły mu żadnej krzywdy. To nie była siła przeciwko sile, moc przeciwko mocy, tylko elegancka obrona, jakby niepowodzenie magicznych ataków w oczywisty, zrozumiały i oczekiwany sposób stanowiło część naturalnego porządku w tym świecie.

Ale kiedy naagloshii miotał śmiercią w próżnym wysiłku, żeby pokonać moc Słuchającego Wiatru, jednocześnie posuwał się naprzód, skracając dystans między nimi, aż stanął niecałe dwadzieścia stóp od szamana. Wtedy jego oczy rozjarzyły się straszliwą radością. Z rykiem rzucił się na starca.

Serce podskoczyło mi do gardła. Słuchający Wiatru może nie wsparł mnie w tej sprawie, ale w przeszłości nieraz mi pomagał i jako jeden z niewielu magów cieszył się szacunkiem Ebenezara McCoya. Był porządnym człowiekiem, a ja nie chciałem, żeby z mojego powodu stała mu się krzywda. Krzyknąłem ostrzegawczo i zauważyłem wyraz jego twarzy, w chwili kiedy naagloshii na niego skoczył.

Indianin Joe szczerzył się w dzikim, drapieżnym uśmiechu.

W trakcie skoku, kiedy skórozmienny szykował się do rozszarpania przeciwnika, jego usta rozciągnęły się w wilczy pysk, a na wszystkich

czterech kończynach wyrosły pazury.

Słuchający Wiatru wypowiedział jedno słowo grzmiącym głosem, który wstrząsnął powietrzem. W następnej chwili jego postać roztopiła się i zmieniła tak gładko, jakby był z płynnej rtęci, która do tej pory przetrwała w formie starego człowieka tylko dzięki jego sile woli. Indianin Joe zmienił się teraz w coś innego tak naturalnie i szybko, jakby brał głęboki oddech.

Kiedy naagloshi wylądował po skoku, nie zatopił pazurów w ciele starego maga.

Zamiast tego znalazł się pysk w pysk z brązowym niedźwiedziem wielkości mikrobusem.

Niedźwiedź wydał z siebie potężny ryk i skoczył na naagloshii, mając nad nim przewagę samej masy i siły mięśni. Jeśli widzieliście taką wściekłą bestię w akcji, wiecie, że żaden opis nie odda tego pojedynku. Ogłuszające ryki, gra potężnych mięśni pod grubą skórą, błysk białych kłów i jarzące się, nabiegłe krwią oczy składały się na całość dużo większą niż suma części. Wszystko to budziło pierwotny lęk, poruszało jakieś prastare struny, ostrzegało, że takie rzeczy oznaczają przerażenie i śmierć.

Naagloshii wydał z siebie dziwny, obcy krzyk i z furią rzucił się na niedźwiedzia, ale sam się przechytrył. Jego długie, eleganckie i ostre pazury, idealne do patroszenia ludzi o miękkim ciele, po prostu nie były w stanie przebić się przez grube futro i skórę niedźwiedzia, a tym bardziej przez warstwy tłuszczu i potężnych mięśni. Równie dobrze mógłby zamiast szponów mieć plastikowe grzebienie.

Niedźwiedź chwycił czaszkę przeciwnika w wielkie zębiska i przez sekundę wyglądało na to, że walka się skończyła. Ale postać skórozmiennego nagle się rozmyła i w miejscu trochę małej istoty pojawiło się małe zwierzątko o futrze koloru uryny, długie i smukłe jak fretka z ponadwymiarową paszczą. Wijąc się, uwolniła ze szczęk ogromnego niedźwiedzia, zrobiła dwa uniki przed ciosami gigantycznych łap i z buntowniczym, drwiącym warknięciem rzuciła się do ucieczki.

Ale Indianin Joe też jeszcze nie pokazał wszystkiego. Niedźwiedź wzbił się w górę w ociężałym skoku i opadł na ziemię jako kojot, smukły i szybki. Zwinnie puścił się w pogoń za przeciwnikiem, błyskając kłami. Uciekająca

fretka nagle się odwróciła i szeroko otworzyła pysk. Potem jeszcze szerzej i szerzej, tak że po chwili na spotkanie rozpędzonego kojota już czekał aligator pokryty rzadkimi kępami złotego futra.

Psia postać rozplynęła się w pędzie i zmieniła, w paszczę krokodyla wpadł czarny kruk, a kiedy szczęki się zamknęły, wyleciał z drugiej strony. Ptak odwrócił się i zakrakał drwiącym śmiechem, po czym odfrunął, zataczając kręgi nad polaną.

Aligator zadrzał i przemienił się w sokoła, złotego i szybkiego, z głową pokrytą złotawymi kłaczkami, które wyglądały niemal jak futro na uszach naagloshii w jego prawie ludzkiej postaci. Sokół pomknął przed siebie z nadprzyrodzoną szybkością i zniknął za zasłoną.

Usłyszałem nad sobą bicie skrzydeł kruka, który krążył czujnie, wypatrując wroga... i został zaatakowany od tyłu przez pazury sokoła. Patrzyłem z przerażeniem, jak zakrzywiony dziób opada, żeby rozszarpać schwytanego ptaka... i napotyka kolczasty, twardy jak skała grzbiet żółwia. Skórzasta głowa wykręciła się do tyłu i na nodze sokoła zacisnęły się szczęki, które mogłyby przeciąć średniej grubości drut. Naagloshii wydał z siebie obco brzmiący krzyk bólu, po czym wrogowie runęli w dół szepieni ze sobą.

W ostatniej chwili przed twardym lądowaniem żółw zamigotał i przybrał postać latającej wiewiórki z szeroko rozpostartymi kończynami. Część pędu w dół zamienił na ruch do przodu, tak że kiedy spadł na ziemię, potoczył się po niej skulony. Sokół nie był tak zwinny. Zanim dokończył przemianę, rąbnął z impetem na kamienisty grunt.

Wiewiórka okręciła się, skoczyła i w locie stała się pumą. Gdy wylądowała na ogłuszonej, oszołomionej masie piór i futra, w ruch poszły kły i pazury, a na ziemię do wtóru przeraźliwych wrzasków trysnęła czarna krew. Naagloshii przybrał dziwną postać: cztery nogi, skrzydła nietoperza, wszędzie oczy i usta wrzeszczące kilkoma różnymi głosami. Jednak udało mu się uwolnić z łap pumy. Pobiegł przed siebie niezdarnie, turlając się po ziemi, machając skrzydłami i podskakując ociężale, żeby wzbić się w powietrze. Wyglądał jak kulejący albatros w czasie flauty. Puma ścigała go wytrwale, orząc pazurami.

Naagloshi w końcu zniknął w ciemności, krzycząc z bólu, niemal

szlochając. Jego wycie jeszcze długo niosło się za nim, kiedy pędził w dół z boczka do jeziora. Kiedy w końcu ucichło, Demonreach z nieuprzejmą satysfakcją przyjął jego ucieczkę z wyspy, a ja wcale mu się nie dziwiłem.

Puma przez dłuższą chwilę patrzyła w ślad za skórozmiennym. Potem usiadła ze zwieszoną głową, zadrżała i przemieniła się w Indianina Joe. Starzec powoli i trochę sztywno dźwignął się z ziemi, podpierając się rękami. Jedno ramię wyglądało na złamane między nadgarstkiem a łokciem. Nadal spoglądał za pokonanym przeciwnikiem, aż w końcu prychnął i odwrócił się w moją stronę.

– Rany! – powitałem go cicho.

Słuchający Wiatru lekko uniósł brodę. Przez chwilę w jego ciemnych oczach jaśniały duma i moc. Potem uśmiechnął się do mnie ze znużeniem i znowu był tylko spokojnym, wyczerpanym starcem.

– Przejąłeś to miejsce jak azyl? – zapytał.

Pokiwałem głową.

– Zeszłej nocy.

Indianin Joe popatrzył na mnie z niezdecydowaną miną, jakby nie wiedział, czy roześmiać mi się w twarz, czy zdzielić mnie w głowę.

– Nie pakujesz się w kłopoty tylko połowicznie, co, synu?

– Najwyraźniej nie – wybełkotałem i splunąłem krwią. Twarz nie przestała mnie boleć tylko dlatego, że naagłoshii zniknęła.

Słuchający Wiatru uklęknął obok mnie i zbadał moje rany w profesjonalny sposób.

– Nic groźnego dla życia – orzekł. – Potrzebujemy twojej pomocy.

– Chyba żartujesz. Jestem wykończony. Nawet nie mogę chodzić.

– Wystarczy nam twój umysł – zapewnił mnie stary mag. – Na dole wokół pola bitwy rosną drzewa. Są bardzo obciążone? Czujesz je?

Ledwo skończył mówić, a rzeczywiście dzięki swojej więzi z duchem wyspy zobaczyłem czternaście drzew, w większości starych wierzb stojących nad wodą. Ich gałęzie uginały się pod ogromnym ciężarem.

– Tak. – Własny głos brzmiał w moich uszach obco i dziwnie spokojnie.

– Wyspę można szybko uwolnić od tych intruzów – powiedział Indianin Joe. – Jeśli na jakiś czas zabierze wodę z ziemi, w której rosną te drzewa.

– I co? Jak mam...

Urwałem w pół zdania, kiedy poczułem reakcję Demonreach. Mogłoby się zdawać, że duch zrozumiał szamana, ale tak się nie stało. Wyspa po prostu odczytała myśli wywołane w mojej głowie przez jego słowa. Komunikacja dźwiękowa była rzeczą tak nieelegancką, kłopotliwą i obcą *genius loci*, że nigdy nie mogłoby do niej dojść. Natomiast moje myśli... tak, to potrafił pojąć.

Niemal poczułem, jak ziemia się przesuwa i lekko osiada, kiedy wyspa zabrała wodę spod tamtych wierzb. Odniosło to przewidywalny skutek uboczny, o który chodziło Indianinowi Joe. Kiedy grunt wokół korzeni zrobił się suchy, zaczął czerpać soki z drzew, odbierać ją poprzez te same kapilary, dzięki którym ciecz znalazła się w pniach i konarach. Woda spłynęła z najdalszych gałęzi tak szybko, że one pierwsze uschły.

Stały się kruche.

I zaczęły się łamać z głośnym trzaskiem. Dziesiątki konarów pękających jeden po drugim zabrzmiały jak wybuchy fajerwerków. Prawie od razu odpowiedziała na nie kakofonia grzmotów i ognia maszynowego w porcie oraz błyski światła rysujące na chmurach dziwaczne wzory.

Dzięki swojej więzi z wyspą poczułem nagle falę energii uwolnioną w dole, zwiększony dopływ krwi do ziemi pod uschniętymi roślinami. I one tę krew łączywie wypily spragnione z powodu nagłej suszy. Strażnicy ruszyli naprzód w stronę linii lasu. Wampiry biegły przed nimi lekkim, szybkim krokiem drapieżców podążających śladem rannej zdobyczy. Obce istoty, które opanowały drzewa, zaczęły ginąć od wybuchów magii i serii z broni maszynowej.

Nad wyspą zajaśniało światło, srebrna gwiazda przez dłuższą chwilę wisiała w powietrzu niczym flara.

Kiedy Indianin Joe ją zobaczył, przygarbił się trochę i wydał z siebie powolny oddech ulgi.

– Dobrze. Z nimi już koniec. – Pokręcił głową i spojrzał na mnie. – Wyglądasz okropnie, chłopcze. Masz tutaj jakieś zapasy?

Próbowałem usiąść, ale nie dałem rady.

– Domek – wykrztusiłem. – Molly. Thomas, wampir. – Spojrzałem

w stronę krzaków, gdzie leżał wierny mały gwardzista, który kupił mi cenne sekundy w wirze walki z naagloshii, i zacząłem się gramolić z ziemi. – Toot.

– Spokojnie – powiedział Słuchający Wiatru. – Spokojnie, synu. Nie możesz tak po prostu...

Resztę jego słów zagłuszył potężny ryk, a potem wszystkie myśli i lęki raptem przestały hałasować w mojej głowie. Zrobiło się po prostu... cicho. Cudownie cicho. I nic mnie nie bolało.

Zdażyłem jeszcze pomyśleć, że mógłbym to polubić.

Potem nie było już nic.

Gdzieś w pobliżu usłyszałem głosy. Głowa bolała mnie jak diabli, twarz była cała opuchnięta. Czulem ciepło z prawej strony i zapach palącego się drewna. Ogień trzaskał i skwierczał. Ziemia pode mną była twarda, ale nie zimna. Leżałem na kocach albo na czymś takim.

– ...naprawdę nic innego poza czekaniem nie ma teraz sensu – mówił Ebenezar. – Owszem, są pod dachem, ale on przecieka. A na to rano przyniesie radę.

– *Ai ya* – mruknęła Pradawna Mai. – Jestem pewna, że moglibyśmy łatwo się z tym uporać.

– Nie bez ryzyka – zauważył McCoy rozsądnym tonem. – Morgan nigdzie się nie wybiera. Co szkodzi zaczekać, aż tarcza padnie?

– Nie lubię tego miejsca – wyznała Chinka. – Jego feng shui jest nieprzyjemne. I gdyby to dziecko nie było czarownicą, do tej pory już by opuściło tarczę.

– Nie! – Głos Molly brzmiał dziwnie, jak przefiltrowany przez pięćdziesiąt stóp rury falistej i kazoo. – Nie opuszczę tarczy, póki Harry mi nie powie, że mogę. – Po krótkiej pauzie dodała: – A poza tym nie jestem pewna, jak to zrobić.

– Może moglibyśmy wykopać pod nią tunel – zaproponował któryś ze Strażników.

Wypuściłem powietrze z płuc, oblizałem spękane wargi i powiedziałem:

– Nie trudźcie się, To jest sfera.

– O! – wykrzyknęła Molly. – Och, dzięki Bogu, Harry!

Usiadłem powoli, ale kiedy chciałem wstać, powstrzymał mnie Indianin Joe.

– Spokojnie, synu. Spokojnie. Straciłeś trochę krwi i masz na głowie guz, który przebiłby kapelusz.

Po jego słowach naprawdę zakręciło mi się w głowie, ale się nie położyłem. Słuchający Wiatru podał mi manierkę, a ja napiłem się ostrożnie, po jednym łyku. Potem otworzyłem oczy i się rozejrzałem.

Wszyscy znajdowaliśmy się w zrujnowanej chacie. Ja siedziałem na podłodze przy kominku. Ebenezar naprzeciwko paleniska, ze starą drewnianą laską opartą na ramieniu. Pradawna Mai stała po drugiej stronie izby, z czterema Strażnikami po bokach.

Morgan leżał na śpiworze, który mu zostawiłem, nieprzytomny albo pogrążony we śnie, Molly siedziała po turecku na podłodze obok niego, trzymając oburącz kryształ kwarcu. Jego spokojny, biały blask oświetlał wnętrze chaty mocniej niż ogień, a idealnie okrągła kopała światła wielkości małego namiotu otaczała Morgana i moją praktykantkę bańką ochronnej energii.

– Hej – powiedziałem do Molly.

– Hej.

– Chyba zadziało, co?

Jej oczy się rozszerzyły.

– Nie wiedziałeś, czy zadziała?

– Projekt był dobry, ale nie miałem okazji go przetestować.

– Aha – mruknęła Molly. – Zadziałał.

Chrząknąłem i spojrzałem na Ebenezara.

– Sir.

– Hoss. Cieszę się, że do nas dołączyłeś.

– Tracimy czas – zgasła go Pradawna Mai i dodała, patrząc na mnie: – Powiedz swojej praktykantce, żeby natychmiast opuściła tarczę.

– Za minutę.

Chinka zmrużyła oczy, a Strażnicy zrobili się czujniejsi.

– Gdzie jest Thomas? – spytałem Molly.

– Ze swoją rodziną – odpowiedział mi ktoś spokojnie.

Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem Larę Raith stojącą w progu, smukłą postać owiniętą w koc zabrany z koi Chrząszcza Wodnego. Wyglądała blado i uroczo jak zwykle, choć miała włosy spalone aż do samej skóry. Bez nich jej rysy nabrały większej ostrości, twarz stała się trochę koścista, a szare oczy

wydawały się jeszcze większe i bardziej wyraziste.

– Nie martw się, Dresden. Twój chłoptaş przeżyje, żebyś znowu mógł nim manipulować. Moi ludzie się nim opiekują.

Próbowałem znaleźć w jej twarzy coś, co powiedziałoby mi więcej o Thomasie, ale niczego tam nie było. Lara po prostu obserwowała mnie chłodno.

– No, zobaczyła go pani i z nim porozmawiała – odezwała się Pradawna Mai uprzejmie. – Reszta to sprawa Rady.

Wampirzyca uśmiechnęła się do niej słabo i znowu na mnie spojrzała.

– Jeszcze jedno, zanim pójdę, Harry. Masz coś przeciwko temu, żebym pożyczyła ten koc?

– A jeśli tak?

Lara pozwoliła okryciu zsunąć się z bladego ramienia.

– Oczywiście go oddam.

Obraz spuchniętej, posiniaczonej, niemal zwęglonej istoty, która całowała Madeline Raith, wrywając jej wewnątrzności, stanął w moich myślach jak żywy.

– Zatrzymaj go sobie – powiedziałem.

Wampirzyca uśmiechnęła się, tym razem pokazując zęby, ukloniła się i wyszła z chaty. Ja od niechcienia śledziłem ją w drodze na brzeg i jeszcze przez chwilę, aż upewniłem się, że odpłynęła. Spojrzałem na Ebenezara.

– Co się stało?

McCoy chrząknął.

– Ten, kto przyszedł z Nigdynigdy, otworzył bramę jakieś sto jardów od brzegu, między drzewami. I przyprowadził ze sobą setkę wielkich, starych, kosmatych pajaków.

Zmarszczyłem brwi.

– Pajaków?

Ebenazar pokiwał głową.

– W dodatku żadne fantomy, tylko żywe stworzenia, być może z Krainy Elfów. Sprawily nam poważne kłopoty. Niektóre zaczęły oplatać drzewa pajęczyną, a inne zajmowały nam czas, próbując zapędzić nas w sieci.

– Nie chciały, żebyśmy dotarli do tego, kto otworzył bramę – wtrącił

Słuchający Wiatru.

– Bardziej prawdopodobne, że nie chciały, żebyście zobaczyli, kto to jest – powiedziałem. – To był nasz sprawca. Zabójca.

– Może. – Ebenezar pokiwał głową. – Gdy tylko tamte drzewa i sieć padły, zaczęliśmy odpierać pająki. Ich pan uciekł. A kiedy zniknął, one też się rozpierschły.

– Cholera – mruknąłem.

– I o to w tym wszystkim chodziło – stwierdził McCoy. – Nie ma informatora, nie ma dowodu.

Pokiwałem głową.

– Mówiłem, żeby wyciągnąć prawdziwego zabójcę z kryjówki. Zmusić go do działania. I zrobił to. Widzieliście na własne oczy. To powinien być wystarczający dowód, że Morgan jest niewinny.

Pradawna Mai pokręciła głową.

– To dowodzi jedynie, że jeszcze ktoś inny chce zdradzić Radę i ma coś do ukrycia. Co wcale nie oznacza, że Morgan nie mógł zabić LaFortiera. W najlepszym razie sugeruje, że nie działał sam.

Ebenezar posłał jej chłodne spojrzenie.

– Więc teraz spisek. Czy to właśnie masz na myśli? A co mówiłaś wcześniej o prostocie?

Mai odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

– Teoria Dresdena istotnie jest prostszym i bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem. – Westchnęła. – Jednak w tej sytuacji niewystarczającym.

Ebenezar łypnął na nią posępnie.

– Ktoś musi wisieć?

Mai wytrzymała jego wzrok.

– Właśnie. Jest prawdopodobne, że Morgan był zamieszany w zabójstwo. Twardy dowód na ogół świadczy o winie. Biała Rada nie okaże słabości. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby śmierć LaFortiera pozostała bez odpłaty.

– Odpłaty – powtórzył Ebenezar. – Nie sprawiedliwości.

– To nie sprawiedliwość powstrzymuje różne moce przed zniszczeniem Białej Rady i całej ludzkości – odparowała Pradawna Mai. – Robi to strach. I siła. Oni muszą wiedzieć, że jeśli nas zaatakują, poniosą konsekwencje.

Jestem świadoma, jakim karygodnym aktem byłoby skazanie niewinnego człowieka na śmierć, w dodatku takiego, który wiele razy dowiódł swojego oddania naszej sprawie. Ale, w ostatecznym rozrachunku, to jest mniej destrukcyjny i mniej nieodpowiedzialny czyn niż pokazanie wrogom słabości.

Ebenezar oparł łokcie na kolanach i spojrzał na swoje dłonie. Pokręcił głową i nic nie odpowiedział.

– A teraz – rzekła Pradawna Mai, kierując uwagę z powrotem na mnie – każesz swojej praktykantce opuścić tarczę, bo inaczej sama ją zniszczę.

– Może zechciałaby pani najpierw cofnąć się o kilka kroków – ostrzegłem.
– Jeśli ktoś spróbuje ominąć właściwą sekwencję czynności, tarcza eksploduje. Zmiecie chatę. I wieżę. I szczyt wzgórza. Ale dziewczyna i Morgan nadal będą bezpieczni.

Molly wydała zdławiony dźwięk.

– Ha! Wreszcie zrealizowałeś ten pomysł, co? – odezwał się Ebenezar.

Wzruszyłem ramionami.

– Po tym, jak zjawili się zombie i po prostu przebili się przez moje osłony, chciałem mieć coś solidniejszego.

– Ile czasu ci to zajęło?

– Noce i weekendy w ciągu trzech miesięcy. – Westchnąłem. – To była naprawdę ciężka robota.

– Na to wygląda – przyznał Ebenezar.

– Magu McCoy – wtrąciła Mai ostrym tonem. – Przypominam, że Dresden i jego praktykantka pomagali zbiegowi ukrywającemu się przed sprawiedliwością.

– Mai, wystarczy – włączył się Słuchający Wiatru.

Chinka popatrzyła na niego twardo.

– Wystarczy – powtórzył Indianin Joe. – Czasy są mroczne i bez prób potraktowania innych tak samo jak Morgana. Jedna śmierć jest konieczna. Dodanie dwóch kolejnych niewinnych do rachunku byłoby okrutne, bezsensowne i złe. Rada na koniec uzna działania Dresdena jako obronę Praw Magii i Białej Rady. I to będzie koniec sprawy.

Twarz Mai była zupełnie bez wyrazu. Kompletnie nie potrafiłbym

stwierdzić, co się kryje za tą maską. Stara Chinka patrzyła przez jakiś czas na dwóch magów, a potem na mnie.

– Merlin nie będzie zadowolony – ostrzegła w końcu.

– To dobrze – skwitował Słuchający Wiatru. – Nikt nie powinien być zadowolony z rezultatu tego dnia.

– Odstawię Morgana do aresztu – zdecydował Ebenezar. – A ty może zabierzesz Strażników z powrotem do miasta łodzią, Mai? Beze mnie i Indianina Joe na pokładzie będzie wam łatwiej. My popłyniemy za wami drugą łodzią.

– Daj słowo, że przywieziesz Morgana do Edynburga – zażądała Mai.

– Przywiozę go całego i zdrowego – obiecał Ebenezar. – Masz moje słowo. Pradawna Mai skinęła głową.

– Strażnicy.

I wyszła z chaty. Czterej wojownicy podążyli za nią.

Śledziłem ich od chwili, kiedy znaleźli się na zewnątrz. Ruszyli w dół ścieżką prowadzącą do portu.

Spojrzałem na Słuchającego Wiatru.

– Potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie.

Indianin Joe kiwnął głową.

– Niedaleko stąd rosną krzaki jeżyn. Jeden z małych elfów próbował grać rolę mojego anioła stróża i naagło...

– Nie wymawiaj tego słowa – przerwał mi Słuchający Wiatru. – On czerpie moc ze strachu i ze swojej reputacji. Wymawianie tej nazwy tylko zwiększa jego moc.

Prychnąłem.

– Widziałem, jak go przepędziłeś. Myślisz, że się go boję?

– Nie w tej chwili – zgodził się Indianin Joe. – Ale wymawianie tego słowa nie przynosi niczego dobrego. Poza tym to paskudny zwyczaj.

Chrząknąłem. Słuchający Wiatru z pewnością celowo w ten sposób się wyraził. Poza tym, który z nas dwóch miał większe dokonania zawodowe, jeśli chodzi o naagloshii? Postanowiłem nie być idiotą i posłuchać szamana.

– Ta istota kopnęła mojego elfa w powietrze – dokończyłem wyjaśnienie. – Może go zraniła albo zabiła.

Indianin Joe pokiwał głową. Złamaną rękę miał unieruchomioną i owiniętą plastrem. Strażnicy prawdopodobnie przywieźli ze sobą własny ekwipunek.

– Widziałem sam koniec waszej walki i dlatego uznałem, że trzeba tak samo potraktować tamtą istotę. – Pokręcił głową. – Trzeba odwagi lwa, żeby zrobić to, co zrobił ten mały. Już go szukałem.

Ogarnęły mnie lekkie mdłości.

– Czy on...?

Słuchający Wiatru uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

– Przez jakiś czas był nieprzytomny i pokłuty przez kolce jeżyn, ale zbroja ochroniła go przed najgorszym.

Z ulgi parsknąłem krótkim śmiechem.

– Ta zbroja? To chyba żart.

Indianin Joe pokręcił głową.

– Myślę, że najbardziej ucierpiała jego duma. – W ciemnych oczach rozbłysły wesole iskierki. – Taki mały gość bierze się za coś o wiele przekraczającego jego kategorię wagową. To dopiero był widok.

Ebenezar parsknął.

– Tak. Ciekawe, gdzie ten skrzat się tego nauczył.

Poczułem, że moja twarz czerwienieje.

– Nie chciałem tego robić, ale musiałem.

– Stoczyłeś dobrą walkę – pochwalił mnie Słuchający Wiatru. – Choć niezbyt mądrą. Ale tamten stary duch jest tak bliski czystego zła, że trudno znaleźć gorszego. Dobry człowiek zawsze przeciwko takim występuje.

– Zmusiłeś go do ucieczki, a mogłeś zabić.

– Jasne – potwierdził Słuchający Wiatru. – Byłby pościg i jeszcze więcej walki. Mogłoby to zająć całe godziny. Mogłoby doprowadzić starego ducha do desperacji. Mógłby zacząć wykorzystywać niewinnych jako tarcze, jako przeszkody dla odwrócenia uwagi. – Szaman wzruszył ramionami. – Może bym przegrał. A w tym czasie pająki pożarłyby starych, tłustych wieśniaków i naostrzyły sobie pazury ich kośćmi.

Ebenezar prychnął.

– Nigdy w życiu. Nie przepadam za wampirami, zwłaszcza za tymi

łasicami z Białego Dworu, ale muszę im oddać, że potrafią walczyć, kiedy mają taki kaprys. Po pierwszym ataku tamte robaki były dużo bardziej ostrożne.

– Tak – wtrąciłem. – Nie były zbyt zdeterminowane, kiedy próbowały mnie powstrzymać na szlaku do Edynburga.

Obaj magowie wymienili spojrzenia, a następnie Indianin Joe zapytał:

– Zostałeś napadnięty przez pająki, kiedy szedłeś Ścieżką?

– Tak. Dwa dni temu, kiedy wybrałem się do Edynburga. – Naprawdę tamto zdarzyło się tak niedawno? – Mówiłem wam o tym. Zabójca musiał umieścić jakieś czujki na chicagowskim końcu Ścieżki, skoro zdążył nasłać na mnie pająki. – Zachichotałem pod nosem.

– Co cię tak śmieszy? – zainteresował się Ebenezar.

– Nic. Po prostu doceniam ironię sytuacji. Zdrajca chyba nie chciał, żeby Rada się dowiedziała, gdzie jest Morgan.

– Rozsądna teoria – stwierdził Indianin Joe i spojrzał na McCoya. – To musi być ktoś z Edynburga. Co jeszcze bardziej zmniejsza pulę podejrzanych.

– Niewiele, choć się zbliżamy. – Ebenezar westchnął. – Ale dla Morgana to nic nie zmieni. – Gdy wstawał, w kolanach strzeliło mu kilka razy. – No dobrze, Hoss. Chyba nie możemy tego dłużej odkładać.

Skrzyżowałem ramiona i popatrzyłem na niego spokojnie. Stary mag spochmurniał.

– Hoss. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, jednak Pradawna Mai ma rację. Prawdziwy zabójca będzie wiedział, że Morgan jest niewinny, ale inni nie. Zobaczą tylko, że jak zawsze twardo i szybko załatwiamy sprawę. Do diabła, to może nawet dodać zabójcy tyle pewności siebie, że popełni błąd.

– Obiecałem Morganowi, że mu pomogę. I zrobię to.

– Synu, nikt nie może mu teraz pomóc – odezwał się cicho Indianin Joe.

Zgrzytnąłem zębami.

– Może tak. Może nie. Ale i tak go wam nie oddam. Będę z wami walczył, jeśli mnie do tego zmusicie.

Ebenezar popatrzył na mnie, kręcąc głową i uśmiechając się ze smutkiem.

– Teraz nie dałbyś rady walczyć nawet ze swoimi małymi przyjaciółmi

skrzatami, chłopcze.

Wzruszyłem ramionami.

– Spróbuję. Nie dostaniecie go.

– Harry – usłyszałem cichy głos dziwnie stłumiony przez tarczę.

Zobaczyłem, że oczy Morgana leżącego cicho na pryczy są otwarte i skupione na mnie.

– Wszystko w porządku.

Zamrugalem.

– Co?

– Pójdę z nimi. – Morgan skierował wzrok na Ebenezara. – Zabiłem LaFortiera. Oszukałem Dresdena, żeby uwierzył w moją niewinność. Oddaję się do waszej dyspozycji.

– Morgan, co ty, do diabła, wyprawiasz?! – krzyknąłem.

– To mój obowiązek. – Wydawało mi się, że w jego głosie pobrzmiwa nuta dumy, do tej pory nieobecna, odkąd pojawił się w moich drzwiach. – Zawsze wiedziałem, że może będę musiał oddać życie, żeby chronić Radę. I tak się stało.

Gapiałem się na niego, a w żołądku mi się kotłowało.

– Morgan...

– Zrobiłeś, co mogłeś. Mimo tego wszystkiego, co między nami zaszło. Wiele razy narażałeś się dla mnie na niebezpieczeństwo. Staraleś się. Nie ma tu żadnego wstydu. – Zamknął oczy. – Sam się przekonasz, jeśli dostatecznie długo pożyjesz. Nigdy nie wygrasz z nimi wszystkimi.

– Cholera. – Westchnąłem i próbowałem ukryć twarz w dłoniach, ale drgnąłem, kiedy prawy policzek zaczął mnie palić żywym ogniem. Nadal nie widziałem na prawe oko. – Cholera, po tym wszystkim. Cholera.

Ogień strzelił i zaskwierczał. Nikt się nie odezwał.

– On cierpi – stwierdził cicho Indianin Joe, przerywając ciszę. – Przynajmniej mogę mu ulżyć. A tobą też trzeba się zająć. – Położył dłoń na moim ramieniu. – Opuść tarczę. Proszę.

Nie chciałem tego robić.

Ale tu nie chodziło o mnie.

Pokazałem Molly, jak opuścić tarczę.

* * *

Położyliśmy Morgana na koi Chrząższcza Wodnego i przygotowaliśmy się do odpłynięcia. Molly zgłosiła się na ochotnika, że zostanie z rannym. Słuchający Wiatru zaproponował, że pokaże jej parę rzeczy z magii uzdrawiającej. Ja łyknąłem parę tabletek przeciwbólowych i poczułem, że mogę iść odszukać Willa i Georgię.

Demonreach pokazał mi, gdzie śpią, więc poprowadziłem Ebenezara przez las.

– Skąd Indianin Joe wie, że objąłem to miejsce w posiadanie? – zapytałem.

– Przybył posłaniec od Rashida – odparł Ebenezar. – Indianin najlepiej wie, co można zrobić z tego rodzaju więzią. Dlatego poszedł cię szukać, żebyś uwolnił tamte drzewa od pajaków.

Pokręciłem głową.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś zmieniał postać tak jak on.

– Niewielu widziało. – McCoy był najwyraźniej dumny z umiejętności swojego starego przyjaciela. – Zaproponował, że nauczy cię paru rzeczy, jeśli chcesz.

– Przy moim szczęściu? Zamieniłbym się w kaczkę albo coś i nie potrafiłbym wrócić do dawnego siebie.

Ebenezar prychnął cicho.

– Nie chodzi o zmiennokształtność. On wie o radzeniu sobie z gniewem z powodu niesprawiedliwości i krzywdy więcej niż jakikolwiek żyjący człowiek. Nie zrozum mnie źle. To, że masz takie uczucia i postanawiasz coś z nimi zrobić, jest godne podziwu. Ale zapiękłość potrafi również wyrządzić człowiekowi wiele zła. – Wyraz jego twarzy przez chwilę był nieobecny, wzrok skupiony gdzie indziej. – Straszego zła. On to zna. Myślę, że jeśli spędzisz z nim trochę czasu, dużo skorzystasz.

– Nie jestem trochę za stary na ucznia?

– Przystajesz się uczyć, zaczynasz umierać – skwitował Ebenezar tonem człowieka cytującego starą maksymę. – Nigdy nie jest się za starym na naukę.

– Mam obowiązki.

– Wiem.

– Zastanowię się – obiecałem.

McCoy pokiwał głową i zatrzymał się na chwilę, żeby pomyśleć.

– Jest jedna rzecz w dzisiejszym wieczorze, której nie potrafię zrozumieć, Hoss – wyznał. – Zadałeś sobie tyle trudu, żeby tutaj wszystkich ściągnąć. Zwabić zabójcę. Ja daję ci doskonały pretekst, żebyś mógł swobodnie robić swoje i nikt nie zaglądał ci przez ramię. Ale zamiast podkraść się między drzewami i dopaść zabójcę – co zakończyłoby całą sprawę – ty wspinasz się na wzgórze i bijesz się z demonem, z którym nie możesz wygrać, o czym cholernie dobrze wiesz.

– Tak. Wiem.

Ebenezar rozłożył ręce.

– Dlaczego?

Zrobiłem kilka ciężkich, znużonych kroków, zanim odpowiedziałem.

– Pomagając mi, Thomas wpadł w kłopoty.

– Thomas – powtórzył Ebenezar. – Wampir.

Wzruszyłem ramionami.

– Był dla ciebie ważniejszy niż powstrzymanie możliwej klęski Białej Rady.

– Demon kierował się prosto ku domkowi. Byli w nim moja praktykantka i mój klient, a on miał Thomasa.

Ebenezar wymamrotał coś pod nosem.

– Dziewczyna miała kryształ, żeby się nim ochronić. Do diabła, synu, gdyby poszło tak źle, jak mówiłeś, tego stwora też by zmiotło. – Pokręcił głową. – Na ogół uważam, że masz głowę na karku, Hoss. Ale to była zła decyzja.

– Może – przyznałem.

– Nie ma tu żadnych „może” – rzucił twardym tonem McCoy.

– On jest przyjacielem.

Ebenezar zatrzymał się w pół kroku i spojrzał mi w twarz.

– On nie jest twoim przyjacielem, Harry. Może ty jego tak, ale on twoim nie. To wampir. Pożywiłby się tobą, gdyby był głodny. Oto czym on jest. – Ebenezar wskazał na otaczającą nas gęstwinę. – Na dzwony piekiel,

chłopcze. Po bitwie znaleźliśmy to, co zostało z kuzynki Raithów. Chyba widziałeś, co tamta druga zrobiła swojej krewniaczce.

– Tak – powiedziałem z przygnębieniem.

– I to była jej własna rodzina. – Ebenezar pokręcił głową. – Przyjaźń nic nie znaczy dla tych stworzeń. Są tak dobre w kłamstwach, że czasami może nawet wierzą samym sobie, ale przecież nie zawiera się przyjaźni z jedzeniem. Żyję już trochę na tym świecie, Hoss, i pozwól, że ci powiem: taka jest ich natura. Wcześniej czy później ona zwycięży.

– Thomas jest inny – nie ustępowałem.

Ebenezar zmierzył mnie wzrokiem.

– Tak? – Pokręcił głową i ruszył dalej. – Dlaczego nie zapytasz swojej praktykantki, dlaczego właściwie użyła tarczy?

Też zacząłem iść.

Nic nie odpowiedziałem.

* * *

Wróciliśmy do Chicago w godzinie duchów.

Pradawna Mai i Strażnicy czekali w porcie, żeby odeskortować Ebenezara, Indianina Joe i Morgana do Edynburga „na wypadek kłopotów”. Wyruszyli w ciągu tych trzech minut, kiedy cumowałem Chrząszcza Wodnego.

Patrzyłem, jak odjeżdżają, i sączyłem wodę przez słomkę. Słuchający Wiatru oczyścił moje rany i nałożył kilka szwów na policzek i dolną wargę. Uspokoił mnie, że nie straciłem oka, i nałożył na nie maść, która wyglądała jak guano, a pachniała jak miód. Potem, bandażując mój czerep, przyznał mi zdecydowane pierwsze miejsce w międzynarodowych zawodach na Chodzącego Rannego Idiotę. W połączeniu z cholernym guzem, którego nabił mi skórozmienny, wyglądałem jak pacjent po operacji mózgu, tylko że wyjątkowo gburowaty.

Will i Georgia spali na tylnym pokładzie Chrząszcza pod śpiworem rozłożonym na materacu dmuchanym, natomiast ja zszedłem na przystań

i zbliżyłem się do mercedesa stojącego na parkingu.

Vince odkręcił szybę i na mnie łypnął.

– Przekląłeś wszystkich, którzy zbeczęścili twój grób, czy tylko facetów mówiących po angielsku?

– Właśnie straciłeś napiwek – oznajmiłem. – Masz to?

Bez komentarza podał mi manilową kopertę. Następnie pochylił się i otworzył drzwi od strony pasażera. Myszek zeskoczył z siedzenia i obiegł samochód, na powitanie machając ogonem, a ja ukląknęłam i uściskałam wielką bestię.

– Twój pies jest dziwny – stwierdził Vince.

Myszek polizał mi twarz.

– Tak. Co zamierzasz zrobić?

Vince uśmiechnął się szeroko i przez chwilę nie wyglądał nijako. Miał ten rodzaj uśmiechu, który potrafi zmienić nastrój w pokoju. Wyprostowałam się i skinałam mu głową.

– Wiesz, gdzie wysłać rachunek.

– Tak – powiedział i odjechał.

Po powrocie na łódź nałamałam sobie coli do pustej butelki po wodzie. Sączyłam ją ostrożnie, żeby nie otworzyły mi się rany. Byłam zbyt zmęczony na sprzątanie śladów krwi.

Molly kręciła się po łodzi przez kilka minut, sprawdzając, czy wszystko jest przywiązane, a następnie wyjęła z małej szafki w kajucie dwie pary zapasowych szortów i koszulek. Położyła je w takim miejscu, żeby Will i Georgia znaleźli je po przebudzeniu. W końcu usiadła naprzeciwko mnie na drugiej koi.

– Tarcza – powiedziałem cicho. – Kiedy jej użyłaś?

Molly przelknęła ślinę.

– Skóro... stwór wrzucił Thomasa do chaty, a on... – Zadrzała. – Harry, on się zmienił. To nie był... to nie był on. – Oblizwała wargi. – Usiadł i zaczął węszyć w powietrzu jak... jak głodny wilk albo coś. Rozglądał się z mną. A jego ciało... – Zarumieniła się. – Był podniecony. I zrobił coś takiego, że nagle chciałam po prostu zerwać z siebie ubranie. Widziałam, że on nad sobą nie panuje. I wiedziałam, że mnie zabije. Ale... i tak tego chciałam. To

było takie intensywne...

– Więc włączyłaś tarczę.

Molly przelknęła ślinę i kiwnęła głową.

– Myślę, że gdybym jeszcze trochę poczekała... nie byłabym w stanie nawet o tym pomyśleć. – Spojrzała na mnie i opuściła wzrok. – On się zmienił, Harry. Już nie był sobą.

Nic z niego nie zostało. Nie ma słów na opisanie rzeczy, które mu robiłem.

Thomas.

Odstawiłem i skrzyżowałem ręce na brzuchu.

– Dobrze zrobiłaś, dzieciaku.

Moja praktykantka posłała mi zmęczony uśmiech. W kabinie zapadła niezręczna cisza. Wydawało się, że Molly zastanawia się, co jeszcze powiedzieć.

– Jutro... osądzą Morgana – odezwała się cicho. – Mai tak mówiła.

– Tak.

– Spodziewają się, że tam będziemy.

– I będziemy.

– Harry... zawiedliśmy. – Moly przelknęła ślinę. – Niewinny człowiek umrze. Zabójca nadal jest na wolności. Odbyła się ta cała bitwa i nic się nie zmieniło.

Spojrzałem na nią i powoli otworzyłem manilową kopertę, którą dał mi Vince.

– Co to jest? – zapytała Molly.

– Zdjęcia z obserwacji. Zrobione teleobiektywem z odległości jednej przecznicy.

Molly zamrugnęła.

– Co?

– Wynająłem Vince'a, żeby zrobił parę zdjęć. Właściwie wynajęła go Murphy, bo ja się bałem, że mój telefon jest na podsłuchu. Ale ja płacę rachunek, więc tak naprawdę to ja dałem zlecenie.

– Zdjęcia? Jakie zdjęcia?

– Ścieżki z Chicago do Edynburga – powiedziałem. – Tam, gdzie się

zaczyna, czyli w zaułku za starą pakownią mięsa. Kazałem Vince'owi zrobić fotkę każdemu, kto z niej wychodzi już po tym, jak poinformowałem Edynburg o spotkaniu na wyspie.

Molly zmarszczyła brwi.

– Ale... dlaczego?

– Nie dałem im czasu na myślenie, dzieciaku. Byłem pewien, że zabójca jest w Edynburgu, więc zadbałem o to, żeby przybył do Chicago. I żeby nie miał czasu dotrzeć tutaj w inny sposób.

Wyjąłem zdjęcia z koperty i zacząłem je przeglądać. Vince wykonał dobrą, profesjonalną robotę. Te fotografie można by wykorzystać jako portrety, a tym bardziej do identyfikacji. McCoy, Pradawna Mai, Słuchający Wiatru, Bjorn Bjorngunnarson, inni Strażnicy, zarówno w dalekim planie, idący całą grupą jak w „Pierwszym kroku w kosmos”, jak i w zbliżeniach na twarz.

– Zadbałem o to, żeby Vince i Myszek tam byli i obserwowali jedyną szybką drogę ze Szkocji do Chicago.

Tymczasem Molly próbowała rozwiązać łamigłówkę.

– Więc... cały ten scenariusz na wyspie... spotkanie, walka... wszystko to było intrygą?

– Wiluś E. Kojot – rzuciłem przemądrzałym tonem. – Suupergeniusz.

Molly pokręciła głową.

– Ale... nikomu nie powiedziałaś?

– Nikomu. Wszystko musiało wyglądać prawdziwie. Nie wiedziałem, kto jest zdrajcą, więc nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby kogoś niechcący ostrzec.

– Rany, Obi-wan. Jestem tak jakby... pod wrażeniem.

– Plan wrestlingu na wyspie mógł się powieść. Potrzebowałem tylko jakoś ściągnąć skórozmiennego na przyjazny dla mnie grunt. Ale ostatnio zacząłem myśleć, że nie należy planować tylko jednej drogi do zwycięstwa. Trzeba tak wszystko zorganizować, żeby mieć w zanadrzu więcej niż jeden sposób na wygraną. Tak naprawdę potrzebowałem broni, której mógłbym użyć przeciwko zabójcy. – Przez chwilę patrzyłem na ostatnie zdjęcie, a następnie pokazałem je Molly. – A teraz ją mam. – W moim głosie zabrzmiała warcząca nuta.

Moja praktykantka spojrzała na fotografię pustym wzrokiem.
– Aha. Kto to jest?

Proces Morgana odbył się następnego dnia, ale ponieważ w Szkocji jest sześć godzin później niż w Chicago, udało mi się złapać trzy godziny snu na siedząco w fotelu. Kiedy się kładłem, za bardzo bolały mnie głowa i twarz.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania razem z Molly, Luccio już nie było.

Tak jak się spodziewałem.

Następnego ranka obejrzałem się w lustrze. To, co nie znajdowało się pod białym bandażem, było posiniaczone. Prawdopodobnie od eksplozji. I tak miałem szczęście. Gdybym stał tam, gdzie Lara, kiedy wybuchł granat Bindera, fala uderzeniowa pewnie by mnie zabiła. Poza tym znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni. Nie czułem się szczęśliwy, ale byłem farciarzem.

Gdyby to był granat odłamkowy, wyrzucający zabójczą chmurę ołowianych kulek, mój płaszcz prawdopodobnie zapewniłby mi przed nimi pewną ochronę, ale przeciwko fali uderzeniowej po wybuchu nic by nie zadziało. Zyskawszy coś w rodzaju szacunku dla fachowości Bindera, jeśli chodzi o przygotowanie jatki, uświadomiłem sobie, że właśnie tak mógł rozumować, kiedy wybierał ekwipunek na tę okazję.

Nie mogłem wziąć prysznic, nie mocząc szwów, więc po zmianie bandaży ochlapałem się jak wróbelek w umywalce. Włożyłem koszulę zapinaną na guziki, bo pewnie sprasowałbym sobie mózg, gdybym próbował wciągnąć T-shirt. Zgarnąłem również oficjalną czarną szatę Rady razem z niebieską stulą i peleryną Strażnika. Zrobiłem, co mogłem, żeby doprowadzić włosy do porządku, choć widać ich było tylko jedną trzecią. Poza tym się ogoliłem.

– Rany – mruknęła Molly, kiedy wyszedłem z łazienki. – Traktujesz to bardzo poważnie.

Siedziała w fotelu przy kominku i lekko głaskała Mistera po grzbiecie. Była jedną z niewielu osób, które mój kot uważał za godne tego, żeby

namacalnie go doceniały. Molly włożyła brązową szatę praktykantki i choć jej włosy miały jaskrawoniebieski odcień, przynajmniej związała je z tyłu w praktyczny sposób. Ostatnio nigdy nie nakładała dużo makijażu, a dzisiaj nie miała żadnego. Doszła do bardzo mądrego wniosku, że im mniej uwagi Rady na siebie ściągnie, tym dla niej lepiej.

– Tak. Taksówka już jest?

Molly pokręciła głową i wstała, zdejmując Mistera z kolan. Kocur jakoś pogodził się z tą zniewagą.

– Chodź, Myszek – powiedziała. – Przejdziemy się, zanim wyruszymy.

Uszczęśliwiony pies poszedł za nią do drzwi.

Ja sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do mieszkania Thomasa. Nikt nie odebrał. Wykręciłem numer Lary i po pierwszym dzwonku odezwała się Justine.

– Telefon pani Raith.

– Tu Harry Dresden.

– Dzień dobry, panie Dresden – powiedziała Justine oficjalnym tonem. Nie była sama. – Jak mogę panu dzisiaj pomóc?

Teraz, kiedy wielkie polowanie się skończyło, mój aparat prawdopodobnie był bezpieczny. Ale tylko prawdopodobnie. Dostosowałem się do konwersacyjnej maniery Justine.

– Dzwonię, żeby zapytać o stan Thomasa.

– Jest tutaj. Teraz odpoczywa.

Widziałem, w jakim strasznym stanie niedawno był Thomas. Jeśli teraz odpoczywał, to dlatego, że się najadł, porządnie i do syta, zaspokajając instynktowny głód.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa mój brat kogoś zabił.

– Mam nadzieję, że szybko dojdzie do siebie – powiedziałem.

– Jego opiekunka...

Czyli pewnie Justine.

– ...martwi się ewentualnymi komplikacjami.

Milczałem przez chwilę.

– Bardzo jest źle? – spytałem.

– Jest pod wpływem środków nasennych. – W rzeczowy ton głosu wkradł

się wyraźny niepokój. – Nie było wyjścia.

Moje kłykcie zatrzęszczały, kiedy zacisnąłem palce na słuchawce.

Nic z niego nie zostało. Nie ma słów na opisanie rzeczy, które mu robiłem.

– Chciałbym go odwiedzić, jeśli to możliwe.

Justine się opanowała i przestawiła z powrotem na tryb osobistej asystentki.

– Skonsultuję się z panią Raith. To może być wykluczone przez kilka dni.

– Rozumiem. Mogłaby mnie pani powiadomić, gdy tylko sytuacja się zmieni?

– Oczywiście.

– Mój numer...

– Mamy tę informację, panie Dresden. Wkrótce się skontaktujemy.

Podziękowałem jej i się rozłączyłem. Stwierdziłem, że trzęsę się z gniewu. Jeśli ten demon zrobił mojemu bratu taką krzywdę, jak przypuszczałem, zamierzałem go odnaleźć i rozerwać na kawałki wielkości myszokoczka, nawet gdybym w tym celu musiał wysadzić w powietrze wszystkie jaskinie w Nowym Meksyku.

Molly stanęła w drzwiach.

– Harry, taksówka czeka.

– Okay. Zepsujmy komuś dzień.

Starałem się nie myśleć za bardzo o tym, że Wiluś E. Kojot, supergeniusz, prawie zawsze dostawał straszne baty od swoich wrogów i na koniec skakał z urwiska o wysokości dwóch mil.

No dobrze, Harry, pomyślałem, po prostu będziesz musiał pamiętać, żeby nie powtórzyć jego błędu. Gdyby Wiluś Kojot nadal biegł po skoku z urwiska, zamiast patrzeć pod nogi, wszystko byłoby dobrze.

* * *

Na miejsce procesu wyznaczono Edynburg.

Nie było wielkiego wyboru. Zważywszy na ostatnie zagrożenia

i nieoczekiwaną intensywność ataku na Demonreach, Rada Starszych wybrała najbezpieczniejsze możliwe otoczenie. Zgodnie z tradycją procesy odbywały się za zamkniętymi drzwiami, ale ten był zbyt poważny. Spodziewano się obecności ponad pięciuset magów, głównie sojuszników LaFortiera i ich sprzymierzeńców, którzy niecierpliwie oczekiwali, że „sprawiedliwości stanie się zadość”, co jest dużo ładniejszym określeniem niż krwawa zemsta.

Molly, Myszek i ja wyruszyliśmy Ścieżką tak jak poprzednio. Tym razem, kiedy dotarłem do drzwi kompleksu, pilnował ich dwukrotnie liczniejszy oddział Strażników dowodzony przez wielkiego Skandynawa, wszyscy ze Starej Gwardii. Kiedy się zbliżyłem, obrzucili mnie wrogimi spojrzeniami, bez większego przekonania udając obojętność. Zignorowałem ich. Byłem przyzwyczajony do takich reakcji.

Po wejściu do kompleksu minęliśmy stanowiska wartownicze – również z pełną obsadą – i ruszyliśmy w stronę Sali Mówców. Fakt, że to miejsce właśnie tak nazwano, zamiast Sala Przesłuchań albo zwyczajowo audytorium, być może świadczył o nastawieniu ogółu magów. Tak czy inaczej, było to tradycyjne audytorium ze wznoszącymi się rzędami kamiennych ław, które otaczały pełnym kręgiem dość małe koliste podwyższenie, jak w starych greckich teatrach. Ale zanim tam dotarliśmy, skręciłem w boczny korytarz.

Z trudem nakłoniłem Strażników pełniących służbę, żeby wpuścili mnie, Molly i Myszka do Ostentatorium. Jeden z nich poszedł do pokoju Ebenezara, żeby go zapytać, czy mnie przyjmie. Moja praktykantka nigdy wcześniej nie była w tak ogromnym pomieszczeniu. Rozglądała się teraz z nieskrywaną ciekawością.

– Zadziwiające miejsce – stwierdziła. – A tamto jedzenie jest pewnie tylko dla ważniaków. Jak myślisz, mieliby coś przeciwko temu, żebym odrobinę skubnęła?

– Pradawna Mai waży nie więcej niż ptaszek – powiedziałem. – LaFortier nie żyje i jeszcze nikt go nie zastąpił. Myślę, że nikomu nie zabraknie.

Molly zmarszczyła brwi.

– Ale ono ma być tylko dla nich?

Wzruszyłem ramionami.

– Jesteś głodna. Tam leży jedzenie. Więc jak sądzisz?

– Nie chcę, żeby ktoś był na mnie zły. To znaczy jeszcze bardziej.

Dzieciak miał więcej rozsądku niż ja, w pewnych kwestiach.

McCoy polecił Strażnikowi, żeby natychmiast mnie do niego przysłał i zadbał o to, żeby moja praktykantka zjadła coś z bufetu. Staralem się nie uśmiechnąć. Ebenezar uważał, że uczniowie zawsze są głodni. Nie mam pojęcia, skąd mu się wzięło to przekonanie.

Rozejrzałem się po jego salonie dla gości pełnym regałów aż uginających się pod ciężarem książek. Ebenezar miał eklektyczny gust. King, Heinlein i Clancy stali na tych samych półkach co Hawking i Nietzsche. Liczne odmiany najważniejszych dzieł religijnych świata były bezwstydnie przemieszane z pismami Juliusza Cezara i D.H. Lawrence'a. Setki woluminów ręcznie napisanych i ręcznie oprawionych, w tym iluminowane grymuary, chętnie ukradłoby każde muzeum warte swojej nazwy. Książki stały i leżały. I choć ich grzbiety były przeważnie widoczne, znalezienie czegokolwiek wymagałoby cierpliwości Hioba, chyba że się pamiętało, gdzie dany tom został ostatnio odłożony.

Tylko jedna półka wyglądała porządnie.

Stał na niej rząd dzienników w prostych skórzanych oprawach, nieznacznie różniących się od siebie odcieniem, jakby starzały się niezależnie od siebie, tak że nabrały innej faktury i koloru. Od prawa do lewa stawały się coraz bardziej popękane i zniszczone. Te znajdujące się najbardziej na lewo wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść w proch. Z kolei ostatni diariusz w rzędzie, najwyraźniej nowy, leżał otwarty. Jakies trzydzieści zapisanych stron było przyciśniętych piórem.

Zerknąłem na ostatnią, pokrytą zamasztysem piórem Ebenezara.

...wydaje się oczywiste, że nie miał pojęcia o pierwotnym celu wyspy. Czasami myślę, że istnieje coś takiego jak los, a przynajmniej jakaś wyższa siła, aranżująca wydarzenia na naszą korzyść mimo wszystkiego, co w swojej ignorancji robimy, żeby popsuć jej szyki. Merlin zażądał, żebyśmy natychmiast oddali chłopaka pod nadzór. Uważam, że jest cholernym głupcem.

Rashid mówi, że ostrzeżenie go na temat wyspy byłoby bezcelowe. On potrafi oceniać ludzi, ale ja nie jestem pewien, czy tym razem ma rację. Chłopak ma głowę na karku, na ogół. I ze wszystkich znanych mi magów jest jednym z tych trzech albo czterech, których chętnie zobaczyłbym w tej szczególnej szacie. Ufam jego osądowi.

Ale z drugiej strony Maggie również ufałem.

Głos Ebenezara przerwał mi lekturę.

– Hoss, jak twoja głowa?

– Pełna pytań. – Zamknąłem dziennik i oddałem mu pióro.

Uśmiech pojawił się tylko w oczach McCoya. Mój stary mentor chciał, żebym przeczytał, co on napisał.

– Mój dziennik – powiedział. – Ostatni z trzech. Te wcześniejsze są mojego mistrza.

– Mistrza?

– Kiedyś to nie było brzydkie słowo, Hoss. Oznaczało nauczyciela, przewodnika, protektora, zawodowca, eksperta... i parę negatywnych rzeczy. Ale taka chyba jest natura ludzi, że pamiętają złe rzeczy, a zapominają o dobrych. – Postukał w trzy starsze księgi. – Pisma mojego mistrza. – Dotknął następnych czterech. – Pisma jego mistrza, i tak dalej, aż do tego miejsca. – Musnął dwa pierwsze tomy, bardzo delikatnie. – Już nie można ich odczytać, nawet jeśli zrozumie się język.

– Kto je napisał?

– Merlin – odparł Ebenezar i zamknął dziennik. – Niedługo chyba będziesz musiał się nimi zaopiekować.

Przeniosłem wzrok ze starca na książki. Myśli i wspomnienia najważniejszych magów z ponad tysiąca lat? A niech mnie!

Dużo do czytania.

– Może sam miałbyś jakieś swoje przemyślenia, które chciałbyś zapisać – powiedział Ebenezar.

– Zawsze optymista.

McCoy uśmiechnął się.

– A więc co cię tu sprowadza przed procesem?

Podąłem mu manilową kopertę, którą dostałem od Vince'a. Ebenezar zmarszczył brwi, a potem zaczął przeglądać zdjęcia. Jego mars się pogłębił, kiedy dotarł do ostatniego.

Na chwilę przestał oddychać, a ja byłem pewien, że zrozumiał implikacje. Mózg Ebenezara jeszcze nie zarósł chwastami.

– Na gwiazdy i kamienie, Hoss – rzekł spokojnie McCoy. – Tym razem najpierw pomyślałeś.

– Nawet zepsuty zegar czasem pokazuje właściwą godzinę.

Mój mentor schował zdjęcia z powrotem do koperty.

– No dobrze. Jak zamierzasz to rozegrać?

– Na procesie. Tuż przed końcem. Chcę, żeby myślał, że mu się upiekło. Ebenezar prychnął.

– Bardzo rozgniewasz Pradawną Mai i pięciuset dawnych towarzyszy LaFortiera.

– Prawie nie spałem poprzedniej nocy. Tak się nimi przejmowałem. McCoy znowu prychnął.

– Mam pewną teorię – oznajmiłem.

– Tak?

Powiedziałem mu.

Twarz Ebenezara z każdym zdaniem coraz bardziej pochmurniała. Na koniec spojrzął na swoje ręce. Były szerokie, silne, pobrużdżone, stwardniałe od pracy... i pewne. Na jednej widniały strupy po upadku na ziemię w czasie nocnej bitwy. Czubki kilku palców miał poplamione atramentem.

– Muszę podjąć pewne kroki – oznajmił. – Lepiej już ruszaj.

Pokiwałem głową.

– Zobaczymy się na miejscu?

McCoy zdjął okulary i zaczął starannie czyścić je chusteczką.

– Tak.

* * *

Proces zaczął się godzinę później.

Siedziałem razem z Molly na kamiennej ławie ustawionej z boku podium. Mieliśmy być świadkami. Myszek warował na podłodze obok mnie. Też miał być świadkiem, choć tylko ja o tym wiedziałem. Wszystkie siedzenia były zajęte. Właśnie dlatego Rada spotykała się w różnych miastach w prawdziwym świecie, a nie tylko w Edynburgu. Po prostu brakowało tu miejsca.

Strażnicy ustawili się na całym obwodzie sceny, przy drzwiach i w przejściach między rzędami ław. Wszyscy obecni mieli na sobie oficjalne szaty, czarne i obszerne, oraz jedwabne i satynowe stuły w różnych kolorach i z różnymi lamówkami zależnie od swojego statusu. Niebieskie były zarezerwowane dla członków Rady, czerwone dla tych, którzy mieli za sobą sto lat służby, plecione srebrne sznury dla uznanych mistrzów alchemii, haftowane złotą nicią kaduceusze dla uzdrowicieli, miedziane szewrony przy kołnierzu dla tych z doktoratami z różnych naukowych dyscyplin (niektórzy magowie mieli ich tyle, że rozciągały tkaninę), haftowana biała Pieczęć Salomona dla egzorcystów i tak dalej. Biała Rada kochała ceremonie.

Ja miałem prostą niebieską stułę bez żadnych ozdób, choć bawiłem się myślą o wyhaftowaniu na niej napisu GED czerwoną, białą i niebieską nicią. Molly jako jedyna w sali nosiła brązowa szatę.

Ludzie unikali naszych spojrzeń.

W pewnym momencie w drzwiach stanęła Anastasia Luccio w pełnym rynsztunku i szarej pelerynie. Rękę nadal miała na temblaku, ale w dłoni ścisnęła ceremonialną laskę Kapitana Strażników. Gdy weszła do sali, szmer rozmów ucichł. Luccio trzy razy uderzyła laską w podłogę i do audytorium wkroczyło sześciu członków Rady Starszych w ciemnych szatach i fioletowych stułach. Z Merlinem na czele przemaszrowali na scenę i ustawili się na niej w uroczystych pozach. Następnie pojawił się Peabody z małym przenośnym biurkiem i usiadł w drugim końcu naszej ławy.

Położyłem rękę na głowie Myszka i czekałem, aż zacznie się przedstawienie, bo to właśnie było to. Przedstawienie.

Po chwili do sali weszli dwaj Strażnicy, prowadząc między sobą związaną postać. Morgan stanął przed Radą tak samo jak wszyscy oskarżeni: z rękami skrępowanymi z przodu i czarnym kapturem na głowie. Jakoś dokuśtykał na

miejsce niepodtrzymywany przez Strażników. Musiał chyba zażyć tonę środków przeciwbólowych, żeby tego dokonać.

W końcu przemówił Merlin, oczywiście po łacinie:

– Zebraliśmy się dzisiaj, żeby osądzić niejakiego Donalda Morgana, który stoi tu przed nami oskarżony o zabicie z premedytacją członka Rady Starszych Alerona LaFortiera, o spisek z wrogami Białej Rady i zdradę. Rozpocniemy od przedstawienia dowodów.

Przez jakiś czas wymieniali te cholerne dowody zgromadzone przeciwko Morganowi, a mieli ich dużo. Morgan stojący z bronią w ręce nad jeszcze ciepłym trupem. Rachunek bankowy z ponad sześcioma milionami dolarów, które nagle się na nim pojawiły. Ucieczka z aresztu, podczas której paskudnie ranił trzech Strażników, a następnie wprowadził w błąd i nakłonił innych magów – tu podano nazwisko Molly i moje – żeby pomogli mu się ukryć.

– Donaldzie Morgan, masz coś do powiedzenia na swoją obronę? – zapytał Merlin.

Ta część była dość niezwykła. Oskarżonym rzadko dawano szansę zabrania głosu, bo to zaciemniało sprawy.

– Nie kwestionuję oskarżeń – oświadczył Morgan spod kaptura. – Ja i tylko ja jestem odpowiedzialny za śmierć LaFortiera.

Merlin wyglądał, jakby właśnie odkrył, że ktoś ugotował jego szczeniaka i podał jako kiełbasę na śniadanie.

– Skoro nie ma innych dowodów, Rada Starszych uda się teraz...

W tym momencie wstałem.

Merlin urwał w pół zdania i spojrzał na mnie z osłupieniem. W sali zapadła martwa cisza, nie licząc skrobania pióra. Ale ono również umilkło, kiedy Peabody przestał pisać, żeby odwrócić stronę. Potem wyjął z kieszeni drugi kałamarz i postawił go na biurku.

Anastasia gapiła się na mnie z zaciśniętymi ustami i pytającym wzrokiem. Co ja, do diabła, wyprawiam?

Mrugnąłem do niej, wyszedłem na środek sceny i zwróciłem się do Rady Starszych.

– Strażniku Dresden, ma pan jakieś nowe dowody do przedstawienia

Radzie Starszych? – zapytał McCoy.

– Mam.

– Ja w kwestii formalnej – odezwała się Pradawna Mai. – Strażnik Dresden nie był obecny przy morderstwie ani przy ucieczce oskarżonego z aresztu. Nie zaświadczy o prawdziwości ani fałszywości tych zarzutów.

– Kolejna kwestia porządkowa – włączył się Indianin Joe. – Strażnik Dresden zarabia na życie jako prywatny detektyw i jego upór w tropieniu prawdy w najtrudniejszych sytuacjach nieraz został potwierdzony.

Mai cisnęła w niego wzrokiem sztylety.

– Strażniku Dresden – przemówił znowu Merlin twardym tonem. – Twoja historia konfliktu ze Strażnikiem Morganem działającym jako Strażnik Białej Rady jest powszechnie znana. Przypominam, że każde twoje świadectwo zostanie skonfrontowane z historią waszej zacieklej, czasami gwałtownej animozji.

Merlin nie był Merlinem bez powodu. Miał wystarczający instynkt, by wyczuć, że sprawa jeszcze się nie skończyła, i wiedział, jak grać pod publikę. Nie tyle mnie ostrzegł, ile zadbał o to, żeby obecni magowie wiedzieli, jak bardzo nie lubiłem Morgana, dzięki czemu moje poparcie stanie się bardziej przekonujące.

– Rozumiem – powiedziałem.

Merlin skinął głową.

– Proszę kontynuować.

Rzuciłem mu promienny uśmiech.

– Czuję się jak Hercule Poirot – zacząłem, posługując się całkiem znośną łaciną. – Pozwólcie mi nacieszyć się chwilą. – Wziąłem głęboki wdech i z zadowoleniem wypuściłem powietrze z płuc.

Merlin był mistrzem opanowania. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale lewe oko drgnęło w nerwowym tiku. Punkt dla kojota z kreskówki.

– Pierwszych podejrzeń, że Morgan został wplątany w intrygę, nabrałem, kiedy usłyszałem skierowane przeciwko niemu niedorzeczne oskarżenie. Nie wiem, czy znacie tego człowieka, ale ja tak. Nękał mnie przez większość mojego życia. Gdyby został oskarżony o ucięcie głów małym króliczkom uznanym za czarnoksiężników, mógłbym to kupić. Ale ten człowiek nie

potrafiłby zdradzić Białej Rady, podobnie jak ja nie umiałbym latać. I właśnie dlatego postawiłem hipotezę, że inna osoba z Rady zabiła LaFortiera i tak wszystko zorganizowała, żeby obwinić Morgana. I rozpocząłem niezależne dochodzenie. –

Zdałem Radzie Starszych i zgromadzeniu magów relację z ostatnich dni, pomijając zbyt drażliwe i nieistotne szczegóły.

– Swoje śledztwo oparłem na teorii, że sprawca nie tylko próbował zrzucić winę na Morgana, ale również zasiać ziarna nowego konfliktu z wampirami z Białego Dworu. Chcąc sprowokować tę osobę do działania, rozpuściłem wieść, że zdrajca postanowił wyznać przed Białą Radą swoją rolę w spisku i że robi to w Chicago w określonym czasie i miejscu. Podejrzewając, że prawdziwy zabójca jest członkiem Rady – i to stąd, z kwatery głównej – założyłem, że nie będzie miał innego wyjścia, jak przybyć do Chicago z Edynburga Ścieżką. Kazałem więc obserwować jej wylot. – Uniosłem manilową kopertę. – Tu są zdjęcia wszystkich, którzy przybyli tą drogą w ciągu następných kilku godzin.

Otworzyłem kopertę i zacząłem podawać zdjęcia Radzie Starszych. Magowie brali je po kolei i oglądali. Ebenezar spokojnie potwierdził, że zdjęcia Strażników wychodzących ze Ścieżki razem z nim, Pradawną Mai i Słuchającym Wiatru, są autentyczne.

– Jest wysoce nieprawdopodobne, żeby poza tą grupą ktoś z Edynburga przypadkiem zjawił się w tym czasie w Chicago. Zważywszy na to, że na spotkaniu grupa naprawdę została napadnięta przez istoty wspierane przez maga z najwyższymi umiejętnościami, wniosek, że zabójca chwycił przynętę, jest uzasadniony. – Dramatycznym gestem godnym Poirota uniosłem ostatnie zdjęcie, tak żeby wszyscy mogli je zobaczyć. – Więc może nam pan powie, co pan robił w Chicago zeszłej nocy... magu Peabody?

Gdybym miał pod ręką pianistę, żeby zagrał motyw z opery mydlanej, scena byłaby popisowa.

Wszyscy członkowie Rady Starszych z wyjątkiem Ebenezara i, z jakiegoś powodu, Odźwiernego, spojrzeli w osłupieniu na sekretarza.

Mały człowieczek przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo, aż w końcu się odezwał.

– Zakładam, że ma pan dowód bardziej przekonujący niż jakąś zwykłą fotografię? Takie rzeczy łatwo sfabrykować.

– Prawdę mówiąc, mam – powiedziałem. – Świadka, który był dostatecznie blisko, żeby pana wyczuć.

Na mój znak Myszek wstał i odwrócił się do kancelisty. Jego głuche warczenie wypełniło salę niczym potężny werbel.

– To wszystko, co pan ma? – z ironią spytał Peabody. – Zdjęcie? Pies?

Mai wyglądała, jakby ktoś zdzielił ją młotem między oczy.

– To jest pies Fo – powiedziała bez tchu. – Skąd pan go ma, Strażniku Dresden? I dlaczego pozwolono panu go zatrzymać?

– Właściwie to on mnie wybrał – odpowiedziałem.

Oczy Merlina zabłyśły.

– Mai, czy identyfikacja przez to zwierzę jest wiarygodna?

Chinka popatrzyła na mnie z wyraźną konsternacją.

– Całkowicie. Jest tu kilku innych magów, którzy mogą to potwierdzić.

– Tak – zagrzemiał przysadzisty, łysy mężczyzna o azjatyckich rysach.

– To prawda – odezwała się kobieta w średnim wieku o skórze o kilka tonów jaśniejszej niż moja, możliwe, że z Indii albo Pakistanu.

– Interesujące – rzekł Merlin, odwracając się do Peabody'ego. Było coś niemal rekiniego w jego wzroku.

– W oparciu o dowody znalezione przez Dresdena Strażnik Ramirez i ja dokładnie przeszukaliśmy pokoje Peabody'ego niecałe dwadzieścia minut temu – oznajmił Ebenezar. – Sprawdzenie atramentów użytych przez członków Rady Starszych do składania podpisów na różnych dokumentach wykazało obecność chemicznych i alchemicznych substancji, które znane są z tego, że wykorzystuje się je do psychicznej manipulacji. Sadzę, że Peabody dodał do atramentu narkotyki, żeby mieć większy wpływ na decyzje Rady Starszych, i jest całkiem możliwe, że bezpośrednio nagiął wolę młodszych magów.

Słuchający Wiatru ze zdziwienia aż otworzył usta. W przeblasku zrozumienia spojrział najpierw na swoje palce poplamione atramentem, a potem na Peabody'ego.

Sekretarz może nie widział, jak Indianin Joe zmienia się w grizzly, ale był

dostatecznie bystry, by przeczuwać, co się święci. Powiódł wzrokiem po całej sali, a potem zerknął na mojego psa. Z jego twarzy zniknął wszelki wyraz.

– Koniec jest rychły – powiedział spokojnie i wyraźnie.

I cisnął na podłogę zapasowy kałamarz, aż roztrzaskało się szkło.

Myszek wydał ostrzegawczy głuchy warkot i zepchnął Molly z ławy, kiedy z rozbitej butelki buchnęła ciemna chmura i rozrosła się z nadprzyrodzoną szybkością, wyciągając macki we wszystkie strony. Jedna z nich złapała Strażnika, który skoczył na Peabody'ego, i oplotła jego pierś.

Wszystko, czego dotknęła, natychmiast zmieniało się w drobny czarny popiół, tak że delikatna nić mgły przecięła Strażnika równie skutecznie jak elektryczny nóż mięso w delikatesach. Dwie części runęły na podłogę z głuchym łupnięciem.

Widziałem kiedyś dokładnie tę samą rzecz, lata temu.

– Uciekać! – wrzasnąłem. – To mordyt.

Potem zgasły światła i sala eksplodowała krzykami i chaosem.

Naprawdę przerażające było nie to, że stałem pięć stóp od śmiercionośnej chmury, która wysysała całą siłę życiową ze wszystkiego, z czym się zetknęła. Nie chodziło również o to, że wystąpiłem przeciwko komuś, kto prawdopodobnie był członkiem Czarnej Rady, niezwykle groźnym w walce, a teraz został przyparty do muru i nie miał nic do stracenia. I nie chodziło o fakt, że pogasły wszystkie światła i zaczyna się bitwa na śmierć i życie.

Straszne było to, że znajdowałem się w stosunkowo niewielkiej, zamkniętej przestrzeni z prawie sześcioma setkami magów z Białej Rady, którzy mogli jednym skinieniem przywołać pierwotne moce wszechświata, a tylko Strażnicy mieli doświadczenie w kontrolowaniu gwałtownych przejawów magii w warunkach bojowych. To tak, jakby przebywać w gazowni z pięcioma setkami nałogowych palaczy piromanów, aż rwących się do puszczenia dymka. Wystarczyłby jeden głupek, żeby zabić wszystkich, a zostawało ich jeszcze czterystu dziewięćdziesięciu dziewięciu.

– Żadnych światel! – krzyknąłem, odsuwając się od miejsca, gdzie ostatnio widziałem chmurę. – Żadnych światel!

Jednak mój głos był tylko jednym z setek, a dziesiątki magów zareagowało tak, jak przewidziałem... i Peabody również. Natychmiast wezwali światło.

Co od razu uczyniło z nich łatwe cele.

Smugi skoncentrowanej śmierci uderzyły w każde źródło blasku, które znalazło się na ich drodze. Zobaczyłem, jak jedna starsza kobieta traci ramię w łokciu, kiedy chmura naładowana mordytem posłała włócznie ciemności w maga siedzącego dwa rzędy za nią. Ciemnoskóry mężczyzna ze złotymi kolczykami w uszach brutalnie odepchnął młodą kobietę, która przywołała światło do kryształu trzymanego w ręce. Wić nie trafiła w nią, tylko prosto w niego, w jednej chwili wypalając w jego piersi dziurę o średnicy stopy. Kiedy padał na podłogę, niemal przecięła jego tułów na pół.

W sali zerwały się krzyki prawdziwego bólu i strachu, które ludzki umysł i ciało są nauczone rozpoznawać i na które muszą zareagować. I stało się ze mną to samo co za pierwszym razem; pragnienie, żeby znaleźć się daleko od tego, co wywołuje taką grozę, połączone z natychmiastowym wyrzutem adrenaliny, potrzebą działania i niesienia pomocy.

„Spokojnie”, odezwał się jakiś głos tuż obok mojego prawego ucha, tyle że nie mogłem go tak wyraźnie usłyszeć, bo tę część mojej głowy całkowicie zasłaniały bandaże.

Co oznaczało, że ten dźwięk jest złudzeniem. Był w mojej głowie. Co więcej, rozpoznałem głos. Należał do Langtry’ego, Merlina.

„Członkowie Rady, natychmiast padnijcie na ziemię”, mówił dalej Merlin spokojnym, zdecydowanym tonem. „Pomóżcie rannym i nie próbujcie używać świateł, dopóki mgła nie zostanie usunięta. Rado Starszych, walczę z mglistym wrogiem i nie pozwalam mu się rozprzestrzenić. Rashid, postaraj się, żeby do mnie nie dotarł. Mai i Martho Liberty, zajdźcie go od lewej flanki, McCoy i Słuchający Wiatru od lewej. Ma dość silną wolę, więc nie marnujmy czasu. I pamiętajcie, że musimy również zapobiec jego unoszeniu się w górę”.

Cała ta przemowa, choć mógłbym przysiąc, że jest fizycznie słyszalna, trwała niecałe pół sekundy. Miała szybkość myśli. Towarzyszył jej uproszczony obraz audytorium, jakby narysowany na mentalnej tablicy. Wyraźnie zobaczyłem wijące się smugi zabójczej mgły, każdy obwiedziony przerywaną linią z nazwiskiem jednego z magów Rady Starszych, i część trójwymiarowej kopuły, która miała zatrzymać w środku mglisty horror.

Na dzwony piekieł. Merlin dosłownie w ciągu półtorej sekundy zmienił czysty chaos w uporządkowaną bitwę. Cóż, raczej nie zostaje się Merlinem Białej Rady, zbierając punkty w programie lojalnościowym. Ja po prostu jeszcze nigdy nie widziałem go w akcji.

„Strażniku Dresden”, powiedział Merlin. Albo pomyślał. Albo przesłał telepatycznie. „Bądź tak dobry i nie pozwól Peabody’emu uciec. Strażnik Thorsen i jego oddział są już w drodze, ale ktoś musi związać Peabody’ego i go powstrzymać. Jeszcze nie znamy rozmiarów jego psychicznej manipulacji, więc nie ufajcie żadnemu z młodszych Strażników”.

Uwielbiam być magiem. Każdy dzień jest jak wycieczka do Disneylandu.

Zdarłem z siebie śmieszna stulę, szatę i płaszcz i odwróciłem się do drzwi. Szalone, paniczne ruchy zmieniły dwa albo trzy źródła światła, które nie zostały od razu zgaszone, w niezależne stroboskopy. Bieg w stronę wyjścia był surrealistycznym doświadczeniem, ale wiedziałem, że Peabody wcześniej zaplanował każdy swój krok, a teraz miał dość czasu, żeby w ciemności przebiec przez salę i uciec z audytorium.

Próbowałem myśleć jak mag, który właśnie został zdemaskowany jako członek Czarnej Rady i któremu groziło pojmanie, proces i najpewniej egzekucja. Zważywszy na to, że przez kilka ostatnich dni byłem całkiem pewien, że właśnie taki los mnie czeka, myślałem o tym, jak się w razie czego wydostać z kwatery głównej Rady, a Peabody miał więcej czasu, żeby to zaplanować.

Na jego miejscu otworzyłbym Ścieżkę do Nigdynigdy i zamknął ją za sobą. Znalazłbym dobre miejsce i postarał się, żeby było śmiertelnie niebezpieczne dla ścigających. Jednakże stulecia zaklęć rzucanych na edynburskie tunele przez pokolenia magów nie pozwalały na otwieranie przejść do Nigdynigdy od strony posterunków kontrolnych, więc Peabody musiałby przedostać się przez co najmniej jedną bramę obsadzoną przez Strażników, żeby wprowadzić swój plan w życie.

Musiałem go powstrzymać, zanim dotrze tak daleko.

Wypadłem przez drzwi i zauważyłem, że obaj Strażnicy pełniący przy nich wartę, należą do młodszego pokolenia, które awansowało po katastrofalnej bitwie z Czerwonym Dworem na Sycylii. Obaj młodzi mężczyźni stali sztywno na baczność, nie reagując w żaden sposób na wrzawę w audytorium.

Na końcu korytarza po mojej prawej stronie dostrzegłem róg czarnej szaty znikający za rogiem. Popędziłem w tamtą stronę. Czułem się fatalnie, ale dla odmiany miałem jedną przewagę nad starszym i bardziej doświadczonym magiem: byłem młodszy i w lepszej kondycji.

Magowie mogli zachować wigor przez stulecia, ale ich ciała traciły fizyczną wydolność, jeśli ich nie trenowali. I nawet wtedy nie mieli potencjału młodej osoby, a sprint jest wymagającą aktywnością.

Gdy skręciłem za róg, zobaczyłem biegnącego przede mną Peabody'ego. Zniknął za kolejnym narożnikiem, a kiedy tam dotarłem, zyskałem nad nim kilka kroków przewagi. Przemknęliśmy jak burza przez administrację i mijaliśmy koszary, kiedy dwadzieścia stóp przed uciekinierem pojawili się w drzwiach trzej Strażnicy, jeszcze nastolatki, niebezpieczne dzieciaki, którym z powodu wojny zafundowaliśmy przyspieszone szkolenie wojskowe.

– Koniec jest rychły – warknął Peabody.

Wszyscy trzej rekruci zamarli w pół kroku, a ich twarze zrobiły się puste. Sekretarz Rady przebiegł obok tej grupki, sapiąc. Po drodze jednego chłopaka powalił na ziemię. Przyspieszyłem kroku, a on zaczął oglądać się przez ramię. Oczy miał rozszerzone.

Skoczył w bok w następny korytarz, a moje instynkty w tym momencie zajarzyły, co mój zbieg knuje. Gdy dotarłem do narożnika, błyskawicznie rzuciłem się na ziemię i przetoczyłem, a fontanna magicznego płynu zasyczała mi nad głową. Uderzyła w ścianę za mną z takim odgłosem, jakby jednocześnie otworzono tysiąc wstrząśniętych butelek wody sodowej.

Nie zdążyłem doładować pierścieni energetycznych, więc zostawiłem je w komodzie w swoim mieszkaniu, ale nie chciałem, żeby Peabody uznał, że może bezkarnie atakować mnie z za węgła. Uniosłem prawą rękę i warknąłem:

– *Fuego!*

Posłałem prosto w niego kometę ognia wielkości piłki do kosza.

Peabody wypowiedział szybko kilka słów i zrobił jedną ręką obronny gest, prawie jak doktor Strange. Moje zaklęcie roztrzaskało się o coś niewidzialnego całe trzy stopy przed nim, ale jego rąbek zdążył zająć się ogniem. Kancelista zaczął rozpaczliwie gasić go w biegu.

Nadrobiłem jeszcze trochę dystansu, tak że kiedy uciekinier skręcił w jeden z szerszych głównych korytarzy kompleksu, znajdowałem się niecałe dwadzieścia stóp od niego, a przed nami był pierwszy punkt kontrolny. Czterej Strażnicy, sami młodzi, pilnowali bramy, czyli siedzieli na podłodze i grali w karty, skoro wszyscy dorośli, marudy i dziadkowie, którzy mogliby się ich czepiać, byli na procesie.

– Zatrzymajcie tego człowieka! – ryknąłem.

– Dresden jest czarnoksiężnikiem! – wrzasnął wyraźnie przerażony Peabody. – Próbuje mnie zabić!

Strażnicy błyskawicznie zerwali się na nogi. Jeden z nich sięgnął po laskę, drugi wyciągnął pistolet, trzeci odwrócił się i zamknął bramę, a dziewczyna zareagowała instynktownie, rysując ręką nad głową ciasny krąg i wykonując gest rzucania. Jednocześnie krzyknęła.

Uniosłem tarczę w samą porę, żeby przechwycić niewidzialną kulę do kręgli, ale uderzenie było na tyle silne, że mnie zatrzymało. Moje nogi nie były na to przygotowane, tak że zachwiałem się i odbiłem ramieniem od ściany.

Oczy Peabody’ego rozbłysły triumfalnie, kiedy upadłem.

– Koniec jest rychły – warknął po raz kolejny.

Młodzi Strażnicy zamarli. Peabody zerwał klucz ze skórzanego rzemienia zawieszzonego na szyi jednego z nich, otworzył bramę, po czym obrócił się ze sztyletem w dłoni i ciął nim przez udo dziewczyny, która mi przydzwoniła. Strażniczka krzyknęła, a z jej nogi zaczęła tryskać krew w rytm uderzeń serca, widomy znak, że została uszkodzona tętnica.

Wstałem z podłogi i cisnąłem w Peabody’ego maczugę czystej siły, ale on obronił się tak jak wcześniej przed ognistą kulą. Następnie skoczył przez bramę, rozdzierając powietrze, otworzył przejście do drugiego świata i w nie zanurkował.

– Sukinsyn! – zakląłem.

Żaden z młodych Strażników się nie poruszył, nawet ranna dziewczyna. Wiedziałem, że jeśli nie dostanie pomocy, wykrwawi się na śmierć w ciągu paru minut.

– Cholera! – zacząłem się pieklić. – Cholera, cholera, cholera!

Rzuciłem się do młodej Strażniczki i wyszarpnąłem pasek ze swoich dzinsów, modląc się, żeby krępulec zadział.

Usłyszałem dudniące kroki i po chwili zobaczyłem Anastasię Luccio z pistoletem w zdrowej ręce. Twarz miała pobladłą z bólu. Oddychając ciężko, zatrzymała się gwałtownie obok mnie i wysapała:

– Zajmę się nią. Biegnij!

Po drugiej stronie punktu kontrolnego właśnie się zamykała Ścieżka.

Zerwałem się i dałem nura do przodu. Błysnęło światło i kamienny tunel zmienił się w las martwych drzew, które mocno cuchnęły pleśnią i stojącą wodą. Peabody stał tuż przede mną i próbował zamknąć przejście. Wpadłem na niego rozpedzony i obaj z impetem rąbnęliśmy na ziemię.

Przez chwilę leżeliśmy kompletnie oszołomieni. Potem wyczułem, że zbieg się porusza, i kątem oka dostrzegłem błysk zakrwawionego sztyletu.

Peabody wycelował jego czubek w moją szyję, ale zasłoniłem się ramieniem, więc ostrze przecięło mi żyłę. Chwyciłem go za nadgarstek drugą ręką, a on się przetoczył, usiadł na mnie i chwycił nóż oburącz, przygniatając mnie całym swoim ciężarem. Krople własnej krwi skapnęły mi na twarz, kiedy Peabody powoli kierował czubek sztyletu w moje oko.

Próbowałem zrzucić go z siebie, ale okazał się silniejszy, niż przypuszczałem. Stało się jasne, że ma więcej doświadczenia w walce wręcz, niż ja. Próbowałem go zdzielić zranioną ręką, ale on ją odepchnął.

Poczułem, że moje tricepsy się poddają, i wyraźnie ujrzałem zbliżający się czubek noża. Punkt przełomowy był tuż-tuż i Peabody o tym wiedział. Włożył więcej wysiłku w atak i ostrze nagle wbiło się boleśnie w moją dolną powiekę.

Nagle rozległ się głośny huk i mój przeciwnik poleciał do tyłu. Mocno zamroczony nie ruszałem się jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem uniosłem głowę.

Morgan leżał na ziemi tuż obok Ścieżki z dymiącym pistoletem Luccio w dłoni. Na udzie miał wielką, szkarłatną, wilgotną miazgę.

Nie miałem pojęcia, jak z taką raną udało mu się biec za nami. Nawet mimo środków przeciwbólowych musiał cierpieć jak diabli. Patrzył na ciało Peabody'ego twardym wzrokiem. Potem zaczęła mu się trząść ręka. Upuścił broń na ziemię.

I sam z jękiem poszedł w jej ślady.

Podszedłem do niego, oddychając ciężko.

– Morgan.

Odwrociłem go na plecy i spojrzałem na paskudną ranę. Już nawet nie krwawiła. Twarz Morgana była biała, usta miał szare.

Otworzył oczy i powiedział spokojnie:

– Załatwiłem go.

– Tak. Załatwiłeś.

Uśmiechnął się lekko.

– Już drugi raz uratowałem ci tyłek.

Zaśmiałem się krótko.

– Wiem.

– Obwinia mnie – stwierdził cicho Morgan. – Nie ma zeznania Peabody’ego, a ja jestem politycznie lepszym kandydatem. Niech mnie obciążają. Nie broń mnie. Sam tego chcę.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Dlaczego?

Morgan pokręcił głową, uśmiechając się ze znużeniem.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, aż zrozumiałem. Morgan okłamywał mnie od samego początku.

– Bo ty wiedziałeś, kto zabił LaFortiera. Ona tam była, kiedy się ocknąłeś w jego pokoju. Widziałeś, kto to zrobił. I chciałeś ją chronić.

– Anastasia tego nie zrobiła – rzekł Morgan z naciskiem. – Była tylko pionkiem. Spała na stojąco. Nawet nie wiedziała, że została wykorzystana. – Zadrżał. – Powinienem to wcześniej zrozumieć. Utknęła w młodym ciele, a jej umysł znowu stał się podatny na wpływy.

– Co się stało? – zapytałem.

– Obudziłem się, LaFortier już nie żył, a ona trzymała nóż. Wziąłem go od niej, otoczyłem zasłoną i wypchnąłem za drzwi. Nie zdążyłem uciec razem z nią.

– Wzięłeś winę na siebie, sądząc, że później wszystko wyjaśnisz. Ale uświadomiłeś sobie, że pułapka była zbyt dobra, żeby ktokolwiek ci uwierzył.

Potrząsnąłem głową. Morganowi kompletnie nie zależało na własnym życiu. Uciekł, kiedy zrozumiał, że Anastasia nadal jest w niebezpieczeństwie, a on sam nie będzie w stanie zdemaskować prawdziwego zabójcy.

– Dresden – odezwał się cicho Morgan.

– Tak?

– Nikomu nie powiedziałem o Molly. O tym, co próbowała zrobić z Aną.

Ja... nie powiedziałem...

Wytrzeszczyłem oczy niezdolny do wydobywania z siebie głosu.

Oczy rannego zasłły mgłą.

– Wiesz, dlaczego tego nie zrobiłem? Dlaczego przyszedłem do ciebie?

Pokręciłem głową.

– Bo wiedziałem – wyszeptał i uniósł prawą rękę, a ja chwyciłem ją mocno.

– Wiedziałem, że ty wiesz, jak to jest być niewinnym człowiekiem ściganym przez Strażników.

Po raz pierwszy niemal wyznał w ten sposób, że się mylił co do mnie.

Umarł niecałą minutę później.

Thorsen uratował mnie przed wykrwawieniem się na śmierć od rany, którą zadał mi Peabody. Szwed i jego oddział wsparcia mieli długą drogę do przebiegnięcia, dużo zamkniętych bram i bałagan, który za sobą zostawiliśmy. Dotarli do mnie jakieś trzy minuty po śmierci Morgana. Próbowali reanimacji, ale jego ciało zniosło zbyt wiele uderzeń i straciło za dużo krwi. Peabodym w ogóle się nie zajmowali. Morgan dwa razy strzelił mu w głowę z pistoletu Luccio.

Zabrali mnie do infirmerii, gdzie Indianin Joe i zespół uzdrowicieli – niektórzy z nich chodzili do szkół medycznych w czasach, kiedy zastanawiano się nad skutecznością przystawiania pijawek – opatrywali rannych podczas ataku.

Później wszystko ułożyło się bez konieczności mojego udziału.

Radzie Starszych udało się zatrzymać i przepędzić mgłę nasączoną mordytem, rzadką i niebezpieczną gazową istotę z najdalszych zakamarków Nigdynigdy, nim zabiła więcej niż czterdziestu czy pięćdziesięciu magów. Wszystko razem biorąc, mogło być znacznie gorzej, ale fakt, że przedmiotem ataku stało się zgromadzenie dawnych politycznych sojuszników LaFortiera, wzbudził podejrzliwość. Niektórzy twierdzili, że Merlin zlekceważył ich bezpieczeństwo, zaniedbał środki ostrożności, i tak dalej. Fakt, że atak zdarzył się w czasie demaskowania prawdziwego zabójcy LaFortiera, skwapliwie pomijano. Liczył się tylko polityczny kapitał.

Właściwie cały nadprzyrodzony świat usłyszał o śmierci LaFortiera, o późniejszym polowaniu na Morgana i wielkiej jatce w trakcie jego procesu, ale większość szczegółów przemilczano. Choć nie wydano oficjalnego oświadczenia, rozeszła się wieść, że Morgan spiskował z Peabodym i że obaj zostali zabici w czasie próby ucieczki.

W ten wyrachowany i bezduszny sposób magowie ratowali twarz. Merlin

uznał, że będzie dla nich bezpieczniej, jeśli wszyscy się dowiedzą, że Rada zareagowała na morderstwo LaFortiera szybko i zdecydowanie, to znaczy natychmiastowym złapaniem i egzekucją winnych.

Ale z kimkolwiek współdziałał Peabody, ludzie naprawdę odpowiedzialni za morderstwo wiedzieli, że Rada zabiła niewinnego człowieka, w dodatku jednego ze swoich najlepszych wojowników.

Może Merlin miał rację. Może lepiej wyjść na głupiego, ale silnego, niż na bystrego, ale słabego. Nie wiem. Nie jestem pewien, czy chcę wierzyć, że światowa scena aż tak bardzo przypomina boisko szkoły średniej.

Sledczy Rady pracowali wolniej niż detektywi Lary Raith, ale w końcu dotarli do tych samych informacji, idąc tropem pieniędzy. Wyniki dochodzenia przedstawiono Białemu Dworowi.

W odpowiedzi Lara przysłała Radzie głowy winowajców. Dosłownie. To już jej sprawa, że znalazła sposób, by do ostatka wykorzystać Madeline i swoich dyrektorów finansowych. Powiedziała magom, żeby w ramach przeprosin zatrzymali pieniądze. Za prawie sześć milionów dolarów w gotówce można kupić dużo oleju do wylania na wzburzone wody.

Peabody skończył z mózgiem rozbryźniętym po opuszczonym zakątku Nigdynigdy, ale zanim szczeł, wywołał prawdziwe piekło zniszczeń. Zaczął się nowy wiek paranoi Białej Rady.

Merlin, Odźwierny i Indianin Joe zbadali zasięg psychicznej infiltracji Peabody'ego. Pod pewnymi względami najgorszym szkodom, które wyrządził, najłatwiej było zaradzić. Niemal każdy Strażnik poniżej pięćdziesiątego roku życia został zahipnotyzowany tak gładko i subtelnie, że nawet mistrzowie magów mieli trudności z wykryciem metody, choć wiedzieli, gdzie szukać.

Ebenazar powiedział mi później, że niektórzy młodzi Strażnicy mieli zainstalowane dużo więcej wrogiego psychicznego oprogramowania, choć jeden mag nie wiedział dokładnie, co robi drugi. Kilku z nich podobno zamierzało zostać nadprzyrodzonymi odpowiednikami kamikadze, tak jak Luccio. Naprawienie tego rodzaju szkód okazało się trudne, nieprzewidywalne w skutkach i często bolesne dla ofiar. To były długie lato i jesień dla wielu Strażników i dlatego w ciągu paru tygodni wprowadzono

obowiązkowe szkolenie z psychicznej samoobrony.

Moim zdaniem sytuacja była trudniejsza dla członków Rady Starszych, z których wszyscy prawie na pewno znaleźli się pod tym samym, tyle że subtelnym wpływem. Musieli cofnąć się do swoich decyzji podejmowanych w ciągu kilku ostatnich lat i zastanowić, czy nakłoniono ich do dokonania jakiegoś wyboru, czy działali samodzielnie albo czy niejednoznaczność danej decyzji wynikała z okoliczności. Muśnięcie było takie lekkie, że nie zostawiło żadnych trwałych śladów. Każdy z nich, kto miał choć połowę sumienia, musiał przeżywać koszmar wątpliwości, zwłaszcza że to oni kierowali Radą w czasie wojny.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak sam roztrząsam po raz drugi wszystko, co robiłem w ciągu kilku ostatnich lat.

Za nic w świecie nie chciałem znaleźć się na ich miejscu.

* * *

W infirmerii spędziłem tydzień. Odwiedzali mnie Molly, Ramirez i McCoy. Myszek czuwał przy moim łóżku i nikt nawet nie próbował go usunąć. Słuchający Wiatru, tak jakby mój lekarz, był stale obecny. Młodzi Strażnicy, których pomogłem wyszkolić, również wpadali, żeby zamienić słowo, choć wszyscy wyglądali na zdenerwowanych.

Anastasia nie przysłała ani razu, ale Indianin Joe powiedział, że raz zajrzała i pytała o mnie, kiedy spałem.

Odźwierny zjawiał się w środku nocy. Kiedy się obudziłem, już stworzył wokół nas rodzaj dźwiękowej osłony, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać. Nasze głosy brzmiały, jakbyśmy mieli głowy nakryte dużymi blaszanymi wiadrami.

– Jak się czujesz? – zapytał cicho.

Wskazałem na swoją twarz, już nieobandażowaną. Jak obiecał Słuchający Wiatru, z okiem było wszystko w porządku. Miałem jednak dwie piękne blizny, jedną, która biegła przez prawą powiekę, omijała oczodół i ciągnęła się jakiś cal w dół policzka, i drugą, dokładnie przez środek dolnej wargi

i pod lekkim kątem przez podbródek.

– Jak Herr Harrison Ford – powiedziałem. – Blizny po pojedynkach. Dziewczyny będą się ustawiać w kolejce.

Żart nie wywołał uśmiechu. Odźwierny spojrział z poważną miną na swoje ręce.

– Pracowałem z personelem administracyjnym i Strażnikami, których umysły zaatakował Peabody.

– Słyszałem.

– Zdaje się, że psychiczna dezintegracja była szczególnie ostra u Anastasii Lucci – powiedział Rahid, starannie dobierając słowa. – Zastanawiałem się, czy masz jakieś teorie, które mogłyby to wyjaśnić.

Przez chwilę patrzyłem w milczeniu na ciemny pokój, a potem spytałem:

– Merlin cię przysłał?

– Tylko ja o tym wiem – zapewnił Odźwierny z powagą. – I tylko ja będę wiedział.

Nie od razu się odezwałem.

– Czy moja teoria wpłynie na to, jak kapitan Luccio będzie traktowana?

– Potencjalnie. Może zyskam wgląd, którego potrzebuję, żeby móc ją uzdrowić szybciej i bezpieczniej.

– Daj mi słowo. – Nie prosiłem.

– Masz je.

– Zanim Morgan umarł, wyznał mi, że kiedy się obudził w pokoju LaFortiera, Luccio trzymała w ręce broń, z której go zabito. – I opisałem resztę wydarzeń z tamtej nocy.

Odźwierny popatrzył na ścianę za łóżkiem. Twarz miał obojętną.

– Próbował ją chronić.

– Chyba doszedł do wniosku, że Rada może zrobić jakąś głupią rzecz, na przykład skazać niewinnego człowieka na śmierć.

Odźwierny zamknął oczy i palcami prawej dłoni dotknął swojego serca, ust i czoła.

– To wyjaśnia parę rzeczy.

– Na przykład?

Rahid uciszył mnie gestem ręki.

– Za chwilę. Jak mówiłem, szkody wyrządzone Anastasii są znaczne. Nie dlatego, że nakłoniono ją do przemocy. Ona przychodzi jej łatwo. Sądzę, że siłą zostało zmienione jej emocjonalne nastawienie.

– Emocjonalne nastawienie – powtórzyłem cicho. – Masz na myśli... ją i mnie?

– Tak.

– Bo ona zawsze wołała zachowywać dystans – zdradziłem. – Do niedawna.

– Tak.

– Jej... nigdy na mnie nie zależało.

Odźwierny wzruszył ramionami.

– Musiał istnieć jakiś fundament. Całkiem możliwe, że ona szczerze cię lubiła i że coś mogło się z tego rozwinąć, ale zostało stłumione.

– Kto by to robił? – Pokręciłem głową. – Nie, to oczywiste. Nie kto, tylko po co?

– Może, żeby mieć na ciebie oko – podsunął Odźwierny. – Zyskać przewagę, żeby cię usunąć w razie konieczności. Ostatecznie byłeś jedynym młodszym Strażnikiem, który nie dał Peabody'emu okazji do manipulacji, bo nigdy nie przychodziłeś do kwatery głównej. Jesteś również prawdopodobnie najbardziej utalentowany i potężny ze swojego pokolenia. Inni młodzi Strażnicy na ogół lubią z tobą współpracować, więc istniała możliwość, że coś zauważysz. Wszystko razem biorąc, stanowiłeś dla niego zagrożenie.

Poczułem lekkie mdłości.

– To dlatego zjawiała się w Chicago, choć powinna być z powrotem w kwaterze głównej i pomagać w polowaniu.

– Prawie na pewno – zgodził się Odźwierny. – Żeby ostrzec Peabody'ego, gdybyś wpadł na jego trop, i żeby zlokalizować zbiega. Martwy Morgan w rękach sprawiedliwości Białej Rady to jedno. Ale gdyby Peabody'emu się udało, zabiłby Morgana i pozbył się jego ciała. Zdrajca zniknąłby w szerokim świecie i stał się nieuchwytny. Byłby stałym kamieniem u naszej szyi.

– I świetną przykrywką dla Peabody'ego – dodałem. – Mógłby pozbywać się, kogo by zechciał, a wszyscy uważaliby, że to Morgan.

– Nie tylko Peabody – powiedział Odźwierny. – Każdy z naszych wrogów mógłby tę sytuację wykorzystać w taki sam sposób.

– Wyjaśnia się również, dlaczego przybył do Chicago po tym, jak rzuciłem wyzwanie Radzie. Pewnie myślał, że rzekomym informatorem jest Anastasia. Musiał osobiście sprawdzić, czy jego mentalne zaklęcie działa. – Pokręciłem głową. – I wcale nie musiał iść Ścieżką, bo już znał jedną drogę na Demonreach. Chryste, miałem szczęście.

– To też prawda – przyznał Odźwierny. – Choć sądzę, że sam sobie zapracowałeś na szczęście dzięki własnej przezorności. – Pokręcił głową. – Gdyby Morgan tak szybko nie zareagował, sprawy mogłoby potoczyć się dużo gorzej. Luccio też zostałaby oskarżona i żadne z nich nie miałyby pojęcia, co się stało. Oskarżenie Morgana było wystarczająco złą rzeczą. Strażnicy nie pozwoliliby na aresztowanie zarówno swojej kapitan, jak i jej zastępcy. Mogłaby wybuchnąć wojna domowa.

– Morgan... on kochał Luccio – powiedziałem.

Odźwierny pokiwał głową.

– Kiedy był młodszy, przez jakiś czas nie krył się ze swoimi uczuciami. Ale ona nigdy nie dopuszczała nikogo blisko do siebie. Patrząc wstecz, zmiana jej osobowości powinna zostać dostrzeżona, choć swoje kontakty z tobą utrzymywała w sekrecie.

Prychnąłem cicho.

– Łatwo podejrzewać manipulacje, kiedy ktoś okazuje się szaleńcem toczącym pianę z ust – powiedziałem. – Ale kiedy ktoś raptem staje się szczęśliwy, trudno nie być szczęśliwym razem z nim.

Rashid się uśmiechnął ciepło.

– To prawda.

– Więc ona... to znaczy, kiedy zaczniesz naprawić szkody...

– Już zaczęliśmy. Jej podświadomość od jakiegoś czasu walczyła z pętami narzuconymi umysłowi. Nawet jeśli wcześniej coś do ciebie czuła, fakt, że złamano jej wolę, spowoduje gwałtowną reakcję odrzucenia.

– Tak. Między nami było trochę napięcia, po tym, jak to wszystko się zaczęło. Właściwie już zerwaliśmy, ale...

Nie chodziło o wygaśnięcie uczucia. Ona nigdy mnie nie kochała.

Udowodnił to pocałunek Madeline, który pogrzebał mnie pod lawiną rozkoszy, kiedy zabierała część mojej siły życiowej. Anastasia nigdy nie była we mnie zakochana. Może nawet tak naprawdę mnie nie lubiła. A może lubiła. Albo wszystko to razem wzięte.

Cokolwiek nas łączyło, właśnie się skończyło, zanim zdążyło przerodzić się w coś innego, i żadne z nas nie miało dużego wyboru w tej kwestii.

Nie spodziewałem się jednak, że aż tak będzie boleć.

Rashid położył dłoń na moim ramieniu.

– Przykro mi – powiedział. – Uznałem, że zasługujesz na to, żeby wiedzieć.

– Tak. – Głos miałem ochryply. – Dziękuję. Chyba. – Zaśmiałem się z goryczą.

Odźwierny tylko przekrzywił głowę.

– Próbowałem zrozumieć, dlaczego nikt nie użył magii w czasie zabójstwa LaFortiera.

– I do jakiego wniosku doszedłeś? – zapytał Rashid.

– Nie można zastosować magii, jeśli się w nią naprawdę nie wierzy – odparłem. – Luccio podświadomie musiała uznać, że zabicie LaFortiera jest złe. Dlatego użyła noża. Morgan też nie mógłby wykorzystać zaklęć przeciwko uczciwemu członkowi Rady Starszych ani swojemu dowódcy, podobnie jak nie był w stanie przeprosić za to, jak mnie traktował. A LaFortier nie wiedział, co go czeka z rąk Anastasii. Pewnie umarł zaskoczony i nawet nie zdążył rzucić czaru. – Spojrzałem na Odźwiernego. – Nie ma jakiegoś tajemniczego, zawilego powodu. Stało się tak dlatego, że oni wszyscy byli ludźmi.

– Z mojego doświadczenia wynika, że to już jest wystarczająca tajemnica – skwitował Odźwierny.

* * *

Zbierałem rzeczy, żeby wrócić do domu, kiedy w drzwiach pojawił się Ebenezar.

– Hoss – przywitał mnie spokojnie. – Pomyślałem, że odwożę cię do domu.

– Jestem wdzięczny, sir.

Już wcześniej wysłałem Myszkę do domu razem z Molly, a zawsze lepiej unikać chodzenia Ścieżką samemu. Ruszyliśmy przez tunele. Miałem ich serdecznie dość. Nie cierpię na klaustrofobię ani nic takiego, ale uważam, że trzeba mieć w sobie gen świstaka, żeby mieszkać w kwaterze głównej Białej Rady w Edynburgu.

Nie uszliśmy daleko, kiedy uświadomiłem sobie, że Ebenezar zmierza do Ścieżki okrężną drogą, tunelami, które w większości były nieużywane i nieoświetlone. Wyczarował w lasce przyćmione czerwone światło, tyle, żebyśmy widzieli, gdzie stąpamy, a kolor był jak najmniej zauważalny.

– Zatem dzisiaj wyznaczylimy następcę LaFortiera w Radzie Starszych – oznajmił McCoy.

– Klaus Toymaker?

Ebenezar wolno pokręcił głową.

– Klaus się nie przyznał, ale podejrzewam, że Merlin poprosił go, żeby odmówił. Miejsce dostał Gregori Cristos.

Zmarszczyłem brwi. Rada Starszych składała się z gerontokratów. Ten, kto miał za sobą najwięcej lat służby, dostawał propozycję stanowiska przywódczego, choć nic nie zmuszało maga do jej przyjęcia.

– Kto to jest, do diabła? Chyba nie zalicza się do starszyny.

Mój mentor się skrzywił.

– Tak. To Grek, nieprzyjemny drań. Przez kilka ostatnich stuleci mieszkał w różnych miejscach w całej południowej Azji. Wyróżnił się w bitwie z rakszasem, którą Rada ostatnio toczyła.

– Pamiętam – powiedziałem. – Słyszałem, że było naprawdę gorąco.

Ebenezar chrząknął.

– To protegowany LaFortiera.

Przez chwilę analizowałem tę informację.

– Myślałem, że facet został spacyfikowany.

– Kiedy ktoś chce władzy, nie można go kupić – stwierdził Ebenezar. – Weźmie to, co mu proponujesz, i będzie dalej robił swoje. A Cristos ni mniej,

ni więcej, tylko powiedział Merlinowi, że on i jego sojusznicy odłączą się od Rady, jeśli on nie dostanie w niej miejsca.

– Jezu – mruknąłem.

McCoy pokiwał głową.

– Równie dobrze moglibyśmy dać Czerwonemu Dworowi klucze do wszystkich naszych bram i pozwolić, żeby wymordowali nas we śnie. Mniej osób postronnych by ucierpiało.

– Więc Merlin poszedł na układ – stwierdziłem.

– Nie miał dużego wyboru. Ludzie Cristosa zdobyli duże poparcie po tym, jak stracili tylu swoich w czasie tamtej próby. Zabrały ze sobą jedną trzecią Rady.

– Chrzanić proces selekcji, co?

Ebenezar się skrzywił.

– Ten proces zawsze był kodyfikowany jedynie przez tradycję. O, Merlin stwarzał pozory, że przestrzega reguł, ale ja ci gwarantuję, Hoss, że wszystko zostało uzgodnione za kulisami. – Pokręcił głową. – Rada Starszych zajęła oficjalne stanowisko w sprawie śmierci LaFortiera.

– Niech zgadnę – powiedziałem. – Pojedynczy strzelec.

Ebenezar zmarszczył brwi i kiwnął głową.

– Aha, Kennedy. Tak. To był czyn osobników kierujących się motywem zysku. Brak dowodów wskazujących na zorganizowany spisek. Nie ma żadnej Czarnej Rady.

W osłupieniu popatrzyłem na Ebenezara.

– To... głupie.

– Cholerna racja. Ale oni mają większość. Merlin, Cristos, Mai, Martha Liberty i Odźwierny.

Pokręciłem głową.

– Co on, do diabła, sobie wyobraża?

Ebenezar wzruszył ramionami.

– Nigdy nie było łatwo go rozszyfrować. A ja znam go od szesnastego roku życia. Przychodzą mi na myśl dwa albo trzy wyjaśnienia.

– Na przykład to, że on jest Czarną Radą.

Ebenezar przeszedł w milczeniu kilka kroków.

– Tak – przyznał w końcu.

– Albo może Peabody wpłynął na niego mocniej, niż wszyscy sądzimy – podsunąłem.

– Nieprawdopodobne – stwierdził Ebenezar. – Narkotyki, które aplikował Radzie Starszych, pozwalały mu nimi... nami kierować. Ale wszyscy jesteśmy zbyt uparci, żeby bardziej nas nagiąć.

– No to o co chodzi?

– Cóż, Hoss, może Langtry martwi się o konsekwencje oficjalnego uznania Czarnej Rady za realny byt.

Poczułem lekki dreszcz na karku.

– Niepokoi go, że jeśli ludzie się dowiedzą o istnieniu Czarnej Rady, nie staną do walki z nią, tylko się do niej przyłączą.

– Wszyscy kochają zwycięzców – zauważył Ebenezar. – A ostatnio nie wyglądamy najlepiej. Ludzie się boją. Cristos buduje na tym swoje wpływy.

Zatrzymałem się w pół kroku i omal nie zwymiotowałem na zimną kamienną podłogę.

– Co jest, chłopcze? – zaniepokoił się Ebenezar.

– Sir, kiedy Peabody dotarł na wyspę... – zacząłem drżącym głosem.

– Tak?

– Nie był sam. Ktoś jeszcze z nim przyплыł. Ktoś, kogo nie zobaczyliśmy. Nie odzywaliśmy się obaj przez dłuższą chwilę.

– To tylko jedno wyjaśnienie, Hoss – powiedział w końcu McCoy. – Nawet nie ocena sytuacji, tylko zwykły domysł.

W jego głosie nie było pewności. Ebenezar miał takie samo jak ja silne przeczucie, że mam rację. Poza tym rozmawialiśmy szeptem w nieużywanych korytarzach naszej własnej cholernej twierdzy. Jeśli to nie świadczyło, że z Białą Radą jest naprawdę coś nie w porządku, to nie wiem, co innego by was przekonało.

– Są wewnątrz – wyszeptałem.

Mój mentor popatrzył na mnie z powagą.

– To dlatego wykończyli LaFortiera. Żeby wepchnąć swojego człowieka na jego miejsce. – Oparłem się o ścianę i pokręciłem głową. – Wygrali.

– Wygrali rundę – poprawił mnie Ebenezar. – Walka jeszcze się nie

skończyła.

– Dla Morgana tak.

– Ale nie dla ciebie – rzekł z naciskiem mój mentor. – Morgan uważał, że warto uratować twoje życie za cenę jego własnego. – Zaczerpnął tchu i dodał bardzo cicho: – Hoss, to jeszcze nie koniec. Niektórzy z nas zamierzają coś z tym zrobić.

Spojrzałem na niego ostro.

– Coś zrobić?

– Na razie jest nas niewielu. Kilku magów. Paru kluczowych sojuszników. Ludzie, których znamy i którym ufamy. Tylko ja znam wszystkich zaangażowanych. Musimy wypowiedzieć wojnę wrogom. Dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Określić ich cele. Zamknąć.

– Zwalczyć ogień ogniem, tak?

Ebenezar uśmiechnął się krzywo.

– Zaprzeczając istnieniu jednego spisku, Langtry wymusił kolejny.

– I kupił sobie dwa produkty w cenie jednego z dodatkiem ironii – powiedziałem. – Jeśli Czarna Rada dowie się o nas, zacznie skakać z radości. Zdemaskują nas, nazwą Czarną Radą i dalej będą radośnie robić swoje.

– Już jest „nas”? – Ebenezarowi błyszczały oczy. – Zważywszy na to, co będziemy robić, jeśli Biała Rada nas nakryje, zarzuci nam działalność wywrotową. I wykona na nas wyrok.

Rozumiecie, co miałem na myśli? Zupełnie jak w Disneylandzie.

Zastanawiałem się przez minutę.

– Wiesz, że w każdym obiektywnym sensie tworzymy własną Czarną Radę?

– Tak – przyznał Ebenezar.

– I dokąd nas to zaprowadzi?

– Z czystymi sercami i dobrymi intencjami nasza siła będzie siłą dziesięciu – wyrecytował.

Parsknąłem głośno. McCoy uśmiechnął się ze znużeniem.

– Cóż, Hoss, nie będziemy mieli innego wyboru jak zapuścić się w parę mrocznych zaułków. I to w bardzo podejrzanym towarzystwie. Może powinniśmy myśleć o sobie jako o... Szarej Radzie.

– Szara Rada – powtórzyłem. Ruszyliśmy dalej. – Świat stał się mroczniejszy i brzydszy nawet w ciągu kilku ostatnich lat. Myślisz, że nasze działania coś zmieniają?

– Myślę to samo, co ty – odparł Ebenezar. – Że jedyną alternatywą jest stać z założonymi rękami i patrzeć, jak wszystko zmierza do piekła. – Jego głos stwardniał. – Nie będziemy bezczynni.

– Cholerna racja, że nie – potwierdziłem.

Razem przeszliśmy resztę drogi do Chicago.

* * *

Murphy zawiozła mnie na parking policyjny, żebym odebrał swój samochód, a ja po drodze opowiedziałem jej większość z tego, co się wydarzyło.

– Coś przede mną ukrywasz – stwierdziła, kiedy skończyłem.

– Trochę – przyznałem. – To, co konieczne.

Zerknęła na mnie z ukosa i rzuciła krótko:

– Okay.

Uniosłem brwi.

– I tyle?

– Masz do czynienia ze strasznymi ludźmi, Harry – powiedziała cicho. – A ludzie powierzają ci sekrety. Rozumiem cię.

– Dzięki, Murph.

Karrin pokręciła głową.

– Nie wiem, Harry. To znaczy, wierzę, że przyjdiesz do mnie, kiedy będziesz miał coś, co jest związane z moimi obowiązkami gliniarza. Jeśli ukrywasz przede mną coś, o czym powinnam wiedzieć... – Wzruszyła ramionami. – Nie sądzę, żeby coś takiego dało się naprawić.

– Słyszę cię.

Murphy pokręciła głową.

– Nigdy nie przepadałam za Morganem. Ale szkoda, że tak się to dla niego skończyło.

– Sam nie wiem – powiedziałem w końcu. – On zginął, robiąc dobrą rzecz.

Wykończył zdrajcę, który doprowadził do śmierci setek magów. Nie pozwolił, żeby tamten uciekł z Bóg wie jakimi sekretami. – Wzruszyłem ramionami. – Ostatnio zginęło wielu Strażników. Morgan okazał się tym dobrym. – Uśmiechnąłem się. – Poza tym, gdyby pożył jeszcze trochę, może musiałby mnie przeprosić. To byłoby dla niego gorsze niż śmierć.

– Miał odwagę – stwierdziła Murphy. – I cię chronił.

– Tak.

– Poszedłeś na jego pogrzeb?

– Nikt nie poszedł. Oficjalnie był *corpus non gratus*. Ale później, nieoficjalnie, urządziliśmy coś w rodzaju stypy. Opowiadaliśmy różne historie o nim i doszliśmy do wniosku, że naprawdę był paranoidalnym, nietolerancyjnym dupkiem pierwszej klasy.

Murphy się uśmiechnęła.

– Znałam takich facetów. Ale tacy mimo wszystko należą do rodziny. I tęskni się za nimi, kiedy odchodzą.

Przełknąłem ślinę.

– Tak.

– Powiedz, że się nie obwiniasz.

– Nie – odparłem szczerze. – Po prostu żałuję, że bardziej się nie postarałem.

– Przeżyłeś – powiedziała Murphy. – Zważywszy na okoliczności, uważam, że dobrze się spisalesz.

– Może.

– Sprawdziłam tę komórkę, którą mi przysłałeś. – Miała na myśli telefon Madeline, który dał mi Binder.

– I co znalazłaś? – spytałem.

– Numery telefonów do wielu zaginionych osób – odparła Murphy. – Gdzie jest jej właściciel?

– Z nimi.

Murphy zacisnęła usta.

– Było wiele połączeń z numerem, który wysledziłam w Algierii, i z drugim w Egipcie. Chyba do restauracji. – Wyjęła z kieszeni i podała mi kartkę. Widniały na niej nazwy i adresy dwóch firm.

- Co to jest? – zapytała.
- Nie mam pojęcia. Może kontakty Madeline w Czarnej Radzie. A może nic.
- Ważne?
- Nie mam pojęcia. Chyba umieścimy je w przegródce „czekać i patrzeć, co będzie”.
- Nienawidzę tego katalogu – stwierdziła Murphy. – Jak Thomas? Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na swoje ręce.
- Nie mam pojęcia.

* * *

Moje mieszkanie było pobojuwiskiem. To znaczy nigdy nie wyglądało jak sala operacyjna, chyba że wtedy, gdy gościł u mnie Morgan. Ale kilka dni szalonych wyjazdów i powrotów, ratowania rannych i zabiegów chirurgicznych zostawiło ślady, których nawet moje sprzątaczkki fae nie potrafiły usunąć.

Zadbały o zwykłe rzeczy, ale zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Wynoszenie materacy nigdy nie jest przyjemne, a tym bardziej kiedy dostało się solidny łomot od nadprzyrodzonego zawodnika wagi ciężkiej, a potem na deser zaliczyło dźgnięcie nożem.

Wziąłem się jednak do przywracania porządku i właśnie ciągnąłem materac do samochodu, żeby wywieźć go na śmietnik, kiedy zjawiła się Luccio.

Ubrana w szare luźne spodnie i białą koszulę niosła czarną nylonową torbę sportową, która, jak wiedziałem, zawierała, między innymi, jej ulubioną krótką laskę i rapier. Jej rzeczy były nowe. Z opóźnieniem uświadomiłem sobie, że podobne miała na sobie, kiedy ją poznałem, w innym ciele.

- Hej, daj mi chwilę – wysapałem.
- Pomogę ci – zaproponowała.

Wspólnymi siłami umieściliśmy materac na dachu Chrabąszcza

i przywiązaliśmy go sznurem do bielizny. Anastasia sprawdziła węzły, a kiedy upewniła się, że wszystko jest w porządku, oparła się o samochód i przyjrzała mojej twarzy.

Odwzajemniłem spojrzenie.

– Rashid mówił, że z tobą rozmawiał – zagaiła Anastasia.

Kiwnąłem głową.

– Nie chciałem naciskać.

– Jestem ci wdzięczna. – Uciekła spojrzeniem w bok. – Nawet bardzo.

Teraz, kiedy robota była zrobiona, Myszek obudził się z bezwstydną leniwej drzemki, którą skutecznie w drzwiach domu, i przyczłapał do Luccio. Usiadł i podał jej łapę.

Anastasia uśmiechnęła się i zmierzwiła mu futro za uszami, tak jak lubił.

– Ja... eee, chciałam się upewnić, że wracasz do zdrowia.

– To bardzo odpowiedzialne z twojej strony.

Skrzywiła się.

– Cholera, Dresden. – Potrząsnęła głową. – Przez dwieście lat do nikogo się nie zbliżyłam. Z cholernie dobrych powodów. Mogą to potwierdzić ostatnie wydarzenia.

– A mogą?

Anastasia pokręciła głową.

– Ja... byłam rozkojarzona. Przez ciebie. Przez... nas. Gdyby nie to, może coś bym zauważyła. Nie wiem.

– Myślę raczej, że rozkojarzył cię mag, który namieszał ci w głowie.

Skrzywiła się.

– To osobna sprawa. Wiem o tym. Ale jednocześnie nie wiem. Mówię teraz jak zakłopotana nastolatka. – Położyła dłonie na biodrach i z irytacją skrzywiła usta. – Nie jestem w tym dobra. Pomóż mi.

– Cóż, domyślam się, po co przysłaś. Chcesz mi powiedzieć, że nie zamierzasz ciągnąć tego... cokolwiek między nami było.

– To nie z twojego powodu.

– Wiem. Niczego nie było, prawda?

Anastasia westchnęła przeciągle i wbiła we mnie wzrok.

– Zawsze cię lubiłam, Dresden. Przez długi czas uważałam, że jesteś

niebezpieczny. Potem zobaczyłam cię w akcji przeciwko kemmlerowcom i zaczęłam szanować. – Uśmiechnęła się lekko. – Do tego jesteś zabawny. Lubię to.

– Ale?

– Ale ktoś pchnął mnie ku tobie – powiedziała. – I to mnie wkurza... – Zaczęła szlochać, choć jej postawa ani głos się nie zmieniły. – I pomyślałam, że może przebiłam się przez rodzaj... skorupy. Albo bardzo starą ranę. Czy coś innego. Że zbliżyłam się do ciebie i może nadal będę. I to sprawiało, że czułam się... – Potrząsnęła głową, a jej głos w końcu się załamał. – Młoda. Wszystko wydawało mi się nowe.

Obszedłem samochód i stanąłem przed nią. Wyciągnąłem rękę w jej stronę, ale one uniosła swoje w geście odmowy.

– Ale to było kłamstwo. Nie jestem młoda, Harry. Nie jestem nowa. Widziałam i robiłam takie rzeczy, że... że nie mógłbyś tego zrozumieć. I modłę się do Boga, żebyś nigdy nie musiał ich zrozumieć. – Wzięła głęboki wdech. – To niedorzeczne. Powinam być w tym lepsza.

– O co chodzi? – spytałem cicho. – To znaczy oprócz tego, co oczywiste?

– Na nowo odkryłam seks – odburknęła. – I podobało mi się to. Naprawdę podobało. Już zapomniałam, jak niewiarygodnie oszałamiający jest seks. A teraz mam kłopoty z formułowaniem całych zdań, bo chcę zerwać z ciebie koszulę i ugryźć cię w ramię, kiedy jesteś spocony, i... – Urwała nagle, a jej policzki poczerwieniały. – Nie masz nawet czterdziestu lat.

Oparłem się o samochód i zacząłem się śmiać.

Anastasia pokręciła głową, łypiąc na mnie dzikim wzrokiem, a jej ciemne oczy pojaśniały.

– Jak teraz mam wydawać ci rozkazy? Kiedy ty i ja... robiliśmy te wszystkie rzeczy, które robiliśmy?

– Cóż. Może obiecuję, że nie umieszczę zdjęć w Internecie.

Luccio wytrzeszczyła oczy.

– Zdjęć... ty żartujesz, Dresden? Tak?

Pokiwałem głową.

– Bo mam dość takich doświadczeń z mojej pierwszej młodości – wyznała Anastasia. – We Włoszech może nie było wtedy Internetu, ale zdziwiłbyś się,

jak szybko obrazki potrafiły znaleźć się w obiegu, kiedy malowano je na płótnie.

– Ana – powiedziałem cicho.

Przygryzła wargę i spojrzała mi w oczy.

Ująłem jej ręce i uścisnąłem. Potem uniosłem je do ust i pocałowałem kolejno, delikatnie.

– A ja jestem szczęśliwy, że pamiętam nasz wspólny czas.

Anastasia kilka razy szybko zamrugła.

– Rozumiem – powiedziałem. – Rzeczy się zmieniły. I może tamten czas się skończył. Ale dam sobie radę. I ty też. Nie musisz czuć się winna.

Uniosła moje ręce do ust i pocałowała je, tak samo jak ja wcześniej. Łza spadła na mój palec.

– Przepraszam – powiedziała Anastasia.

– Będzie dobrze. Jest dobrze.

Pokiwała głową, a ja zobaczyłem w jej oczach spokój, opanowanie i siłę kapitan Strażników gotowej podjąć się swoich zadań. Widziałem też niepewność Anastasii, która nie była z nikim blisko od bardzo długiego czasu. I może jeszcze trochę smutku i poczucia osamotnienia kobiety, której młodość przypadła na stulecie przed moimi narodzinami.

– Żegnaj, Harry – wyszeptała.

– Żegnaj, Ana.

Ścisnęła moje dłonie i ruszyła przed siebie. Po kilku krokach zatrzymała się i obejrzała.

– Dresden?

Popatrzyłem na nią pytająco.

– Rashid nie mówił dużo o tamtej nocy, kiedy umarł Morgan. Sama niewiele pamiętam po tym, co zrobił Peabody.

Wiedziałem, do czego zmierza Anastasia.

– Nie umierał sam – uspokoilem ją. – Ja przy nim byłem. I wiedział, że znalazł zdrajcę. Był zadowolony.

Jej ramiona trochę się rozluźniły.

– Dziękuję.

– Jasne.

I odeszła energicznym krokiem.

Spojrzałem na poplamiony krwią materac przywiązany do Chrabąszcza i westchnąłem. Nie miałem ochoty nigdzie jeździć. Było wcześniej. Ta sprawa mogła poczekać jeszcze kilka godzin. Odwróciłem się do Myszka i powiedziałem:

– Chodź, chłopcze. Potrzebuję piwa.

Uciekliśmy z letniego żaru w chłód sutereny.

Może potrzebowałem dwóch piw.

* * *

Ponad dwa tygodnie zabrało Justine zorganizowanie mojego spotkania z Thomasem. Kiedy w końcu zadzwoniła, mówiła swoim oficjalnym tonem sekretarki. Wymieniła miejsce publiczne, które nam obu zapewniało anonimowość. Takiego środka ostrożności wymagał ode mnie Biały Dwór ze względu na napięcie istniejące ostatnio między Radą a wampirami.

Spotkałem się z Thomasem w sobotnie popołudnie przy wybiegu dla dużych kotów w Lincoln Park Zoo.

Kiedy się tam zjawiłem, dostrzegłem dwóch ochroniarzy Lary, którzy próbowali wtopić się w tłum. Thomas opierał się o poręcz przy wybiegu tygrysów. Miał na sobie obcisłe niebieskie dzinsy i dużą luźną białą koszulę. Każda kobieta i wielu facetów zerkało na niego z różnym stopniem pożądania, tęsknoty, zainteresowania i nienawiści. Podszedłem do niego i też oparłem się o balustradę.

– Hej – rzuciłem.

– Hej.

Przez kilka minut w milczeniu obserwowaliśmy tygrysy. Thomas odezwał się pierwszy.

– Prosiłeś o spotkanie. Czego chcesz?

Uniosłem brew.

– Chcę się z tobą widywać. Rozmawiać. Upewniać się, że wszystko z tobą w porządku. Jesteś moim bratem, człowieku.

Nie zareagował na moje słowa. W ogóle.

Przez chwilę studiowałem jego profil.

– Coś nie w porządku? – zapytałem w końcu.

Thomas niedbale wzruszył ramionami.

– Nie. Chyba że ze mną. Kiedyś.

– Z tobą? Kiedyś?

– Byłem idiotą, że żyłem tak, jak żyłem – stwierdził z przekonaniem.

Spojrzałem na niego ostro.

– Co?

Thomas machnął ręką leniwym gestem.

– Butik. Poza tym zamiast prawdziwego żerowania tylko skubanie, nigdy do syta... – Wzruszył ramionami. – Wszystko.

Wbiłem w niego twardy wzrok i spytałem cicho:

– Co ci zrobił skórozmienny?

– Przypomniiał mi, kim naprawdę jestem.

– Tak?

Thomas popatrzył na mnie spokojnie ciemnoszarymi oczami.

– Tak. Nie zabrało mu to dużo czasu, kiedy już się wziął do roboty.

Poczułem mdłości.

– Co się stało?

– Powiesił mnie za stopy i po kawałku obdzierał ze skóry. Po jednym pasku.

Wzdrygnąłem się.

– To bolesne – powiedział Thomas. – Nie jakoś strasznie dla nas niebezpieczne. Mój demon nie miał żadnych trudności ze zregenerowaniem skóry... ale zrobił się głodny. Bardzo, bardzo głodny. – Jego oczy nagle zalśniły jasnym srebrem. Wrócił spojrzeniem do tygrysów, które bezustannie krążyły po wybiegu. – Do kryjówki, w której mnie więził, przyprowadził kobietę. I rzucił mi ją na pożarcie.

– Na dzwony piekieł – wyszeptałem.

Thomas nadal obserwował wielkie koty.

– Była urocza. Jakies szesnaście lat. Nie wiem dokładnie. Nie spytałem jej nawet o imię. – Rozłożył ręce. – Oczywiście było to żerowanie ze skutkiem

śmiertelnym. Nie sędzę, żebym kiedykolwiek zdołał ci wyjaśnić, jak to naprawdę jest.

– A jak jest? – zapytałem ochryple.

– Jak wybuch światła – odparł Thomas, przymykając powieki. – Jak ciepło ogniska obozowego po wielu godzinach dygotania z zimna. Jak gorący stek po całym dniu pływania w zimnej wodzie. Coś takiego cię zmienia, Harry. Sprawia, że czujesz się... – Jego oczy stały się puste. – Cały.

Pokręciłem głową.

– Jezu, Thomas!

– Kiedy umarła i moje ciało się zregenerowało, skórozmienny od nowa mnie tortuował, aż znalazłem się w takim samym rozpaczliwym stanie. Następnego dnia też mnie nakarmił. – Thomas wzruszył ramionami. – Dobrze jest splukać i powtórzyć czynność. Jakies sześć razy. Dawał mi młode kobiety, a potem zaczynał mnie dręczyć. Niemal przeżuwałem własne wnętrzności, kiedy zabrał mnie na wyspę. Prawdę mówiąc, ledwo to pamiętam. – Uśmiechnął się. – Pamiętam, że zobaczyłem Molly. Ale najwyraźniej dobrze ją wyszkoliłeś, bo się obroniła.

– Thomas – powtórzyłem łagodnie.

Brat uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jeśli kiedyś ci się znudzi, mam nadzieję, że dasz mi znać.

Wytrzeszczyłem oczy. Było mi niedobrze.

– Thomas!

Nie przestawał się uśmiechać, ale nie wytrzymał długo. Jego oczy na powrót stały się puste, naznaczone rozpaczą. Odwrócił ode mnie wzrok.

– Nie rozumiesz tego, Harry.

– Więc mi powiedz. Thomas. Jezu Chryste. To nie jesteś ty.

– Ależ tak – wysyczał. – Właśnie tego się nauczyłem, Harry. Jestem po prostu pustką, która musi być napelniona. – Pokręcił głową. – Nie chciałem zabijać tamtych dziewczyn. Ale to zrobiłem. Zabijałem je, jedną po drugiej, i uwielbiałem to. Kiedy wracam do tych wspomnień, nie jestem przerażony. – Uśmiechnął się szyderczo. – Po prostu mi staje.

– Thomas – wyszeptalem. – Proszę, stary. Nie tym chciałeś być. Znam cię, człowieku. Widziałem cię.

– Widziałeś mnie takiego, jakim chciałem być – odparł mój brat. – Za jakiego się uważałem. – Potrząsnął głową i popatrzył na ludzi spacerujących wokół nas. – Zagraj ze mną w pewną grę.

– Jaka?

Thomas wskazał głową na dwie młode kobiety przechodzące obok nas z różkami lodów w rękach.

– Co widzisz, kiedy na nie patrzysz? Twoja pierwsza myśl.

Spojrzałem.

– Blondynka i brunetka, za młode dla mnie, niezłe. Założę się, że blondynka przepłaciła za te buty.

Thomas pokiwał głową i wskazał na starszą parę siedzącą na ławce.

– A oni?

– Kłócą się o coś, ale ich to bawi. Są ze sobą tak długo, że czują się swobodnie. Później będą trzymać się za ręce i śmiać z tej sprzeczki.

Mój brat zacisnął usta i wskazał na matkę poganiającą trójkę małych dzieci w różnym wieku.

– Tamci?

– Ona nosi drogi pierścionek, ale jest w zoo sama. Jej dzieciaki są ładnie ubrane. Mąż dużo pracuje, a ona już nie wygląda tak dobrze jak kiedyś. Spójrz, jak buty wznajają się jej w stopy. Martwi się, że jest żoną trofeum albo przyszłą była żoną. Chce jej się płakać.

– Uhm... – mruknął Thomas. – Mogę ci zdradzić swoje pierwsze myśli?

Kiwnąłem głową, marszcząc brwi.

Brat pokazał palcem dwie młode dziewczyny.

– Jedzenie. – Wskazał na starszą parę. – Jedzenie. – Przesunął palec na matkę z dziećmi. – Jedzenie.

Ja tylko wytrzeszczyłem oczy.

Thomas zatoczył głowę, głęboko wdychając powietrze.

– Może stąd się wzięły wszystkie tamte zabójstwa. Może demon doprowadził mnie do szaleństwa torturami. – Wzruszył ramionami. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Po prostu wiem, że teraz rzeczy wydają się dużo prostsze.

– Co próbujesz mi powiedzieć? – zapytałem. – Że teraz jesteś szczęśliwy?

– Szczęśliwy. – W jego głosie brzmiała lekka pogarda. – Już nie błąkam się po omacku. Nie próbuję rozpaczliwie być kimś, kim nie jestem. – Odwrócił się z powrotem do tygrysów. – Kimś, kim nigdy nie będę.

Ja tylko stałem i kręciłem głową.

– Och, na pustą noc, Harry – powiedział Thomas, przewracając oczami. – Nie jestem jakimś szalejącym potworem. Ani szaleńcem grasującym po mieście i pożerającym dziewice. – Machnął ręką niedbałym gestem. – Zabijanie, kiedy żerujesz, jest fantastyczne, ale głupie. Lepiej zadbać o to, żeby owce przeżyły. Nie tylko przeżyły, ale żeby wręcz rozkwitały. – Uśmiechnął się lekko. – Wiesz, naprawdę myślę, że mógłbym coś podarować światu. Nigdy nie dałbym rady wpłynąć na swoich jako rozczulający się nad sobą wygnaniec, który próbuje być człowiekiem. A w ten sposób naprawdę jestem w stanie czegoś dokonać. Ustanowić zdrowe zasady w relacjach między ludzkością a moim rodzajem. Kto wie?

Popatrzyłem na niego i rzuciłem:

– Boże, jakie to szlachetne.

Thomas zmierzył mnie wzrokiem.

Wtedy ja zadałem mu prawdziwy cios poniżej pasa:

– A co o tym myśli Justine?

Brat wyprostował się i odwrócił do mnie gwałtownym ruchem, w którym była zapowiedź przemocy.

– Co? Co powiedziałaś?

– Słyszałaś. – Nie zmieniłem pozy ani w żaden inny sposób nie zareagowałem na groźbę.

Thomas zacisnął pięści z taką siłą, że strzeliły mu kostki.

– Nadal boli, co? – zapytałem cicho. – Parzy, kiedy próbujesz jej dotknąć?

Nic nie powiedział.

– I pamiętasz, jak to jest ją tulić. Jak w tamtą noc, kiedy w Zero sprależ Madeline.

– Jezu Chryste, Harry. – Thomas odwrócił ode mnie twarz, a jego głos był pełen znużenia. – Po prostu wiem, że już nie boli przez cały czas tak bardzo jak kiedyś. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Mam złe sny.

Chciałem położyć dłoń na jego ramieniu, dać mu trochę wsparcia. Ale

instynkt ostrzegł mnie, że to nie będzie mile widziane.

– Co ten demon ci zrobił, Thomasie? On dokładnie wiedział, jak się do ciebie zabrać. Jak najbardziej cię udręczyć. Ale ten stan nie potrwa wiecznie. Przeżyłeś. Poradzisz sobie i z tym.

– I wrócę do dawnego żalosego życia? – wyszeptał.

– Może. Nie wiem.

Thomas tylko na mnie spojrzał.

– Jesteś moim bratem – powiedziałem. – Tego nic nigdy nie zmieni. Będę przy tobie.

– Jesteś cholernym głupcem – stwierdził Thomas.

– Tak.

– Łatwo byłoby cię wykorzystać. Jakaś część mnie uważa, że to fantastyczny pomysł.

– Nie mówiłem, że nie jesteś dupkiem. Powiedziałem tylko, że jesteś bratem.

Jego ochroniarze się poruszyli. Nic wielkiego. Po prostu ożyli i ruszyli do wyjścia.

Thomas się skrzywił.

– Lara uważa, że zrobiłem wielkie postępy. Ona... – Wzruszył ramionami.
– Jest ze mnie dumna.

– Woląłem cię innego. Justine też. Może to powinno ci coś uświadomić.

– Muszę już iść. Lara się boi, że pomyślisz, że mam wyprany mózg. Nie chciała ryzykować, że spróbujesz mnie przeprogramować, choć wcale nie zostałem zaprogramowany.

– Przyznaję, że ta myśl przyszła mi do głowy.

– Gdyby ktoś dostał się do mojej głowy, nie sądzę, żeby znalazł w niej dużo wątpliwości – rzekł Thomas. – Nie możesz mi pomóc, Harry.

– Może nie. Może tak. W każdym razie nadal jesteś moim bratem.

– Cholerna zdarta płyta – skomentował.

Uniosłem pięść. Thomas patrzył na nią przez chwilę, a potem sam zacisnął dłoń i lekko uderzył kostkami o moje kostki.

– Nie dzwoń do mnie – uprzedził.

– Będę cierpliwy. Ale nie na zawsze.

Mój brat się zawahał, a potem kiwnął głową. Wcisnął ręce w kieszenie dzinsów i odszedł szybkim krokiem. Ochroniarze ruszyli za nim. Jeden z nich coś powiedział, przyciskając dłoń do ucha.

Z czystej małosłowności złośliwości machnąłem ręką i zepsułem mu radio albo telefon. Z jego ucha sypnęły się iskry, a on sam omal nie upadł, próbując wyrwać z niego słuchawkę.

Thomas się obejrzał.

I uśmiechnął się szeroko. Krótko, ale jednak.

Potem zniknął. Odwróciłem się, żeby popatrzeć na tygrysy. Zastanawiałem się, czy wiem, jakie one są naprawdę, czy widzę tylko paski.

* * *

Pogrzeb Kirby'ego odbył się, kiedy leżałem w szpitalu w Edynburgu. Od tamtego czasu minęło parę tygodni. Kilka razy rozmawiałem przez telefon z Willem i Georgią.

Gdy nadszedł cotygodniowy wieczór gier, zjawiłem się u nich jak zwykle w ciągu ostatnich lat. Przyniosłem zbiór reguł do Arcanosa i torbę Crown Royal z kośćmi. Na sobie miałem czarny T-shirt z monochromatycznym obrazkiem pieszczeli i napisem drukowanymi literami: „Come to the dark side. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zniszczył”.

Will otworzył drzwi i uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, Harry. Rany, twoja twarz jest... męska.

– Laski lubią blizny – powiedziałem.

– Kto to? – Z głębi mieszkania dobiegł głos Andi. Brzmiał słabo, bez życia.

– To ja, Harry Dresden.

Za Willem pojawiła się uśmiechnięta Georgia.

– Harry. – Spojrzała na moją koszulkę i ekwipunek. – O, właściwie to nie zamierzaliśmy...

Zwykle Kirby dyrygował grą.

Zrobiłem krok w bok, chwyciłem stojącego za mną geeka za ramię i wypchnąłem go przed siebie.

– To jest Waldo Butters – dokonałem prezentacji. – Jego geekowy penis jest dłuższy i twardszy niż nasze wszystkie razem wzięte.

Butters lypnął najpierw na Georgię, potem na gospodarza i na mnie.

– A... eem. Dziękuję?

Will przeniósł pytający wzrok z Buttersa na mnie.

– O co chodzi? – zapytał łagodnie.

– Życie toczy się dalej – odpowiedziałem. – Butters twierdzi, że radzi sobie z Arcanosem. Albo może poprowadzić mnóstwo innych gier, jeśli chcemy spróbować czegoś nowego. – Odchrząknąłem. – Jeśli wolicie, możemy pójść do mnie. Zmiana otoczenia i tak dalej.

Georgia posłała mi drobny uśmiech wdzięczności. Will popatrzył na mnie z niepewną miną. Potem odwrócił się w stronę mieszkania.

– Andi?

Po chwili pojawiła się obok Georgii. Wyglądała bardzo mizernie. Liczne złamania żeber i poważna operacja właśnie takie rzeczy robią z człowiekiem. Dziewczyna stała na własnych nogach i ruszała się, ale było jasne, że mieszka u Willa i Georgii, żeby mogli jej pomagać, póki nie odzyska sił.

Uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem:

– Kirby raczej by nie chciał, żebyśmy całkiem przestali grać. Jak myślicie? To znaczy to nie będzie ta sama gra, ale może być zabawnie.

Andi popatrzyła na mnie, a potem na Buttersa. Uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową.

Will szerzej otworzył drzwi. Gdy weszliśmy do mieszkania, przedstawiłem Buttersa wszystkim obecnym i wyjąłem kilka butelek najlepszego ale od Maca.

Widzicie, właśnie o to chodzi. Morgan miał rację: nie można pokonać wszystkich.

Ale to nie oznacza, że należy się poddać. Morgan nigdy czegoś takiego nie powiedział. Był zbyt zajęty wprowadzaniem tej zasady w życie.

Zamknąłem za sobą drzwi i życie potoczyło się dalej.

* * *

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49